

PRZEGLĄD POWSZECHNY.



Błogosławiony lud, którego Panem
Bóg jego. *Ps. 143.*

ROK CZWARTY. — TOM XIV.

KWIECIEŃ, MAJ, CZERWIEC.

1887.



KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1887.

WAŻNIEJSZE OMYŁKI DRUKU.

Str. 194 wiersz 17 *zamiasť* koniecznością

- » 195 » 18 » naszego
- » 195 » 4 » greifen
- » 195 » 2 » legte
- » 248 » 12 » stanął Jan z Tenczyna
- » 258 » 81 » doraźny wywierała wyrok
- » 257 » 19 » na nietrafne traktowanie
- » 262 » 23 » i bronią jego żywota
- » 264 » 3 » gdy podobno Mickiewicza
- » 264 » 18 » lekturę potoczyć
- » 265 » 10 » ją wyprzeć z pomiędzy
- » 265 » 20 » z oczu acz trafnych

czytaj: komicznością

- » dawnego
- » preisen
- » liege
- » utonął Jan z Tenczyna
- » doraźny wymierzała wyrok
- » na nieco trafne traktowanie
- » i broją jego żywota
- » gdy podobne Mickiewicza
- » lekturę powtórzyć
- » ją wypruć z pomiędzy
- » z ocen acz trafnych



Z PRZED 300 LATY.

KARTA Z DZIEJÓW KOŚCIOŁA W ANGLII.

W grudniu ubiegłym Ojciec św. Leon XIII. zaliczył w poczet błogosławionych *per modum confirmationis cultus*¹ pięćdziesięciu czterech synów Anglii, którzy między latami 1535—1583 życie dali za wiarę katolicką i wolność Kościoła.

W porę przychodzą nam ci nowi święci z przykładem swej wytrwałości i z świadectwem odniesionego zwycięstwa. Sprawa, dla której krew przelali, tj. sprawa niezawisłości Kościoła i sumień, wobec roszczeń władzy świeckiej do supremacji, i dziś jest aktualną, a starą jest ona jak społeczeństwo chrześcijańskie — tylko w różnych czasach i w różnych państwach więcej łagodną lub zaostrzoną przybierała cechę. Nawet państwa tak katolickie i rządzące się polityką nawskróś chrześcijańską jak Polska, nie były całkiem od tej walki wolne; przypomnijmy sobie spory Kazimierza Jagiela i Władysława IV. ze Stolicą św. o prawo obsadzania biskupstw, opactw i dygnitarstw kościelnych, albo zamysły sejmu czteroletniego, dążące do konfiskaty dóbr stołu biskupiego, częściowej kasaty zakonów i klasztorów. Tembardziej państwa pogańskie,

¹ Kiedy kult jakichś świętych, jeszcze nie kanonizowanych, istnieje notorycznie w wiernym ludzie za przyzwoleniem kościelnych zwierzchników, wówczas, zamiast zwykłego procesu kanonizacyjnego, odbywa się niekiedy tylko indagacya o tym kulcie i sposobie jakim się wprowadził. A zatwierdzenie takiego kultu przez Papieża równoważy beatyfikacyi. Taka beatyfikacya „przez zatwierdzenie kultu“, miała miejsce dla tych 54 męczenników angielskich, z tytułu czi jaką im oddawano w Anglii i w samym Rzymie, jak się niżej powie.

jak *Imperium Romanum*, a później różnowiercze, prowadziły te walki bronią straszną „praw karnych“, sądów krzywoprysiężnych, więzień, deportacyj, tortur i rusztowań krwawych. Pomimo tej różnicy w sposobie prowadzenia walki jedna cecha wszystkim jej odcieniom jest wspólna, a to ta: każdy ktokolwiek supremacyi państwa względnie króla, prezydenta, regencyi lub parlamentu nad Kościołem i sumieniami ludzkimi uznać nie chce, uważany jest *pro hoste patriae*, jako nieprzyjaciel swego kraju, zdrajca stanu. Stare one ewangeliczne *non es amicus Cesaris* powtarza się tu na różne tony i nuty.

Przyznać wszelako należy, że, z chrześcijańskich państw, żadne inne w tej walce supremacyi państwa nad Kościołem nie wystąpiło z większą bezwzględnością, z większem podeptaniem praw bożych i ludzkich i wyrzuciem się wszelkiego zmysłu ludzkości, z większą wreszcie krwiożerością, jak Anglia, ta niegdyś „wyspa świętych i posag Matki Boskiej“, zwłaszcza w epoce swego wrzekomego odrodzenia się religijnego, czyli reformacyi od r. 1532 do 1583 r. Dzisiaj rozczytując się w onych prawach karnych, aktach sądowych i uchwałach parlamentu, które nieraz same jedne za śledztwo i sąd starczyły, trudno pojąć i uwierzyć, jak w tem społeczeństwie angielskiem od 1000 lat wykołysaniem i wykarmieniem na zasadach katolickich, mogło się odrazu zmienić tak strasznie wszystko na gorsze. Trudno zrozumieć jak ów *defensor fidei* Henryk VIII. zwalczający swą książką *Assertio septem sacramentorum* herezję Lutra, król mądry, dzielny, naukowo wykształcony, szanowany od obcych, kochany od swoich, mógł w ciągu lat kilku dla nędznej nałożnicy, którą wnet potem za niewierność ściąć kazał, zerwać tysiącletni sojusz narodu swego z Kościołem, zbezczęścić uczciwą, znaną żonę i dom habsburski, zaniepokoić i pogwałcić miliony sumień, dyktować parlamentom prawa niesprawiedliwe, sądom wyroki krwawe, kraj cały wtrącić w zamęt zbrojnych powstań i w nieopisaną nędzę finansową pomimo rabunku dóbr klasztornych i kościelnych, które czwartą część całego obszaru państwa wynosiły, a tę niezbożną robotę zapieczętować krwawymi morderstwami setek niewinnych, ojczyźnie dobrze zasłużonych obywateli, za to tylko, że jego supremacyi kościelnej uznać nie chcieli? Dosyć powiedzieć, że ów osławiony *defensor fidei* w ciągu lat zaledwie kilkunastu (1534—1547)

skazał na śmierć: dwie własne żony, dwóch arcybiskupów, ośmnastu biskupów, między nimi kard. Jana Fischera biskupa z Rochester, kanclerza Tomasza Moora, obu dziś na ołtarze wyniesionych; tudzież trzynastu opatów, pięciuset zakonników, ośmnastu doktorów teologii i prawa, dwunastu książąt i hrabiów, sto sześćdziesiąt cztery osoby stanu szlacheckiego, stu dwudziestu czterech mieszczan, sto dziesięć kobiet¹, między niemi kilka zakonnic. A z ludu? Sześć tysięcy legło na placu boju, nie licząc tych, których wymordowano przy zamykaniu kościołów i kaplic i przy zaprowadzeniu nowej zreformowanej liturgii. Lud bowiem, gorąco przywiązany do katolickiej wiary, opuszczony lub zdradzony przez swoich księży i do rozpacz przywiedziony, gwałt zadany swemu sumieniu odepchnąć próbował gwałtem i miejscami zrywał się do zbrojnego oporu.

Rozpusta zwykle idzie w parze z srogością, oto klucz do zrozumienia psychologicznego procesu, który się odbył w Henryku VIII. Ależ społeczeństwo? owa arystokracja angielska, zmieniająca wiarę swoją po rozkazie, a tak łatwo jak rękawiczkę, dostarczająca z łona swego przewrotnych a podłych i ślepych narzędzi do nierządu zarówno jak srogości króla? Ależ owe parlamenty do niedawna poważne korporacye, bez których przyzwolenia żaden królewski edykt nie miał mocy prawnej, teraz służalczo-niewolnicze, na klęczkach przyjmujące najdziwszy i najkrwawszy kaprys króla za prawo państwowe i sankcyę swoją mu nadające? Jakto zrozumieć? Snać tylko po wierzchu owiane były te warstwy technieniem katolickiego ducha, nie przecisnął on się do głębin rozumu i serca, nie ogarnął i nie wcielił się w publiczne i prywatne ich życie. — Nie, tego twierdzić bez pewnego zastrzeżenia nie można, skoro właśnie z tych warstw wyszli odważni wyznawcy wiary i męczennicy z Tomaszem Moore na czele. Grały tu rolę inne czynniki tak stare, jak stary rodzaj ludzki. Chciwość, pragnąca nasycić się rozdrapaniem kościelnych majątków u jednych, ambicja żądna honorów i władzy u drugich, trwoga i lęk przed okrutnością króla-tyrana u innych, małoduszność episkopatu przyzwalająca królowi zrazu na rozpędzenie klasztorów, a potem uznająca supremacyę króla nad sumieniami — oto przyczyny tego niemal powsze-

¹ Holzwarth t. VI. cz. 1 str. 364.

chnego spodlenia warstw wyższych i decydujących w dobie, o której mówimy. Po Henryku VIII. już ani Edward VI. i jego regencji, ani katolicka Marya Tudor, tem mniej zuchwała Elżbieta nie potrzebowali się oglądać na opinię arystokracji lub zdanie parlamentu. „Cezar i motłoch“ oto ówczesna Anglia. Co wybitniejsze szlachetniejsze osobistości szły odważnie do więzień, na torturę i rusztowanie, ale przykład ich nie znajdował oddźwięku w zdemoralizowanym społeczeństwie... dziczało ono coraz bardziej.

Przyznać też należy, że dziwnie mądrze zabierał się Henryk VIII. do tej roboty psucia i podlenia swego narodu; dopomagali mu w tem dwaj parweniusze Cromwell i Cranmer, w nagrodę czego obadwaj zginęli później na rusztowaniu. Najprzód tedy w lutym 1531 na konwokacyi czyli zebraniu episkopatu i kleru wymógł król przyznanie sobie tytułu „protektora i jedynej głowy duchowieństwa angielskiego“ z klauzulą elastyczną: „o ile pozwala na to prawo Chrystusowe“. Po wyroku Klemensa VII., zatwierdzającym ważność pierwszego małżeństwa królewskiego, wydaje parlament z rozkazu króla prawo, zabraniające surowo wszelkich apelacyj do Rzymu i wszelkich z nim stosunków; król prekonizuje biskupów, arcybiskup zaś kantorberyjski udziela wszelkich łask papieskich — i fatalna schyzma gotowa. Biskup Fisher, nauczyciel niegdyś króla i kanclerz Moore uznając papieską władzę i opierając się tej uchwale, idą pod miecz katowski 1535 r. W wrześniu t. r. nowy edykt parlamentu znosi wszystkie atrybucye władz duchownych; kazano biskupom i księżom wszystkim prosić króla o nowe nominacye, co się też i stało. Aby zasilić skarb pusty, zniesiono r. 1535 najprzód 376 klasztorów mniejszych, a potem 1539 r. wszystkie, niszcząc przy tem z niesłychanem barbarzyństwem dzieła sztuki, biblioteki, grobowce świętych patronów Anglii. Biskupi, teraz już z ramienia króla ustanowieni, milczą, ale nie wiele to pomaga: r. 1539 cały majątek kościelny przechodzi na rzecz skarbu korony; r. 1538 Klemens VII. rzuca klątwę na Henryka VIII.; ten zaś w odpowiedzi na to ogłasza 1539 r. obowiązujący pod najsroższymi karami „statut sześciu artykułów“ nazwanych później „krwawemi“, a parlament z rozkazu króla wotuje prawo *bills of attainder*, mocą którego samo orzeczenie parlamentu bez śledztwa i sądu, że ktoś jest winny zdrady stanu, pociąga za sobą karę śmierci. Księżna

Salisbury, matka kardynała Poole, pada ofiarą tego prawa 1541. Katolików, ponieważ nie uznawali supremacyi kościelnej króla, karano jako zbrodniarzy stanu szubienicą i ćwiertowaniem; lutrów jako kacerzy palono na stosie. Ekzekucye tak częste a tak straszne roznamietniały aż do zdziwienia społeczeństwo. Regencya Edwarda VI. sprzyjała znów lutrom, przestano ich więzić i palić; owszem żywioł luterski, zwingliański i kalwiński zasiadł na katedrach uniwersyteckich i dostał się do redakcyi „nowej konfesyi anglikańskiej“, sporządzonej w 42 artykułach przez złutrzałego Cranmera 1552. Zamiast kanonicznego prawa spisuje ten apostata „reformę praw kościelnych“, ale ta nie weszła w życie.

Marya Tudor przywraca katolicyzm uroczyście w Anglii 29 listopada 1553 r. Służący parlament odwołuje „z żalem i skrucho“ wszystkie uchwały przeciw Stolicy św. i katolikom i klnie się na wszystkie bogi, że jest i pozostanie wierny Kościołowi i królowej. Nierównie mniej sroga w prześladowaniu innowierców, chociaż ich predykanci publicznie w zborach prawa następstwa do tronu jej zaprzeczają, jak Henryk i Elżbieta, otrzymała jednak Marya Tudor przydomek „krwawej królowej“, bo była katoliczką szczerze z przekonania aż do swej śmierci 1558. „Dziewicza“ Elżbieta złożyła rotę przysięgi katolicką, zgłosiła się do Juliusza III. z prośbą o swoje zatwierdzenie; czyniła to obłudnie, bo w gruncie i ona jak i przeważna część warstw wyższych w Anglii żadnej wiary, żadnych przekonań religijnych nie miała. Ale — „królować jej się chciało“, a miała potemu i rozum dzielny a przenikliwy i rozsądek długiem doświadczeniem wzbogacony i wdzięk i urodę i postać iście królewską. Pochodzenie wątpliwe zatruwało jej życie: Juliusz III. wskazywał na Maryę Stuart jako mającą więcej praw do angielskiej korony. „Niewidzianej“ urody była ta pani, rozlewała czar do koła, licznych miała wielbicieli, to już wystarczało aby stała się przedmiotem zazdrości i nieubłaganej nienawiści „dziewiczej“ Elżbiety. *Quid non furens foemina possit*, „czego nie dokáže zła kobieta“, pisał stary Wirgili.

Elżbieta usuwa powoli dawną katolicką radę, zrzuca pobożności maskę, regulaminem dworskim przepisuje aby tylko na klęczkach przemawiano do niej i już w styczniu 1559 rozkazuje parlamentowi wydać uchwałę, obalającą wszystkie prawa na korzyść katolików, w ostatnich

czterech latach wydane. Stosunki z Rzymem zerwane, przysięga na supremacyę kościelną królowej, wszystkim urzędnikom państwa a wnet potem wszystkim członkom parlamentu, publicznym i prywatnym nauczycielom nałożona, pod karą utraty urzędu i majątku. Tym sposobem uczciwi katolicy usunięci od dygnitarstw, urzędów, i spraw publicznych, na ich miejsce weisnięci różnowiercy, gotowe na wszystko narzędzia w ręku ambitnej królowej. Oparły się zrazu akademie i kilku biskupów; opornych wtrącono do więzienia lub obłożono grzywnami. Nowy areybiskup kanterburyjski Parker wyświęcił cały szereg „rządowych biskupów“ — i w ciągu dwóch lat Anglia ujrzała się znów w odszczepieństwie. Teraz rozpoczął się szereg „praw karnych“ coraz sroższych, wymierzonych przeciw katolikom a w części przeciw purytanom. Henrykowe i Edwardowe „wyznanie wiary“ poddano 1562 rewizyi, ułożono nowe o 39 artykułach. Opór przeciw onym artykułom poczytany za zbrodnię stanu, zwalczanie ich piórem lub słowem za kacerstwo. Wygnana z Szkocyi królowa Marya Stuart chroni się na ziemię angielską, kilku katolickich lordów tworzy związek 1570 roku w obronie jej praw do angielskiego tronu, to wystarcza „dziewiczej“ Elżbiecie aby Maryę Stuart uwięzić a wszystkich katolików w czambul za nieprzyjaciół państwa uważać. Napelniły się więzienia wieży londyńskiej, przy śledztwie używano tortur, wznosiły się rusztowania, szubienice; odciętego od sznura skazańca kładziono na stół, wrywano drgające jeszcze serce i trzewia i okazywano tłumom, a potem ćwiertowano. Napróżno cesarz Karol V., król Filip II. i Papież Pius V. wstawiali się drogą dyplomatyczną za uciśnionymi katolikami. Orędownictwo monarchów rozzuchwalało dumną kobietę.

Były to wszelako dopiero *initia dolorum*. Pius V., bullą dnia 5 lutego 1570 roku, wyklął Elżbietę i ogłosił jej detronizacyę, wyklął przytem wszystkich, którzyby ją za królowę uznawali. Buli tej brakło egzekutywy: katolickie dwory, zaprzątnięte u siebie walką reformacyjną albo od Turcyi zagrożone, orężem jej poprzeć nie były w stanie, a tylko oręż tu mógł rozstrzygnąć. Tem więc bezkarniej puściła wodze Elżbieta obrażonej w uczuciach kobiety i królowej dumie. Z rozkazu jej słuźalczy parlament wydał 1571 trzy bile, ogłaszające zdracją stanu każdego, ktoby Ma-

ryę Stuart a nie Elżbietę uznawał królową, ktoby w jakiejbądź choćby czysto religijnej sprawie odnosił się do Rzymu, ktoby na podstawie władzy lub przywileju z Rzymu udzielał absolucyi lub dyspens. Osobny trybunał — „wysoka komisya“ — niekrepujący się żadnem państwowem prawem, od korony jedynie zależny, czuwał nad wykonaniem prawa o supremacyi kościelnej królowej. Rozpoczęły się na olbrzymią skalę nocne rewizye domów, szpiegostwa obrzydłe, śledztwa na torturze, więzienia ciasne i smrodliwe, mnożyły się szubienice i stosy. Nawet usuwanie się od nabożeństwa anglikańskiego karano twardem więzieniem, pletniami u pręgierza i grzywną; ludność katolicka doprowadzoną została do nędzy, wielu zmarniało w więzieniach, iż dzisiaj i nazwisk ich podać niepodobna; „wyspa świętych“ stawała się „wyspą męczenników“.

Ale pozostanie na zawsze prawdą: *sanguis martyrum, semen Christianorum*; gnębiony i prawie wygnany z Anglii katolicyzm schronił się na ziemię obcą, aby stamtąd dla Anglii działać i cierpieć. Najprzód więc w Douai we Flandryi, a potem w Reims we Francyi i w Rzymie powstały w latach 1576—79, staraniem angielskiego księdza, później kardynała Williama Allen i papieża Grzegorza XIII., dwa *Collegia anglicana* czyli seminaria duchowne, pod zarządem Jezuitów, w których przeszło 100 doborowych młodych Anglików kształciło się na kapłanów-męczenników, związanych przysięgą, iż w ojczyźnie swojej dla wiary katolickiej pracować, cierpieć i życie poświęcić gotowi. Z kolegów tych, by z arki Noego wychodzili rok rocznie misjonarze tajemni do Anglii. Szereg ich rozpoczynają dwaj Jezuici angielscy: Edmund Campian i Robert Persons. Dziesięciu innych księży i braci towarzyszy im w tej pierwszej misyi. Dzięki usłudze heretyckiej Elżbieta wie o wylądowaniu „nieprzejednanych gwardzystów papieskich“. Cały aparat szpiegowsko-policyjny w ruch puszczono. Złowiono Irlandczyka O. Donall'a, powleczono go z więzienia w Limerick do więzienia w Cork i jako „upartego katolika“ powieszono i rozplątano. Cóż to pomogło? Na jego miejsce przybyło pięciu innych. „Każdy dzień przynosił grozą przejmujące wieści do angielskich kolegów w Reims i w Rzymie: tu kilku księży wyzionęło ducha na torturze; tam wbijano im drzazgi

za paznogie; gdzieindziej polewano ich przy śledztwie wrzając oliwą. Męczarnie te, których dokuczliwości nie taili Jezuici, potęgowały tylko zapal młodych Anglików... W Reims i w Rzymie widziano młodzieńców, wypróbowanych już we walce za wiarę; bohaterowie ci pomimo wczesnego wieku, przybywali do kolegów, aby nauczyć się umrzeć. Wtajemniczali swoich towarzyszy w straszny świat tortur, mówili im o tych okrutnych narzędziach, któremi heretycy rozciągali ich członki; pokazywali im obcięte swe uszy, napiętnowane rozpalonem żelazem czoła; opowiadali o grozie ciasnych cuchnących więzień. Na te opowiadania okrzyki radosne wydobywały się z piersi; przedstawiały się niesłychane niebezpieczeństwa do pokonania; wszyscy na wyścigi błagali, aby ich coprędzej wyprawiono do Londynu¹.

Wobec takiej siły moralnej bezsilnemi okazały się dotychczasowe „prawa karne“ angielskie. Wśród armii szpiegów, Persons i Campian pracowali niezmiennie dniem i nocą, w samym Londynie. „Ledwo nam dwie godziny do snu zostaje“, pisali do generała swego. Mnóstwo dostojnych osób i rodzin chylących się już do apostazyi utwierdzili w wierze, innych już odpadłych od jedności z Kościołem do powrotu nakłonili. Miejscowych księży pouczali o sposobie ratowania dusz w tak trudnych okolicznościach. Inni misyonarze rozpiechli się po całym kraju. Jak bowiem niegdyś za prześladowań rzymskich, kryli się teraz katolicy angielscy po lasach i pustyniach lub nocą zbierali się w domach na nabożeństwo; co gorliwsi kapłani, a na ich czele misyonarze Jezuici nieśli im pomoc duchowną, i sprawowali św. sakramenty. Królowa czuła, że katolicyzm jak wulkan kotłuje, wre i kipi w łonie państwa, podsycany codziennie dopływem z Reims i Rzymu. Aby zatkać te źródła, ogłosić kazała 15 lipca 1580 r. prawo, aby wszyscy swoich synów lub pupilów odwołali z zagranicy i w ciągu 4 miesięcy przedstawili ich biskupowi; a nie wierząc snąć w pomyślny skutek tego rozporządzenia, poleciła spotęgować akcją policyi. W ciągu sześciu tygodni od 15 lipca do 31 sierpnia 1580 r. liczba uwięzionych i wyzutych z majątku katolików urosła bez miary.

Tymczasem praca tajemnych misyonarzy rozwijała się w naj-

¹ *Crétineau-Joly. Hist. de la Comp. de Jes. II. 195.*

lepsze. Mszę św. odprawiano w samym Londynie w każdym prawie katolickim domu, nawet w więzieniach Tower'u; to samo działo się na prowincyi. Za Campianem i Persons'em urządzano formalną obławę — nadaremnie. Wtenczas, 1581 r. na rozkaz rozżłoszczonej królowej wydał parlament trzy nowe bile, ogłaszające wszelkie znoszenie się z Papieżem, udzielanie rozgrzeszenia i dyspens, odprawianie mszy św. i przechowywanie kapłana katolickiego za zbrodnie stanu, i karano szubienicą i ćwiertowaniem. Przyjmujących sakramenta i słuchających mszy św. obłożono grzywną kilku tysięcy funt. szt. i karą więzienia. Już lochy wieży londyńskiej okazały się za ciasne, w każdym hrabstwie zapelniono katolikami dawne i nowe areszty. Ponieważ stare prawo w procesach o zdradę stanu, kazało w śledztwie używać tortury, używano jej też względem katolików na wiele sposobów i najokrutniej¹. Cyfry skazanych w latach 1581—83 na wię-

¹ Dwie były najpowszechniejsze: *equuleus*, konik i *filia Scavingeri*, obręcz żelazna. Konik był to stół długości 5 metrów, na którego czterech rogach umieszczone śruby podobne do śruby wårstatu stolarskiego. Delinkwenta rozciągano na stole i za palce rąk i nóg przywiązywano do onych śrub, potem takowe przy indagacyi w ruch wprawiano. W ten sposób rozciągano powoli wszystkie członki z niesłychaną męką skazańca, trzeszczały kości, rozsuwały się stawy, rwały się ścięgacze, wzdymały piersi, głuchy straszny ból rozchodził się po całym organizmie i nie rzadko o śmierć go przyprowadzał. Nieraz dwa i trzy razy wsadzano więźnia na fatalnego konika. Wbijanie drzazgi za paznogie, wyrwanie żywcem paznogi z rąk zaostrzało tę katuszę.

Córka Scavinger'a, była to para żelaznych pół-obręczy czyli łuków, jednym końcem z sobą zawiasami spojonych; drugie ich końce były zagięte do góry i za pomocą kołka żelaznego dawały się łatwo połączyć. Delinkwent kłekał na onych łukach w miejscu ich spojenia zawiasowego, kat całą siłą i całym ciężarem swego ciała zginał piersi i głowę jego i nagle zagięte końce łuków zamykał kółkiem żelaznem. Więzień stawał się od razu bryłą kulistą, — z ust, nosa, rąk i nóg buchała krew strumieniem. Elżbieta lubowała sobie szczególnie w tej katuszy, nazwanej od jej wynalazcy „*córą Scavingera*“.

Były inne jeszcze tortury. Wzdłuż korytarzy lochów więziennych sterzczały pale 4—5 metrów wysokie, z żelaznem kółkiem u wierzchu. Na nich zawieszano za palce rąk skazańca, usuwano zpod nóg stołeczki, iż całym ciężarem ciała zawisnął w powietrzu. Godzinami całemi trwała ta męka, wśród której sędziowie z najzimniejszą krwią prowadzili śledztwo.

Przygotowaniem, jakby przedsionkiem do „sali tortur“, było *ergastulum* i loch więzienny tak ciasny, że więzień ani stanąć prosto ani leżeć inaczej tylko w kłębek zwinięty nie mógł. Za strawę podawano odrobinę spleśniałego chleba cuchnącej wody. Po ośmiu lub więcej dniach takiego „*ergastuli*“ stawiano

zienie, tortury i śmierć podać niepodobna. Dadzą nam o niej pojęcie cyfry z ostatnich 20 lat panowania Elżbiety, kiedy już zawziętość jej a srogość sędziów nieco stępsiała. Otóż od r. 1583—1603 zginęło na rusztowaniu 142 księży katolickich i 62 osób świeckich znakomitego rodu, 90 księży i świeckich zmarniało w więzieniach, 105 katolików skazano na dożywotnie wygnanie, konfiskat majątków i czasowych uwięzień niepodobna wyliczyć. Cóż się dopiero dziać musiało w onem strasznem dwóchleciu 1581—83?

Pomimo to, a raczej właśnie dla tego rosła liczba katolików z dniem każdym; w samym Londynie było 10.000 znaczniejszych. Campian ogłosił w tem mieście książkę w 20.000 egzemplarzy, „książkę złotą, prawdziwie palcem bożym napisaną“ pod tytułem: *Rationes decem redditae Academicis...* Katolicy zarówno jak protestanci w lot ją rozchwycili. Oslabiła ona i zachwiała przekonania wielu Anglikanów, prawdę katolicką wykazała w niezrównanem świetle. Imię Campiana uwielbiali nawet różnowiercy. Tem gorzej dla niego; królowa wyznaczyła wysoką cenę na jego głowę. Jednej nocy odrazu we wszystkich domach podejrzanych o katolicyzm urządziła wysoka komisya z armią szpiegów i siepaczy rewizyę i formalną obławę na niego. Z równą zawziętością polowano na O. Persons'a. Obadwaj ocaleli, ale obławy te nocne wykryły kilkunastu innych księży świeckich i jezuitę Aleksandra Briant'a, których wtrącono do wieży londyńskiej, dręczono torturą, a potem w różnych odstępach czasu wieszano i ćwiertowano. Dlatego obadwaj ustąpili na czas jakiś z Londynu. Persons wrócił do Francyi, szermierzł piórem z prześladowcami katolicyzmu w swej ojczyźnie, wnet jednak zapadł w chorobę nieuleczalną i życia dokonał 1584 r. Campian schronił się w pobliskim zamku Lyford u rodziny Yates. Tam zdradą apostaty Jerzego Elliota dostał się w ręce „wysokiej komisyi“.

Dnia 22 lipca 1584 r. wśród tłumów ludu, zebranych do Londynu na jarmark, wprowadzono więźnia na wysokiej chudej kobyle, z związanemi w tył rękoma, w olbrzymim kapeluszu na gło-

więźnia przed sąd. Wszystkie więzienia wieży londyńskiej były podobnie ciasne i brudne; więźniów nie wolno było odwiedzać lub dawać im jałmużnę, poprzestawać musieli na chlebie i wodzie popsutej. Oto ludzkość dziewiczej królowej wyspy świętych.

wie, na którym czytano napis: „Edmund Campian, buntownik Jezuita“. Z tysiąca piersi odezwały się okrzyki zgrozy to na Elżbietę, to na Campiana. On uprzejmym uśmiechem i skinieniem głowy witał wzburzone tłumy. Zjawił się i zdrajca Elliot aby uczestniczyć w tryumfie swej pani. Spostrzegłszy go tłumy, zapomną o Campianie, rzucają się wściekle na zdrajcę, wołając: „precz z Judaszem“. Obity i oplwany, uniósł życie na to, aby je rozpustą zakończyć: wszy go żywcem stoczyły. Campiana przetrzymawszy 9 dni w ciasnym lochu, stawiono przed sąd, pojawiła się i królowa: „uznajesz mnie królową Anglii“? zapytała — „Tak“ odparł Campian — „Zgoda więc: życie, wolność, fortunę i zaszczyty spłyną na ciebie, tylko chciej mi być wiernym sługą“. — „Będę zawsze twoim poddanym, odparł więzień, ale pierwszej nim Anglikiem, jestem chrześcijaninem i katolikiem“. Królowa odeszła z gniewem. Campiana badano na torturze trzy razy, zdjętemu z tortury pierwszej kazano toczyć uczone teologiczne dysputy z ministrami angielskimi. Ledwo dowlókl się Campian napół żywy z sali tortur do kaplicy wieży londyńskiej i usiadł na katedrze, wznosił w górę ręce, okazując powyciągane ze stawów, zczerniałe i krwią zaszeł palce. Zamilkły od zgrozy tłumy, dozorca tortur Opten, przerywając złowrogą ciszę, zawołał: „ledwo go dotknięto“. — „Ja bym o tem mógł coś więcej powiedzieć, odparł z spokojem Campian, tyś tylko komendę dawał, jam cierpiał“. Dysputa skończyła się wygraną Campiana; przyznaje to urzędowy historyograf Elżbiety Camden; pomszczono ją tem srożej w sali tortur, paznogcie mu żywcem wyrrywając.

Z Campianem jęczało w więzieniach trzech innych misjonarzy Jezuitów i kilkunastu świeckich kapłanów. „Wysoka Komisya“ upewniała ich że Campian, wzięty na torturę, wyśpiewał wszystko i przeszedł do obozu królowej — oni milczeli; brano więc ich także kolejno na męczarnie. Ojca Cottam badano dwa razy „córką Scavingera“.

Pytania Wysokiej Komisji, zadawane w śledztwie na torturach i potem w sądzie, obracały się głównie koło dwóch punktów: „Kto ciebie tu przysłał, kto cię przechowywał, wymień osoby, z którymi miałeś jakąkolwiek styczność“, to pierwsze. „Uczciwi ludzie podobnych pytań nie stawiają, ani na takowe odpowiedzi nie dają,“ brzmiało wyznanie więźniów. Badano dalej: „Czy uznajesz Elżbietę

za prawowitą królowę, co wiesz o spisku na jej koronę i życie i jaki w nim udział wzięłeś?“ — Nadmienić należy, że lubo ekskomunika Piusa V. dotykała także tych, którzyby Elżbietę królową Anglii uznawali, to jednak Grzegorz XIII. zniósł tę klauzulę i misyonarze jezuiciy zarówno jak świeccy uznawali już ze spokojnem sumieniem Elżbietę za prawowitą monarchinię. Rzeczywistego spisku na detronizacyą i życie Elżbiety pomiędzy katolikami Anglii nie było nigdy. Wstyd jednak było „dziewiczej królowej“ i jej komisjom dręczyć i zabijać kapłanów za odprawianie mszy św., lub udzielanie sakramentów św., chociaż nie-cne prawa karę śmierci za to wymierzały; należało więc prawdziwych męczenników wiary przestroić koniecznie w politycznych zbrodniarzy i wobec swego ludu zarówno jak wobec obcych dworów heretycką srogość osłonić polityczną koniecznością obrony tronu przed zdrajcami stanu. Rozumieli dobrze ten manewr więźniowie, i tak w śledztwie jak w trybunale sądowym kładli nacisk na to, że uznają królewską ale nie kościelną władzę Elżbiety, że nigdy na życie jej lub tron nie stawiali, że jeżeli ich badać, sądzić i karać należy, to na podstawie istniejących praw anti-katolickich i wtenczas chętnie przyznają się, że są katolickimi kapłanami, że Papieża uznają za głowę Kościoła, że mszę św. i sakramenta sprawowali, że tego nie żałują wcale i poprawy na przyszłość obiecać nie mogą. Rzecz jasna, że na tej podstawie nie prowadzono śledztwa, a ponieważ politycznej winy znaleźć nie można było, przeto na sądzie przysięgłych zapadał wyrok śmierci, bez dowodów. Oburzało się tą frymarką sprawiedliwości sumienie publiczne. Campian i jego towarzysze zyskiwali coraz więcej szacunku i współczucia w masach. Dnia 14 listop. stawiono przed trybunał przysięgłych, jako zbrodniarzy stanu, ośmiu kapłanów z Jezuitami Campian'em i Cottam na czele; w dwa dni potem taki sam sąd złożono na Jezuitę Briant'a i pięciu świeckich kapłanów; 20 list. 1581 r. zapadł na wszystkich wyrok śmierci przez powieszenie. Aby przysporzyć ludowi uciechy, egzekucya ta straszna odbyła się na kilka zawodów: Campian, Skerwin i Briant 1 grudnia 1581 r., Cottam i trzech inni kapłani straceni zostali 30 maja 1582, wytrzymawszy przedtem torturę córką Scavingera.

Milionowy tłum, między nim tysiące katolików, zgromadziło

się na polu egzekucyi na Tiburnie. Rzędem sterczały szubienice; na gałęziach ciągnionych chudą szkapą przywleczono na pół żywych wskutek tortur skazańców, którym wolno było urągać i znieważać czynnie, a z tej wolności korzystały okrótniejsze serca. Campian według zwyczaju angielskiego, stojąc już na drabinie szubienicy, jał przemawiać do ludu. Przerwano mu, zdołał tylko raz jeszcze zatwierdzić swoją niewinność w rzekomym zamachu stanu i stałość swą w wierze katolickiej. Powieszono go i wnet powróż przecięto, aby żywcem go ćwiertować. Nie dopuścił tej katuszy stojący obok admirał floty Howard; Campiana ćwiertowano gdy ducha wyzionął, dwóch innych żyjących jeszcze. Pod wrażeniem, że zamordowano niewinnych, rozeszły się milcząco tłumy do domów, coraz częściej i śmielej z ust samychże Anglikanów wyrwały się słowa zgrozy i potępienia na sąd krzywoprzysiężny i srogość królowej. Ministrowie dworów donosili z oburzeniem swoim monarchom o „tolerancyi“ angielskiej, „stokroć sroższej, jak srogość inkwizycyi hiszpańskiej“; dyplomacya poruszyła się; nawet nasz król Stefan na prośbę polskich Jezuitów wstawiał się za skazańcami i nie całkiem bez skutku. Wobec tego głosu potępienia opinii publicznej Elżbieta czuła potrzebę usprawiedliwienia się i ogłosić kazala apologią swoją p. t. *Iustitia Britannica*, której kłamstwa zbili punkt po punkcie bawiący w Reims O. Persons i rektor angielskiego tamże kolegium, późniejszy kardynał Allen. Równocześnie jednak więziła dalej, dręczyła i śmiercią gubiła katolickich kapłanów i przedniejszych chrześcian.

Katolicy uważali Campiana i towarzyszy jego za wyznawców św. wiary i czcili ich jako męczenników, szczątki ich przechowywano za zezwoleniem Grzegorza XIII. w kosztownych relikwiarzach i w kamieniach ołtarzowych a słynny swego czasu malarz Mikola Circiniani przedstawił roku 1584 dzieje ich męczeństwa al fresco na ścianach angielskiego kościoła św. Trójcy w Rzymie, obok onych wielkich męczenników z pierwszych wieków chrześcijaństwa w Anglii. Obrazy zniszczyła pod koniec przeszłego wieku bezbożność wojsk francuskich, zamieniając ów kościół na stajnię, ale spiżowe modele tych fresców pozostały. Czytamy na nich napis: „Cierpienia świętych męczenników, którzy za Chrystusa i w obronie katolickiej wiary podczas prześladowań w dawniejszych i nowszych

czasach śmierć w Anglii ponieśli“. Tych męczenników z czasów Henryka VIII. i Elżbiety po rok 1582 podano imion i nazwisk 54. Drobną to tylko częśćka martyrologium angielskiego. Za samej Elżbiety od 1583—1603 skazano na śmierć do półtysiąca katolików.

Nieszczęsny spisek prochowy, roku 1605, pogorszył jeszcze smutną dolę katolików. Przez cały wiek XVII. zarówno pod samowolnemi rządami Karola I. jak pod republiką Oliwiera Cromwell'a i konstytucyjną monarchią nierządnego Karola II., z wyjątkiem krótkich rządów (1685—88) Jakóba II., trwają w całej swej sile i mocy krwawe prawa przeciw katolikom. Nawet owa tyle sławiona dla swego umiarkowania i liberalności konstytucya angielska, która ustawą *Habeas Corpus* 1679 r. w nową weszła fazę, przez całe jeszcze sto lat nie była w stanie zdobyć się na wymierzenie katolikom sprawiedliwości, ale straszne owe „prawa karne“ w całej swej grozie przechowała. Przetrwały one niemal aż do końca XVIII w., podtrzymywane żądzą supremacyi państwa nad sumieniami i sekciarską nienawiścią. Dopiero za dni naszych 1823 r. ogłoszono zupełną wolność Kościoła katolickiego w Anglii.

Tego mu tylko było potrzeba, aby rozwinął się szybko i rozrósł do wspaniałych rozmiarów. Anglikańskie wyznanie, niedołężny zlepek z katolicyzmu, protestantyzmu i kalwinizmu, na trzy zawody rozrywany i znów sklejany, nosiło na sobie wszystkie piętna czysto ludzkiej pracy, nie w szlachetnych intencjach podjętej, a namiętnościami skoszlawionej i zbrukanej. „Do dziś dnia, powiada anglikanin Macaulay, skład nauki i obrządku anglikańskie dochowały widoczną cechę kompromisu, z którego ten Kościół wyszedł. Zajmuje on pośrednie stanowisko pomiędzy kościołami rzymskim i genewskim. Jego wyznania wiary i traktaty przez protestantów układane, wypowiadają teologiczne zasady, którymby sam Kalwin i Knox nie mieli nic do zarzucenia. Jego modlitwy i dziękczynienia, z dawnych brewiarzy zaczerpnięte, po większej części są tego rodzaju, że biskup Fisher i kardynał Poole chętnieby się na nie zgodzili... Kościół anglikański zachował episkopat, nieogłaszając go jednak za instytucję niezbędną do rządzenia chrześcijańskim społeczeństwem, albo też do ważności sakramentów... Wziął sobie katolickie liturgie, ale przełożył je na język

narodowy i wezwał nieuczone tłumy, aby głos swój łączyły z głosem duchownego... Lubo się do żadnej stworzonej istoty o pośrednictwo nie modli, poświęca jednak osobne dni pamięci niektórych ludzi, co wiele zdziałali lub wycierpieli dla wiary. Zatrzymał bierzmowanie i święcenia kapłańskie jako budujące obrządki, ale wytrącił je z liczby sakramentów. Spowiedź „do ucha“ nie ma w nim miejsca, ale wzywa on grzesznika umierającego do wyznania win duchownemu i upoważnia sługi swoje do uspokojenia uchodzącej duszy przez absolucję. Układacze tych ustaw stali częstokroć między sobą, a niekiedy sami z sobą w sprzeczności... Zgorszenie wzmogło się jeszcze przy wstąpieniu na tron Elżbiety. Potworną zdawało się rzeczą, ażeby kobieta piastowała najwyższe kapłaństwo Kościoła, w którym jeden z apostołów nie pozwalał jej nawet zabierać głosu...¹.

Habemus confitentem reum. Zlepkowi temu, drogą kompromisu dokonanemu, nie dostawało nietylko sankcyi wyższej, boskiej, ale prostej loiki. To też skoro opadły więzy krepujące, katolicki Kościół o boskim początku i boskiej sankcyi i nieodblaganej loice zasad i obowiązków, wnet wszystkie głębsze umysły i gorętsze serca, którym anglikański zlepek wystarczyć nie mógł, zwrócił ku sobie. Nawrócenia lordów i ludzi warstw wyższych mnożyły się z każdym rokiem, krocie misyonarzy pracowało nad wskrzeszeniem tyle wieków ujarzmionej wiary; dźwigały się z fundamentów wspaniałe świątynie i ubogie kaplice, klasztory i instytucye pobożne, a w drukarniach Londynu, Oxfortu i Yorku wychodziły zpod prasy znakomite dzieła głoszące dogmata i ascezę katolicką, opowiadające dzieje męczeńskie pierwszych chrześcijan, zarówno jak wyznawców tejże wiary z czasów Henryka VIII., Elżbiety i Stuartów. Za rządów wielkiej pamięci Piusa IX. katolicyzm w Anglii rozrósł się w takie rozmiary i uzyskał taką swobodę praw obywatelskich, że papież ten, znosząc dotychczasowy jego ustrój misyjny, nadał mu według kanonów kościelnych zupełną hierarchię duchowną i urzędzenia dyecezyalne, jakto dawniej przed erą reformacyjną na „wyspie Świętych“ bywało.

Dzisiaj, gdy te karty piszę, kościół katolicki w Anglii i Szko-

¹ Dzieje Anglii t. I. Wstęp.

cyi liczy 3 arcybiskupstwa, 21 biskupstw, 1610 kościołów i kaplic, 2599 kapłanów i 2 miliony wiernych. Pięciu katolików zasiada w parlamencie, jeden na ławie ministrów, pierwsze urzędy w kraju i dygnitarstwa stoją im otworem, zakonne i religijne zgromadzenia pracują swobodnie w kościele i szkole, wolność prasy i wolność stowarzyszeń w całej pełni im zabezpieczona. Nawet towarzysze zakonni Campiana z krajów katolickich jak Włochy i Francya prześladowani i wywołani, w Anglii liczą 19 kolegiów i naukowych zakładów, i 596 osób; a jakby na uwieńczenie dzieła odrodzenia się katolicyzmu w Anglii, ogłasza w imieniu Leona XIII. św. Kongregacya Obrzędów beatyfikacją 54 męczenników angielskich, tych właśnie, którzy za Henryka VIII. i Elżbiety w obronie wiary na rusztowaniu zginęli.

Historia magistra vitae, mistrzynią życia historia. Co się dziś dzieje w Niemczech, we Francyi, w tylu innych krajach — prawa karne wyjątkowe przeciw katolikom, przelanie władzy papieskiej na państwo, zamienienie biskupów w urzędników państwa, rozpędzanie zakonów, zwijanie seminaryów duchownych lub zamienianie ich na państwowe instytucye, uznawanie wszystkich katolików za niebezpiecznych państwu, za *staatsgefährlich* — dla tego że kładą granice swej uległości i mówią: więcej trzeba słuchać Boga niż ludzi — wszystko to praktykowało się lat 300 temu w Anglii; a nadto były szubienice i tortury „konika“ i „córki Scavingera“ — które dziś zapewne nie powrócą. Skoro więc te wszystkie środki gwałtu nie stłumiły katolicyzmu w Anglii, ale on z tej półtrzeciwiekowej walki wyszedł odrodzony i większego jeszcze rozwoju nadzieję ma na przyszłość, to ta sama siła analogii wnosić każe, że i dzisiejsze prześladowania katolickich społeczeństw nie zdławią w ich łonie ani tego Kościoła, ani tych tradycyj i uczuć, które na gruncie tego Kościoła wyrosły, na nim się oparły i z nim się ściśle spoiły. Spełnić się na nich muszą słowa Chrystusowe: *Na świecie ucisk mieć będziecie, ale ufajcie jam zwyciężył świat.*

Ks. St. Załęski.



MŁODE LATA KSIEDZA STANISŁAWA CHOŁONIEWSKIEGO.

Osobisty przyjaciel a gorący wielbiciel Ks. Chołoniewskiego, J. I. Kraszewski, pisząc jego nekrolog w *Athenaeum*, tak się wyraził: „Przekonany jestem, że jako kapłana, jako pisarza nieoceniono go należycie, nie oddano mu sprawiedliwości, lecz przyjdzie „chwila, że naród nasz spłaci na grobie dług zaciągnięty, za życia“. Jak w kilka tygodni po śmierci, tak i dziś jeszcze możnaby te słowa powtórzyć, a powtórzyć z tym większym żalem, że istotnie przesłizną jest postać tego znakomitego pisarza, ale lepszego jeszcze chrześcijanina i kapłana, który jak w swoim czasie, tak i dziś może być stawiony za przykład nie tylko wrodzonych nauką spotęgowanych zdolności, lecz bardziej jeszcze obywatelskiej i kapłańskiej cnoty. Mając w ręku bardzo obszerną korespondencję Ks. Chołoniewskiego, liczne jego pamiątniczki i notatki, słowem wszystkie papiery, przechowane po jego śmierci przez najbliższą rodzinę¹ — pokuszę się na ich tle skreślić obrazek tego życia pełnego zasług, a jeśli się nie mylę, to pod niejednym względem nadzwyczaj ciekawego. W ten sposób odżywiając wspomnienia tych, którzy

¹ W skład ich wchodzi trzynaście książek oprawionych in 4-to z korespondencją, notatkami, pismami literackimi, kazaniami i t. d.; pięć książek in 8-to podobnej treści; nadto kilkanaście nieoprawnych kajetów i paseset listów do wyliczonych książek nie wciągniętych. Te wszystkie papiery dostały się od rodziny Ks. M. Morawskiemu.

Czego w pismach wyczytać nie mogłem i skombinować nie umiałem, tego dopełniły cenne, z nadzwyczajną uprzejmością dane mi wskazówki od tych, którzy bądź sami znali jeszcze Ks. Chołoniewskiego, bądź związkami krwi lub przyjaźni z domem jego złączeni, żywo i z miłością piękną tę postać polskiego kapłana i ważniejsze szczegóły jego życia przechowali w pamięci.

Ks. Chołoniewskiego osobiście znali, lub tradycją cenne jakie przechowali szczegóły, zbliży się może chwila, w której „nasz na-
„ród spłaci na jego grobie dług, zaciągnięty za życia“.

I.

Zamek Janowski. — Śmierć matki. — Podróż do Petersburga. — Lwów i Karlsbad. — Sejm warszawski. — Kontrakta kijowskie. — Urzędnik-dyplomata.

Między Lityniem a Winnicą, przy ujściu do Bohu rzeczki Śniwody leży małe miasteczko Janów, obok którego wznosi się niegdyś obronny, a i dziś jeszcze, jak widać na rysunku Ordy, wspaniale przedstawiający się raczej zamek niż pałac, stare gniazdo dobrze ojczyźnie zasłużonej rodziny Chołoniewskich. Pod koniec zeszłego wieku panem Janowa i przynależącego doń klucza z ośmiu wsi złożonego, był Rafał Myszkowski, miecznik koronny¹, kawaler orderu św. Stanisława, starosta Dubiecki i Lityński. Około r. 1785 poślubił pan miecznik młodszą Katarzynę Rzy-szczewską, a związek ten pobłogosławił Bóg czworgiem dzieci, z których ostatni Stanisław, bohater naszego opowiadania, przyszedł na świat 23 marca 1791 r. Jeszcze Stanisław był w kolebce, kiedy straszny wypadek wydarł mu matkę, dopiero dwadzieścia pięć lat licząc; ogień na kominku rozpalony zajął białą jej suknię i nieszczęśliwa żywcem spłonęła, wzywając w okropnej tej, ostatniej chwili błogosławieństwa Bożego nad swemi dziećmi, i polecając je opiece Najświętszej Panny, do której obrazu wyciągała przepalone ręce.

Nad sierotami: Emilią, późniejszą małżonką gubernatora Mi-kolaja Grocholskiego, Jędrzejem, Cecylią i Stanisławem objęła ma-cierzyńską prawdziwie opiekę, rezydująca stale w Janowie, Pisa-rzówna Scholastyka Budziszewska, typ owych rezydentek, co w tyłu polskich domach tak ważną i pożyteczną odgrywały rolę, kobieta zaradna, pobożna, bardziej starająca się o dobro miecznika i o jego dzieci, niż o swoje własne. Pisarzówna obecna była tragicznej śmierci młodej miecznikowej; widząc że ogień ogarnia coraz szybciej nie-

¹ Miecznikowstwo wziął po Franciszku Grocholskim († 1792).

szczęśliwą, pobiegła po wodę, ale skoro wróciła już było zapóźno. Miłość dla matki przeniosła pocziwa ta z gruntu kobieta na dzieci i starała się zaszcześcić w nie zasady, których piękny ślad pozostał w zdaniu jej ręką napisanem: „Czyń dla Boga to, co święci czynili, a będziesz miała nadgrode świątych“, i w wierszyku nie bardzo harmonijnym, ale pocziwą myślą natchnionym:

Kochać swą ojczyznę
Dług Polaka święty;
Każdy z innym zdaniem
Niech będzie przeklęty.

Obok „Luni“, jak Pisarzównę pieszczotliwie nazywano, piastowała małego Stasia, starsza już wiekiem a nadzwyczajnie pobożna niańka, Józefina, która nieraz przy kolebce dziecka całe noce spędzała na modlitwie, ostro pościła, nosiła włósiennicę, a później w klastorze Benedyktynek zupełnie się Panu Bogu oddała na służbę. Dziecinne lata, zabawy i otoczenie skreślił Ks. Stanisław w niedokończonym niestety, jak tyle innych utworów jego pióra, Wyjątku z dziennika życia mego¹, w którym, choć pod innymi imionami i z kilku umyślnie zmienionymi okolicznościami, wyraźnie przecież przeziiera obraz życia w Janowie, w czasie, w którym pamiętnikarz jak się wyraża był ośmio lub dziewięcioletnim „pędrakiem“... „malec czerstwy, lubo delikatnego zdrowia, mało mówiący i smutnej fantazyi“. Na tę „smutną swą fantazyę“ nie przestawał Ks. Chołoniewski skarżyć się w poufnych listach aż do śmierci; czytając jego pisma, przeznaczone dla szerszej publiczności, trudno byłoby domyśleć tej skłonności do melancholii, gdybyśmy nie wiedzieli, że jest ona nieraz udziałem ludzi pozornie najweselszych i najdowcipniejszych.

Gdy Staś nieco podrośł, kierunek nad jego naukami objął ojciec znanego dobrze w literaturze naszej, a również w Janowie zrodzonego, Stefana Witwickiego, byłego rektora szkół Winnickich. Z tej epoki życia przechował się tylko spory stos papierów z napisem: Szczątki dziecinnych zatrudnień; rzecz prosta,

¹ Pisma pośmiertne Ks. St. Chołoniewskiego. Lipsk 1851. Tom I. str. 7—46. W rękopiśmie wiele imion i nazwisk przemazanych, a na to miejsce wstawione inne.

że w niemieckich czy matematycznych zadaniach, a nawet w wypracowaniach polskich nie trzeba szukać śladów genialności mistrza lub ucznia. Ale stosunek z Witwickim raz zawiązany, nigdy się już nie przerwał, i z ojca przeszedł na syna Stefana, który później, mając więcej stosunków i wpływów w świecie księgarskim, ułatwiał dawnemu uczniowi swego ojca, wydawanie napisanych dziełek¹.

Kursa uniwersyteckie odbył Stanisław w Wilnie, uczęszczając głównie na prelekeye prawa; miłe mu z tych czasów zostało wspomnienie o Malewskim, obu Śniadeckich, pocziwych kolegach, wesołych zabawach i figlach. Gdy w siedem czy osiem lat później znów na kilka tygodni zawitał do Wilna, nie omieszczał odwiedzić „szkolnych zakątków”: tyle rzeczy na pamięć nasuwającego mu uniwersytetu, domku w którym mieszkał, kościoła Bernardynów, w którym widać najchętniej się modlił. Po ukończeniu studiów odbył bardzo krótką służbę wojskową², wysztyftowawszy swym kosztem chorągiew, której został porucznikiem, a r. 1810 odnajdujemy go znów na Podolu krzątającego się koło majątkowych interesów, w żywej korespondencyi ze szwagrem Mikołajem Grocholskim, z którym dnia każdego coraz bardziej zacieśniał węzły braterskiej, chrześcijańskiej przyjaźni.

Dwudziestoletni młodzieniec, pożegnawszy się z uniwersytetem, nie pożegnał się raz na zawsze z książkami. Przeciwnie, korzystając z wolnych chwil, zajął się studyowaniem głównie francuskiej i niemieckiej literatury, a obszerne wypisy pochodzące z tego czasu z *Wallensteina*, *Don Karlosa*, *Messyady Klopstocka*, *Voltaire'a*, kazań *Massillona*, *Cicerona* „De inventione“, z „Pamiętników“ *Duclosa* i nawet z sądowych rozpraw znakomitszych mowców francuskich, wskazują, że studjum to brał na seryo, choć bez przewodnika, bez oznaczonego z góry kierunku, błąkał się na chybił trafił, a tylko pomocy Bożej i dobrym tradycjom rodzinnym był

¹ Tak np., posyłając Bobrowiczowi w Lipsku: Artykuł nadesłany, Obraz z Galeryi życia mego, zachwalał Witwicki niepodpisanego tą razą X. Chołoniewskiego, jako liczącego się do „znakomitych i pierwszego dziś rzędu pisarzy polskich... Spuść się z ufnością na moje szczęście — i drukuj chętnie!”

² Wspomina o tem Kraszewski w nekrologu X. Chołoniewskiego. *Athe-naeum*. Oddział VI., Zeszyt VI., str. 7.

winien, że się nie puścił na zupełne manowce. W całym tym lesie różnorodnych zapisków nie znajdujemy ani jednego polskiego autora, korespondencyę prowadził w tym czasie prawie wyłącznie po francusku, a gdy się jaki polski frazes zabłąkał, to zazwyczaj z gramatycznym, a przynajmniej z ortograficznym błędem. Za to później kiedyś nie miało być dowcipniejszego satyryka nad X. Chołoniewskiego, na ludzi chcących wszędzie, potrzebnie czy nie potrzebnie francuskim językiem błyszczeć, a wprowadzających do polskich domów, wspólnie z francuską oglądą i językiem, lekkie obyczaje i encyklopedyczne zasady.

Umysłu żywego a z natury wyższego nie mogło zadowolnić i napęlić dość monotonne życie w Janowie, przerywane wycieczkami do Kijowa, okraszone czytaniem niemieckich i francuskich poetów, ale bez ściśle określonych celów i obowiązków. Głównym zarządem gospodarstwa trudnił się sam Miecznik, zostawiając synowi pewne tylko podrzędne czynności do załatwienia. Do urobienia sobie samoistnego planu życia i zatrudnień był Stanisław za młody i za niedoświadczony, a tak, rzecz prosta, że pewna czechość, nieokreślony jakiś smutek, znalazł doń przystęp. Zabawy nie zmniejszały tego melancholicznego nastroju, lecz raczej go potęgowały, brak szczerości w światowych stosunkach, gniewał go i oburzał: „Wracam z wieczora... pisał w swem *Silva rerum*, naturalnie po „francusku, pod datą 18 marca 1811 r. Śmiało powiedzieć mogę, „że wszyscy śmiertelnie się nudzili. A przecież urządzano gry i to „najrozmaitsze... Napróżno mi prawią, że ten świat jest błyszczącą „sceną, na której każdy aktor wystroić się musi w odrębny ubiór „i maskę. Nie chcę o tem i wiedzieć, a jeśli to prawda, to w mo- „ich oczach bardzo smutna prawda. Jakże posępny przedstawia mi „się obraz człowieka rzuconego w wir świata, z którym jednak za- „ledwie pierwszą zawarłem znajomość. Nie wiem, jakem doszedł do „takich myśli. Może to niepotrzebna i nierozsądna bojaźń, abym „sam się kiedy nie stał przedmiotem podobnych uwag. Bądź co „bądź, myśląc o tem, krew mi bije do głowy. Kiedy uczono mię „nauki moralności, powiedziano mi, że jedną z cech właściwych „serca ludzkiego, jest miłość wszelkiego dobra. Doszedłszy dziś do „wieku, w których zdać sobie mogę sprawę z mych uczuć, zdaje „mi się, że właściwą cechą serca pocziwego jest miłość prawdy,

„i że jeśli szczerłość nie zawsze i nie koniecznie czyniła człowieka „wielkim, to niemal zawsze zachowywała go od występku. W tym „względzie słucham głosu własnego serca, a choć mi sumienie wyrzuca, że nie raz nie zastosowałem się do tej świętej zasady, to „jednak głęboki żal, jaki później czułem, dowodzi mi jak zawsze „brzydziłem się obłudą i fałszem. Jedyna to pochwała, którą mogę „sobie przyznać i jedyna ma pociecha“.

W słowach tych uderza dziwne zastanowienie na wiek tak młody, widać, w jakim kierunku płynęły myśli dwudziestoletniego myśliciela, a choć późniejszy X. Choloniewski, odczytując te wyznienia, pewnie pobłażliwie się uśmiechał, to przecież zarysowuje się już w nich piękny, przeźroczysty jak woda jego charakter. Zresztą, bardzo dlań szczęśliwie, rozmaite interesa rodzinne i majątkowe nie dozwoliły zbyt zatapiać się w marzycielstwie, nie dozwoliły nawet gonić myślą za jakąś „ukochaną“, o której zresztą niebawem nie będzie już wzmianki, lecz wcześniej hartowały siły do twardej walki życia. Pod koniec r. 1811 interesa popędziły go do Lwowa, a w kilka miesięcy później, gdy przez „hebrajskich kuryerów“ dowiedziano się dokładnie w Janowie, że niedobitki świetnej niegdyś armii francuskiej opuściły już granice rosyjskie, podążył do Petersburga starać się o uwolnienie ciotki, Honoraty Rzyszczewskiej, uwięzionej wśród zawieruchy wojennej, a jeśliby było możliwem, to i o zwrot pieniędzy, wyciśniętych z dóbr Janowskich przez wygórowane kontrybucye.

Po sześciomiesięcznych zabiegach w stolicy rosyjskiej, w czasie których „chwile nadziei mieniały się wciąż ze zniechęceniem, a wiele było bardzo przykrych godzin“¹, mógł Stanisław donieść ojcu i krewnym, że udało mu się głównie dzięki pośrednictwu ciotecznej swej siostry Maryi Naryszkinowej, uzyskać wypuszczenie ciotki na wolność, choć pod ciężkim warunkiem, aby syn jej Gabriel pułkownik zaciągniętego własnym kosztem pułku ułanów polskich opuścił służbę wojskową. Tego samego szczęśliwego poranku, w którym długie starania zostały uwieńczone skutkiem, kuryer wysłany od ojca, przywiózł Stanisławowi cały pakiet listów i 500 rubli od szwagra, zasilek bardzo potrzebny w „tym czasie nędzy

¹ Do *Mikołaja Grocholskiego*. Petersburg 1 listopada st. st. r. 1812.

i biedy“. „Czemu dziś właśnie? — zastanawia się młody marzyciel, jakby zarażony mistycyzmem zaczynającym się już szerzyć w Petersburgu — czemu nie przedtem? czemu nie przed kilku miesiącami? Odpowiem ci poprostu, że tego nie wiem, że tego nikt nie wie, że nie wie nawet tego owa potężna osoba, która zlitowała się nad ciotką“. Bądź co bądź, najgłówniejszy interes został załatwiony; co do innych trudniejsza była sprawa. Sam Stanisław bynajmniej się w tym względzie nie łudził. „Otrzymałem, pisał dalej w tym samym liście do Grocholskiego, twe przedstawienie do ministra policyi; zrobię co będę mógł, ale jeśli mam z Tobą mówić szczerze i poprostu, to nie spodziewaj się żadnego skutku z tego kroku i zadowolnij się tem, żeś spełnił swój obowiązek... Papa niech także pomyśli, iż ja mogę tylko mówić o zabitych koniach i o zabranych wołach, kiedy tutaj słyszę wciąż o ruinie jednego z największych miast europejskich (Moskwy), o drogach zawalonych trupami, o milionerach chodzących z torbą żebracza, o przeszło 700 wiorstach pięknego kraju obróconego w perzynę, gdzie nie znajdziesz innego pożywienia, prócz trochę zimnej wody zmieszanej z popiołem. A to nie deklamacya!.. *Mun hat die grossen Uebel verschmerzt, desto mehr wird man nicht auf die kleineren achten.* Oto mój sposób widzenia. Mogę się mylić, i dla tego rościć nie przestanę, co tylko będzie w mej mocy. Zresztą przywykłem już do napastowania ludzi, o których zdaje mi się, że posiadają pewien wpływ. Nudziłem ich przez sześć miesięcy; czemuż nie miałbym ich nudzić przez kilka następnych tygodni“.

Taktowne postępowanie młodego Chołoniewskiego dobre zrobiło wrażenie: pragnąc go zatrzymać w Petersburgu ofiarowano mu urząd szambelana dworu, a choć Stanisław na razie od godności tej się wymówił, to przecież widząc, że zwłaszcza wobec nowych planów względem Polski, kielkujących na petersburskim dworze, do niejednego dobrego wpływu swym i stosunkami mógłby się przyczynić, zaczął już teraz ważyć się z myślą, czy nie poświęcić się stanowczo państwowej lub dworskiej służbie. „Ale to projekt tylko, ostrzegał Mikołaja, nie gadaj więc o nim, aby złym językiem przed czasem cugli nie popuszczać. Przedewszystkiem strzeż się wiele mówić o pomyślnym wietrze, który zawaiał dla naszych rodaków. Trzeba cenić dotychczasowe łaski, ale ponieważ byćby mogło, że

„są one tylko poprzednikami innych ważniejszych... Mój drogi „Mikołaju, radzę ci jako memu najserdeczniejszemu przyjacielowi, „licz na lepszą przyszłość, a staraj się o ile możesz, umysły do tego „przygotować“. Na wszelki wypadek ułożył nawet Chołoniewski cyfrowany alfabet, dla pewniejszej korespondencji z Mikołajem, dodając tajemniczo: „Wkrótce tego sam znajdziesz potrzebę; to jest „najkrótsza i najpewniejsza droga; więcej nie mogę mówić“. Najkrótszej tej i najpewniejszej drogi nie znajdujemy już więcej śladu; prawdopodobnie roztropniejszy Grocholski wyperswadował przyjacielowi, że cyfrowana korespondencya mogłaby tylko obu skompromitować, i że zupełnie jest zbyteczną. Różne reformy i łaski jeszcze nastąpiły, ale pchnięte zdarzeniami lat następnych weszły podobno na nieco odmienne tory, niż te, o których bezpośrednio po kampanii 1812 r. gawędzono w petersburskich salonach i gabinetach.

W salonach petersburskich młody, przystojny Polak mile był bardzo widziany. Zapraszano go na bale, na wieczory, a zapraszano tak często, że jak wreszcie wyznawał:¹ „Zaczynam się nudzić nową „mą światową karyerą, i chciałbym się z nią niezadługo pożegnać“. Jakaś „piękność o oczach Uranii“ zaczęła się zwolna wkradać raczej do żywej wyobraźni, niż do serca Chołoniewskiego, a co gorsza — sama zakochała się w nim na zabój. O mało co nie przyszło do bliższych wynurzeń; ale widać nie była to partya dla Stanisława stosowna, kiedy później niemile zawsze wspominał te „szalone swoje błazeńskie“ czasy, i dziękował Bogu, że nie dozwolił waryackiej wyobraźni zaprowadzić go na manowce. Pod koniec grudnia wybrał się wreszcie z powrotem do domu, wioząc najrozmaitsze prezenta dla krewnych i przyjaciół, rad że zbliża się do Podola, ale nie bez pewnej przed sobą samym starannie ukrywanej nadziei, że niezadługo na stalszy pobyt zawita do stolicy i wejdzie może w trwalsze stosunki z „piękną par excellence“, której obraz przez kilka jeszcze miesięcy w fantazyi jego pokutował. Ciepła atmosfera domowa, przyjacielskie rady Grocholskiego, który przedstawił mu niestosowność a może i niemożliwość urojonego związku, wypędziły wreszcie ten obraz z głowy i skierowały myśli na wyższe, poważniejsze przedmioty.

¹ *Do Mikołaja i Emilii Grocholskich*. R. 1812. Prawdopodobnie w grudniu.

Stanisław, choć zaledwie spotkał się z szerszym kołem ludzi, nasłuchiwał się dosyć wyczytanych z Voltaire'a dowcipów, i z Rousseau'a zarzutów przeciw religii, ani na chwilę w wierze się nie potknął, ale też nie wgłębiał się w jej piękności, a zadowalniając się w młodocianych latach tradycyjnie wykonywanymi religijnymi praktykami, nie myślał o wyższych stopniach życia z wiary. Pierwszy Grocholski, jeszcze przed wyjazdem Stanisława do Petersburga, odezwał się doń: „Przyjacielu postąp wyżej!“ Zaproszenie nie przebrzmiało na próżno. „Jestem teraz, mój drogi, spowiadał się Stanisław przyjacielowi¹, jak ów wąż Wirgiliusza, który syczy i liże, „przywdziewając nową skórę... Rozumne twe nabożeństwo powiekszy moje. Skądinąd zrobiłem pierwszy krok, aby zostać dobrym chrześcijaninem, i cierpiałem“. Do dalszych kroków przeszkodziła petersburska podróż, ale Grocholski nie dał za wygraną i wnet po powrocie odnowił dawne rozmowy i odświeżył w pamięci powzięte postanowienia. Było to tem potrzebniejszem, że niewygasłe wspomnienia petersburskie, złączone z płynącą po części z nich melancholią i ze zbytnią nieufnością we własne siły, odejmowały Chołoniewskiemu energię i ochotę do pracy nad sobą, a bezwątpienia religijne pobudki najskuteczniej mogły zle przeciąć w korzeniu.

„Wyznać ci muszę, skreślał Stanisław w liście do szwagra „ówczesny stan swej duszy², że nie tylko nie jestem ze siebie zadowolony, ale wprost ścierpieć się nie mogę. Napróżno ciągnę „w nieskończoność rozumowania z rozumowań, jakie zwykle czynią „ludzie w chwilach krytycznych; ostatecznie wszystkie te rozumowania wprowadzają mię w otechłań przykrych i ciężkich wątpliwości. Wychodzę zmęczony, prawie upadły na siłach z tej walki, prowadzonej przez biedny mój rozum, przeciw jeszcze biedniejszemu „sercu. Przypominam sobie często słowa, na które nie zwracałem „uwagi będąc dzieckiem, a które stara Józefina powtarzała nieraz, „donośnym, wyraźnym głosem: „Bieda na ziemi, bieda w sercu, „bieda wszędzie“, i teraz stara Józefina wydaje mi się ze swem „przysłowiem, jakby jaka wyrocznia, a książki jedną po drugiej na „bok odrzucam, bo zdaje mi się, że mieszczą w sobie same głup-

¹ Z Łopatyna, 10 stycznia st. st. 1812.

² Do *Mikołaja Grocholskiego*. Janów 15 paźd. 1813.

„stwa. Oto do czego człowiek dochodzi, kiedy tak jak ja mieszka „na wsi, oddaje się lenistwu, nie ma ani karyery, ani celu, ani „energii“.

Przedewszystkiem brakowało jakiegoś jasno wytkniętego celu życia; energia i karyera jużby się były przy nim odnalazły. Dobrze życzący, zwłaszcza stryjeczny brat Stanisława, Władysław Chołoniewski, nacierali na Miecznika, aby syna przynaglił do powrotu do Petersburga; zachęcał do tego i jadący właśnie z Petersburga do Wiednia de Saint-Priest, który ugrzązłszy po drodze w domu zaprzyjaźnionych ze sobą Podolanów, bardzo gorąco wziął do serca, nierozstrzygnięte jeszcze ostatecznie w Petersburgu procesa i interesa Chołoniewskich i Grocholskich. Saint-Priest dał Mikołajowi Grocholskiemu polecające listy do wszystkich znakomitszych figur petersburskich, do: Tolstojów, Sołtyków, Gallieynów, Dołgorukich, ale rzecz prosta, że nawet obok takich rekomendacyi, obecność w stolicy dobrze widzianego Chołoniewskiego bardzo się mogła przyczynić do pomyślnego rozwiązania majątkowych spraw i rozplątania intryg, jakie niechętni dość już długim a sprężystym choć dotąd stanowczo nie ustalonym rządowi Grocholskiego przeciw niemu zadzierzgnęli. Stanisław w zasadzie podróży tej się nie sprzeciwiał, pragnął bardzo oddać się raz wreszcie stałemu jakiemuś zajęciu, a spodziewał się je znaleźć w Petersburgu, ale tymczasem coraz inne przeszkody odwlekaly cały projekt na długie jeszcze miesiące.

Pierwszą przeszkodą była nieobecność cesarza, zajętego we Wiedniu uspokajaniem Europy po napoleońskich burzach, drugą jeszcze ważniejszą zły stan zdrowia, który na wiosnę 1815 r. zmusił Stanisława wybrać się do Karlsbadu. Droga szła na Lwów; tą razą przypatrzył mu się dokładniej i na samym już wstępie nie odniósł wcale najświetniejszego wrażenia. „Przetrząśnięto mię przy rogatee, „zabrano mi tabakę... mówię ci, że tysiąc i jedna awantur Arle- „kina nie mogły rywalizować pod względem tragiczności z tem, co „ja tu przejść musiałem“¹. Po tygodniowym pobycie stolica Galicyi przedstawiła mu się jeszcze w ciemniejszym obrazie:² „Nie „możesz sobie nawet wyobrazić, jak się człowiek we Lwowie musi

¹ Do *Mikoł. Grocholskiego*. Lwów 22 maja 1815 st. st.

² Do tegoż. Lwów 29 maja 1815 st. st.

„nudzić. Nie można tu skorzystać ani ze względu na *leggiar-deria*, ani ze względu na naukę. Znalazłem tu wielu ludzi pocci-
wych, ale ani jednego człowieka wykształconego a nie zarażonego
„pedanterią. Dzierzkowski jest *omnis homo galicyjski*. Domski jest
„typem nowoczesnego Cicerona. Słyszę go ciągle, jak komentuje
„słowa: *O fortunatam natam me consule Romam*; brakuje jeszcze
„tylko Katyliny, ale szczęściem, jeśli wiek nasz nie rodzi katyliń-
„skich zbrodni, to wydaje jeszcze mniej cnót Ciceroniańskich, wyjąwszy
„chyba gadulstwa. Powiesz mi pewnie, że to *jalousie de métier* ze
„mnie przemawia, ale możebyś zmienił zdanie, widząc mię niemego
„w pośród tej gromady suchych figur, które, z całą możliwą powagą
„i świadomością nieomyślności więcej niż papieskiej, paradują z so-
„fizmatami, lub z tem, co mnie się przynajmniej sofizmatem wydaje.
„... Wszystkim tym panom brak elementarnej znajomości rzeczy
„i ludzi... Rozmawiając o najprostszych w świecie wypadkach, wy-
„prowadzają je zawsze z jakiejś wielkiej sztucznej kombinacji,
„a cały świat polityczny szykują i układają jak partję szachów“.

Obok niezaprzecznego zmysłu spostrzegawczego, znać w tym obrazie ówczesnego Lwowa wielką cierpkość sądu, która pod innymi dopiero wpływami przemieni się w chrześcijańską pobłażliwość dla cudzych wad i wyrozumiałość dla mniej przyjemnych charakterów. Do skreślenia takiego a nie innego obrazu przyczyniły się również niemało zbyt jasne zabiegi różnych rodzin, które, jak gniewał się i żartował sobie Stanisław, „chciałyby zaszczyścić
„mą osobistością wszystkie panny z całego kraju, co wcale się nie
„zgadza z dalszemi memi projektami podróży, a tak mi dokucza,
„że zaczynam żałować, że się jeszcze dotąd nie wyrzekł kawaler-
„skiej wolności“. Wreszcie, w pierwszych dniach czerwca wydobyl się surowy a znudzony cenzor z prawdziwem weselem serca ze Lwowa i po czternastu dniach uciążliwej podróży stanął w Karls-
badzie.

Los prześladował zmęczonego podróżnika. Ledwie zajechał do hotelu i wziął do ręki spis gości karlsbadzkich, uderzyły go nazwiska osób zbyt dobrze znanych mu z Petersburga, a pomiędzy nimi i nazwisko tej, która chwilowo tak żywo wkradła się w młodzieńczą wyobraźnię. W pierwszej chwili sam Stanisław nie umiał sobie zdać sprawy z uczuć, poruszających teraz jego

serce¹. „Jeśli byś mię spytał, czym kontent z tego spotkania, nie „wiedziałbym, co ci odpowiedzieć. Przyjemne i przykre uczucia tak „się ze sobą mieszają, że sam nie wiem, które biorą górę. Jednak, „o ile znam sam siebie, to właśnie z powodu tej walki nie mogę „się tu spodziewać zbyt przyjemnego pobytu. Bardziej jeszcze niż „zdrowia potrzebowałem pokoju serca, ale nieszczęśliwa jakaś „gwiazda, czy raczej kometa ściga za mną bez przestanku“. Pozycya była tem trudniejsza, że petersburscy goście, a zwłaszcza „mała“, jak Chołoniewski nazywał teraz w korespondencyi chwilową panią swych myśli, ani przypuszczać nie myśleli, aby podróżnik nie wiedział o ich pobycie w Karlsbadzie i byli przekonani, że właściwie przyjechał dla nich, a nie dla wód i kąpieli. Tymczasem po paru dniach Chołoniewski przyszedł do umysłowej równowagi: po pierwszym wrażeniu spostrzegł, że chwilowy dawny entuzjazm bezpowrotnie minął, i że obraz w wyobraźni i sercu wykołysany bynajmniej rzeczywistości nie odpowiada, a powodując się uczuciem dobrze pojętego honoru, w rozmowie ze siostrą „małą“ dał jasno do zrozumienia, że żadnych illuzyj uprawniać nie chce i nie może. Zrobienie tego kroku nie mało kosztowało Chołoniewskiego, zwłaszcza ze względu na widoczny smutek „Małej“. „Biedna dziewczyna, żal mi jej, i chciałbym ją z całego serca uzdrowić“. Ale w danych warunkach szczerłość w postępowaniu, była z pewnością dla obu stron najlepszym lekarstwem. To też, zdecydowawszy się na krok stanowczy, wolniej odetchnął: „Dużom w życiu nabredził, zwierzał się szwagrowi, zwłaszcza dużom czasu stracił na kłamliwych snach i marzeniach. Teraz zaczynam się budzić... Przypadek chciał, aby namiętności podniosły się do walki „we mnie, a powiedzieć można, przeciwko mnie! Ugięliśmy się pod „burzą, aleśmy powstali, a tak łączący nas węzeł przyjaźni silniej „się zacisnął. *Gaudeamus igitur*“².

W towarzystwie bawiących w Karlsbadzie Polaków: Winnickiego, Branickiej i kilku innych pań i panów, czas mijał, jeśli nie mile to przynajmniej znośnie. Nie obyło się naturalnie i bez

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Karlsbad, 15/27 czerwca.

² Listy pisane do *Mikotaja Grocholskiego* z Karlsbadu 27 i 28 czerwca, 11 i 21 lipca, 1815.

znajomości mniej przyjemnych. „Przedstawiono mię księciu wirtemberskiemu, synowi króla, który raczył nas obdarzyć przez dwie „godziny swą niemiecką flegmą, a później zniknął“¹. Ale chwilowe te przykrości i nudy nagrodził sowicie dobry skutek karlsbadzkiej kuracji; zadowolony bardzo z tego względu późną dopiero jesienią wybrał się Stanisław przez Wiedeń, Lwów i Brody z powrotem do domu. Długą podróż osładzało towarzystwo Giżyckiego, któremu zwierzył się, że znudzony leniuchowaniem w domu, a czując że, jako troskliwemu o dobro ojczyzny i własnej rodziny, nie wypada mu siedzieć z założonemi rękami, postanowił stanowczo oddać się służbie dyplomatycznej. Jakoż, wpadłszy ledwo na dwa dni do Janowa, popędził natychmiast w pierwszych dniach listopada do Warszawy, gdzie spodziewał się zastać cesarza w powrocie z kongresu wiedeńskiego i ostatecznie wystarać się o przydzielenie do ambasady rosyjskiej w Berlinie, jako w miejscu stosunkowo nie bardzo od Podola odległym. Jednocześnie przywitać miał w imieniu swych współobywateli twórcę kongresowego królestwa wśród z licznemi deputacyami, które ze wszech stron dawnej Polski do Warszawy ściagały.

Sześć dni i nocy tłuc się trzeba było bez wypoczynku, słuchając na każdym niemal popasie niezbyt miłych wieści, że cesarz już podobno Warszawę opuścił. „Ale ponieważ² w podobnych razach „nikt z drogi nie wraca, jechałem wciąż jechałem i, przybywszy do „Warszawy 11 listopada we środę, zastałem Pana, który istotnie „już od jedynastu dni tutaj bawił. Darujcie mi na teraz opis wszystkich uroczystości i wszystkiego co się odnosi do spraw publicznych; wszystko to wam kiedyś rozpowiem w poufnej pogadance „a tymczasem posyłam dla pocieszenia was gazetę, która więcej wam „rzeczy nagada, niż jabym potrafił. Aby wam skreślić krótko obraz „mego położenia, wystawcie sobie piekielne *charivari*, a w niem „biedaka ocierającego się o same prawie obce twarze, tak, że mu „trudno nawet było znaleźć mieszkanie... Przyjaźń z Giżyckim zjednała mi zaproszenie na dwa bale, na których był i cesarz i rozmaite znajomości, związane zapomocą kart wizytowych, bo wszyscy tutaj w wielkim są ruchu. Giżycki kazał mi się zapisać na

¹ Do *Mik. Grocholskiego* 27 czerwca 1815.

² Do *Mik. Grocholskiego* Łopatyn 16 grudnia. N. st. 1815.

„liście osób, mających być przedstawionemi cesarzowi i poprowadził
„mnie do Wielkiego Księcia... Zaraz nazajutrz po mem przybyciu,
„poszedłem do Łanskoja. Doskonale mnie przyjął. Postanowiłem so-
„bie mówić szczerze z wszystkimi tymi panami o moich zamiarach:
„iść prostą, utartą drogą, nie szukając żadnych pobocznych ścieżek.
„Miałem przygotowany memoriał. Łanskoj musiał o nim wiedzieć, ale
„chciałem go powierzyć komuś, ktoby mógł i chciał oddać go Panu
„jeszcze w Warszawie, aby otrzymać bezzwłoczną odpowiedź i liczy-
„łem na Ożarowskiego. Łanskoj robi mi wszystkie możliwe grze-
„czności i zaprasza mnie na ten sam jeszcze dzień na obiad, na któ-
„rym cała świta cesarska miała się znajdować. Przybywam. Przed-
„stawiam się Nesselrodemu; mówię mu o mojej sprawie: powiada
„mi, że do niego, jako do przyszłego naczelnika powinienem się udać
„i wręczyć mu memoriał. Oddałem też list Władysława Ożaro-
„wskiemu. Nazajutrz przedstawiono mnie Wielkiemu Księciu, który
„przyjął mnie bardzo uprzejmie. Winszują mi tego. Idę z memoria-
„łem do Ożarowskiego, ale zachorował i to na dobre“.

„W niedzielę mieliśmy wszyscy prezentować się cesarzowi,
„między innemi dwóch młodych Illińskich. Po dwóch śmiertelnych
„godzinach i po śmiesznym wypadku aresztowania, o którym ci
„opowiem w swoim czasie i miejscu, nadeszła nasza kolej tuż po
„deputacyi litewskiej. Książę Adam Czartoryski i Broniec, quasi
„marszałek dworu, byli wielkimi światłami, które prowadzić nas
„miały do źródła wszelkiego światła. Uszykowano nas wedle listy.
„Na przodzie kilku wojskowych i kilka wielkich wstęg, Illińscy, ja
„i deputowani kujawscy. Pan przybywa. Książę Adam wy-
„krzykuje jak na Vorlesunku¹. Cesarz rozmawia z kilku
„wojskowymi, przechodzi w milczeniu koło cywilnych, zbliża się do
„Illińskich, którzy robią *kratzfussy* bez końca, kłania się im prędko
„i mówi do Czartoryskiego: „Ci panowie odebrali wychowanie
„w Petersburgu“. Potem stanął przedemną, bo i Czartoryski stanął
„nie mogąc odcyfrować mego nazwiska. Kiedy je wymówił, Pan
„podniósł wzrok, spojrzał się basem, głęboko mi się uklonił,

¹ Słowa podkreślone w oryginalnym tekście po polsku; zresztą cały ten list po francusku.

„co mię nieomal do śmiechu nie pobudziło; przeszedł koło innych „nie mówiąc ani słowa i odesłał nas tam, skądśmy przyszli“.

„Przy wyjściu Giżycki chwycił mię za ramię, i popychając „wedle swego zwyczaju, kłując, śmiejąc się i skacząc, zmusił mię do „wręczenia memoriału przechodzącemu właśnie przez dziedziniec „Łanskojowi, który znów wręczyć go miał Nesselrodemu. Trzeba „się było na to zdecydować. Nazajutrz spotykam Ożarowskiego; „mówi mi półgębkiem, że zrobi dla mnie co będzie mógł i że „tutaj Pan dostanie memoriał. Idę do Nesselrodego; zapewnia „mię, że jest czystem niepodobieństwem oddać tutaj mój memo- „ryał, bo Pan nie chce o niczem słyszeć, co się nie odnosi „do interesów Królestwa, że w każdym razie musi ta sprawa „przejsć przez Petersburg; że zaraz po przybyciu do stolicy odda „z pewnością cesarzowi memoriał, że nie obiecuje mi wpra- „wdzie na pewne przyłączenia do poselstwa Berlińskiego, jak pro- „siłem, ale ręczy, albo za poselstwo Berlińskie, albo za londyń- „skie... Piszę do Ożarowskiego, napierając na spełnienie dawnej „mej prośby; sam do niego idę. Ożarowski zapewnia, że długo „o tem mówił z Nesselrodem, ale nie wiedział co odpowiedzieć na „bardzo poważne racje... Posłałem do dyabła Giżyckiego i wszy- „stkie jego wykrety; wreszcie zrezygnowałem się, bo w najgorszym „razie mogę się zdrowiem zasłonić... Tymczasem Pan, mówiąc „o młodzieży, dał się słyszeć, że „wszyscy ci panowie zbyt są du- „mni, aby zechcieli wejść w moją służbę“. Była to przymówka do „mnie; przypomnienie na moją dawną historję. Zbieram się na wiel- „kie postanowienie i wyjeżdżam do Wielkiego Księcia, aby wyje- „dnąć sobie audiencyę i poprosić go o protekcyę do wejścia w słu- „żbę cywilną... Nie zastaję go, nie wrócił jeszcze od brata. Po „dwóch śmiertelnych godzinach nadchodzi, wiesz kto? Ożarowski, „który sądząc, że będę polegać na jego zapewnieniach, robi zdzi- „wioną minę, i pyta, co robię u Wielkiego Księcia. Zapewnia mię, „że Nesselrode zobowiązał się słowem honoru do załatwienia mej „sprawy, natychmiast po powrocie do Petersburga. Podziękowałem „mu i pod pozorem, że zbyt już długo na próżno czekam odsze- „dłem jak niepyszny. Cóż miałem robić? Otóż moje smutne dzieje!“

W dwa dni po zamianowaniu Zajęczka namiestnikiem *au grand plaisir dei Grandi* i po podpisaniu konstytucyi, opuścił i Chołoniewski za cesarzem Warszawę, bogatszy o kilka miłych znajo-

mości, między którymi pierwsze miejsce zajął dwudziestoletni Kosakowski i o pewien zasób dość szczerze udzielonych, ale we mgle rozpływających się obietnic. Wnet po świętach Bożego Narodzenia trzeba znów było, czekając tymczasem gorączkowo na skutek podanego memoryału, wybrać się na kontrakta kijowskie. „Mną „jak kozakiem na stojce¹ na wszystkie strony szastają; nie wiem „czy tygodnia (sic!) od przyjazdu z Wiednia w domu posiedzialem“. W Kijowie na robocie nie brakło, bo prócz interesów przez ojca sobie zleconych, musiał się jeszcze Stanisław starać o pożyczkę dla szwagra; nie brakło też na paru niemiłych awanturach. Jakiemuś niewygodnemu adwokatowi zagroził kijmi, a gdy gubernator, zresztą najsluszniej w świecie, kazał wyprowadzić z klubu jednego z dalekich jego kuzynów, tyle narobił hałasu i tak podbuntował młodzież, że ostatecznie sam gubernator przyjechał do rodziny tego „błazna i mazgaja“, jak się Chołoniewski i dosadniej jeszcze w poufnym kółku o swym kuzynie wyrażał, i przeprosił ją za wyrządzony skandal w obecności czterdziestu, umyślnie w tym celu zgromadzonych Polaków. Jeśliby powodzenie miało świadczyć o dyplomatycznych zdolnościach, to przyznać trzeba, że Stanisław, mimo pewnego braku zimnej krwi, świetnie rozpoczął już w Kijowie wymarzoną przez siebie karierę.

W rzeczywistości warszawskie obietnice nie rodziły owoców. Widząc, że z Petersburga żadna ani dobra, ani zła wieść nie nadchodzi, wysłał Chołoniewski sztafetę do Nesselrodego, przypominając mu dane słowo honoru. Przyjaciele, na pierwszym miejscu Braniccy i Stanisław Potocki, ofiarowali się poprzeć ze swej strony tę sprawę, pisać do Nesselrodego i petersburskich znajomych; inni, dobrze znający stosunki, nalegali aby sam jechał do Petersburga, bo bez osobistych zachodów niczego nie otrzyma. Nalegał na to i ojciec; sam Stanisław opierał się z początku wszelkiemu „intrygowaniu“. „Pracować żądam i proszę o to, lecz intrygować nie myślę“. Wkrótce jednak, lepiej namyśliwszy się a powodując się zdaniem bawiącej w Petersburgu rodzonej swej stryjenki Kolety Czwertyńskiej, przyszedł do poznania i przekonania, że wielka różnica

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Janów 8 stycznia 1816. Wstęp polski w liście francuskim.

między dozwołonemi, jawnemi zabiegami a pokątną intrygą i że, jeśli nie chce do końca życia siedzieć na wsi z założonemi rękami, jeżeli pragnie przemienić w czyn gorące pragnienie pożytecznej pracy, to na same pisemne memoryały i bardzo nawet wysokie protekcyje nie może się spuścić.

„Być bardzo może, pisał w marcu 1816¹, że niezadługo puszczę się do Petersburga. Miasto to jest teraz dla mnie tem, czem Jerozolima dla naszych polskich żydów. Nikt tam na nich nie czeka: ani Ojciec Abraham, ani król Salomon, ani zwłaszcza „owa piękna Ester: wszyscy oni przeszli i zniknęli, jak stare suknie, o których mówią psalmy, a jednak dążą tam ciągle, narażając się na głodową śmierć wśród drogi... Za czem tak gonią? Za bylejakim urzędzikiem w jakiejś ambasadzie... Dlaczego? — spyta mnie kto. Czy dla zrobienia majątku? Nie, bo mam może więcej, niż chrześcijaninowi potrzeba. Dla awansu? Nie, powtarzam, bo przeszedł już czas świetnych karyer. Ale, aby popracować, aby do wiedzieć się dokładnie, co robią ludzie mający pretensyę do rządzenia swymi bliźniami, co robią w tej chwili i czy wszystko jest prawdą, co piszą w dobrych książkach? Nie mając nawet szczególnych talentów, będę się tam mógł może nauczyć, co na przyszłość można dla innych zrobić, i czego się mam od mych bliźnich spodziewać. Dzień w dzień, w miarę jak opuszczają mnie sny młodości, czuję coraz silniejszą potrzebę ujęcia się, mniejsza o to jakiej pracy, byleby prowadzącej do jakiegoś celu moralnego i byleby praca ta przyczyniała się do rozwinięcia mych władz umysłowych. Nie jest to już owo nieokreślone pragnienie gonienia po świecie, widzenia wielu rzeczy, chwytanie na chybił trafił wrażeń najrozmaitszej natury. Dzięki Bogu, spokojniej dziś zapatruję się na otaczające mnie przedmioty; niejedno upokorzenie wykazało mi dotkliwe braki w mem wykształceniu; jestem teraz bardzo spokojny i bardziej zadowolony ze siebie samego, bo poznaawszy czego mi brakuje, wiem mniej więcej, czego mi potrzeba, a świadomość, że złe nie jest bez lekarstwa, i że mam dosyć siły, aby go użyć, podtrzymuje mnie w chwili zniechęcenia“.

„Głównym błędem tegoczesnego wychowania nawet najbar-

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Strzyżawka 18/30 marca 1816.

„dziej błyszczącego, jest brak jedności. Kształcąc młodzież, nale-
„żałoby raczej zaniedbać wydoskonalenie wielu, choć potrzebnych
„szczegółów, byle już małe dziecko natchnąć tą myślą, że owoców
„swej nauki użyć ma kiedyś na korzyść swych bliźnich. Najmniej
„nawet utalentowany to pojmie i poświęci szczupłe swe środki dla
„dobra publicznego; będzie się wysilał z niewielkim powodzeniem,
„ale same te wysiłki zastąpią mu powodzenie, bo posłużą za przy-
„kład i za bodziec dla ludzi uzdolnionych. Tak ucząc i kształcąc
„nie oglądalibyśmy owych cudownych geniuszków, przemieniających
„się z biegiem lat w niezdolnych starców; owych uroczych kawale-
„rów, którzy mimo pewnej dozy porządnej nauki, namyślają się
„czasami czy nie powinniiby pokazać się na scenie obok Duporta
„i Talmy w tragicznym kostiumie a obok Rode'a z muzycznym
„instrumentem w ręku. Młodzieniec, obdarzony od natury tego ro-
„dzaju przyjemnymi talentami, może nimi ozdabiać pierwsze lata
„młodości ale, jeśli otrzymał porządne wychowanie, wnet poczuje,
„że pożytek winien iść przed zabawą. Zawsze dosyć zrobi dla osią-
„gnięcia reputacyi człowieka utalentowanego, ale zawsze dużo mu
„pozostanie do zrobienia dla osiągnięcia reputacyi człowieka po-
„żytecznego“...

„Wstyd mi prawdziwie! Nie ma co mówić w piękną wpadłem
„zasadzkę! Wszystko to wygląda, jak jaka dyssertacya księdza Tru-
„bleta. Istotnie, moim przyjaciółom dosyć dostarczam sposobności
„do ćwiczenia się w cierpliwości. Boć czuję sam, że tego rodzaju
„listy zdać się mogą chyba w sklepie korzennym!“.

Widocznie powodzenie w petersburskich salonach i między
młodzieżą kijowską, tryumfalne hymny na cześć nadzwyczajnych
zdolności i prorocstwa świetnej kariery, a nawet bombastyczne po-
chwały, oddawane kilkun, co prawda z wielką biedą w tym czasie
skleconym wierszykom, nie nadeły Chołoniewskiego próżnością,
i nie wytłumaczyły mu, że dość już pracował, a teraz należą mu
się zasłużone wawrzyny. Skromne to, za skromne nawet ocenienie
siebie samego, swych prac i zasług, stanowi jeden z rysów pię-
knego tego charakteru; nigdy ani cienia zarozumiałości, raczej zby-
tnie niedowierzanie własnym swym siłom, przeradzające się nieraz
w niezdrową trwożliwość, którą rozum dopiero, modlitwa i rady
przyjaciół utrzymywać musiały w należytych granicach.

W marcu wyjazd Stanisława do Petersburga był stanowczo zadecydowanym, bo i tak bądź co bądź po przyjęciu do służby musiałby się udać do stolicy, dla złożenia przysięgi i oficjalnego przywdziania munduru. Ale, zanim od ostatecznej decyzji przyszło do wykonania, upłynęło jeszcze kilka miesięcy; wreszcie gdy ojciec zaczął wracać do siebie po dłuższej chorobie i interesa majątkowe jako tako chwilowo się rozplątały, wsiadł nasz kandydat na ambasadora 1 czerwca 1816 r. do powozu, mającego go zawieść do Petersburga. Wsiadał, zmuszony coraz silniejszymi naleganiami petersburskich przyjaciół, którzy grozili, że inaczej wszystkie dotychczasowe zabiegi pójdą na marne, ale z niewielką nadzieją i sercem ciężkiem. „Nie umiem ci powiedzieć, pisał do szwagra w wigilię „wyjazdu z Janowa¹, co mię czeka i czem zostanę w Petersburgu? „Ponieważ nic jeszcze nie jest gotowem, a wszędzie będę musiał „nadstawiać własną osobą, mam przed sobą obszerne pole naj- „rozmaitszych trudności i przykrości. Ale kiedy puszczam się po „trochu na rzemiosło awanturnika, to może mię poprowadzi dobra „jaka gwiazda“.

W lat przeszło dwadzieścia później, wjeżdżając już jako poważny kapłan do stolicy północnej, nie mógł się Chołoniewski otrząsnąć z pośepnych myśli:

„*Wśród tego blasku wszędzie smutek mnie przycisnął*“;² dwudziestopięcioletni młodzieniec, widząc zdaleka wspaniałe mury nadnewskiego grodu, marzył o pożytecznej pracy, która go tu czeka, a żywa wyobraźnia zapomniawszy, choć wbrew może woli i rozumowi, na poprzednie przeczucia, roztaczała w jaskrawych kolorach ludzący obraz świetnej przyszłości i wierzyć kazala w pomyślną gwiazdę. Gwiazda była jeszcze za chmurami, ale zdawało się, że chmury zaczynają się rozchodzić. Wpływowy minister Capo d'Istria, do którego Stanisław miał listy polecające od Saint-Prieste'a, przyjął bardzo uprzejmie młodego Polaka i uznał za słuszne i rozumne jego żądanie, aby przygotowując się do misyi Berlińskiej, przypatrzyć się mógł najprzód sprawom publicznym w Petersburgu, pra-

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Janów 31 maja 1816.

² Sonet na powitanie stolicy północnej, 11 maja 1838 r. *Pisma pośmiertne* t. II. str. 140.

cując przez kilka miesięcy w ministeryalnych biurach. Przy drugiej wizycie przyjął go jeszcze uprzejmiej; podjął się sam rozmówić z cesarzem, który, jak sądził, nie będzie robił żadnych trudności i prosił Chołoniewskiego, aby po tygodniu znowu do niego się zgłosił. Chołoniewski zgłosił się nie raz, ale trzy razy, a za każdą razą powiedziano mu, że minister zajęty, lub w domu go nie ma. „Otóż jak stoi moja sprawa¹. Cesarz ma wyjechać 10 sierpnia do „Moskwy i aż do tego czasu nie zaniedbam żadnego kroku, który „rozumnie zrobić mogę; po tym dniu będę uważać milczenie „Pana za to, czem istotnie będzie musiało być tj. za odmowę „i wyjadę. Zresztą, nie posługuję się żadną *Winkelprotection*, idę „prostą utartą drogą, a jeśli mi ją zamkną, to doznam przynajmniej „losu bardzo wielu porządnych ludzi i powtórzę, wracając skądem „przyszedeł: *Non omnia possumus omnes*“.

Tymczasem rzeczy zaczynały przybierać pomyślniejszy, choć niespodziewany obrót. Jeden z przyjaciół, wywiązując się widocznie z danego sobie polecenia, zwierzył się Stanisławowi, że słyszał i to nie raz ale kilka razy z ust samego Nesselrodego, jak tenże zamysła go przyłączyć do rosyjskiego poselstwa w Ameryce. „Mój „przyjaciel kazał mi naprzód zgadywać², co mię czeka, a zdaje mi „się, że nie w mniejszym tą razą byłbyś odemnie kłopotcie. Przy- „znam się, że myśl o podobnej podróży miała w sobie coś pocią- „gającego. Wiesz, że awanturnicy lubią wszędzie nieokreśloność, „a w proponowanej mi podróży, jeśli na czem, to na pewnej nie- „określoności nie brakowało. Ale myśl o Papie wróciła mię do „rozsądku i rzeczywistości. Ponieważ ostrzeżono mię naprzód o tej „maleńkiej a pięknej wycieczce, miałem czas przedsięwziąć odpo- „wiednie środki. Poprosiłem hr. Capo d'Istria, aby mię zostawił „w swym departamencie. Przyjął mię dobrze, podjął się wręczenia „listu do cesarza (trzeciego już z rzędu), a w cztery dni później „przysłał mi odpowiedź. Dowiedziałem się, że mam pracować w bió- „rze zależącem od hrabiego, i że przy pierwszym wakansie przejdę „do jego bióra osobistego. Widzisz z tego, że przypadek, ów bo- „żek wszechpotężny, daleko mi się lepiej przysłużył, osadzając mię

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Petersburg 3 lipca 1816.

² Do *Mik. Grocholskiego*. Petersburg 31 lipca 1816.

„na chwilę w Petersburgu, niż gdyby mię był poprowadził do Berlina. Tam zależałbym od nieznanego mi szefa, który sam znowu „zależy i to aż za wiele od Petersburga. Tutaj, nie mówiąc już, że „mogę więcej nabyć politycznego wykształcenia i doświadczenia „przez pół roku, niż przy ambasadzie w przeciągu całego roku, „jestem nadto pod szefem zależącym wprost od cesarza i na wszelki „wypadek mogę sobie zawsze wyrobić przyłączenie do tego lub „owego poselstwa“.

W pięć dni po nadejściu odpowiedzi od Capo d' Istria, cesarz zamianował Chołoniewskiego szambelanem dworu. „Tem większą było to dla mnie niespodzianką, że osobiście nie zrobiłem ani „jednego kroku dla pozyskania tej godności“. Była to zachęta na przyszłość; tymczasem trzeba było powiesić w szafie strojny mundur szambelański, a wziąć się do biórowej pracy. „Jestem na początek przy biurze Palenowa, bardzo *probi hominis*¹. Już mnie „zaprzegli od ósmej do czwartej popołudniu. Przysięgę wykonałem. „Mogłem się do Misyi wpraszać, lecz nie jest to tak bezpiecznie, „choć może przyjemniej jak tu“. Zresztą i praca w Petersburgu nie była zbyt przykrą i nudną. „Otóż mój tutejszy tryb życia². „Wstaję mniej więcej o szóstej rano, a po pacierzu zabieram się do „roboty, przede wszystkim do biórowej. Robię wyjątek z gazet dla „Pana; nie trudna to historia, a w dodatku mogę się z nią „łatwiać u siebie, bo mój szef Palenow, jest najlepszym człowiekiem na świecie i na wszystko się zgadza. O ósmej idę na mszę „do Jezuitów. Resztę poranku studuję historią traktatów i prawa „publicznego. Wychodzę dopiero o trzeciej i cały czas poobiedniowy „poświęcam na wizyty; wracam o ósmej, aby nie opuścić ulubionej „lektury historycznej lub religijnej; dałem za wygraną z poezją „i z muzyką, nawet na fortepianie. Zabrałoby mi to za wiele czasu“.

Tego rodzaju sposób życia, „który mnie przymusza³ kręcić się „po świecie przez połowę dnia, a przez drugą do kancelaryi jeździć“, nie mógł ani pochlebiać wyobraźni, ani zadowolnić umysłowych potrzeb zdolnego młodzieńca, który jadąc do Petersburga w innych

¹ Do *Mik. Grocholskiego*. Petersburg 18 sierpnia 1816. List pisany po polsku.

² Do *Mik. Grocholskiego*. 29 sierpnia st. st. 1816.

³ Do tegoż 5 października 1816.

barwach przedstawiał sobie przyszłe swe życie i zadanie i sądził, że do innych jakichś — do jakich nie wiedział dobrze, — ale do innych, jeśli nie świetniejszych, to donioślejszych czynów jest powołany. Zawód ten nie był bez korzyści. „Ja sam zatem przekonywam się, reflektował Stanisław¹, ile to ja czasu straciłem przez nieumiejętność korzystania z momentu, którego byłem panem dla jakiegoś nieznanomej przyszłej chwili, którą nazywałem karierą. Zastanowiwszy się nad tą ustawiczną niespokojnością, aby być czynnym, ze wstydem ujrzałem, iż to było tylko skutkiem nierozwagi, która mi kazała być nieczynnym teraz, aby czynnym być kiedyś. Wiem więc już, co to jest ta czynność za stolikiem nad papierami, z których niczego się nie można nauczyć, lub na posiedzeniach, gdzie trzeba słówka ważyć i na wszystkie obzierać się strony. Nie żałuję mego przedsięwzięcia, bo ile mi się zdało dla własnej spokojności było mi potrzebnem: lecz mocno oraz jestem przeświadczony, że zaspokoivszy naprzód pierwsze obowiązki, cała kariera uczciwego człowieka od niego samego zawisła. Środki na to ma wskazane w własnem sercu i umyśle... Niezmiernie widzę się odległym od tak szczęśliwego położenia; lecz że jestem przynajmniej w stanie pojąć to, o czem mi się pierwwej i nie marzyło i za to Bogu dziękuje“.

Obiecanego poważniejszego jakiegoś zatrudnienia przyłączenia do ambasady berlińskiej lub paryskiej, a choćby uregulowania zajętego stanowiska doczekać się nie było można; irytowało to tem bardziej Chołoniewskiego, że raz po raz drażniono go różnemi obietnicami, planami i projektami, które zawsze niebawem rozwiały się z dymem. Capo d'Istria zapytał, czy nie chciałby towarzyszyć mu do Warszawy; później wyjechał sam, jakby zapomniał o uczynionej propozycji. Po Podolu rozeszły się głuche wieści, że Chołoniewski przyjedzie tam ze szczególnymi jakimiś poleceniami od rządu; pokazało się, że o przyjeździe tym wiedzano tylko w pewnych podolskich kółkach, ale nic nie wiedzano w Petersburgu. (C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

¹ Do tegoż 18 października 1816. List polski.

DZISIEJSZY USTRÓJ KOŚCIOŁA W AMERYCE.

Z okazji ostatniego plenarnego Synodu Baltimorskiego.

(Acta et Decreta Concilii Plenarii Baltimorensis A. D. MDCCCLXXXIV.
Baltimore 1886).

(Ciąg dalszy).

Starodawnyto i zbawienny zwyczaj w Kościele św. odprawiania Soborów i Synodów tak prowincjonalnych jak i dyecezalnych. Potrzebę ich rodzi sama natura Kościoła jako społeczności z ludzi złożonej, początek ich sięga czasów apostoelskich, a zalecenie i polecenie o swej cudownej skuteczności mają od założyciela Kościoła, który przyrzeka, że *gdzie są dwaj albo trzej zgromadzeni w imię moje, tamem jest w pośrodku ich*¹.

Ale inny jest cel Soborów ekumenicznych, inny Synodów pojedynczych prowincyj albo dyecezyj. Tamte, mając dobro całego Kościoła na oku, zwolywane bywają w chwilach krytycznych, czy to dla potępienia głośnych herezyj, jak to miało miejsce w pierwszych ośmiu Soborach i kilku następnych, czy to z powodu wielkich zawichrzeń i starć z władzą świecką lub rozdwojeń w kościele jak Lateraneńskie dwa pierwsze, Lugduński pierwszy, Florencki i Lateraneński piąty, czy to dla zreformowania życia chrześcijańskiego i powszechnej karności, jak Sobór Lugduński drugi, a po części i Trydencki. Na nich to zwolywany cały episkopat katolicki pod przewodem widomej głowy Kościoła, sankcjonuje dogmaty wiary, anathema rzuca na herezye, na ich twórców i zwolenników, wyrokami nieomylniej powagi obowiązuje cały kościół katolicki.

¹ Mat. XVIII. 20.

Skromniejsze i co do liczby biskupów w nim udział biorących i co do celu są Synody prowincjonalne, o które nam tu chodzi. Na nieb zasiadali biskupi całej prowincyi lub kraju, pod prezydencją arcybiskupa lub prymasa, jak to miało miejsce u nas w Polsce. Kościół katolicki jakkolwiek jeden duch go ożywia zawsze i wszędzie, jedną wiarę wyznaje i jedno prawo Chrystusowej religii nakłada na wszystkich swych wiernych, jednak będąc po całym świecie rozpowszechniony, obejmując ludy różnych narodowości, charakterów, trybu życia, stosuje się do warunków społecznych, do miejsca i czasu, nie zmieniając jednak nic z swych zasad wiary i moralności. Celem więc takich Synodów jest zaradzić potrzebom miejscowym prowincyi lub kraju, obmyśleć środki odpowiednie do pomyślnego rozwoju, wglądać w ducha i karność tej cząstki Kościoła Bożego, skarcić nadużycia, obudzić ducha zapалу pracy i poświęcenia w klerze i wśród wiernych. Niemalży nieraz wpływ wywierały one i na byt polityczny państw, ścieśniały i utrwały jedność narodową, brały w opiekę słabszych przed uciskiem możnych, harmonię i ład zaprowadzały pomiędzy różnemi warstwami narodu. Nie inny cel miał Leon XIII. na oku, zwołując trzeci z kolei plenarny Synod Baltimorski. Utrwalenie karności, wykorzenienie wszelkich możliwych nadużyć a wreszcie zbliżenie się do praktyki całego Kościoła, o ile na to pozwolą okoliczności — to poleca Ojciec chrześcijaństwa biskupom amerykańskim w liście do arcybiskupa Gibbonsa, mianując go swoim delegatem apostolskim ¹.

Trudne mieli zadanie biskupi normując anormalny zarząd dobrami kościelnymi, które trzeba było oswobodzić z pod przewagi świeckiej, stosując się wszelako do praw państwowych. Zadanie to spełnili oni w zupełności.

Nie sama jednakże praktyczność jest znamię Kościoła amerykańskiego. Kiedy się bliżej rozpatrzmy w tych dekretach widzimy, że z nich wieje duch prawdziwego Kościoła Chrystuso-

¹ *Litterae Apostolicae ad V. F. Jacobum Gibbons Archiepiscopum Baltimorem*: „Plenarium Concilium .. Baltimore habendum decrevimus, ut iidem „Episcopi collatis consiliis, quae ad evellendos funditusque tollendos, si qui „irreperint, abusus, ad ecclesiasticam disciplinam conformandam, ad „Dioecesium statum ita ordinandum, ut proprius ad commune Ecclesiae jus, „quantum fieri possit accedat, et ad Catholicam religionem latius propagandam „opportuna in Domino judicaverint, proponant.

wego. Jest tu wysokie pojęcie o świętości posłannictwa, jest zapal i gorliwość apostołska rozumna a wytrwała, szukająca wszystkich sposobów, byle utrzymać kościół na należynej wyżynie Królestwa nie z tego świata. Czytając te dekrety czuć w nich inspirację i działanie wyższe: taka obok podniosłej treści znamionuje je powaga, prostota ewangeliczna i znajomość serc ludzkich. I zdaje się, że zmartwychwstali oni starzy ojcowie kościoła, co złotoustą wymową, nauką, i żarliwością budowali w pierwszych wiekach Kościół Boży, bronili prawdy, zalecali cnotę, gromili występki. A obok tego na każdej karcie przebija się duch dobrze zrozumianego patryotyzmu — jestto w całym słowa znaczeniu dzieło biskupów amerykańskich.

Kościół jest królestwem duchowem, a choć to królestwo nie z tego świata początek bierze i nie ziemski ma cel na oku, jednak na tym świecie się rozciąga. Musi mieć więc rząd swój tj. zwierzchność stosowną władzą uposażoną; na tych więc zwraca koncilium najprzód oko, *quos Spiritus Sanctus posuit regere Ecclesiam DEI*. Na mocy władzy od Chrystusa otrzymanej rządzą oni częstką jego owczarni, zwierzchność mając nad całym klerem i ludem swej diecezji. Tychto otoczyć mają swem staraniem, nad nimi czuwać i jak pasterze swe owce wieść ich mają na zdrowe pastwiska a odwodzić od szkodliwych. Tento urząd wielki i podniosły, każdy w nich uszanować winien, czcząc biskupa *ut Jesum Christum cujus locum tenet*¹.

Ale cześć tę opartą na wysokiem dostojenstwie i rozległej władzy zdobywać i pomnażać mają biskupi swoją cnotą. Droga do tego najłatwiejszą i najpewniejszą, jeśli biskup „wzgardziwszy mniemaniami i przykładami możnych i potężnych w tym świecie, wszelkiej ambicji unikać będzie, jeśli dumą i pompą tego świata zawsze brzydzić się będzie, jeśli w całym trybie jego życia i działania przebijać się będzie, że mu nie chodzi zupełnie ani o pomnożenie ani o nabycie dóbr, czy to dla siebie, czy to dla krewnych swoich“². Daleki od wszelkiej pychy, obcy nepotyzmowi, wyzuty z miłości własnej, ma biskup przyświecać pokorą, miło-

¹ Tit. II. Cap. I. n 11.

² Tit. II. cap. I. n. 12.

ścią i gorliwością. Wtedy to stanie się *forma gregis ex animo*, wtedy głos jego będzie skutecznym, upominanie zbawiennem, „jeśli „trzędę swoją nauczać będzie nie tylko słowem, ale bardziej jeszcze „życiem i przykładem“¹. A przypomniawszy biskupom, czego od nich żąda Apostoł w listach do Tymoteusza i Tytusa, każe im przed oczyma mieć wieczny obraz „dobrego pasterza i biskupa dusz naszych, który pod figurą najłagodniejszego baranka nam się za przykład stawia“.

Równie wysokie znajdujemy tu pojęcie o urzędzie kapłańskim. „Praca i modlitwa oto życie kapłana“², opowiadacze słowa Bożego „niech się starają Chrystusa naśladować, niech będą święci, światu „ukrzyżowani pełni wiary i miłością gorejący, aby wedle Boskiego „mistrza przykładu czynili i uczyli“³. Dlatego biskupi nie powinni udzielać kapłaństwa, tylko tym co się „tak odznaczają pobożnością i czystymi obyczajami, że można się spodziewać świetnego „przykładu z ich czynów i życia“⁴. W seminariach każe przełożonym i duchownym starać się wszelkimi siłami oto, „aby klerycy do „brze zrozumieli i najwyżej sobie cenili wzniosłość i dostojeństwo „urzędu, do którego się gotują, aby wciąż w sercu swoim rozważali świętość swego powołania, które domaga się trybu życia „anielskiego raczej jak ludzkiego“⁵. Powołując się na dekrety w ostatnim koncilium Baltimorskiem wydane, zaleca Synod całemu klerowi, aby je raz poraz z uwagą zgłębiali, mając w nich przedstawioną świętość swego powołania. Teraz inną rzecz ważną podnosi: „Towarzyszką gorliwości apostołskiej, cnót kapłańskich i pobożności powinna być nauka“. Koncilium pragnie aby kapłani byli *lux mundi* pod każdym względem. „Wszystek przeto czas „zbywający po odmówieniu pacierzy kapłańskich i spełnieniu swego „obowiązku niech poświęcają nauce“⁶. Nie czytanie dla rozrywki lub dla zaspokojenia ciekawości albo zabicia czasu, ale poważne studia mają ich zajmować. „Nie pojmujemy zgola, w jaki sposób tej

¹ Tit. II. cap. I. n. 12.

² Tit. V. Cap. IV. n. 186.

³ Tit. VII. Cap. I. n. 216.

⁴ Tit. V. Cap. III. n. 165.

⁵ Ibid. n. 163.

⁶ Tit. II. Cap. II. n. 76.

„powinności tak ważnej zadosyćczynią ci duchowni, co wszystek „niemal czas wolny, spędzają na czytaniu gazet, dzienników, roman- „sów i tym podobnych niedorzecznych książek. Z nich nie da się „zacerpnąć ta święta a podniosła wiedza, którą posiadać powinien „nauczyciel słowa Bożego“¹. Wiedza ta polegać ma na coraz większem poznawaniu tajemnic wiary świętej, na coraz lepszym rozumieniu pisma świętego i zasad moralności tak przyrodzonych jak i nadnaturalnych, których poznanie okazuje w całym blasku świętość i wzniosłość cnoty chrześcijańskiej.

Ulegając wezwaniu Leona XIII. poleca concilium kapłanom naukę filozofii. „Prawy bowiem i wykształcony rozum nietylko fundamenty wiary wykazuje, ale i bezbożną w złem znaczeniu wiedzę „potępia, odkrywa błędne wnioski, podkopuje i obala mniemania „wierze przeciwnie, co się pod kłamliwą maską prawdy kryją“.

Na innem miejscu, mówiąc o młodych kapłanach, tak rozpoczyna: „Ponieważ usta kapłańskie zawsze strzedz mają nauki, niech „nikt przeto nie sądzi, że mu wolno po przyjęciu kapłaństwa „niechać dalszych studyów“², a dotychczasową naukę zwać tylko nasieniem, każe ją w dalszem życiu *assidua et indefessa cura* pielęgnować i rozwijać coraz bardziej. „Bo kto pochodnię wiedzy „utrzymywać przestanie, wnet popadnie w ciemności, utykać będzie „wśród drogi ten, który posłany jest, aby był przewodcą ludów na „drodze zbawienia“. I by niedopuszczyć do gnuśności w tej mierze, ale ten zapal do nauki utrzymać wśród młodych kapłanów, rozrządza, by każdy przez pięć pierwszych lat po swoim wyświęceniu przez komisję, na której czele ma być biskup albo jego delegat, był „ściśle“ egzaminowany z dogmatycznej i moralnej teologii, prawa kanonicznego, pisma św., historii kościelnej a w końcu z liturgii. Ktoby nie uczynił zadosyć wymaganiom, ma przez drugie pięciolecie takiej samej próbie się poddać. Dla wszystkich innych dwakroć na rok każe urządzać posiedzenia teologiczne, podobne do naszych rocznych sesyj dekanalnych. Posiedzenia te w miastach mają się odbywać cztery razy do roku, po wsiach dwa razy dla trudności przystępu. Biskup ma oznaczać kwestye dotyczące się pro-

¹ Tit. II. Cap. II. n. 76.

² Tit. V. Cap. IV. n. 186.

wadzenia dusz, których rozwiązanie wszyscy na piśmie przygotować mają. Dwóch losem wybranych odczyta je na sesyi. Z innych działów teologicznych rozprawy odczytają ci, którym to prezes na ostatniej sesyi polecił¹. Z największą dokładnością przepisuje concilium sposób konkursu i sześciu egzaminatorom, którzy mają być *viri ecclesiastici*, znani z prawości życia a w naukach biegli, każe złożyć przysięgę na ewangelie, *jurent omnes ad sancta Dei Evangelia* że bez wszelkiego względu ludzkiego urząd swój sprawować będą².

Pragnąc tej świętości życia i nauki zwraca się w praktyczną stronę, ażeby oddalić wszystko co się tej świętości sprzeciwia, a przeciwnie co ją tylko utrzymać i pomnożyć może. Na pierwszym miejscu, jako najwალniejszą dźwignię życia duchownego kładzie odprawianie ćwiczeń duchownych. Mówiąc o nich posługuje się słowami Piusa IX. do biskupów. „Ponieważ doświadczoną jest rzeczą, „że do zachowania i utrzymania godności i świetności stanu duchownego najwięcej się przyczyniają ćwiczenia duchowne, nie zaniedbujecie stosownie do waszej gorliwości biskupiej do tak zbawiennej czynności nawoływać, i wszystkich do winnicy Pańskiej „powołanych napominać i zachęcać do tego, aby się często udawali „na miejsce sposobne do ich odprawienia, gdzieby wolni od zewnętrznych trosk, oddając się z większą usilnością rozważaniu „rzeczy wiecznych i boskich, mogli zbyć się kału światowych naleciałości a odnowić w sobie ducha kościelnego i, wyzuwając się „z starego człowieka z jego czynnościami, oblekli się w nowego, „który stworzony jest w sprawiedliwości i świętości“³. Przytoczywszy te słowa wiekopomnej pamięci Papieża dodaje Synod: „Po- „stanawiamy, aby biskupi kler swój dycezalny wiedli corocznie albo „przynajmniej co dwa lata na tę świętą pustynię, aby wszyscy z niej „powracali na umyśle i sercu odnowieni i nowemi łaskami obdarzeni do spełniania z większym skutkiem swego świętego urzędu“⁴.

Dalej Kościół dla odróżnienia od świeckich nakazuje, aby kler nosił szaty stosowne do stanu swego. „Ubiór duchownych, powiada „Synod, noszącym go, nietylko jedna uszanowanie należne ich wielkiej

¹ Tit. V. Cap. V. n. 192.

² Tit. II. Cap. III. n. 23.

³ Encycl. *Qui pluribus* d. 9. Nov. 1846.

⁴ Tit. II. Cap. VIII. n. 75.

„godności, ale i im samym przypomina ciągle świętość ich stanu i po-
 „wściąga od wielu rzeczy, które nie przystoją kapłanowi. Chcemy
 „zatem i nakazujemy, aby wszyscy ten przepis zachowali i czy
 „w domu czy w kościele używali sutanny, która jest kapłana
 „odzieniem własnem“¹. Wychodzącym jednak na miasto lub podró-
 żującym pozwalają używać krótszej sukni, ale zawsze koloru czar-
 nego, któraby poza kolana sięgała. „Sukniami zaś o eleganckim
 i światowym kroju niech gardzą!“ Ażeby ta różnica kapłanów od ludzi
 świeckich była widoczną dodają: „Kapłanom naszym surowo naka-
 „zujemy aby nosili obojczyk w domu i poza domem, tak w obrę-
 „bie swojej dyecezyi, jak i poza jej granicami“².

Od ubioru kapłańskiego i zewnętrznego ułożenia przechodzi do
 jego domu. „Dom kapłana tak ma być urządzony, że wszystko w niem
 „ma tchnąć pobożnością, ładem i prostotą i ogłaszało, że tam mie-
 „szka sługa Zbawcy ukrzyżowanego“³. Dalej wchodząc w życie na
 podstawie, że wiele jest rzeczy, które duchownym nie przystoją, za-
 kazują publicznie konnej jazdy, bywania po teatrach i widowiskach.
 Napiętnowawszy należyte zbytek w napojach gromami ojców św.
 dodaje: „Aby odjąć duchownym okazyę do występku, której nie
 „brak po szynkowniach i gospodach, zabraniamy wstępu do nich,
 „chyba w drodze z konieczności“⁴. Aby oddalić nietylko okazyę
 grzechu ale nawet pozór, wzbraniają, by w jednym domu z kapła-
 nem mieszkaly niewiasty, choćby nawet pokrewne tylko takie, co
 się odznaczają życiem i dobrymi obyczajami. Gospodyni i służące,
 mają być w wieku podeszłym. W domu zaś, gdzie obok proboszcza
 mieszkają młodzi wikaryusze, żadna kobieta nawet krewna mieszkać
 nie może. Przywołując przykład Chrystusa, który będąc bogatym,
 dla nas stał się ubogim, żąda Synod, aby podobnie służy jego da-
 lecy byli od wszelkiej chciwości i pragnienia bogactw. Żadnej spe-
 kulacyi, handlu prowadzić im nie wolno, ani pod swoim, ani pod
 cudzem imieniem, nawet cudzych interesów bez poradzenia się bi-
 skupa podejmować się nie mają.

Święte to i mądre postanowienia, a przy czujności tak sprę-

¹ Tit. II. Cap. VIII. n. 77.

² Ibid.

³ Ibid n. 78.

⁴ Ibid. n. 80.

żystych jak posiada Ameryka biskupów, sprawią pożądaną zmianę wśród kleru, niejednego zwróca z drogi nieprawej, wykorzenia niejedno nadużycie, a najgorszych przynajmniej grozą kar kanonicznych zmuszą do zachowania jakiegoś decorum w życiu i postępowaniu. Ale dekrety te cudów nie zrobią i nie potrafią wlać nowego ducha w ostygłych, zapalić gorliwością oddawna zgnuśnialych w służbie Bożej. Wiedzą o tem biskupi i mądrze się biorą do rzeczy. Z jednej więc strony pragną zatkać źródła zła, z drugiej zaś strony wychowaniem należytem kleru przygotować sobie zastęp pracowników w duchu Bożym.

Jak cała niewiara i zepsucie obyczajów w Ameryce jest przeważnie importem Europy, tak wiele a bodaj czy nie najwięcej demoralizacyi w klerze amerykańskim, zaszczepili przybysze z różnych stron a głównie z Europy, i wałęsający się po dyecezyach kapłani, co dopuściwszy się nadużyć w jednej dyecezyi, uchylali się przed zasłużoną karą przenoszeniem się do drugiej. Aby temu zapobiedz, uważa Synod za konieczne, utrudnić przyjmowanie obcych księży i przepisać sposób, w jaki się to odbywać powinno. Przybywający skądinąd kapłan może należeć do dyecezyi, albo na mocy przyjęcia formalnego (*incorporatio formalis*), albo też domyślnego (*praesumpta*). Formalne przyjęcie ma się dziać przez dokument z podpisem biskupim, który otrzymać może kapłan mający listy polecające od swego dotychczasowego ordynariusza, a zarazem i pozwolenie opuszczenia swej dyecezyi. Biskupi nie mają się śpieszyć z przyjęciem, ale zasięgnąwszy informacyi od biskupa, z którego dyecezyi jest przybysz, w razie dobrej rekomendacyi, wystawić go mają na trzyletnią albo nawet i dłuższą próbę, która jednak nad lat pięć przeciągać się nie powinna. Po upływie tego czasu ma biskup starającemu się o przyjęcie do dyecezyi kapłanowi, wręczyć na piśmie dokument przyjęcia lub odmowę. Wrazie gdyby tego zaniechał, zostawiając go nadal w urzędowaniu, wystawiony na próbę może się uważać za wcielonego do kleru dyecezalnego, na mocy przyjęcia domyślnego.

Surowszy o wiele proceder przepisuje Synod w postępowaniu z *ex-zakonnikami*, czy to dobrowolnie zakon opuszczającymi, czy też zeń wypuszczonymi. Jeśli taki okaże świadectwa pochlebne od biskupa swego i starszych zakonu, może mu biskup pozwolić odprawiać mszą św., wzbraniając jednak wszystkich innych funkcyj kapłań-

skich. Przypuścić ich do próby sam biskup nie ma władzy, ale zasięgnąwszy wśród sekretnych informacji, tak od dawnego jego biskupa jak i przełożonych zakonu, ma je odesłać do kongregacji biskupów, której rzeczą będzie udzielić lub odmówić biskupowi zezwolenia na przyjęcie ex-zakonnika.

Żeby w końcu przeszkodzić łatwemu przenoszeniu się z jednej do drugiej dyecezyi, i niedozwolić, by „spotykano księży, jako błędne i zginione owce“, stanowi Synod, że każdy kapłan z innych prowincyj lub z Europy przybywający, póki nie zostanie formalnie przyjętym do jakiejś dyecezyi, ma być uważanym za poddanego tego biskupa, od którego otrzymał *Exeat*. Żaden bez tych listów nie może przyjęcia otrzymać, z drugiej zaś strony biskupi tego świadectwa proszącemu żadną miarą dawać nie powinni pierwej, aż się upewnia, że tenże zostanie w innej dyecezyi niezawodnie przyjętym¹.

Każda reforma jakiegokolwiek instytucyi, jeśli ma być skuteczną i trwałą musi się zwrócić ku nowemu pokoleniu. Jak drzewo w starości nie daje się nagiąć lub sprostować, tak pospolicie i człowieka trudno a nieraz niepodobna odwieść od przywyknień, które z czasem stają się drugą jego naturą. Na każdej świeżej roli najlepiej wschodzi posiew. Młodością dla kapłana to lata jego w Seminarium spędzone. Od nich zależy przeważnie jego przyszły sposób życia i postępowania. Mówiąc biskupi o seminarium małym, potrzebę jego tem motywują. „Ponieważ najczęściej kapłan taki „tryb życia zachowuje, jakim był jego początek i młodziennic „wedle drogi swej choćby się zestarzał nie odstąpi „od niej², wielce zaiste zależy na tem, aby późniejsi słudzy kościola od lat chłopięcych z szczególnem staraniem do pobożności „i nauki byli zaprawiani“³. Proboszczowie tedy wśród dzieci pieczy swojej zleconych, mają upatrywać zdolnych i niejako powołanych do służby ołtarza. Takich winni oni szczególną swą opieką otoczyć, podsycać w nich chęć służenia Bogu i zapalać do studyów; rodziców zaś skłaniać, aby im żadnej przeszkody nie stawiali, ale owszem pomogli do wykonania świętych zamiarów. Przeciwnie

¹ Tit. II. Cap. VII, §. 2 n. 63–69.

² Przyp. XXII. 6.

³ Tit. V. Cap. I. n. 136.

gdyby rodzice sami z ziemskich tylko pobudek, któregoś z synów swoich do stanu duchownego przeznaczali, ma ich proboszcz, jeśli nie widzi w nim zdolności do tego stanu, wszelkiemi sposobami odwożać od tego postanowienia.

Już II. Synod Baltimorski objawił życzenie, aby każda dyecezya dążyła do wzniesienia obok wielkiego także małego seminaryum, a wraze niemożności, aby przynajmniej w każdej prowincyi istniało jedno małe seminaryum; obecny Synod poleca to w formie rozkazu biskupom: *maxime urgemus*.

Co do urzędu, bacząc na cel do jakiego służą małe seminarya, mają biskupi wszelkiego starania dołożyć, aby w nich przełożonymi i nauczycielami byli ludzie zalecający się świętobliwością życia i nauką. Do tych więc, „którym powierzony jest wielki „i ważny urząd, pełen doniosłości dla kościoła i społeczeństwa chrześcijańskiego“ zwraca się Synod, aby oni wedle sił, *omni studio omni ope atque opera* starali się o to, żeby alumni ich „z dniem każdym „postępowali w nauce gruntownej (*solida et acurata*), we wierze „i pobożności... aby coraz bardziej pozbywali się ducha świata, „a przejmowali się duchem Kościoła“. Z głęboką znajomością życia duchownego, dają przepisy dotyczące się postępu i w enocie, polecając częste uczęszczanie do św. sakramentów, nabożeństwo do Najśw. Sakramentu i Bogarodzicy. Dalej ich staraniem będzie „aby młodziennaszk i włożyli się do reguł grzeczności i nabyli pewnej ogłady „towarzyskiej. Niech umieją tak miarkować głos, ruchy, chód „i strój, słowem wszystko, co w oczy wpada, aby przebijająca w całym ułożeniu ciała i z samego ubioru miła jakaś harmonia, zarówno „daleka od pospolitej rubaszości, jak i od wyszukanej elegancji „światowej. Chrześcijańska zaiste uprzejmość i słodycz w postępowaniu, płynąca z miłości i pokory, zdobi i jedna cześć stanowi „duchownemu i niemało dodaje uroku w enocie i nauce i to wreszcie sprawia, że słudzy Boży stają się ludziom pożądanymi i tem „łatwiej ich dla Chrystusa pozyskać mogą“.

Kursy nauk mają trwać przez lat sześć. Prym w nich dzierży nauka chrześcijańska, z postępem wieku i klas coraz obszerniej wykładana i objaśniana. Z języków a zwłaszcza nowożytnych, mają sobie przyswoić przedewszystkiem język angielski do tego stopnia, aby nim poprawnie, łatwo i wykwiśtnie władali. Oprócz tego, każdy

z seminarystów musi się nauczyć jeszcze jednego z języków: niemieckiego, francuskiego, polskiego lub innego z słowiańskich, hiszpańskiego lub włoskiego, jak biskup rozporządzi wedle potrzeb dyecezyi. Z klasycznych języków szczególny nacisk położony na język łaciński, stąd polecane ciągle tłumaczenia z ojczystego języka na łaciński i na odwrót, codzienne uczenie się na pamięć starożytnych autorów, wyroby wolne i t. d. Znajomość greckiego języka do tego ma być doprowadzoną, żeby mogli z łatwością nowy testament rozumieć. Z innych gałęzi nauk ma być udzielaną historia kościelna i powszechna, a zwłaszcza ojczysta „aby w młodzieńcach podsycać miłość ojczyzny, dobremu obywatelowi przystojną“. Dalej geografia; z matematyki: arytmetyka, algebra, geometrya i trygonometrya; z nauk przyrodniczych: fizyka, chemia, historia naturalna, geologia i astronomia — w takiej mierze, aby alumnom po wyjściu z seminarium, nie obce były wiadomości, którychby brak przynosił ujmę każdemu młodzieńcowi dobrze wychowanemu¹.

Kierownicy i nauczyciele mają tak przez motywa nadprzyrodzone, jak i pobudki naturalne obudzać w uczniach zapał do pracy wytrwałej *ad strenue constanterque laborandum*. W tym też celu ustne i pisemne ustanawiają egzaminy, które odbywać się mają wobec biskupa lub jego delegatów. Każdego zaś półrocza klasyfikacya, donosząca o zachowaniu się i postępie w naukach każdego w szczególności ucznia, ma być biskupowi posłana².

Przechodząc do seminarium wielkiego malują biskupi w przesłicznym wstępie ich cel i zadanie. „Tu przygotowują się ostatecznie ci, co stać się winni światłem świata, solą ziemi i przywódcami ludów, co uzbrojeni jakby obosiecznym mieczem cnoty i nauki mężnie o prawdę się zastawiają a błędy stanowczemi ciosy pokonywają, co możni w czynie i słowie o świecie wychodzą jako dobrzy i dzielni pracownicy na uprawę i straż winnicy Pańskiej, gotowi cali się poświęcić na chwałę Bożą i pozyskanie dusz braci „swoich“³.

Stąd biskupi jak o „źrenicę oka“ swego dbać mają o semi-

¹ Tit. V. C. I. n. 145—149.

² Tit. V. C. I. n. 151.

³ Ibid. C. II. n. 154.

narya, ojcowską troskliwością je otaczając. Wszystkich sił dokładać mają oni *omnes zeli nervos intendant Episcopi* aby w nich „klero-rycy kształcili się w zbawiennej a gruntownej wiedzy a przytem „postępowali w pobożności, cnotach i duchu Kościoła“. Często więc biskup ma osobą swoją nawiedzać seminaryum, aby się przekonać tak o pilności nauczycieli, troskliwości zwierzchników, jak i o postępie w naukach i karności swych kleryków.

Synod, omawiając jakim ma być grono zwierzchników i nauczycieli, nader wysokie stawia wymagania. Rektorem ma być „mąż „nieposzlakowanych obyczajów, odznaczający się powagą, doświadczeniem, roztropnością, pobożnością, gorliwością i resztą cnót kapłańskich, czujny i baczny, umiejący łączyć siłę ducha w chowaniu karności z łagodnością i słodyczą“. Nauczyciele prócz przymiotów kapłana wzorowego mają to być ludzie „zupełnie oddani „studyom, wesoło znoszący jarzmo przepisów i brzemię pracy“. Ponieważ, jak uczy doświadczenie, stałe posady posiadający profesorowie, więcej się przykładają do pracy, dla tego nie mają oni być czasowo tylko mianowani, ani podlegać częstej zmianie. Biskup przez zaszczyty na nich zlewane ma im umilić ich trudne położenie i godność profesora podnieść, a doczesne ich potrzeby tak opatrzyć, aby nie mieli czego zazdrościć swoim rówieśnikom. Zabezpieczywszy w ten sposób profesorom ich byt i godność, odzywa się do nich Synod: „Profesorów naszych seminaryów upominamy „i błagamy, aby na chwałę Boga i Kościoła wielkiem i ochotnem „sercem, z dojrzałą roztropnością i pilnością spełniali tak pożyteczny „i wysoki urząd, i całych siebie poświęcili na rozszerzenie i uświe- „tnienie wiedzy kościoła. Niech im urząd ich tak drogim będzie, „żeby nawet prac apostolskich poza seminaryum nie przyjmowali, „gdźż te ich od niego odrywać mogą“.

W dłuższym ustępie przechodzi Synod przymioty i urząd ojca duchownego w seminaryum. Dając mu skazówki co do kierownictwa i kształcenia duchowego kleryków, w podniosłych wyrazach kreśli przymioty dobrego kapłana, wylicza całe bogactwo cnót, jakimi ma być przyozdobiony sługa Boży, temi słowy kończąc: „Niech usiłują w alumnach te cnoty przedewszystkiem zaszczerpieć, „których brak szczególnie czuć się daje w naszym wieku, a więc „pokorę, posłuszeństwo i należyte zwierzchności poszanowanie. Niech

„przywykają nie dogadzać swym zachciankom i pragnieniom, by im „wśród ognia walki nie brakło męskiej stałości i abnegacyi kapłańskiej“.

Co do studyów, ma być w seminariach przez dwa lata wykładana filozofia a przez lat cztery teologia. Z filozofii logika, metafizyka i etyka i obszerniejsze zasady fizyki. Mówiąc o teologii pierzeństwo przyznaje Synod teologii dogmatycznej. Wykład jej ma być pozytywno-spekulatywny. W kwestye czysto spekulatywne, niewiele pożytku przynoszące nie powinni się zbyt zapuszczać, albo nawet je opuścić, a za to jak najobszerniej i najdokładniej mają być wyłożone i roztrząśnione kwestye w dzisiejszych czasach potrzebne, a zwłaszcza o fundamentach religii i objawienia, o kościele, jego naturze, powadze i jego własnościach, wreszcie o prymacie i nieomyślności rzymskiego Papieża.

Na półrocznych, albo przynajmniej rocznych egzaminach, ma prezydować biskup, albo jego wikaryusz generalny, w asystencyi egzaminatorów dyecezalnych i innych światłych kapłanów. Nadto rektorat seminarium ma zdać piśmienne sprawozdanie biskupowi co roku, o stanie każdego z alumnów.

W odłączeniu zupełnem od świata, w ciszy niemal zakonnej, sposobią się seminarzyści przez ćwiczenia duchowne i kształcenie umysłowe na przyszłych *lux mundi, sal terrae i duces popolorum*. Przy czujności i staranności przełożonych i dobrej woli młody lewita zaczyna rozumieć coraz więcej potrzebę wewnętrznego ud skonalenia się, nabierać chęci do walki z sobą, pracować i więcej uważać na to, czego mu jeszcze nie dostaje a do czego dojść powinien. Nie jeden lekkomyślny, oziębły, z małym powołaniem — wstąpiwszy do seminarium, przy zachętach i przestrobach gorliwych przełożonych, patrząc na dobry przykład rówieśników — powoli poważnieje, otrząsa się z gnusności duchowej i wyrabia w sobie święte pragnienie służenia Bogu, nie dla korzyści materyalnych, nie dla zabezpieczenia sobie wygodnego i bez troski życia, ale żądze służenia Bogu dla Boga. Tymczasem rok szkolny się kończy, w czasie feryj wraca się do dawnego otoczenia, a nieraz — do dawnego trybu życia, przywyczek, znajomości i z powrotem do seminarium zdarza się, że ani przełożeni, ani sam alumn nie może poznać sam siebie. Chcąc temu niebezpieczeństwu zapobiedz, biskupi amerykańscy pozakładali wi-

giliatury dla swoich seminaryów, podobnie jak to oddawna ma miejsce we Włoszech. Niestety — ubolewa Synod, nie wszystkie dyecezye mogły to skutecznie. Z wielką więc obawą o swoich wychowanków, z troskliwością dobrej a przezcznej matki upominają biskupi kleryków, którzy w domach swych rodzin lub znajomych mają przebyć wakacye, aby „niebezpieczeństw się strzegli, zajęciem pożytecznem miarkowali rozrywki ducha, nie oddawali się bezczynności, „nie zaniedbywali ćwiczeń duchownych zwykłych w seminaryum“, słowem mają się starać o to, ażeby „z błogosławieństwem Bożem“ spędzili czas wypoczynku koniecznego. Proboszczom zaś nakazują, aby przybywających na wakacye kleryków wzięli w szczególną swoją opiekę i baczenie mieli oko na ich zachowanie się, zajęcia i t. d. Klerycy dlatego, zaraz na wstępie powinni się przedstawić proboszczowi miejscowemu i jego duchownemu kierownictwu się poddać. Aby im dać sposobność do ćwiczenia się w gorliwości i poświęceniu się, ma im proboszcz zlecić katechizowanie dzieci i posługiwać się nimi przy odprawianiu nabożeństw. Na końcu zaś wakacyi ma proboszcz posłać dokładną relację o zachowaniu się kleryków do rektora seminaryum albo biskupa, a to *gravata ejus conscientia*.

W Ameryce, od początku rozkwitu Kościoła aż do tego czasu, panował stan misyjny. Istniały dyecezye mające na czele swym biskupów, ale były to w istocie wikaryaty apostolskie, w których biskup był najwyższym przełożonym misyi. Nie było przy katedrach kapituł, nie istniały probostwa, ale stacye misyjne, a każdy był z kapłanów *ad nutum Episcopi amovibilis*. Stąd trud zarządu całą dyecezyą spadał na biskupa, co przy ogromnym obszarze dyecezyj niezmiernie utrudniało porzebnny dozór. Zalecając tedy zwołanie Synodu Ojciec św. w liście do arcybiskupa Gibbons'a zaznaczył to wyraźnie. *Plenarium Concilium, decrevimus, ut Episcopi collatis consiliis quae... ad statum Dioecesium ita ordinandum, ut proprius id commune Ecclesiae jus, quantum fieri possit accedat... opportuna in Domino judicaverint, proponant*¹.

Posłuszni wezwaniu Ojca św. poczynają biskupi od kapituł

¹ Litterae Apostolicae Leonis XIII. ad V. F. Jacobum Gibbons.

katedralnych. Uznają w zasadzie nader opatrne ich ustanowienie, aby jako senat kościoła dyecezalnego i radą i czynem wspierali biskupów, którzy licznym zatrudnieniom sprostać sami przez się nie mogą. Wyrażają swe życzenia *magnopere optandum*, aby jak najprędzej mogło być skutecznionem rozporządzenie Kościoła w tej mierze, ale na razie szkopuł nieprzebyty, *rerum conditiones*, stają na przeszkodzie. Ale co się nieda w zupełności osiągnąć, przynajmniej w części zastąpionem być może. „Jak długo nie będzie można przy dzisiejszym stanie rzeczy założyć kapituł, niech będą ustanowieni konsultowie dyecezalni“. Mają to być mężowie ducha kapłańskiego, nie poszlakowani w życiu, odznaczający się gorliwością, roztropnością, znajomością ludzi, zachowaniem św. kanonów i dyecezalnych przepisów. Ma ich być sześciu albo czterech, a w razie niemożności, przynajmniej dwóch. Wybór ich zależy od biskupa, który połowę z nich sam zamianuje, drugą połowę *post propositionem Cleri*. Wszyscy kapłani pełniący obowiązki w dyecezyi mają podać na piśmie imiona tych, których za godnych uważają urzędu konsultorów, po trzech kandydatów wymieniając na miejsce każdego konsultora. Z tych ma wybrać biskup, których będzie uważał za zdolniejszych.

Rady konsultorów używać będzie biskup, kiedy będzie chodziło o zwołanie Synodu dyecezalnego, o podział parafii lub oddanie jej pod kierunek jakiegoś zakonu, przy wyborze deputatów dla Seminarium dyecezalnego, lub naznaczeniu nowego konsultora. Przy zamianie dóbr i ziem dyecezyi lub misyjnych stacyj, może biskup sam działać jeśli suma nie przenosi 5 tysięcy dukatów, w innym razie powinien tę rzecz poddać pod rozwałę konsultorów i odnieść się do Propagandy, której udzielił Leon XIII. na prośby biskupów amerykańskich i przez wzgląd na szczególniejsze położenie tamtejszego kościoła, szczególnej w tej mierze władzy. Obrani konsultorowie przez trzy lata mają swój urząd sprawować, i tylko z słusznej przyczyny mogą być od niego zwolnieni jak dla choroby, utraty sławy i t. d. Cztery razy, a gdzieby to nie mogło być przynajmniej dwa razy na rok mają odbywać wspólne posiedzenia, na które ich biskup zawezwie, któremu jednak przysługuje prawo zebrać ich w celu narady, kiedy tego uzna potrzebę.

Stosownie też do dekretu Soboru Trydenckiego¹ ustanawia Synod Baltimorski egzaminatorów dyecezalnych. Przed nimi stawie się mają tak przystępujący do święceń kapłańskich, potrzebujący jurysdykcji do słuchania spowiedzi, starający się o beneficyum nieruchomości, młodzi kapłani przez pierwsze pięciolecie, przystępujący do święceń kapłańskich, i kandydaci do Seminarium większego. Egzaminatorów tych ma być sześciu, a mają to być mężowie w duchu kościoła *viri ecclesiastici*, odznaczający się prawością życia i ile możności jak najbieglejsi w teologii a zwłaszcza prawie kanonicznem.

Już z polecenia II. Synodu Baltimorskiego ustanowiono w niektórych dyecezyach dziekanów, którzy wspomagać mają biskupów w zarządzie dyecezyą, przypomina to Synod obecny, żądając aby doświadczonych na ten urząd wybierano kapłanów w swym zawodzie, znanych z nauki, pobożności i roztropności, którzyby w taki sposób urząd swój wykonywali, aby byli istotnie „i okiem i uchem „biskupa, z dyskrecją czuwali po ojcowsku upominając, wiernie „donosząc biskupowi wszystko co się tyczy duchowieństwa i ludu“.

Oddawna było już staraniem biskupów, aby jak dyecezya tak i parafia każda miała swego własnego pasterza. Ale już II. Synod orzekł, że obecne położenie nasze na to nam nie pozwala, wyraził jednak życzenie, aby zwolna, o ile na to pozwolą okoliczności, starali się biskupi zbliżyć do praktyki całego Kościoła. Polecał dalej tenże Synod, żeby w miastach zwłaszcza większych utworzono parafie nadając rządcom kościołów prawa proboszczów. Nie chciał atoli przez nazwę parafii i proboszcza nadawać rządcy kościoła *jus inamovibilitatis*, upominając biskupów, aby z tego prawa korzystali tylko z ważnych przyczyn.

Od ostatniego koncilium, jak się wyraża Synod III., nie zmienił się stan rzeczy do tego stopnia, aby literalnie mogło być zachowaniem wszystko co przez św. kanony zwłaszcza Soboru Trydenckiego zostało co do utworzenia parafii zadecydowanem. Aby się jednak wedle możliwości zbliżyć do praktyki całego Kościoła, każe Synod biskupom, żeby naradziwszy się z konsultorami swymi, wybrali te stacye misyjne, które się więcej nadają do tego, by z nich

¹ Sess. XXIII. c. 7.

można utworzyć parafie. W każdej z nich ma być kościół, szkoła dla obojga płci, dom dla kapłana i dochody pewne i wystarczające na utrzymanie tego wszystkiego. W takich miejscach mają w przeciągu trzechlecia po ogłoszeniu Synodu¹ ustanowić rządce stałego *Rectorem inamobilem*. Stacya misyjna raz zamieniona na parafię ma nią pozostać na zawsze, nawet w razie nowych podziałów, zmniejszenia jej terytorium nie traci swych przywilejów. Odłączone jednak od niej części i jako osobne okręgi parafialne zmienia się w stacye misyjne. Na razie stanowi Synod, co do liczby stałych rządców, aby w każdej dyecezyi na dziesięciu jeden był stały *rector inamobilis*. I tego stosunku (jeden na dziesięciu) w przeciągu 20 lat nie mają biskupi zwiększać. Od kapłana, który ma zostać rządcą stałym wymaga Synod następnych warunków: 1) aby przynajmniej lat 10 pełnił urząd kapłański w dyecezyi; 2) aby przez ten czas okazał się zdolnym do rządzenia parafią tak w rzeczach duchownych, jak i doczesnych; 3) aby stanął do egzaminu konkursowego, który odtąd ma być obowiązującym przed otrzymaniem stałego beneficjum. Na razie jednak dozwala Synod biskupom z poradą konsultorów zamianować rządców stałych ze zwolnieniem od konkursu. Kto raz ustanowionym został rządcą stałym, nie może być przeniesiony ze swego miejsca, tylko dla kanonicznej przyczyny — i nie pierwiej aż po przeprowadzeniu procesu wedle najnowszej instrukcyi propagandy wydanej dla Stanów Zjednoczonych *Cum Magnopere*. Gdyby rządcą stały bez własnej winy stał się niezdolnym do sprawowania urzędu, ma go biskup nakłonić, by dobrowolnie zrezygnował. W razie, gdyby się tenże wzbraniał ma mu dodać administratora z należytą pensją, albo w nadzwyczajnych wypadkach i dla nader ważnych przyczyn pozwala Synod biskupowi usunąć niechęącego dobrowolnie ustąpić. W każdym jednak razie ma go biskup z poradą konsultorów stosowną pensją opatrzyć, z dodaniem tytułu *rector emeritus*. (Dok. nast.)

X. Zdzisław Bartkiewicz.

¹ Ogłoszenie ich nastąpiło w roku 1886.



KILKA UWAG O PESYMIZMIE W NOWELISTYCE WSPÓŁCZESNEJ.

W żywej gonitwie dziennikarstwa za nowiną polityczną, za tajemnicami gabinetów, za tem czego codziennie łakną ciekawi a chciwi sensacyi, nie starczy nieraz czasu, by się rozpatrzeć w niejednem, co pośrednio wpływa, lub wpływać może na nas, jak truczizna, co jednym ducha, drugim bodaj humor zatruwa.

O pesymizmie możnaby dziś konkursową napisać rozprawę, ba! dzieło w kilku tomach, gdyby się komu konkurs taki ogłosić podobało. Tego się może nie doczekamy, więc bodaj drobne słowo uwagi nie zawadzi. Pesymizm żre jak rdza, trawi, niszczy; jest to jakiś grzyb w intelektualnem i moralnem znaczeniu, grzyb, nowotwór domagający się operacyi.

U nas wrósł przeważnie w beletrystykę, a szczególnie w nowelistykę najnowszą, a chociaż jej całkowicie nie opanował, przecież groźny dla niej próchnem, zniszczeniem, a czytelnikom trucizną. Na dziś zająć się pragnę pesymizmem w nowelistyce, która w dziale beletrystycznej literatury, coraz szersze zatacza kręgi.

Beletrystyka w ostatnich czasach rozwija się, owszem rozlewa niemal powodzią. Zdobywa sobie szeroki, niemal olbrzymi teren, rozlewa się w coraz szersze koła czytelników na wszelkich stopniach rozwoju intelektualnego. Wdarła się w archiwa i źródła historyczne, dokąd dawniej jeno uczony historyk zaglądał, dotyka życia politycznego, społecznego, rodzinnego, ale jak powódź zabiera męty, tak i beletrystyka niesie z sobą choroby, lub mody wieku, a często idzie w służbę: już nie haśle, ale pustych lub beiecznych wykrzyków bądź politycznych, bądź społecznych, albo dogadza nerwowym

porywom czy zboczeniom, a przeto nie spełnia w całości zadań artystycznych, a ze względami etycznymi niekiedy do walki staje.

Beletrystyka przybiera nazwę realizmu, zasady, na której wsparła się sztuka. Użycie tej nazwy bywa często nadużyciem, a najłagodniej powiedziawszy: pseudonimem wstrętnego naturalizmu, lub ponurego pesymizmu. Naturalizm wstręt może obudzać i obudza, a przeto mniej niebezpieczny; pesymizm niebezpieczniejszy, bo przybiera pozory systemu filozoficznego, a więc pozory naukowej prawdy. Zdawałoby się, że w naszej literaturze, niema dla pesymizmu miejsca, bo temperament nasz do optymizmu skłonniejszy; zdawałoby się, że pesymizm reprezentowany przez Hartmana we filozofii niemieckiej, która się splamiła wykrzykiem: *ausrotten*, u nas nie przyjmie się, nie wyrośnie — a jednak... wybujał.

Przyczyn pesymizmu szukać należy w nowszych badaniach naukowych w zakresie nauk przyrodniczych, filozoficznych, ekonomicznych, społecznych. Teorya ewolucyi, pozytywizm, prądy socyalne wdarły się na Parnas, jak w dowcipnym wierszu Asnyka „Napad na Parnas“, stały się modą może chorobą wieku, bo najczęściej nierozumiane należycie, a powtarzane i kolportowane bezmyślnie. Zaciężyły one nad społeczeństwem, które nie umiało odróżnić kalkulu przemiennego, od niewzruszalnych prawd piękna i dobra konwulsyi rozumu od zdrowia wiary, badań nad przeobrażeniami materyi od niespożytości ducha.

Pesymizm ten pielęgnowany, wypieszczony niemal w beletrystyce, najsilniej odzywa się w nowelli i tu go przedewszystkiem zwalczać należy. Powieść i fabułą i akcyą obszerniejsza, ma zapas szczegółów rozmaitej barwy, różnego tonu: więc nastrocza więcej sposobności do rozwagi, a nawet zniewala do niej. Nowella, skupiona około jednego motywu, działa doraźnie i albo odstręczy, albo podbije, na refleksyę nie zostawia czasu. Czy to bawić nią i rozweselać chciano, jak Boccacio, czy wzruszać i porywać jak Cervantes, Rabelais, Scarron, Tieck, a nawet Schiller i Goethe, czy też zmącili ją: Daudet, Maupassant, Coppes, Zola... zawsze była jak kamyczek w procy, co by i Goliata mógł obalić, gdyby tylko Dawidów do rzucania starczyło. Chociaż wysoko cenimy talent i prace nowelistów naszych, wszelako cieszymy się, że nie wielu ma

z nich Dawidowe namaszczenie, bo zdrowy rozum narodu, byłby się już jak Goliat rozciągnął pod tyłu proc pociskami.

Nie chcemy wcale ubliżyć talentowi i stanowisku nowelistów naszych, boć wśród nich widzimy starą gwardyę pisarzy, widzimy takie nazwiska, jak: Orzeszkowa, Hajota, Hagenowa, Zapolska, Gomulicki, Wołowski, Prus, Okoński i t. d. i zdolnych autorów nowego zaciągu — a jeżeli się zwracamy z bronią do ataku, to nie przeciw zasłudze tych pisarzy w ogóle, jeno przeciw ich grzechom nowelistycznym. Nawet wielcy, miewają chwile małości! a o tych to małościach dziś mowa. Nie jestże to małością pokłonić się modzie, ująć ją za kolana i spełniać jej kapryśne wybryki, pisując rzeczy, od których nerwy pękają.

Zdenerwowanym spokoju potrzeba, jasności, a nie mar i ciemnicy! Nerwowi, lubimy dziś czytać wiele, a krótko; rozkwit dziennikarstwa mnoży potrzeby fejetonowe, toż możnaby gwiazdy jasne rozsypywać po ziemi, a kto już gwałtem pozbyć się chce idealizmu, dać mu prawdę, ale rzetelną, jasną, i życie malować, jakim jest w całym swoim pojawie, a nie w wyjątkowych fatalnościach. Cóż natomiast dostajemy? Treścią nowelli bywa niemal zawsze: jakiś smutny, nieszczęśliwy wypadek; zwycięstwo zuchwałej zbrodni nad sprawiedliwością, tryumf rozpusty nad cnotą, namiętności nad charakterem. Cienie, brudy, męty, pesymizm najstraszniejszy! I to sobie nazwę realizmu przywłaszcza? To ma być obrazem życia, jego aktualnych stosunków?

Że życie jest trudem, pracą, walką, cierpieniem, tego nas uczy doświadczenie; że wśród tych walk zdążamy do celu wyższego, uczy nas wiara; że w cierpieniu doskonalić się mamy, uczy nas etyka; a nowelistyka dzisiejsza chciałaby nas nauczyć — że życie jest nieszczęściem bez ratunku, że jest igraszką losu, dziełem ślepego przypadku, wynikiem sił ścierających się w przyrodzie, klęską jakąś, od którejby nam uciekać samobójczo należało. Gdybyśmy ugięli czoła przed tą nauką, trzeba by nam zaprzeczyć się cywilizacyi chrześcijańskiej, uwierzyć w „siłę przed prawem“, a tego podobno nie wolno nam uczynić bez zabicia w sobie samych siebie.

Weźmy pierwszą lepszą z tego rodzaju nowel n. p. „Tadeusz“ Orzeszkowej. Rzecz napisana z wielkim talentem, bez aparatu literackiego, pełna prostoty, przez co tem silniejsze wywiera wrażenie.

Nie wiem, czy ktokolwiek przeczytałszy „Tadeusza“ „do poduszki“ spał spokojnie bodaj dwie godziny. Straszna, jak tajemnicza, pleśnią pokryta woda, która pochłonęła małego Tadeusza. Gdyby taka nowella pojawiła się luźnie, jako sporadyczny objaw zbolalej duszy autora — nie miałaby groźnego znaczenia, ale będąc ogniwem w łańcuchu podobnych sprzągniętych w systemat — przeraża; bo czyni nie-szczęście prawidłem życia.

Pesymizm dzisiejszy straszniejszy od bajronizmu. I ten był pesymizmem, ale pojawił się w towarzystwie erotyzmu, co ziemię w niebo zamieniał; bajronizm pozwalał walczyć i zwyciężać, dzisiejszy pesymizm odbiera nadzieję zwycięstwa, ze złem nawet nie dopuszcza walki. To już prawdziwie Dantejskie *Lasciate ogni speranza*. Gdyby ten pesymizm miał zwyciężyć, nie znalazłby się nowy Dantyszek, coby zawołał: Jeszcze nie zginęła! i poszlibyśmy dobrowolnie w polityczną i duchową służbę u obcych.

Taki kierunek nadają dziś nowelistyce przeważnie kobiety. Ks. Bismark oddał cześć Polkom, poczytując je za najsilniejszą zaporę germanizacji. Widywaliśmy w nich wzór poświęcenia, bohaterstwo ofiary, dźwignię wiary i miłości ojczyzny i liczymy się z ich działalnością intelektualną. Polska liczy kilkadziesiąt kobiet w szeregach malarzy, sto kilkanaście w liczbie muzyków, z których Zofia Oleśnicka jeszcze w 16 wieku jako kompozytorka się pojawia; auterek około czterech set, z czego około trzysta na XIX. wiek przypada. Czybyśmy do tej liczby chętnie zaliczali autorkę *Akwarel*? Czyby z Tańskich Hofmanowa nie odwróciła się od tych kobiet auterek, co w swych akwarelach zepchnęły kobietę pomiędzy zwierzęta? Czyby mógł się do autorek odezwać W. Pol, jak niegdyś w „Gnieździe synogarlic“ do „Jaskółek wileńskich“, skoro jedna z poetek — i to wic⁴iego talentu, przed śmiercią wyznała, iż poza życiem doczesnem, nic nie ma. Coby dziś powiedział p. Emil Hervet, który cześć złożył polkom autorkom w swej pracy: *Relations sur les travaux de Madame Duchńska*.

Byłoby to straszne, gdyby nie pociecha, że to rzecz mody, że to drganie nerwów. Znakomity, genialny Sienkiewicz zaczął od nowel chmurnych, smętnych, pesymistycznych, lecz wnet rozjaśnił ducha i dał nam kipiące życiem arcydzieła: „Ogniem i mieczem“ i „Potop“. Nie każdy może w ten sposób nagrodzić literaturę, boć

siła talentu płynie z daru Bożego; ale każdemu wolno cisnąć pióro, skoro nie słucha wymagań etycznych i estetycznych.

Nam nie wolno zostać kolporterami nadsprewskich hasel i tendencyj, apostołami tej wiary, że zuchwalstwo — skoro ma siłę i zręczność — ostatecznie zwycięża, bo zwyciężyć musi; nam nie wolno zostać niewolnikami fatalizmu, bo rezultatem byłoby: samobójstwo lub zezwierzęcenie.

Nas atoli nie ustraszają ani pesymistyczne dogmata filozofii Hartmanowskiej *ausrotten*, ani pesymistyczna polityka siły przed prawem, ani ich sojusznik: pesymizm nowelistyczny. Jasno nam w duszy, bo roztwieramy ją ku temu światłu, co spływa stamtąd z góry, od Boga. Wiemy, że wiara, że Bóg, to źródła życia; a komu one na drodze życia wyschły, ten nie umrze, ale już umarł. Nie nerwy, nie krew, rządzą człowiekiem, ale duch; jeno go potrzeba umieć uczynić swym panem.

W to zbrojni, odpowiadamy wszelkiego rodzaju pesymistom słowami poety: „Bóg był i jest!”

Czesław Pieniążek.



O OBJAWIENIU.

Korzyści objawienia wykazane przez apologetów a niezbite przez zarzuty racjonalistów. — Pożytek z objawienia w życiu indywidualnem i socyalnem — udoskonalenie duszy, płynące z wiary w tajemnice Boże. Potrzeba objawienia co do prawd nadprzyrodzonych, racjonalnych, religii i moralności dotyczących. Dowód św. Tomasza — źródło tej potrzeby — dowód historyczny — zarzuty racjonalistów.

Stwierdziwszy istnienie tajemnic Bożych, o których Bóg tylko człowieka pouczyć jest zdolny, zastanowić nam się teraz wypada, ażali to objawienie jest dla nas korzystnem albo zgoła koniecznem. Apologeci chrześcijańscy wszystkich wieków i czasów, jednozgodnie wykazywali korzyści i potrzebę objawienia, nie tylko co do tajemnic ponadrozumowych, ale nawet naturalnych, tyczących się religii i moralności. Od półtora wieku dopiero wyrosły na gruncie protestanckim racjonalizm, przeczy wszelkiemu objawieniu, nie widząc, jak twierdzi on, żadnej korzyści dla rozumu ludzkiego z poznania prawd niepojętych.

Ale przypuściwszy nawet, że prawd objawionych nie możemy zaliczyć do zdobyczy bogacących zakres wiedzy ludzkiej, czyż wobec faktu nieulegającego żadnej wątpliwości, wolno nam zaprzeczyć jego istnienia. Wszakże i w tym nieprzejrzanym obszarze natury, tyle jest roślin i trawek, tyle robaczków i różnych żyjątek, w każdym niemal królestwie czy zwierzęcem, czy roślinnem czy mineralnem, tyle jest rzeczy, których celu nie znamy, i nie umiemy określić jaki stosunek zachodzi między nimi a innemi stworzeniami, lub też całością świata, a czyż dlatego możemy głosić, że ich nie masz, skoro byt ich jest faktem pewnym i widocznym. Każda czynność, którą

Bóg w swej mądrości podejmuje dla nas — a więc i objawienie jest dla nas najwyższej wagi i doniosłości.

Prawdą jest, że tajemnic Bożych nie zgłębiamy w całej ich pełni, i zawsze one są przepaścią niedościgłą oczom ziemskim, ale poznajemy z drugiej strony istnienie przymiotów Bożych i ich istotę, choć nie zupełnie ale w głównych zarysach. A takie poznanie nader jest cenne dla rozumu naszego. *Incomparabili facilitate praestantius est* mówi św. Augustyn ¹ *Deum ex quantacunque parte pia mente sentire, quam illa universa comprehendere*. Znajomość Boga choć cząstkowa tylko i niedoskonała więcej waży niż najdoskonalsze poznanie całego świata. To samo nieco ogólniej twierdzi św. Tomasz, mówiąc, że o rzeczach najwznioślejszych wie-
 dza choć niezupełna najwięcej udoskonala duszę, że zatem rozum dobiega niejako do kresu swej ziemskiej doskonałości, kiedy przez wiarę dosięga onych tajemnic Bożych, których nigdy pojąć nie zdoła ². Że znajomość choć niecałkowita jakiegoś przedmiotu kształci nasz umysł, jestto prawda powszechnie przyjętą, o której nikt nie wątpi, owszem w naszych czasach, prawda ta stała się zasadą kierowniczą w szkołach publicznych. I tak w najniższych już szkołach ludowych udziela się małym dziatkom różnych wiadomości z fizyki, chemii, kosmologii, fizjologii, i t. d., a przecież przedmiotów tych gruntowna i wyczerpująca znajomość jest dla nich niemożliwa. I czemuż to, czemuż tę zasadę nieraz aż do śmieszności posuwają obciążając młode główki wiadomościami, ich wiek i siły umysłowe przewyższającami. Jeśli więc jestto prawda przez ogół uznana, że wiedza choć niezupełna, lepszą jest niż wszelki brak onej, czemuż mamy tę zasadę odrzucać, kiedy chodzi o rzeczy daleko ważniejsze bo o rzeczy Boże?!

O wiele loiczniej postępował św. Augustyn, który na tem właśnie zasadza najwyższą chwałę religii chrześcijańskiej, że ona nie tylko uczonym ale i prostaczkom ogłasza najwznioślejsze prawdy

¹ S. Aug. de Genesi ad lit. l. V. n. 34.

² De rebus mobilissimis, quantacunque imperfecta cognitio maximam perfectionem animae confert, et ideo quamvis ea, quae supra rationem sunt, ratio humana plane capere non possit, tamen multum sibi perfectionis acquirit, si saltem ea qualitatunque tenet fide. Contra gentes l. V. c. 5.

które jedni i drudzy przyjmują z równie wielką duszy pociechą. *Hodie per gentes populosque praedicatur: In principio erat Verbum et Verbum erat apud Deum et Deus erat Verbum... ac talia jam populis per orbem leguntur et cum veneratione libentissime audiuntur*¹.

Ale bardziej widoczną, o większym zakresie i znaczeniu jest korzyść, spływająca z objawienia na życie moralne i socyalne rodzaju ludzkiego. Jedynie objawienie Boże otwiera przeobfite źródła czystej i wysokiej moralności, wszelkiej choćby najwyższej cnoty i doskonałości. Chwiejną i nędzną jest owa obyczajność, której od nas się domaga rozum: jak łatwo zadawalna się ona tylko pozorem zewnętrznym, jak często powoduje się własnym interesem. A inaczej prawie być nie może, jak długo rozum sam sobie jest zostawiony. Co za cel, co za wzór świątobliwości wskazać nam potrafi rozum?

Objawienie zaś ukazuje nam najwyższy i najdoskonalszy wzór: *Bądźcie świętymi, jako i Ojciec wasz w niebieszech świętym jest. Żebyśmy sobie nigdy nie mogli powiedzieć: teraz dosyć cnoty, dosyć sprawiedliwości, powołuje nas Bóg do nieustannego postępu w cnocie: Kto świętym jest niech się uświęca bardziej.* Postęp jest hasłem, jedynem marzeniem dzisiejszej oświaty, ale postępu prawdziwego i wysokiego, który nie zna cofania, ani odpoczynku, niemasz — tylko w chrystianizmie.

Cnota sama i postęp w niej jest niemożliwym bez ofiary siebie samego — bez ujarzmienia swoich namiętności. Ale któż nam doda siły i odwagi do podniesienia ręki na samych siebie? Rozum tak trudno pojmuje to prawo zadania sobie dobrowolnego gwałtu, łatwiej mu przychodzi w chęciach i pragnieniach naszych namiętności, upatrywać i uznać prawo ludzkiej natury. Czemże są owe prawa ludzkie *les droits de l'homme*, tak przez wielu nowszych filozofów wysławiane, jeśli nie prawami, każącemi zaspokoić i zadowolnić swe żądze i pragnienia naturalne. Ukrzyżowany — jedynie tę wysoką zasadę moralności głosi nam swą ofiarą krzyżową, pokazując zarazem że tak *potrzeba wejść do Królestwa niebieskiego*. Człowiek ma żądzę nieprzepartą niezmiernych bogactw, najwyż-

¹ De vera religione C. III.

szych zaszczytów i chwały, najśłodszych uciech duszy i ciała. Ale żeby tych skarbów nie szukał na nieprawej drodze, z podeptaniem i wzgardą bliźnich, na brudnych manowcach tego świata, nauczył go Boski Mistrz, że je znaleźć można jedynie w niebiosach, a droga do nich — droga ubóstwa duchownego, droga wzgardy dla ziemskich zaszczytów i uciech doczesnych. Rozum zaiste nigdyby człowiekowi tej drogi nie ukazał.

W życiu moralnem tyle się napotyka trudności i pokus, że niemal na każdym kroku grozi nam upadek. Nad przepaścią stąpamy — zwykliśmy mówić — a nie jestto czezym tylko frazesem, ale istotną prawdą. A czy rozum dostarcza nam broni przeciw tym ponętom, czy zabezpiecza nasze kroki przed upadkiem nieraz sromotnym i hańbiącym? Objawienie tylko ukazuje źródło niewyczerpane sił; z jednej bowiem strony stawia nam przed oczy niezrównaną godność duszy ludzkiej, która jest Kościołem Bożym i przybytkiem Ducha św., godność nawet tego ciała karmionego ciałem i krwią niepokalanego baranka, tym zadatkiem nowego i szczęśliwszego życia, z drugiej strony wszechmocną potęgę modlitwy w imię Zbawiciela — Sakramenty św. te skarbnice łask, odpowiadające wszystkim rodzajom naszych potrzeb duchowych.

W taki to sposób znajomość tajemnic Bożych, choć niedoskonała, potężny a zbawienny wywiera wpływ na życie moralne. Kto bada i rozmyśla tajemnice Boże — ten wie z doświadczenia, że w każdej tajemnicy zaczerpnąć można obfitego pokarmu dla duszy, siły moralnej do wszystkich walk, i pociechy wzmacniającej we wszystkich ciężkościach tego ziemskiego pielgrzymstwa¹.

A cóż powiedzieć o wpływie objawienia na życie socyalne? Fundamenty, na których wspiera się społeczeństwo ludzkie, występują w świetle objawionych prawd Bożych otoczone, przeniknięte boską trwałością, godnością i świętością. Fundamentami temi są: rodzina, powaga zwierzchności i wzajemna łączność. Co upatruje prosty rozum w związku małżeńskim, z którego wyrasta rodzina? Jeśli wysoko sięga, to widzi w nim jedynie prawny od samej natury ustanowiony środek do przechowania rodzaju ludzkiego. A tajemnica Boża nam odsłonią, przedstawia nam ten związek jako

¹ Bargier *Traité de la vraie religion* Part, III. ch. VII. art. 1. §. 3.

obraz innego związku nieskończenie świętszego, między naturą ludzką a Synem Bożym, który opuściwszy niejako łono Ojca poślubił sobie przez wcielenie rodzaj człowieczy, tworząc z niego w swym kościele ciało mistyczne które miłuje, *nutrit et fovet*. Stąd też Apostoł z tej tajemnicy wysnuwa zasadnicze obowiązki małżeństwa w nowym zakonie.

Wobec rozumu jak się nam przedstawia powaga zwierzchności. Oto wynajduje on różne systemy od niesprawiedliwej uzurpacji aż do kontraktu socyalnego i uniwersalnego suffragium. Z ust Chrystusowych słyszymy słowa wyrzeczone do Pilata: *Nie miałbyś żadnej mocy przeciw mnie, gdybyć zwierzchu nie dano*¹. Wszelka władza od Boga początek bierze i jest odbłaskiem Jego majestatu. Stąd Apostoł wyprowadza wniosek: *Wszelka dusza niech będzie poddana wyższym zwierzchnikom. Albowiem niemasz zwierzchności jedno od Boga, a które są od Boga postanowione. Przeto, kto się sprzeciwia zwierzchności, sprzeciwia się postanowieniu Bożemu. A którzy się sprzeciwiają ci potępienia sobie nabywają*, a w liście do Efezów tak się odzywa: *Studzy posłuszni bądźcie panom wedle ciała z bojaźnią i ze drżeniem w prostocie serca waszego jako Chrystusowi. Nie na oko służąc, jakoby się ludziom podobając, ale jako studzy Chrystusowi czyniąc wolę Bożą ze serca*.

A czemże jest wedle praw naszego rozumu ów węzeł poszczególne członki i rodziny w jedną społeczną kojarzący rodzinę, jeśli nie wspólnym interesem, nie miłością bliźniego, to zawsze i na każdym kroku ograniczoną miłością własną. Wedle nowszej filozofii socyalnej każdy winien miłować bliźniego, szanować jego prawa, a nawet nieść mu pomoc w nieszczęściu i biedzie, ale podstawą tej powinności jest litylko dobrze zrozumiany wzgląd na siebie. Gdzie więc znika własna korzyść, tam też i powinność ustaje.

O ileż wznioślejszą jest zasada, którą nam głosi objawiona prawda! Ona to bowiem odsłania przed nami ukrzyżowaną Miłość Bożą, wołającą ku nam z wysokości krzyża: miłujecie się nawzajem! nie tą miłością, którą siebie miłujecie, ale tą którą ja was miłowałem: cierpliwą, ofiarną, wytrwałą aż do śmierci, która nie wyklucza nawet wrogów, bom i ja za swych nieprzyjaciół śmierć krzyżową

¹ Ephes. V. 22.

poniósł i modliłem się do Ojca przedwiecznego: Ojcze, spraw, aby wszyscy byli jako i my jedno jesteśmy¹.

Życie moralne, przejęte wiarą w głębokie tajemnice Boskie, przenika też wszystkie stosunki socyalne, uszlachetniając je tak dalece, że całe życie rodzinne i obywatelskie ze swemi prawami i obowiązkami, ze swemi pracami i troskami staje się życiem nad-naturalnem, zasługującym na uwielbienie u ludzi, na wieczną zapłatę u Boga.

Ale gdyby nawet objawienie żadnej doczesnej nie przynosiło nam korzyści, to w samym akcie wiary w objawione tajemnice Boże tkwi wartość i godność tak wielka, że ona sama dowodzi dostatecznie pożyteczności objawienia. Akt bowiem wiary, jako akt najwyższego uwielbienia Boga, doskonali wewnętrzną swą zacnością duszę naszą.

W każdym akcie wiary, nawet między ludźmi zawiera się uznanie przymiotów świadczącego, tj. jego wiedzy i doświadczenia, z jednej, a prawdomowności z drugiej strony, co razem wiarogodnością zowiemy. Stąd nie znajdujący wiary u słuchaczy, czuje się obrażonym sądząc, że ma prawo do uznania. Tak samo akt teologicznej wiary jest uznaniem najwyższej mądrości Bożej, wobec której ludzki rozum jest tylko słabą iskierką a zarazem jest uznaniem prawdomowności Boga, która nie może w błąd wprowadzać człowieka. Oprócz hołdu rozumowi mieści w sobie akt wiary hołd wolnej woli. Skoro bowiem rozum uzna najwyższą mądrość i nieskończoną prawdomówność Bożą, to prawidłowo musi też uznać własną swą powinność względem Niego. Jeśli Bóg nieskończony raczy swoje stworzenie nauczać o jakiejś prawdzie, to stworzenie nie może zostawać obojętnem względem tej nauki, lecz dla stwierdzenia zależności swej od Boga powinno ją przyjmować z dziękczynieniem. Zbożna więc wola skłania się do przyjęcia jej i stawia pierwszy krok, który konsekwentnie prowadzi za sobą dalsze. Przypuśćmy, że posłaniec Boży, w Jego imieniu do nas przychodzi i przedstawia nam jakąś naukę, może nawet niepojętą, jako prawdę Bożą. Jak niegdyś Grecy w Areopagu z ironią mówili do św. Pawła: „Posłuchamy Cię kiedy indziej“, tak też i rozum z lekce-

¹ Św. Jan.

ważeniem mógłby się odwrócić od posłańca Bożego. Cóż więc go nakłania, że nauki tej słucha z uwagą, że sumiennie bada i ściśle rozbiera dowody posłannictwa Bożego? Dziełem to jest woli zbożnej przekonanej o tem, że rozum ludzki koniecznie powinien słuchać Boga, skoro On bezpośrednio lub pośrednio do nas przemawia. Oto hołd, który wola składa Bogu. Skoro rozum szczęśliwie zakończy to dochodzenie tytułów, którymi posłannik Boży dowodzi prawdziwości swego posłannictwa, to i wtedy nawet sam przez się nie jest jeszcze zniewolony do przyjęcia zastępcy Bożego wraz z jego nauką. Może bowiem sobie powiedzieć: mógłbym wprawdzie przypuszczać z roztropnością, że on od Boga posłany i Boskie opowiada mi słowo — ale widoczną rzeczą to jeszcze nie jest. Mogę się mylić w ocenieniu tych znamion, któremi on dowodzi swego posłannictwa. Któż mi zaręczy, że one nie są wypływem nieznanych nam sił przyrody? Wola więc musi skłonić rozum do przejęcia się tą wyższą zasadą: że Bóg sam zaniechałby musiał swej Opatrzności i stać się przyczyną naszego tak zgubnego błędu, gdyby pozwolił na to, aby fałsz i kłamstwo nosiły na sobie nieomylnne cechy Boskiej powagi. A zatem i w akcie wiary łączy się hołd rozumowi z hołdem woli dla Majestatu Bożego a te, jako czyny piękne i szlachetne potęgują wewnętrzną piękność i doskonałość duszy.

Przystąpmy teraz do kwestyi o jego konieczności. Arystoteles rozróżnia dwojaki rodzaj potrzeby: „potrzeba“ wyraża nieudolność podmiotu do osiągnięcia założonego celu oraz wymaganie środka do dopięcia owego celu. Jeśli nieudolność ta jest całkowita, bezwzględna, spowodowaną brakiem sił fizycznych, wówczas potrzeba środka, który jest także bezwzględny i fizyczny; jeśli zaś ta nieudolność wymaga tylko wielkiego sił natężenia wtedy potrzeba środka ułatwiającego osiągnięcie celu zowie się koniecznością moralną. Dalej nieudolność fizyczna podwójne może mieć źródło: albo wynika z braku siły proporcjonalnej do celu — tak np. rozum nasz nie jest siłą proporcjonalną do pojęcia niektórych prawd nieskończonej mądrości Bożej, albo też wynika z braku jakiegoś fizycznego warunku niezbędnego do działania siły fizycznej, tak np. oko ludzkie może dostrzedz otaczające je przedmioty, lecz potrzebuje do tego światła, jako niezbędnego warunku widzenia — bez światła wzrok nawet najbystrzejszy nieudolnym jest w działaniu.

Tak i dla oka rozumu koniecznym warunkiem do aktu intelektualnego widzenia jest bezpośrednia lub pośrednia obecność przedmiotu. Niezdolność moralna (*impotentia moralis*) wtenczas ma miejsce, kiedy podmiot wprawdzie posiada siłę wystarczającą do spełnienia pewnego aktu, albo do osiągnięcia jakiegoś celu, lecz z powodu trudności w porządku moralnym rzadko tego aktu dopełnia. Tak np. nie jesteśmy moralnie zdolni do ustrzeżenia się wszystkich błędów. Mamy wprawdzie fizyczną możność do tego i nigdy nie działamy pod wpływem przymusu, bo jeśli prawda nie jest widoczną, to zawsze możemy i powinniśmy się wstrzymać od sądu stanowczego, ale nieraz namiętności tyle mają własnych widoków w wydaniu owego sądu, że woli trudno się oprzeć tym ponętom i wskutek tego nakłania ona rozum pomimo braku widoczności do przyjęcia błędu za prawdę. Z nieudolności fizycznej wynika potrzeba środka fizycznego, któryby dopięcie celu uczynił możliwym. Z niezdolności zaś moralnej wypływa potrzeba środka, któryby pomimo trudności ujarzmiających rozum i wolę możliwym uczynił dopięcie celu albo też same trudności zwalczył i usunął. Zastosujmy te zasady filozoficzne do naszej kwestyi.

Najpierw, jeśli mówimy o człowieku wyniesionym do stanu nadprzyrodzonego, jasną jest konieczność objawienia, bo cały ten stan łącznie z nadprzyrodzonym celem człowieka i wszystkimi środkami doń prowadzącymi jest tajemnicą Boskiej mądrości; a przede wszystkim samo wywyższenie człowieka do nadprzyrodzonej godności, dobrowolnym czynem dobroci Bożej. Lecz poznanie dowolnych zamiarów Bożych nie w naszej jest mocy. Wszak nawet do przenikania sere ludzkich naturalnych zdolności nie posiadamy. Jakże więc myśli Boże przeniknąć byśmy zdołali? Nie, podobnie jak człowiek sam musi nam objawić swe dowolne względem nas zamiary, tak samo i zamiarów Bożych, nad wszelką wynoszących nas naturę, bez Bożego Objawienia poznać nie możemy.

Lecz niemniej potrzebnem jest dla rodzaju ludzkiego objawienie prawd przyrodzonych, dotyczących religii i moralności. Określmy to orzeczenie nieco bliżej.

Najprzód mówię tu o potrzebie dla rodzaju ludzkiego, to znaczy nie dla pewnej tylko klasy jednostek, lecz dla całego społeczeństwa, bo religia i moralność obowiązują całe społeczeństwo.

Powtóre chodzi tu o potrzebę objawienia prawd moralnych i religijnych, to znaczy, że rodzaj ludzki nie może bez objawienia dojść do znajomości owych prawd niezbędnie potrzebnych, aby żyć prawdziwie moralnie i Bogu Stwórcy oddawać hołd należny, godny rozumnego stworzenia. Wreszcie mówię tu o potrzebie moralnej, to znaczy, że człowiek jako jednostka wprawdzie posiada możność poznania prawd do tego zakresu należących, ale rodzaj ludzki w całości wzięty, tyle napotyka w tem poznaniu trudności, że o własnych siłach prawd tych jak należy dostatecznie nigdyby nie poznał.

Przed wszystkimi innymi wypada nam poznać dowód św. Tomasza¹.

Jakkolwiek każdy człowiek mógłby, zważając siłę jego rozumu, przyjść do poznania onych prawd, to jednak rodzaj ludzki nie jest zdolen do ich poznania. Niezdolność ta z trzech wypływa źródeł. Najprzód: poznanie prawdziwego Boga i obowiązku składania czci Jemu winnej, poznanie powinności moralnych, nieraz bardzo przykrych, a jednak koniecznych, należy do porządku wiadomości dla wielu ludzi zgola nieprzystępnych. Tu bowiem nie wystarcza jakakolwiek zdolność rozumu, lecz potrzeba nadto wykształcenia umysłowego, potrzeba wprawy w logicznem myśleniu, gruntownej wiedzy w dziedzinie różnych umiejętności. To wszystko zaś, choć leży w granicach naturalnej możebności ludzkiego rozumu, jednak w rzeczywistości jest udziałem bardzo ograniczonej liczby ludzi. Największa część, nawet w naszych czasach, tak wślawionej oświaty, nie celuje należytem wykształceniem umysłu, ani potrzebną umiejętnością, ani bystrością myślenia. Bo lepianka ciała naszego z duszą w jedną zespolona istotę, tak jest często ciężką i tak bardzo duszę obarcza, że wrodzone jej siły umysłowe, przytłoczone tym ciężarem, niezdolne są do rozwinięcia wyższych, doskonalszych swych czynności, a nawet bezsilne wobec zagadnień nadzmysłowej natury. „Jednym staje na przeszkodzie brak fizyczny, przez co „stają niesposobni do nauki. Stąd nie mogliby mimo wszelkich wysiłków dojść do kresu ludzkiej wiedzy, który zasadza się na poznaniu Boga“². Jak jednym jest na przeszkodzie brak talentu

¹ Summa 22 q. 2 a 4. — C. gent. l. I. c. 4.

² Quidam impediuntur propter complexionis indispositionem, ex qua

i umysłowego uzdolnienia, tak drugim brak czasu nie pozwala dojść do tychże wiadomości. Na ich nabycie potrzeba długiego czasu, nadto, różnym wprzód potrzeba się oddawać studyom, długo w nich pracować, głęboko się w nie zapuszczać — a to wszystko nie może być dziełem jednego dnia, ani jednego roku. Na to potrzeba długich lat wyłącznie i z całą swobodą poświęconych umysłowej pracy. A iluż to znajdzie się takich, którzy mogą swobodnie czas swój poświęcać umiejętnościom? Ogromna większość niemal od lat dziecięcych, pracować musi na kawałek chleba, troski rodzinne pochłaniają cały czas, a kłopoty majątkowe zaprzatają głowę, wysuszają serce i ducha obciążają ołowiem. *Primum est vivere et deinde philosophari*, to zasada praktyczna większej części ludzi. „Drugich, „mówi św. Tomasz, zaprzata troska o życie. Muszą bowiem wśród „ludzi znajdować się oddani zawiadowaniu rzeczy doczesnych, a ci „nie mogą tyle czasu poświęcić badaniu, by mogli dojść do szczytu „poznania tj. do poznania Boga“¹. Trzeciej części ludzi stoi na zawadzie lenistwo, gnuśność, zmysłowość. Prawda mało ich obchodzi, a rzadki tylko, podobnie jak ów stary filozof, ofiarowałby hekatombę za wynalezienie prawdy. Tylko uciechy zmysłowe, tylko uchylanie się od twardej pracy ma dla nich urok i ponętę.

Cała ich mądrość praktyczna zawiera się w tej zasadzie: Jak najwięcej używać, a jak najmniej pracować (*Der möglichen höchsten Genuss bei der möglichen geringsten Anstrengung*). Owej rozkoszy, jaką szukanie prawdy człowiekowi podaje, wcale oni nie znają; a ktoby im rozkosz tę chciał zachwalać, znalazłby tylko szyderczy uśmiech w odpowiedzi. A zatem owe prawdy zostaną dla nich zawsze zakrytą tajemnicą. „Innym znowu, jak mówi św. Tomasz, „przeszkadza lenistwo. Do poznania tego, co o Bogu dowiedzieć się „możemy, wiele potrzeba przedwstępnych wiadomości, gdyż cała „wiedza filozoficzna do tego zdąża... Jeśli więc z wielką pracą

multi naturaliter sunt indispositi ad sciendum. Unde nullo studio ad hoc pertingere possunt, ut summum gradum humanae cognitionis attingerent, qui in cognoscendo Deum consistit. S. Th. loc cit.

¹ *Quidam vero impediuntur, necessitate rei familiaris. Oportet enim esse inter homines aliquos, qui temporalibus administrandis insistent, qui tantum tempus in otio contemplativae inquisitionis expendere non possunt, ut ad summum fastigium humanae inquisitionis pertingerent, sc. Dei cognitionem.*

„przyjść można do poznania tej prawdy, nie wielu zechce tę pracę „podjąć z miłości dla wiedzy“¹. Jeśli więc nie wielu tylko dojść może do poznania Boga i moralności, toć większość ludzi w tym kierunku zawsze nieświadomą pozostanie.

Lecz co więcej, ta mała liczba ludzi, zdolnych siłą umysłu zdobyć poznanie prawdy, ma inną jeszcze trudność do zwalczenia. By odsłonić tajniki prawdy, na to długiego potrzeba czasu, nie tyle z powodu trudności w zrozumieniu jej samej, jak raczej dla mnóstwa różnych nauk, które tu niezbędny kurs przygotowawczy stanowią. Powierzchniwnie rzecz poznać, to nie trudne zadanie, lecz zgłębić przedmiot aż do rdzenia, poznać go wszechstronnie, to już wielkiej wymaga przenikliwości umysłu, która nietylko jest darem hojnej natury, ale zarazem owocem wielkiej biegłości i długoletniej pracy. Dodać i to należy, że wiek młodzięczy, wiek bujnych namiętności, nie lubi prawd poważnych, które swą surowością kładą wędzidło porywom, uczuciom, zmysłom i wyobraźni. Jeśli by więc rodzaj ludzki musiał siłą rozumu do znajomości prawdziwej religii i moralności drogę sobie torować, to w każdej generacji tylko podeszły wiek i zgrzybiała starość miałyby religię i moralne obyczaje, a przecież religia i moralność winny obejmować wszystkich członków społeczeństwa, a przedewszystkiem młodzież: bo tylko z pobożnej i moralnej młodości wyrasta pobożna i moralna starość. „Jeśli by więc człowiek, mówi św. Tomasz, tylko przez rozum mógł „przyjść do poznania Boga, to pozostałby cały rodzaj ludzki po „grążony w najgrubszej ciemnocie, gdyż poznanie Boga ludzi „najwięcej doskonalące byłoby przystępnem tylko dla niewielu, „i to po upływie długiego czasu“². Lecz nie tu koniec. Trzecia trudność zmniejsza jeszcze potężniej liczbę tych, którzyby zdolnościami umysłu i wieku mogli trafić do poznania prawd religijnych

¹ Quidam autem impediuntur pigritia, ad cognitionem eorum quae de Deo ratio investigare potest, multa praecognoscere oportet, quam fere totius philosophiae consideratio ad Dei cognitionem ordinetur... Sic ergo non nisi si non magno laboris studio ad praedictae veritatis inquisitionem perveniri potest, quem quidem laborem pauci subire volunt pro amore scientiae.

² Remaneret igitur humanum genus si sola rationis via ad Deum cognoscendum pateret, in maximis ignorantiae tenebris, quum Dei cognitio quae homines maxime perfectos et bonos facit non nisi quibusdam paucis et his paucis etiam post temporis longitudinem proveniret.

i moralnych. Źródłem tych nowych przeszkód jest skłonność umyślnego naszego do błędzenia w badaniu naukowem. „Trzeci szkopuł, naucza Anielski Doktor, to fałsz, najczęstszy towarzysz rozumowego badania“¹. Przyczyna tego podwójna: *debilitas intellectus nostri in iudicando*, rozum ludzki względem owych prawd, poza obreębem codziennego doświadczenia leżących, zawsze jest słaby tak dalece, że wobec ich światła z całą swą bystrością podobny jest do oka nietoperza, olśnionego blaskiem słońca. Stąd rozum nie jest pewien prawdziwości swego poznawania, jakkolwiekby ono było istotnem. „Wielu bowiem, jak mówi św. Tomasz, wątpiłoby o rzeczach najlepiej udowodnionych, nie znając procesu dowodowego, a zwłaszcza wiedząc, że wielu, którzy za mądrych uchodzą, naucają rzeczy różnych między sobą“². Powszechnym prawie błędem jest *phantasmatum permixtio*, pomieszanie pojęć. Rozum nasz często zwraca się do wielu naraz pojęć, a uwiedziony podobieństwem, nie dostrzega ich istotnej różnicy — i z tego to źródła pochodzi tyle błędów w ludzkiej wiedzy. Dość wspomnieć teorię dawniejszych fizyków, mniemających, że słońce obraca się około ziemi. Często wkrada się taka zamiana w zupełnie prawidłowe i ściśle rozumowanie, psując z gruntu wszystkie jego wnioski następne. Historia filozofii tym logicznym wybrykom zawdzięcza setki błędnych systemów. „Do wielu pewników udowodnionych, mówi św. Tomasz, wkrada się niekiedy jakiś fałsz, którego nie dowodzi się, ale przyjmuje na mocy prawdopodobieństwa lub sofismatu, co uchodzi niekiedy za dowód“³. Jasną więc jest rzeczą, że w ludzkim społeczeństwie istnieje moralna niezdolność poznania prawdziwej religii i prawdziwej moralności. Rodzaj ludzki potrzebuje zatem oprócz swej siły rozumowej jeszcze innego środka, zapomocą którego wszyscy, z łatwością i bez obawy błędu do poznania tych prawd przyjść by mogli.

¹ Tertium inconueniens est, quod investigationi rationis plerumque falsitas admiscetur.

² Apud multos in dubitatione remanerent ea, quae sunt verissime etiam demonstrata, dum viam demonstrationis ignorant, et praecipue cum videant a diversis, qui sapientes dicuntur, diversa doceri.

³ Inter multa etiam vere, quae demonstrantur, immiscetur aliquando aliquid falsum, quod non denisustratur; sed aliqua probabili vel sophistica ratione asseritur, quae interdum demonstratio reputatur.

Jakżeż temu zaradzić? Czy może wzajemnem pouczeniem się? Może uczeni, filozofowie mają być nauczycielami swych braci mniej wykształconych w rzeczach religii i wiary? Zaiste, wychowanie, nauka, są to środki pomocnicze przez samego Stwórcę ustanowione, w celu oświecania i udoskonalenia dusz ludzkich; lecz w religii i moralności ludzka nauka byłaby środkiem zgoła niedołącznym do zaszczerpienia prawdziwej znajomości Boga i gruntownej moralności w sercu człowieka. Przypuśćmy, że pojawia się naraz stu lub tysiąc mędrców, głoszących prawdziwą naukę o Bogu i moralności. Któż im uwierzy? Czyż nie znajdzie się tyluż innych mistrzów, którzy naukę ich zbijać i wyśmiewać będą? Kto im da dostateczną powagę, aby mogli skutecznie wszystkich pociągnąć do przyjęcia prawdy, nieraz tak przeciwnej głęboko zakorzenionym pojęciom, burzącym się namietnościami lub długoletnim nałogom, co już drugą stały się naturą. Gdybyż przynajmniej ci uczeni mistrzowie w swej nauce zgadzali się z sobą, toby ta sama jednomyślność dodała im powagi. Ale gdzież szukać tej jednomyślności? Nie było mędrców, którzyby nie znając objawienia, albo je odrzucając, zgodne stawiali teorie.

Historia filozofii jest znowu tego faktu dowodem niezaprzeczalnym. Każdy filozof stara się stworzyć system ile możności nowy, oryginalny, odrębny od wszystkich innych systemów, a jeśli go niestac na tyle twórczości, to przynajmniej wysila się na to, by stary płaszczyz swego mistrza, lub którego z swych duchowych przadków przykroić wedle własnego smaku i własnych poglądów, ustroić jak najjaskrawszą pstrokacizną myśli i obrazów i skleić bądź co bądź nowego arlekina mądrości... Czy tacy mistrzowie zdolni są przełać swe zasady w cały ogół ludzkiego społeczeństwa? To rzecz niemożliwa: bo najprzód musieliby sami przekonać się o ich słuszności i prawdzie. Bo tylko własne przekonanie potrafi przekonać rozumy i nakłonić serca słuchaczy. Ale takim chodzi tylko o rozgłos, o sławę wielkich myślicieli, o imię twórców nowej teorii. Czy znajdują prawdę, czy też się z nią miną, to dla nich rzecz obojętna, byleby tylko ułożyć jak najpiękniejszą mozaikę nowego systemu. Taka praca pychą natchniona, nigdy nie zrodzi szczerzego przekonania, które tylko prawda wywołać może. Przekonanie bowiem jest to pewna świadomość rozumu, który do pozna-

nia jakiegoś przymuszony został samą jasnością przedmiotowej prawdy; a ponieważ rozum stworzony dla prawdy, nigdy zniewolonym być nie może do przyjęcia błędu, więc też i prawdziwe przekonanie wobec błędu ostać się nie może, chyba umysłowy upór wywołany rozkazem woli, upatrującej własne dobro w uznaniu błędu za prawdę. Być może więc, że w sercu owych mistrzów upór zastępuje prawdziwe przekonanie, lecz i upór taki rozumu ludzi myślących ujarzmić nie zdoła. A zatem mistrzom, czysto ludzkiej filozofii, niedostaje i pewności i jednomyślności i powagi. Rzecz więc oczywista, że z tego źródła rodzaj ludzki nie może czerpać prawdziwej moralności i religii. Sam Bóg tylko otwiera ludziom niemyślne źródło prawdy, On tylko jeden może być twórcą prawdziwej religii i doskonałej moralności. Jego więc szczególna pomoc jest tu niezbędną. Bóg zaś w niewyczerpanej skarbnicy swojej mądrości ma tysiące dróg i środków do przyjścia w pomoc nieudolności swego stworzenia. Ze wszystkich jednak raczył on wybrać objawienie, które powierzył wybrancom swej łaski, wysyłając ich na cały świat z jasnymi dowodami boskości ich posłannictwa. W takim to a nie innem znaczeniu stawiamy konieczność objawienia Bożego co do prawd religijnych i moralnych, do których poznania człowiek ma wystarczającą siłę rozumu.

Na zasadzie powyższych wywodów ten już oczywisty pewnik zaznaczyć możemy, że ostateczna przyczyna nieudolności rodzaju ludzkiego do poznania prawd religijnych i moralnych, i konsekwentnie ostateczna przyczyna potrzeby objawienia tychże prawd, leży w słabości ludzkiego rozumu i w niekorzystnym wpływie woli. Kilka uwag lepiej jeszcze rzecz tę wyjaśni.

Racyoniści nie znajdują słów na uwielbienie siły i pojętności ludzkiego rozumu. Zaiste i my bynajmniej nie chcemy odmawiać rozumowi naszemu wrodzonych sił i zdolności, ani też twierdzimy, że rozum ten z natury swej skazany jest na wikłanie się w błędzie, lub że zupełnie jest niezdolny do zdobycia prawdy w kwestyach religii i moralności. — Owszem przyznajemy, że rozum ludzki posiada wrodzoną siłę wystarczającą, aby poznać Boga i obowiązki oddania Mu winnego hołdu, aby odróżnić złe od dobrego i poznać powinność oraz sposób wyboru tego co dobre a uniknięcia tego co złe. Lecz olbrzymia zachodzi różnica między siłą a nale-

żytem jej używaniem, między zdolnością do czynu a samymże czynem. Aby z siły rozumu wypływały należyte czyny, potrzeba długoletnią pracą rozwinąć ją i wykształcić. A lubo nie mniej wrodzone są też i prawa należytego używania rozumu, trzeba jednakże poznać je dobrze, obrać za modłę swych czynów, by nie zboczyć z prawego toru i wreszcie wzbogacić wielostronną umiejętnością, by po jej szczeblach wznieść się do prawd coraz wyższych. Choć więc natura dała rozumowi dostateczną siłę, nie dała jej zupełnego rozwoju, bez którego siła ta aktów swych z należyłą doskonałością samodzielnie spełniać nie może. Rozwój ten sił rozumowych natrafia na niezliczone trudności i przeszkody. Częstość sam stan, lub rodzinne i społeczne stosunki, wszelkiemu wykształceniu rozumu kładą nieprzebytą tamę. Często też wychowanie, dziedziczne przesady i t. d. sprowadzają rozwijający się rozum na niewłaściwe tory. Najczęściej wreszcie napotyka rozum na olbrzymie zapory w najbliższem swem otoczeniu, w skłonnościach moralnych lub we fizycznym ustroju ciała, wyobraźni i zmysłach. Prawda, że wszystkie przeszkody nie zmuszają rozumu do przyjęcia błędu, lecz bardzo łatwą do niego ścielą mu drogę. Błąd nigdy nie jest koniecznością, lecz zawsze dobrowolnym czynem nierozsądku i lekkomyślności. Powody bowiem doń wiodące zawsze są pozbawione oczywistości, a jedynie oczywistość podbija rozum. Gdzie jej niema, tam wola wywiera wpływ swój na rozum, nakłaniając go do przyjęcia jakiegoś zdania za prawdę. Wolę zaś nie zawsze nakłania do tego wpływu pobudka, zgodna z prawdą przedmiotową, ale najczęściej samolubna, nie wspólnego nie mająca z prawdą.

Nie twierdzimy bynajmniej, żeby każdy człowiek walczyć musiał z temi samemi trudnościami w pracy około wykształcenia się ani też, że każdy tym samym nieszczęściem ciężarem przytłoczony, do żadnej wogóle nie dochodzi prawdy. Byłoby to oczywistym fałszem. To jedno tylko twierdzimy, że każdy człowiek na drodze życia swego mnóstwo napotyka przeszkód, które mu wciąż utrudniają rozwój władz umysłowych a w poszukiwaniu prawdy często nieprzebyte stawiają zapory. Dodać tu należy, że nie w każdej gałęzi ludzkiej wiedzy te same trudności i w tym samym stopniu sprzeciwiają się odszukaniu prawdy. — Owszem we wielu umiejętnościach można łatwo ustrzedz się błędu i to tem łatwiej, im mniej dla woli przedstawia on powabu.

Lecz inaczej się dzieje skoro chodzi o poznanie religijnych i moralnych. Prawdy te bowiem wznoszą się ponad sferę codziennego doświadczenia, poza obręb łatwych do rozwiązania zagadnień życia ludzkiego. Jednym rzutem oka ogarnąć ich niepodobna — owszem przeciwnie prawdy te po długim dopiero i wielostronnem rozumowaniu w drobnych tylko kropelkach czerpać się dadzą, z tajemnych głębin natury. Słowem dochodzenie ich jest długą uciążliwą pielgrzymką, wśród drogi pełnej niebezpieczeństw. Najokrótniejszym lupieżcą jest sama wola z całym zastępem żądz i uczuć ludzkiego serca¹.

Chociaż społeczeństwo ludzkie do wykształcenia swych członków niezmiernie się przyczynia, choć w dążeniu do prawdy osiąga to, czego rozum jednostek nigdy zdobyć nie potrafił, choć wspólnymi siłami podsyca wciąż rosnący postęp umiejętności, to jednak z drugiej strony publicznem wychowaniem utrudnia a częstokroć nawet uniemożliwia rzetelną znajomość prawd religijnych i moralnych. Nikt może o zgubnym tym wpływie publicznego wychowania nie mówił tak dosadnie i prawdziwie, jak rzymski mówca i filozof, Cicero, pokazując, jak słaby promyk rozumu, którym nas obdarzyła natura, gaśnie niemal zupełnie w zgubnej atmosferze haniebnych obyczajów i błędnych opinii panujących na świecie. „Przyszedłszy na świat, stajemy odrazu wśród wszelkiego rodzaju zepsucia i zdrożności sądów, tak, iż niejako z mlekiem karmicielki wysysamy błędy. Skoro zaś oddadzą nas rodzicom a następnie powierzają nauczycielom, wtedy dopiero tak dalece różnorodnymi poimy się błędami, że prawda pozorowi, a sama natura zakorzenionym ustępuje przesądom. Na domiar złego wpadają nam w rękę poeci. A my, olśnieni blichтром ich mądrości i sławy, czytamy ich, słuchamy, uczymy się, wpajamy w swój umysł, a gdy wreszcie przystąpi do tego i opinia publiczna — ów najwyższy mistrz ludzkości — wraz z przesądami pospólstw, wówczas nawskróś już przesiąkamy błędnymi zdaniem i od natury, (tj. od przyrodzonego światła rozumu) całkiem odstępujemy“².

¹ Cf. Cicero Quaest. Tusc. l. III. *Denziger*, Religiöse Erkenntniss t. 2, pag. 64.

² Cic. Tusc. Qu. l. III. — *Morawski*, Filozofia i jej zadanie str. 415.

Tak się wyraził Cycero o ówczesnej epoce — a cóżby powiedział o dzisiejszej prasie, która tysiącennym korytem rozlewa fałsz i zepsucie we wszystkich warstwach społeczeństwa. Coby dopiero powiedział o dzisiejszej tyranii opinii publicznej, na której żółdzie walczą całe zastępy pism, rozmaitej wielkości, wszelkich barw i imion, a szerzących fałsz i niemoralność w najrozmaitszych postaciach. Chociaż więc Bóg promieniem mądrości swojej oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego¹, to jednak ten sam świat zdołał tak doskonale zgubny swój wpływ wywierać na swych synów, że cała ludzkość przez tyle wieków pozostawała w ciemnościach błędów, w prawdziwym cieniu śmierci, dopóki jej nie przyszła w pomoc światłość Bożego objawienia. A skoro omamiona blichtrzem fałszywej oświaty, to Boże światło odrzuci od siebie, wówczas cień śmierci znowu ją ogarną i zepchną do dawnego poziomu.

Często wspominaliśmy, że wolna wola najważniejszą gra rolę w historii religijnych i moralnych błędów, którym podlega cały rodzaj ludzki. Wymaga to pewnych objaśnień. Wola w swej istocie przez miłość dobrą się staje a zatem naturalną jej powinnością jest dążyć do posiadania dobra — nie tylko czczeni uczuciami, ale też i czynem, zastosowaniem odpowiednich środków. Szczęściem zaś woli jest cieszyć się posiadaniem dobra, któreby wszystkie jej dążności i pragnienia zupełnie nasycić zdołało.

Gdyby całą czynność woli zajmowało zawsze tylko dobro prawdziwe od Boga jej przeznaczone a odpowiednie jej wysokiej godności, to wówczas rozum niepotrzebowałby się nigdy wpływu woli obawiać. Lecz nie zawsze daje się kierować tem prawdziwem dobrem, owszem bardzo często zwraca się do dóbr pozornych do szychowych błyskotek, które nigdy nie zdołają zapłacić szlachetnych żądz i dążeń duszy człowieka.

Jednakże to przenoszenie fałszywego dobra nad prawdziwe nie jest wcale koniecznym następstwem wewnętrznej niedoskonałości woli, która zawsze mogłaby rozeznaczyć prawdziwe dobro od fałszywego blichtru. Możliwość tego zbaczania woli leży w jej samodzielnej wolności, przez którą dał Bóg człowiekowi możebność zasługi, aby mogąc odwrócić się od dobra, jednak je wybrała, według słów

¹ Św. Jan I. 9.

Pisma św.: *quum possit facere mala, non fecit*. Łatwość odstępowania od prawdziwego dobra zawisła od owego zepsucia natury, które nie Bóg stworzył, ale odstępstwo od Boga w niej zaszczerpiło. Nieraz wola wspina się aż na szczyt pychy i częściej sławy lub spada w przepaść niekczemnej żądzysku i cielesnych rozkoszy, jak gdyby to wszystko najwyższem jej dobrem być miało. Do tych celów częstokroć haniebne wybiera środki. Rozum wzdryga się zrazu przed hańbą tych celów i środków. Toczy się walka zacięta, ale niestety miłość zwycięża i podbija pod swe jarzmo rozum, który w końcu zmuszonym się widzi wynaleść racye, usprawiedliwiające wszelką zdrożność. Przyciśnięty tyranią woli musi racye te uznać za dobre: więc ucieka przed prawdą, rzuca na nią zasłonę lub prześladowuje gniewem, ironią i wszelką sztuką sofistyki. „Ludzie umiłowali raczej ciemność, niż światło, bo złe były ich uczynki, każdy bowiem, który złe czyni, nienawidzi światłości i nie chodzi w światłości, aby nie były zganione uczynki jego”¹. I dla tego to rozum poddany pod jarzmo zepsutego serca nie chce uznawać Boga — bo dlań straszną jest Jego nieskończona świętość; nie chce uznawać sankcyi pośmiertnej — bo go przeraża widmo zasłużonej kary; odrzuca obowiązki moralne — bo ciężar ich jest nieznośnym dla droższych namiętności i żądz zepsutego serca. Pod wpływem takiego nastroju woli, rozum musi albo innego stworzyć sobie Boga, którego zadowolnić nie byłoby tak trudno, albo też zaprzeczyć w ogóle istnienia Najwyższej Istoty. Słowem sercu ludzkiemu zbyt wiele zależy na sądzie rozumu, ażeby mogło obojętnie przypatrywać się jego pracy około poznania prawd religijnych i moralnych. Poznaje ono bowiem dobrze, że sprawa jego jest w niebezpieczeństwie, więc też wszelkich dokłada starań, by nie odnieść porażki. A że niemożliwa to rzecz żyć w niezgodzie z rozumem, więc, nie chcąc się poddać pod jego zwierzchnictwo, wszelkimi sposobami usiłuje nad nim zapanować. Zepsuta wola znajduje nadto niezmierną pomoc w moralnem zepsuciu świata, który tysiącznemi drogami bezbożność i rozpustę wprowadza do duszy. Wychowanie i wiedza, filozofia i sztuka, zyski materyalne i rozkosz cielesna, nienasycona żądza wielkości i sławy — wszystko pracuje nad tem, by w sercu i umyśle

¹ Św. Jan III. 19, 20.

człowieka zatrzeć wszelki błąd religii i moralności. Dowodem — dzieje długiej przeszłości i smutny stan epoki współczesnej.

Rzecz to więc niezaprzeczalna, że wszystkie przeszkody utrudniające rodzajowi ludzkiemu znajomość Boga i moralności i to tak dalece, że ani Bogu należytej czci oddawać ani życia prawdziwie moralnego prowadzić nie umie, wyrastają z grzechu, który, zgubnym swym wpływem psując ustawicznie rozum i wolę, spycha je z drogi prawdy na błędne manowce kłamstwa i bezbożności. Dzieje ludzkości stwierdzają wniosek ten najzupełniej. Dowodu tego obszerniej uzasadniać nie myślę, gdyż nowsi, znakomici Apologeci, świetnie wywiązali się z tego zadania¹. Sądzę jednak, że nie będzie tu rzeczą zbyteczną przynajmniej w głównych skreślić go zarysach. Przebiegnijmy szeregi ludów nie tylko takich, u których nie znać nawet śladu umysłowej oświaty, ale przedewszystkiem tych, u których filozofia najważniejszą odgrywała rolę — w jakim to stanie znajdziemy u nich religię i moralność?! Samo pojęcie o Bogu — zasadniczym spaczone błędem, tak dalece, że wszystkie ułomności i niedorzeczności ludzkie jemu przypisywano, miewając przytem pojęcia politeistyczne, personifikacyę namiętności i apoteozę występku. Gorszy od samychże bożyszcz był kult im oddawany, pełen najohydniejszych obrzędów. Dziwne to a straszliwe zjawisko! Ludy 'rozumne, wykształcone, podniesione nawet do wysokiego szczebla oświaty, zdaje się jakoby w pojęciach religijnych wyteęzały wszystkie swe siły, byle tylko najniedorzeczniejsze bajki i najohydniejsze bezeczeństwa złączyć we formie jakiegokolwiek systemu. Upodleniem godności człowieka były owe tajemnicze ofiary, któremi cześć składano pogańskim bożyszczom. Byli jednak już wtenczas ludzie rozumniejsi, którzy śmiali się z tej ciemnoty, tak szeroko wówczas rozpowszechnionej. Lecz mężom tym brakło odwagi, by publicznie wystąpić przeciw tym zasadom i odstręczać ludy od pojęć zarówno haniebnych dla rozumu jak i dla serca. Owszem co w poufałem kółku ostro ganili, temu sami hołowali publicznie. Dodać trzeba, o czem już wspominaliśmy, że owi mistrzowie, choć w jednym kie-

¹ Porówn. np. *Leland, Révélation prouvée par le paganisme* ap. Migue Demonstr. Evang. t. VIII. *Lupus, Le traditionalisme et le rationalisme*. Liège 1859.

runku lepszych uczyli zasad, to za to w drugim w tem grubsze popadali błędy, a rzadko kiedy zgadzali się z sobą. Byli podówczas i kapłani — lecz ich rzemiosło stanowiła raczej przebiegłość w kupczeniu mytologicznemi bajkami. Stróże odziedziczonych kłamstw i zręczni obludnicy, pod względem moralności nie mogli być też mistrzami cnoty — bo występnych bogów byli służalcami. W ogóle w starożytności nie było obowiązkiem kapłana czuwać nad moralnością ludu. Myśl tę podjęło dopiero chrześcijaństwo, domagając się świętości od kapłana, który z jednej strony służyć miał Bogu Najświętszemu, z drugiej uświęcać lud nauką i przykładem.

Historya więc narodów jasno pokazuje, iż żaden naród bez objawienia, ani o Bóstwie nie miał prawdziwego pojęcia, ani czci należytej Bogu oddawać nie umiał, ani nie poznał najpierwszych zasad moralności, a tem mniej jeszcze mógł mieć odwagi i siły do ćwiczenia się w prawdziwej cnocie. Owszem przeciwnie, fakt to widoczny w dziejach, że narody takie miały zawsze błędne, a częstokroć i sprzeczne pojęcia o Bogu i powinnościach etycznych; słowem — że mądrość i oświata ludzka nie potrafiła nigdy odwieść narodów od błędu niemoralności, a doprowadzić do prawdy i cnoty. Skąd łatwy wniosek, że jeżeli po upływie tylu wieków żaden naród nie zdołał własną siłą rozumu wznieść się do prawdziwej religii i moralności, toć widoczną jest rzeczą, że ta siła rozumowa przy pomocy naturalnych tylko środków nie wystarcza do poznania prawdziwej religii i moralności, a więc, że koniecznie potrzebuje mistrza Bożem oświeconego światłem, któryby miał powagę nauczania narodów religii i cnoty, a zarazem dostateczną moc, aby ich przekonać o prawdziwości i świętości swojej nauki.

Racyoniści podnoszą przeciw tej nauce o objawieniu, niektóre, jak im się zdaje, dość silne zarzuty, którym kilka uwag poświęcić wypada. Najprzód na zasadzie dogmatu o dobrodziejnej Opatrzności Bożej, stawiają oni następujący dylemat: Jeśli niezdolność rodzaju ludzkiego do poznania prawd religijno-moralnych rzeczywiście istnieje i skutek tego koniecznem jest ich objawienie, to dla czego Bóg przez tyle wieków tej tak koniecznej pomocy światu odmawiał i dziś jeszcze tylu narodom odmawia? Z faktu tego wynioskować można, albo że zbawienie ludów przez znajomość prawdy jest dla opatrności Bożej czemś zgoła obojętnem, albo, że

objawienie nie jest bardzo światu potrzebnem. Odpowiadamy na to: Bóg nie odkładał na późniejsze wieki swego objawienia, lecz zaraz od początku tak przed spełnieniem grzechu pierworodnego, jak i po jego dokonaniu nauczał ludzi swych prawd, nie odejmując im wolności — tak iż od ich woli zależało życie swe do otrzymanych nauk zastosować, albo występnie od nich odstąpić. Nad nieskażoną czystością nauki swojej opatrnie czuwało oko Boże, darząc patryarchów długowiecznem życiem. Były to żyjące pomniki prawd Bożych, kapłani objawienia wśród rozmnożonego Izraela, stróże nauki pokoleniom swym w puściźnie przekazanej, ale stróże namaszczeni łaską i powagą Bożą. Jeśli po wielu wiekach posiadania niewzruszonej prawdy, narody od niej odstąpiły, to ich w tem wina, ich błąd dobrowolny i dobrowolna ślepotą. Powstrzymywała ich od tego odstępstwa nietylko uznana od wieków powaga patryarchów, którzy te prawdy Boskie ogłaszali, nietylko cała przeszłość w której tyle ludów prawdy te zachowywało, czerpiąc z nich siłę, pociechę i nadzieję nagrody — ale odstępstwu temu sprzeciwiał się też sam rozum, bo jak mówi Apostoł: *Rzeczy jego niewidzialne od stworzenia świata, przez te rzeczy, które są uczynione zrozumiane, bywają poznane, wieczna też moc Jego i Bóstwo, tak iż nie mogą być wymówieni. Gdyż poznawszy Boga, nie jako Boga chwalili ani dziękowali, ale znikczemnieli w myślach swoich i zatłumione jest bezrozumne serce ich; albowiem podając się być mądrymi, głupimi się stali. I odmienili chwałę nieskazitelnego Boga w podobieństwo obrazu człowieka śmiertelnego i ptaków i czworonogów i plazę. Dla tego podał je Bóg pożądlivościom serca ich. Którzy prawdę Bożą odmienili w kłamstwo i chwalili i służyli stworzeniu raczej niż Stworzycielowi... dlatego podał je Bóg w namiętności sromoty*¹.

Błędy religijne i moralne pierwszych odszczepieńców wzrastały coraz potężniej i coraz liczniej mnożyły się w dalszych pokoleniach; a barbarzyństwo religijno-moralne pociągnęło za sobą barbarzyństwo ogólne: za odszczepieństwem od Boga szło najczęściej odszczepieństwo od wszelkiej oświaty. Lecz i w tym stanie nie opuścił Bóg zupełnie tych zaślepionych narodów, i nie opuszcza ich po dziś

¹ Rzym. I. 20—26.

dzień, gdziekolwiek się jeszcze znajdują. Wybrał sobie Bóg naród jeden, w którym Boską swą potęgą i Opatrznością przechowywał skarby prawd swoich. Postawił go jako pochodnię między narodami i opatrznościowem kierownictwem jego dziejów roznosił za jego sprawą objawienie swoje po całym świecie starożytnym. Jeśli zaś narody obojętnie lub nawet ze wstrętem i nienawiścią patrzyły na religię Izraela, toć znowu nie Opatrzności Bożej w tem wina, ale zły woli pogan, zatwardziały w dogadzaniu swym namiętnościom. Boska opatrzność ciągle pracowała nad tem, aby objawieniu swemu utorować drogę wśród nocy pogańskich ciemności. Ale miłszemi były pogaństwu nocne cienie, niż światło objawienia Bożego. Niewdzięczność ta nie zużyła miłosierdzia Bożego. Wiekową pracą przygotował Bóg drogi wielkiemu kapłanowi swej prawdy i Jego posłańcom. Same nawet błędy i wynikająca z nich nędza moralna ludzkiego społeczeństwa miała dopomagać Bogu w tem przygotowaniu serc ludzkich do przyjęcia prawdy. Musieli bowiem przekonać się ludzie, że źródłem ich nędzy były błędne zasady, musieli szczerem sercem zapragnąć nowej, zbawiennej prawdy. Dokonane przygotowanie świata na przyjęcie Zbawiciela — oto pełność czasów, kiedy posłał Syna Swego, który miał być dla wszystkich światłością, prawdą i żywotem. Chrześcijaństwo, to nowa pochodnia, oświecająca wszystkie narody. A jeśli i nią pogardzają, jeśli wszystkimi sposobami starają się ją zagasić i zniszczyć, to znowuż nie brak tu Opatrzności Bożej, jedno brak dobrej woli ludzkiej — umiłowali więcej ciemności niżli światłość: bo ich uczynki złe były — tak iż i oni są niewymówieni¹. Pamiętać należy i o tem, że każdy w szczególności tyle miał siły przyrodzonej i nadprzyrodzonej pomocy, że łatwo mógł poznać, iż takie zasady religijne i moralne wręcz są przeciwne rozumowi i prawdy w nich być nie może.

Bo jako Apostoł mówi: Bóg nie zostawił samego siebie bez świadectwa czyniąc dobrze z nieba, dając dżdże i czasy urodzajne, napełniając pokarmem i weselem ich serca² a wszyscy mają „dzieło

¹ *Bossuet*, Discours sur l'Hist. univ. *Hettinger*, Apologie 2 Th. Ab. 22. Auctor de vocat. gentium l. II. c. 22.

² Dziej. Apost. 14 16.

zakonu napisane w sercach swoich, gdy im sumienie ich świadectwo daje i myśli między sobą różne, albo je odtwarzające, albo też wymawiające¹. Z tymi promykami naturalnej światłości Bożej łączy się i światło łaski pokazując każdemu, kto oczów przed niem nie zamyka, co trzeba robić dobrego, jakiego zła unikać, jeśli zaś każdy to wypełnia, co jest jego powinnością, to i Bóg nie odmawia łaski hojniejszej, która prowadzi człowieka do pełnego poznania prawdy, choć i drogą nadzwyczajną. Jest to nauka w kościele Bożym stara i ogólnie od doktorów św. przyjęta. Za czasów św. Augustyna mówił świetnie o tem Orosius: „Jestto moje stateczne i niezachwiane „zdanie, że Bóg używa pomocy swej nietylko Ciału swemu, którem „jest Kościół, ale wszystkim ludom na tym świecie, i to nie ogólnie „tylko, ale szczegółowo przez czasy, dni, momenty i atomy, wszy- „stkim i każdemu z osobna². A św. Tomasz tę samą wyłuszcza naukę: „Zawsze Bóg przybywa z pomocą człowiekowi starającemu „się o swe zbawienie, chyba się dobrowolnie ociągał, stąd wyjaśnie- „nie o tych rzeczach, które są niezbędne do zbawienia albo odbiera „on z Boskiego zrządzenia przez głosiciela wiary, jak to widać na „Korneliuszu, albo przez objawienie, które odebrawszy może wolna „wola rozpocząć działanie“³. Z tego wszystkiego wnioskować można że położenie pogańskich narodów, ich ciemnota moralna i religijna wiekotrwała, nie może stanowić zarzutu Boskiej Opatrzności ale raczej jest dowodem nigdy nie wyczerpanej miłości i miłosierdzia, która nikogo nie opuszcza jeśli sam pierwaj się nie opuścił — tak dalece, że Bóg *justificatur in omnibus operibus suis et vincit cum judicatur*.

X. Antoni Langer.

¹ Rzym 2. 15

² Mea semper est, haec fidelis ac indubitata sententia, Deum adiutorium suum non solum in Corpore suo quod est Ecclesia, verum etiam universis in hoc mundo gentibus subministrare, et non solum generaliter, sed *speciatim* quotidie per tempora, per dies, per momenta per atomos et cunctis et singulis ministrare.

³ Deus nunquam homini quaerenti suam salutem deest, vel defuit nisi ex culpa sua removeat; unde explicatio eorum, quae sunt de necessitate salutis, vel divinitus homini porriditur per praedicatorem fidei, sicut patet de Cornelio, vel per revelationem (i. e. aeternam inspirationem) qua supposita in potestate liberi arbitrii est, ut in actum exeat. S. Thom. I. III. Sent. dist. 25, 9. 2, a 1. Opusc. de veritate q. II. a 11, ad 1.



PAMIĘTNIKI HRABIEGO BEUSTA.

(Friedrich, Ferdinand Graf von Beust. Erinnerungen und Aufzeichnungen aus drei-Viertel-Jahrhunderten. Stuttgart 1887).

Za dawnych czasów pamiętniki mężów stanu spoczywały w archiwach setki lat. Stary książę Metternich pozwolił ogłosić swoją autobiografię i korespondencję co najwcześniej lat dwadzieścia po swojej śmierci. Ostatni kanclerz austriacki inaczej postąpił. Zaraz po ustąpieniu z ambasady paryskiej, wziął się do pisania pamiętników z zamiarem ogłoszenia, jak tylko będą gotowe. Ciężkie i długie choroby opóźniły pracę. Dopiero na wiosnę ostatniego roku mógł oddać do druku dwa pierwsze tomy, których pojawienia się nie oczekiwał. Śmierć przerwała redakcją trzeciej części, mającej objąć pobyt w Paryżu.

„Byłem zawsze zdania, powiada autor w przedmowie, że pozagrobowe pamiętniki nie są niczem innem, jak ukrytem tchórzostwem. „Ogłaszanie pamiętników za życia jest połączone z niejedną trudnością i przykrością, ale pamiętnikarz znajduje nagrodę w tem, że może odpowiadać za to co napisał. Książka wydana za życia autora, musi mieć daleko większą wartość literacką, niż pośmiertna „publikacya“. Lecz hr. Beust miał ustaloną reputację znakomitego stylisty, a w pamiętnikach ludzi publicznych czytelnik szuka czegoś więcej, prócz literackich popisów. Istotną pobudkę pośpiechu znajdujemy w innym ustępie przedmowy: „Za dawnych dobrych czasów, mąż stanu usunięty od spraw nie potrzebował się bronić od napaści, bo cenzura go broniła. Odkąd nastąpiła wolność druku, człowiek, pozbawiony opieki ze strony cenzury, powinien używać dobrodziejstwa samoobrony, zwłaszcza gdy jego uczynki są codzien-

„nie przekęcane i gdy do tej roboty przykładają się, nie powiem „jego następcy urzędowi, ale ich zausznicy“. W samej rzeczy, pamiętniki hr. Beusta są obroną w procesie między nim a jego przeciwnikami różnego kalibru, zaczawszy od księcia Bismarka, a skończywszy na liberalnem dziennikarstwie wiedeńskim. Busch, chwalać żelaznego kanclerza, zaczął kanclerza austriackiego. Poschinger wydrukował korespondencję frankfurcką Bismarka, w której znalazł się niejedyn przyczynnik dla saskiego ministra — Węgrzy puścili bajkę, że nie Beust, lecz Lonyay z Andrassym obalił gabinet Hohenwartha. Partya wiernokonstytucyjna odplaciła czarną niewdzięcznością swemu protektorowi i dobroczyńcy. Liberalne dzienniki wiedeńskie, niegdyś pełne hymnów pochwalnych, zapomniały o zasługach ojca dualizmu i konstytucji grudniowej. Hr. Beust nie mógł tego strawić, więc nie mógł czekać z ogłoszeniem pamiętników. Obrona przysłała jednak za późno i za wcześnie. Za późno, bo już nikt nie interesuje się rywalizacją Beusta z Bismarkiem, tem mniej domowymi sprawami upadłych wielkości. Za wcześnie, bo hr. Beust nie mógł zdradzić prawdziwych tajemnic zakulisowych i wyprowadzić w pole najlepszych argumentów. Co się tyczy polityki Europejskiej i austriackiej, znajdują się po największej części same stare nowiny. Dokumenta zajmują wiele miejsca, ale stanowią najmniej ciekawą i najsłabszą stronę książki; prócz paru memoryałów i listów nowych, autor przedrukował swoje mowy parlamentarne, depesze znane z czerwonej księgi i moc artykułów dziennikarskich. Kanclerzowi niemieckiemu dostało się sporo razów, na plecach Buscha i Poschingera, albo pod postacią anegdotek, między którymi są prawdziwe perły. Pelemika z stronnictwem wiernokonstytucyjnem i gazetami zapełnia trzecią część książki. Gdyby ex-kanclerz miał choć najmniejszą szansę powrotu do władzy, możnaby zrozumieć i wytłumaczyć jego zapalczywość w polemice z cieniami; człowiek zużyty, stary i schorowany, a znający świat i ludzi, powinien był sobie oszczędzić zachodu. Ale czem skorupka nasiąknie za młodu, tem na starość trąci. Hr. Beust zawsze był zanadto czuły na opinię dzienników i takim został do śmierci.

Człowiek publiczny, postawiony na wysokiem stanowisku, musi mieć nieprzyjaciół; powinien być przygotowanym na ciężkie zarzuty i niesprawiedliwe oskarżenia; tudzież wiedzieć, że na to

niema innej rady, jak milczeć, albo bronić się prostem wyliczeniem własnych uczynków. Hr. Beust robi się małuczkim, zaręcza, że nigdy nikomu wody nie mącił i pod nikim dołków nie kopał. Będąc ministrem saskim, strzegł jak oka w głowie równowagi między Austryą i Prusami w związku niemieckim, a wojny 1866 wcale nie pragnął. Zostawszy kanclerzem austriackim, o odwecie przez sen nawet nie marzył; w Salzburgu z Napoleonem gawędził o Krecie i o pogodzie. Francję odwoził od wojny z Prusami i pomocy jej ani razu nie obiecywał. I tak we wszystkim. Ludzkość terazniejsza nie jest tak naiwną, żeby mu na słowo uwierzyła, a on sam, chcąc ująć za baranka jak śnieg białego, podaje się w podejrzenie, że prawdę umyślnie tai. Tymczasem, częściej podobno nie mógł, niż nie chciał być szczerym. Odkładając na później ogłoszenie pamiętników, byłby niezawodnie sobie i historii lepszą wyświadczył przysługę. Nie jest też niemożliwem, że reszta zjawi się kiedyś i pamięć człowieka uratuje.

Dopóki ministrował w Saksonii, hr. Beust nie był brany na seryo. Żartowano z wielkiego ministra małego państwa, który chciał gwałtem odegrać w Europie pierwszorzędną rolę, nie mając do tego ani talentu, ani odpowiednich środków. Talent miał i to niepośledni, tylko może zbyt płodny w pomysły i wybiegi, przytem za wiele ufności w swój spryt i dużo niespokojnego ducha. Nie dziwnego, że człowiek zdolny, ambitny i czynny, nie znajdując dla siebie pola w małej Saksonii, szukał pola szerszego w związku niemieckim, do czego go zresztą sam urząd powoływał. Związek czuł, że tak jak jest, ani żyć, ani umrzeć nie może i chciał się zreformować, lecz wszystkie plany reformy kończyły się na drobnych chęciach i projektach: Austrya i Prusy bowiem nie przypuszczały żadnej reformy, zamykającej im drogę do wyłącznego owładnięcia całym związkiem, a małe państwa, zazdrosne o własne przywileje, odmawiały najmniejszej z nich ofiary. *Bundestag* był przybytkiem intryg i machinacyi, złą szkołą dla ludzi politycznych. Ministrowi Saskiemu nie pozostawało, w Frankfurcie i Dreźnie, jak lawirować między Wiedniem a Berlinem. Sympatye i interesa ciągnęły Saksonię ku Austrii; historia i położenie geograficzne nakazywały wielką ostrożność względem Prus; ostatecznie — obu sąsiadom trudno było ufać. Sztukę żeglowania między Scyllą i Charybdą,

ks. Beust doprowadził do wysokiej doskonałości; przytem jednak nabrał różnych nałogów niekoniecznie chwalebnych. Na szerszej scenie i w normalnem położeniu, mógł innej miary dosięgnąć.

Po wojnie 1866, w Niemczech nie było dlań miejsca. Bolał nad tem mocno; polityki potrzebował jak ryba wody, zamysłał przeto zostać publicystą. Jakim sposobem przyszedł w Austrii do władzy, niewiadomo; on sam powiada, że myśl oddania mu spraw zagranicznych powstała sama w głowie cesarza Franciszka Józefa, i ta wersja wydaje się najbardziej do prawdy zbliżona. Złe języki w Wiedniu mówiły, że wzięto Beusta, jak się bierze szarlatana, kiedy doktorzy chorego odstępują. W istocie, kunszt domorodnych statystów nie wzbudzał najmniejszego zaufania. Beust używał reputacyi obrotnego człowieka: znał Europę, zwłaszcza ludzi i rzeczy w Niemczech, był obznajomiony z biegiem zagranicznej polityki austriackiej. Oddanie taki ministeryjalnej człowiekowi, którego Bismark urzędu pozbawił, było że strony Austrii aktem niezależności wobec Berlina. W końcu, hr. Beust miał wolne ręce i mógł równie dobrze zaprezentować politykę odwetu, albo politykę rezygnacyi, stosownie do okoliczności.

Nowy minister nie był złym nabytkiem: o ile szło o sprawy zewnętrzne, wybór okazał się bardzo szczęśliwym. Trzeba sobie przypomnieć, jaki wtenczas panował pesymizm, jak wszyscy zwątpili o bycie monarchii Austriackiej, jak głośno mówiono, że Austria nie może istnieć dłużej nad lat dziesięć, co najwięcej dwadzieścia. Hr. Beust przyniósł z sobą wesół temperament, dobry humor i maksymę: jakoś to pójdzie! Skwaszonym prorokom odpowiadał, że życie nie na to dane człowiekowi, żeby sobie i drugim czarnymi myślami zatruwać egzystencję. Austria była poróżniona niemal z całym światem, jej tradycye polityczne włoskie i niemieckie raptem zostały zerwane, należało wyrzec się odwiecznych aspiracyi i wynaleść nowy jaki kierunek: rzecz zawsze niełatwa, tem trudniejsza przy upadku na duchu i niedostatku sił żywotnych. Bądź co bądź, hr. Beust, nawiązał znowu stosunki z wszystkimi, nie wyjmując Prus i Włoch, te stosunki potrafił utrzymać, bez ujemy na honorze i godności, a po wojnie francuskiej bardzo zręcznie pojednał Austryę z nowem cesarstwem Niemieckiem. To wszystko

winno mu być policzonem, choć w tem nie była może jego wyłączna zasługa.

Wewnątrz zastał chaos i nieporadność: konstytucję zawieszoną, sejmy obradujące nad kwadraturą koła, spór z Węgrami przeciągający się w nieskończoność. Węgrzy mieli sobie przyrzeczoną odrębność, osobne ministerjum, koronację; obiecano im, że sprawy wspólne obejmować tylko będą interesa zagraniczne, wojsko i cła. Dualizm istniał już więc w rzeczy, pozostawały tylko szczegóły, formy i kwestya finansowa. Rząd usiłował nakłonić Węgrów do wejścia do Rady państwa, na co Węgrzy przystać nie chcieli. Między Wiedniem a Pesztem toczyła się korespondencya, pretensye węgierskie rosły, czas upływał, ale układ nie przychodził do skutku. Zapytany o radę, hr. Beust pojechał do Pesztu, zabawił tam dobę; żeby cylindrem nie obrażać uczuć narodowych, ubrał się w czapkę futrzaną, oddał wizyty Deakowi i innym matadorom, zobaczył ładne miasto, mnóstwo ślicznych kobiet i wrócił, nie zgłębiwszy wprawdzie kwestyi węgierskiej, ale z mocnem postanowieniem podbicia sere madziarskich. „Pisanina do niczego nie prowadzi“, dowodził w Wiedniu; kandydaci do tek ministerjalnych są upatrzeni, niech więc stawiają się tutaj i traktują z nami ustnie“. Hr. Belcredi, minister stanu, pochwalił propozycyę, bardzo zresztą trafną. Do układów stanęli ze strony węgierskiej Andrassy, Oetwös i Lonyay; z austryackiej Belcredi i Beust. Ten ostatni utrzymuje, że minister stanu sprzeciwił się przywołaniu na konferencyę fachowych doradców, mianowicie finansisty. Trzech twardych Madziarów, między sobą w zgodzie będących i popartych jednomyślnością sejmu i narodu, miało łatwą sprawę. Hr. Belcredi ustępował tylko z musu, starał się ratować co można i liczył, że w Radzie państwa ugodeę zdola sprowadzić do przyzwoitych granic; hr. Beust pomagał mu, jak powiada, dyplomatycznym talentem, można wszakże, bez ubliżenia jego pamięci, śmiało dodać, że szczerze sprzyjał Węgrom, którzy wytargowali niezmierne przywileje polityczne i finansowe. Ułożono także, że gdy komisye sejmowe w Peszcie układ potwierdzą, cesarz zamianuje ministerjum; po przyjęciu zaś ugody przez sejm nastąpi koronacya.

O zebraniu pełnej Rady państwa nie mogło już być mowy, ale ugoda musiała być zatwierdzoną przez drugą połowę monarchii,

która wskutek zawieszenia konstytucyi lutowej, nie miała do tego legalnego organu. Pozostawiało więc przedłożyć ugodę siedemnastu sejmom, albo wynaleść jakieś *mezzo-termine*. „*Parlamentarisches Leben, war mir wie Licht und Luft*“, powiada hr. Beust. Stan „rzeczy, sprowadzony zawieszeniem konstytucyi, był mi wstrętnym, „a po otwarciu sejmów krajowych, nieznośnym. Gdy w sejmie Dolnej Austrii Mühlfeld napadł na mnie, namiestnik zdobył się na „odповідź — *eine grossartige Antwort* — że: nie powiedzieć nie „może, bo idzie o nieobecne. Do zaczepek byłem przyzwyczajony, „ale miałem zwyczaj sam się bronić“. Zażądał przeto zwołania Rady państwa. Hr. Belcredi przystał na Radę państwa nadzwyczajną. Hr. Beustowi nadzwyczajna Rada była miłą, niż żadna, zyskiwał bowiem „światło i powietrze“, możność staczania oratorskich turniejów, ale i nie więcej. Przy ówczesnym składzie i usposobieniu sejmów krajowych, wiadomem było naprzód, że przyszła Rada ugody węgierskiej bez zmiany nie przyjmie; poczem wypadało na nowo traktować z Węgrami. Hr. Belcredi na to właśnie liczył, spodziewając się tą drogą złamać prepotencję Madziarów i lepsze wy dostać warunki. Skutek był więcej niż wątpliwy. Umowa zawierana między dwoma stronami, z których jedna wiedziała czego chce, czuła się silną, szła jak jeden mąż i stała twardo przy swoim interesie, a druga zwątpiła o sobie i była podzieloną na partye, gotowa paktować z przeciwnikiem, taka umowa nie mogła ostatecznie nie wypaść na szkodę słabszego; innej ucieczki wszakże nie miano. Hr. Beust, Austriak świeżej daty, lepiejby był zrobił gdyby zostawiając odpowiedzialność komu innemu nie wdawał się w nie-swoje rzeczy.

Pokusa jednak była wielką. Hr. Beust nie bardzo pasował do systemu, reprezentowanego przez ministra stanu, utrzymać mógł się tylko kosztem wielkich wysiłen i prawdopodobnie nie długo. Odrzucenie ugody w Radzie państwa znaczyło dlań utratę popularności pośród Węgrów; musiałby był poprzestać na tece spraw zagranicznych i nie mieszać się do spraw wewnętrznych, chyba gdyby go o radę poproszono. Natomiast przeprowadzenie szybkie i łatwe ugody otwierało przed nim szerokie widnokręgi. Załatwiając dwudziestoletni spór z Węgrami, dokazywał sztuki jakiej żaden jego poprzednik nie potrafił dokazać, zamykał usta niechętnym, dowodził, że

jest człowiekiem pożytecznym i na przyszłość stawał się niezbędnym, bo z jednej strony zdobywał wdzięczność Węgrów, a z drugiej w Austrii stały grunt pod nogami. Jedni Niemcy liberalni byli gotowi Węgrom wszelkie poczynić ustępstwa, pod warunkiem, że oni będą panować i rządzić w Cislitawii. Osobiste opinie i sympatyje ciągnęły Beusta ku liberałom, którzy wiedzieli doskonale, że on jeden może im drogę do władzy utorować. Stał więc pakt. Niemcy żądali przywrócenia konstytucyi lutowej i zwołania zwyczajnej Rady państwa; hr. Beust przeprowadził ich program, obalili ministra stanu i sam objął naczelnictwo gabinetu. Słodkim przymusem zniewolono niektóre Sejmy do wysłania delegatów, oporne zostały rozwiązane; w Czechach nowe wybory, przeprowadzone *mit Hochdruck*, dały większość Niemcom, a partyi liberalnej przewagę w Radzie państwa.

Odtąd hr. Beust przeszedł w służbę stronnictwa wiernokonstytucyjnego i niezliczone oddał mu usługi. Dualizm znaczył sam z siebie tyle co rządy Madziarów po tamtej, a rządy Niemców po tej stronie Litawy, lecz niekoniecznie stąd wypływało, aby do władzy przyszedł żywioł skrajny, uosobiony w Giskrze i Herbście. Hr. Beust przełamał wstręt cesarza do nowego kierunku i do nowych ludzi, on im jednal w parlamencie brakujące głosy; on ojcował konstytucyi grudniowej i pierwszemu gabinetowi parlamentarnemu pod prezydentą księcia Karlosa Auersperga, czyli tak zwanemu *Bürger-Ministerium*.

Odstąpiwszy naczelnictwo gabinetu ks. Auerspergowi, hr. Beust otrzymał tytuł kanclerza państwa, który mu naturalnie sam z nieba nie spadł. Starając się o godność kanclerską, miał dwie rzeczy na oku: stanąć na równi z Bismarkiem i Gorczakowem i otworzyć sobie furtkę do spraw wewnętrznych Monarchii. Pomysł nie był szczęśliwym. Konstytucya nie знаła kanclerza; Węgrzy kręcili nosami na reminiscencyą z czasów Metternichowskich, ani w prawnych, ani w faktycznych stosunkach nie było miejsca dla kanclerza innego, jak malowanego. Brukowa opinia stołeczna trafnie określiła stanowisko swego ulubieńca: kanclerz nie ma prawa wtrącać się do spraw wewnętrznych, ale za wszystko co się dzieje odpowiada. Hr. Beust sam się na to naraził, wzięwszy kanclerstwo na seryo. W stosunku do Węgrów, wiedząc, że oni nie lubią żar-

tować, kontentował się tytułem; w Wiedniu sięgnął po więcej. Natura odmówiła mu instynktu autokraty i żalaznych szponów, więc o wszechwładzy nie marzył. Prędzej uśmiechała mu się rola wice-imperatora, jak p. Rouher grał przy Napoleonie III. Co najmniej chciał być ministrem wszechwiedzącym i wszechobecnym, dożywotnim protektorem i suflerem rządzącego stronnictwa, ulubieńcem opinii i bożkiem gazet. Nie mogąc dopiąć swego prostą drogą, uciekł się do sztuczek: wszędzie się wtrącał, niewołany i nieproszony narzucał wszystkim swoje rady i usługi; tem ludzi do siebie zraził i cesarzowi śmiertelnie się uprzykrzył.

Kiedy został mianowany ambasadorem w Paryżu, jeden z księgarzy tamtejszych, Niemiec, odezwał się do Klaczki: szkoda że nam tu Beusta przysyłają, bo to największy na świecie intrygant. Klaczko mu odpowiedział następną anegdotą: W początkach konsulatu Bonaparte zwiedzał więzienie Ludwika XVI. „Tu trzymaliśmy tyrana“, rzecze doń dozorca. „Gdyby był tyranem, odparł Bonaparte, to by on tu nie był siedział“. I ja, dodaje hr. Beust, gdybym był wielkim intrygantem, to bym umarł na kancelerstwie. Jest w tem trochę prawdy. Intrygant na wielką skalę, musi wiedzieć ile sobie może pozwolić, mieć odpowiednią dozę miary i taktu, wreszcie, trzymać język na wodzy. Król Jan Saski, który hr. Beusta znał na wylot i bardzo lubił, winszując mu wstąpienia w służbę Austriacką, do innych rad dołączył przestrożę: *Sie schreiben sehr schön, nicht kalligrafisch*¹, *aber vergessen Sie nicht, dass Nadelstische oft mehr Weh und mehr Zorn verursachen, als Prügel*. Tymczasem hr. Beust wolął duszę stracić, niż jaki koncept dla siebie schować. Wiedział dobrze dalej, co kosztowały cesarza takie rzeczy, jak sankcya konstytucyi grudniowej i praw wyznaniowych, jak obecność w Radzie ministrów Giskry i Herbsta; pomimo tego wymógł zerwanie kunkordatu, który mógł bezpiecznie na papierze pozostać, i kopał dołki pod ministrami monarsze miłymi. Niedosć, że to wszystko przeparł, jeszcze w dodatku chciał przekonać świat, że nikt inny, tylko on

¹ Beust gryzmolił jak kura. Przyjaciół jego Weber mawiał o nim: „Beust hat drei Handschriften: die erste, die nur Zschille (sekretarz jego) lesen kann, die zweite, die nur er lesen kann, und dritte, die er selbst nicht lesen kann“.

tych cudów dokazał, chciał zostać najpopularniejszym w Austrii człowiekiem, zbierać oklaski w izbie i owacje na ulicy.

Podczas koronacyi w Peszcie, jechał przed cesarzem, jako senior kawalerów orderu św. Stefana. Na widok ojca dualizmu, tłum krzyknął: *Eljen Beust!* i takiego narobił hałasu, że kanclerz o mało z konia nie zleciał. „Jeszcze żaden minister austriacki nie był tak w Węgrzech przyjmowany, rzekł doń cesarz, serdecznie mnie to ucieszyło“. — W Wiedniu inne panowały zwyczaje: uliczna popularność, zwłaszcza gwałtem szukana, nie wychodziła na zdrowie ministrom. Kanclerz tego nie zrozumiał. Nie mając z urzędu miejsca i głosu w Radzie państwa, tudzież, nie będąc członkiem izby panów, postarał się o mandat deputowanego, żeby nie być skazanym na milczenie i żeby dopomagać swoim sprzymierzeńcom. Do izby panów uczęszczał jako prosty widz. Kiedy przyszedł na stół prawa wyznaniowe, najdrażliwsze, wszystko było tak ukartowane, że rezultat nie ulegał kwestyi. W izbie panów, katolicka partya broniła się zawzięcie; lecz od początku dyskusyi pokazało się, po czyjej stronie będzie przewaga. Pierwszy mówca, Pratobovera, uchodzący za ultramontanina, zaczął od słów: *Das Konkordat, diese Pestbeule...* Przyzwoitość wymagała, żeby nacisk z góry, nie kłuł zbyt mocno w oczy; kanclerz zwłaszcza, protestant i obcy, winien był trzymać się w cieniu. On tymczasem, poszedł na posiedzenie, a przy wyjściu z izby, gdy go jakiś jegomość zapytał: „Jak stoi nasza sprawa?“ — „Naturalnie bezwyznaniowa — odparł: Dobrze“. — I potem wmawia w nas, że wcale nie szukał ulicznych owacyj. Głośna awantura 21 marca 1869, miała się zdarzyć czystym przypadkiem. Kanclerz wyszedł z bratem na spacer, wypalić cygaro na świeżem powietrzu. Koło kościoła św. Stefana, ktoś go poznał, krzyknął: „niech żyje Beust!“ — w mgnieniu oka zgromadziły się tysiące ludzi. Kanclerz chciał uciekać, ale nie mógł. Tłum przycisnął go tak, że mu o mało nóg nie zgniótł. Jakiś człowiek objął kolano kanclerskie, wołając: „Uwolniłeś nas z pętów konkordatu!“ *Bitte, so befreien sie meine Beine*, prosił kanclerz, i z wielką biedą zdołał się schronić do prywatnego powozu, opodał stojącego. Lud chciał wyprządnąć konie, kanclerz mu to wyperswadował. Powóz ruszył wreszcie stępem, otoczony tłumem, krzyczącym *Hoch!* i *Eljen!* Po drodze uraczono arcybiskupa i nuncjusza kocią muzyką. Przy-

bywszy na Ball-Platz, kanclerz palnął oracyą dziękczynną, poczem kazał zamknąć bramę i pogasić światło.

Że za tę historię dostał klapsa od cesarza, nie tai. Broni się wzmianka, że i w Anglii podobne demonstracye się zdarzają, oraz świadectwem niewinności, jakie mu wystawił minister policyi, hr. Taaffe: *Vor der Liebe des Volkes, kann ich Sie nicht schützen*. Daje przytem do zrozumienia, że miłość ludu o mało go nie przypawiła, jeśli nie o utratę życia, to zdrowia. Niedługo potem zaniemógł i przez kilka dni trapiiony był wymiotami, jakby po otruciu. W lecie, wybrawszy się do Gasteinu, miał jechać zwykłą i prostą drogą, ale baron Hofman namówił go, żeby zrobić koło na Kufstein, dla obejrzenia słynnej z pysznych widoków okolicy. Dopiero na miejscu, Hofman przyznał się dla czego odradził zwykłej drogi: nieprzyjaciele kanclerza knuli zamach na jego osobę. Zbacząc, kanclerz nie tylko uszedł niebezpieczeństwa, lecz wpadł między liberalnych chłopów tyrolskich, którzy go przyjęli okrzykami radości. Na jednej stacyi, pocztmistrz naglony o konie, zdobył się na śliczny komplement: *Sein's ruhig, unsere Herren fliegen Ihnen entgegen!* Niewdzięczny kanclerz, zapisawszy to w pamiętnikach, nie może się powstrzymać od złośliwego komentarza: *Die Herren als Vorspann!*

Rządy stronnictwa wiernokonstytucyjnego wisiały w powietrzu, dopóki wszystkie narodowości nie były reprezentowane w Radzie państwa. Korona o to dbała najmocniej i słusznie. Talent dyplomatyczny kanclerza przejednał Polaków; z Czechami szło trudniej. Czesi żądali bardzo wiele, zadowolnić ich znaczyło tyle, co zerwać z Niemcami czeskimi i z całym obozem wiernokonstytucyjnym, czyli innemi słowy — obalić istniejący system. Wiedząc o tem, kanclerz nie kusił się o nową ugodę, nakształt węgierskiej; musiał jednak zachować pozory, jako pragnie zbliżenia i swojej pomocy nie odmawia. Zresztą cesarz życzył sobie, aby kanclerz rozmówił się osobiście z przywódcami czeskimi. Odmówić było niepodobieństwem, lecz sam fakt takiej konferencyi wystarczał, żeby obudzić podejrzenia w ministrach mieszczańskich, którzy posądzali swego protektora, że jest zdolny przyłożyć ręki do roboty, pozabawiającej Niemców hegemonii w Czechach. Podczas krótkiej bytności w Pradze, hr. Beust spotkał się z Palackim i Riegerem. Jeśli

im nie więcej nie powiedział, jak to, co przytacza w pamiętnikach, dobrze się zasłużył swoim aliantom wiedeńskim, na Czechów bowiem zrzucił winę zatargu i odjął im ochotę do dalszego traktowania. Popęlnił tylko małą nieostrożność, nie uprzedziwszy o naradzie prezesa gabinetu. Ks. Auersperg, którego papiery dawno spadły były w Burgu, podał się z tego powodu do demisyi. Gdy próśby i namowy nie pomogły, wypadło szukać następcy i co gorzej, godzić między sobą poważnionych członków gabinetu. Herbst intrygował przeciwko wszystkim kolegom, Berger nie podawał ręki Giskrze. Większość i mniejszość ministeryalna popisały na siebie skargi, pod postacią pamiętnych memoryałów; memoryał większości, odczytany na publicznem zgromadzeniu, dostał się do gazet — ogłoszono zatem i drugi. „Sercem, mówi kanclerz byłem po stronie mniejszości“. Niestety chciało, że Berger, dusza tej frakcyi, raptem ogłuchł. Kanclerzowi nie pozostawało więc niby, jak stanąć po stronie, której sprawę uważał za gorszą. Autorowie memoryału mniejszości ustąpili, Hasner objął prezydenturą Rady ministrów — mieszczanom żaden arystokrata nie zawadzał: radzili... albo nazywając rzeczy po imieniu, klócili się odtąd *en famille*. Oznajmiwszy światu, że będą święcie czuwać, aby ani jedna litera konstytucyi nie została naruszoną, sami zaczęli od zamachu na własną Ewangelię, wnosząc prawo o wyborach bezpośrednich z konieczności, to jest, gdy Sejm jaki wysłania delegatów do rady państwa odmawia. Nowe prawo miano najprzód zastosować w Galicyi. Swego czasu obiegała pogłoska, może fałszywa, że kanclerz namawiał Polaków do wyjścia z Rady państwa, aby zwalić gabinet Hasnera i zastąpić go nowym, ze swego ramienia. Bądź co bądź, cesarz nie podpisał reskryptu, rozwiązującego Sejm lwowski — w skutek czego ministeryum upadło. Dwór bawił pod ten czas w Peszcie, a kanclerz zaręcza, że na decyzją korony miały głównie wpłynąć rady Węgrów.

Kanclerz zabrał się do roboty. Nowe ministeryum miało iść drogą wytkniętą przez poprzedników, tylko nie tak szybko, unikać zatargów i radykalnych innowacyi. Szukano ludzi zasługujących na szacunek, dobrze wychowanych, z czystemi rękami, nie związanych z żadną partją skrajną. Hr. Alfred Potocki, łączący w sobie wszystkie powyższe warunki, otrzymał prezydenturą gabinetu. Dobrać mu

kolegów nie było łatwo. Udawano się na prawo i na lewo: do ludzi rozmaitych barw — do Rechbauera i do Hohenwartha. Kanclerz skarży się, że p. Potocki utrudniał sobie samowolną działalność i prawdomownością, ostrzegając z góry kandydatów do tek ministerjalnych, co czynić zamierza. Zapewnia, że wzięwszy za program: *nur weiter regieren*, można było uniknąć zwłoki, ale i tak rozejść by się wypadło w niezadługim czasie. Otwartość p. Potockiego zamknęła wstęp do gabinetu znakomitościom politycznym; ważniejsze miejsca zajęto w sposób przyzwoity; podrzędne miały nadać gabinetowi formę parlamentarną i pojednawczą. Jemu zawdzięczał baron Petrino tekę rolnictwa, jako reprezentant „interesującej narodowości“, lecz ministerium nie zyskało w nim silnej podpory. Wiele kłopotów sprawiała wynalezienie ministra obrony krajowej. Potrzebowano jakiegoś wojaka, obdarzonego mandatem poselskim. Kanclerz — otworzył almanachy i, przebiegłszy na próżno siedem-ósmych alfabetu, zatrzymał się na literze W., obejmującej dwa tylko nazwiska — westchnął... zrobił kalambur: *Weh! Weh!* i klasnął w dłonie: mamy co nam trzeba! Baron Widman — właściciel znacznych dóbr na Morawii, dymisjonowany oficer kawalerii, niby spokrewniony po kądzieli przez Sedlnitzkich z krwią słowiańską, po mieczu Niemiec, umiarkowany konserwatysta, głoszący z każdym rządem — wydawał się umyślnie stworzonym na członka bezpłciowego gabinetu. Niestety, zły duch spletał okropnego figla kanclerzowi: Kiedyś, za młodych lat, przyszły minister obciął palaszem ucho jakiemuś kawiarzowi w jakimś niemieckim miasteczku. Wszczęła się straszna burza: minister musiał w końcu ustąpić, a przy tej sposobności okazało się, że rząd stoi na dość kruchych nogach i sam w swoją trwałość nie wierzy.

W programie gabinetu mieściło się, rzecz prosta, pojednanie z konstytucją narodowości, stroniących od Rady państwa. Hr. Potocki pojechał do Pragi i wrócił z niczem. „Odradzałem mu tej „wyprawy argonautów, dodaje kanclerz; gdyby mnie był słuchał, „byłby wciągnął napowrót do gabinetu przywódców stronnictwa „wiernokonstytucyjnego i rządził dalej spokojnie“. P. Potocki wołał ustąpić z dobrej woli. W trakcie jego urzędowania, kanclerz odniósł przedostatnie wielkie zwycięstwo — obalił konkordat, pod pretekstem że umowa zawarta z papieżem, który mógł się omylić, nie obowiązuje, odkąd papież został nieomylnym.

Z okazji zmiany gabinetu, kanclerz otrzymał pierwsze ostrzeżenie: ministerium Hohenwartha przyszło do steru bez jego interwencji i wiedzy. Rząd zawarł z Czechami układ, znany pod mianem artykułów fundamentalnych, obejmujący odrębność królestwa czeskiego, koronacyą i inne doniosłe ustępstwa — wszystko poza plecami kanclerza. Zamiast wyciągnąć stąd pożyteczną dla siebie naukę i czekać, aż artykuły fundamentalne okażą się niemożliwymi w praktyce, kanclerz zamyslił obalić ministerium i jego dzieło. Zrazu spróbował użyć do tego Węgrów. — Dajcie mi pokój z Czechami! co mnie Czechy obchodzą! miał odrzec hr. Andrassy. Wtedy kanclerz wytoczył grubą artyleryę ze swego arsenału.

Działo się to wkrótce po wojnie między Francją a Niemcami. Pod boki Austrii stanęła wielka potęga polityczna i militarna, państwo narodowe, otoczone podwójnym urokiem siły i powodzenia. W Austrii, niemieckie stronnictwo liberalne, po części szczerze, po części żeby straszyć swój rząd, zaczęło garnąć się pod skrzydła nowego cesarstwa, wynosić pod niebiosa tamtejsze porządki: mądrość cesarza Wilhelma, geniusz Bismarka — doradzać monarchii Habsburgów dobrowolne przyjęcie roli lennika. W Gasteinie cesarz Wilhelm rzekł do Beusta: niczego bardziej nie pragnę, jak przyjaźni z Austrią, ale starajcie się zadowolnić waszą ludność niemiecką, żeby ku mnie głów nie obracała. W tej samej rozmowie, spadkobierca Barbarossy rozwodził się szeroko, jak on w 1866 unikał wojny z Austrią, do której go Austria zgwałciła, jaką po Sadowie okazał wspaniałomyślność, jak nigdy do podbojów nie dążył; zabrał wprawdzie Hanower, Alzacyą, Lotaryngię i różne inne skrawki — jednak tylko z musu, poddając się wyraźnym wyrokom Opatrzności. — Drogi Opatrzności są ludziom niewiadome, mogła więc kiedyś przyjść kolej na posiadłości Habsburga. Ludzie, przypisujący sobie dar ducha proroczego, przepowiadali, że lada dzień Prusy pokuszą się, albo o rozbiór Austrii, albo o zabór Holandyi, Belgii, Królestwa Polskiego. Żaden sąsiad nie czuł się bezpiecznym, każdy bowiem posiadał coś, co się mogło Prusom podobać i przydać. — Ks. Bismark, któremu hr. Beust powtórzył słowa cesarza Wilhelma, zganil nieostrożne konfidencye swego najmiłościwszego pana, z dodatkiem, że aneksya niemieckich prowincyi Austrii byłaby nieszczęściem dla Niemiec: przysporzyłaby mal-

kontentów i wzmocniła opozycję katolicką. „Gdybyśmy, dorzucił, koniecznie chcieli się zaokrąglić — zamiast Czech, wzięlibyśmy Holandya“. Później, w Londynie, poseł holenderski przy dworze Berlińskim, zwierzył się hr. Beustowi, że zapytawszy żelaznego kanclerza, ile jest prawdy w pogłoskach o zaborze Holandyi, taką otrzymał odpowiedź: „Czyste bajki! prędzej — niemieckie prowincye Austrii!..“ Słowa ks. Bismarka w nikim nie wzbudzały nieograniczonego zaufania, tem mniej w jego dawnym rywalu. W Wiedniu pamiętano, że gdy w 1866 poseł austriacki zapytał ministra pruskiego, czy chce, czy nie chce wojny, minister odparł: „Wojny nie chcę, ale gdybym chciał, czy dałbym inną odpowiedź?“ Miano również w świeżej pamięci słynną depeszę pruską, doradzającą Włochom zadać Austrii śmiertelny cios w samo serce — *Stoss ins Herz* — negocyacyę z Mazzinin, Kossuthem i Klapką, legię węgierską, formowaną z żołnierzy austriackich, wziętych do niewoli; wreszcie komentarze, jakimi poseł pruski opatrzył sprawozdanie z obchodu koronacyjnego w Peszcie.

Wszystko razem zważywszy, Austria miała tysiące powodów aby nieufać Berlinowi, a z drugiej strony niezniechęcać własnych poddanych niemieckiej narodowości i niedostarczać ks. Bismarkowi pretekstu do zaciągnięcia protektoratu nad żywiołem tak wiele znaczącym w wewnętrznych stosunkach monarchii. Artykuły fundamentalne wywołały niezmierne oburzenia w obozie wierno-konstytucyjnym: grozili odpadnięciem do wielkiej ojczyzny. W łonie samego gabinetu wynikły nieporozumienia; hr. Hohenwarth zachwiał się, na widok trudności, których nie przewidywał, wobec których musiałby być uledz w niezadługim czasie. Zamiast dać spełnić się losom, kanclerz wystąpił na scenę. W memoryale, w pamiętnikach dosłownie powtórzonym, wystawił skutek przyjęcia artykułów fundamentalnych na wewnętrzną i zewnętrzną politykę Austrii. Niemcy usuną się z Rady państwa, przez co legalność przyszłej Rady i legalność wspólnych delegacyi stanie się niewątpliwą. Wspólny rząd zostanie wciągnięty w walkę stronnictw. W delegacyach weźmie górę stronnictwo, przeciwne obecnemu kierunkowi polityki zagranicznej, dążącej do utrzymania i wzmocnienia dobrych stosunków z cesarstwem niemieckiem. Układ dualistyczny, jak doświadczenie uczy, niezmiernie utrudnił jednolitą i energiczną politykę zewnętrzną — cóż dopiero

się stanie, gdy liczba czynników, wpływających na postanowienia w tej materji wzrośnie; gdy Czechy, a za ich przykładem inne kraje zdobędą głos w sprawach zewnętrznych; gdy minister J. C. Mości będzie obowiązany zasięgać rady kanclerza nadwornego dla Czech i ministrów czeskich? — Przyjdzie wtedy rozstać się z jednolitością zasad i interes monarchii podporządkować interesem narodowym i prowincjonalnym. Przypomniawszy radę udzieloną w Gasteinie przez cesarza Wilhelma, kanclerz zwracał uwagę monarchy na szybkość, z jaką stronnictwo wiernokonstytucyjne przekształca się w narodową partję niemiecką, tudzież na budzące się w Niemczech sympatyje dla uciśnionych w Austrii rodaków. Podwójny ten ruch podkopie w Austrii uczucia dynastyczne i patryotyczne, a w końcu rząd pruski, przy najlepszej woli, nie będzie mógł oprzeć się prądowi powszechnemu. Wszak nawet w Wiedniu nie zdołano swego czasu zamknąć uszów na krzyk boleści Niemców w Szlezwigu i Holsztynie. Jeśli Czesi otrzymają artykuły fundamentalne, Galicya zażąda rozszerzenia swej autonomii, co Austryę wciągnie w konflikt z Rosyą, która w tej kwestyi znajdzie Prusy po swej stronie. Spotkania w Gasteinie i Salzburgu¹ miały dla nas skutek pomyślny, objawiający się w tem, że Niemcy odzyskały większą swobodę wobec Rosyi, Rosya zaś poczęła z większem nas traktować umiarkowaniem. Obecne ugrupowanie mocarstw: Niemcy, Austrya i Włochy — zapewnia nam bezpieczeństwo i spokój; jeśli popchniemy Niemcy w objęcia Rosyi, znajdziemy się wobec grupy złożonej z Rosyi, Niemiec i Włoch, a gdzież wtenczas monarchia szukać ma oparcia?

Kanclerz miał z wielu względów słuszność, uderzył w najsłabsze strony; nie też dziwnego, że zwyciężył i to bez wielkiego trudu, gdyż hr. Hohenwarth bardzo miękko się bronił: *Ich war diesmal des Sieges gewiss*, powiada, dodając z westchnieniem: *Freilich, ein Pyhrrussieg*. Po upływie kilku dni, hr. Hohenwarth podał się do dymisji; złożenie nowego gabinetu szło z oporem, ale kanclerza na pomoc nie wezwano. Był to zły omen, albo raczej *ein Wink von Oben*, którego znaczenia hr. Beust nie chciał zrozumieć.

¹ W Salzburgu cesarz Franciszek Józef spotkał się z cesarzem Wilhelmem, wracającym z Gasteinu.

Przyszła Rechbauer z oświadczeniem, że lewe skrzydło partyi wiernokonstytucyjnej nie rości pretensyi do miejsca w gabinecie i zadowolni się wiernokonstytucyjnymi rządami. Przyszła baron Kellersperg, kandydat na prezesa gabinetu, i oznajmił, że na przyszłość kanclerz będzie zapraszany na ważniejsze posiedzenia rady ministrów. Tylko Burg milczał. Kanclerz jest cierpiący, nie wychodzi z pokoju, pisały dzienniki. W końcu pojawił się radca stanu Braun, naczelnik kancelaryi cesarskiej, ten sam, który niegdyś przyniósł Beustowi propozycję wejścia do służby austriackiej. Kanclerstwo, mówił, jest źródłem mnóstwa trudności, kanclerz ma za wielu nieprzyjaciół, *er soll es dem Kaiser leicht machen*, poprosić o dymisya, zanim ją dostanie.

Ambasada londyńska była unyślnie nieobsadzona, aby posłużyć kanclerzowi za wynagrodzenie i oddalić go z Wiednia. *Jetzt ist er ja wieder populär, da wird es für ihm leichter sein*, miał odezwać się cesarz. Hr. Beust także myślał, że odzyskał popularność. Jeden z jego znajomych, przybyły z wizytą kondolencyjną, zastał go zakopanego w dziennikach. Wiedeńskie nie szczędziły mu pochwał, w tonie wspomnień pośmiertnych, co żywemu niekoniecznie wydało się miłym. Z Galicji, z którą się „zaręczył“ mandatem z Brodów, ani słowa żalu. Adres Rady miejskiej wiedeńskiej niósł: „W tej chwili, cała ludność Austrii ciśnie się z wyrazem najgorętszej sympatyi...“ Ale w niewiele dni później, gdy ex-kanclerz opuszczał stolicę, na dworcu kolei żelaznej, *drängte sich gar nichts... Sic transit gloria mundi*.

Gorycz, mówi kanclerz, nigdy nie wcisnęła się do mego serca. Że mu dobrego humoru nie zbrakło, pomimo różnych przejść, świadczą pamiętniki. Jakim był statystą i dyplomata, o tem mogą być różne zdania, ale nie ulega najmniejszej kwestyi, że był jednym z najdowcipniejszych ludzi swego czasu, i jednym z najweselszych. Czy czasem nie w następującym wypadku szukać należy genezy tej wesołości: przyjście na świat przyszłego męża stanu o mało życiem matki opłaconem nie zostało. Gdy zbyt długo oczekiwane niemowlę ujrzało wreszcie światło dzienne i wszelkie ustały obawy, uradowany ojciec, mamkę dziecięcia, słowiankę nie umiejącą słowa po niemiecku, obdarzył tuzinem butelek reńskiego wina z r. 1683. Pocziwa Wendka źle rzecz zrozumiawszy, wino od razu nałala

do wanienki i nowo narodzonego Beusta w niem wykapała. Tenże, wprost z łona matki dostawszy się w objęcia Bachusa, upił się jak bąk, i dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach, otrzeźwiał. Zaczął więc życie wesoło i pomimo trudów nieodłącznych od wysokich urzędów, pomimo licznych i potężnych politycznych nieprzyjaciół, pomimo wreszcie i wydatków, od woli jego niezależnych, lecz srogo mu nieraz dokuczających, wesoło się z życiem do końca obchodził. Czy polityka na tem cierpiała? — nie wiem, ale co nie ulega wątpliwości, to że „pamiętniki“, bardzo dobrze na tem wyszły. Czytają się z wielkiem zajęciem, z niemniejszą przyjemnością, z serdecznym nieraz śmiechem; dla czytelnika zaś, któregooby lekkość stylu i dowcip hr. Beusta razić miały, stoją zawsze otworem dokumenty; niechże się w nich zanurza, a nam prostym śmiertelnikom, niech pozwoli, zwłaszcza po powyższem streszczeniu politycznej kariery hr. Beusta, nacieszyć się wesołością i dowcipem, tryskającym z każdej kartki książki, o której sam zresztą pisze: *von dem mehr frivolen als ernsten Charakter des Buches*, dodając nieco dalej: *ich nehme in meine Errinerungen gerne kleine Erlebnisse auf, die zur Erheiterung des Lesers dienen können*. Za taką pocziwą intencją — bo bądź co bądź, mógł napisać modną książkę — szczerza mu się wdzięczność od czytającej publiczności należy.

(Dok. nast.)

A. M. L.

SŁOWO O STOSUNKU KOCHANOWSKIEGO DO RONSARDA¹.

Il osa trop, mais l'audace était belle.
(St. Beuve o Ronsardzie).

Trzy lata temu, gdy święcono trzechsetną rocznicę śmierci czarnoleskiego śpiewaka, St. Tarnowski napisał w *Przeglądzie Polskim*² obszerną rozprawę „Co u nas o Kochanowskim pisano“, w której ze zwykłym sobie zmysłem spostrzegawczym nie tylko wykazał, ile dzieł, a raczej mniejszych studyów i rozpraw w Polsce o Kochanowskim wydano, ale także podał ocenę, co one rzeczywiście warte i jak daleko posunęły poznanie gruntowne a umiejętne, badanie rozumne a zarazem krytyczne wszelkich zawitych pytań i zagadnień, odnoszących się do dzieł i szczegółów z życia autora „Trenów“.

W inwentarzu tym pojedynczych książek, dysertacji i artykułów, rozrzuconych po rozlicznych pismach peryodycznych, doszedł w końcu wytrawny nasz krytyk z jednej strony do pomyślnego i dodatniego rezultatu, że, lubo dawniej przez trzy wieki mało zajmowano się u nas Kochanowskim, w ostatnich mianowicie dwudziestu pięciu latach (tj. od ukazania się studium pana J. Przyborskiego: „Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego Poznań 1857“) coraz to więcej Kochanowskim zajmować się u nas poczęto, coraz to pilniej czytać i objaśniać jego pisma, coraz to silniej budzić się zaczęło zamilowanie tak w pocie samym, jak w jego utworach w ogóle, jednym słowem, że „wiele już około Kochanowskiego pracy dokonano“. Jednakże z drugiej strony zauważył recezent, jak wiele jeszcze niedostaje i potrzeba tym publika-

¹ Niniejszy artykuł jest wyjątkiem z obszerniejszej pracy o Kochanowskim w stosunku do współczesnych mu humanistów.

² Patrz zeszyt ze sierpnia 1884.

cyom i studyom, będącym wprawdzie, że tak się wyrażę, w pełnym biegu, lecz nie będącym bynajmniej na ukończeniu. Między innymi wreszcie dochodzi sprawozdawca tego „przeglądu“ prac i sądów do niekoniecznie korzystnego wyniku, że dotąd jeszcze stosunek poezyi Kochanowskiego do współczesnej mu francuskiej lub włoskiej, do współczesnej i ważniejszej nieco łacińskiej humanistycznej literatury, dostatecznie nie zbadany, że wpływ Ronsarda na Kochanowskiego „raz przyjmowany za pewny, drugi raz zaprzeczany, ściśle nigdy dotąd docieczonym i oznaczonym nie był“. Słusznie zaś i sprawiedliwie argumentuje szanowny krytyk, że można było lat temu pięćdziesiąt lekceważyć Ronsarda i uważać go za śmiesznego pedanta, ale dziś stanowisko, z jakiego patrzył nań Boileau, a za nim wszyscy późniejsi, jest już cokolwiek przestarzałe i przebyte dość dawno, bo od czasu jak St. Beuve ogłaszał swoje pierwsze rozprawy o Ronsardzie, to jest od roku 1828. Różnie też dotąd, a ogólnikowo wyrażano się o tym wpływie Ronsarda na Kochanowskiego. *Brodziński* w przedmowie swej do tłumaczenia Elegij łacińskich Kochanowskiego o wiele wyżej tegoż ponad Ronsarda stawia, motywując tem tę jego wyższość, że podczas „kiedy Ronsard z całą swoją plejadą zagasł przy późniejszym blasku chwały naukowej, jaką ciągle Francji przyświecał, pamięć Kochanowskiego należała zawsze i należy do najdroższych wspomnień dawnej sławy narodowej“. Ale w tej paraleli między dwoma reprezentantami poezyi dwóch wielkich wówczas narodów nie zastanawia się *Brodziński* nad zobopólnym ich do siebie stosunkiem, tj. nie powiada nam nic, czy i o ile jeden naśladował drugiego. *Mickiewicz*¹ utrzymywał kiedyś, że wpływ Ronsarda mógł na Kochanowskiego działać tylko dodatnio, natomiast nie wpłynęły nań wcale złe jego strony, jako to: pedantyzm, wyszukane koncepta i smak popsuty. *Wiszniewski*² zbyt może śmiało robi Ronsarda przyjacielem Kochanowskiego. *W. A. Maciejowski*³ a za nim *Bartoszewicz*⁴ o całym humanizmie i jego literaturze, o stosunku Kochanowskiego do niej nie

¹ Mickiewicz: Literatura słowiańska. Lekcja XXXV.

² Historia literatury polskiej, tom VII. str. 63.

³ Piśmiennictwo polskie. Warszawa 1851.

⁴ Historia literatury polskiej. Warszawa 1861.

wspominają ani jednym słowem. *Przyborowski*¹ zaprzecza Ronsardowi wszelkiego na Kochanowskiego wpływu, to samo i pan *Roman Plenkiewicz*².

Prof. *St. Tarnowski* w *Niwie* za rok 1880 umieścił trzy swoje odczyty o Janie Kochanowskim, miane w tymże roku w Warszawie, w których dotykając stosunku Ronsarda do Kochanowskiego tak się wyraża: „Już w pierwszych jego (Kochanowskiego) wierszach znać tylko naśladowanie starożytnych, nie znać wpływu francuzów lub włochów, jak w późniejszych polskich nie widać żadnych cech charakterystycznych Ronsarda i jego plejady. Niektórzy twierdzą, że swój pierwszy wiersz polski napisał był pod wpływem tamtego dlatego po polsku, że Ronsard pisał po francusku. Jeżeli tak, niech za tę zasługę odbierane będą i francuskiemu podrzutowi wiele grzechów jego literackiego żywota; ale ten wpływ, jeżeli był, to jedynie, jaki dziś wysledzić się daje“. Pod koniec oceniając Ronsarda podług literatury Nisarda powiada: „Ronsard, sławny, niezrównany w mniemaniu współczesnych, twórca poezji francuskiej i t. d... Razem z Nisardem mieni Ronsarda i p. Tarnowski pedantem klasycyzmu, któremu się zdaje, że jego wiersz będzie tem piękniejszy i szlachetniejszy, im bardziej go naszpikuje niezrozumiałemi, greckimi słowami. Jego poezya jest tłumaczeniem starożytnych lub powtarzaniem ich myśli w języku dalekim od ich piękności. Ma on nieśmiertelność komiczną (!)“. O ile to zdanie historyka literatury francuskiej Nisarda dziś już jest przestarzałe, i jak inaczej i dziś p. Tarnowski zapatruje się na Ronsarda i wpływ jego na Kochanowskiego i ową „nieśmiertelność komiczną“ obacz proszę, wzwyż wzmiankowaną rozprawę tegoż samego autora w *Przeglądzie Polskim*: „Co u nas o Kochanowskim pisano“.

W roku 1881 umieścił p. Felicyan (Faleński) w *Bibliotece Warszawskiej* artykuł o Kochanowskim pod tytułem „Pogadanka o Fraszkach Jana Kochanowskiego“, gdzie tak się wyraża o Ronsardzie: „Mówią o wpływie i jakichś zachętach Ronsarda, ale nie nadto niedorzeczniejszego (!): kto wie, jak dziwnie pedantycznym

¹ Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego.

² Jan Kochanowski wedle najnowszych opracowań. Ateneum 1878 tom IV.

Ronsard był kuglarzem (!) ten wprzódzy zwątpićby musiał o niezmiernie zdrowym naszego Jana rozsądku, niżby jakiegokolwiek pomiędzy nimi dwoma upatrzył zbliżenie. Owszem, wiadomo jest przecie, że Ronsard całkiem przeciwnie sztukę u siebie swojską wszelkimi sposoby ku przestarzałemu naśladownictwu źle zrozumianej starożytności cofał i zwietrzałym Olympem zanieczyszczał, i bodaj czy nie on to jest właśnie praojcem tego fałszywego klasycyzmu, z którym w następstwie odrodzenie romantyczne tyle miało kłopotu. Więc u takiego, pytam, cóż podobnie trzeźwy umysł, jak był Kochanowski, mógł do skorzystania znaleźć?“

Zaprawdę trochę za ostra krytyka Ronsarda, zanadto z góry traktowany ten, bądź co bądź nie ostatni francuski poeta! A tem dziwniejszem wydaje się zdanie, tem surowszym sąd p. Felicjana, skoro wygłosił to już po ukazaniu się dzieła pana Blanchemaina¹. W innym razie mógł dzieła tego nie czytać, ale czytać je mógł i uwzględnić powinien, choćby i na jego wywody ze wszystkim zgodzić się nie miał ochoty, pisząc o tej samej właśnie materii!

Prof. A. Małecki² nie zaprzecza wprawdzie pewnego wpływu Ronsardowi na Kochanowskiego, nie radzi go jednak „przeceniać, ani szukać tam, gdzie go nie było i być nie mogło“. Jednakże wpływ ten, oraz stosunek Kochanowskiego do Ronsarda rozbiera następnie w cytowanym niżej odczycie obszerniej dochodząc do tego rezultatu, że Kochanowski wszedł z Ronsardem, „jeżeli o tem może być mowa“, w bliższe stosunki. Dziwnem atoli wydaje nam się, że ową zażyłość, która stąd między obydwoma poetami wyniknąć miała, nazywa „domysłem tylko, nieopartym na żadnej pewnej podstawie, i bardzo mało prawdopodobnym, a wszelkie mniemane wpływy Ronsarda na Kochanowskiego przywidzeniem?“.

Tak więc i prof. Małecki nie rozświetlił nam tego wpływu i tych stosunków. Ostatniemi czasy wydał pan St. Windakiewicz w Krakowie rozprawkę zatytułowaną: „Pobył Kochanowskiego za granicą“³, w której opowiadając o latach spędzonych przez Kochanowskiego w Paryżu, nie wiele na to zdaje się zwracać uwagi, czy Kochanowski znał osobiście Ronsarda lub nie, ale przyznaje, że

¹ Dzieło to wychodziło od r. 1857—1867.

² Jana Kochanowskiego młodość, *Przegląd Polski* I. c.

³ Kraków 1886. Odbitka z Rocznika Filareckiego.

mógł się być z nim zapoznać, a prawdopodobnie znał i czytał jego dzieła. Przywodzi nawet jedno miejsce z poezji Ronsarda, w którym zdaje się, naśladował go później jak zobaczymy, Kochanowski. Ostatniem studyum jakie się pojawiło nad poezją Ronsarda i stosunkiem tegoż poety do Kochanowskiego, byłyby dwa artykuły p. Dr. *Teofila Ziemby*, drukowane z początku w *Przeglądzie Polskim*¹ które potem wyszły osobno. Zobaczymy, czy tam nie lepiej i gruntowniej przedstawiony stosunek Ronsarda do Kochanowskiego. Pan Dr. Ziemba, dawszy nam dość obszerną monografią Ronsarda, a w niej nietylko charakterystykę samego poety, ale i poszczególnych dzieł jego, natrącił między innymi i o stosunek Ronsarda do Kochanowskiego. Niestety nic więcej nie każe Kochanowskiemu zawdzięczać francuskiemu mistrzowi, jak tylko „pobudkę do pisania w swoim języku“. Zresztą żadne miejsce w dziełach Ronsarda, a zdaje się przejrzał autor dokładnie wszystkie osiem tomów edycyi Blanchemaina, nie wskazuje nam nic, z czegoibyśmy jakiś wzór dla Kochanowskiego wziąć mogli, bo nawet ów ustęp w „Satyrze“ Kochanowskiego:

Dobrym chrześcijaninem nie tego ja zowę,
Co umie dysputować i ma gładką mowę.

nie dowodzi wpływu Ronsarda, (jak to już zauważył prof. Morawski). A przecież i Ronsard w satyrze swej „Discours des misères de ce temps“, wydanej po raz pierwszy w r. 1563, narzeka również na zbytęzną do dysput religijnych ochotę swych ziomków. Tem mniej zatem, zdaniem p. Ziemby, szukać można wpływu Ronsarda w owych wierszach tłumaczonych z Anakreonta, które znajdujemy zarówno u Kochanowskiego, jak u Ronsarda, bo rzeczą jest pewną, że Kochanowski znał Anakreonta w oryginale i nie potrzebował do niego Ronsarda za pośrednika. Mimo to wszystko twierdzi śmiało p. Ziemba, jakoby „Ronsard zachował wobec Polski stanowisko neutralne, a nawet z wyraźną o niej sympatją kilka razy się wyrażał“, jako też, mówi nieco dalej, że „niechęci do nas lub kraju naszego nie znalazł ni śladu“. Co do tego zapatrywania pozwolilibyśmy sobie być odmiennego zdania

¹ Piotr Ronsard. Studium z literatury XVI. wieku, Kraków 1886 oraz *Przegląd Polski* Zeszyty za czerwiec i sierpień 1886.

z szanownym autorem. Na dowód neutralności Ronsarda wobec Polski przytacza p. Ziemia wiersz napisany przez Ronsarda w r. 1578 do Henryka III.

Si l'honneur de porter deux sceptres en la main,
Commander aux Français et au *peuple germain*,
Qui de *l'ourse Sarmate* habite la contrée etc.

otóż podnosi owo nibyto przychylne a pochlebne wyrażenie poety francuskiego o narodzie polskim „*peuple germain*“, „narod bratni“, jak sam tłumaczy, a zdaje się wcale nie kłaść wagi na wyrażenie drugie, tuż zaraz następujące „*l'ourse sarmate*“, gdzie, naszym zdaniem, Ronsard nie bez przekąsu o sarmackiej mówi północy!

Wyrazy *Sarmacya*, *Sarmata*, *Sarmatyzm* używane były zawsze przez cudzoziemców z pewną domieszką ironii i lekceważenia¹. Słownik Lindego s. v. *sarmata* określa człowieka grubych obyczajów, nieokrzesanego. *Sarmatyzm* — nieokrzesanie obyczajów, tyle co grubiaństwo. Sarmatyzmem zwano szlachecką prostotę i szczerość. Później pod koniec wieku XVIII. i na początku XIX. wyraz ten rozmaicie był używanym. W poezjach Książka, Zabłockiego, oznaczał przeciwstawienie dawnych, silnych a zdrowych, walecznych i bohaterskich Polaków, w stosunku do zniewieściałych i sfrancuziałych za panowania Sasów i Stanisława Augusta. Dziś również w tem znaczeniu go używamy, z przekąsem wymawiają go tylko przeważnie cudzoziemcy i zczudzoziemczali swoi — niestety! Czemuż zatem, pytamy, użył go też właśnie Ronsard, skoro chciał się pochlebnie wyrazić o Polsce?

Drugi wiersz, który przytacza p. Ziemia na dowód tej mniemanej sympatii Ronsarda do Polski, jeszcze mniej, mem zdaniem, dowodzi jakiegokolwiek przyjaznych uczuć względem nas francuskiego Amfitryona. Brzmi on jak następuje:

Quand vous fustes eslu monarque de Pologne,
Quand Dieu sur vostre teste en posa la couronne...

Gdzież tu w tych słowach widoczna sympatia i przychylność dla Polski? Prawda, że i nienawiści, ani nawet ironii lub przekąsu

¹ Ob. między innymi Krebsa: Carl Sigonius na str. 3. „Es zeigte sich ein freier, fesselloser Geist, und weit und breit in allen Ländern, wo es Tag geworden war, selbst in dem von den Italienern *spöttisch* genannten Sarmatien d. h. in Polen traten strebende Männer von Begeisterung.“

trudno w nich się dopatrzeć, ale też nie więcej ponad obojętne zresztą wyrzeczenia, że

Skoro królestwo polskie w Twe (Henryku) złożone dłonie
I gdy Bóg jego koroną ozdobił Twe skronie...

To możesz... dziękować Bogu i być zadowolonym! Z Polaków skorych do Bachusa, z ich surowych może nieco w stosunku do gładszych i wykwintniejszych obyczajów francuskich, z zimnego Polski klimatu mógł się Ronsard, zniewieściał pieszczoł kultury Zachodu, naśmiewać, ale nie miał bynajmniej powodu naigrawać się wtedy z królestwa polskiego i jego korony; musiał bowiem choć cudzoziemiec uznać, że ten tron polski naówczas, ta wspaniała spuścizna Jagiellonów, nie był pierwszym lepszym księstwem lub prowincją, chociażby i tak bogatą jak Szampania lub Alzacya francuska, ale że był to silny mur Europy przed najazdami ze Wschodu, na którym później świetny sztandar zatknąć mieli Batory i Sobieski! Było więc łaską Boga nie małą, że do korony Henryka III. francuskiej przyłączył jeszcze wcale nie poślednią i nie mało wartą koronę Jagielly!

Na potwierdzenie tej naszej wątpliwości o sympatyi Ronsarda dla Polski dostarcza nam p. Ziemia sam dowodów czyli miejsc, za cytowanych z dzieł Ronsarda, w których tenże wcale nie dwuznacznie naszym zdaniem o Polsce się wyraża np. w tomie III. ode 3 *cette froide partie que possèdent les Polons*, których mniej pewno dla rymu, jak z lekceważenia porównywa z Gelonami (zimnym, północnym szczepem już przez zniewieściałego Horacyusza wyśmiewanym). Wyrażenie, jak *pays, où va soufflant Borée*, lub *la Pologne que Mars et l'hiver accompagne*, zaprawdę tego rodzaju przezwiska to nie *epitheta ornantia* dla Polski i Polaków. Przeciwnie namiętna frazeologia dumnego króla francuskiego Parnasu, nadętego a zarozumiałego obywatela przechwalać się lubiącego „wielkiego narodu“. Wprawdzie w tym stopniu aroganckiego tonu, w jakim później Filip Desportes w znanym wierszu *adieu à la Pologne* przemawiał, nie napotyamy u Ronsarda, ale nie dowodzi to jeszcze, abyśmy w tę jego przyjaźń i przyjazne dla nas uczucia uwierzyć mieli. Nie jest to niechęć, którą późniejsze wypadki i wieki u Polaków z konieczności wyrobiły, nie jest niedowierzanie w uczucia

narodu, który nas tylekroć wyzyskiwał, a rzadko lub wcale równą nie odpłacał się monetą, ale moralne przekonanie z psychologicznego rozebrania poszczególnych słów i wyrażań samego Ronsarda. Jakżeż mógł kochać, a przynajmniej czuć jakąkolwiek sympatią do obcego kraju (*pays estrange*) ten, który ponad swój *doux air de France*, innego nie chciał znać klimatu, a w Polsce światło szerzyć czuł się być powołanym? *En pays estrange esclairer la lumière*. Umysł rzutki, to prawda, ruchliwy nadzwyczaj i nie bez zdolności, lecz przytem zuchwały¹, zanadto siebie pewny i zanadto zarozumiały, jakim odznaczał się Ronsard, mógł z obrachunku lub z laski, gdyby bożek olimpijski rozdzielać swe względy i uczucia pomiędzy swych braci po piórze, ale nie pochodziły one nigdy naszym zdaniem, o ile Polski dotyczą, ze szczerego przekonania, nigdy z prawdziwego uczucia serca. Wprawdzie chwając się w jednym miejscu (vol. VII. p. 213) powiada o sobie:

je ne suis courtisan ni vendeur de fumées...

ładne to, gdyby tylko było prawdziwem! Nieco dalej bowiem zapominając jak gdyby o tem, mówi:

Et nul n'est aujourd'hui en France grand seigneur
Dont je n'aie chanté et rechanté l'honneur.

lub tp.:

Tu dis que j'ai gagé ma muse pour flatter?
Nul prince ny seigneur ne se saurait vanter
Dont je suis bien marry de m'avoir donné gage.
Je sers à qui je veux, j'ay libre le courage...

a czy tylko bezstronnie dla samej sławy zasłużonej swych bohaterów? Przesadzano się i współubiegano na zabój w wyszukiwaniu pochlebstw i przydomków dla Ronsarda: jedni zwali go łabędziem Wendomskim (*cygne Vendômois*), drudzy równali go z Apolinem samym, lub stawiali w zaślepieniu obok Dantego, nie wiedząc zdaje się, o ile wyższym był Śpiewak piekła i Beatryczy, bujający myśłą po eterach, od tego, który płazem czołgał się po ziemi. A jednak czytamy:

Deux hommes de combat et de pensée ardente
Dè leur siècle ont marqué le seuil: Ronsard et Dante.

¹ „Esprit gaillard“ sam siebie nazywa vol. VII. p. 379.

To też dziś już trzeźwiejszem okiem, a z umiarkowańszym sądem patrzy i ocenia tego „poetę królów“ i „króla poetów“¹ pan Prosper Blanchemain, wydając po długim czasie przeciągu na nowo wszystkie pisma Ronsarda. Nie zwie on go już rywalem Pindara, ani francuskim Petrarką, jak to czynili dawniejsi, ale nazywa po prostu tem, czem w rzeczywistości był Ronsard, tj. poetą dworu, dworakiem. *Ce n'est plus le rival de Pindare, ni le Petrarque de la France; c'est le poète de la cour*².

W obszernej przedmowie i biografii Ronsarda ocenia go pan Blanchemain słusznie i sprawiedliwie: nie wynosi pod niebiosy, ale też znów nie poniża zupełnie, oddaje mu to, na co zasłużył tj. przyznaje mu wielką zasługę około rozkrzewiania francuskiej literatury, pobudzenia jej do nowego życia, stworzenia jej pierwszych związków i t. d. Z bełkocącego i zająkającego się dziecka, jakim był dotychczas język francuski, stworzył Ronsard zbiorek różnorodnych, wytworniejszych i wykwintniejszych słów i wyrażeń: *Par lui la poésie alors ne sera plus un enfant bégayant, un mélange confus de galants badinages*. W ośmiu dość sporych tomach zawarte są wszystkie dzieła Ronsarda edycyi p. Blanchemaina. Zadaliśmy sobie tę pracę (nie wątpimy, że toż samo uczynił i p. Dr. Ziemia) i przerzuciliśmy od pierwszej do ostatniej stronicy wszystkie te tomy pism Ronsardowych szukając, gdzieby się dało, jakichkolwiek wzorów dla Kochanowskiego, już to dosłownych, już też choćby dalekich nawet aluzyi.

Pierwszych, sumiennie to wyznać muszę, nie znaleźliśmy wcale, jeśli, coby ostatecznie i być mogło, nie przeoczyłem jakiego utworu lub miejsca. Co zaś dotyczy aluzyi w dziełach Kochanowskiego do Ronsarda, to i one są nader szczupłe i mało nas objaśniające. Według p. St. Windakiewicza³ musiał znać Kochanowski i czytać wiersz Ronsarda *La Paix au Roy Henry II.*⁴, który to wiersz Ronsard,

¹ Il est le poète des Rois — Il devint le roi des poètes, powiedział o Ronsardzie Vicomte de Beauchesne.

² Ob. Vie de Ronsard l. c.

³ Ob. Rocznik Filarecki l. c. p. 521.

⁴ Vol. VI. pag. 216.

zdaje się, napisał na pokój w Cambridge, a gdzie między innymi tak się do króla odzywa:

Bref, vous estes le Roy qui plus avez esté
Et en guerre et en paix, qui plus avez tenté
Le hazard de Fortune...

Otóż podobnego zwrotu użył i Kochanowski właśnie w owej Elegii (III, 8) do Karola, w której wspomina Ronsarda i mówi o śmierci króla Henryka: *Ergo cum totius fortunam expertes utramque*; i byłoby bardzo prawdopodobnem, że Kochanowski miał tutaj na myśli utwor francuskiego poety, w którym tenże zdziwienie swe nad szczęściem króla, towarzyszącem mu wśród tylu niebezpieczeństw wyraża: Kochanowski zaś przeciwnie — w swej Elegii do Karola niejako naumyślnie powtarza owo wyrażenie Ronsarda o doświadczeniach losu. W każdym razie z pewnością to wyszukane miejsce podobieństwa jakiegoś naśladownicwa Ronsarda, przez Kochanowskiego, szkoda tylko, że może jedyne, jakie posiadamy. Mniej pewnem i prawdopodobnem jest spostrzeżenie, a raczej przypuszczenie wielu wielbicieli muzy Kochanowskiego, jakoby „ton podniosły Ronsarda pieśni i patetyczność dykcji“ jego z jednej strony, a z drugiej „sklepienia kościoła Notre Dame“ miały natchnąć Kochanowskiego do napisania:

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary...

Podobnej trzymając się analogii, możebyśmy i owym podniosłym słowem Krasińskiego w Psalmach Przyszłości:

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś Panie!

wplywu i genezy szukać kazali właśnie w tych Kochanowskiego tak pokrewnych, nietylko treścią, ale i brzmieniem wyrazach! Że psalm ten „Czego chcesz od nas...“ mógł powstać w Paryżu, ale że nie był jedną z najpierwszych kreacyi polskich Kochanowskiego, przeciwko temu zwyklemu mniemaniu powstał berliński profesor p. Brückner, i argumentuje zdaniem mem, bardzo słusznie¹.

Ale wracając do Ronsarda, czyż więc zatem w całych tych ośmiu tomach p. Blanchemaina nie udało nam się odnaleźć żadnego wspólnego miejsca z Kochanowskim, czy więc Kochanowski nie na-

¹ Ob. *Archiv für slavische Philologie*. Zeszyt za grudzień r. 1885.

śladował wcale Ronsarda, który, równie jak on, tyle swych pieśni przepisał i przetłumaczył ze starożytnych poetów? Nieco przypominające Ronsarda miejsce u Kochanowskiego, a raczej częste podobne zwroty i wyrażenia, jak u Ronsarda np.: *Epitaphe de Thomas*. (vol. VII. p. 259).

La volupté, la gourmandise,
Le vin et le discord aussy,
Et l'une et l'autre paillardisse
Avec Thomas gisent icy...

porównaj z tem Kochanowskiego *foricoenium* 66 na Maronidę:

Vini perniciēs iacet hic annosa Maronis,
Summa super cuius erat monumenta calix.
Non illa aut natos sub terra inopemve maritum,
Sed parvum infelix flet super ossa scyphum.

Jeśli zatem Kochanowski nie naśladował Ronsarda dosłownie wcale lub mało co, nie idzie jeszcze zatem, aby go wcale nie miał naśladować w myślach, obrazach poetycznych, formie czyli metrum wierszy, rodzaju tychże i t. d. Owszem, naśladował on go mem zdaniem niejednokrotnie, ale naśladował tak, jak wielu innych wcześniejszych i współczesnych poetów, jako to: Marota, Bellaya, Sannazara, Buchanana, Celtesa i t. d. Wszyscy oni w tych samych próbowali się gatunkach poezyi, te same uprawiali jej rodzaje: pisali elegie, epigramy, nagrobki, pieśni wesole i smutne, łatwo pobudzające do wesołości i używania uciech ziemskich, to znów oplakujące zgon ukochanego przyjaciela lub przyjaciółki.

A że przykład żywy najwięcej działa na człowieka zwłaszcza obdarzonego bujną wyobraźnią, jaką się cieszył młody nasz Kochanowski w Paryżu — czyżby więc Ronsard, boć znał go zapewne i osobiście (*Ronsardum vidi*), nie wpłynął na niego dodatnio? Na to pytanie twierdząco tylko odpowiedzieć trzeba, powtarzając za drugimi wcale zresztą prawdopodobną i z biegu wypadków wypływającą hipotezę, że między powodami, które Kochanowskiego do pisania w ojczystej już odtąd mowie skłoniły, przykład Ronsarda nie najpośledniejsze z pewnością zajął miejsce, chociaż znów może nie jedynie i wyłącznie on jeden do tego się przyczynił.

Zobaczymy niżej¹, że Kochanowski mógł naśladować Klemensa Marota, mógł poznać w Paryżu przyjaciela Ronsarda,

¹ W dalszych artykułach całej o Kochanowskim pracy.

Joachima du Bellay, a nie tylko przez samego Ronsarda zostać zaślepionym. Zresztą w czasie, w którym nasz Kochanowski przebywał w Paryżu (1555—1557), Ronsard dobił się już był wprawdzie pewnej sławy poetyckiej, wydał już niektóre pomniejsze poezye¹, ale co najważniejsza w naszym przekonaniu, dla czego Kochanowski mało mógł tylko Ronsarda naśladować, to ta okoliczność, że właściwie dzieła Ronsarda dopiero w r. 1560² wyszły w komplecie, a zatem w roku, w którym już Kochanowskiego w Paryżu nie było. Przyznaje, że owe poezye mogły kursować już lat kilka przedtem między przyjaciółmi poety, tak samo, jak to o łacińskich Kochanowskiego poezyach przypuszcza Brodziński, że do tych przyjaciół Ronsarda, a przynajmniej wtajemniczonych w twory jego muzy, mógł i należał pewnie i nasz Kochanowski, ale jednak z edycji dzieł Ronsarda p. Blanchemaina i dat powstawania poszczególnych wierszyków, położonych pod każdym z nich, przekonał się naocznie, że choćby i chciał nasz poeta naśladować Ronsarda nie mógł tego uczynić zbyt często, gdyż przeważna część poezyi jego nadających się do naśladowania datuje dopiero od roku 1560.

Ale, przecież Kochanowski nie wszystkie swe Foricoenia w Paryżu spisywał, mógł zatem naśladować Ronsarda i tłumaczyć z niego na łacinę niektóre utwory później jeszcze i w ojczyźnie? Tego jednak mem zdaniem Kochanowski albo wcale nie czynił albo też tylko rzadko kiedy. Że dzieła Koryfeusza francuskiej literatury wzbudzały zajęcie w budzącej się bądź co bądź do nowego życia literaturze polskiej, nie ulega żadnej wątpliwości³, ale czy właśnie naśladować lub przepisywać było je potrzeba, aby rodzimą, oryginalną stworzyć literaturę u siebie? Zresztą jeśli przypuścimy, że Kochanowski jeździł za granicę, aby się wykształcić i skorzystać z wzo-

¹ Ob. wstęp do Gayetés wyd. Blanchemaina, gdzie powiada, że już w r. 1553 wyszły: *Livret de Follastries à Janot Parisien, plus quelques Epigrammes grecs et des Dithyrambes...* a wierszy tych późniejsze edycje nie powtórzyły.

² Edycya Gabriel Buon w 4-ech tomach in 16-o à Paris. Najwięcej pisał Ronsard dopiero za panowania Karola IX. (1560—1574) patrz Dr. Ziemby rozprawę p. 77.

³ Dans les écoles françaises d'Italie, de Flandre, d'Angleterre, de Pologne, ses oeuvres étaient alors et furent longtemps après lui lues, expliquées, offertes comme un modèle de style et de poésie.

rów zagranicznych pod wszelkim względem, to jednak powątpiewać będziemy zmuszeni, żeby powracając do ojczyzny nadal jeszcze chciał pozostać naśladowcą tylko wiernym a sumiennym wzorów obcych. Lecz, jeśli naśladowanie poetów starożytnych ujmę mu nie tylko nie przyniosło, poniekąd nawet było koniecznem, to przecież niewolnicze naśladownictwo poetów współczesnych było, jeśli nie zbyt, to co najmniej niepotrzebnem! Język Kochanowskiego, klasycyzmem ożywiony, nie potrzebował zapożyczać się u Francuzów, boć i oni swój na klasycyzmie urobili, na nim wzrosli sami i wykształcili swą literaturę. „Charakter zaś Kochanowskiego i w ogólności całego narodu w wieku XVI. nierównie był bliższym poważnej starożytnych prostoty, niżeli Francyi i wszystkich jej ówczesnych poetów“¹. Jak więc naśladował Ronsard Horacyusza², Anakreonta, Katula, tak naśladował ich i nasz Jan Kochanowski. Mógł mu podsunąć nie jeden raz jakaś myśl lub utwór grecki lub rzymski do naśladowania stosowny Ronsard, ale nie śmiałbym kategorycznie twierdzić, że tylko Ronsard i głównie on do tego się przyczynił. Było to modą, panującą w całej ówczesnej literaturze humanistycznej pisać szumne ody i dytyramby do współczesnych ludzi zasługi, czy to w hierarchii kościelnej, czy to na polu politycznem lub około nauki zasłużonych: pisał zatem Ronsard swe ody do Henryka II., do książąt i kardynałów, — układał więc i Kochanowski swe pieśni, fraszki, elegie, foricoenia do Zygmunta Augusta, Myszkowskiego, Firleja i innych. Dedykował Ronsard francuskiemu monarsze swe dzieła, przypisywał również i Kochanowski swoje Myszkowskiemu, Radziwiłłom i innym, przypisywali z nim Trzeciecki, Górnicki i t. p. Opiewał Ronsard swe miłostki, owe „gaytés, amourettes doucelettes“ wymieniając nazwiska swych „mignonnes“, czynił i Kochanowski to samo, a w ślad za nim czyniło to samo wielu ówczesnych poetów. Oplakiwał wreszcie Ronsard swych przyjaciół i przyjaciółki w nagrobkach i żalach

¹ Brodziński: Przedmowa do tłumaczenia Elegji Kochanowskiego str. 30.

² Por. np. Ronsarda odes II. 2. „Descen du ciel, Calliope et répond“ i Hor. Carm. III. 4. „Descende coelo et dic age tibia etc., albo Ronsarda odes IV. 2. „O hymen hymenée“ naśladowane z Katulla 61 i 62; lub Ronsarda odes II. 20. a Hor. II. 4 i t. d.

pośmiertnych, płakał i nad swymi Kochanowski i uwiecznił je w swych epigramatach.

Dziwna jednakże rzecz, że lubo Kochanowski, wprawdzie raz tylko (Elegia III. 8) nazwisko Ronsarda w swych pismach wymienia, Ronsard nigdzie wcale Kochanowskiego nie wspomina, co więcej: w tabeli wszystkich imion i nazwisk podanej na końcu w wydaniu p. Blanchemaina nie spotykamy nazwiska ani jednego Polaka! a więc tem oczywistszy dowód przeciw teorii p. Ziembry, że Ronsard nie wiele co sobie robił z Polski i Polaków, skoro o Polsce okolicznościowo i z potrzeby tylko się wyraża, a Polaków z nazwiska wcale nie wymienia. A przecież „staranie się o koronę polską Henryka Walezyusza zawiązało bliższe stosunki Francyi z Polską“! Ciekawem byłoby bliższe porównanie Polski z Francją w tym wieku pod rozmaitym względem, nieco napomknął już o tem swego czasu Brodziński¹, mówiąc między innymi: „Za Franciszka I. we Francyi, za Zygmunta w Polsce, wychodzić zaczęły akta publiczne w ojczystym języku, psalmy Marota i Kochanowskiego na obydwu dworach śpiewano. W jednym czasie Dubellay we Francyi a Rej w Polsce pierwsi użyli wyrazu *patrie* ojczyzna, tyle uczuć obudzającego. Typhernas w Paryżu, Libanus w Krakowie, w jednym czasie wykladać zaczęli utrudzaną dotąd naukę greckiego języka i t. d. Były więc wzajemne stosunki, i paralela między Francją a Polską ówczesną byłaby możebną i wielce pożądaną!

A zatem to naśladownictwo było, ale *pośrednie*, gdyż nie możemy nie przyjąć, aby te wzory i przykłady, które naśladował Ronsard, a za nim Kochanowski, po nich zaś znów inni, nie miały swych wzorów i mistrzów w Grekach i Rzymianach! Toćże humaniści XVI. wieku naśladować ich chcieli i naśladowali, wszyscy bez wyjątku, a w ten sposób dochodzili do celu swych dążeń, bo odtwarzali w swym języku starożytność. Jeśli więc odpowiedzieć mamy krótko na pytanie, czy i o ile Kochanowski naśladował Ronsarda, to po przykładach i dowodach, które przytoczyliśmy, oprócz wpływu formalnego tj. formy poetycznej, tem wyżej wpływ moralny, jaki wywarł na Kochanowskiego specyalnie Ronsard, przedewszystkiem podnieść musimy. Dziś Ronsarda inaczej sądzą Francuzi,

¹ L. c.

inaczej literatura powszechna, aniżeli lat temu kilkadziesiąt, przed wystąpieniem St. Beuva. Nie jest on już dzisiaj w oczach Francuzów śmiesznym¹, choć nie jest z drugiej strony tym półbogiem i wieszczem, za jakiego go mieli współcześni! Że on był w swoim rodzaju wielkim i że położył około literatury francuskiej niezaprzeczenie wielkie zasługi, wykazały dziś studia nad dziełami Ronsarda, podjęte między innemi i p. Blanchemaina. Że mógł oddziaływać i oddziałował silnie na młody umysł naszego Jana w Paryżu, mam nadzieję że każdy chętnie przyzna.

W końcu pozwolilibyśmy sobie jeszcze zrobić porównanie między Ronsardem a Kochanowskim z czasów paryskich, co dotyczy ich charakterów, sposobu naśladowania wzorów starożytnych, poetycznego wyrażania się, usposobień, uczuć i myśli. Nie ubliżając bynajmniej pamięci Kochanowskiego, sądzę, że pod względem wyboru motywów poetycznych, wierszy erotycznych oraz wysłowienia się poetycznego pierwszeństwo oddać nam przyjdzie temu, który uczucie miłości pojmował idealniej i zupełnie inaczej, niżeli wielu jego rówieśników, następców i poprzedników; to też darmo szukałby ktoś w jego poezjach wierszy takich, którychby nie można dać wszystkim bez różnicy płci i wieku czytelnikom. A czy tak jest u Kochanowskiego, w jego łacińskich epigramatach lub polskich fraszkach?

Jeśli w moich książkach co takiego było,
Czego by się przed panną czytać nie godziło...
Opuść mój Mikołaju...

powiada we fraszkach, a takich opuszczać trzeba by dość dużo zastosować, gdybyśmy nie zasadą Marcyalisa lub Katula, ale surowszą i więcej rachować się ze słowami nakazującą kierować się chcieli. I Ronsard gorączkowo naśladował starożytnych — w krótkim czasie chciał osiąść wszystko od razu: *Je veux lire en trois jours l'Iliade d'Homere*, powiada w sonecie do Kassandry, ale mimo to miejsce lekkich i „niebezpiecznych“: nieprzyzwoitych, jakich niestety

¹ Lorsque il y a quarante ans (en 1826) l'Académie française mit au concours une étude sur la littérature au XVI. siècle, le nom de Ronsard était encore pour le public le synonyme de *ridicule*. Vie de Ronsard par Prosper Blanchemain.

nie brak u Kochanowskiego, nie napotykam bynajmniej u francuskiego humanisty, który zachęcał swą bohdankę, by z nim razem szła szukać listków róży niezwiędłych i za wiele może i zanadto przesadzał w manierowaniu uczucia miłości, ale nie znalazł natomiast wcale miłości sprosnej, pospolitej i jej trywialnych wyrażeń.

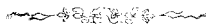
Mignonne, allons voir si la rose...

oto głos poety sonetów Ronsarda, o którym powiedziano słusznie, że więcej napisał sonetów, aniżeli wszyscy jego poprzednicy i następcy, ma się rozumieć Francuzi. Wierszyk ten zjednał mu niemalą sławę, był w ustach wszystkich swego czasu, a dziś jeszcze z zamiłowaniem cytują go wszyscy ci, którzy nie czytali Ronsarda w oryginale, tylko znają go z historii literatury lub tp. podręczników. Stał on się niejako echem Ronsardowej poezyi całej — który natomiast z wierszy Kochanowskiego postawilibyśmy obok niego z owych paryskich czasów? Dawniej, gdy łacińska muza naszego poety leżała odłogiem, ukryta po bibliotekach lub większych prywatnych księgozbiorach, jako jedyny prawie wiersz Kochanowskiego z czasów paryskich cytowano hymn ów:

Czego chcesz od nas Panie...

Dziś, gdy, zdaje się słusznie zaczął genezę jego profesor berliński Brückner (jak już wzmiankowaliśmy) obok erotycznego wierszyka Ronsarda stosowniej i my byśmy może jakie *Foricoenium* Kochanowskiego pisane do Lesbii lub Cypassydy postawić mogli, gdy je kaźden, dzięki pomnikowemu wydaniu pism Kochanowskiego, nie tylko w oryginale, ale i w tłumaczeniu przeczytać i zapamiętać sobie może.

Kazimierz Bronikowski.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Studia i szkice z dziejów literatury polskiej. Skreślił *Piotr Chmielowski*. Kraków. Nakład księgarni J. K. Żupańskiego i Heumanna 1886, 8°. Tom I. str. 332. Tom II. str. 392.

Pan Chmielowski zasypał w roku ubiegłym pulki księgarskie grubymi tomami. Bylibyśmy szczęśliwi, gdyby rozpatrzenie się w nich do korzystnych doprowadziło wniosków, bo tak mało dziś mamy pisarzy wyższego polotu i znaczenia, że każdy w tej mierze nowy nabytek wszystkich serdeczną napęłnia radością. Inne dzieła ocenili lub ocenia inni; my pragniemy czytelnika zapoznać z książką, której tytuł podaliśmy wyżej. Są tu prace z różnych czasów — od r. 1873 do 1886 — a zatem z lat trzynastu. Najgorsze wrażenie robi pierwsza p. t. „Artyści i artyzm“. Że p. Chmielowski w młodości napisał rzecz słabą, nie dziwimy się, to niejednemu się zdarza, ale powtórne ogłoszenie takiej zawikłanej i niedojrzalej roboty chyba ojcowskiemu przywiązaniu do pierwszego utworu przypisać należy. Widać, że był to student pracowity, który w Lipsku dość książek czytał, choć ich nie przetrawił i nie zgłębił, że robił sobie zapiski i wyciągi i ułożył z tego niekształtną mozaikę. Autor zajmuje się sprawą nienową: czy artyści, zwłaszcza genialni, wiedzą co czynią, tj. czy tworzą bezwiednie w natchnieniu i szale, czy też ze świadomością? Przytacza zdania zebrane z całego świata. Jedną i drugą stronicę zapełnia cytaty z Mozarta, trzecią z Platona, czwartą z Lessinga; dalej przesuwają się przed nami: Tyszyński, Hartmann (jeden z ulubieńców, bo wiele zajmuje miejsca) — ba nawet Wundt,

później Proudhon, Gautier, Syell, Schleicher, Müller i t. d. Nie ma w tym pierwszym ustępie nic nowego, ani oryginalnego, są to po prostu wypisy niezbyt zręcznie zebrane i połączone. Nie lepszy jest ustęp drugi pod dziwnym trochę tytułem: „Sztuka parweniuszem“. Pomijamy, że p. Chm. ni stąd ni zowąd zajechał aż do stworzenia świata, i że istnienie człowieka przed jakimi tam *paru milionami lat* (dosłownie str. 25) dla niego *dowiedziona jest rzeczą* — a zobaczymy, jak i w jakim guście p. Chm. poetyzuje. Etnografia, pisze na str. 24, *ubrała się w płaszcz podróżny*, (szkoda, że nie dodaje jaki, sukienny, czy może water-proof) — zwiedza dalekie kraje, zachodzi do papuasów, botokudów, do malajczyków i hantunegrów etc. — a wróciwszy do starej Europy, dumnej swą tradycyjną cywilizacją, powiada jej: „Pairz, taką i ty byłaś przed laty, nie wstydz się swego pochodzenia etc.“ Prawda, że to interesujący dyalog, tej Etnografii w płaszczu z tą starą panną Europą. Ponieważ jednak mogłaby się słusznie zapytać: „jakaż to byłam?“ — kreśli jej już nie Etnografia, ale pan Chmielowski następujący obrazek wstrętny i niepotrzebny, ale samemu autorowi tak się podobający, że uszczęśliwiony woła na końcu z zachwyceniem: „Prosty obrazek — nieprawdaż?...“ Posłuchajmy! (str. 24 i 25).

„Oto pod lasem wśród bujnych traw siedzi przy ognisku mężczyzna na pół nagi i na piersiach ma *wyrżnięte* dziwaczne zygzaki i *kulasy* (!) pokombinowane (!), farbą czerwoną napuszczone; na głowie ma kity z różnokolorowych piór ptasich, jaskrawo przy ogniu połyskujących... Mężczyzna ów obtarł toporek kamienny, którym *dopiero co* (proszę podziwiać dokładność chronologiczną) rozłupywał kości jakiegoś zwierza, ażeby się *dostać do szpiku zjedzonego z wielkim apetytem* (!!); odłożył go na bok wziąwszy w rękę *coś* nakształt niezgrabnego dłuta; zaczął nim (czem — jeśli tem coś, to chyba niém) suwać po *najgrubszej* kości tego zwierza, który *stanowił jego pożywienie*. Robił tak samo, jak student, gdy go lekcya nie bardzo zajmuje. Coś *wyrzynał* (oczywiście owym cosiem). Student zazwyczaj *wyrzyna* swoje nazwisko, albo imię swojej kochanki — ów dziki *wyrzynał* obraz zwierza, którego pożarł“ etc.

To wszystko zamiast prostego zdania, że nawet dzicy czują jakąś potrzebę artystycznej ozdoby swoich ciał i swoich sprzętów. Nie możemy także pojąć, na co rozwlekł wywody np. na str. 26

i 27, albo owa historia o garnkach glinianych na str. 28 i t. d. Czytelnikom pozostawiamy do ocenienia zdania takie np.: „Człowiek sam był *pierwszem płótnem*, na którym występowały pierwotne dzieła malarskie. Tatuowanie zaś nie jest zwykłym malowaniem. Jestto *małżeństwo* rzeźby z malarstwem“ (str. 29). Od dzikich zabłąkał się p. Chm. na pole lingwistyki. Jako próbkę uczoności autora podajemy jedno tylko zdanie: „Anioł — powiada p. Chm. — jest *przepolszczeniem* greckiego wyrazu *angelos*, co znaczy po prostu *poseł*, którego *zmysłowość* (bez kalemburu... dodaje to p. Chmielewski) *każdemu jest znana*“ (str. 34). Co to znaczy? W dalszym ciągu tej gawędy *de omnibus rebus et quibusdam aliis* autor przypuszczając, że publiczność nie czytała Iliady, każe jej wierzyć, że jest tam wiele scen, które niegdyś uroczystym nastrojem przejmowały wszystkich, ale dzisiaj tylko „śmieszą“ (str. 37).

Trudniejsze do uwierzenia rzeczy znajdziemy w następującym rozdziale: „Kiedy się ludzie sztuką zabawiają“. Mniejsza o to, że autor żadną miarą przebaczyć i znieść nie może, że ludzie się bawią — a zdaje mu się, że bawią się tylko próżniaki tj. magnaci — mniejsza, że wybrawszy sobie temat niewdzięczny pisze dość źle (np. na jednej stronnicy znajdziemy jakie dziesięć razy słowa: *tak, taki, teraz* — a to dla większego, zdaje się efektu) — mniejsza o to; gorszy jest społeczny sentymentalizm i wstręt widoczny do cywilizacyi: „Świat ten — woła — to chaos, cywilizacya nasza — to *galimatyas*! Cywilizacya nasza nie *przedstawia stosunków prostych*, nie przedstawia *prawidłowości odrazu namacalnej*“. (Czy mogłaby być powoli namacalną?) — Co go skłania, a raczej jak sam wyznaje, *zmusza* do takiego wykrzykniku? „Teraz, pisze p. Ch. na str. 39, może literat w wytartym tużurku *wypracowywać* iskrzące się dowcipem i tryskające humorem fejletony, spoglądając z apetytem (zapewne jak ów dziki na szpik) (słuchajcie!) na *kajzerkę i sardęlek*“. Nieprawdaż, styl ten wytworny — podziw u potomności wzbudzi — ale słuchajmy dalej: „Teraz może rzeźbić (kto? czy ów literat?) *cudowny* nagrobek z kararyjskiego marmuru dla ś. p. żony jakiego magnata, nie mając pięciozłotówki na kupienie rękawiczek (znowu zwracamy uwagę na precyzyę i dokładność autora — podaje nawet cenę rękawiczek!) ażeby pójść i upomnieć się o honorarium u tegoż samego magnata: (czy mógłby się u innego upomnieć?..) *Tak...*

teraz wszystko być może!" Po tym pompatycznym frazesie i my moglibyśmy zawołać: Tak, po przeczytaniu zdań powyższych już wszystkiego spodziewać się można — tak, nie dziwimy się, że i tego rodzaju rzeczy znalazły powodzenie. Cenimy śmiałość zdań z przekonania płynących, ale czy jest to śmiałość godna uczonogo, który powinien być bezstronny i wyrozumiały — proszę osądzić.

Od tych narzekañ wie dzie już autora prosta droga do egipskich piramid — i do matematyki. Oblicza za jakimś Niemcem, że budowa *jednej* piramidy wymagała pracy 360.000 (ani mniej ani więcej) ludzi w przeciągu 20 lat! (str. 41) „Pocili się ci ludzie, pracowali straszliwie, ażeby jednemu *jakiemuś* Ramzesowi czy Cheopsowi sprawić przyjemność, ażeby zadość uczynić jego dumie. Zbudować piramidę znaczyło: uwiekopomnić się, a uwiekopomnienie się — *toć to* zadowolenie nielada.“ — Rachunki tak się podobają autorowi, że nie poprzestaje na powyższym, lecz dalej ćwiczy się w tabliczce mnożenia, ciągle w tem przekonaniu, że piramidy były tylko na to, aby *jeden* (tym razem zamiast *jakiś*) Ramzes czy Cheops mógł się bawić (!) „Zwyczajny człowiek — powiada p. Chm. — ciężko pracował przez 7,200.000 (siedm milionów, dwakroć stotysięcy) lat! Ażeby owych 360.000 ludzi mogło przez 20 lat zajmować się obciosywaniem brył, a wskutek tego nie nie *wytwarzać pod względem ekonomicznym*, bo nie sieli (sic), nie orali, nie piekli chleba, nie *krajali mięsa* etc. — to inni ludzie musieli przez ten czas wytworzyć tyle, ażeby nakarmić, napoić, przydziać etc. i Cheopsa i siebie i te 360.000 ludzi, co obciosywali kamienie. Stąd wniosek: ażeby Cheops *mógł się bawić*, potrzeba było pracy kilkunastu milionów *innych* ludzi... Niektórzy ludzie z przeznaczenia (z predestynacyi!) są *skazani* na zabawę, inni zaś na pracę... Kiedy dzicy najedzą się i napiją, zaczynają dopiero skakać, tańczyć, krzyczeć, wyć, tatuować się, rzeźbić kości, malować strzały i t. d.“... Zdaje nam się, że to, co przytoczyliśmy wystarczy aż nadto, do poznania stylu, logiki i rozumowań autora. W odpowiedzi mielibyśmy ochotę zapytać, ilu ludzi pracowało, ażeby się p. Chmielowski bawił, tj. pisał swoje rozprawy, ile wydawcyłożyć, składacze czeionek mozolić się, czytelnicy czasu tracić musieli, ale ponieważ p. Chm. nie zajmie zapewne w historii powszechnej tego miejsca, co *jakiś* Ramzes lub *jeden* Cheops — przeto daruje, że dłużej nad

jego piramidalnem dochodzeniem zatrzymywać się nie będziemy... Czem takie obliczania pachną, łatwo odgadnąć — a nie dadzą się uzasadnić nawet z ekonomicznego stanowiska. Piramidy żywią i dziś jeszcze tysiące biedaków, bo przyjeżdża je zwiedzać tysiące bogaczy.

Druga rozprawa, porównanie Sobótek J. Kochanowskiego i S. Goszczyńskiego daleko zręczniejsz napisana, jest jednak również bez prawdziwej wartości. Autor zamiast „porzucić ogólniki i zbyt elastyczne frazesy, a wniknąć w szczegóły“ (co radzi drugim na str. 78) — zbywa rzecz pobieżnie, bez należytego zgłębienia i zrozumienia przedmiotu. Opisowość w utworze Kochanowskiego — jest według niego nadzwyczaj uboga. „Sobótka“ jestto — jak każdemu wiadomo — zbiór piosnek sielskich bez żadnej a żadnej pretensyi do *opisowości* — więc na co ten zarzut i ta uwaga? Zarzuca dalej, że z tych pieśni mało zyskała — *etnografia*. Z powodu ślicznej zwrotki: „Boga dzieci, Boga trzeba, kto chce syt być swego chleba“, powiada p. Chm., że *religijność poety nie na miejscu ukazywać się tu zdaje*. Łatwo rzucić frazesem — ale potrzeba dowieść — a nie zbywać bardzo słabemi argumentami, że „uroczystość tę kładł poeta na równi z kościelnemi“. Skąd autor przyszedł do przekonania, że „zręczność i przebiegłość wiele się do towarzyskiej ogłady człowieka przyczyniają“ (str. 89) — dojsć niepodobna, a Kochanowskiemu nie śniło się o tego rodzaju refleksyach. Pan Chm. pomiął najpiękniejsze ustępy i myśli, nie dopatrzyl zgola organicznego związku i szlachetnej tendencyi (świecenie świat — litość dla zwierząt — towarzyskość — zamilowanie w życiu wiejskiem — uprzyjemnienie sobie pracy godziwą zabawą i t. d.) a za to — niby jaki sędzia śledczy — pragnie koniecznie zbadać, kogo Kochanowski naśladował, z jakich wzorów korzystał. Praca ta, zaprzatająca go najbardziej — pomimo że miał w niej poprzedników — nie wie dzie mu się i rwie się co chwila — ustępy, przytoczone z autorów klasycznych, są najczęściej mało podobne do odnośnych u Kochanowskiego — raz nawet woła z rozpaczą niemal: „Źródła tej pieśni (ósmej) nie udało się nam odszukać, *musimy* ją więc poczytać za oryginalną“ (str. 92). Co to za boleść dla biednego autora. Chociaż sam uznał, że wiek Kochanowskiego zrósł się ze światem klasycznym ściśle — z powodu niewinnego wiersza: „A Faunowie skaczą leśni“ — uważa p. Chm., że mitologia znowu *nie*.

potrzebnie pokazuje tu rożki. W dalszych dość nudnych uwagach potrąca autor o zdanie p. Włodzimierza Spasowicza, który zupełnie niesłusznie i bez podstawy odmówił czarnolaszemu wieszczowi nazwy narodowego poety. Tego już i p. Chm. za wiele — stara się więc dowieść, że Kochanowski *kosmopolitą nie był*, że odczuwał potrzeby kraju i szczerzy zawsze brał w nich udział.

Z Sobótką Goszczyńskiego łatwiejsza była sprawa. Autor podaje po prostu treść, a tu i owdzie czyni uwagi ani nowe, ani głębokie. Rozbójnik Janosz przywiedziony do życia *tulaczego* podoba mu się dość, bo nie jest malowany ani z książek, ani z podań jakichś dalekich a zamglonych. (Czy to przytyk do Kochanowskiego?). „Nie zaniedbał poeta opisać ani guń, któremi ramiona okrywali, ani toporków błyszczących u pasa, ani szczudła. Słowem Goszczyński pokochał *naturę jak matkę*“. Jeśli to przymówka do Kochanowskiego, to zwracam uwagę na prześliczne u niego a liczne obrazy natury — a zresztą bynajmniej nie podzielam zachwytów p. Chmielowskiego, bo nawet Goethe, tak do naturalizmu skłonny, powiedział, że natura jest obojętna i nieczuła na dół człowieka. Nie Byron dał początek poezji *indywidualnej*, ale Horacy, Owidyusz i inni bardzo starzy mistrze. Nawiasowe natrącenie, że Mickiewicz w Wallenrodzie *zepsuł* koloryt historyczny, jest co najmniej lekkomyślne. Z tego, że Goszczyński nie lubił „muskać, gładzić i szlifować swoich utworów“, nie wynika jeszcze, jakoby wiersz jego grzmiał jak surma bojowa. Po tych — jak je autor nazywa — *wypukło-rzeźbach* następują *uogólnienia* — bardzo ogólnikowej natury — więc nie potrzebujemy się niemi zajmować.

Trzecia rozprawa pod zwodniczym tytułem: „Ostatnie chwile Jana Kochanowskiego“ ma na celu dowieść, że poeta i po Trenach napisał jeszcze kilka utworów. Rzecz ta była wiadomą każdemu, kto choćby *Epinicion* wziął raz do ręki — ale p. Chmielowskiego zebrała chętka dowieść rzeczy dawno dowiedzionej, że nawet smutek Kochanowskiego trwać nie mógł wiecznie — a potem podaje dość obszerną treść, i tak skleił się artykuł — bez żadnego zresztą znaczenia.

Następujące dwie rozprawy: „Nieznany poemat Wacława Potockiego“ (Wirginia) i „Epopeja z czasów saskich“ (Viennis) uważamy za najpożyteczniejsze z całego zbioru. Jestto wcale dokładne

sprawozdanie i streszczenie dwóch zapomnianych poematów. Nie każdy, nawet historyk literatury, będzie miał tyle czasu i cierpliwości, ażeby odczytać 10.000 z górą wierszy liczącą epopeję pracowitego Pijara (ks. Kalińskiego) o wyprawie wiedeńskiej, referat zaś p. Chmielowskiego obznajomi go z nią dostatecznie i czytanie zastąpi. Historyą Wirginii Potockiego porównał autor słusznie z odnośnem opowiadaniem Liwiusza (III. 44—68) i przytacza wiele ustępów, niektóre bardzo charakterystyczne np.

Co mi za rycerz, choć kto wojska gromi,
Kiedy go lada dziewczysko uskromi...
Siebie zwyciężyć większej u mnie wagi,
Niż szturmem Troje albo brnąć Kartagi.

W obydwóch sprawozdaniach znajdujemy także ciekawe szczegóły bibliograficzne. Gdyby p. Chm. poprzestał na tego rodzaju pracach, gdyby nie przekraczał zakresu literackiego referenta i sumiennego bibliografa, mógłby nie małe położyć zasługi; poezyi zaś, dla której nie ma zmysłu, estetycznej analizy i oceniania poetów wyższego polotu powinien stanowczo zaniechać. *Ne sutor ultra crepidam.*

Co do uszanowania, z jakim legitymistycznie usposobiony ks. Kaliński pisze o cesarzu Leopoldzie, do przypuszczeń autora możnaby dodać i to, że wszędzie w całej Europie, w wyższych mianowicie sferach, chciał być czytany i zasłużyć na nazwę pisarza bezstronnego i sprawiedliwego.

Charakterystyka Ignacego Krasickiego, jako utwor literacki — jest najlepszą i najsamodzielniejszą pracą p. Chmielowskiego. — Jest on dla „księcia poetów“ łaskawie usposobiony — szczególnie z powodu Monachomachii. Wprawdzie musi przyznać, że filozofia XVIII. stulecia przesunęła się tylko powierzchownie po umyśle poety, co świadczy o niewygasłej wierze i wielkiej samodzielności w tym wieku zepsucia — ale z radością podnosi, że starła przecież z niego to, co może edukacya szkolna zbyt szorstkiem i niestosownem pozostawiła (str. 237). W kazaniach jego widzi „wszędzie suche tylko i zimne a dość powierzchowne rozumowanie i widoczny wpływ J. J. Rousseau’a“ — ale zato cieszy się, że autor Monachomachii śmiało i bez ogródki wyprowadza na jaw całą sromotę (!) życia klasztornego i tem samem zadaje cios silny

jednej z instytucji kościelnych“ (str. 259). Przy tej sposobności narzeka na „ogromne dobra“ i rozpustę wyższego duchowieństwa, i powiada, że szlachcic dbał więcej o *swobodę worka* (!) niż o swobodę myślenia i w obronie worka nie wahał się zaczepić księdza słowem i szablą (!) — ale za to (!) wierzył we wszystko, co mu do wierzenia podawano, zarówno w Tróję św., jak w *cudowność jakiego obrazka, który w interesie swego klasztoru zakonnicy za cudowny ogłosili* (str. 261). O zakonach powiada, że siedzi w nich ogromna ilość istot *nieprodukujących żadnej materyjalnej wartości*, które nie pracując żywią się z pracy biedoty (str. 262). Siła mięśni musiała u nich często wynagrodzić słabość *masy mózgowej*“ (str. 266). Czytelnik osądzi sam przyzwoitość uwag powyższych. Chociaż dzieło ks. biskupa Warmińskiego wywołało i za jego życia niemało zgorszenia, nie spodziewał się zapewne wesół poeta, że da powód do tak ciężkich pocisków.

Z przekąsem mówi p. Chm. o powodzeniu u kobiet — ale najbardziej za złe ma Krasickiemu i powtarza to w kilku miejscach, że dbał zanadto o „honor i profit domu“. Co było lepsze, czy owa dbałość, o której zresztą w poufnych listach do rodziny wspominał, czy dzisiejsze rozluźnienie związków rodzinnych i rozpróśnienie? Jeśli p. Chm. ma dzieci, a one podrosną, i starać się będą o honor i profit jego domu — szczęśliwą będzie jego starość, i wtedy zapewne — w innym świetle zobaczy troskliwość poety.

Nie można powiedzieć, że p. Chm. nie uznaje wysokich zdolności Krasickiego i nie podnosi jego istotnych zasług — a jednak nawet on odhity w okularach tego literata przedstawia się mniej-szym, niż był istotnie, i w świetle wprawdzie nie fałszywem, ale jakby załamanem.

Przeczytawszy obszerną rozprawę na czele drugiego tomu p. t. „Pogląd na poezję polską w I. połowie XIX. wieku“ spojrzeliśmy powtórnie na tytuł, czy nie ma pod nim dopisku: „Wykład popularny“ — albo „Prelekeya dla panien w pensyonacie“ — tak pobieżną i banalną jest rzecz cała. Wielu zasłużonych zupełnie pominął — wszystkich zbył ogólnikami. Są tam i rzeczy wprost śmieszne. N. p. na str. 44 p. Chm. o Mickiewiczu raczył oznajmić, że to co napisał do r. 1828, zapewnia mu w literaturze *miejsce zaszczytne* (!) Nawiasem wypada przypomnieć autorowi, że prze-

ciwstawieniem siły nie jest łagodność lecz słabość, bo owszem prawdziwa siła często bywa łagodna. — Oryginalną w swoim rodzaju jest rzecz o Kazimierzu Brodzińskim. Powiedzieliśmy na prędce rzecz, bo nie wiadomo, jak to właściwie nazwać. Najlepiej: „*Wypisy z dzieł Brodzińskiego*“, ale autor tego na tytule nie uwydatnił. Oprócz dość starannej bibliografii na końcu i kilku szczegółów tejże kategorii w tekście, niema tam prawie słowa, któreby wyszło z głowy autora. Przepisuje całemi stronicami, co więcej przepisuje lub streszcza utwory przeważnie znane i drukowane. Czytania dzieł to bynajmniej nie zastąpi — przypuścić więc potrzeba, że autorowi chodziło tylko o „produkowanie materjalnej wartości“, bo chociaż zamilowanie do czytania nie jest u nas wielkie, nie mógł autor Brodzińskiego uważać za nieznanego pisarza.

Następnie podaje p. Chm. treść trzech ballad Zana i parę o nich najzwyklejszych frazesów. Daleko pożyteczniej przeczytać uważnie same ballady.

To samo, co o Brodzińskim wypada powiedzieć i o następnych dwóch elaboratach (Towianizm Słowackiego i Listy Krasieńskiego). Są to poprostu odpisy listów — bez żadnej dla literata wartości. Dobrze by to było w czasopiśmie jako streszczenie nowych książek, gdyby p. Chm. umiał przynajmniej znaleźć w nich rzeczy istotnie ważne i piękne. Niestety jego „umysłowość“ zajmuje przede wszystkim to, co wielkiego człowieka — który nie spodziewał się, że najpoufniejszym jego listownym zwierzeniem ludzkie po śmierci spokoju nie dadzą — w mniej korzystnem i mniej sympatycznem przedstawia świetle. Krótki wzrok szanownego sprawodawcy nie pozwala mu dojrzeć wielu rzeczy na wysokościach; widzi niektóre rysy — nie widzi fizjonomii. Zamiast podnieść się umysłem na wyżyny tamtych, ściaga i zniża ich do poziomego pojęć zakresu. Nie wiem np. czy historia o biskopach z wodą, podnoszenie interesu „dla wypadków zewnętrznych, lubieżność skończenia bytu, szkoła podłości i próżności, pognanie przez ojca do Karlsbadu, nadzieja powieszenia się na rozstajnej drodze, historia o szczycie „ogwiżdżonym“, pyszny w mniemaniu p. Chm. a niemili według nas obrazek rodzajowy o nieszczęśliwym szlachcicu i wiele innych okoliczności „życiowych“ (ulubiony to wyraz warszawski) — nie wiem, czy to wszystko jest czystą essencją wydobytą i zebraną z obszernej ko-

respondencyi, czy też mętnym osadem zasługującym raczej na przemilczenie w pobieżnym sprawozdaniu. Zaprotestować także musimy przeciw lekceważeniu, z jakim wyraża się p. Chm. o serdecznym przyjacielu Krasińskiego, Konstantym Gaszyńskim — i to zupełnie nawiasowo i niepotrzebnie. Pan Chmielowski daje do zrozumienia, że Krasiński przeceniał go, i ubliża temu zacnemu i zasłużonemu mężowi w sposób, który byłby dotkliwy, gdyby nie był przesadny i prawdziwie ubolewania godny. Nie pierwszy to zresztą raz p. Chm. pomiata zasługą i postępuje brutalnie z pisarzami i ludźmi osiwiiałymi w służbie narodowej.

We wspomnieniu o Zaleskim daje znowu lekcją Mickiewiczowi, że zanadto pochlebne o nim wypowiedział zdanie. Nie potrzeba chyba dodawać, że śpiewak tej miary i tego polotu, niezupełnie był dostępny dla „umysłowości“ autora. Mamy jednak nadzieję, że potomność zawsze z zachwytem czytać będzie wieszczów naszych — o wielu zaś zdaniach i sądach pana Chm. rychło zapomani — i to będzie najlepsza dola, jaka spotkać może tego pilnego, lecz zbyt pośpiesznego pracownika, który często bywa niedokładny i niesprawiedliwy, nawet bezwzględny, i wiele rzeczy mierzy niewłaściwą skalą.

Dr. Hugo Zathej.

Szkice i opowiadania *Dra Antoniego J. Serya* piąta r. 1887.

Skwapliwie witamy, nową serję *Szkieców* sympatycznego autora, który już od lat wielu, obdarza nas temi prawdziwemi kwiatami, z rodzinnej uszczkniętami niwy, a których i woń jakąś swojską, ojczyzną, i malowniczość barw oceniać nauczyliśmy się oddawna. Autor, ukryty pod skromnym pseudonimem Dra Antoniego J., pierwszy bodaj, stał się u nas twórcą nowej formy dziejopisarskiej, znanej odtąd pod nazwą *Gawędy z przeszłości*, formy, która uzyskawszy prawo obywatelstwa, nie tylko zdolnych i wdzięcznych znalazła wkrótce naśladowców, ale wyparła bodaj, lub na drugi plan usunęła, wszelkie inne rodzaje narracyi krajowego dziejopisarstwa. Ale bo też i przyznać należy, że Dr. Antoni J. nowym tym rodzajem narracyi, zawładnął od razu, prawdziwie po mistrzowsku. Obrawszy za kanwę dla swojej gawędy pas naszego kraju, znany pod nazwą „ukraińskich kresów“, którego losy i koleje, mało dotąd znane w piśmiennictwie, pozostawały niejako w ukryciu, autor piękny ten szmat ojczyźnej ziemi, już sam z siebie pełen barw i poezyi, umiać jeszcze potrafił, najpiękniejszą, sobie tylko właściwą swadą. To też jego kozaństwo, jego panowie i szlachta kresowa, sam nareszcie lud kmiecy — na wskrósł ukraińskie, a stają przed nami w barwie tak jakoś świetlanej, promiennej, tak wydają się żywcem z natury pochwycone, że już chyba i najsu-

rowsza krytyka, ani wierności malunku, ani prawdy historycznej, zaprzeczyć im nie w stanie...

Autor *Szkiców*, urodzony i zamieszkały na Podolu, żyty i zestosunkowany z jego wybitniejszym społeczeństwem, sympatyczny i popularny, zarówno pod szlachecką strzechą jak i w pałacach magnackich, wszędzie ukochany i popularny, ujrzał wkrótce nie tylko gościnnie otworem mu stojące podwoje podolanów, ale i stare ich strychy, poddasza i lamusy, chroniące domowe ich bogi, niedobutwiałe pergaminy i rękopiśmienne szpargały. To też on jeden uratować i od ostatecznej zagłady, te minionych lat pamiątki ustrzedz, ocalić potrafił... A znalazły się tam skarby nie lada, drgające życiem, ciepłe jeszcze okrucy prastarej, dziejowej przeszłości, okolicy, ba nawet kraju całego i społeczeństwa, które legło już w grobie oddawna. Doktor dotknął ich umiętną ręką i trysnęły potokiem źródła najczystszej ruczaj. Przysnęła mu też należy, że sztukę retuszerską posiadał — jak nikt może ze współczesnych, z otaczających go, że nim kierował zawsze najsubtelniejszy instynkt historyczny. To też i te kupy niedogryzionych częstokroć przez mole i szczury papierów, bezwartościowych na pozór, na które składały się gospodarskie agendy i rejestra, liczne listy przyjacielskie do sąsiadów, lub kalendarz OO. Karmelitów berdyczowskich z notatkami domowymi niewprawną ręką szlacheica na marginesach kreślonymi, najczęściej o biedach i klęskach domowych, wszystko to w rękach naszego doktora przetwarzało się w cenny materiał historyczny, w źródło dziejowe, które barwił tylko, ale tak, aby z niego nie zetrzeć prawdy dziejowej; — to też ta ostatnia z tego tygla skażoną nie wychodziła nigdy, poezją tylko niby siecią pajęczą otoczona.

Zdarzały się jednak chwile w literackiej działalności Dra Antoniego J., w których dostawały mu się do rąk i donośniejszego znaczenia nabytki i materiały historyczne. Do takich należy niezaprzeczenie otwarcie mu wstępu do bogatych zbiorów archiwalnych, zmarłego przed laty Konstantego Podwysockiego, właściciela Rychty na Podolu, historycznej niegdyś siedziby Humieckich. Zbiory te, znane zresztą w swoim czasie, jak i sam ich właściciel, za możny bibliograf, przyjaciel J. I. Kraszewskiego, małej tylko liczbie przyjaciół Podwysockiego dostępne, otwarte jeszcze za życia jego stały dla autora *Szkiców*, a że z nich sownie korzystać umiał, najwymowniej o tem świadczą liczne jego prace historyczne. Wszystko jednak ma swój koniec na tym świecie, tak się też stało i z materiałami Dra Antoniego J. Podwysocki umarł: zbiory jego rozprószyły się po świecie, gorszy los jeszcze spotkał inne podolskie szlacheckie archiwa: dogryzły je szczury, zmarnowała niezaradność ich właścicieli, rozprószyły wypadki polityczne zasze w tym kraju — przysła przeto chwila w której uczony nasz szperacz podolski, dostrzegł pustkę dokoła, puste skrzynie papierów, powalone schroniska ich — lamusy. Do pracy jednak rwał się czynny, znałogowany duch jego. Obejrzał się dokoła i wtedy to badawczy wzrok jego spoczął na stosach zadrukowanej martwymi zgłoskami bibuły, na wydawnictwach kijowskiej komisji archeologicznej, pod niefortunnem a wrogiem społeczeństwu naszemu kierownictwem pp. Józefowicza i spółki pozostających. I z tego jednak mętnego balastu, uczony nasz pracownik cenne częstokroć perły wydobywać potrafił, czego dowodem ostatnie dwie serye jego szkiców, bledsze o wiele od poprzednich, zawsze jednak okraszone zacną myślą i pisarskim sympatycznym talentem wydawcy.

O ostatniej, piątej seryi *Szkiców* z obowiązku sprawozdawcy pomówić mamy. Tom ten rozpoczyna ciekawa, wyczerpująca monografia o Samuelu Łaszczu, strażniku koronnym. Wybitną tę postać zaszkicował już przed laty ś. p. Aleksander Weryba Darowski. Dr. Antoni J. ujął ją tylko w dokładniejsze ramy, rozszerzył nieznanemi dotąd, całkiem prywatnej natury szczegółami. Wokoło wizerunku Łaszcza zgromadził autor kilka wybitniejszych postaci starszyny kozackiej: Koszki, Bohuna, Czalenki z całą ich awanturniczą drużyną. Typy to już nie nasze, nie swojskie, choć skapane w potokach krwi laskiej, a więc niejako z dziejami kresów zrosłe i zdrużone niestety. Z poza nich wyziera kilka główek niewieścich: jakby się bały otoczenia, w którym je uszerogował bard nasz podolski ale i to — niewiasty kresowe. A więc naprzód wysunięta postać niewieścia, łzawa — wdowy, najprzód po hetmanie Koniecpolskim, następnie po ostatnim księciu Koreckim. Światło dnia ujrzała w dumnym gniewie Opalińskich, a więc i jej na szerszą widownię wyjrzeć się chciało i kara ją za to spotkała, a lud mieniając ją sprawczynią śmierci dwóch swych bohaterów małżonków, przeklął jej pamięć — diablicą ją przezwiał. Jakaś nieublagana Nemezys zaciążyła widocznie nad losami tej pięknej i niewinnej kobiety, za jedną tylko chwilę obłędu i zapomnienia... za to, że ideały i marzenia swe niewieście poświęciła dla dumy, dla blasku złota i zaszczytów, oddając swą rękę zgrzybiałemu starcowi. Poza tą błądą, poetyczną postacią ostatniej księżny Koreckiej, wylania się druga niewieścia postać, choć w rażącej z pierwszą sprzeczności pozostająca. To pani starościna opeska Ciechanowiecka, z domu Strutyńska, typ już całkiem Stanisławowski: rażący cynizmem, niewiarą i naleciałościami ówczesnej epoki. To też dokola powabnej starościny gromadzi i grupuje się, co wydatniejsze społeczeństwo ówczesne, zniewieściałoby bez serca monarchia i tacyż po części dworacy i otoczenie jego. Padły ofiarą niewieściej płochości, najprzód dzielne marsowe postacie Strutyńskich: męża i braci pięknej pani — aż i ona nareszcie rozplywa się, ginie w otoczeniu kurtyzanek płochego monarchy. W tem otoczeniu zjawiają się postacie, o których dla pewnych względów, przemilczeć jednak do czasu przynajmniej należało, dotąd bowiem żyją bliscy a wielce na uwzględnienie zasługujący członkowie rodziny, dla których wspomnienia podobne dotkliwie być muszą. Któż nie odgadnie, że mamy tu na myśli rodzinę Manuzziów, a tem samem blisko z nią połączone zacne gniazdo dzisiejszych hr. Platerów. Niewinna to może lekkomyślność autora *Gawęd*, a jednak mieliśmy ją na sercu oddawna i to z poważnych jeszcze pobudek, za pewne niedyskrecye przy opisie rezydencji puławskiej. Są świętości, są pewne domowe bogi, wnętrza dostojnych rodzin tyjące, których poważnemu dziejopisowi dotykać nie godzi się, zwłaszcza, gdy i dowody na to kruche i malunek historyczny na pominięciu ich nie traci zgola. *Honn est qui mal y pense*. Wracając do *Szkiców* Dra J. już nam tylko kilka słów dłużnych dopowiedzieć o nich pozostało. Owoż piękny tom ostatniej seryi dopełniają luźne sylwetki z epoki tak bardzo niedawnej, żeśmy ludzi w niej wspomnianych sami prawie zaznali. Mamy tu na myśli zatytułowaną przez autora literacką podolską drużynę, na czele której postawił on Stanisława Starzyńskiego, tego sympatycznego podolskiego barda *Stachem z Zambiechowa* pospolicie nazywanego. Pod jego rękawicę się do polotu skrzydła, pod jego gościnną strzechę podolską, zgromadził autor *Szkiców* całą niemal ówczesną sympatyczną drużynę jego literacką, a więc: Gwalberta Styczyńskiego, Henryka Jabłońskiego, autora niezapomnianych du-

mek, księdza Marczyńskiego autora podolskiej statystyki i wielu, wielu innych jeszcze, których znaliśmy, kochaliśmy wszyscy, a po których pamięć nie do trwa może do przyszłych pokoleń.

Kończąc pobieżną naszą wzmiankę o ostatniej seryi *Gawęd* Dra Antoniego J., w której przedewszystkiem objąć chcieliśmy całą sympatyczną literacką działalność jego — zamknąć ją nam chyba wypada słowy zmarłego poety: „Gadu, gadu stary dziadu, pleć pleciugu byle długo i t. d.“

Tadeusz Jerzy Stecki.

Pamiętnik o Maryi Wessłównie, królewiczowej Konstantowej Sobieskiej, spisany ze wspomnień rodzinnych. przez *Sabinę z Gostkowskich Grzegorzewską*. Warszawa 1886. str. 332.

Czy to powieść, czy historia? pyta czytelnik po przeczytaniu pierwszych kartek, a po dobiegnięciu do ostatniej, nie wie jeszcze co na to pytanie odpowiedzieć. Zdawałoby się, że historia, bo tak wносиły kazał tytuł, i rzucone kilka razy zapewnienia, że wszystkie szczegóły zaczerpnięte są z ustnej, bezpośredniej tradycyi, i tok opowiadania poważny, wkraczający nieraz w dziedzinę ścisłej historii polskiej. Ale nie mniej zdawałoby się, że to powieść, bo mamy tu monologi i dyalogi i ustępy z pamiętniczka niby pochodzącego z XVIII. wieku, ale który stylem i samym sposobem myślenia aż zaudatko widocznie zdradza, że dopiero w XIX. wieku ujrzał światło dzienne, a w dodatku na domiar złego wszystkie swe źródła, zwłaszcza źródła piśmienne, pozostawia autorka w takim nieokreślonym półcieniu, że mimowoli nasuwa się natrętna myśl: Kto wie, czy te wszystkie źródła nie są tylko powieściopisarskim fortelem? I na myśli tej każdyby się podobno zatrzymał, gdyby następna znów kartka, dobrą swą wiarą, szczerością, brakiem poetycznych ozdóbek, i widoczną nieświadomością prowadzenia powieściopisarskiej fabuły, nie zachwiała już niemal wyrobionego przekonania.

Możeby można pozorne te sprzeczności w następny sposób wytłumaczyć. Autorka słyszała dzieckiem wiele o królewiczowej Sobieskiej; a podobno i miała w ręku dokumenta do jej życia odnoszące się, z biegiem lat obraz nieszczęśliwej tej pani wypelniał się w jej wyobraźni na tle zasłyszanych i czytanych szczegółów — tak, że gdy w długie lata później chciała ten obraz przelać na papier, mimowoli dodatki własnej wyobraźni zlały się w jedną całość z słyszaną kiedyś historią. I nicby mieć nie można przeciw takiemu powieściowemu opowiadaniu, opartemu na historycznej podstawie, gdyby czytelnik od pierwszej stronicy wiedział, z jaką książką ma do czynienia, czego może, a czego nie powinien w niej szukać. Niestety! nie tylko czytelnik, ale podobno i autorka nigdy sobie z tego jasno nie zdała sprawy, a wielka szkoda, bo skądinąd książeczka ta napisana, bardzo pocziwie i stylem przyjemnym.

J.

Gerda. Fragmenta z poematu *Ezajasza Tegnara*. Wolny przekład z oryginału, przez *Wawrz. hr. Benzelstierna Engeströma*. Lwów. Nakładem księgarni K. Łukaszewicza. 1887.

Z bardzo mało u nas znanej literatury szwedzkiej, najgłośniejszem może jeszcze jest imię Tegnara, którego poemat *Azel* przełożył Wiernikowski, a słynna

na świat cały *Friedhjofo Saga* aż trzech odrębnych doczekała się tłumaczeń. Ale *Fridhjofo Saga* była właściwie w myśli poety tylko pierwszą częścią wielkiej trylogii mającej objąć dzieje pogańskiej, katolickiej i protestanckiej Szwecyi. Wielkiego tego planu nie zdolał poeta wykonać; zanim czarna melancholia przeradzająca się w obłąkanie, przerwała pasmo jego natchnień i marzeń, dał tylko zdziwionemu światu wspaniały, choć z natury swej mniej pociągający obraz pogańskiej Szwecyi i nakreślił pierwszą pieśń i kilka luźnych urywków z drugiej części, opiewającej Szwecyę katolicką. Te fragmenty, zebrane pod wspólnym tytułem *Gerda*, będącym imieniem głównej bohaterki poematu, daje nam w polskim przekładzie hr. Engeström, nie od dziś troskliwy, aby obie swe ojczyzny, Szwecyę i Polskę, jeśli już nie pod innym, to przynajmniej pod literackim względem, zbliżyć do siebie i zapoznać.

Nie dziwny się wcale, że tłumacz, rozmiłowawszy się w pięknościach Tegnera, chciałby przed nami odkryć wszystkie ich skarby; ale czy dla nas, tak mało wtajemniczonych w szwedzką literaturę, przekład oderwanych fragmentów, choćby one nawet równie były ciekawe i pojętne jak *Gerda*, nie jest przedmiotem zanadto zbyt kownym, aby mógł być rzeczywiście na dziś przynajmniej pożytecznym? Jak pocie szwedzkiemu nie radzilibyśmy tłumaczyć urywków z *Dziadów* lub *Niedokończonego Poematu*, zanimby swych czytelników nie zapoznał z *Panem Tadeuszem* lub *Irydyonem*, tak zdaje nam się, że i na szwedzkiej poetycznej niwie nie brakuje pewnie kwiatów, które z większą przyjemnością dla oka, a nie z mniejszym, może z większym pożytkiem dla ducha możnaby przesadzić na nasze łąki, niż wiele obiecujący, lecz przed rozkwitnięciem zwarzony pączek. Jakże to w szczególności kwiaty? Odpowiedzieć na to nie kusimy się, lecz pewni jesteśmy, że tłumacz, znający tak dobrze i tak bardzo kochający literaturę szwedzką, wyręczyć nas zechce niebawem, przyswajając językowi naszemu inny jakiś utwór, nie powiemy piękniejszy, ale skończony w sobie, i z którego lepiejbyśmy mogli poznać ducha, ideały i dążenia szwedzkiej poezyi.

O ile przekład jest dokładnym, osadzić nie umiemy. Gdyby nie dodatek na tytule: „*Wolny przekład z oryginału*“, to sądzilibyśmy, że pewne chropowatości stylu pochodzą ze zbyt niewolniczego trzymywania się szwedzkiego tekstu, w każdym razie niektóre ustępy, np. na str. XIX.:

„W zimowym stroju
„Na wieszczą zdroju! —
„Śniegi zawiąły
„Jego chorąły.

lub na str. 25:

„Nad te błyski — hen u góry
„Przeźrocyste lśnią lazury,
„W których srebrne wstęgi białe
„Na wyżynach skamieniałe,
„Okrażają w samym szczycie
„Górski kryształ na zenicie!

są dla czytelnika nawet po parokrotnem przeczytaniu niezupełnie zrozumiałe. A szkoda, bo niejednen tem zniechęcony, gotów odrzucić książkę i zamknąć oczy na prawdziwe ukrywające się w niej piękności.

J. B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Literatura czeska w r. 1886.

W nowszej literaturze powszechnej, literatura czeska zajmuje w rzeczywistości bardzo podrzędne stanowisko, mówię w rzeczywistości bo zrobiwszy wyjątek dla niewielu jej zwolenników tu i owdzie trafiających się w Polsce, Rosyi, Francyi i t. p. — dla reszty świata plody literatury czeskiej niemal nie istnieją.

Widać to już na pierwszy rzut oka z nader małej liczby przekładów z języka czeskiego i to jeszcze dokonanych przez samych Czechów albo przez owych nielicznych zwolenników, którzy najprzód muszą przekonywać swych ziomków o wartości dzieł czeskich a następnie dopiero wymuszać na nich czytanie owych tłumaczeń. Najbardziej ożywiona wymiana myśli panuje jeszcze między Czechami a Polakami. Z jednej strony Czesi najwięcej mają przekładów z polskiego, z drugiej znów strony dzieła czeskie jeszcze stosunkowo najwięcej w Polsce budzą zajęcia — do czego wiele przyczynia się podobieństwo obu języków. To też w Polsce nowsze dzieła czeskie znane są przynajmniej z ogólnej treści, natomiast zdaje nam się że pewien ogólny pogląd na obecny stan literatury czeskiej zupełnie nie będzie zbytecznym.

Gdyby liczba rozstrzygała o wartości, tedy poezyi należałoby się słusznie berło w literaturze czeskiej; owszem od pewnego czasu słyszeć się dają poważne skargi na hiperprodukcję w tym kierunku; słychać żale, że cierpią na tem równie poważne studia jak i popularne wykształcenie. Na dzieło naukowe nakładcy nie znajdziesz, koło lepszych beletrystów snują się ich dosłownie całe gromady, a z drugiej znów strony redakcyje pism beletrystycznych zarzucane są próbkami młodocianych autorów.

Mamy do piętnastu pism peryodycznych, z których kilka ilustrowanych zapelnionych przeważnie poezyami i nowellami: naturalnie każda z takich „Bibliotek“ przesadza się nad drugą, tak iż czasami lepszy jakiś utwór w dwóch z kolei publikacyach się pojawia. Dwie z tych „bibliotek“ są barwy wyraźnie chrześcijańskiej tj. nie tylko nie obrażają uczuć religijnych ale starają się je wsze-

piąć w umysły czytających; inne zostawiają autorowi zupełną wolność tendencyi, ale niestety, więcej piszących jest wrogo, niż przychylnie dla religii usposobionych. Mówiąc ogólnie bardzo tylko niewiele dzieł belletrystycznych, napisanych nie przez kapłanów, lecz przez ludzi świeckich nie obraża w jakibądź sposób nauki lub obyczaju chrześcijańskiego, instytucyi i wybitniejszych postaci katolickich. Nie pochodzi to tak ze złości, jak z gonięcia za dowcipem, chęci podobania się i lekkomyślności. Lekkomyślność zowią nieraz jedną z głównych cech narodu czeskiego; z tego więc punktu widzenia możnaby nazwać te książki „popularnymi“, „narodowymi“. Nasi belletryści grzeszą, mówiąc ogólnie, brakiem wykształcenia i zdrowego sądu; niewielu tylko wiedzie na pokuszenie łatwego dowcipkowania i rzucania „złotemi myślami“ przewrotność moralna lub wrogie usposobienie względem chrześcijanizmu. Usposobienie nad którem poważniejsi literaci, pedagodzy głęboko boleją jest poniekąd w związku z przeszłością narodu, z husytyzmem i protestantyzmem. Pod tym względem wiele zawinił niedawno zmarły ksiądz V. Beneš, znany autor historycznych powieści. Czerpiąc tło do swych opowiadań z epoki najgłębszego upadku, nie tylko odkrył dawne rany — co może możnaby mu poczytać za pewną zasługę — ale przez słodko płaczliwe przedstawienie ucisku protestantów, identyfikując nadto protestantów z całym czeskim narodem, wbrew prawdzie historycznej, przyczynił się do pomnożenia antypatyj przeciw śmieiej ze swemi zasadami występującym katolikom. Szczególnie w złem świetle przedstawia Jezuitów. Śmiesznem by jednak było tendencyją panującą obecnie w literaturze czeskiej nazywać „husycką“, „protestancką“, jak to nieraz czynią pewne narwane głowy, wywodząc w dodatku swe żale przed władzami kościelnymi. Nietaktowne postępowanie tego rodzaju zwiększa tylko wciąż istniejącą już przepaść; dzięki temu zgubnemu nieporozumieniu, bardziej wpływowa część duchowieństwa nie wspiera i wspierać nie może usiłowań literatów czeskich, a ponieważ ci bez jakiegoś materyalnego wsparcia obejść się nie mogą, stąd wrogie prądy mają sobie zostawioną niemal zupełną swobodę działania.

Słowem i tu dzieje się to samo co gdzieindziej: płytki liberalizm szerzy się, a szerzeniu się jego sprzyjają smutne i godne pożałowania stosunki dawniejsze i dzisiejsze.

Oryginalne utwory poetyczne wychodzą przeważnie w czasopismach, w które stosunkowo bogatą jest literatura czeska. Dwa wielkie ilustrowane tygodniki *Světobor* i *Zlata Praha* (przypominająca „Kłosy“) wytrzymują bardzo dobrze porównanie z podobnymi pismami za granicą. Przeważnie beletrystycznymi są: *Květy*, *Lumir*, *Ruch*, *Obzor*, (katolickie), *Vesna*; w niedawno założonym miesięczniku katolickim *Vlast* obadwa żywioły beletrystyczny i naukowy występują w równej mierze; *Osvěta* zamieszcza w ogóle artykuły poważnej naukowej treści. Obok tych znajduje się wiele innych lżejszych czasopism. Wszystkie niemal utwory poetyczne pojawiają się po raz pierwszy w tych czasopismach, w całości lub co najmniej w wyjątkach; następnie wychodzą zazwyczaj w całości w jednej z licznych *Bibliotek*. *Biblioteki* wszystko absorbują, od tego ogólnego prawa rzadkie są tylko wyjątki. Najwłaściwiej zatem, chcąc podać ogólny obraz poezji czeskiej, byłoby przejść z kolei wszystkie te czasopisma i biblioteki; zdalekoby to nas jednak zaprowadziło i dla tego ograniczymy się tylko na przytoczeniu kilku najważniejszych utworów.

Najpierwszym z żyjących dziś poetów a ze względu na kunsztowność formy najpierwszym w ogóle poetą czeskim jest *Svatoopluk Čech*. Roku 1886 napisał on jeden tylko poemat fantastyczny *Sotek*, ogłoszony w *Květach*, a odznaczający się żywym przedstawieniem, ostrą satyrą i mistrzowskim opracowaniem motywów zaczerpniętych z obecnej chwili i życia narodu. Nadto wydał osobno dawniej napisaną historyczną epopeję: *Václav z Michalovic*, poemat satyryczno-allegoryczny *Pravda* i inne drobniejsze wiersze. Dawniej *Čech* pracował głównie nad historycznymi i społecznymi epopejami; obecnie upodobał sobie rodzaj humorystyczno-satyryczny do którego szczególnie jest uzdolnionym, jak można było poznać już dawniej z humorystycznych utworów prozą pisanych. W eposie *Vaclav z Michalovic* zasłużyła sobie na surową krytykę antykatolicka, przedewszystkiem antyjezuicka tendencja, która znacznie psuje wartość artystyczną poematu. Zresztą utwory *Čecha* odznaczają się bogatą treścią, starannem opracowaniem, kunsztowną a jednak naturalną formą; w tych zaletach żaden poeta czeski sprostać mu nie może, choć nie jeden może lepiej od niego włada językiem, piękniejszymi obrazami oczarowywa słuchacza.

Więszem powodzeniem a raczej głośniejszemi oklaskami poszczycić się może *Jaroslav Vrchlický* (pseudonim *Frida*), ulubieniec uczącej się młodzieży, moralny jej zabójca. Biorąc tylko na uwagę długi szereg tomów wydanych przez tego poetę, dziwić się tylko można jego płodności; wzięwszy te tomy do ręki jeden po drugim zdziwienie znika, bo przekonujemy się, że parę rzeczy bardzo cennych ginie w stosie mierności, wyciągniętych z poprzednich poezyj frazesów, tłustych anegdotek i t. d. Vrchlicky'ego zasługą jest, że do poezyi czeskiej wprowadził nowe motywa, wzbogacił ją nowymi obrazami i język poetyczny rozwinął, zresztą obrabia wciąż te same motywa, chyba że czasem weźmie się do tłumaczenia jakich urywków z nowożytniej francuskiej lub włoskiej liryki. Z językiem obchodzi się despotycznie; urok poetyczny niszczy swawolnymi dowcipkami. W roku 1886, prócz dramatów o których niżej, puścił w świat trzy zbiorki liryczne: *Sonety samotare*, *Złomky epopeje*, *Motyli různých barev*; we wszystkich tych utworach widać ślady genialnego uzdolnienia, ale zarazem swawoli, lekkomyślności moralnej i niedbalstwa stylu — braku poważnej pracy. Im więcej pisze, tem bardziej staje się powierzchownym; reklamę zawsze będzie miał na swoje usługi, ale prawdziwa krytyka ledwie parę ustępów wyjętych z pojedynczych tomów nazwie dobrými. Epigonów również mieć będzie dużo, bo kopiowanie greckiej jałowej mitologii, pesymistyczne zwroty, przewracające świat z nieokreśloną lekkomyślnością od góry do dołu, wyskoki fantazyi nieoglądające się ani na moralność, ani na religię, ani nawet na zdrowy rozsądek, zawsze są łatwiejsze i wygodniejsze, niż poważne studia nad życiem ludu, zasadniczemi kwestyami społecznymi i t. p. Czy wszystkie poezye czeskie nazwać można narodowemi? Zazwyczaj otrzymujemy potwierdzającą odpowiedź — nam jednak się zdaje, iż istnieją pod tym względem dwa odrębne kierunki; a chociaż Vrchlický bierze sobie czasami narodowe temata za tło, to w obrobieniu ich napróżnobyś szukał narodowego typu i barwy¹.

Do pierwszorzędných poetów czeskich należą jeszcze *Ad. Heyduk*, słynny z historycznych pieśni pisanych na wzór ludowych i *Jul. Zeyer*.

¹ W Lipsku w r. 1886 wyszło kilkanaście lepszych poezyi Vrchlický'ego w tłumaczeniu niemieckim. W Polsce ukazać się ma niebawem wybór jego poezyi.

Pierwszy karmi nas od pewnego czasu coraz bardziej płaskimi conceptami, które wzbudzają tem większy żal za dawniej pisanemi zwrotkami, tak pełnemi głębokiego uczucia. Drugi wyrobił sobie odrębne stanowisko, w krainie zaklętych baśni unoszących gdzieś daleko wyobraźnię tajemniczością strojną w styl prawdziwie brylantowy; mniej powiodły się próby uduchawiania tych baśni, z powodu zbyt ubóstwa akcyi.

Adam Chlumecký (pseud. *Fr. Kužela*) kapłan katolicki wydał poemat: *Arděle pyšni*, w rodzaju „Nieboskiej komedyi“ Krasínského. *Fr. Kyselý* (pseud. *Sauera*) również ksiądz ogłasza od czasu do czasu w czasopismach poematy epiczne i epiczno-liryczne z religijnych dziejów Czech. Jeden to z ostatnich przedstawicieli coraz mniej licznych poetów-księży w Czechach.

Otóż główne kierunki poezyi czeskiej. Jak już mówiliśmy, prąd cudzoziemski mniej lub bardziej swawolny, przejęty z Francyi, wprowadzony przez Vrehlickiego, Kučere, Mužika i wielu innych poetów mniejszego znaczenia, znajduje stosunkowo najwięcej czcicieli, chociaż w ostatnich czasach liczba ich znacznie stopniała. Poważna krytyka podnosi wyraźnie kierunek Čecha, Jakubeca i innych.

Dla literatury powieściowej kupiącej się także po większej części w czasopismach rok 1886 mniej był urodzajny od poprzednich. Do ulubionych powieściarzy należą oprócz Čecha i jego szczęśliwego naśladowcy *Heritesa: Jirásek*, ksiądz *Dostal* (powieści historyczne), proboszcz *Kosmák*, niezrównany w obrazkach rodzajowych z życia ludu; *Lier*, autor romansów socyalnych i fantastycznych, *Schulz*, *Vlček* i kilku innych przedstawicieli powieści obyczajowej — ostatni niedawno ukończył wielką powieść *Samohrady* w redagowanem przez siebie czasopiśmie *Osvěta*.

Powieść, łatwo się tego domysleć, jest działem najbardziej uprawianym, a przysnąć należy, że obok wielu podrobionych, spotkać się tu można, zwłaszcza w powieści historycznej i obyczajowej, z perłami najczystszej wody. Niestety! i tu powtórzyć trzeba te same, co poprzednio zarzuty: romanse historyczne tendencyjnie są nieraz skierowane przeciw katolicyzmowi, obyczajowe nadużywają najświętszych nawet imion i rzeczy dla wywołania chwilowego, byle silnego efektu.

Nigdzie może nie ma takiego zamięłowania w teatrze, jak w Czechach, a przecież pomimo to, a może właśnie dla tego Czesi mają bardzo małą liczbę godnych tej nazwy utworów dramatycznych. W pragskim teatrze narodowym dosyć często wprowadzie przedstawiają sztuki oryginalne, ale chwalać teatr narodowy, trudno równemi pochwałami obsypywać dramata czeskie, a w ogóle wyznać trzeba, że teatr nie wywiera wcale tego wpływu na literaturę, jaki sobie obiecywano. Przedewszystkiem zbywa większości dramatów czeskich na owym pełnym treści węźle, wynoszącym dramat ponad inne rodzaje poezyi; mamy sztuki teatralne, lecz nie mamy dramatów. Najbardziej czuć się daje brak odpowiedniego węzła w tragediach poważnej treści; w komedyi, szczególnie u Vrchlický'ego¹ panuje francuska swawola: w teatrze utwory jego (komedye i tragedye) witają grzmiącemi oklaskami i tak dziczeje smak publiczności. Większego uznania doznają od krytyki *Stroupežnický*, a szczególnie *Vlček* (autor tragedyi *Milada*), a świeżo *Šubert*, w tragedyi *Jan Vřrava*. Wiele też mamy tłumaczeń z polskiego, rosyjskiego i niemieckiego, nie mówiąc już o francuskim.

Dziedzina literatury popularnej mającej lud zabawić i pouczyć, leży niemal odlogiem; a skarżą się na to gorzko prawdziwi przyjaciele ludu. Literatura kalendarzowa dosyć dobrze się przedstawia, ale wiele też złego tutaj towaru, a ten właśnie ma odbyć. Opisków podróży nie wiele, a i te po większej części umieszczone w czasopismach; pomiędzy autorami ich odznacza się *Wünsch*, (piszący obecnie o Azji Zachodniej). Liczne także wychodzą przekłady słynniejszych podróży (np. Hellwalda i t. p.), ale często przynoszą raczej szkodę niż pożytek.

Literatura naukowa, o ile ją przynajmniej możemy uwzględnić w tym zarysie nie przekroczyła jeszcze przygotowawczego stadium.

Bez uniwersytetów trudno dziś i pomyśleć o rozwoju nauki na szerszą skalę. Stwierdza to np. i dzisiejszy stan teologii w Czechach: pomimo sześciu zakładów teologicznych w Czechach i Morawii, cała działalność teologiczna naukowo-literacka w języku czeskim, ogranicza się na wydawnictwie jednego pisma teologicznego,

¹ W roku 1886 wydał on zbiór swoich utworów dramatycznych.

i to wcale nie zbyt obszernego. W tej chwili mamy już w Pradze uniwersytet czeski, a cały naród wielkie na nim pokłada nadzieje. Jakoż w niektórych gałęziach naukowych, znać widoczny postęp, tak np. w dziejopisarstwie, nauce języków i t. d. W dziedzinie filozoficznej nie ważniejszego nie okazało się w roku minionym. Wyczerpującą historję literatury nowożytnej wydaje *Fr. Bačkowski*; dzieło to skompilowane z wielką pilnością spotkało się jednak z nieprzychylną oceną, z powodu małej wartości filozoficznej. Krytyka literacka uwydatnia się raczej w sprawozdaniach z poszczególnych dzieł, urządzanych w przeznaczonych do tego czasopismach literackich (np. *Hlidka Literární, Literární Listy, Literární Rozhledy* i t. p.); niż w samoistnych na większą skalę opracowanych dziełach. Z wymienionych pism dwa pierwsze wychodzą w Morawie i stanowią pewną opozycję przeciw reklamie, wszechwładnie panującej w Pradze; redaktorem pierwszego jest podpisany, w czem mu głównie pomagają inni księża i profesorowie gimnazjalni; drugie wydają profesorowie szkół średnich i nauczyciele. Zresztą po wcale licznych czasopismach nie brak wskazówek i rozpraw historyczno-literackich. Wiele hałasu narobiła obchodzona w r. 1886 rocznica śmierci *K. H. Macha*, pierwszego pioniera bajronizmu w Czechach; zjawiała się nawet oryginalnie napisana jego biografia, pióra *Jak. Arbesa*, w duchu pesymistycznym, antychrześcijańskim. Co do *historyi*, to prócz artykułów w pismach zbiorowych i specjalnych (np. *Historický Sborník*) należy tu wspomnieć o *Historyi Austrii* znanego profesora *V. V. Tomka* i o *Historyi rewolucyi francuskiej* Dra *J. Krystůfka*, którą jednak fachowi krytycy uznali jako niezupełnie odpowiadającą nowszym wymaganiom, choć bardzo pracowicie napisana.

Silne wzburzenie umysłów wywołała napaść na autentyczność rękopismów królodworskiego i zielonogórskiego, podjęta przez profesorów uniwersytetu: Dra *T. G. Masaryka* (prof. filozofii wydawcę *Ateneum*) i Dra *Gebauera* (prof. filologii słów.) a przez młodszych uczonych z wielkiem uznaniem przyjęta. Materiał rzeczowy, filologiczny dla udowodnienia swej tezy „wytworzył“ przeważnie drugi z przytoczonych profesorów: „wytworzył“ mówią krytycy z przeciwnego obozu, gdyż tym panem nie chodzi o prawdę ale o własną sławę. Z obu stron sypią się obelgi; rzecz sama po-

zostaje nierozstrzygniętą: a pomimo że poddano rękopisma chemicznej próbie i wyszły z niej zwycięsko¹ żadna ze stron wojujących nie myśli złożyć broni. To tylko nieszczęście że do obrony wchodził się J. M. Dr. (!) Grégr znany polityczny agitator partii młodoczeskiej i chociaż na rzeczy wcale się nie zna, stanął na czele obrońców; wydał nawet samodzielną apologię rękopismu. Prof. Dr. Masaryk zarzuca mu, że pisze o przedmiocie bardzo trudnym i specjalnym, a o którym nie ma wyobrażenia; i on wydał oddzielnie rozprawę przeciw rękopismowi, a to ze stanowiska estetycznego. W poszukiwaniach historycznych wzięli udział z jednej strony Kalousek, Tomek i inni, z drugiej Goll, Truhlár i t. d. (w pismach *Osvěta*, *Athenaeum*, *Časopis českého Musea* i innych) i w ogóle niewiele jest pism i dzienników, któreby w sporze udziału nie brały. Spór jednak cały jest zdaniem bardzo wielu dotąd nierozstrzygnięty.

W ogóle mówiąc, dzieła naukowe, nie mówiąc już o ściśle fachowych, zostają bardzo w tyle poza literaturą nadobną i słychać skargi, że na poważniejsze książki próżno szukać nabywców. Dobre nawet książki butwieją, jak np. *Encyklopaedie paedagogicka* i t. p. Od dłuższego czasu przygotowują wydanie wielkiej encyklopedyi illustrowanej. Z dawniejszych dzieł niewiele zjawia się w nowem wydaniu (Komenský). Literatura szkolna wygląda dosyć nędznie: nie masz wydań szkolnych poetów i prozaików; ledwie znajdziesz jakieś wypisy dla szkół wyższych, niemieckie tłumaczenia wypierają dawniejsze oryginalne podręczniki historyczne i t. d.

Dla obudzenia zajęcia się literaturą powstają w większych miastach stowarzyszenia literackie, które wspólnymi siłami zaopatrują się w książki, a na zgromadzeniach rozbierają świeżo wyszłe utwory. Niektóre z tych stowarzyszeń świetnie się rozwijają; inne oglądają się tylko i idą ślepo za głosem reklamy. Życie publiczne rodzi coraz nowe walki: językowe, literackie, polityczne a wskutek tego siły się rozdrabniają. Zamożniejsze nie mogą odwyknąć od niemieckiego języka, lektury do niej i t. p. Modne, że tak powiem, artykuły literackie muszą twarde staczać walki z niemieckimi. Niejedno pismo samo sobie zamyka drogę do porządniejszych do-

¹ Tak twierdzi autor artykułu.

mów gminnością wyrażen, nie dowcipnym, lecz pamphleciarskim tonem. Ogólnie niestety w lżejszej literaturze czeskiej nie wiele można znaleźć takich rzeczy, któreby sumienna matka mogła córce zalecić do czytania, lub uczciwy nauczyciel uczniom swoim, bez narażenia ich na moralne zepsucie. Wynikają stąd naturalnie nowe walki i rozgoryczenia i to tam właśnie w chwili, w której należałoby być zgodnymi jak najbardziej wobec grożącego niebezpieczeństwa: wszak niedawno temu osądzono za rzecz konieczną używać w Pradze (!) kart wizytowych z wydrukowanym napisem: *mluvte česky!* (mówcie po czesku!)

Nieraz daje się słyszeć, powtarzany z naciskiem męski okrzyk: *Budme svoji!* (bądźmy sobą), zagrzewający do staranniejszego pielęgnowania narodowości w sztuce i literaturze, a z okrzykiem tym, łączy się ostrzeżenie przed prądem rozkładającym z Zachodu — i słusznie, bo naród, zwłaszcza niebardzo jeszcze politycznie dojrzały, bez moralnej spójni rozpaść się musi, nic z narodowości nie zostawiając prócz czczego blichtru, brzmiącego słowa bez treści.

W dziedzinie tak bogatej w Czechach, studyów nad ludem przybyło w r. 1886 pomnikowe dzieło *Fr. Bartoša* „Dialektologie moravská“, prócz innych rozpraw tegoż autora, który nadto obiecuje zająć się szczegółowem badaniem języka używanego w Morawii.

Na zakończenie tego przeglądu, w którym najważniejsze punkta poruszyliśmy, należy jeszcze wspomnieć o dążnościach panslawistycznych, rozumie się nie politycznych, lecz literackich, zawsze znajdujących zwolenników w Czechach. Wyrazem tego kierunku jest szczególnie miesięcznik *Slovanský Sborník*, wydawany przez gruntownego znawcę stosunków słowiańskich *E. Jeřínka*¹. Nadto powstała w Pradze „Szkoła języków słowiańskich“, a zarazem przy tej sposobności organ nauczycieli *Beseda učitelská* drukuje dodatki z ćwiczeniami z języków słowiańskich. Do ułatwienia wzajemnego poznania się narodów słowiańskich przyczynił się *L. Kuba*, wydając tłumaczenia i melodey pieśni słowiańskich w książce p. t.: *Slovanstvo ve svých zpěvech*. Dzieło to cała sło-

¹ Znany ten dobrze u nas autor wydał niedawno „Szkice z Litwy“ i często podaje obrazki z życia polskiego.

wiańszczyzna przyjęła z radością, chociaż muzycy mieliby niejedno do zarzucenia co do podanej melodyi tej lub owej pieśni.

P. J. Vychodil.

O. S. B.

Madame de Maintenon, d'après sa correspondance authentique, par *A. M. Geffroy*, membre de l'Institut. 2 vol. Paris 1887. Hachette.

Portretów p. de Maintenon dotąd nie brakowało; ale czy były to portrety zdjęte z rzeczywistości oto pytanie jakie stawia sobie autor. Biografowie jej: Saint-Simon, la Beaumelle i inni opierając się na tem, że zasiadła ona już nie u stóp tronu, ale niemal na tronie, wnioskują, że musiała być kobietą do najwyższego stopnia ambitną, nieprzebierającą w środkach, intrygantką na wielką skalę. Czy słuszny to wniosek? Bezwątpienia nie, i właśnie postać pani de Maintenon, odmalowana na tle nie cudzej niechęci, lecz własnych jej czynów, pism, słów i listów, jest najwybitniejszym przykładem, jak się można omylić w dorywczym sądzie.

Autor, wbrew wszystkiemu co dotąd można było słyszeć i czytać, dowodzi, że małżonka Ludwika XIV., tak pod względem serca jak i pod względem rozumu, nie była ani aniołem ani szatanem. Skromna, obrachowana, stawiająca wolne lecz pewne kroki, z ubóstwa doszła do zamożności, z zamożności do tronu, siłą wypadków a nie z góry obmyślaną teatralną intrygą, owszem poniekąd właśnie dzięki temu, że do prowadzenia jakiejś splecionej niebezpiecznej intrygi nie miała ani chęci ani odpowiednich zdolności. Pewien cień rzuca na nią okoliczność, iż w chwili gdy spostrzegła, że stanowisko guwernantki dzieci króla i pani de Montespan stać się może dla niej niebezpiecznem i kiedy jeszcze przewidzieć nie mogła, dokąd zesłizgnie się a gdzie się zatrzymać potrafi na tej pochyłości, nie opuściła natychmiast Wersalu. Ale zgodziliśmy się na ten jeden zarzut, który może być tylko dowodem pewnego braku energii i śmiałości decyzji, od innych stanowczo w imię historycznej prawdy obronić ją należy. Dokumenty niezaprzeczalne, szereg listów pisanych własną ręką *wielkiej intrygantki*, pokazują ją zajętą mnóstwem drobiazgów, krzającą się jak dobra gospośka, koło urządzania, zmieniania, poprawiania najmniejszych szczegółów w protegowanych lub założonych przez siebie instytucjach, ale pokazują zarazem, że w głowie jej ani się mieściły, aniby się może nawet pomieścić mogły wielkie owe światozmienne plany, które wrzekomo podsuwać miała Ludwikowi XIV.

Być bardzo może, a nawet niezawodna, że pani de Maintenon nieraz w poufnej rozmowie z królem poruszyła jakąś polityczną kwestyę; że w odpowiedniej chwili gdy chodziło o zamianowanie jakiegoś biskupa, prałata, wysokiego urzędnika, odświeżyła mu w pamięci jakieś nazwisko, jakąś dawną zasługę; ależ każda małżonka monarchy, byleby nie zbywało jej na rozumie, a sprawami państwa choć trochę się interesowała, ma wszelkie prawo, a w danym razie może mieć i obowiązek wywierania podobnego wpływu. Innego i większego nie wywierała i wywierać nie pragnęła. Doszedłszy do stanowiska, o jakim nawet w snach młodzieńczych nigdy pewnie nie marzyła, nie znalazła

jednak na niem szczęścia i więcej z pewnością myślała o przygotowaniu się do śmierci, niż o kierowaniu wewnętrzną i zewnętrzną polityką. W listach raz po raz wraca wymowna skarga: „Jakże mi żyć nudno i przykro!“ „Czy nie widzisz że, choćbym niby powinna mieć szczęście zupełne, umieram ze smutku“. I znów: „Pisałam ci o śmierci, bo o niej często myślę i zdaje mi się, że wtedy tylko robię coś dobrego, kiedy się do śmierci przygotowuję“. Czytając te wyrzuty, a nie mamy żadnego powodu do podejrzewania ich szczerości, litość nas bierze nad tą biedną nieukoronowaną królową; być może, że i oszczercy pani de Maintenon, gdyby byli zobaczyli, ile smutków i małych, ale nie mniej dotkliwych ran ukrywało się pod zewnętrzną maską bezprzykładnego szczęścia, przestaliby jej zazdrościć i cofnęli zatrute ciosy.

Sumiennie napisana praca de Geffroy odsłania nam postać małżonki Ludwika XIV. z zupełnie odrębnego, po raz pierwszy podobno w całej pełni zajętego stanowiska, jako kobietę poczciwą, rozsądną, wcale nie genialną, ale jeszcze mniej intrygantkę. Nie przesadzamy, czy następne badania nie dodadzą temu portretowi trochę światła lub cieni — w każdym razie ogólne jego rysy pozostaną podobno w poważnej historyi.

G.

Der Mensch, sein Ursprung, seine Rassen und sein Alter, von Dr. B. Platz
Cistercienser — Ordenspriester, vollständig in 15 Liefg. à 30 kr.
Mit ca. 200 Illustrationen, wovon 30 Vollbilder sind. Gr. 8^o
Leo Wörl, Würzburg. Wien. 1 u. 2 Lief.

Chociaż się dwa pierwsze dopiero zeszyty tego dzieła ukazały, zwracamy jednak na nie uwagę, gdyż pod względem tendencji i treści zasługuje ono na rozpowszechnienie. Autor postanowił sobie odpowiedzieć na trzy pytania: jaki jest początek człowieka? czy da się wywieść pochodzenie wszystkich ludzi od jednego wspólnego rodzica? wiele mniej więcej lat ród ludzki liczyć sobie może? W dotychczas wydanych zeszytach znajdujemy odpowiedź na pierwsze z powyższych pytań. Fałsz różnorodny, prawda tylko zawsze niezmienna i jednakowa; nie więc dziwnego, że w opozycji do jedynie prawdziwego i wszystko wyjaśniającego systemu, który się zawiera w słowach Pisma: „Stworzył Bóg człowieka na wyobrażenie swoje“, powstało już nie setki, ale tysiące teorii zgadzających się wyłącznie w bezwarunkowem zaprzeczeniu prawdziwości chrześcijańskiego dogmatu. Ciekawy to obraz, tych walczących ze sobą na zabój, począwszy od Anaximandra aż do Fechnera, materyalistów i panteistów. Pierwsze miejsce zajmują dziś pomiędzy nimi Darwin, a w Niemczech Haeckel, ale niedługo podobno nowi uczniowie zaćmią sławę swych mistrzów.

Że Darwin, Haeckel i ich zwolennicy nie mają ani jednego prawdziwego scienceyficznego dowodu na poparcie swej tezy, wykazano to już z najrozmaitszych punktów widzenia, i obecnie przekonuje nas o tem Dr. Platz niezbitymi dowodami. Pozostając ściśle w dziedzinie doświadczenia i nauk przyrodniczych; wstrzymując się od dalszych wniosków, które rozumowi jakby mimowoli wrodzoną siłą rzeczy się nasuwają, każdy nieuprzedzony wyznać musi, że „ani jeden dowód nie stwierdza tezy o pochodzeniu człowieka od małpy“. Dla uwiarygodnienia tego twierdzenia przechodzi autor z kolei jeden po drugim z wręczonych z doświadczenia zaczerpniętych faktów i dowodów, któ-

rymi na prawo i lewo sypią materyaliści, nie pytając zazwyczaj w jakim one stoją stosunku do tezy przez nich postawionej. W walce z tymi zarzutami znać wielką erudycję; w kwestyach jednak czysto filozoficznej natury, autor wido-
cznie stapa po nieznanem sobie polu, zwłaszcza w doborze określeń, mimo
pracy jaką sobie zadaje nie zawsze mu się udaje natrafić na najlepszą definicyę.

Liczne ilustracye przyczyniają się nie mało do wyjaśnienia tekstu. Książka ta, jak ilustracye, głównie przeznaczona jest dla ludzi dojrzałych, dą-
żących do wszechstronnego poznania prawdy w kwestyach tak żywo ogół obcho-
dzących.

X.

Histoire du Concile de Vatican, d'après les documents originaux par
S. Exc. *Mgr. Eugène Cecconi* archevêque de Florence. Préli-
minaires du Concile. Ouvrage traduit de l' Italien par *M. Ju-
les Bonhomme*, Curé de *St. Jean Baptiste* de Grenelle à Paris
et *M. D. Duillard* Vicaire à la même paroisse. Paris, librairie Victor Lecoffre 1887. Vol. I. p. 547; vol. II. p. 496; vol.
III. p. 720; vol. IV. p. 824 in 8^o.

Prasa antykatolicka od pierwszej chwili zwołania Soboru Watykańskiego, usiłowała go przedstawić jako zdawna przygotowane narzędzie, którego jedynym celem być miało spotęgowanie władzy papieskiej, i osłonięcie przeszłych i przyszłych nadużyć stolicy św. powagą soboru. Oskarżenie to niczem nieuzasadnione, a samo w sobie niedorzeczne; broszury i dzienniki walczące z katolicyzmem powtarzały wciąż z tą samą niezachwianą niczem pewnością siebie, która nie nie zwążając idzie naprzód w raz obranym kierunku. Z ludźmi taką walczącymi bronią spierać się nie było warto, ale, dla wyświecenia prawdy historycznej, należało, opierając się na autentycznych dokumentach, okazać w właściwym świetle prace i zamiary soboru Watykańskiego. Pracy tej z wyraźnego polecenia Piusa IX. podjął się naówczas kanonik, dziś arcybiskup florencki Eugeniusz Cecconi; a obecnie z polecenia Leona XIII. dwóch kapłanów paryskich przetłómaczyło to dzieło na język francuski, aby uczynić je przystępnem jak najszerszemu kołu czytelników.

Ważna to karta w dziejach wiary i rozumu, kościoła i ludzkości. Autor na tle dokumentów soboru Watykańskiego osnuł swą rzecz stylem prostym i jasnym, rozumiejąc, że naga prawda wystarczy za wszelką apologię i polemikę. To też już w pierwszej chwili pojawienia się oryginału włoskiego, uczeni wszystkich obozów, nawet nieprzyjaciele wyników soborowych musieli przyznać, że autor stanął na wysokości swego zadania, że najostrejszy krytyk, nieznaczące mu tylko braki zarzucić zdoła. Emil Ollivier, przeczytawszy pierwszy tom rozpoczętego dzieła, nie wahał się nazwać Cecconiego „Pallavicinim soboru watykańskiego”¹, a następne tomy w zupełności stwierdziły zaszczytną tę nazwę.

Dwa ostatnie tomy, kończące pierwszą część *Przygotowań do soboru*, wydał Cecconi r. 1878, już jako arcybiskup florencki. Wtedy już można było się obawiać, że nowe zajęcia nie pozwolą arcybiskupowi zająć się drugą częścią, w której miała być skreślona historia samegoż soboru. Obawy sprawdziły się,

¹ L'Église et l'état au Concile Vatican par *Émilie Ollivier* de l' Académie Française Vol. II. p. 43.

a żal tem większy, że pierwsza część, która obecnie w tłumaczeniu francuskim z pewnością po całym świecie się rozejdzie i wiele kwestyi rozświeci, wiele błędnych zapatrywań sprostuje, zasługuje sobie wszechstronnością, gruntownem zbadaniem rzeczy, a przytem zdrowym i bezstronnym sądem, na zasłużoną nazwę pracy pomnikowej.

B.

Quelques reflexions, sur les lois sociales, par le duc d' Harcourt, ancien député. Paris. Firmin — Didot 1886. In 8^o p. 281.

Tytuł i przedmowa tej niewielkiej książeczki księcia d'Harcourt, zdaje się zapowiadać, że to będzie jakaś ciężka filozoficzna rozprawa, tymczasem autor nie mierzył tak wysoko, ale pragnął tylko streścić główne wyniki długoletniego doświadczenia w zawodzie wojskowym i publicznym i napisać niejako swe pamiętniki, nie występując jednakże nigdzie naprzód z własną osobistością. Tem ważniejsze są te nowego rodzaju pamiętniki. Trzy głównie punkty ma pisać na oku: niezmierną wagę, jakie ma w życiu publicznym sumienne poczucie obowiązku, którego nigdy nie potrafi zastąpić wzgląd na interes osobisty; wpływ i potęgę religii mogącej jedynie wyrobić to sumienne poczucie obowiązku; instynkt naśladowczy kierujący największą częścią ludzi, zwłaszcza na zgromadzeniach publicznych.

Materyał bogaty i łatwo domysleć się ile uwag głębokich, prawdziwych i dowcipnych na podobny temat nasunąć się może człowiekowi uczonemu, obdarzonemu rzadkim dowcipem, a zapatrującemu się na świat pogodnym okiem wierzącego chrześcijanina. Książę d' Harcourt ma szczęściem te zalety i przeto książka jego choć żadnej nowej teorii nie przynosi, lecz daje więcej niż obiecuje w tytule, bo „kilka tych refleksyi“ są prawdziwie pożytecznymi i rozu-

X.



Z pism peryodycznych.

Stimmen aus Maria Laach. Jahrgang 1886 II. Band.

Zapomniano w Niemczech o królu-bohaterze Stefanie Batorym i pamiętka jego święcona w Polsce i na Węgrzech, zdawało się, iż tam już wcale nie znajdzie odgłosu. Jedne tylko *Stimmen aus Maria-Laach*, pojmując doniosłość jubileuszu, podjęły się odmalować swym czytelnikom tę charakterystyczną postać iście katolickiego króla. Przedmiot ten omawiają trzy artykuły skreślone przez niżej podpisanego p. n.: „Wyrok papieski w XVI. wieku“. Treść ich stanowią wojny z Iwanem Groźnym, rokowania Possewina i pokój Jana Zamojskiego (?).

Głównem źródłem do tej rozprawy było znakomite dziełko Dr. Zakrzewskiego: „Stosunki Stolicy św. z Iwanem Groźnym“. Wprawdzie uwzględnione tu są rozliczne dokumenta przez O. Pierlinga podane, w zapatrywaniach jednakże i w kwestyach spornych przeważa zawsze sąd Dr. Zakrzewskiego jako prawdopodobniejszy.

Kwestye historyczne stanowią dział pierwszy II. tomu niniejszego rocznika. O. Spillmann kreśli barwny obrazek ofiarności angielskich katolików w początkach XVIII. w. Król Jerzy I., który w tym właśnie czasie (r. 1715) wstąpił na tron, nie był ojcem swoich poddanych, lecz tylko ukoronowaną głową stronnictwa Whigów, które posługiwało się wszelkimi środkami przemocy do pogwałcenia swoich przeciwników. Że zaś postępowanie takie wywołało powszechną niechęć do króla, zarządzono więc na razie prześladowanie katolików, aby w ten sposób przypodobać się protestantom. Ukuto nową rotę przysięgi poddańczej, zawierającą zaprzeczenie katolickiego dogmatu o N. Sakramencie, a każdy, ktoby przysięgi tej wykonać nie chciał, karany być miał konfiskatą majątku. Karze tej według urzędowego sprawozdania podpadło 2.669 katolickich obywateli, mających razem rocznej renty 400.000 funt. szt., z czego część czwarta przypadała na stan szlachecki. Dodając nadto obywatele niewymienionych w sprawozdaniu, wspólny ich dochód roczny wynosił 500.000 funt. szt. (5 milionów złr.) czyli według dzisiejszej wartości pieniędzy około 20 milionów złr., co przedstawiałoby dzisiaj olbrzymi kapitał 750 milionów złr. Taką sumę wierni swej wierze katolicy woleli raczej oddać na łup rządowemu skarbowi, aniżeli złożyć przysięgę przeciwną prawdom tej wiary. W październiku ubiegłego roku przypominali protestanci fakt oddawna już przez nich uważany za najjawniejszy dowód nietolerancji katolickiego kościoła, tj. zniesienie edyktu nantejskiego przez Ludwika XIV. w r. 1685. Czyn ten wynoszono pod niebiosa, zowiąc francuskiego monarchę drugim Karolem W., Konstantynem i tp. Pojawił się też obraz przedstawiający mnóstwo zegarków, których obrotami jeden zegar główny kierował. W środku umieszczony był napis: *Lex una sub lege una*. Ta to zasada idei gallikanizmu popchnęła do walki przeciw Innocentemu XI, taż zasada i dla protestantów stała się fatalną. Z tej też przyczyny ani spowiednik króla O. de la Chaise nie mógł być jego współnikiem, ani Papież Innocenty nie mógł po-

chwalać zniesienia edyktu. Rozprawę tę, którą O. Lenellis z niezwykłą wykończył pilnością, zaliczyć można do rzędu najświetniejszych apologij Stolicy świętej.

By sprostać zadaniu recenzenta *Historyi Janssena*, na to wiele potrzeba było warunków, które właśnie O. Baumgarten najdoskonalej w sobie połączył, omawiając tom V. Janssenowskiego dzieła, we formie rozprawy o „religijnej polemice w przededniu wojny trzydziestoletniej“. Botto kreśli charakterystykę kardynała Contariniego, „jeniusza pokoju w XVI. wieku“. Aby urozmaicić poważny nastrój całego szeregu uczonych artykułów, zamieścił O. Baumgarten prześliczny opis swej podróży z Islandyi do Norwegii. O. Wassmann wprowadza mrówkę, opowiadającą dzieje życia swojego, w co oczywiście wplata się też i jej naturalna historia. O. Rūf zastanawia się nad rosnącym niebezpieczeństwem od piorunu. Niebezpieczeństwo to polega na stosunku liczby uderzeń piorunu do ogólnej sumy rażonych budynków. Spostrzeżenia w ciągu lat 40—50 odbyte pokazują, że niebezpieczeństwo to wzmaga się w sposób przerażający. Czy w najbliższej przyszłości większego jeszcze wzrostu obawiać się należy? Zdaje się, że na pytanie to twierdzącą trzeba dać odpowiedź. Jakie zaś są przyczyny groźnego tego zjawiska, to obiecuje autor w następnym wykazać artykule. Na polu literackiem występuje znów O. Baumgarten w rozprawie o życiu i pismach Ludwika Camoens'a. Wzorem dla Camoens'a był Wirgiliusz, przedmiotem — wielkość Portugalii. Luizyady są to żałobne pienia o minionym świecie, których celem przekazać następnym pokoleniom wszystko, co on miał w sobie wielkiego. Zdaniem O. Baumgartena jest to jeden z najpiękniejszych i najwspanialszych utworów sztuki. Plód to średniowiecznego ducha, co wyrósł chwalebny pomnikiem wtedy, gdy połowa Europy stała się protestancką, a płytki kupiecki industrializm zajmował miejsce chrześcijańsko-rycerskiego polotu. Camoens jest epikiem żeglarzy i kosmografów, ale właściwy duch jego poezyi wyrasta na gruncie wieków średnich. O. Hietmann roztrząsa nowe kwestye sporne o istocie tragiki. Zajmujące jego artykuły mogą nie małe oddać usługi lubownikom tego przedmiotu, tem więcej, że autor nie zadowalniając się samym tylko wykładem teoretycznym, praktycznie też rozbiera arcydzieła Eschylosa i Sofoklesa.

Zadaniem czasopisma z Maria-Laach jest rozświecać w katolickich Niemczech wszystkie ważniejsze kwestye, światłem religii i wiedzy. Stąd to pochodzi, że znajdujemy w niem stosunkowo wielką liczbę rozpraw apologetycznych. Szczególnie zasługują na uwagę argumenty starej scholastyki, zstępujące z dawnych katedr swoich w nowożytnej szacie współczesnych form i wyobrażeń. O. Rieth umiał po mistrzowsku w te napozór zastygłe argumenty i poglądy zastarzałych teorii, tchnąć ruch i życie nowe. W jego artykułach p. t.: „Nowożytna niewiara i kary wieczne“, gruntność i ścisłość starożytna współzawodniczy z wdziękiem nowożytnej formy. Do tegoż celu dąży i O. Pesch w trzech rozprawach: „Światło Azyi“, „Legenda o Buddzie a Ewangelia“ i „Budda a Chrystus“. Chrześcijańscy misjonarze, przebiegając buddaistyczne ziemie Azyi Wschodniej, zdumiewali się nieraz z radością na widok dziwnego, jak im się zdawało, podobieństwa między Buddaizmem a nauką Chrystusową. Wyrażali nawet w swych sprawozdaniach nadzieję, że tylostronna zgodność zasad religijnych będzie dla buddystów niezmiernem ułatwieniem w przyjęciu chrystyanizmu. Złudzenie to niedługo trwało, a ciż sami misjonarze przekonali się wkrótce, że owo podobieństwo zasadzało się jedynie na formach zewnętrznych, istotny zaś rdzeń Buddaizmu wprost jest przeciwny fundamentalnym zasadom chrześcijaństwa. Nawet najlichszy fetyszizm i szamanizm nie stoi w tak jaskrawej sprzeczności z nauką Chrystusową, jak czysty, pierwotny buddaizm. Oczywiście przeciwieństwa te prędzej czy później zetrzeć się musiały – i już po kilkadziesiąt lat chrześcijaństwo w Azyi Wschodniej nie miało fanatyczniejszych wrogów nad bonzów buddaizmu. Po raz drugi obudził buddaizm uwagę całej Europy w wieku naszym, gdy studyum języków wschodnich olbrzymim postępując krokiem, znalazło klucz do skarbcza literatury, jakiej istnienia nikt dotąd nie przeczuwał. Tybet, Chiuy, Ceylon i wiele innych krajów wydać teraz musiały literackie swe skarby, nieznane dotychczas i niedostępne dla Europy naszego wieku. Cenny to nabytek dla wiedzy sztuki. Tylko przeciwnicy chrześcijaństwa starali się i z tego odkrycia ukuć miecz przeciw nienawistnej religii Chrystusowej. „Religia Buddy starsza i doskonalsza od chrześcijaństwa, była mu rodzicielką i wzorem“. Tak głosił światu Schoppenhauer, tak też w r. 1879 anglik Ma-

thews Arnold, którego poemat p. t. „Światło Azyi“ w przeciągu lat 6 doczekał się 31 wydań! Nagłówek zawiera aluzję do słów Chrystusowych: „Jam jest światłość świata“. Przeciw Arnoldowi pisał w Anglii Kellogg, przeciw niemu też występuje O. Pesch, dowodząc, że źródło podań o Buddzie zaczyna się dopiero od pierwszych wieków chrześcijaństwa: w dalszej przeszłości niepodobna go już odnaleźć. Zestawienie też postaci Chrystusa z Buddą wykazuje, że między legendami buddaistycznymi a Ewangelią żadnej nie ma łączności.

W końcu nie możemy pominąć artykułów O. Meyera o papieskim okólniku *Immortale Dei*, z d. 1 listop. 1885 r.

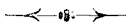
Zamiast chrześcijańskich zasad panoszy się powszechnie nowożytny naturalizm, zaprzeczający wszystkiemu, co nadprzyrodzone, odrzucający wszystko co płynie z Objawienia Bożego. Pokrewny temu naturalizmowi duch odszczepieństwa i protestantyzmu, jest też doń podobny w zapatrywaniach i dążnościach. Obydwa te wyznania oddawna już pokonane i powolnym pruchniejące rozkładem, w walce łączą się z naturalizmem, cel wspólny mając na oku tj. przeobrażenie kościoła katolickiego na kościół narodowy. Leon XIII., świadom tych zasad i celów, postanowił przypomnieć światu oddawna już zapomniany obraz państwa chrześcijańskiego i jego stosunku do nadprzyrodzonego królestwa Jezusa Chrystusa. Męstwem niezłomnem natchnęło papieża poczucie posłannictwa Bożego, wlanego weń temi samemi usty, które wyrzekły „A oto jam jest z wami po wszystkie dni, aż do skończenia świata“, ... „zbuduję kościół mój a bramy piekielne nie przemogą go“. Gdy się ma potężny zastęp nieprzyjaciół przeciw sobie, wtedy nie wiele już znaczy, czy ich trochę mniej lub więcej przybędzie. Encyklika *Immortale Dei* mówi O. Meyer, jest nie tylko jasno sformułowanym programem polityki kościelnej Leona XIII., ale i sztandarem zatkniętym przez Namieśnika Chrystusowego w obec wszystkich ziem i narodów, aby go dni swego imienia katolicy pod tem walczyli godłem i siły swe w jednym skupiali ognisku. Jestto chorągiew prawdy, przeciwstawiona błędnym ognikom fałszu, jestto latarnia morska świecąca zbawczem światłem ginącemu już społeczeństwu, jestto uroczysty protest przeciw pogańskiej idei państwowej w naszych czasach i wszystkim jej owocom. A owoce te — to walka przeciw Chrystusowi

i chrześcijańskim instytucyom, to zasada siły przed prawem w stosunkach międzynarodowych, to starganie wszystkich węzłów moralnych w wewnętrznem życiu społeczeństwa, to profanacja małżeństwa, pogwałcenie najświętszych praw rodzicielskich, wywrót rodzinnego ogniska, gorszenie dzieci, uprawniona przemoc mocniejszego nad słabszym, ucisk i wyzyskiwanie biednych, mechaniczny przymus zamiast chrześcijańskiego posłuszeństwa, w górze despotyczna samowola — na dole nikczemna służbistość, lub występna rozpacz.

Kwestye bieżące omawia O. Lehmkuhl. Obawiano się w Niemczech, że Stolica św. zbyt wiele może ustępstw uczyni. Zadaniem tego artykułu jest rozwiać płonne obawy. Druga rozprawa tegoż autora, jest treści socyalnej: „Kwestya zapłaty i zniżenie wartości prac ludzkich“. O. Lehmkuhl żąda ograniczenia konkurencyi a ewentualnie prawnego uregulowania zapłaty, zapewnienia robotnikom stałego zajęcia ze strony właścicieli fabryk i t. d. O. Langhorst wyświeca spór protestantów „prawowiernych“ z liberalnymi o obsadzenie katedr teologicznego wydziału.

Przedmiotem recenzyi są przeważnie dzieła literackie, jak Reutera *Poetik und Literaturkunde*, markizy Droste-Hülshoff, Segebrondiego, Brilla, Roothana i t. d. Szczególniejszej godna uwagi ocena pomnikowego dzieła: *Monumenta Germaniae paedagogica*.

Ks. A. Arndt.



Rozmaitości.

Smutne następstwa „moralności niezależnej“. Czytamy w „Roli“ z d. 28 lut. b. r.:

Pewien mąż postępowy, wygłaszający wysoce liberalne aforyzmy w prospectach, pragnąc przyspieszyć rozwój „nowych idei“ w „strupieszale“ społeczeństwie polskiem, podjął wydawnictwo organu poświęconego „podporządkowaniu interesów innych warstw społeczeństwa interesom ludu“, szerzeniu „nowej wiary“ i „kultury chłopskiej“ — a obok tego gromieniu „niemoralności szlachty“ i „chciwości księży“. Łatwo się domysleć (zwłaszcza wobec świadectwa źródeł urzędowych), iż tym wydawcą postępowym był (tak był, gdyż dziś już go nie ma!) nie kto inny, jeno tylekroć reklamowany w „Roli“ pan Władysław Kiersz, a onem wydawnictwem — najmłodsza latorośl „wolnej myśli“ i „moralności niezależnej“ — słowem ów „Głos“, co do którego, nie dawniej jak w numerze poprzednim, wyraziłem obawę, iżby mu

wkrótce nie zabrakło głosu. Jakaż fatalna była to przepowiednia! Nim bowiem dzielny wydawca swój słynny program „podporządkowywania“ zdążył przeprowadzić w praktyce, — uznał tymczasem za właściwe p o d p o r z a d k o w a ć cudze pieniądze interesom własnym, czyli, wyrażając się językiem zacofanym, postępowiec ów uznał za właściwe okraść kasę instytucji finansowej, której był urzędnikiem, na marne 100 tysięcy rubli, następnie zaś osierocić „organ“ i — zniknąć.

Smutniejsze jeszcze, zatrważające nawet następstwa, wynikające z „moralności niezależnej“ podaje nam czasopismo francuskie *Revue Scientifique* (z d. 12 marca, b. r. str. 348). Teorya Malthus'a, która i u nas w pewnem piśmie była zalecona, znalazła we Francyi odpowiedni grunt, przygotowany przewrotną literaturą i szerzeniem niedowiarstwa. Jej następstwa zabijały dotąd rody, dziś cyfry statystyczne wykazują, że godzą one na zagładę całego narodu. Przyrost ludności różny jest w różnych krajach; w Niemczech obliczają, iż ten przyrost wynosi corocznie 12 z ułomkiem na 1.000 mieszkańców, jest to mniej więcej średnia liczba dla Europy. Francya stanowi pod tym względem wyjątek. Dość dawno skarżono się tam na mały przyrost ludności, w ostatnich atoli latach procent przyrostu zaczął się coraz więcej obniżać; i oto są znaczące cyfry, jakie *Revue scientifique* podaje:

R. 1872 na 1000 ludn. = 6.5	przyrostu	R. 1879 na 1000 ludn. = 4.0	przyrostu
„ 1873 „ „ „ = 4.8	„ „	1880 „ „ „ = 2.2	„
„ 1874 „ „ „ = 6.6	„ „	1881 „ „ „ = 3.5	„
„ 1875 „ „ „ = 4.1	„ „	1882 „ „ „ = 2.4	„
„ 1876 „ „ „ = 5.1	„ „	1883 „ „ „ = 2.6	„
„ 1877 „ „ „ = 6.8	„ „	1884 „ „ „ = 2.1	„
„ 1878 „ „ „ = 3.8	„ „	1885 „ „ „ = 1.3	„

Jeżeli ten „postęp“ potrwa dalej, to już nadchodzi chwila, kiedy ludność Francyi zacznie absolutnie się zmniejszać. A co potem?...

Niektóre nasze pisma, nawet poważniejsze, pozwalają sobie napaści, uwag lub wyrażen, które tylko we wrogich, albo ateistycznych (to jest charakterystyczne) zwykle się napotyka. Dzielnie broniący spraw naszych „Przegląd katolicki“ daje im, w zeszytce swym z d. 17 marca r. b., doskonałą odprawę, którą tu umieszczamy.

Kapliczki św. Stanisława w Rzymie, o których ocalenie od zagłady tyle potrzeba było podejmować zachodów, podają *Kłosa* (nr. 1131) w wiernej reprodukcji drzeworytniczej, podług fotogramów nadesłanych z Rzymu przez p. *Cezara Polewkę*. Obok nader ciekawych tych obrazków, podaje korespondent treściwą wiadomość o losach owych kapliczek i dowodzi ich autentyczności przeciwko p. *Arturowi Wołyńskiemu*, który jej zaprzeczał w *Kraju* i podobno we włoskiej *Riformie*, a to, jak zapewnia korespondent, celem udaremnienia zachowawczej względem tych drogiej pamiątek pracy rodaków.

Szkoda, że p. *Cezar Polewka* nie poprzestał na sprawozdawczej i historycznej stronie kwestyi, ale utnył w swoje zasługi około zachowania drogiej

pamiętek po św. Stanisławie, za co mu w rzeczy samej wdzięczność się należy wystąpił polemicznie przeciwko pomawiającym go o „brzuchomówstwo“, jak onego czasu nazwano jego jednocześnie pisywanie po katolicku do dzienników katolickich, a po liberalistowsku do liberalistowskich. Polemiczna ta jego wycieczka tem jest niewłaściwszą, że jest daremną; jest on już tak dalece z tego „brzuchomostwa“ znany, że oburzanie się jego przeciwko temu zarzutowi prawie nie może być brane na seryo. Jeżeli zaś on tego nie spostrzega, to chyba porównałby go można z Jourdain'em molierowskim, który do podeśzłego doszedł wieku, nie wiedząc, że mówi prozą. Wszystkie prawie korespondencye pana *Polewki* mają odgłosy brzuchomówcze. Są one niby katolickie, unoszą się nad papieństwem, z lubością malują uroczyście obrzędy kościelne, a tymczasem jednocześnie przedstawiają jednego papieża jako lalkę w rękę jezuitów, innego jako Machiawela, posądzają Stolicę Apostolską o niegodne czyny udzielają jej impertynencko swoje nauki i przestrogi lub też bezczeszczą jaką instytucję błogosławioną przez Kościół i błogosławione dlań przynoszącą owoce. A nie szukając daleko w korespondencyi tej jego, którą podają *Kłosy*, żąda inąd ciekawej i szacownej, znajdują się nader wstretne brzuchowe tony, wymierzane przeciwko jezuitom. Ślawiąc św. Stanisława, który był jezuitą, nie mógł on powstrzymać swojej niechęci do tego zakonu i na rzecz jego przedziwne napisał nonsensa. Ponieważ obraz tego świętego, znajdujący się nad ołtarzem kapliczki, przedstawia go z obliczem rumianem, jako „zdrowego i krzepkiego polskiego wyrostka“ i jest niepodobny do tego typu, jaki nam przedstawia w wnijścia portret św. Alojzego Gonzagi, przeto konkluduje p. *Polewka*:

»Wizerunek ten — bo musi być nim — tłómaczy nam Stanisława, broni go od zarzutu bładego fanatyzmu, zniewieścialej i moralnej apatyj, poświadcza jego naturalność, prostotę i nadzwyczajność. Zaiste w narodzie naszym — gdzie tyle niegdyś było hartu w ludziach, i gdzie potrzeba tego hartu tak wielce dzisiaj czuć się daje — układna, wstydliva (więc wolałby p. *Polewka* niewstydliwą? p. r. n.) i zniewieściała (podobno to właśnie niewstydlawe postacie są najzniewieścialsze p. r. n.) postawa jezuickiej młodzieży była pasożytem (!!! p. r. n.) u synów całokowanej z żelaza Rzeczypospolitej. Zaliczenie w poczet świętych panienek nie mogło się stać ideałem polskiego młodzieńca, którego obowiązkiem jest nie już wyrzekać się własnej woli i stawiać się biernem, a przeto i obłudnem często narzędziem w cudzych rękach, ale hartować owszem i potęgować tę wolę, wyrabiać w sobie samodzielność i charakter, którego tak zastraszający brak u nas. Atoli Stanisław Kostka nie może być mierzony miarą innych i podpadać ogólnemu prawidłu. Była to szczerza, wyjątkowa i cudowna indywidualność, nie zaś sztuczny typ jezuickiego ucznia».

Czyż to nie brzuchomówstwo w najbystrzejszym swym rozpędzie? Wielbi świętego, a jednocześnie zbezczeszcza zakon, który go niebu wychował, i który był matką nieprzeliczonej liczby świętych; jako katolik wysławia św. Stanisława i broni pozostałych po nim pamiętek, jako brzuchomówca znęca się jednocześnie nad św. Alojzym Gonzagą, w którym upatruje ogólny jakoby typ jezuicki bładego fanatyzmu, zniewieścialej i moralnej apatyj. Szanowny korespondent czas jakiś słynał u nas z kwiecistego stylu, ale niestety kwiaty te coraz więcej wędną i upadają; sztuczne zaś, jakimi je zastępuje, nie bardzo zręcznie tę funkcję spełniają, jak to czytelnik widzi, choćby z przytoczonego tu ustępu, w którym jest a propos św. Stanisława bigos frazeologiczny. z „całokowanej z żelaza Rzeczypospolitej“ i z „obłudy jezuickiej“ i z „potrzeby wyrabiania w sobie samodzielności i charakteru“, rozumie się podług mądrej recepty brzuchomówczego korespondenta.

I to wszystko w korespondencji, w której jest apologia przeciwko pomówieniu p. Cezarego Polewki o brzuchomówstwo! Gdyby p. *Polewka* tak bronił wszystkich spraw swoich, żadnejby nie wygrał.

Polityk Tyg. Ilustrowanego p. *Borzywój* mocno karci Stolicę Apostolską za notę Jacobiniego. Oburza go to niepomnie, że Watykan ośmielił się posyłać do Niemiec „rady w sprawach wyłącznie politycznych“. Co innego p. *Borzywój*: ten może rady swoje i sądy polityczne sypać na wszystkie strony, ale też daleko Watykanowi do p. *Borzywója*! Bo niech tylko posłucha Watykan, co mu powiada ten polityk, i niech sobie weźnie to na rozum:

»Kościół katolicki, prawi p. *Borzywój*, winien zawsze pamiętać, że boski Złożyciel jego był »synem cieśli«, że pierwsi jego głosiciele byli »rybakami«, i że na stolicy namiestnika Chrystusowego zasiadali »Pastusi wieprzów« nie gorsi od innych papieżów.

Bardzo mądre to napomnienie p. *Borzywója* nie zawiera jednak wszystkiego, co by w tym przedmiocie powiedzieć należało bo jeżeli boski Złożyciel Kościoła miał cieślę za opiekuna, to nie zawadziło zwrócić uwagę na to, że był Jednorodzonem Synem Króla królów, że pierwsi jego głosiciele, choć byli „rybakami“, otrzymali władzę i posłannictwo rządzenia Kościołem Bożym bez konieczności zasięgania rad dziennikarskich, i choć na Stolicy Piotrowej zasiadali „pastusi wieprzów“, nie mało zdumieliby się oni, gdyby jakiś pierwszy lepszy anonim pozwolił sobie zakreślać im linię, poza którą zdania swego nie byłoby im wolno wypowiadać. Wątpimy też, czyby p. *Borzywój* miał odwagę radę swoją zakomunikować, takiemu naprzykład „pastuszkowi wieprzów“, jakim, podług dość upowszechnionego podania miał być Syxtus V. Wiadomo bowiem jak energicznym był ten Papież.

Nie możemy się dziwić, że p. *Borzywój* jest politykiem; polityka bowiem jest działem u nas, osobiście też w tygodnikach obrazkowych, tak niewinnym, iż bezpiecznie może on być powierzany nie koniecznie najtęższemu głowom; ale w każdym razie, w interesie swojej godności literackiej, *Tyg. Ilustrowany* powinienby postarać się o trochę poważniejszego referenta spraw politycznych.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański Ojca św. Leona XIII.

Kiedy katolicy całego świata święcili z niewypowiedzianym zapalem i świetnością najprzód 50-letni jubileusz kapłański, później 25-letni jubileusz papieski Piusa IX., dały się słyszeć głosy, że hołdy te odnoszą się wyłącznie do osoby, a nie do urzędu i godności papieskiej, że nie są znakiem coraz ściślejszej łączności katolików ze Stolicą św. Piotra, lecz wypływają tylko z podziwu i czci dla jaśniejszej tyłu osobistymi darami, aureolą tyłu cierpień otoczonej postaci pierwszego więźnia Watykańskiego. Następca Piusa IX. mówiono, już tego uroku wywierać nie będzie; jego uroczystości nie będą już podobno uroczystościami domowymi świętami całego katolickiego świata; dziwne, niesłychane dotąd kupienie się wszystkich ludów i krajów koło tronu Piusa IX., pozostanie w dziejach jako jedyne zjawisko, jako świetny meteor, który przeleciał niepozostawiwszy po sobie śladu. Dzięki Bogu, przewidywania te nie spełniły się: pokazało się, że chociaż opatrnościowa postać Piusa IX. niemal się bezwątpienia przyczyniła do otoczenia papiestwa tym blaskiem, jakim zajaśniało za jego życia, to przecież cześć i miłość dla Stolicy św. opierała się na lepszym zrozumieniu rzeczy i silniejszej podstawie niż najpoważniejsze nawet zalety i najwyższe osobiste przynioty jednego człowieka. Ledwie na tronie papieskim zasiadł Leon XIII., a już świat katolicki, choć nie mógł

jeszcze przewidzieć, ani przyszłych jego pełnych mądrości nauk, ani też żelaznej pracy, z jaką korzysta z każdej sposobności do rozszerzenia chwały Bożej po wszystkich częściach ziemi; to przecież dla tego tylko samego, że w nowo wybranym widział i cenił prawego rządcę Kościoła, przywitał go z radością, a złożonymi jednomyślnie holdami okazał swą cześć dla Namiestnika Chrystusa, przywiązanie do Piotrowej Stolicy.

Dowody tej łączności świata z papieństwem powtarzały się od-tąd razporaz, to w mniejszych, to w większych rozmiarach, stosownie do okoliczności. Utartą już drogą śpieszyły liczne pielgrzymki, płynęły adresy, jałmużny i dary nieraz więcej niż królewskie; ale przypadający d. 31 grudnia b. r. pięćdziesięcioletni jubileusz kapłański Ojca św., olbrzymie przygotowania dziś doń się czyniące w najpiękniejszym bezwątpienia i najbardziej pocieszającym świetle przedstawiają tę łączność Papieża z wiernymi, głowy z członkami.

Przed dwoma mniej więcej laty, kilku wybitniejszych katolików włoskich poruszyło po raz pierwszy myśl uroczystego obchodu zbliżającego się jubileuszu. Pierwotny plan bardzo był skromny: zamyślano ofiarować Papieżowi artystycznie wykonany ołtarz, a do tego daru dołączyć niewielką jałmużnę pieniężną. Ale zaledwie raz tknięta myśl w nieco szersze rozbiegła się koła, nabrała na znaczeniu, spoteźniała i zamieniła się w wielką manifestację katolicką, obejmującą dziś wszystkie kraje cywilizowanego świata. Niebawem dzięki staraniom nigdy niestrudzonego dla dobrej sprawy Dra Acquaderni, rozpoczął swe czynności w Bolonii „Komitet centralny“ jubileuszu papieskiego (*Comissione Promotrice*), pod honorowym prezesem kardynałem Schiaffino, a komitet ten tak rącho wziął się do roboty, że nie upłynęło parę miesięcy, a już ze wszech stron dochodzić zaczęły do Bolonii, najprzód z miast włoskich, później i z zagranicznych wesołe wieści o zawiązywaniu się coraz innych „Komitetów jubileuszowych“. Nie mówiąc już o Włochach, istnieją dotąd komitety narodowe: francuski, brazylijski, niemiecki, argentyński, portugalski, belgijski, holenderski, szwajcarski, hiszpański, angielski, irlandzki, austriacki. Prezesem komitetu austriackiego, obradującego w Wiedniu, jest Antoni hr. Pergen, wiceprezesem hr. Franciszek Knefstein; znaczną liczbę członków stanowią potomko-

wie starych historycznych rodów: Franciszek hr. Bellegarde, Henryk hr. Brandis, Karol hr. Chorinsky, Franciszek hr. Falkenhayn, książę Alfred Liechtenstein, dwóch książąt Lobkowiców, książę Ernest Windischgrätz i t. d. Z Polaków należą do tego komitetu: książę Konstanty Czartoryski i Ekscelencyja Paweł Popiel. Prezesem komitetu niemieckiego jest książę Karol Loevenstein; francuskiego — wicehrabia de Damas; belgijskiego — profesor Helleputte; słowem powiedzieć można, że wszędzie katolicka arystokracja i to arystokracja w najlepszym i najszerszym tego słowa znaczeniu, tak rodu, jak i nauki podała sobie ręce, aby godnie obchodzić zbliżający się jubileusz. Organami komitetów narodowych są wychodzące w ośmiu edycjach, po większej części miesięczne, „Biuletyny jubileuszu kapłańskiego Leona XIII.“; z tych cztery w języku francuskim — dla Belgii, Francji, Luksemburgu i Szwajcarii; dwa w języku hiszpańskim — dla Hiszpanii i Ameryki południowej; jeden w języku niemieckim, i jeden w portugalskim.

W jaki sposób ma się obchodzić ten jubileusz, jakie uroczystości mają go uświetnić? Odpowiada na to „Komitet centralny“ w okólniku rozesłanym do wszystkich poszczególnych komitetów, podanym i obszernie komentowanym tak w biskupich listach pasterskich, jak i przez katolicką prasę.

„Komitet, słowa są okólnika, pozostawiając każdemu narodowi, każdej diecezji, każdemu stowarzyszeniu i t. d. zupełną wolność w obiorze najodpowiedniejszych środków do przygotowania się i jak najuroczystsze obchodu wielkiej nadchodzącej uroczystości, uprasza przecież i wzywa wszystkich katolików, aby po bratersku przyłożyli ręki do czterech następujących dzieł, całemu światu katolickiemu wspólnych. Dzieła te są:

1) „Święta liga modlitw, w celu uproszenia od Boga tryumfu Kościoła i zachowania nam jak najdłużej najwyższego pasterza Leona XIII.

2) „Wystawa watykańska z dzieł sztuki i przemysłu, ofiarowanych przez katolików J. Świątobliwości a składających się w największej części z przedmiotów religijnych i do nabożeństwa służących.

3) „Datek na mszę świętą zebrany z drobnych datków katolików całego świata.

4) „Pielgrzymki do grobów św. Apostołów Piotra i Pa-
wła w Watykanie“.

Komitet włoski rozesłał do wszystkich parafij, klasztorów, konwiktów i t. d. drukowane kartki, ułożone w kształcie listu do Papieża.

Ojcze święty!

Z powodu Twego jubileuszu kapłańskiego, ofiaruję za Ciebie komunij ...; wysłucham mszy ...; odmówię trzecich części różańca ...; nadto ofiaruję następujące dobre uczynki ...

Twój syn w Jezusie Chr.

N. N.

Parafia ...

Podpis Proboszcza.

(Pieczęć parafialna).

Wszystkie te liściki, oprawione następnie w przepyszne album, mają być w dzień jubileuszu wręczone Ojcu św.

Na wystawę watykańską nadeszło dotąd niezliczone mnóstwo darów. Są to po największej części: ołtarze, obrazy, kielichy, monstrance, dywany, wszystkie przybory do mszy św., narzędzia, walizki i przyrządy obrachowane na potrzeby misyonarzy, bogato oprawne książki, — słowem przedmioty łączące wdzięk artystyczny z prawdziwym pożytkiem; gdyż jak wiadomo, Papież nie myśli ich weale dla siebie zatrzymać, lecz niemi obdarować ubogie kościoły, zwłaszcza kościoły misyjne. Osobne komitety pań zajmują się z szczególną gorliwością propagandą na korzyść wystawy; każdy komitet stara się wysłać do Rzymu jak najwięcej wyszłych zpod ręki swych członków prostych, ale gustownych alb, ornatów, kap, komży. W samym Medyolanie w czternastu sklepach wisi olbrzymimi głoskami wydrukowany napis: „Tu składać można dary na wystawę watykańską“, a ofiarodawcy licznie do tych sklepów się cisną. Ktoś, również w Medyolanie, ofiarował wielką, wygodną karetę; ktoś inny facsimile katedry medyolańskiej z posążkami ulanymi ze srebra; biedny jakiś ksiądz przysłał flaszkę wina do mszy św.; pewien Francuz potężne organy; dary biednych wyrobnic i milionowych panów stoją obok siebie, a jedne jak i drugie nie mniej pięknie świadczą o miłości katolików dla Ojca chrześcijań-

stwa. Osobno założone illustrowane czasopismo poświęcone jest wyłącznie opisowi nadsyłanych darów.

Datek na mszę jubileuszową, będący właściwie innym sposobem złożenia Ojcu św. tak mu niezbędnego świętopietrza, spływa ze wszystkich krajów, ze wszystkich prowincyj, ze wszystkich niemal zakątków świata, a dotąd urósł już w potężną sumę. Aż do końca minionego roku zebrano w samych tylko Włoszech 173.465 lirów; do końca lutegob. r. nadeszło ogólnie na ten cel do sekretaryatu stanu 528.824 lir., a zapominać nie należy, że kwota ta powstała głównie z pięcio i dziesięciu centymowych datków. Po wsiach i miasteczkach wystawiono skarbonki, przeznaczone wyłącznie dla ofiar składanych przez drobne dzieci; skarbonki napęlniają się, a co ważniejsza, wpajają niemal od kolebki ducha, połączonej z zaparciem siebie samego, chrześcijańskiej ofiarności. Małe stowarzyszenie miłości synowskiej, osobno w tym celu zawiązane a rozgałęzione po całych Włoszech, po Ameryce południowej, i t. d. zbiera od swych członków stałe miesięczne składki. Ktoś rzucił myśl, aby na pierwszego stycznia 1887, jako na pierwszy dzień roku jubileuszowego posłać Ojcu św. osobno wydrukowane karty z życzeniami, a ponieważ wszystkie przesyłki do Papieża wolne są od opłaty pocztowej, aby opłatę, jaka właściwie na pocztę przypaśćby była powinna, złożyć na świętopietrze; myśl ta, zresztą oryginalna, przyjęła się, a w ostatnich dniach grudnia poczty włoskie nadażyć formalnie nie mogły z wysyłaniami biletów adresowanych wprost do Papieża. Komitet francuski przygotowuje dla Ojca św. album z nazwiskami wszystkich tych, którzy złożyli na świętopietrze po 50 centymów. Dziś naturalnie nie można nawet w przybliżeniu oznaczyć, jaką sumę uczynią wszystkie te jałmużny; to pewna, że będzie to jałmużna prawdziwie „katolicka“, bo na listach ofiarodawców spotykamy nazwiska wiernych wszystkich części świata: Japończyków, Australczyków, Chińczyków, Indyan, Syryjczyków, nie mówiąc już o europejskich i amerykańskich katolikach.

Jałmużny te, w znacznej przynajmniej części, złożyć mają u stóp Ojca św., osobne deputacye i pielgrzymki z najrozmaitszych europejskich, a może i nie europejskich krajów. Duchowieństwo włoskie urządza wielką pielgrzymkę, da Bóg, większą jeszcze niż r. 1883; francuskie, niemieckie, belgijskie, hiszpańskie komitety, korzystając

z nabytego w tym względzie doświadczenia, starają się już teraz usunąć wszelkie przeszkody i sparaliżować złą wolę rządu włoskiego, który z pewnością nie zaniedba tamować wszelkimi siłami tych tak niemiłych dla siebie, międzynarodowych manifestacyi. Pielgrzymka austriacka stanąć ma w Rzymie między 10 a 20 kwietnia; pielgrzymka niemiecka między 20 a 30 marca r. 1888.

Katolicycy pisarze, poeci, filozofowie, teologowie, literaci, dziennikarze, przygotowują w różnych krajach osobne manifestacye na cześć wielkiego promotora historycznych i filozoficznych studyów, łacińskiego poety, mecenasa katolickiego dziennikarstwa. Belgijczycy zamierzają ofiarować Ojcu św. kolekcję wszystkich dzieł, wyszłych z pod pióra szczerze katolickich belgijskich pisarzów, od czasu ogłoszenia niezależności narodowej, a nadto najznakomitsi belgijscy autorowie pracują już łącznemi siłami nad pomnikiem dziełem p. t. Złota księga pontyfikatu Leona XIII., mającem dać wyczerpujący obraz wszechstronnej działalności dziś panującego Papieża. Francuzcy Benedyktyni przygotowują artystyczne wydanie hymnu *Magnificat* w 150 językach. Bibliograficzne stowarzyszenie paryskie zapowiedziało swym członkom, że wyprzedzić się nie dozwoli innym narodom i złoży u stóp Papieża dzieło, świadczące niemniej o rozległej wiedzy jak i o głębokiej wierze katolickiej Francyi. Komitet holenderski pracuje nad wydaniem Albumu zatytułowanego: *Niderlandy katolickie*, a w którym pędzel najznakomitszych malarzy rywalizować ma z piórem holenderskich literatów i uczonych, aby wszechstronnie i dokładnie przedstawić ciągly wzrost i dzisiejszy stan Kościoła w Hollandyi; tekst będzie w dwóch językach: łacińskim i holenderskim. Album „katolickich stowarzyszeń niemieckich“ zawierać ma spis i nieraz rozculającą do głębi serca historię tych przeróżnych naukowych, rzemieślniczych, naukowych towarzystw, które nowym są dowodem, że stare drzewo katolicyzmu zawsze świeże, zastosowane do obecnych potrzeb i wymagań, rodzi owoce. Na ogłoszony przez komitet włoski konkurs poetyczny na cześć Ojca św. nadesłano do połowy lutego b. r. 687 poetycznych utworów w języku łacińskim i włoskim a, o ile się zdaje, liczba ta przed zamknięciem konkursu dociągnie do tysiąca. Prasa katolicka ze swej strony nie pozostała w tyle poza ogólnym tym ruchem. Wiele bardzo dzienników, tygodników i mie-

sięczników: włoskich, francuskich, niemieckich, węgierskich, belgijskich, hiszpańskich, portugalskich, holenderskich, kroackich, amerykańskich, a nawet afrykańskich zobowiązało się podawać swym czytelnikom stale wiadomości o przebiegu przygotowań do jubileuszu papieskiego, i zachęcać ich do wzięcia w nim jak najczynniejszego udziału.

Moglibyśmy tu jeszcze zebrać dużo ciekawych, wdzięcznych, nieraz wzruszających szczegółów. Opis pociągających nieraz samą swą naiwnością przygotowań Japończyków i Albańczyków, libańskich górali i wyspiarzy oceanu Indyjskiego, nielicznych ale gorliwych katolików norweskich i Patagończyków, długie mógłby jeszcze zająć stronnice. Ale i dotychczasowe streszczenie, choć niedokładne, daje poznać, że dzięki Bogu, miłość dla Stolicy św. żywym tętmem odzywa się w katolickim świecie. Nasi najprzewielebniejsi biskupi w odezwach swoich i listach pasterskich stanęli już i stać u nas będą na czele tego ruchu i, spodziewać się można, że i nasz kraj nie zostanie w tyle w tej rodzinnej uroczystości katolickiego świata, w której tak szczerze i wspólnie objawia się przywiązanie i cześć dla Chrystusowego namiestnika.

Listy kardynała Jacobiniego w sprawie septenatu wojskowego w Niemczech. — Nowe projekty rozwiązania „kwestyi rzymskiej“. — Obrona wolnomularstwa w sejmie węgierskim. — Ogólny stan Kościoła w Węgrzech.

Listy kardynała Jacobiniego w sprawie septenatu wojskowego, doczekały się jak z góry można było przewidzieć, bardzo różnego przyjęcia. Prasa włoska przełękała się w pierwszej chwili nad miarę: Czy Papież, pytały dzienniki, zamysła pobudzić Europę do zbrojnej interwencji w kwestyi rzymskiej; czy, zapominając o pokojowej swej misyi, pragnie rzucić świat w odmet okropnej walki, spodziewając się, że wypłynie z niej może Rzym papieski? Przeciwnie, odparły z rzadką zgodą gazety francuskie wszystkich odcieni: liberalne, konserwatywne i republikańskie; Papiestwo nigdy tak dobrze się ludzkości nie zasłużyło, jak teraz, kiedy kładąc swe słowo na szali wypadków zabezpieczyło Europie pokój, powstrzymało eksterminacyjną walkę, wobec której wojna z r. 1870 wyglądałaby jak dziecinna zabawka. W podobnym tonie choć mniej gorącym, przema-

wiają Anglicy, Amerykanie i w ogóle część prasy krajów, choć nie bezpośrednio, to pośrednio w tej sprawie zainteresowanych. Polityka papieska, tłumaczy znów inna część dzienników, usiłujących zapatrywać się na całą tę kwestyę chłodno i przedmiotowo, nie zasługuje ani na włoskie gniewy, ani na francuskie wygórowane pochwały; usunęła może na dłuższy lub krótszy czas grożącą Europie wojnę, ale przyznając że dała nowy dowód tradycyjnej swej roztropności nie należy zapominać, że wyświadczając tę przysługę ludzkości i cywilizacyi, działała tylko w dobrze zrozumianym interesie własnym, i interesie Kościoła w Niemczech. Wytrawni politycy rzymscy przewidzieli przyszły obrót rzeczy w razie nieprzyjęcia septenatu: rozwiązanie parlamentu niemieckiego, i ogólny wynik następnych wyborów; bardzo zatem rozumnie doradzali *Centrum* ustępstwo w kwestyi septenatu, aby za tę cenę, którą bądź co bądź w przyszłości spłacić należało, ocalić dotychczasowe, silne stanowisko katolików, i zapewnić sobie na innych punktach poparcie rządu.

Z trudnego położenia, w jakim w pierwszej chwili, po ogłoszeniu listów kardynała Jacobiniego, znaleźćby się mogła katolicka prasa niemiecka; wyprowadziły ją, choć podobno bez własnej zasługi zabawne artykuły, które jakby na komendę pojawiły się w półurzędowych i ultra-liberalnych gazetach. *Kölnische Zeitung*, *Norddeutsche Allgemeine Zeitung*, *Post*, słowem właśnie wszystkie te gazety, które przed kilku jeszcze miesiącami nie miały dość słów na potępienie „wyrodnich Niemców, zwracających się po rozkazy do cudzoziemskiego monarchy“, teraz poważnie zaczęły dowodzić, że katolicy w sumieniu są obowiązani słuchać wszelkich politycznych wskazówek, równie jak dogmatycznych nauk Papieża, i że kiedy Papież *ex cathedra* nakazał głosować za septenatem, to katolikowi niewolno nieomylniej tej nauce się sprzeciwiać. Na takie śmieszności nietrudna była odpowiedź i katolickie dzienniki dłużnemi jej nie zostały: Naucze się najprzód katechizmu, pisały, a chwając czy ganiąc Papieża, nie powtarzajcie bredni, z których każde katolickie dziecko rozśmiać się musi. Skąd zresztą ta szczególna gorliwość o dobro Kościoła, o powagę Papieża? Niczego bardziej byśmy nie pragnęli, jak aby czyny wykazały, że słowa wasze są szczerze; ale wilk, chcący bronić pasterza przed owieczkami, zawsze nieco podejrzanie wygląda.

Jeżeli listy kardynała Jacobiniego przyczynią się do polepszenia sytuacji Kościoła katolickiego w Niemczech, to kto wie, czy jednocześnie wbrew możliwym obawom i przewidywaniom pomyślniejszych jeszcze skutków nie wywrą we Francji. Ambasador francuski w Watykanie, Lefébure de Béhaine złożył za nie Ojcu św. podziękowanie w imieniu swego rządu a, zapewniając o pokojowym tegoż usposobieniu względem Kościoła, wyraził radość Francuzów, którzy obecnie z mniejszym niespokojem spoglądać mogą w przyszłość, nie obawiając się każdej chwili zerwania niemieckiej nawały. Ambasador wręczył następnie Ojcu św. kosztowny podarunek od prezydenta Rzeczypospolitej, a prałatom Gabimbertiemu i Mocuniemu przesłał wielką wstęgę Legii honorowej. Lecz bardziej jeszcze od tych grzeczności dyplomatycznych świadczy o głębokiem zadowoleniu Francuzów ton, jaki przybrała prasa, i to prasa wcale nie wyłącznie katolicka, ale liberalna i republikańska. Radykalne dzienniki belgijskie jak *Réforme* lub *Nation* zgrzytają zębami na samą myśl o wyborach w Niemczech, bo jak wołają, tracąc zimną krew w swym gniewie „zwyciężył nie Bismark, nie septenat, nie stronnictwo pokojowe, ale Papież, Watykan, Kościół, słowem nasz wróg;“ przeciwnie w Paryżu, radość powszechna, że zwyciężył mądry i roztropny Papież, Apostoł pokoju, prawdziwy przyjaciel Francji. Najlepszym może wyrazem tych zapatrywań i uczuć, panujących, nie mówiąc tu, o katolickich, w liberalnych i republikańskich kołach francuskich, jest umieszczona w marcowym zeszycie *Révue des deux Mondes*, rozprawa p. t. Interwencja Stolicy św. w wyborach niemieckich, przez Wiktora Cherbulieza, podpisującego się w artykułach treści politycznej, pseudonimem Valberta.

„Łatwo zrozumieć, jakie przyczyny skłoniły Ojca św. do powzięcia tego kroku, a przyczyny te przynoszą zaszczyt apostołskiemu jego charakterowi. Wydawało mu się, że przez uchwalenie „septenatu oddali się niebezpieczeństwo wojny, że rozejdzie się „czarna chmura wisząca od kilku tygodni nad Europą... Leon XIII. „za jasno patrzy na rzeczy, aby mógł się ludzić, że septenat jest „synonimem pokoju. Lecz wie dobrze, że w Prusiech walki parlamentarne znajdują nieraz rozwiązanie na placu morderczej bitwy; „rozumie, że rządy mające do przebycia wewnętrzny proces z własnymi poddanymi, uledez mogą pokusie i postarać się o dywersję

„chwytając za szablę i idąc na sąsiada... Leon XIII. osadził, że jest jego obowiązkiem jako najwyższego Pasterza, odjąć ludziom nie cofającym się przed gwałtem wszelki pretekst do puszczenia się na krwawą awanturę dla poprawienia swych interesów“.

„Sądził również, że nie otrzyma nigdy rewizyi praw majowych, jeśli jej nie okupi jaką grzecznością... Książę Bismark otrzymał od sejmu pruskiego różne dyskrecyjne władze: prawo dowolnego wstrzymywania kroków sądowych i udzielania dyspens od istniejących przepisów. Leonowi XIII. to nie wystarczało. Bardzo słusznie mówił: „Prawa pozostają, ludzie mijają, dobra ich wola każdego dnia może uleść zmianom. Przed dopełnieniem rewizyi spokojnym być nie mogę“. Wreszcie nakłoniono się do rewizyi tak długo i tak uporczywie odmawianej; ale Papież czuł doskonale, że rewizya ta nie odpowie jego życzeniom, jeśli nie w zamian nie będzie mógł ofiarować, niczem się wywdzięczyć. Powiedziano mu nieraz i nie dwa: Jeśli chcesz, abyśmy ku Tobie postąpili, postąp ku nam; twoje kroki będą miarą dla naszych. „Nieza długo, pisał kardynał Jacobini, przedłożonym zostanie projekt, zmierzający do kompletnej rewizyi polityczno kościelnych praw pruskich. Otrzymaliśmy niedawno temu formalne zapewnienie, że w tym względzie... Gdyby centrum oddało swe głosy za sepcatem, utwierdziłoby to rząd w dobrych zamiarach dla Kościoła i dla Stolicy apostolskiej“. Papież wie, że w Berlinie można coś kupić, lecz niczego nie można darmo otrzymać, że wszystko: wojna i pokój ma tam swoją wyznaczoną cenę; długo opierał się, wreszcie przychylił rękę do zgody i zawarł targ. Czyż czasami nie jesteśmy z góry skazanymi na przyjęcie zwyczajów i obyczajów ludzi, z którymi mamy do czynienia“?

„A nadto, czyż mógł Papież po tylu przykrościach cierpliwie zniesionych odwrócić się od uśmiechającej się fortuny, odepchnąć sposobność, którą przynosiła mu w darze? Najpotężniejsze mocarstwo europejskie, które niedawno temu za jego pośrednictwem pojednało się z Hiszpanią, wzywało go ponownie na pomoc w wewnętrznych swych trudnościach. Ci sami, którzy dotąd uważali go za obcego monarchę, teraz zmieniali zdanie i podchodzili doń mówiąc: „Mamy bardzo wiele i wielkich kłopotów, podaj nam rękę, użyj swego wpływu, swej świętej powagi, aby wybory wypadły po

„naszej myśli, aby z powszechnego głosowania wyszedł parlament, „jakiego sobie życzymy. Nie jesteś cudzoziemcem, należysz do ro „dziny; pomóż nam do przywrócenia ładu i spokoju w naszym go- „spodarstwie“. Jakaż sposobność, aby okazać Europie, co jeszcze „może papieństwo оголоcone z ziemskiego królestwa; jaki wpływ „na świat wywiera czcigodny więzien watykański! Jaka nauka dla „rządów słabych, sądzących że wolno im wyzuć się z wszelkiego „umiarkowania, z wszelkich względów dla Stolicy św.! Jakie ostrze- „żenie dla lekkoduchów pochlebiających sobie, że siłą potrafią ure- „gulować sprawę sumienia!“

Zapewne nie na każde zdanie, nie na każdy wywód francuskiego publicysty możnaby się podpisać, ale zacytowaliśmy tu główniejsze zdania jego rozprawy, dla dania pojęcia z jakiego punktu widzenia zapatruje się na interwencję papieską w kwestyi septenatu wielu ludzi najpoważniejszych, a nie podejrzanych wcale o krępowanie się względami winnej czei i synowskiej, katolickiej miłości dla Stolicy apostolskiej. Czy Ojciec św. w zamian za pomoc udzieloną niemieckiemu rządowi, otrzymał choćby jakąś nadzieję, iż zmieni się dotychczasowe nieznosne jego położenie w Rzymie, iż silniej i inaczej niż prawami gwarancyjnymi zależnymi od widzimisię parlamentu co lat parę się zmieniającego, zabezpieczonem zostanie monarsze jego stanowisko? Taką wiadomość choć z wszelkiemi zastrzeżeniami podał *Univers*, opierając się jakoby na poważnych listach z Rzymu, wedle których Niemcy nacierałyby miały na zaprowadzenie pewnego *modus vivendi* między Włochami a Watykanem. Rzymski korespondent *Monde'a* wchodzi w bliższe szczegóły owego uprojektowanego *modus vivendi*: Papież otrzymałby miał z najzupełniej królewską władzą dzielnicę Leonińską z kawalkiem ziemi sięgającym do morza, a zakupionym za 50 milionów, przyznanych Papieżowi przez prawa gwarancyjne. Korespondent *Journal des Débats* opowiada, iż miał w ręku wydrukowany projekt ugody między Watykanem a rządem włoskim, streszczającej się w czterech głównych punktach: 1) Papież otrzyma dzielnicę Leonińską z pasem ziemi aż do morza; 2) Na przypadek wojny, wojska włoskie mają prawo obsadzić terytorjum przyznane Papieżowi; 3) Natomiast Ojciec św. zajmie przyjaźniejsze stanowisko względem rządu

włoskiego; 4) Subwencya przyobiecana Papieżowi zostanie zdwojona, a zatem wynosić będzie pół miliona franków miesięcznie.

Projekty te nie po raz pierwszy występują na jaw; czy zaś w tej chwili bardziej się niemi w kompetentnych sferach zajmują, czy istotnie, jak donosi *Univers*, pewna część wpływowych osobistości na dworze papieskim nie byłaby im w zasadzie przeciwną — o tem ze sprzecznych, niedokładnych, nie zawsze pewnych wiadomości dowiedzieć się trudno. *Moniteur de Rome* zaprzeczył wszelkiej wagi wszystkim tym informacyom i nazwał je „śmiesznymi, fantastycznymi kombinacyami“. „Papiestwo, znajdując się w Rzymie „w położeniu nieznośnem, absolutnie niedającym się pogodzić z pełnem i wolnem wykonywaniem swego urzędu, ma prawo i obowiązok oglądać się za środkami do wyjścia z tego położenia. Jednym „z tych środków byłoby mogła wspólna akcyja mocarstw, które „wszystkie równie są zainteresowane w rozwiązaniu kwestyi papieskiej. Skoro nadarza się jakaś pomyślna okoliczność, Papież „z niej korzysta; rzecz to sprawiedliwa i naturalna. Dodamy jeszcze, że tego rodzaju pokojowa akcyja może sprawić tylko przyjemność znacznej większości narodu włoskiego, ponieważ, zapewniając trwale i rozumne rozwiązanie tej kwestyi, zaznaczyłaby koniec „zgubnej walki i stałaby się dla samychże Włoch źródłem siły „i wielkości“.

Artykuł ten, widocznie inspirowany, pojawił się w *Moniteur de Rome*, pod datą 2 marca; tego samego dnia Papież, przyjmując na uroczystej audyencji kolegium kardynalskie, wyraził, niemal prawie temi samemi słowami, te same zapatrywania, skreślił swój stosunek do Włoch, a ubocznie odpowiedział na czynione mu ciężkie i niesprawiedliwe zarzuty, jakoby był wrogiem własnej ojczyzny, chciał w własnym interesie wzniecić wojnę domową, lub sprowadzić pod mury Rzymu cudzoziemskie hufce.

„Oh! gdybyż nakoniec narody i królowie, wyzwoliwszy się „z pod jarzma przesądów, nieufności i niechęci, nagromadzonych „przeciw Kościołowi i Papiestwu przez fałszywych polityków i przez „fałszerzy historii stojących w służbie sekty, zrozumieli i pojęli, „że właśnie Kościół i Papiestwo jest najsilniejszą podporą porządku publicznego, źródłem szczęścia ludzkości! Wtedy społeczeństwo nie potrzebowaloby płakać nad tylu wzburzeniami; drzeć

„co chwila przed jakąś straszniejszą jeszcze od dotychczasowych „katastrofą... I dla tego w chwili tak niepewnej i tak brzemiennej „w niebezpieczeństwa, nie więcej nie zdawało nam się na czasie, „nie coby bardziej odpowiadało naszemu urzędowi, jak razporaz „wskazywać królom i narodom najbezpieczniejszą tę przystań spo- „koju i zbawienia i dopomagać im w drodze ku niej wszelkimi „sposobami. Wykonaniu tego dzieła poświęciliśmy pozostające nam „dni ziemskiego tego życia, bo jesteśmy pewni, że, pracując nad „niem, pracujemy nad ważniejszymi interesami religii, z którymi „łączą się ściśle interesa świeckiego społeczeństwa. Napróżno chcia- „noby podsunąć naszym czynom jakieś zamiary obce temu prze- „szlachetnemu celowi. Skoro, opierając się na naszej powadze, do- „magamy się prawdziwej wolności, prawdziwego bezpieczeństwa „i niezależności, to dążymy wprost do tego samego celu, bo wol- „ność i niezależność władzy papieskiej ma ułatwiać dobroczynną jej „działalność i misję, z samej natury swej pokojową. Pierwszym na- „rodem, który najwięcej na tem by skorzystał, gdyby raz wreszcie „nauczono się i zechciano zadość uczynić naszym słusznym żąda- „niom, byłby z pewnością naród, wybrany szczęśliwym losem na „siedzibę papiestwa, a zawdzięczający papiestwu tak wielką część „swej chwały i wielkości“.

Znaczącym postępem, czy może symptomatem chwili jest, że kiedy dawniej liberalna prasa włoska każdą mowę papieską, każdą wzmiankę o konieczności przywrócenia władzy świeckiej Papieża, obrzucała szyderstwem, a na przytoczone argumenty odpowiadała obelgami, obecnie cytując przemowę Papieża, zachowała się z bardzo nielicznymi wyjątkami, jeśli nie przychylnie, to przynajmniej względnie i przyzwoicie. Tak np. *Fanfulla* z pewną komiczną powagą zapewnia, iż „wyjawszy nienaruszalności Rzymu“, Włochy uczynią wszystko co będzie w ich mocy, dla zadowolenia Papieża. *Opinione* znówu, zapominając o smutnej roli, jaką przed paru miesiącami odegrała w ruchu antyklerykalnym, przechwala się z bezczelnością, rzadką nawet w dziejach liberalnego dziennikarstwa, że zawsze „odzywała się z szacunkiem o czynach i mowach Papieża“. Nielatwo uwierzyć w zupełną szczerłość tych tak nagłych nawróceń; ale zwrot chorągiewek jest bądź co bądź znakiem, że wiatr się zmienił.

O ścianę od nas, w Węgrzech, wieje niestety! od bardzo już dawna wciąż jeden i ten sam wiatr, a ze względu na zdrowie publiczne życzyłyby sobie bardzo można, aby ten wiatr zmienił raz wreszcie kierunek. Ostatnie węgierskie posiedzenie sejmowe było świadkiem nie tylko brutalnych scen, jakby żywcem z parlamentów Ameryki południowych przeniesionych; lecz co gorsza wielu prawdziwie zasmucających mów i faktów, które, samą już tylko żywością narodowego charakteru, nie dadzą się wytłumaczyć. Minister wyznań i oświaty *Trefort*, odpowiadając na wzniesione interpelacje, podniósł z emfazą i chlubą, że prawa węgierskie pozwalają na rzeczy i czyny, wzbronione nawet przez angielskie i amerykańskie prawodawstwo; natomiast gorzkie skargi księdza Lesko na nieodpowiednie uczenie katechizmu w szkołach ludowych zbył niemal milczeniem. A przecież w pewnych sferach węgierskich musi panować wielka niezajomość katechizmu, kiedy deputowany Stefan Sokovszky mógł wystąpić w pełnej izbie z apologią wolnomularstwa i z protestem przeciw mniemaniu, „jakoby ten związek był nieprzyjaźnie „usposobiony przeciw państwu, Kościołowi, lub jakiegobądź religii... „Kościół katolicki i wolnomularstwo bynajmniej się nie wykluczają, „jak najlepiej możecie się na mnie samym przekonać, bo chociaż „od wielu już lat jestem masonem, to niemniej, jak poświadczyć „mogą moi współwyznawcy, jestem dobrym katolikiem. Dobry katolik hołduje przede wszystkim miłości bliźniego, i dla tego nie „waham zapisać się do związku masonskiego i chętnie w nim „pozostaję“.

Sejm wysłuchał tych słów, wśród „ogólnego, żywego potakiwania;“ trudnoby temu uwierzyć, gdyby urzędowe sejmowe sprawozdanie nie zamykało ust wątpliwościom. Przechodząc z teorii w praktykę sejm zamianował dwóch jawnych masonów członkami komisji, kontrolującej katolickie fundusze kościelne; jeszcze paru tego rodzaju członków z kielnią i młotkiem w rękę, a kto wie czy komisya ta, idąc zresztą za głośnie już kilka razy wyrażonem zdaniem, nie zechce uznać dóbr kościelnych za „własność narodową“ i jako taką nie skonfiskuje ich na korzyść własną i swoich stronników. Pokusa do grabieży majątków kościelnych może być a podobno i jest tem silniejszą, że finanse węgierskie oddawna w opłakanym są stanie. Odebrawszy biskupom i kościołom majątki, — pod-

ciętoby wprowadzić w korzeniu wiele zbawienniejszych pod każdym względem instytucyj, skazanoby na zagładę tysiące szkół, szpitali, chlubę Węgrom przynoszących, monumentalnych wydawnictw, — ale wiadomo że wolnomularze zawsze i wszędzie dla samej już zasady, a nie dopiero dla uchylenia chwilowego kłopotu, zgodzić się gotowi na tego rodzaju niepowetowane klęski. Jak słyhać, minister sprawiedliwości, protestant, przygotowuje nowe prawo małżeńskie, mające być powtórzoną, może tylko pogorszoną edycją projektu do prawa, które nie przeszło trzy lata temu. dzięki niesłychanym wysiłkom wszystkich lepiej myślących Węgrów. Czy dziś projekt rządowy natrafi na równy opór; czy przez te trzy lata nie stępiło się ostrze pierwotnego oburzenia? W każdym razie nie zaniedbano z pewnością użyć w tym celu żadnego środka.

Walka w Węgrzech, walka kulturalna, toczy się niemal na wszystkich punktach, o wszystkie najświętsze interesa: o szkołę, kościół i rodzinę chrześcijańską. Smutny to i bolesny widok, bo kiedy z jednej strony stają do boju silne i dobrze zorganizowane wolnomularskie szyki; to z drugiej wyjeżdża tylko od czasu do czasu na ochotnika żarliwszy jaki rycerz, a tracąc nieraz cierpliwość i zimną krew wobec naigrawających się zeń wrogów, sromotnie cofać się musi. Katolickie dzienniki, z wiedeńskim *Vaterlandem* na czele, nawołują biskupów, aby wzięli w swe ręce organizację stronnictwa katolickiego i energiczniej stanęli w obronie zagrożonego katolicyzmu, owszem chrześcijaństwa; istotnie katolików i dobrych katolików w Węgrzech nie brak, ale brak im człowieka, któryby skupił rozproszone szyki i do walki je poprowadził. Niech znajdzie się w Węgrzech jaki Malinekrodt, lub Windhorst, niech się odezwie poważny a odważny głos energicznych biskupów, a pokaże się, że królestwo św. Stefana nie zmieniło się jeszcze w kraj w którym wyłącznie uprzywilejowanymi mogą być żydzi, protestanci, masoni i ateusze.

Ks. Jan Badeni.

Ze świata Nauk, Odkryć i Wynalazków.

Paryż portem morskim. — Balonowa służba w armiach. — Najnowsze wiadomości z planety Marsa.

Paryż portem morskim! Nie jest to rzecz nowa, już *Sully* i *Vauban* o tem myśleli żeby wielkim kanałem połączyć Paryż z najbliższem morzem. Później (w r. 1760) inżynier *Passément* i adwokat *Billart* wystąpili z pierwszym umiejętnie przestudyowanym projektem pogłębienia Sekwany, tak żeby wielkie okręty pod Paryżem mogły zarzucać kotwice, zaś od r. 1780 za inicjatywą markiza *de Crecy* i p. *Lemoigne* burmistrza z Dieppe myślano o kanale niezawisłym od Sekwany w kierunku Dieppe. Wybuch rewolucyi, później wojny Napoleońskie odwróciły umysły od podobnych projektów; czem innem wówczas zajęte były francuskie głowy i ramiona, zresztą coraz mniej było i tych głów i tych ramion a najmniej było pieniędzy na podobne przedsięwzięcie. Dopiero za restauracyi (w r. 1825) królewski ordynans upoważnił „wielką kompanię“ do rozpoczęcia studyów nad przeprowadzeniem kanału morskiego w dolinie Sekwany po lewym jej brzegu. Inżynierowie *Fresnel* i *Prosny* zabrali się do wypracowania projektu, kanał miał mieć 6 metrów głębokości, roboty rozłożone były na 9 lat, koszt obliczono na 215 milionów. Lecz tym razem nie zabrano się do dzieła, skończyło się na projektach, które poszły w zapomnienie w epoce robót o wiele żywotniejszych, nad siecią dróg żelaznych w całej Francyi jak i w całej Europie. Gdy gorączka kolejowa nieco przeminęła, pojawił się znowu (w r. 1860) projekt kanału morskiego między Dieppe a Paryżem o tak wielkich rozmiarach, że nawet *Great-Eastern* mógłby zarzucać kotwice na przedmieściu Paryża w porcie o równym poziomie z morzem. Autorem tego projektu był p. *Lebreton*, jednakże obliczono iż koszt takiego kanału o 160 kilom. dług. 80 metr. szerokości a 10 metr. głęb. wyniosłby około 8 miliardów franków, port Paryża musiałby więc dawać przynajmniej 400 milionów fr. rocznego dochodu, tj. ładować dwa razy tyle co wszystkie francuskie porty razem wzięwszy, a cztery razy tyle co port londyński, czego po paryskim porcie

spodziewać się trudno. Panowie *Sabattié*, *Dumont*, *Richard* (w r. 1863) i p. *Vattier* (w r. 1870) próbowali uprościć ten sam projekt p. Lebretona by obniżyć ewentualne koszta przedsięwzięcia, jednakże odtąd zarzucono całkiem myśl połączenia Paryża z morzem *via* Dieppe, i wszystkie najnowsze projekta uważają za najdogodniejszy do przeprowadzenia kanał w dolinie lub w samem łózysku Sekwany, a więc między Paryżem a Havre'm jako proponował był przed stu laty inżynier *Passement*.

Według p. *Lesseps'a* proste pogłębienie Sekwany nie odpowiedziałoby celowi, gdyż kanał nie mający równego poziomu z morzem wymagałby śluz, które bardzo utrudniałyby żeglugę, i przystęp wielkich statków do portu paryskiego byłby niemożliwym, więc Paryż nie mógłby wytrzymać konkurencyi z Antwerpią, Londynem ani Liverpoolem a tymczasem racya bytu, żywotność portu w Paryżu jedynie na tem zasadzaćby się mogła, żeby Paryż rzeczywiście stał się dla kontynentu Europy portem najbliższym i najdogodniejszym, niejako głównem ogniskiem wielkiej żeglugi dla krajów nad Renem i Dunajem etc. Jako najodpowiedniejszy do osiągnięcia tego celu poleca *Revue Scientifique* (z 16 października) projekt kanału morskiego wzdłuż Sekwany między Paryżem (względnie Asnières) a Havre'm, wypracowany przez p. *E. Labadie*. Kręty bardzo bieg Sekwany ma być ile możności uproszczony i tak pogłębiony, żeby cały kanał był w równym poziomie z morzem i wynosił 126 kilom. aż do Rouen, gdzie już dzisiaj większe statki dochodzić mogą. Koszta całego przedsięwzięcia oblicza p. *Labadie* na 980 milionów, a więc niespełna miliard ma wystarczyć na dokonanie tego dzieła, które według szczegółowych rachunków przytoczonych w *Révue* dawałoby roczny dochód 77 milionów, a więc przyzwoity procent dla akcyonaryuszów i na amortyzacyę kapitału zakładowego. Uwzględniono w dochodach także i te zyski, jakie przyniosłby pod Paryżem wielki wodospad (na 20 metrów), który z natury rzeczy powstaćby tam musiał, gdyby Sekwanę obniżono do poziomu morza. Wodospad ten dałby siłę 36.800 koni, która według ostatnich odkryć i doświadczeń pana *Désprez* (podanych w przeszłej mojej kronice) rozprowadzonaby być mogła po całym Paryżu i odpowiednio zużytkowaną do oświetlenia elektrycznego etc. Pan *Labadie* wylicza prócz tego wielkie uboczne korzyści, jakieby to dzieło

dla Paryża i dla całej Francyi za sobą pociągnąć musiało. Powodzie Sekwany by ustały, Paryż stałby się wnet nietylko miastem największem na świecie, lecz także miastem nie do zdobycia bo mając otwartą drogę do morza nie bałby się żadnego oblężenia; najbardziej więc pod względem strategicznym uważa p. Labadie za konieczność, aby Paryż zdobył się na to, by stać się wielkim portem, inaczej bowiem nie łatwiejszego, jak zdobyć go głodem, zwłaszcza gdy ludność rokrocznie się zwiększa. Prócz tego cały kanał byłby najlepszem obronnem schroniskiem dla floty francuskiej, gdyby była zagrożoną. Oprócz p. Labadie wystąpił z najnowszym projektem portu w Paryżu, a właściwie z odświeżonym projektem dawniejszym z r. 1882 p. *Bouquet de la Grye*¹ w dużo skromniejszych rozmiarach, gdyż chodzi mu tylko o pogłębienie Sekwany o 6 metrów przy czem nieuniknione byłyby cztery śluzy, które p. Bouquet de la Grye nie uważa za tak niekorzystne, jak to ogłosił p. Lesseps. Za to koszta całego dzieła nie przeniosłyby skromnej sumy 110 milionów, robota nie trwałaby dłużej nad 3 lata, możnaby więc już w ciągu wystawy z r. 1889 inaugurować port morski w Paryżu. Tylko że taki port właściwie „morskim“ by nie był, skoro nie miałby równego poziomu z morzem. W każdym razie dziś tylko kwestya Paryża jako portu morskiego jest otwartą, czyli zaś i sam port w najbliższej przyszłości otwartym będzie? trudno orzec. Dotąd urzędownie jeszcze ta rzecz traktowaną nie jest i myślę, że jeśli w ogóle myśl ta jest żywotną, nie prędzej czas przyjdzie na jej wykonanie, aż kanał *Panama* będzie ukończony. A byłoby to również jednym z największych dzieł naszego wieku.

Balonowa służba w armiach coraz bardziej zaczyna się rozpowszechniać. We Francyi od ostatniego oblężenia Paryża jest stały zakład aerostatyczny w Meudon ufundowany głównie w celach wojskowych, gdzie przygotowują się korpusy do balonowej służby; a co najciekawsze, że i to nie jest wcale rzeczą nową. W roku II. za pierwszej republiki, reskryptem z dnia 13 germinała (tj. 2 kwietnia w r. 1793) komitet bezpieczeństwa publicznego ustanowił w tem samem *Meudon* t. z. kompanię aerostierów wojsko-

¹ La Nature z 29 stycznia 1887.

wych. Ciekawy ten dokument złożony z ośmiu artykułów i opatrzone podpisami: Prieur, Carnot, Robespierre etc... ogłosiła niedawno *La Revue Rose* (z dnia 4 grudnia 1886 r.) również jak i drugi dekret (z dnia 13 paźd. 1794 r.) fundujący szkołę aerostierów. *Ecole national aerostatique de Meudon* dla 60 uczniów pod dyrekcją p. Conté sławnego podówczas aerostatysty. Szkoła ta została zwinięta już w r. 1798, gdyż Napoleon nie przywiązywał wagi do balonowej służby w swojej armii, dzisiejszy jednakże zakład aerostatyczny w Meudon można uważać po prostu za wznowienie dawnego i daje nam on najświetniejszy obraz postępu w sztuce aeronautycznej od stu lat, jako bezsprzecznie największy tego rodzaju zakład w Europie. Jak przed stu laty, tak i dzisiaj do celów wojskowych zastosowane są głównie balony na uwięzi (*ballons captifs*). Obecnie (jak donosi *La Nature*) już wszystkie korpusy armii francuskiej zaopatrzone są w takie balony z odpowiedniem wyekwipowaniem w ludziach wyćwiczonych i przyrządach potrzebnych. Podczas ostatnich wielkich manewrów armii francuskiej w okolicy Montereau czynny był cały personal balonowej służby pod dyrekcją komendanta Renard'a i wszelkie doświadczenia miały podobno świetne powodzenie, tak, że w razie wojny balony oddać mogą armii wielkie usługi. Oprócz wojskowego zakładu aerostatycznego w parku Chalais-Meudon jest także w Paryżu na Polu Marsowem prywatna pracownia balonów inżyniera *Gabryela Yon'a*, który rozsyła gotowe aerostaty wojskowe, na zamówienia od rządów włoskiego i rosyjskiego. Oto w październiku przeszłego roku sam car był obecny na manewrach załogi balonowej w Petersburgu, a niedawno wysłał p. Yon dwa kompletnie wyekwipowane balony wojenne do Chin, zamówione przez rząd niebieskiego państwa. Anglia ma swój własny zakład aerostacyi wojskowej w *Chatam*. Rządy holenderski i belgijski zamówiły świeżo aerostaty wojenne u pana Lachambre aeronauty w Paryżu i nawet odbyły się już próby tychże w Antwerpii pod dyrekcją p. Lhosta. Austria podobno także nie zostaje w tyle za innemi państwami, a Dania wysłała niedawno oficera od inżynierii do Paryża w celu szczegółowych studyów w tym przedmiocie. Niemcy także studyują bardzo pilnie nadpowietrzną strategią, lecz podobno nie zaprowadzono tam jeszcze oficjalnie balonów na uwięzi we wszystkich korpusach armii, zato

sztab niemiecki podobno zajmuje się przedewszystkiem sposobami bombardowania balonów w powietrzu — wolnych lub uwieczionych, i jak twierdzi *La Nature*, według pewnego źródła, robią się już w Berlinie osobne działa przeznaczone do trafiania balonów w lot w znacznych wysokościach. Dotąd teatrem wojny bywały same tylko lądy i morza, niebawem zaś prócz tego możemy być świadkami pierwszych zapasów flot nadpowietrznych i podmorskich statków torpedowych, skoro w całej Europie wszystko do tego się przygotowuje, aby wszelkie żywioły ziemi i nieba służyły Marsowi.

Skoro wspomniałem o Marsie, podam najnowsze wiadomości z tego planety. Mars jest obecnie ulubionym przedmiotem pilnych obserwacji wielu astronomów, należy mu się to jako z planet najbliższemu sąsiadowi naszej ziemi. Mamy też już dzisiaj geografie Marsa. Gdy pod teleskopem powierzchnia Marsa przedstawia nam stale ciemne i jasne obszary, astronomowie uważają pierwsze za morza, drugie za lądy stałe i ponadawali im nazwy odpowiednie, pożyczone z naszej ziemi, jak: *Hellas, Arabia, Eden, Novissima Thule, Mare Australe, Mare Erythreum, Nilus* etc. Białe przestrzenie na biegunach Marsa, to mniejsze, to większe, każą wnosić, że są to krainy lodów, które czasami topnieją. W atmosferze Marsa cienkiej i przezroczystej, dają się dostrzegać niby chmury przelotne, prądy i cyklony. Oprócz tych prawdopodobnych analogii z naszą ziemią, Mars więcej jeszcze zdaje się mieć ciekawych swoich właściwości. Podczas gdy na ziemi ląd stały zajmuje zaledwie trzecią część całego globu, a rozłożony jest we wielkich kontynentach na obu półkulach, na Marsie prawie równą przestrzeń zajmują lądy, co i morze, które licznymi zatokami i długimi, a prostymi kanałami (najbardziej charakterystyczna właściwość Marsa), tak wszędzie się wciska, iż mapa Marsa podobną jest do planu Wenecyi, gdzie jak wiadomo prawie wszędzie nietylko wodą dopłynąć, lecz i suchą nogą dojść można. Sieć kanałów na Marsie dostrzegł pierwszy *Schiaparelli*, dyrektor obserwatorium astronomicznego w Medyolanie (w r. 1877), i wyrachował, że mają one zwykle około 120 kilometrów szerokości, a niektóre dochodzą do 4.800 kilom. długości. Odkrycie to wywołało długą polemikę między astronomami, aż do r. 1880, w którym *Schiaparelli* w obszernym i bardzo ciekawym memoryale (o 109 str. in 4^o z 6-ma mapami) istnienie

tychże kanałów na Marsie niezbicie miał dowieść. Odtąd nie tylko już wierzone w kanały, lecz i w istnienie mieszkańców na Marsie, których dziełem właśnie te kanały być muszą, niektórzy astronomowie święcie uwierzyli, o czym donosiłem w swoim czasie w jednej z dawniejszych kroniczek moich. Schiaparelli nie poszedł tak daleko, żeby dostrzeżone przez się linie na Marsie, uważał za oczywisty dowód istnienia rozumnych mieszkańców na tej planecie. Jednakże i bez tego zjawisko całej sieci ciemnych linii, na jasnych częściach powierzchni tej gwiazdy nie przestaje być faktem bardzo zajmującym, tem więcej, gdy w ostatnich dwóch latach (1884—86) skonstatował Schiaparelli co do tych linii fakt bardzo zadziwiający, iż się one zdwajają. Obok każdej z tych linii (czy kanałów) w pewnej odległości zarysowuje się z czasem równolegle druga w tym samym kierunku tak, że poprzednie nazwy teraz już obydwom służyć muszą, np. Nilus już ma bliźniaka Nilusa II. I tak powierzchnia Marsa niejako w oczach się zmienia do tego stopnia, iż po kilku latach karta tej planety zupełnie inaczej wyglądać będzie. Schiaparelli wnosi stąd, iż Mars jest obecnie w stadium wielkich katastrof i olbrzymich przeobrażeń geologicznych. Zaś Dr. Terley, znakomity aeorograf w Louvain, przypisuje całe to zjawisko, nazwane przez Schiaparellego „geminacją kanałów“, raczej optycznemu złudzeniu spowodowanemu jakąś specyjalną właściwością przezroczystej, cienkiej warstwy atmosfery Marsowej, przez którą dostrzegane linie czy kanały na powierzchni planety, w skutek łamania się światła, zdwajają się oczom naszym, podobnie jak się to dzieje, gdy patrzymy na cokolwiek przez kryształ Irlandzkiego Spathu. Sam fakt geminacji linii na Marsie zaprzeczyć się nie da, gdyż został stwierdzony licznemi obserwacyami wielu astronomów jak Boedicker, Barton w Irlandyi, Perrotin w Nicei, Green, Knobel, Deming w Londynie etc. i wywołał już swoją literaturę, a Schiaparelli przygotowuje nową jeszcze obszerniejszą pracę o Marsie, w której, jak zapowiada *La Nature*, dochodzi do zadziwiających rezultatów, otwierających nowe horyzonty dla astronomii i fizyki nieba.

Dr. Ignacy Skrochowski.

Sprawy szkolne w Sejmie.

III.

Wniosek ks. Sapiehy w przedmiocie nauki języka niemieckiego w szkołach średnich. — Sprawa ruskiego gimnazjum w Przemyśle. — Utraktwizm polsko-ruski w szkołach średnich.

Ważną dla szkół średnich poruszył sprawę poseł Adam ks. Sapieha, zalecając wezwać Wydział krajowy, iżby w porozumieniu z Radą szkolną krajową postarał się o skuteczniejsze niż obecnie na podstawie ustaw i przepisów obowiązujących przeprowadzenie zasady, aby młodzież nasza szkół średnich władała dokładnie językiem niemieckim w słowie jak w piśmie, jako dla niej w wysokim stopniu potrzebnym. Wnioskodawca nie żądał tedy natychmiastowego merytorycznego załatwienia poruszonej przez siebie sprawy, lecz raczej zarządzenie w tej mierze przedwstępnych badań i zebranie potrzebnego materiału, na podstawie którego będzie mógł Sejm dopiero w przyszłym roku powziąć stosowne uchwały. Nie przesadzamy wyniku tych niejako urzędowych dochodzeń. Zaznaczymy tylko, iż we wniosku swoim wyraził poseł ks. Sapieha przekonanie, istniejące w szerokich kołach naszego społeczeństwa, iż młodzież szkolna mimo znacznej liczby godzin poświęconych nauce języka niemieckiego, po ukończeniu gimnazjum za mało ma wprawy do władania tym językiem w słowie i piśmie, co wobec faktu, iż w Austrii językiem urzędowym władz centralnych i parlamentu jest niemiecki, utrudnia jej karierę w służbie urzędniczej i na polu politycznym. Nie chodzi tu więc wcale o ograniczenie praw języka narodowego, ale raczej o nadanie praktyczniejszego kierunku nauce języka niemieckiego, z pewnem ograniczeniem formalizmu gramatycznego. Że znajomość dokładna ze względów praktycznych, państwowych i cywilizacyjnych jest niewątpliwie konieczną, każdy to zrozumie.

Uznawał tę konieczność i uznaje Sejm, władze szkolne, autonomiczne i rządowe, a wreszcie stwierdził ją referent wniosku ks. Sapiehy w komisji szkolnej prof. Dr. E. Czerkawski, znakomity znawca naszych stosunków szkolnych. Referat posła Czerkawskiego obok wielu cennych uwag i wskazówek, zawiera starannie zestawiony

i rozwinięty pogląd historyczny na przebieg długoletnich usiłowań naszego kraju, aby wszechwładnie panujący w Galicyi język niemiecki jako wykładowy zastąpić polskim. Ta dążność, odpowiadająca historycznej przeszłości naszego kraju i zasadom rzetelnego oświecenia, wymagała długoletnich usilnych zabiegów ze strony reprezentacyi naszej, zanim została wreszcie urzeczywistniona. Sejmy postulatowe od r. 1830 upominały się o prawa dla języka polskiego, a pierwszy ś. p. ks. Henryk Lubomirski zażądał rozleglejszego zastosowania języka narodowego w nauce szkół publicznych. Sejm z r. 1833, idąc za głosem wnioskodawcy, uchwalił w jego duchu przedstawienie do tronu, lecz pierwszy krok ten pozostał bez skutku. W r. 1842 zaniósł stany w adresie do tronu na nowo prośbę o uwzględnienie mowy polskiej, tak w szkołach ludowych jako też i wyższych. W odpowiedzi oznajmiono im, iż załatwienie sprawy ćwiczenia młodzieży przez profesorów humaniorów w stylu polskim odroczone, aż do nowej organizacyi gimnazyów, wówczas projektowanej. Dopiero od r. 1848 poczyną się i dla naszego kraju nowy okres bardziej pożądaných na polu szkolnictwa reform. Idea narodowości zdobyła sobie uznanie i stała się hasłem dążeń do reorganizacyi zarządu i wychowania na podstawie narodowej. W tym duchu ułożone były instrukcye, jakie wyjednał sobie i otrzymał nowo mianowany gubernator Galicyi ś. p. Wacław Zaleski, gdy miał objąć zarząd kraju. Przybywszy do Lwowa zajął się ich wykonaniem a przede wszystkim zaprowadzeniem dla szkół języka polskiego. Liczebna przewaga nauczycieli — jak pisze pan Czerkawski w swym referacie — nie władających tym językiem, utrudniła dzieło i nie dozwoliła mu na razie dojść dalej, jak do pewnego przypadkowego utrakwizmu polsko-niemieckiego. Stosownie do znajdujących się w zakładzie sił nauczycielskich, podawano naukę niektórych przedmiotów po polsku, innych po niemiecku. Wkrótce jednak całą organizację przerwały zamieszki polityczne, otwierając wstęp reakcyi, połączonej z usiłowaniami do przywrócenia o ile możności dawniejszych stosunków. Jakoż po odwołaniu wspomnianego gubernatora, rzeczywiście na żądanie głównej Rady ruskiej we Lwowie, przywrócono w szkołach średnich wschodniej części kraju dla wszystkich przedmiotów z wyjątkiem religii, niemiecki język, jako wykładowy, — jak twierdzono, aż do chwili, kiedy się ruski język

okaże zdolnym zająć jego miejsce. Co do części zachodniej pozostawiono wprawdzie stworzony świeżo system, z możliwością zmian co do języka wykładowego w pojedynczych przedmiotach nauki według uzdolnienia nauczycieli, chociaż nie tajono obawy, że się przez usunięcie języka niemieckiego z jego poprzedniego stanowiska w szkołach spowodzi skutki szkodliwe dla centralizacyjnego ustroju państwa. Mimo to reskrypt ministerjalny z r. 1850 utrwalił faktyczne stosunki, zakreślając tylko granice, w których język niemiecki i nadal miał stale pozostać wykładowym. Nadto przyzwalał, na zaprowadzenie obok gimnazjum niemieckiego we Lwowie równoległych niższych klas polskich, jako zawiązku nowego gimnazjum z organizacją, jaką otrzymały właśnie gimnazya zachodnie. I w istocie z tych paralelek powstało w r. 1858 gimnazjum Fr. Józefa.

Wydany w r. 1849 „Projekt organizacyi gimnazyów austriackich“ usiłował oprzeć całą edukację średnią na języku rodowitym, który miał być oraz wykładowym: dla kraju z ludnością mieszaną dopuszczał dwoistość lub nawet troistość języka wykładowego. Wszelako wśród zwrotów w prądach politycznych, jakie potem nastąpiły, myśl ta nie weszła rychło w wykonanie. Już bowiem reskryptem z r. 1854 zapewniono znowu przewagę w nauce językowi niemieckiemu. Reskrypt ten wywołał powszechne niezadowolnienie w prowincyach niemieckich, wskutek czego na mocy rezolucyi monarszej wydano w r. 1859 inne rozporządzenie, zastrzegające językowi niemieckiemu tylko tyle wyjątkowego stanowiska, iż miał przez wszystkie klasy pozostać przedmiotem nauki obowiązkowej dla wszystkich uczniów. Rząd ówczesny nie chciał się jednak wprost zastosować do tego rozporządzenia, co spowodowało zasłużonego reprezentanta Galicyi ś. p. Maurycego Kraińskiego do podniesienia tej sprawy we „wzmocnionej Radzie państwa“. Głos jego miał ten skutek, iż z rozkazu korony posłano do Wiednia komisję, celem wskazania najodpowiedniejszych sposobów wykonania pomienionego reskryptu. Lecz po ustąpieniu ówczesnego ministra stanu ś. p. Agenora Goluchowskiego, zaszły zmiany w składzie i programie centralnego rządu, i — uchwały komisyi nie weszły w wykonanie.

Dopiero w r. 1866, na wniosek ś. p. Adama hr. Potockiego, przystąpił Sejm do uporządkowania sprawy języka wykładowego

w szkołach średnich i ludowych. W uchwalonej wówczas ustawie, która otrzymała d. 22 czerwca 1867 r. sankcyę monarszą, występuje zasada, że językiem wykładowym w pomienionych szkołach jest język narodowy. Z wprowadzeniem jednak języka ojczystego jako wykładowego otoczono język niemiecki należytą opieką. W naszym kraju pozostał on jeszcze językiem wykładowym w II. gimnazyum we Lwowie i w gimnazyum w Brodach, we wszystkich klasach szkół średnich jest przedmiotem obowiązkowej nauki, a przy egzaminie dojrzałości wymaga się w zasadzie od abiturjentów dostatecznej biegłości w używaniu tegoż języka. Na naukę języka niemieckiego przeznaczono 35 godzin tygodniowo i ustanowiono osobną posadę etatową dla nauczycieli tegoż języka.

Mimo to jednak faktem jest, iż podnoszą się nieustannie ze sfer poważnych skargi, że uczniowie w niemieckim nie robią dostatecznych postępów. Wyrazem tej opinii o nauce języka niemieckiego jest właśnie wniosek ks. Sapięhy, który nie bada powodów złego, nie podaje środków na jego uchylenie, lecz konstatuje fakt, iż praktyka nauczania tego języka jest wadliwą i potrzebuje koniecznie naprawy. Książę żąda tedy lepszego i skuteczniejszego wykonywania obecnej ustawy co do nauki języka niemieckiego, a żądanie swoje uważa za rzecz wskazaną ze stanowiska narodowego polskiego, gdyż „na wszystkich polach powinniśmy dowodzić, że bierzemy udział w pracach cywilizacyjnych“. Jest to rzeczą naszego honoru, abyśmy język niemiecki znali dobrze. Jest to koniecznem, ze względu na naszą młodzież, której na samą Galicyę ograniczać przecież nie będziemy. Dziś, gdy kraj się zajmuje przemysłem, jest to tem bardziej potrzebnem. Młodzież szukać musi poza granicą dalszego wykształcenia. Zajmujemy w monarchii austryackiej stanowisko niepoślednie, musimy mieć ludzi w naszej reprezentacyi w Wiedniu, którzyby władali językiem niemieckim z zupełną swobodą. Młodzież nasza i w tym kierunku powinna naprzód postępować. Nie chcę szowinizmu w idei autonomicznej, aby nie wyznawać, że w armii jeden język tylko być musi, a jeżeli tak, to młodzież nasza mówić musi po niemiecku“.

Z tych pobudek, zresztą zupełnie słusznych, wychodził ks. Sapięha w umotywowaniu swego wniosku, który Sejm przekazał do zbadania Wydziałowi krajowemu, w porozumieniu z Radą szkolną.

Badanie to będzie miało przedewszystkiem na celu sprawdzić, czy pojawiające się skargi na niedostateczny postęp naszej młodzieży szkół średnich w języku niemieckim są uzasadnione. Jeżeli zaś w istocie z przeprowadzonego w tej mierze badania okaże się, że nasza młodzież czyni w tym języku niedostateczne postępy, natenczas zadaniem wyżej wymienionych magistratur będzie obmyślenie środków, z pomocą których podnieść by go można do pożądaney wysokości. Naturalnie dokonać się to ma w obrębie obowiązujących ustaw i bez ich naruszenia lub zmiany przez ściślejsze tylko i umiejętne ich wykonanie. Nie przesądzając rezultatu tych badań, mniemamy, że obmyślenie środków, mogących skuteczniej poprzeć naukę języka niemieckiego w szkołach średnich, będzie rzeczą bardzo trudną. Pomnożenie liczby godzin wykładowych dla nauki języka niemieckiego nie mogłoby już nastąpić bez znacznego uszczerbku dla innych przedmiotów i nie przyniosłoby praktycznych owoców. Myślano tedy już dawniej o zastosowaniu języka niemieckiego jako wykładowego do jednego lub dwóch przedmiotów nauki. Koła fachowe potępiają ten środek ze stanowiska pedagogicznego: nauka tych przedmiotów straciłaby swą wartość, zniżyłaby się po prostu tylko do poziomu ćwiczeń w języku niemieckim i mogłaby nawet w dalszem następstwie wywołać usiłowania skierowane ku rozszerzeniu języka niemieckiego na resztę przedmiotów i zupełnemu wyrugowaniu języka narodowego. Słusznie powiedziano, iż łatwo to wyprzeć język polski z wykładu w szkołach średnich, ale wyłom raz uczyniony nie da się może już nigdy naprawić, nawet skoroby raz wprowadzona innowacya stała się bezskuteczną.

Jakżeż więc zaradzić złemu? Otóż w tym zasadniczym punkcie zdania są podzielone, czy szkoła może w ogóle osiągnąć ten cel, aby młodzież nasza władała językiem niemieckim z zupełną swobodą. W kołach fachowych zwracają na to uwagę, iż nawet dawniej, kiedy język niemiecki był wykładowym, nie osiągnano tego celu. I wtedy uczeń nabywał wprawy w mówieniu li w zakresie języka książkowego i pojęć objętych programem szkolnym, a w uniwersytecie i w życiu poznawał się dopiero z językiem naukowym swego przyszłego zawodu; język w zakresie parlamentarnym, urzędowym i przemysłowym był dla niego tak obcym, jak

i obecnie. Stąd też w *Muzeum*, organie Towarzystw nauczycieli szkół wyższych podniesiono zasadę, iż dzisiejsza nauka języka niemieckiego musi sobie skromniejszy zakreslić cel, musi dążyć tylko do tego, by uczeń nabył gruntownej wiedzy gramatycznej i zdołał się wysłowić w zakresie literackim tudzież przedmiotów w szkołach średnich wykładanych. Dalszą sprawę musi szkoła pozostawić pracy swych wychowanków w późniejszych studiach. Zdaniu temu nie można odmówić pewnej słuszności; ale zachodzi pytanie, czy młodzież po złożeniu egzaminu dojrzałości posiada powyżej wskazany zasób wiedzy niemieckiego języka i czy słuchanie wykładów niemieckich w uniwersytetach zagranicznych nie sprawi jej trudności? Nadto trudno w istocie zrozumieć, dla czego uczeń, ucząc się niemieckiego przez ośm lat w przecięciu po 5 godzin tygodniowo w szkole, nie może niem biegle władać po ukończeniu gimnazjum. Zdaniem naszym, głównym powodem tego ujemnego rezultatu jest metoda nauczania, kładąca nacisk na gramatyczne formuły i reguły, a za mało uwzględniająca kierunek praktyczny, polegający na ciągłej konwersacji i ćwiczeniach językowych. W tym duchu praktycznym potrzebaby opracować instrukcję dla nauki języka niemieckiego, którejby się trzymać powinni nauczyciele i wypadłoby ułożyć podręczniki szkolne, w którychby nauka tego języka systematycznie była przeprowadzona. Wtedy nauce tej nadanoby jednolity kierunek, utrzymywany nawet przy zmianie nauczyciela, wtedy mieliby nauczyciele utartą drogę postępowania: jedni nie przeciążaliby uczniów zbyt formalizmem gramatycznym a inni ograniczyliby do właściwej miary estetyczne i filozoficzne rozumowania przy rozbiórce utworów literackich. Lecz na nic się nie zda ani dobra instrukcja, ani dobre książki, jeśli nie będzie dobrych nauczycieli. I tu może leży najdrażliwszy punkt tej całej kwestyi. Kto ma uczyć języka niemieckiego, ten musi przedewszystkiem sam biegle tym językiem władać. A czy tak jest u nas? Znający dobrze nasze stosunki szkolne z pewnością tego pytania nie potwierdzą. U nas nawet znaczna część nauczycieli, specjalnie do nauki języka niemieckiego ukwalifikowanych, nie posiada doskonałej w tym języku biegłości, a tacy nauczyciele muszą naturalnie bacznie unikać wszelkiej swobodnej z uczniami konwersacji i oni to przenoszą punkt ciężkości nauki za gramatyczne reguły, a w wy-

kładzie z roku na rok trzymają się utartych szablonów. Stosunki te przedstawiają się jeszcze w gorszym świetle, skoro zważymy, że w gimnazyum z reguły tylko jeden nauczyciel posiada zupełną do języka niemieckiego kwalifikację; całe nauki nie może on objąć w zakładzie, a przeto szczególnie w niższych klasach udzielają tego przedmiotu inni nauczyciele, nieukwalifikowani potemu, od których ani dobrej metody, ani dostatecznej biegłości w używaniu języka wymagać nie podobna. Jeżeli przeto nauka w praktyce ma skuteczniejsze wydać owoce, to należy przede wszystkim kandydatom na nauczycieli tego języka dać możliwość biegłego przyswojenia sobie tego języka. Biegłości takiej nabyć oni mogą tylko tam, gdzie są zmuszeni na uniwersytecie słuchać wyłącznie niemieckich wykładów i w życiu towarzyskiem przeważnie języka niemieckiego używać. A więc za granicą. Popieramy tedy najzupełniej myśl, aby kandydatom na nauczycieli języka niemieckiego za pomocą stypendyów ułatwiano kształcenie się w uniwersytetach niemieckich, a nawet aby już ukwalifikowanym nauczycielom umożliwiono od czasu do czasu pobyt w prowincjach niemieckich, choćby tylko przez wakacje, albowiem i oni, nie mając sposobności do codziennego używania języka, tracą biegłość w mowie potocznej. O ile nam wiadomo p. minister oświadczył nawet gotowość udzielania w miarę funduszków kandydatom stanu nauczycielskiego stypendyów po 400 złr. na kształcenie się w uniwersytecie wiedeńskim, na nauczycieli języka niemieckiego. Z tej gotowości podobno w kraju naszym nikt dotąd nie korzystał. Należałoby więc tę okoliczność wyzyskać i postarać się o znaczniejsze na ten cel fundusze, bo nie ulega wątpliwości, że im więcej posiędziemy należycie ukwalifikowanych w tym kierunku sił nauczycielskich, tem lepsze rezultaty osiągnie nauka języka niemieckiego w szkole.

Do zakresu spraw poruszonych na tegorocznej sesji sejmowej, a dotyczących szkół średnich, należy dalej wniosek posła Romańczuka, domagający się założenia ruskiego gimnazyum w Przemyślu. Przedmiot ten był już omawiany w Sejmie w roku zeszłym. Wówczas to bowiem wystąpił Wydział krajowy z tym samym wnioskiem. Sejmowa komisja szkolna nie przystąpiła jednak do tego wniosku w zupełności dla tego, że Rada powiatowa prze-

myska, zapytana przez Wydział krajowy, oświadczyła się przeciw mnożeniu gimnazyów i że uważano, iż miasto położone na samym krańcu ludności ruskiej mniej jest na siedzibę ruskiego gimnazjum właściwe aniżeli inne, leżące w głębi kraju przez tę ludność zamieszkałego. Komisya tedy wnosila wówczas ogólnie, aby wezwać rząd do założenia nowego gimnazjum, w któremby mógł być zaprowadzonym język wykładowy ruski. W Sejmie i ten wniosek nie znalazł większości; nie utrzymał się także wniosek posła Bobrzyńskiego, aby w czterech niższych klasach przemyskiego gimnazjum zaprowadzono klasy równorzędne, z językiem wykładowym ruskim. Tego roku ponowił poseł Romańczuk swój wniosek, a okoliczności ułożyły się dla tej sprawy o tyle pomyślniej, że reprezentant rządu radca szkolny Czarkowski oświadczył, iż rząd gotów jest założyć w Przemyśle drugie gimnazjum z językiem wykładowym ruskim, a sejmowa komisya szkolna, której referentem był rektor St. hr. Tarnowski, zaproponowała bez żadnych zastrzeżeń założenie tegoż gimnazjum. Sejm jednak i tym razem nie przyjął wniosku komisji, lecz zgodził się tylko na zaprowadzenie w miarę potrzeby klas równoległych z językiem wykładowym ruskim w gimnazjum przemyskiem.

Wyznać musimy otwarcie, że jeżeli już uznano zasadę czy potrzebę szerzenia języka ruskiego jako wykładowego, to pomijając już interesa polityczne, względy pedagogiczne i dydaktyczne przemawiały stosownie za założeniem osobnego gimnazjum ruskiego. Klasy równorzędne w gimnazyach są w ogóle tylko *malum necessarium*; im więcej ich posiada zakład, tem trudniej spełniać może swoje funkcyje. Dyrektor, obciążony czynnościami kancelaryjnymi, nie może rozciągnąć nad całą nauką należytej kontroli, a odpowiedni rozkład przedmiotów między nauczycieli ukwalifikowanych jest utrudniony, a nawet uniemożliwiony. Ze wszystkich gimnazyów po miastach powiatowych, przemyskie jest najliczniejsze, a przeto od wielu już lat klasy równorzędne nie były tam przemijającą lecz stałą instytucją, na czem naturalnie prawidłowy tok nauki cierpieć musi. Przez założenie osobnego ruskiego gimnazjum, mogłoby tedy o wiele lepiej funkcyonować gimnazjum polskie, pozbawione paralelek. W myśl zaś ustawy sejmowej paralelki te nie tylko pozostaną, ale nadto w zakładzie tym stosunki staną się jeszcze trudniejszymi,

skoro w tych paralelkach zapanuje dwojaki język wykładowy, skoro nauczyciel w jednej klasie wyklądać będzie po polsku, a w innej po rusku, lub co gorsza, jeśli uczeń w pierwszym roku uczył się po rusku, a w następnym musi podjąć naukę w języku wykładowym polskim, bo w pewnej klasie dla braku dostatecznej liczby uczniów ruskich może nie być utworzoną paralelka ruska. Nie sądzimy wreszcie, aby ten rozdział na klasy ruskie i polskie przyczynił się do utrzymania dobrych stosunków koleżeńskich między uczniami, owszem z odrębności klasowej na różnym języku opartej, może się wytworzyć pewna zawistna odrębność narodowościowa, która zdolna zamącić tak pożądaną zgodę i karność w zakładzie całym.

Przytoczywszy momenta, przemawiające za utworzeniem osobnego gimnazjum ruskiego, nie możemy jednak z drugiej strony zaprzeczyć, że i Sejm, uchwalając tylko paralelki ruskie, powodował się także względami ważnemi. Liczył się on przedewszystkiem z opinią Rady powiatowej przemyskiej, która się stanowczo oświadczyła przeciw założeniu gimnazjum ruskiego, a nadto miał powód do powątpiewania, czy nowe gimnazjum ruskie będzie miało dostateczną frekwencyę. Obecnie na ogół 729 uczniów liczy gimnazjum przemyskie 210 Rusinów; ta liczba uczniów nie jest zupełnie wystarczającą dla zapełnienia całego gimnazjum, a któż to wie, czy wszyscy Rusini zechcą naukę pobierać w języku ruskim. Dziśniejszy stan faktyczny wykazuje w gimnazjum przemyskiem tylko w trzech niższych klasach i w klasie siódmej taką liczbę uczniów ruskich, że dla nich osobne klasy utworzyćby można; w innych klasach frekwencya uczniów ruskich jest dość słabą. Wobec tego zbudzić się mogła w istocie wątpliwość w potrzebę zakładania gimnazjum odrębnego, któremu nie można rokować dostatecznej frekwencyi. Sejm więc nie chciał w tej sprawie postąpić porywczo, chciał praktycznie wypróbować rzeczywistą potrzebę wykładow w języku ruskim, chciał się przekonać, czy liczba uczniów ruskich będzie wystarczającą dla zapełnienia osobnego gimnazjum. W zasadzie tedy nie sprzeciwił się Sejm rozszerzeniu języka ruskiego, jako wykładowego, owszem uchwalając paralelki ruskie, musiał być na to przygotowanym, iż jeśli język ruski w tych paralelkach się utrzyma i jeśli liczba uczniów ruskich w nich nie spadnie, wówczas te pa-

ralelki staną się z konieczności zawiązkiem nowego gimnazjum ruskiego.

Niesłusznie też postępują organa ruskie, jeśli w uchwale Sejmu dopatrują się pewnej zasadniczej nieżyczliwości dla narodowości ruskiej. Wyrazem nieżyczliwości byłoby odrzucenie wniosku posła Romańczuka, nie zaś faktyczne, choć powolne wprowadzanie go w życie. Tylko względy praktyczne i stosunki faktyczne, nie zaś jakaś niechęć lub uprzedzenie narodowościowe wpłynęły na to, iż Sejm z pewnem ograniczeniem przychylił się do żądań p. Romańczuka, popartych tak spokojną, poważną i pojednawczą mową ks. biskupa Pełesza, do której i poseł Stanisław hr. Tarnowski nawiązał w obronie wniosku ruskiego myśli piękne i pełne życzliwości dla wzajemnego porozumienia się. Ustawa o paralelkach nie jest zwyczajną odprawą, ale owszem przychylną odpowiedzią ze strony polskiej na głosy ruskie, domagające się czynnego objawu życzliwości dla narodowości ruskiej. Tak przedstawił ją też najwyższy dostojnik autonomiczny, marszałek hr. Jan Tarnowski, stwierdzając, iż jest ona uwzględnieniem życzeń, wyrażonych przez posłów ruskich i stać się powinna krokiem do coraz lepszego wzajemnego porozumienia.

Na tej też tylko drodze może się już obecnie ścieśniać, ożywiać i potęgować dalsze porozumienie, skoro myśl nowa a zasadnicza, poruszona na poprzedniej sesji przez posła Małeckiego, a wprowadzająca dwoistość języka wykładowego w szkołach średnich, nie znalazła w kompetentnych sferach przychylnego przyjęcia. Pomieniony wniosek posła Małeckiego, żądający stopniowego wprowadzania w niektórych szkołach średnich wschodniej części naszego kraju wykładów niektórych przedmiotów wyłącznie w języku ruskim, przedłożony został do bliższego zbadania Wydziałowi krajowemu, który też zasięgnął w tej mierze opinii Akademii umiejętności, obu uniwersytetów krajowych, Rady szkolnej i Towarzystw nauczycieli szkół wyższych. Wszystkie te instytucje, jak już wzmiankowaliśmy, oświadczyły się przeciw wprowadzeniu dwoistości języka wykładowego w szkołach średnich. Opinie tych kół naukowych i fachowych są sumiennie i wszechstronnie uzasadnione, ale łatwo zrozumieć, że motyw w opiniach tych przywiedzione po większej części się powtarzają, a przeto uważamy za

najstosowniejsze ze wszystkich ogółem przytoczyć najważniejsze momenta, jakie przeciw pomysłowi posła Małeckiego podniesiono.

Instytucye wzwyż wymienione uznają przede wszystkim zgodnie, iż pierwszą zasadą prawidłowości w ustroju szkół średnich jest udzielanie nauk w języku ojczystym. Taka bowiem nauka wpływa skutecznie na rozwój umysłu i uzacnienie charakteru, a tem trwalsze wydać musi plony, im głębiej w umysł i serce zapuścić zdoła korzenie; przeciwnie wiedza, osiągnana z pomocą języka cudzego, niedostatecznie znanego, nie znajdując podpory w dokładnej świadomości rzeczy, musi być niejasną, niepewną, powierzchowną, ulotną, słowem — pozbawioną wszelkich warunków, które przyczyniają się do wykształcenia rozumu i serca. W takim razie i umysł, nie mogąc sił swoich pokrzepić w zasobach istotnej wiedzy, nie mogąc dostarczonych wiadomości spożytkować na wzmocnienie charakteru, musi stopniowo rozstrajać się, wąteć i tępieć. Wyłączne tedy używanie języka ojczystego, jako wykładowego, jest tak niezbędnym warunkiem powodzenia nauki szkolnej, że wszelki wyłom w jego prawach uznać należy stanowczo za rzecz dla szkoły wielce szkodliwą i niebezpieczną.

Zresztą utrakwizm polsko-ruski mieściłby w sobie wielką niedogodność nawet dla samego języka ruskiego, który znajduje się w stanie kształcenia, a przeto, nie może być tak zasobnym, aby zgół nie nie ucierpiał postęp myśli i wiedzy uczniów, niewolonych do pobierania nauki w tym języku. Bez wszelkiej ujemy dla bogaetwa, jakiego językowi ruskiemu odmówić nie można, niepodobna zaprzeczyć, że brak może dotychczas dostatecznego ustalenia, zarówno pod względem form jak i w zasobie wyrazów, brak mu jeszcze utartej tradycyi literackiej, która w korzystnem używaniu jakiegoś języka jako wykładowego jest tak ważnym czynnikiem dydaktycznym. Młoda literatura ruska — pisze w swej opinii Uniwersytet Jagielloński — rozwijająca się pod wpływem świeżego narodowego rozbudzenia, nie wytworzyła dotąd wzorów, któreby zdołały wywrzeć wpływ stanowczy na takie ustalenie form i materiału językowego, a pomniki starej literatury przedmiotem swym zbyt odbijają od zakresu potrzeb umysłowych bieżącej chwili, aby mogły w szerszym rozmiarze zadaniu temu zadość uczynić. Jak więc języki klasyczne, skutkiem swego doskonałego wykończenia, uważane są słusznie za tak potężną dźwignię gimnastyki umysłowej, jak z tego powodu łacina

mogła przez długie wieki spełniać z pożytkiem funkcję języka szkolnego, tak znów wprowadzenie języka ruskiego jako wykładowego, byłoby wobec uczniów narodowości polskiej ciężkim błędem dydaktycznym, utrudniającym niesłychanie postęp w przedmiotach, w tym języku wykładanych, krępującym w ogóle całą szkołę w jej właściwem zadaniu. A więc niestosowną i niedozwoloną byłaby wszelka ofiara, składająca nieobliczony w następstwach swych ciężar na barki młodzieży szkolnej, tego zawiązku przyszłego pokolenia.

Praktyczne przeprowadzenie wniosku posła Małeckiego uważa Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych, w obecnych stosunkach, za niemożliwe. Nauka niektórych przedmiotów mogła by się bowiem odbywać w języku ruskim, pod tym tylko warunkiem gdyby uczniowie, wstępujący do szkół średnich, w tym języku nie tylko płynnie czytać i poprawnie pisać umieli, lecz zarazem taką jego znajomość posiadali, iżby zrozumienie wyrazownictwa naukowego żadnych nie sprawiało im trudności. Przygotowanie jednak, jakie terazniejsza młodzież ze szkół ludowych wynosi w języku ruskim, w żadnym względzie nie czyni zadość powyższym wymaganiom, a przeto zaprowadzenie języka ruskiego do wykładu niektórych przedmiotów w szkołach średnich wymagałoby przede wszystkim przeobrażenia szkół ludowych. Nadto z chwilą, w której język ruski otrzymałby prawa drugiego języka wykładowego, musiałby się zarazem stać przedmiotem obowiązkowej nauki dla wszystkich uczniów i otrzymać odpowiednią ilość godzin szkolnych w planie lekcyjnym. Wskutek tego wzrosłaby w gimnazyach liczba godzin do 251 (z pięciu językami), w szkołach realnych podskoczyłaby do 240 (bez języka francuskiego), czyli innemi słowy: nasze szkoły średnie stałyby się unikatami w całej monarchii, bo nawet w gimnazjum włoskiem w Rieccie, gdzie uczą języka węgierskiego i niemieckiego, liczba godzin wykładowych dochodzi tylko do 233, podczas gdy w gimnazyach niemieckich wynosi 194, a w czeskich tylko 192. Przez takie równouprawnienie języków powiększyłaby się nad miarę i szkolna i domowa praca uczniów nie tylko wskutek wymagań w języku ruskim, jako osobnym przedmiocie nauki, ale także wskutek niewątpliwego utrudnienia tych przedmiotów, któreby po rusku były wykładane.

Akademia Umiejętności dostrzega zasadniczą trudność w rozdzieleniu tych przedmiotów, które miałyby być wykładane w języku

ruskim, a Rada szkolna podnosi przeciw wnioskowi posła Małeckiego objekeye prawne (niezgodność z postanowieniem art. 19 ustawy zasadniczej państwa o ogólnych prawach obywateli państwa) i ze stanowiska pedagogicznego nie tai obawy, iż tak przymusowo nałożony środek zbliżenia młodzieży szkolnej polskiej i ruskiej, zamiast doprowadzić do zamierzonego skutku, sprowadziłyby mógł następstwa wprost przeciwnie. Przymus taki bowiem, jak w ogóle każdy przymus, nie uchylałby uprzedzeń i niechęci tam, gdzieby one istniały, lecz mógłby je łatwo jeszcze podniecić i rozwinąć.

Wydział krajowy, przyłączając się w zupełności do powyżej wymienionych opinij, wniósł przejście do porządku dziennego nad projektem posła Małeckiego. Sprawozdanie Wydziału krajowego przekazano do zbadania komisji szkolnej, lecz ta wniosków swoich w tej mierze wcale nie przedłożyła, bo sam poseł Małeckie uznał za właściwe „na razie“ odstąpić od swoich projektów.

M. Chyliński.

List okólny prezesa Rady wyższej Tow. św. Wincentego à Paulo do wszystkich konferencyj w Krakowie i w Galicyi.

Szanowni Panowie i kochani Bracia!

Gdy przed półrokiem J. E. Paweł Popiel zawiadomił wszystkie konferencye naszego Towarzystwa o swym zamiarze uchylenia się od jego kierownictwa, w modlitwach, do których wzywał wszystkich Braci, powtarzała się niewątpliwie ta sama intencya, aby nasz ukochany prezes od tego zamiaru odstąpił. Za młodu zbliżony do tych znakomitych mężów we Francyi, którzy dali początek Towarzystwu św. Wincentego à Paulo, a w całym życiu stwierdzając wiernie i gorliwie czynem, piórem, przykładem, zasady, które nas jednoczą, odznaczając się zwłaszcza tą szczytną miłością Boga, z której jedynie płynąć może skuteczne miłosierdzie dla biednych, a wyrozumiałość dla Braci, aby ich w cnotach, prawdzie i ofiarności zagrzewać i udoskonalać — p. Paweł Popiel swem przewodnictwem chlubnie zaznaczył rozkrzewienie się Towarzystwa św. Wincentego w naszym kraju. Dla wielu sama powaga i urok tego

imienia, na tyłu polach zasłużonego, była przynęta i bodźcem. Niestety, zamiar zamienił się w niezmiennie postanowienie. Było snąc wolą Bożą, aby Towarzystwo nasze przebyło tę próbę, a tracąc tak zaszczytne przewodnictwo, Konferencye i Bracia dowiedli wytrwałości, szszeregowali się tem silniej, rozwinęli tem większą gorliwość, im w słabsze i mniej znane ręce przechodzi ster.

Z szeregu powołany za wolą czcigodnego poprzednika i według zdania niektórych konferencyj, w poczuciu mnogich niedostatków oraz przy nadmiarze zajęć, czerpię otuchę w tem, że modlitwy Braci, jak poprzedziły ten wybór, tak popierać będą dalsze usiłowania ku rozkrzewieniu dzieła, które, jeśli gdzie, to w naszym kraju i społeczeństwie tak rozliczną dotkniętym nędzą, ma szerokie przed sobą pole działania.

Pozwólcie Bracia, że z kilkunastoletniej praktyki Towarzystwa naszego poruszę tu kilka uwag o tem, co jego rozwój popierać może, tudzież o tem, co często osłabia naszą gorliwość.

O samym celu i wzniosłych zasadach zbyteczna mówić: wszak każdy z Was zna i znać powinien „Przewodnik“ Towarzystwa. Wiadomo wszystkim, z jak drobnych zawiązków przed półwiekiem powstało, jak bujnie rozrosło się na obu półkulach, gdzie tylko życie katolickie kwitnie. Jedna to z najpiękniejszych latorośli wyrosłych z pnia Kościoła w XIX. wieku. Życie wiary, cnota miłosierdzia manifestowała się w każdym stuleciu odpowiednio do jego moralnych i materyalnych potrzeb. I w przeszłości naszego narodu zasiadali spolem dostojni i możni z niższymi i maluczkimi w licznych bractwach, a choć ustrój społeczny był bardziej, niż dziś, hierarchicznie podzielony, żywsza wiara wskazując ciągle życie pozagrobowe, chroniła jednych od wyniosłości — słodziła dolę tym, którym w udziale przypadła zależność, niedola, ubóstwo.

Dziś przedziały społeczne wszędzie się zmniejszyły, a przeciwnieństwa wzmogły się w walkę niekiedy pełną nienawiści, tam właśnie, gdzie osłabła miłość Boga i nieodłączna od niej miłość bliźniego. Bezsilną okazuje się filantropia, a wszelkie teorye braterstwa i równości praw prowadzą tylko do coraz zawziętszej walki, nazwanej już walką o byt. Ożywić cnotę miłosierdzia, wdrożyć w praktyki religijne, prowadzić zamożniejszych do tych miejsc gdzie się gnieździ nędza, wstrzymywać namiętność użycia przez poznanie

ubóstwa, uśmierzać zawiść nędzarzy przez czynne dowody miłości chrześcijańskiej — oto cel szczytny, przewodnia myśl naszej instytucji.

Dlaczego ona tak zwolna rozwija się w naszym kraju, w porównaniu do innych? Wszak nędzy u nas nie brak, a żywsze niż gdzieindziej tkwią uczucia religijne; ofiarność i miłosierdzie jest cnotą polską. Lecz lenistwo naszego ducha nie lubi drobnych środków, a nasze Towarzystwo ma skromny zakres, nie gromadzi kapitałów, dzieli się okruciami. Stąd często bywa u nas lekceważone. Nieraz zdarzało mi się słyszeć tego rodzaju zarzuty od osób obliczających wszystko na cyfry i sumy. Prawda, my nie mamy żadnych zasobów i stałych dochodów: budżet Towarzystwa wynosi na miasto Kraków zaledwie 8.900 złr. rocznie, na całą Galicyę 20.000. Skromna to kwota w porównaniu do innych instytucyj. Członkowie Towarzystwa obowiązani są przede wszystkim do składek tajnych, które według stanu i możności powinny być głównem źródłem dochodu. Natomiast jednym z najtrudniejszych, ale i najpiękniejszych obowiązków członka naszego Towarzystwa jest to, aby ubogich od nałogu i wstydu żebractwa chronić, przez to, że sami za nich i dla nich żebrac mają. W tem właśnie jest akt pokory i akt miłości. Wyciągając rękę o datek dla ubogich, winniśmy mieć podwójną pobudkę: pomoc dla nędzarzy i myśl o intencji dawców. Jałmużna jest jak miecz obosieczny, podwójny jej skutek, jest bowiem zasługą dla jednych, pomocą dla drugich. Nie cofajmy się przed tem przykre m częstokroć zadaniem, aby być pośrednikami dobrego uczynku.

Skuteczność jałmużny bywa tem większą, im mniej światowe względy ją wywołują, im więcej czystej tylko intencji spływa z datkiem. A więc nie zbierajmy grosza, gdzie popis próżności, lub zabawa pobudką; godziwe są te sposoby pomnażania funduszy, które się łączą z jakimś pożytkiem umysłowym, jak odczyty w chrześcijańskim duchu, a nawet koncerty, wystawy, mogące wywierać korzystny wpływ. Najodpowiedniejszą atoli bywa ofiara i kwesta połączona z aktem religijnym, w czasie nabożeństw, po kazaniach, na cmentarzach w dniu zadusznym, z intencji pobożnych za dusze zmarłych lub też w zebraniach rodzinnych, gdzie datek dla ubogich ma jednać błogosławieństwo Boskie.

Nie lękajmy się tego, że będziemy się wydawać natrętnymi, ani tego, że zbyt szczupłe zbierzemy fundusze, gdy unikamy środków nadużywanych przez światową filantropię. Mamy bowiem sami kapitał, który winniśmy ofiarować ubogim, a tym jest czas. Najskromniejszy datek, najmniejsza pomoc pomnaża się, jeśli bywa popartą gruntownem poznaniem stanu rodziny ubogiej, wniknięciem w przyczyny nędzy, które po większej części bywają moralnej natury — płyną z nałogów, lenistwa, nieradności i lekkomyślności; gdy przeciw tym wadom członek odwiedzający oddziaływać się stara; gdy dozwoli rodzinie wyżalić się a nie szczędzi słów otuchy, w potrzebie łagodnej nagany, lub rady popartej czynnym zachodem. Celem odwiedzającego być winno, aby podaniem ręki dopomódz rodzinie ubogiej, aby znów mogła o własnej stanąć sile. Z wyjątkiem tych wypadków, gdzie starość lub kalectwo na zawsze odejmuje zdolność do pracy, nie tracimy z oka tego celu, a gdy po dłuższem odwiedzaniu przekonamy się, że do niego się nie zbliżamy, że praca nasza jest bezskuteczną, rady i napomnienia padają jak groch o ścianę — wtedy opuścimy rodzinę, aby nam nie zarzucono, że ludzi, mogących pracować, przyzwyczajamy do życia z dobroczynności. Niech datek w bonach na żywność będzie dla nas tylko wstępem do wnętrza rodzin ubogich a znajdziemy w naszej gorliwości z pewnością sposoby ulżenia ich doli, a nawet wydzwignienia ze stanu pauperizmu. Statut nasz nie przepisuje, jak w pokrewnych nam stowarzyszeniach terminu, do jakiego wolno odwiedzać tę samą rodzinę; niechaj roztropność połączona z miłością ubogich, daje tu wskazówkę. Nie krepujemy się w ogóle jakimś szablonem, ale sumienie nam powie, kiedy pomoc nasza i nasze starania odnoszą skutek na stan moralny i materialny odwiedzanych, a kiedy staje się ona tylko jakby obustronnem przyzwyczajaniem bez wyraźnego celu i widocznych korzyści.

Pod tym względem zważać należy zwłaszcza na rodziny obciążone dziećmi, i im dawać pierwszeństwo; członek odwiedzający winien zwracać baczność, czy dzieci rodziców ubogich umieją katechizm, mają dobre w domu przykłady, czy chodzą do szkoły, czy sposobią się do rzemiosł. Wiele rodzin popada w nędzę, przez zbyt liczne rodziców ofiary, aby dzieci do wyższych prowadzić szkół. Jest to objaw społecznej choroby, i dobrych nie rokuje owoców.

Członkowie odwiedzający winni ostrzegać rodziców przed tą niewłaściwą ambicją i zachęcać do kierunków pracy praktycznej, łatwo dającej się uzyskać, bez wysiłen i zbytecznych poświęceń — podobnie jak winni roztoczyć tam starania własne nad działyw i młodziezą, gdzie zaniedbanie ze strony rodziców. Bywają rodziny nędzą rozprószone, które do jednego sprowadzić znów ogniska winno być zadaniem opiekunów ubogich, ale bywają i takie rodziny, w których dla zgorzenia potrzeba wyrwać dzieci od wpływu nałogowych, niemoralnych i przewrotnych rodziców.

Często nasuwa się w naszych naradach pytanie: gdzie znaleźć granicę w zaopatrywaniu ubogich, czy przyjmować wszystkich nędzarzy w mieście, gminie, lub parafii a dla nadmiaru biednych rozrzucać im tylko jałmużnę; czy też ograniczyć i ścieśnić nasze działanie do małej liczby rodzin, jakby tylko na to, aby dla członków utrzymać praktykę cnoty miłosierdzia. Są to dwie ostateczności, wśród których trzeba nam iść drogą pośrednią, ani za ciasną, ani za szeroką. Granicę i kryterium co do ilości rodzin ubogich stanowić winno dla konferencji naszego Towarzystwa, nie tyle stan jej kasy, bo na prawdziwą nędzę Opatrzność nie odmówi środków materialnych, ale liczba gorliwych członków Towarzystwa. Przyjmujemy tyle rodzin ubogich, ile sumiennie i regularnie członkowie konferencji mogą bez zbytniego wysilenia ich zaopatrywać. Oto najlepsza według mego doświadczenia reguła pod tym względem.

Stosunek z ubogimi przyniesie nam samym wiele pożytku, nauki i pociech. Gdy gdzieindziej członek Towarzystwa św. Wincentego à Paulo ma powołanie apostołstwa wśród proletaryatu żyjącego poza Kościołem, bez Sakramentów w stanie pogańskim — w Polsce przeciwnie Bogu dzięki, często zbudować się możemy widokiem żywej wiary i wielkich cnót chrześcijańskich ludu naszego. Lżej nam przychodzi znosić smutki i niedostatki własne, gdy będziemy mieli ciągle przed oczami porównanie nędz i nieszczęść, jakie nas otaczają. Jeśli mniej pola do propagandy zasad chrześcijańskich wśród wierzącego ludu — to niemniej ważne zadanie walki z nałogami tego ludu, z jego lenistwem, niechlujstwem, nieporadnością, pijaństwem. Gdzie znajdziemy schludną izdebkę, lub kąć porządnie umieciony, tam wpływ nasz prędsze rokuje rezultaty — gdzie bród i lachman pokrywa nędzę, tam najczęściej jakiś nałóg jest jej

powodem, a skutek naszego działania wątpliwy, niechaj nas jednak nie odstrasza.

Trzeba zstąpić do piwnic i najciemniejszych zaułków, bo tam spotkamy rodziny nawpół zdziczałe, małżeństwa bezślubne, dzieci nieochrzczone, nie z braku wiary, ale z niedbalstwa i upadku moralnego. W gorliwości naszej atoli unikajmy sąsiedztwa miejsc zepsucia i zgorszenia, aby na siebie nieściągnąć pozoru zbyt dla złego tolerancyi. Będzie to staraniem prezesów Towarzystwa, aby za pośrednictwem starszych członków konferencyi, jak najprędzej wyrwać rodziny ubogich z takiego otoczenia — stałe zaś odwiedzanie w podobnych wypadkach jest niemożliwym.

Towarzystwo św. Wincentego, zbliżając zasobniejszych do ubogich, utrzymuje również ścisłą społeczność między swoimi członkami. Różne stany i wieki gromadzą się tu razem pod wezwaniem naszego wielkiego patrona, a miłość chrześcijańska, która nas łączy, winna przedewszystkiem panować w stosunku wewnętrznym konferencyi.

Jakżeż rażące i sprzeczne z zasadami naszego Towarzystwa bywają wypadki uraz, niechęci, współzawodnictwa, lub braku wzajemnego wyrozumienia w zamianie zdań. Najczęściej, jak wiem to znów z doświadczenia, dają do nich powody częste dyskusye w najlepszej często podejmowane myśli, o poprawki i zmiany w regulaminie i zwyczajach naszego Towarzystwa. Zostawmy takie spory zgromadzeniom parlamentarnym i świeckim stowarzyszeniom. Nasz statut i przewodnik jest sumą zebranych doświadczeń w różnych krajach katolickich — a o ile w ważnych rzeczach od jego przepisów odstępować nam się nie godzi, o tyle nawet w mniejszych nie puszczajmy się na pole prób i innowacyi, zwykle bardzo wątpliwego, często ujemnego skutku.

Bractwem jest nasze Towarzystwo i braterskie uczucia w niem panować winny. Gdy jeden z braci chory lub w smutku, czyliż mu odmówimy tych dowodów miłości, jakie dajemy ubogim — bardziej jeszcze, jeśli słabość jego innej, moralnej natury, jeśli zachwiał się w wierze, osłabł w gorliwości, jeśli pod wpływem wątpliwości lub pokus, czyliż go opuścimy, czyliż nie zaniesiemy mu słowa pociechy, wzmocnienia, w potrzebie napomnienia?... Przedewszystkiem tu jest obowiązek prezesów. Już powiedziałem innym razem, że człon-

kwie towarzystwa winni być sługami ubogich, prezesowie sługami członków. Niech ich dom stoi otworem dla członków, potrzebujących rady i zachęty, niech ich serce roznieca iskrę wiary i miłości w sercach towarzyszy. Towarzystwo św. Wincentego stroniło zawsze i wszędzie od spraw i podziałów politycznych, ale nie tailo nigdy zasad religijnych i moralnych, które stanowią jego podstawę. Tylko wierzący i praktykujący katolik może mieć przystęp do naszych zebrań. A z wiary i praktyk religijnych płyną wszystkie nasze uczucia i nasze zasady. Nie odrazu wszyscy dochodzą do konsekwencji zasad katolickich, ale też w stosunku z młodzieżą, w stosunku z tymi członkami, którzy więcej wystawieni na bałamutne opinie, pożyciem, zespoleniem, ufnością starsi i wytrawniejsi mogą niejedno sprostować zboczenie, lub pobudzić do dojrzalszego poglądu na stosunek prawd bezwzględnych wiary do spraw naszego społeczeństwa i naszego powołania.

Cięży tu jeszcze większy obowiązek propagandy naszego dzieła i jego celów. Nędzy w kraju naszym tak wiele, a nas tak mało. Czyliżby brakowało ludzi dobrej woli, lub dobrej wiary, coby stanęli z nami w szeregu? Nie, lecz lenistwo nasze ścieśnia te szeregi. Niech każdy członek Towarzystwa postawi sobie za zadanie zdobyć choćby jednego nowego członka, każda konferencya niech pomyśli o tem, aby w sąsiedniej parafii dać początek do nowej konferencyi. Lekkomyslnie wprowadzać członków nie należy, trzeba zbadać usposobienia i przekonać się, czy iskra wiary nie zagasła, czy praktyki religijne nie ustały, czy czynna miłość bliźniego tkwi na dnie serca. Lecz nie należy także zbytnią kierować się tu lekliwością. Wszak nasze konferencye są ogniskiem, w którym rozgrzać się winny i chłodniejsze serca.

Wspomniałem powyżej, że należy unikać czczych dyskusyi o zmiany i rzekome ulepszenia w organizacyi naszego Towarzystwa — a jednak żywotność instytucyi winna objawiać się duchem inicjatywy. Mamy do niej szerokie pole w dziełach naszego Towarzystwa. Ileż ważnych spraw, dotyczących naszego zakresu, leży odłożeniem. Czyśmy zorganizowali kasy czynszowe, bezpłatne biblioteki katolickie, szatnie dla ubogich, domy przytułków, tanie kuchnie, ochrony; czyśmy zajrzeli do ogrzewalni — aby te miejsca, gdzie się gnieździ najsroższa nędza, uszlachetnić? Dopiero w tem wszystkim

objawiły się zaledwie początki, a przewodnik wskazuje jeszcze inne zadania: opiekę moralną nad więźniami, domy pracy, przytulki dla wędrownych i t. p. Za długo byłoby wszystkie te myśli rozwijać. Niechaj nasze Towarzystwo w tem mieście i w innnych konferencyach rozrzuconych po kraju postawi sobie za zadanie co roku dać początek jednemu dziełu, zacząć od najprostszych, najbliższych — a starać się przygotować trudniejsze i ważniejsze. W ofiarnem naszym społeczeństwie nie braknie środków, gdy tylko szlachetny wskaże się cel.

Oto kilka myśli, które przy wstępie do zaszczytnej działalności śmiem zwrócić do Was, kochani Bracia, w ufności, że przyjmiecie je z tem uczuciem, z jakiego wypłynęły.

Kraków 20 lutego 1887 r.

Ludwik Dębicki.

Listy z nad Bałtyku.

X.

Wpływ Zachodu na sztukę i rzemiosła w bałtyckich prowincjach. — Późniejsze niefortunne przekształcenia w katedrze ryskiej i kościele św. Piotra. — Katedra św. Dyonizjusza w Dorpacie. — Kościół św. Brygidy. — Spustoszenia barbarzyńskie przez reformacją zarządzane. — Zdania samychże protestantów w tej mierze. — Zachowane zabytki dowodem wielkiego artyzmu; Ołtarz w kościele św. Mikołaja, tryptyk w kościele św. Ducha, Todtentanz w Lubece.

Zanim się kto bliżej przypatrzy i pozna pamiątki, mieszczące się w miastach nadbałtyckich, uderzy go przedewszystkiem znaczna liczba starodawnych kościołów, których odrębny charakter zwykł zastanawiać każdego myślącego wędrowca; dla tego, jak mierniam, bliższe ich poznanie przedstawia pewien interes i dla szerszego koła publiczności naszej, zwłaszcza dla czytelników Zachodniej Polski, do których pono o miastach nadbałtyckich zaledwie głuche docho-
dzą wieści.

Chrześcianie XII. i XIII. stulecia, którzy, w dawnych wyłącznie przez pogańskich Liwów zamieszkanych Inflantach, wywalczyli nowe siedlisko dla cywilizacji zachodniej, nie zaspakajali się

samem tylko przeniesieniem do tych oddalonych wybrzeży wiary rzymsko-katolickiej: starali się oni zarazem zasześcić tutaj rzemiosła i sztukę.

Cywilizacya, jaką tu wytworzyli owi zachodni misjonarze, była tem wierniejszem odbiciem ówczesnych stosunków na Zachodzie, trzymała się ona tem ściślej kształtów, przekazanych przez sztukę ojezystą, iż tu nad Bałtykiem nie znaleźli nic, coby ich w tym kierunku na inne tory sprowadzić zdołało.

Wały ziemne i nędzne lepianki z gliny, słomy i drzewa — oto wszystkco co stworzyć umieli miejscowi Liwowie. To też każda chociażby najzwyczajniejsza budowla kamienna wydawała się naszym tuziemcom nie małą sztuką

Odgrzebywane w miejscowych wykopaliskach sprzęty ówczesne i broń, lubo się odznaczają niezwykłą prostotą i żadnych znamion artyzmu na sobie nie noszą, nie są jednak bynajmniej wyrobami ówczesnych pogan nadbałtyckich, jak to obecnie już żadnej nie ulega wątpliwości. Nawet na najprostszych narzędziach ówczesnych — na młotkach i siekierkach kamiennych — łatwo dziś udowodnić obce ich pochodzenie; wystarcza na to baczniejsze zwrócenie uwagi na rodzaj kamienia, z którego są one wyrobione.

Co do wpływów ze Wschodu, o tych tu zgola nie może być mowy.

Lubo zaprzeczyć się nie da, że Wschód — zwłaszcza w epoce krucyat — wpływał potężnie na sztukę Zachodu, atoli wpływ ten na wybrzeżach Bałtyku był już tylko pośrednim, wkraczał on tu bowiem wyłącznie przez sztukę Zachodu i cywilizację zachodnią.

Bardziej dziwnem może się wydać twierdzenie, iż sztuka sąsiedniej a ze szczepem Liwów dosyć blisko spokrewnionej Skandynawii nie tknęła zgola tutejszych wybrzeży.

A jednak tak być musiało.

Niema bowiem w pomnikach bałtyckiej przeszłości najmniejszych śladów ani kamieni pokrytych pismem runicznym, ani też owej prastarej a fantastycznej ornamentyki północnej o kształtach iście typowych, w których, jak powszechnie wiadomo, przeważają smoki, gadziny, węże i żmije.

Ostatecznie nie więc dziwnego, że sztuka bałtycka — zarówno w architekturze, plastyce, malarstwie, jako i w rzemiosłach — przed-

stawia tylko wierne odbicie równoczesnej działalności w tychże kierunkach macierzystego Zachodu, który wraz ze światłem wiary rzymsko-katolickiej przeniósł tu także pierwiastki cywilizacji wyłącznie zachodniej.

Jakże często tu w kraju daje się słyszeć uwaga, jakoby starodawne Kościoły i zamki nadbałtyckie sprawiały wrażenie pewnego ubóstwa a nawet zupełnego braku sztuki.

Co się dotyczy wspaniałych kościołów bałtyckich, przypominamy najzupełniej, że z pewnością żaden z nich nie uszedł barbarzyńskich przekształceń, skutkiem tak zwanej reformacji protestanckiej, która zwłaszcza w ciągu XVII. i XVIII. stulecia dążyła stale do zatarcia w nich wszelkich śladów katolicyzmu. Na to zaś jak niewiele potrzeba wysiłków, ażeby zniszczyć harmonię pięknej całości, przekonać może uważny rzut oka na odwieczną katedrę ryską, wzniesioną już w pierwszych latach XIII. wieku.

Dziwaczne zakończenie zniżonej oczywiście wieży walczy tu o pierwszeństwo z koniecznością trójkątnego przyczółka, który wschodnią część tumu nad wszelki wyraz oszpeca.

Tak niesłychanej herezyi nie dopuścili się zaiste pierwotni budowniczkowie katedry. O tem świadczy dosadnie cały ustrój tego ciekawego a zarazem najdawniejszego pomnika architektury nadbałtyckiej. Zakończenie presbiterium w stylu romańskim o trzech absydach z zasklepieniem w ówierćkulę i kształtnych pilastrach połową swej grubości w ścianę wpuszczonych, olbrzymi krużganek ciągnący się w czworobok i oświetlony otwartymi arkadami od strony wewnętrznego wirydażu a zdobny w rzeźby cechujące dosadnie epokę romańską¹, zwłaszcza zaś całe wnętrze tumu, jego potężne filary i wspaniałe sklepienia — ani na chwilę nie pozwalają wątpić znawcom, że w tej najdawniejszej katedrze Infant wzniesiono prawdziwie godną świątynię katolickiemu chrześcijaństwu i katolickiej sztuce.

Jeszcze mniej korzystnym przeobrażeniom ulegał kilkakrotnie kościół św. Piotra w Rydze. Pomijając zupełny brak stylu w teraźniejszym dachu tej wspaniałej świątyni gotyckiej, nie możemy się

¹ Charakterystycznym jest pod tym względem każdy kątowy listek na półfilarach, podtrzymujących sklepienia krużganku.

nie wzdrygnąć, ilekroć rzucimy okiem na dziwaczne kształty niebotycznej wieży i całej przedniej facyaty kościoła, przebudowanych za czasów protestanckich w sposób dziwnie potworny. Dziwaczną ornamentyką w stylu rokoko, który doszedł do niedorzeczności przez niestosowne i przeciwne ustrojowi budowli zmiany i dodatki bez wszelkiej proporcji, oraz bezkształtnymi posagami z tejże epoki upadku sztuki oszpecono tak dalece główną facyatę gotyckiego gmachu, że w niej z pierwotnej piękności już nic a nic nie pozostało. Starano się tu oczywiście zatrzeć jak najzupełniej pierwotne wrażenie, które ten wspaniały pomnik gotycyzmu niegdyś wywierać musiał. Żeby zaś i barwą do późniejszych kształtów zewnętrznych odwiecznej budowy należycie dostroić, przemalowano całą facyatę starodawnego gmachu farbą jasno-różową, która tem dziwniej odbija od zielonej śniedzi miedzianego dachu. Atoli w przebudowanych proporcjach wnętrza, w wysmukłych filarach, których podźberza o pięknych profilach, pionowo rozgałęziają się u góry i przechodzą w żebra lekkich ostrołukowych sklepień, pozostało i do dni naszych niczem nie dające się zatrzeć arcydzieło naszego mistrza architektury gotyckiej.

Słynna katedra, założona w roku 1224 w Dorpacie pod wezwaniem św. Dyonizego, lubo obecnie po większej części stanowi tylko ruinę, zachwyca dotąd swemi precudnymi kształty. Tum ten potężny, w którym za czasów króla Stefana Batorego piorunował z kazalnicy złousty Skarga, a o którym dnia 22 lutego roku 1582 pisze sekretarz kanclerza Jana Zamojskiego w liście do wielkiego marszałka koronnego Andrzeja Opalińskiego, „że tak pięknego i wspaniałego kościoła nie znaleźć nigdzie w całym obszarze Rzeczypospolitej polskiej, nie wyłączając nawet samego Krakowa“¹ — już od wieków nie służy do nabożeństwa. Zdobiły go niegdyś nad-

¹ Obacz *Dr. F. Schiemann: Historische Darstellungen und archivalische Studien*. (Hamburg und Mitau 1886) str. 107. Tamże dodaje pan Schiemann mówiąc o owym polskim sprawozdawcy: „Er weis nicht genug die schönen Altäre mit ihrem Schnitzwerk und die schönen Altarbilder holländischer Schule zu greifen. Auch eine Orgel steht noch unverdorben, die andere, deren Pfeifen aus Silber und vergoldet gewesen, die feble freilich: surrexit et non est hic! Es legte eben noch russischer Hafer in der Kirche, aber schon räume man ihn fort“.

zwyczaj wysokie wieże, które zdumiewały pięknnością i lekkością kształtów, a całość katedry zdradza wyraźnie pierwszą epokę gotycyzmu; zachowane do dni naszych presbiterjum, (które w r. 1803 podzielono na liczne piętra, zewnątrz gmachu dostrzedz się nie dające), mieści w sobie całą bibliotekę uniwersytecką, liczącą obecnie do 270,000 tomów. Z frontu (tj. od przeciwległej bibliotece strony zachodniej tumu) widziana ruina tego najpiękniejszego w kraju zabytku architektury gotyckiej, przedstawia i dziś jeszcze widok prawdziwie wspaniały.

Z obydwóch boków olbrzymiej ostrołukowej bramy głównej facyaty o ościeżynach drzwi od strony zewnętrznej głęboko gzym-sowanych wznoszą się dotąd niższe części obu dawnych wieżyc o szerokiej podstawie w kwadrat, zniżone do połowy za czasów carowej Katarzyny II. W latach 1763—1767 prowadzono bowiem fortyfikacye na około Dorpatu podług planu generała Villebois, który z barbarzyńską bezwzględnością kazał zbić większą część obu wieżyc, zdobiących w owym czasie ten najwspanialszy pomnik nad-baltyckiego gotycyzmu. Fortyfikacye z powodu rozmaitych niedogodności zupełnie zaniechane zostały, a tum zbiciem wieżyc oszpecony imponuje odtąd przeważnie już tylko swoim ogromem. Dach tej wspaniałej świątyni podtrzymywany był niegdyś przez pozostałe dotąd aż dwadzieścia siedmdziesięciostopowych przypor zewnętrznych, zbudowanych, zarówno jak cały gmach i jego wieże, ze średniowiecznych cegieł tak mocnych, że się oparły zwycięsko manii wyrzynania nazwisk przez baltyckich turystów, którzy poprzestawać tu muszą na skromnych ołówkowych napisach. Co się zaś tyczy fundamentów tumu, te są, podobnie jak i krawędzie wież, z bloków granitu ułożone. We wnętrzu ruiny doskonale jeszcze daje się poznać podział na trzy nawy, a oznaczające go olbrzymie filary w liczbie dwunastu stoją przez ząb czasu nienaruszone; poprzerywane są tylko niektóre ze śmiałych ostrołuków, co je łączą z sobą. Tu i owdzie znać jeszcze szczątki a niemal wszędzie wyraźne ślady pięknych gzymśów i gzymśowin. Sklepienie krzyżowe przeważnie wsparte są na filarach, zastępujących pojedyncze kolumny, które nie są zdobione kapitelami; żebra sklepień przechodzą wprost na filary, zachowując swój profil.

We środku obu wież można wyraźnie rozróżnić dawny ich

rozkład. Potężne mury katedry zawierają wewnątrz mnóstwo ukrytych okien, framug i korytarzy, któremi po krętych schodkach dostać się można aż na szczyt gmachu, gdzie kilka balkonów i gale-ryjek pozwala ciekawym zwiedzającym przypatrzeć się z góry odwiecznej katedrze i jej otoczeniu.

Z tejże epoki istnieje dotąd kilkanaście pięknych kościołów wiejskich w Estonii, wybornie utrzymanych, ale od trzech wieków złutrzonych i dlatego z dawnych ozdób wewnętrznych całkowicie ogolonych¹.

Ogromem swoim i malowniczością zachwycają w pobliżu Rewla wspaniałe resztki klasztoru i kościoła św. Brygidy, których tajemnicze mury zawierają wewnątrz niezliczoną moc takichże jak w tumie dorpacim starannie ukrytych okienek, framug, schodów i korytarzy. Olbrzymie ostrołukowe okna tego potężnego pomnika dawnego gotyku nadbałtyckiego zachowały do dni naszych uroczym ornamentowane dwulucza (*ogives*) o licznych przyłuczach (*lobes*), wykonane ze sprowadzonego zdala krzemionkowego piaskowca. Pomimo iż protestantyzm już od roku 1522 gorzał nad Bałtykiem i rozlewał się wszędzie szeroko, w klasztorach wiejskich wszelako — niby na wyspach — trzymali się i tu jeszcze bardzo długo katolicy — zresztą miasta i wsie były niemal wszystkie w ręku odstepców. Lecz półwiekową niedolę nadbałtyckich katolików zakończyła straszna wojna rozpoczęta w dniu 1 lutego 1577. Tak tedy smok wojny dokonał ostatecznego zburzenia klasztoru, który w ciągu lat 55-ciu zdołał stawiać opór skuteczny smokowi tak zwanej reformacyi. Odtąd zaś klasztor św. Brygidy stanowi już tylko malowniczą ruinę.

W utrzymanym dotąd całkowicie ryskim kościele św. Jana (*die Hallenkirche zu St. Johannis*) słusznie podziwianem bywa przepyszne sklepienie siatkowe z późniejszej epoki gotycyzmu, a w rewelskim kościele św. Ducha pozostało z czasów katolickich nader ciekawe dwunawowe sklepienie przez znawców nie mniej cenione.

¹ Opis ich szczegółowy, wraz z załączeniem odpowiednich wizerunków i planów, zamierza ogłosić znany bałtycki architekt pan Gulecke, budowniczy uniwersytecki w Dorpacie.

Takich wspaniałych dzieł architektury nadbałtyckiej mogliśmy jeszcze bardzo wiele przytoczyć.

A jednak gotyk miał tu do zwalczenia niezwykle trudności techniczne. On, którego głównym materiałem jest przede wszystkim piaskowiec krzemionkowy, zastawszy nad Bałtykiem sam tylko granit do jego stylu niewiele przydatny, musiał się ograniczać przeważnie na materyale ceglany i wyrzec się silniejszych profilów, delikatniejszych światło-cieni oraz rzeźbionych zdobin zewnętrznych, podziwianych przez niejednego z czytelników waszych na ratuszu w Lowanium, na katedrze kolońskiej i tylu innych gotyckich gmachach Zachodu.

Pomimo tak dolegliwego braku tworzyć tu jednak umiał gotyk ze skromnych cegiełek liczne ornamentacye zewnętrzne, które u głównej facjaty kościoła św. Jana w Dorpacie i dotąd zdumiewają znawców. Tu i owdzie używano do tych ornamentacyj także i piaskowca zdala sprowadzanego.

W Rewlu, dokąd piaskowiec krzemionkowy i kamień wapienny łatwiej można było dostarczać, zewnętrzne zdobienie dawnych kościołów nierównie jest bogatszem. W przebudowanym na początku bieżącego stulecia kościele św. Olawa w Rewlu (która to świątynia gotycka za czasów katolickich słynęła powszechnie z precudownej wieży, mającej aż 504 stóp wysokości), widzimy i dotąd na zewnętrznych przyporach w ścianach wschodniej części gmachu, mnóstwo misternie rzeźbionych baldachów gotyckich, a pod nimi wystające u ściany nie mniej pięknie z kamienia rzeźbione konsole czyli podstawki, z czego oczywiście wnosić należy, że niegdyś każda z tych podstawek zdobić musiała posązek jakiegoś świętego lub świętej, albo też grupy rozmaitych postaci z historii świętej, jak je widzimy na wspaniałym ratuszu w Lowanium.

Wszelako co zdołało stawić czoło ostrości klimatu nadbałtyckiego i całe wieki przetrwało szczęśliwie, — paść musiało ofiarą barbarzyńskich prądów protestantyzmu, które, jak powszechnie wiadomo, wywołały słynnych w swoim czasie bałtyckich ikonoklastów (*die baltischen Bilderstürmer*).

Owe rozbestwione tłuszcze, które w pierwszych czasach tak zwanej reformacyi protestanckiej nakształt dzikiego potoku zalewały kościoły nadbałtyckie, niszczyły zapamiętałe wszystko, co tylko im

mogło przypominać katolicyzm i jego głęboką część dla Matki Boskiej oraz Świętych Pańskich, cześć uwiecznioną w sposób prawdziwie wzniosły w pomnikach rzeźby i malarstwa.

W wieku bieżącym, który, pomimo piętna negacyi i zaprzeczeń, przyniósł z sobą nowe odrodzenie ducha wieków średnich — powrót do tych źródeł natchnienia i prawdy — żałują częstokroć już nawet protestanci, iż ruch reformacyjny tyle w tych krajach pochłonał ofiar. Niepodejrzany zgola o sympatye dla katolicyzmu literat rewelski F. Amelung wypowiada w swej nowo-ogłoszonej pracy archeologicznej pod tytułem: *Revalsche Alterthümer* (Reval, 1884) na str. 26-tej słowa znaczące: „Es soll hier erwähnt sein, dass auch der bekannte von Luther selbst empfohlene Melchior Hoffmann wie in Dorpat, so auch in Reval als Volksredner auftrat und den Bildersturm selbst anführte“. Rzecz więc już i dla protestantów oczywista, że i ten wysłaniec samego Lutra a zwiastun tak zwanej „czystej ewangelii“ szedł do Dorpatu i Rewla do burzy podobny, gniewem, zemstą i nienawiścią trawiony. To też ostatnimi czasy słyszymy i z innych ust protestanckich uwagi następujące, wypowiedane z pewnym żalem i goryczą: „Mit dem Katholicismus wurde damals rein Haus gemacht, aber mit ihm und seinen Heiligen ist auch die christliche Kunst aus unseren baltischen Kichen vertrieben worden!“¹

Atoli niesforne bandy rozzuchwalonego przez fanatycznych predykantów pospólstwa w XVI. wieku dokonały tylko pierwszej najgrubszej roboty w owym systematycznym niszczeniu, a zlutrzzone pokolenia trzech następnych stuleci dopełniły reszty — „sie haben die Nachlese gehalten“² — jak to dzisiejsi lutrzy wyrażają nader dosadnie.

Tą smutną gorliwością w niszczeniu odznaczyła się najbardziej Ryga, znana niegdyś powszechnie z niezwyčajnego fanatyzmu. Podczas gdy całe Inflanty kalendarz gregoryański przyjęły, zatwardziała Ryga prosiła o zwłokę, którą jej z początku udzielono. Wkrótce jednak, na żądanie królewskie (w r. 1585) zmuszono radę miejską do wprowadzenia nowego kalendarza, który spowodował

¹ Porównaj: *Rigascher Almanach pro 1881*, pag. 4.

² Patrz tamże.

tak zwane „spory kalendarzowe“ (*die Kalender-Unruhen*), a tylko dla tego tak był nienawistnym ryskim lutrom, iż reforma kalendarzowa wyszła od głowy katolicyzmu, wielkiego papieża Grzegorza XIII. Jakże się więc dziwić ciągłej dążności Ryżan do zatarcia w swem mieście wszelkich śladów katolicyzmu?

Jeszcze przy końcu zeszłego stulecia w epoce tak zwanej „oświaty“, mieli na tem polu mieszczanie rysey sporo do czynienia. Dowodzą tego dosadnie szczegółowe opisy zasłużonego badacza przeszłości bałtyckiej *Jana Krzysztofa Brotze*, którego dziesięciotomowy rękopis *in folio* pod tytułem „*Livländische Monumente*“ zdobny w tysiące ilustracyj (stanowi on cenny unikat ryskiej biblioteki miejskiej), co chwila nad owym wandalizmem Ryżan z głęboką boleścią utyskuje. Bo też za jego czasów podniesiono świętokradzką dłoń nawet na grobowiec biskupa Mejnarda; pierwszego apostoła Inflant, którego popioły tylko z trudnością zdołał uratować Brotze: *Vix Meinhardus evasit*, pisze on ze zgrozą w liście do znanego inflanckiego historyka, dorpckiego burmistrza *Gadebussa* — „ale artystycznie wykonanej gotyckiej płaskorzeźby nad grobem tego pierwszego inflanckiego biskupa jużem niestety uratować nie zdołał“¹.

Gdy słowa powyższe wypisywał z boleścią Jan Krzysztof Brotze, bogate ozdoby wnętrza kościołów bałtyckich dawno już były znikły z widowni. Wspaniałe tryptyki, cyborya, tabernakle, ołtarze, stalle, dębowe okładziny ścian o rzeźbach kunsztownych oraz cenne malowidła kościelne zostały zniszczone, witraże po oknach stłuczone, freski po ścianach i sklepieniach tumu wapnem przykryte a liczne framugi i wnęki szczelnie zamurowane! Nawet pomiędzy pomnikami i grobowcami z czasów katolickich zajadło a wytrwale dokonywano dzieła zniszczenia, aż nakoniec wszystko a wszystko już było starannie zgładzone, zatynkowane i zabiłone.

W tych nad wszelki wyraz ogołoconych prastarych kościołach nie zostało niemal nic oprócz kilkunastu epitafiów i herbów z XVII. i XVIII stulecia, przeważnie bardzo lichy wykonanych a pocho-

¹ Gotycką ornamentykę nad grobem biskupa Mejnarda w tumie ryskim odtwarza obecnie nieudolne malowanie na ścianie wykonane farbami olejnymi według oryginalnego rysunku tegoż Krzysztofa Brotze'go.

dzących już z czasów protestanckich, mianowicie z epoki, w której i heraldyka uległa powszechnemu skoszlawieniu formy. Tę niewielką ilość pomników, najczęściej wątpliwej wartości, pozostawiono na prośbę potomków osób w nich uwiecznionych a należących po większej części do zamożnych mieszczan, tak zwanych „patrycyuszów ryskich“ (*rigasche Patricierfamilien*). Zresztą nie zostało w tych niedysz świetnych świątyniach już nic, coby oczy parafian odciągnąć mogło od predykanta i jego nieodstępного „kistera“¹. Teraz więc zadanie, jakie sobie założyli miejscowi fanatycy, zostało nakoniec rozwiązane.

Myliłby się grubo ten, któryby chciał utrzymywać, że dawne ozdoby wewnętrzne kościołów nadbałtyckich miały jedynie wartość antykwarską, że więc należy tylko żałować, iż nie powędrowały one do muzeów i gabinetów starożytności zamiast iść prosto na stopy lub do wapiennych pieców. Pozostały bowiem i do dni naszych tu i owdzie ich resztki szczęśliwie ocalone, a te wykazują dostatecznie, że były to wszystko prawdziwe dzieła sztuki, i że zarówno architektura, malarstwo, rzeźbiarstwo jako i kunsztowne rzemiosła krajów nadbałtyckich w niczem nie ustępowały ówczesnym artystycznym prądom Zachodu, z którymi się równocześnie rozwijały, przechodząc zarazem wszystkie ich fazy i przeobrażenia.

To też wcale nie potrzebujemy się powoływać na dokumenty lub wyciągać wnioski o wewnętrznym przepychu dawnych kościołów i klasztorów nadbałtyckich z zapisów i legatów na nie czynionych i t. p. Przetrwało bowiem w Rewlu aż do dni naszych nie mniej jak pięć wspaniałych ołtarzy szafiastych z dwoma pobocznymi skrzydłami, do otwierania i zamykania części środkowej. Z liczby tych cennych tryptyków cztery sięgają bezwarunkowo XV stulecia. Każda z nich stanowi prawdziwe dzieło sztuki a to z powodu umieszczonych na nim malowideł i zdobiących go rzeźb przepysznych, a najczęściej łączą się tam w jedną piękną całość malarstwo i rzeźba.

Nawet my Inflanccy (a tem mniej mieszkańcy innych prowincyj i dzielnic) nie zawzięliśmy o istnieniu tych cennych pomni-

¹ „Kister“ czyli jedyny sługa protestanckiego predykanta, zastępujący czynności zakrystyana, ministranta i wszelkie inne obowiązki kościelne.

ków sztuki katolickiej coś zasłyszeli, a o mistrzach, którzy je wykonywali, częstokroć nawet i ze słuchu nie nie wiemy.

A jednak istnieją pomiędzy temi zabytkami dzieła sztuki, które, jeśliby się znajdowały we Francyi, w Belgii lub Niemczech, ściągalyby z pewnością znawców i zbliska i zdaleka, że tylko wspomnę o wielkim ołtarzu w pobocznej kaplicy św. Mikołaja w Rewlu, podziwianym słuszenie przez nielicznych artystów, jakich w porze kąpeli morskich los tutaj od czasu do czasu zanosi.

Ołtarz ten szafiasty z dwoma pobocznymi skrzydłami do otwierania i zamykania części środkowej, w tej ostatniej mieści wspańiałe dzieło średniowiecznej sztuki rzeźbiarskiej, złożone z 32 większych i 36 mniejszych postaci świętych ze Starego i Nowego Zakonu. To wnętrze tryptyka przypomina poniekąd wielki ołtarz w kościele Panny Maryi w Krakowie; na taflach zaś jego skrzydeł pobocznych znajduje się 8 malowideł, z których każde stanowi cenne dzieło sztuki z pierwszej ćwierci XV. stulecia.

Przed mniejszym ołtarzem w tejże pobocznej kaplicy kościoła św. Mikołaja, oraz ołtarzem mylnie zwanym św. Brygidy, przechowywanym starannie w domu „Czarnogłowców rewelskich“¹, zatrzymują się z prawdziwym zachwytem nawet i tacy malarzy-artysty, którzy zwykli gardzić częstokroć istotnie zbyt konwencyonalnemi formami malarstwa i rzeźbiarstwa owej epoki gotycyzmu.

I ten ołtarz jest szafiasty. Składa go aż 11 malowideł, wykonanych na drzewie, z których jedno piękniejsze od drugiego, kilka z nich są malowane na tle złotem. Na zewnętrznej stronie skrzydeł tego cennego tryptyku przedstawionem jest Zwiastowanie Najświętszej Panny. Zewnętrzną część skrzydła lewego zajmuje archanioł Gabryel z tradycyjną lilią w dłoni, takąż część prawego — uroczą postać Najśw. Panny w postawie klęczącej.

Po otwarciu tryptyku, przedstawiają się oczom widza cztery malowidła. Na wewnętrznej stronie lewego skrzydła uderza powagą postać kobieca w zielonej szacie z piersią po części obnażoną. U stóp jej klęczy 15-tu młodzieńców, zatopionych w gorącej mo-

¹ To możne stowarzyszenie sięgające wieków średnich, nosi dotąd nazwę dawną „Czarnogłowców“ (*Compagnie der Revaler Schwarzen-Häupter*). Składają je mieszczenie bezzenni, posiadający własność nieruchomą w mieście.

dlitwie, a wszyscy twarzami są obrócenii ku środkowej części tryptyku, z dwóch innych malowideł złożonej. Jedno z nich dziwnie idealnie przedstawia mękę Chrystusową, drugie — Tróję Przenajświętszą. Na wewnętrznej stronie prawego skrzydła tryptyku — poważna postać męska w szacie z sierści wielbłądziej u bioder przepasana pasem skórzanym, trzyma w prawem ręku księgę, na której spoczywa baranek. U stóp tej męskiej postaci znowu 15 modlących się niemniej gorliwie młodzieńców, obróconych również ku środkowej części ołtarza. Mężem tym jest oczywiście św. Jan Chrzciciel, księga jego — to ewangelia, a baranek — to „Baranek Boży”. Kobieta zaś w zielonej szacie, o piersi po części obnażonej, przedstawia symbolicznie kościół święty, karmiący wiernych mlekiem słowa Bożego. Najbardziej zachwyca znawców wyraz pobożności świecącej ze wszystkich 30 młodzieńczych twarzy, z których wszakże każda inny ma charakter. Są to bez wątpienia podobizny fundatorów wspaniałego tryptyku. Część jego środkowa daje się raz jeszcze otworzyć. Otwarta powtórnie przedstawia dalszych pięć malowideł.

W środku tronuje Bogarodzica z dzieciątkiem Jezus. Z lewej strony dwa malowidła: 1) św. Franciszek, 2) św. Jerzy. Z prawej dwa inne: 1) św. Wiktor, 2) św. Brygida.

Tryptyk ten mylnie nazywany ołtarzem św. Brygidy nosił niegdyś nazwę ołtarza N. Panny Maryi (*Marienołtar*) i do roku 1525 ozdobił kościół OO. Dominikanów w Rewlu. Najnowsze źródła wykazują, że fundowało go trzydziestu młodych mieszczan rewelskich, z możnego stowarzyszenia t. zw. „Czarnogłowców rewelskich“ (*Companey der Reválschen Schwarzen Häupter*), w którego skarbcu ten skarb artystyczny dotąd się przechowuje.

Liczne charakterystyczne postacie świętych w kościele pokarmeliickim w okręgu Karmel na wyspie Oesel wykonane w r. 1407 a do dni naszych najdoskonalej przechowane — dowodzą nie mniej dosadnie, jakie skarby średniowiecznej sztuki rzeźbiarskiej przepelniały niegdyś wszystkie świątynie nadbałtyckie.

Na wspaniałym tryptyku z dawnego klasztoru Dominikanów w Rewlu, stanowiącym obecnie własność muzeum rewelskiego, zniszczył przed laty piorun wszystkie malowidła, nie uszkodziwszy wszakże na tym cennym zabytku przeszłości precudownych rzeźb jego.

Nie mniej miłe wrażenie sprawiają liczne postacie wyrzeźbione w środkowej części wielkiego tryptyku, przechowanego dotąd w kościele św. Ducha w Rewlu, a pochodzącego bezwarunkowo z roku 1483 wyraźnie na nim oznaczonego; malowidła zaś tego ołtarza są z r. 1484, gdyż przed dwoma laty odnaleziono w rewelskim archiwum miejskiem notatę tej treści: *de tafel gemaket tom hylgen giiste von Berent Notken 1484 mandages vor Himmelsfahrt*. Berent Notken, jak wiadomo, był jednym z mistrzów słynnej szkoły van Eycka i on to wykonał do tego szafiastego ołtarza 6 malowideł na drzewie (*tafel*) z życia Chrystusa, św. Anny, św. Elżbiety, św. Olawa i św. Wiktora, umieszczonych na pobocznych skrzydłach wspaniałego tryptyku, którego część środkowa z kunsztownej rzeźby złożona przedstawia zesłanie Ducha świętego.

Powszechnie jest znanym słynny *Todtentanz* (taniec umarłych ze śmiercią) ciekawie oglądany przez wszystkich podróżników w Lubece, w kościele N. P. Maryi. O istnieniu zaś podobnegoż arcydzieła w Rewlu, nawet w sąsiednich prowincjach zaledwie rzadko ktoś cośkolwiek zasłyszał, lubo obecnie nie podlega już najmniejszej wątpliwości, że „*Todtentanz*“ rewelski nie mniej jest cennym od podziwianego ogólnie w Lubece, a prawdopodobnie tejże samej co tamten sięga epoki.

Przytoczone powyżej zabytki nadbałtyckie są to wszystko dzieła sztuki w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Że zaś nie cześć ludzka lub chwalebne usiłowania znawców, lecz sam tylko przypadek uchronił one od fanatyczno-barbarzyńskiego niszczenia, spowodowanego przez smutne nad wszelki wyraz prądy pseudo-religijne, które niegdyś z taką siłą zawiały nad Bałtykiem, jako i w dawnem cesarstwie niemieckiem¹ — musimy przypuścić, że i wiele innych dzieł sztuki religijnej w tym kraju, wysoką miało wartość artystyczną.

¹ O tychto prądach pseudo-religijnych, w których Bóg był pozorem, interesa ziemskie przyczyną, powiada proroco Józef Szujski: „Doczeka się i ta reformacya swego Taina, który jej porachuje wszystkie zrujnowane kościoły, dzieła sztuki i wiedzy ludzkiej, wszystkie akta barbarzyństwa i orgie rozpusty, które zakrywano dotychczas wygodnym płaszczem postępu“. (*J. Szujski* „Odrodzenie i reformacya“ III. 83). Doczekala istotnie niemiecka t. zw. reformacya swego Taine'a w Janssenie, którego pomnikowe dzieło „*Geschichte des deutschen Volks*“ rozbiera obszernie *Przeegl. powsz.* w całej seryi artykułów pod tytułem: „Janssen i historia reformacyi“.

Jeśli spytamy czyje ręce wspomniane dzieła tworzyły, usłyszymy imiona najsłynniejszych mistrzów flamandzkiej i staro-niemieckiej szkoły, pomiędzy innymi odbijają się nawet o nasze uszy imiona *Jana van Eycka i starszego Wohlgemuth'a!*

Pozostawiając sąd o tem mężom fachowym, nie wyrokujemy wcale w tej mierze. To tylko jest pewnem, że wszystkie te cenne malowidła i rzeźby wykonane były co najmniej na obstalunek mieszkańców katolickiego dawniej Rewla. Dowodzą tego dosadnie godła i herby, w jakie te dzieła sztuki są opatrzone.

Tu zaś nasuwa się pomimowolnie myśl, że skoro w tych niegdyś tak bogatych krainach zrozumienie sztuki i pojęcie piękna tak było głębokiem, — czyli uczniowie tychże słynnych mistrzów nie mogli pozakładać i w krajach nadbałtyckich pracowni malarskich i rzeźbiarskich?

O ile wiemy nikt dotąd jeszcze nie odważył się mówić o inflanckich mistrzach sztuki. A jednak nie należy przepominać, że z owych właśnie czasów posiadamy cenne świadectwo, które ponieważ upoważnia do takowego wniosku. Kiedy w roku 1541 król szwedzki Gustaw Waza wysyłał Nilsa Jöranssona za granicę a mianowicie do Antwerpii, do Utrechtu i do niektórych miast Niemiec północnych w celu werbowania słynnych artystów i techników, do mającej się w owym czasie zakładać Akademii w mieście Upsala — zwracał monarcha baczność Jöranssona na sztukę kwitnącą w krajach nadbałtyckich, a polecał mu wyraźnie, aby wyszukał w Rewlu chociażby jednego artystę malarza i umówił go do nowo zakładającej się akademii.

Gustaw Manteuffel.

¹ Porównaj; Litterae Regis Gustavi d. 21 Jul. 1541 tudzież *Olof von Dalin* „Geschichte des Reiches Schweden“ (tłumaczenie Dähnerta, Rosztok 1763) 3-en Theils 1 Band, Capitel 6, pag. 265.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujące listy:

Szanowny Księżę Redaktorze!

Sprawozdania umieszczonego w ostatnim zeszycie *Przeglądu powszechnego* z mojej książki *Puławy* pióra dr. Ignacego Skrochowskiego — nie mogę zostawić bez odpowiedzi ze względu, że szanowny krytyk w grzeczny sposób wyrządził mi krzywdę, dając do zrozumienia, jakoby mój plagiat na książkę ś. p. Bronisława Zaleskiego, nieodwołując się nawet do tego autora.

Zaleskiego pięć razy cytuję, bo pisząc o tej samej epoce, tych samych ludziach i czerpiąc w znacznej części z tego samego archiwum — nie mogłem całkowicie uniknąć spotkania. Ktokolwiek atoli odczyta razem książkę ś. p. Zaleskiego i pierwszy tom „Pulaw“ ten się przekona, że stanowisko piszących jest zupełnie odmienne, inny plan dzieła, że z umysłu pomijam te wypadki i okoliczności, które Zaleski wyczerpująco wyjaśnił, inne natomiast przez niego nietknięte lub pobieżnie wskazane podejmuję i rozszerzam; w tekście zaś zarówno jak w aneksach znajdzie nie *jeden* tylko, jak recenzentowi twierdzić się podoba, list Szczęsnego Potockiego, ale cały szereg listów i dokumentów, które Zaleskiemu nie były znane. Zaleski wspomina o korespondencji księcia generała z cesarzem Józefem — ja przywodzę kilkanaście listów zamienionych między Sieniawą a dworem wiedeńskim, kilka listów Stanisława Augusta, których nie ma w książce Zaleskiego. Nową całkiem jest tak ważna korespondencya króla z księciem Józefem — zaczerpnąłem ją z nietkniętego dotąd archiwum pp. Paszkowskich. O domku gotyckim i świątyni Sybilli nie ma nic w dziele Zaleskiego, u mnie szczegółowy opis po raz pierwszy podany tego co w sobie te zbiory mieściły. Do charakterystyki i podróży księżny generałowej Zaleski czerpał tylko z archiwum Czartoryskich — ja szczegóły i anegdoty przywodzę z korespondencji przechowanej w Podzamczu i tak dalej i dalej... Wszystko to uszło uwagi szanownego recenzenta równie jak strona pogładowa, która zaiste na plagiat nie wygląda, owszem skąd inąd ściągnęła zarzut zbyt śmiałych sądów zwłaszcza co do sprawy sejmu czteroletniego. Ani jednym nie dotknąwszy słowem poglądów autora „Pulaw“ szanowny korespondent z naciskiem cechuje go jako „dziennikarza“, który „po swojemu“ zastanawia się nad pytaniem, dlaczegośmy upadli? Nie zechciał p. Skrochowski zatrzymać się nad tem, co „dziennikarz“ w tej „kronice nie historii“ „po swojemu“ napisał — tylko ostrzega czytelnika, że w pierwszym tomie nic nowego nie znajdzie, oprócz „kilku pomyłek“ — które w drugiej edycji sprostować radzi. Drugi tom przeczytać warto jak krytyk w kilku słowach naznacza, zastępując się pooblebnem zdaniem korespondenta *Gazety lwowskiej*. Jeśli z recenzji dr. Skrochowskiego nie dowiedzieliśmy się nic o treści mojej książki dowiedzieliśmy się natomiast dla czego on nie został historykiem — a mnie

bardziej niż komu żałować tego przychodzi, gdy wspomnę jakie rozwinął poglądy prawdziwego historyka w ocenie powieści „Ogniem i mieczem“. Szanowny krytyk, który miewał także popędy dziennikarskie, moją książkę po sześciu miesiącach jej ukazania się, z dziennikarską niestety zbywa dorywczością i widocznym zamiarem lekceważenia.

Racz szanowny Księżę Redaktorze drażliwość moją autorską wytłumaczyć tem, że z okazji losów mej książki, która wiele niespodziewanych wywołała pochwał, tam skąd ich najmniej oczekiwać mogłem — zaznaczam jedno ze smutnych doświadczeń ogólniejszego znaczenia, zagadkę psychologiczną naszego społeczeństwa: dla czego we wszystkich naszych pracach i usiłowaniach powtarzać musimy narodowe przysłowie: „Boże broń mnie od moich przyjaciół — bo z nieprzyjaciółmi sam sobie dam radę“.

Racz przyjąć Księżę Redaktorze wyraz głębokiego poważania.

Ludwik Dębicki.

Szanowna Redakcyo!

Liczne obowiązki zniewoliły mnie do odłożenia poważnej lektury na później; otóż w skutek tego dopiero w tych dniach zająłem się odczytaniem zeszytu *Przeglądu powszechnego* z miesiąca listopada r. z. Przykre na mnie jak równie na pewne koło osób poważnych uczyniła korespondencya z Warszawy zamieszczona we wspomnianym zeszycie, a to z powodu niesprawiedliwej oceny pisma tak zasłużonego sprawie społecznej i religijnej jakim jest tygodnik *Rola* wychodzący w Warszawie.

Korespondent zarzuca *Roli* dążności szkodliwe, która jakoby wzięła za hasło „*hajże na Żydów*“. Tymczasem jest to zupełny fałsz; niechże korespondent wskaże przynajmniej jeden numer *Roli* w którymby zawierało się podburzanie do gwałtów lub nienawiści rasowej przeciwko Żydom.

Rola nie tylko o samych Żydach pisze lub ich tylko ma na celu; traktuje ona sprawy społeczne, mianowicie dotyczące się rolnictwa, przemysłu, handlu; помещa artykuły treści naukowej, artystycznej, powieści, krótkie wiadomości polityczne, kronikę bieżącą krajową i zagraniczną, sprawozdania handlowe i t. p., a wszystko to opracowane sumiennie z prawdziwym pożytkiem dla czytelników. A co najważniejsza redaktor i jego współpracownicy oparci na gruncie wiary, nie tylko że nie osłabiają zasad religijnych swoich czytelników (jakto niemiała liczba pism warszawskich czyni), ale śmiało przy każdej sposobności walczą w obronie prawd objawionych i chrześcijańskiej moralności. Jeżeli zaś *Rola* ostrzega przed wyzyskiem żydowskim i poucza jak się przed nim bronić, to tylko w oczach Żyda lub zwolennika zjednoczenia się z żydostwem może być występkiem. Równie z nie słusznym zarzutem przyczepił się korespondent do gazety *Wiek*, za pomieszczenie w tejże gazecie dzieła

Drumonta *La France Suive*, gdyż ogół czytelników czyta takowe z zajęciem, a nadto jak wiadomo Szan. Redakcyi i *Przegląd powszechny* w recenzji pomienionego dzieła wyraził się z pewnem uznaniem o tej pracy pana Drumonta.

Wiek jest dziennikiem zasługującym na poważanie tak z powodu treści jako i kierunku dziennika. Błędna też jest wiadomość korespondenta jakoby kościół św. Piotra i Pawła w Warszawie powstał ze składek, bo kościół ten jest fundacyi ś. p. Tekli Rapackiej, co także potwierdza rzeźba na zewnętrznej ścianie kościoła umieszczona. Wprawdzie poczynione zostały znaczne ofiary przez różne osoby, ale to wpłynęło tylko na powiększenie i ozdobienie rzeczowego kościoła.

Wiś Menka, 25 lutego, 1887 r.

Ks. Al. Wiśniewski k. św. Teol.



O ZWIĄZKU SZTUKI Z MORALNOŚCIĄ.

(Odczyt miany w Krakowie 13 marca b. r. na rzecz Towarzystwa św. Wincentego à Paulo).

Estetyka i moralność, to dwa ogniska, około których wiruje życie nasze. Estetyki szukamy nie tylko w galeryach rzeźb i obrazów, w teatrach i na koncertach, ale w strukturze gmachów publicznych i prywatnych, w ozdobie i umeblowaniu najskromniejszych izdebek, w ubraniu własnem i cudzem, w mowie i formach towarzyskich; tem więcej w poezyi, w powieściach, w każdej niemal książce, jaką bierzemy do ręki; nawet — i osobliwie — w kościele, w liturgii i w całym nabożeństwie. Słowem we wszystkim, z czego się życie nasze składa, oprócz innych celów, pewnej okraszy estetycznej szukamy, jej brak, a zwłaszcza uchybienia jej przeciwnie, w przykry odczuwamy sposób.

Z drugiej strony — nie potrzebuję tego dodawać — i moralność wszyscy cenimy. Ideał etyczny narzuca nam się i ściga nas tak samo, jak ideał piękna plastycznego lub malowniczego ściga mistrzów pędzla i dłuta; chcąc niechcąc, porównujemy z nim nasze własne i drugih ludzi postęпки, nawet myśli i najskrytsze uczucia; cokolwiek bądź czy w nas czy w drugih prawom tego ideału się sprzeciwia, to nam sprawia wrażenie brzydoty i wstrętu; co ideałowi odpowiada, to nam daje radość bezinteresowną, analogiczną do tej, jaką przynosi piękno.

Oczywista, że te dwie sfery, z których każda niemal wszystko, co ludzkie obejmuje, wiele mieć muszą punktów styczności, wiele rzeczywistych czy pozornych kollizyi, o których w praktyce co

chwila musimy sądzić i nieraz doraźnie rozstrzygać. Rzecz więc doprawdy dziwna, że kwestya o stosunku estetyki i sztuki do moralności tak rzadko bywa traktowaną systematycznie i zasadniczo, iż ledwo paru nowszych można by wspomnieć autorów, którzy na nią zwrócili uwagę.

To nam utrudnia zadanie, ale to też z drugiej strony do podjęcia go zachęca: rzecz ważna, a wcale nie wyczerpnięta.

I.

Kwestya o stosunku estetyki do moralności zawiera właściwie dwa zagadnienia: najprzód: jaki w zasadzie powinien być ten stosunek: czy zależność estetyki od moralności? — czy niezawisłość zupełna? (o zależności odwrotnej mowy oczywiście być nie może). A po drugie, jak ten stosunek zależności lub niepodległości ma się w praktyce objawiać i wcielać się w sztukę?

Co do pierwszego pytania, pierwszy lepszy estetyk ma już gotową odpowiedź: Sztuka jest samoistną, powie on — sztuka ma swój cel sama w sobie, tj. piękno, nie można jej zatem do żadnego innego odnosić celu. Sztuka ma swoje własne prawa, tj. prawa piękna, nie może więc bez zboczenia innym prawom podlegać? Czy kto widział, żeby mechanikę lub geologię teoryom moralistów poddawano? O ileż więcej sztuka, ten najwyższy wykwit umysłowości ludzkiej, ma prawo do niezawisłości! Sztuce trzeba służyć dla niej samej, bez oglądania się na inne korzyści, choćby tak wzniosłe jak moralne. Inaczej schodzi się na rzemieślnika lub moralistę, a przestaje się być artystą.

„Historja świadczy — mówi jeden z głębszych i delikatniejszych pisarzy o tym przedmiocie, Constant Martha¹ — że sztuka, choćby chciała, nie może moralności służyć. Etyka, czy religijna czy filozoficzna, jest tak zazdrosna, tak wyłączna, tak chciwą rządu i karność, że gdyby sztukę opanowała, wnetby ją w kajdany skłała i uśmierciła. W starym Egipcie wtłoczyła ją na długie wieki

¹ Constant Martha. La délicatesse dans l' art.

w skamieniałe formy. Moralność Mahometa obrazów i rzeźb zakazała. Niektóre sekty chrześcijańskie usiłowały sztukę zniweczyć: na Wschodzie Ikonoklaści, na Zachodzie Waldejczyce, Albigeni, Husyci, nawet protestanci w XVI. wieku... Filozoficzna moralność, acz mniej fanatyczna, nie mniej jednak sztukę poniewierała. Heraklit mawiał, że trzeba Homera z policzkami ze szkół wyrzucać. Platon grzeczniejszy odprowadzał go tylko do drzwi swojej republiki. Seneka potępiał sztukę, jako służalca zbytku. Nawet Epikur jej nieprzepuszczał, upatrując w niej jakieś przeciwieństwo z mądrością... A choćby jej też pozwolono istnieć, to jednak gdyby była zależną od moralności, okrojono by ją nad miarę: taniec by zakazano, jako niezgodny z chrześcijańską powagą; muzykę zamknięto by jak w Sparcie w pewnych rytmach; malarstwo ograniczono by na przedmioty religijne; rzeźba byłaby tylko sztuką zasłaniania piękności; tragedia zostałaby wzbронioną, bo porusza namiętności, komedia, bo śmiech niedobry, satyra, bo jest złośliwą, idylla, bo kokietuje... a o powieściach ani wspomnieć!

Gorszem jeszcze, zdaniem tegoż autora, następstwem tego zwierzchnictwa moralności nad sztuką, jest pociąganie tej ostatniej do niewdzięcznej roli prawienia moralów. Tu już wyśmiewa on bez litości płytkość tych, co we wszystkich arcydziełach sztuki, nawet w Iliadzie Homera, tendencję moralną upatrują — nierozsądek tych co pigułkę moralu ukrywają w lukrze artyzmu, jakoby moralność sama w sobie była szpetną — a najbardziej naiwność tych, co wierzą w skuteczność moralów w taki sposób podawanych. „Dlatego przede wszystkim, mówi dowcipnie p. Martha, nie można sztuki poddawać moralności, bo to nas nudzi. Wszelka przyjemność ginie w chwili, kiedy się zaczyna lekcya. Żądać możecie wszystkiego od poczciwych ludzi, ofiary pieniędzy, czasu, życia może — ale czego nigdy od nich nie otrzymacie, to żeby się dla swojej przyjemności nudzili“.

Z innej jeszcze strony historya zdaje się świadczyć przeciw zależności sztuki od moralności: gdyż pierwszorzędni mistrzowie pędzla i dłuta, nie tylko jak Caracci i Cranach, ale tacy jak Tycjan, Leonard, Michał Anioł, Rafael — zostawili dzieła, które bez żadnej pruderyi usunęlibyśmy z salonu. Pierwszorzędni poeci, którymi chlubią się narody, jak Ariosto, Lope de Vega, Molière, Goete,

Mickiewicz — skreślili karty, których się nie czyta bez rumieńca. Zkąd wnosić trzeba, że mistrz w swem twórczem wysileniu o nie nie pyta, na żadne prawa nie zważa, idzie tylko za natchnieniem, ulega parciu idei, która się z jego wnętrza wydobywa, i wszystkie pęta kruszy, by postać dla niej wytworzyć.

Dzisiejszy wreszcie kierunek realistyczny, zniósł do reszty wszelką zależność sztuki od moralności. Zasadą tego kierunku jest: wszystko sztuką wyrażać — nawet i w szczególności co najniższe, byle wiernie i dokładnie; więc też wszystko czytać, wszystko oglądać, wszystkiemu ucha nadstawiać, co tylko w imieniu sztuki przemawia: bo inaczej wykształcenie estetyczne nie byłoby zupełnem: bo krótko mówiąc sztuka jest sztuką, a moralność nie jej niema do powiedzenia.

Tak przemawia dzisiaj każdy przeciętny estetyk. Jak uznają łaskawi słuchacze, nie nie ujmuję z jego argumentów. Ale *audiat et altera pars*. Moralista ma także swoje do powiedzenia — i jego racye nie są do lekceważenia.

Sztuka jest iście piękną i wielką rzeczą, ale przy całej swej wielkości i piękności nie jest ona bożkiem, jest poprostu rzeczą ludzką, czynem człowieka; a wszystko co ludzkie podlega prawu moralnemu. Zakon moralny, albo czystą jest illuzją i nie nie znać — albo do całego człowieka ma prawo i o wszystkich jego czynach stanowi. Jak w sferze myśli zakonem jest logika: może myślenie przeciw jej prawom wykraczać, ale nie może z pod tych praw być wyjętem, i wyjątek w logice ani pomyśleć się nie da; tak w sferze czynu panuje bezwzględnie moralność: można ją przekraczać, ale nie można wymijać, i wyjątek w moralności byłby równie niedorzecznym jak w logice. Żadne dobro człowieka nie równoważy temu, co czyni samego człowieka dobrym lub złym. Żaden cel nie idzie w parze z tem, co nas prowadzi do najwyższego celu.

Podlega temu prawu nawet geniusz. Geniusz wojskowy Napoleona wprawia nas w osłupienie; ale gdy obliczamy z Tainem że 1,700.000 Francuzów a kilka milionów z innych ludów po wszystkich polach bitwy, od Samosierry aż do Moskwy i Piramid, legło ofiarą jego egoizmu, to geniuszowi temu zlorzeczmy jak demonowi

zatrąty. Geniusz polityczny, który z rozbitych kraików skleja potężne państwo, na wszystkich stronnictwach i wszystkich namiętnościach gra jak na klawiszach, i przez całe pokolenie dzierży w ręku szalę losów Europy — wydaje nam się podziwienia godnym. Ale gdy postrzegamy że drogi, jakimi on chodzi, są przewrotne, że nie inaczej trafia do swych celów, jak gwałcąc wszelkie prawa, krzywdząc wszystkich słabszych, urągając wszelkim zasadom i wszelkiej uczciwości, wówczas, jeśli sądzymy trzeźwo, jak sumienie i jak godność ludzka wymaga, rzucić musimy i na ten geniusz wzgardę, na jaką zło moralne zasługuje.

Tak samo i geniusz sztuki, gdy się z pod prawa moralnego wyłamuje, sam się piętnuje plamą występku, tem brzydszą, tem smutniejszą do widzenia, im jaśniejsza była gwiazda.

Cóż to dowodzi, że geniusze przekraczają prawo? czy że są po nad prawem? Dowodzi to tylko, że i oni mają swe ułomności, że i oni w chwili słabości ulegają czy to własnym złym skłonnościom czy przesądom czasu lub rozwiązłości otoczenia; słowem, że i geniusze są ludźmi, a nie bogami — jak się wydaje wielu dzisiejszym krytykom i estetykom, którzy plackiem przed nimi leżą, paląc kadzidło i przypisując im boskie własności — z taką samą zabobonnością z jaką stary Grek swych herosów ubóstwiał. A że u geniuszów sztuki wszystko odzwierciedla się natychmiast i przybiera postać w sztuce dla której żyją, stąd zdarza się że i ślady ich słabości i moralnych upadków odbijają się w ich tworach — obok niezatartych śladów ich zwykłej potęgi.

Patrzając na te smutne i upakarzające poszlaki ludzkiej ułomności, powinniśmy się litować, rzucać z rumieńcem płaszczy zapomnienia na ten srom natury ludzkiej, która i na wyżynach geniuszu nie pozbywa się swej wrodzonej słabości. Ale uniewinniać te winy niedorzecznem zdaniem, że sztuka lub geniusz jest po nad prawem moralnym, wynosić je, uwielbiać jakąś czcią wyjątkową, żądać dla nich powszechnego rozgrzeszenia i nawet czci publicznej — dla tego że wypadły z pod pióra, dłuta lub pendzla geniuszów — jest to nonsens i zabobon mimowolnie przypominający to co o Budystach Tybetu opowiadają, że nawet sekrecyom Dalaj Lamy cześć religijną oddają.

Jeśli co jest wolnem od prawa moralności, to tylko to co stoi

niżej od jej sfery: jak istoty niższe od człowieka nie posiadające rozumu i wolnej woli, jak w samym człowieku czyny nie całkiem samowiedne, albo myśli nie dochodzące do sfery czynu. W tem znaczeniu nauki spekulatywne, jak mechanika i geologia, o których wspomniano, nie mają do czynienia z etyką: ponieważ przedmiotem ich jest czysta wiedza, neutralny czynu początek.

Ale dzieło sztuki, *une oeuvre*, jest czynem człowieka w pełnem tego słowa znaczeniu: rodzi się ono w najgłębszych tajnikach jaźni mistrza, przy drganiu całej duszy, a dochodzi aż do samego jądra moralności ludzkiej, uderza myśl, gra na uczuciach, w ruch wprawia namiętności... I takie dzieło, i sztuka co je rodzi, miałyby być obojętnym dla moralności czynnikiem! A jeśli sztuka nie jest względem moralności obojętną — to musi być moralną, czyli musi prawu moralności podlegać.

Co więcej, sztuka nie tylko jest czynem człowieka, i jako taka prawu czynów ludzkich podległą, ale jest też rzeczą dla ludzkości, dla dobra społeczeństwa istniejącą — i jako taka, do wyższego celu i dobra społeczeństwa zmierzać powinna. Co mówią nieraz estetycy, że sztuka ma cel sama w sobie, że do niczego służyć ani odnosić się powinna, to także bardzo względne musi mieć znaczenie; wzięte absolutnie byłoby to znowu przywłaszczeniem sztuce przymiotów boskich robieniem ze sztuki bożyszcza. To też zdrowy rozsądek ludzki nie bierze w praktyce tych aforyzmów dosłownie, ale używa sztuki do wielorakich swych potrzeb, nie wyłącznie estetycznych: od architektury żąda wygodnych mieszkań, od malarstwa i rzeźby uwiecznienia pamięci osób i wypadków, muzyką rozbudza animusz wojenny, pieśni używa do modlitwy, bajki dla moralu, satyry dla skarcenia, hymnu dla uczczenia wielkiego czynu.

A nawet w czysto estetycznem używaniu, społeczność żąda by sztuka odpowiadała jej aspiracyom i jej smakowi — żądanie niesłuszne, kiedy idzie o aspiracye skrzywione i smak zepsuty, ale żądanie najsluszniejsze, o ile dotyczy zdrowych, naturalnych, ogólnie ludzkich wymagań. Mistrz w chwili tworzenia może nic innego nie zamierzać i nie mieć na sercu, tylko wyłonienie swej myśli, ujrzenie jej w czarownej postaci z materji zapożyczonej. Ale cokolwiek mistrz zamierza — czy samo piękno, czy chwałę, czy pieniądze — dzieło sztuki z natury rzeczy jest dla ludzkości, i nie miałoby racyi bytu w świe-

cie, gdyby dla ludzkości nie było. A skoro jest dla ludzkości, toć oczywiście powinno się najwyższemu dobru człowieka podporządkowywać i do jego celu najwyższego służyć.

Nie wynika stąd bynajmniej, żeby sztuka miała morały prawić, albo żeby mistrzowie sztuki mieli być pod dozorem policyjnym moralistów. Estetyk, który taki wniosek wyciąga, cokolwiek *ab irato* rozumuje. Że filozofowie i moralisci za daleko się często zapuszczają w swych cenzurach i wymaganiach względem sztuki, to tylko nowy dowód tej samej ułomności ludzkiej, z której i artyści przekraczają raz poraz prawa etyczne. Nie tego żądamy, żeby twórcy sztuki słuchali zdań wszystkich moralistów, ale tego, żeby słuchali moralności, której zakon w ich własnych sercach dosyć wyraźnie jest wypisany, byle się za wolnych od tego zakonu nie mieli. Nie tego żądamy, żeby sztuka prawila morały, ale żeby sama była moralną, tak samo jak nie żąda się od porządnego człowieka, żeby przestrogi prawości dawał, ale żeby sam we wszystkim był zacnym i prawym, przezco już na swe otoczenie moralny wpływ wyrze. Co zaś powiedział estetyk o tryumfach dzisiejszego kierunku realistycznego, to służy właśnie za *contre-épreuve* dla niniejszej tezy: bo któż nie widzi, że ten kierunek przebrał wszelką miarę, z wielkim moralności publicznej uszczerbkiem?

Że w końcu błędne religie, jak mahometanizm i sekty od kościoła odpadłe, potępiły zasadniczo lub pokrzywdziły sztukę, to tylko raz więcej dowodzi, że człowiek, gdy na własny rozum religie urabia, fatalnie do rozmaitych niedorzeczności dochodzi. Ale jedyna prawdziwa katolicka religia sztukę, jak całemu światu wiadomo, zawsze ochraniała, broniła jej od napaści, najpiękniejsze jej w swym kulcie i w swych tajemnicach dawała pole, a nigdy żadnym stanowczym krokiem jej prawd i słuszných swobod nie ścieśniła. Tego jedynie od niej żądała, czego każdy zdrowy rozsądek wymaga: by i sztuka, córa mądrości Boskiej i uczenica jego twórczości, uchylała czoło przed Boskim prawem w zakonie moralności wyrażonym.

Tak dowodzi moralista — i trudno mu zaprzeczyć, chybaby całą moralność zanegować.

Po czyjey że teraz stronie staniemy? czy estetyka, pod hasłem

niezawisłości sztuki? czy moralisty, z zasadą jej zależności od zakonu moralnego? — Ośmielę się przedłożyć trzecią drogę: nie kompromis, bo w absolutnych zasadach, jakie ze strony moralności postawiono, niema możliwych ustępstw: ale syntezę, bo twierdzenia moralisty i estetyka nie wykluczają się tak bezwzględnie, jak się na razie zdaje — i dla tej syntezy spodziewam się przyzwolenie łaskawych słuchaczy uzyskać:

Niechaj sztuka będzie niezawisłą, niech tylko własnymi rządzi się prawami, tj. prawami piękna — ale niech pamięta, że między temi prawami piękna jest i prawo etyczne, że moralność jest jednym z już najistotniejszych wymagań estetyki. Niechaj mistrz słucha wyłącznie natchnienia swej duszy; ale niech ta dusza będzie etycznie piękną — bo tylko w takim razie będzie w zupełności artystyczną. Dla wyłożenia tego kardynalnego punktu naszej kwestyi proszę o chwilę uwagi.

Co to jest piękno? — Nie zapuszczam się w głębokie zagadnienia o pięknie absolutnem; biorę rzecz poziomo, empirycznie, w sposób jaki wszyscy pojmują i na jaki wszyscy zgodzić się powinni. Pytam takiego empirysty jak Lemcke: „Piękno, mówi on, „jest taką formą zjawisk, która odpowiada wrodzonym prawom naszego czucia“. — Czy może tylko czucia zmysłowego? oka? ucha? To jedno zdaje się mieć Lemcke na myśli w tem miejscu; ale idąc dalej w przeglądzie rozmaitych warunków piękna, sam spostrzega — i każdy to samo skonstatować może, — że nie idzie tu tylko o odpowiedniość przedmiotu do zmysłu, ale także do wszystkich władz człowieka, które się z tymże przedmiotem spotykają. Dla czego w architekturze np. żądamy symetrii? dla czego razi nas estetycznie masa głazów zawieszona w powietrzu bez odpowiedniego podparcia, *le plein sur le vide*? dla czego nie podobają nam się ozdoby nie wytłumaczone wewnętrzną potrzebą? Co te wszystkie warunki mają do oka? — Oczywiście nie idzie tu o samo oko i organiczne prawa widzenia; ale tym okiem patrzy rozum, który z natury swej wymaga zgodności, miary, równowagi, racji bytu wszystkiego. Czemu i w obrazie i w rzeźbie nie poprzestajemy na milej grze farb i światłocieniów, ale wymagamy jakiejś równowagi wyższego rzędu między częściami, jakiejś jedności myślniej, zawierającej racją bytu wszystkiego co się w dziele

sztuki pojawia? Dlaczego w muzyce, oprócz harmonii dla ucha, tłumaczącej się przez organiczne prawa słuchu, żądamy jeszcze jakiejś psychicznej harmonii uczuć, która tylko w głębszych prawach duszy uzasadnioną być może? Dlaczego w poezji dźwięk i rytm słowa jest wprawdzie niezbędnym, ale podrzędnym tylko arcydzieła warunkiem, a cała jego piękność przemawia wprost do ducha, i na jakiejś zgodności z jego prawami zależeć musi? — Zawsze i wszędzie dlatego, że uciecha estetyczna zależy na jakiejś syntezie zadowolenia tych wszystkich władz duszy, które się z danym przedmiotem spotykają. Przedmiot, mający być prawdziwie pięknym, musi żadnej z nich nie obrazić, sztuka musi i zmysłowi podchlebić, przez który do duszy trafia — inaczejby zaraz na wstępie wstrętu doznała — i dalej zadowolnić musi rozum i wolę i uczucie, wszystkie siły duszy, w miarę jak utwór sztuki w ich zakres wpada — a zadowolnić oczywiście, nie wszelkie ich zachcianki, ale normalne, zdrowe, prawdziwie ludzkie ich żądze i prawa. Stąd też Lemeke poprawia swe pierwsze orzeczenie piękna, drugim szerszem i nierównie dokładniejszym: „Piękno jestto prawidłowość przedmiotu, „zgodna z wewnętrzną prawidłowością naszego ja“.

Ale jakież prawidła należą do tej prawidłowości naszego „ja“? Oczywiście te co stanowią od wnętrza typowo doskonałego człowieka: co do myśli, prawa logiczności i racjonalności, co do woli i uczucia, prawo etyczne. Więc to jedynie może sprawić niezamąconą przyjemność estetyczną człowiekowi doskonale wykształconemu, co się z prawem etycznym godzi, a co temu prawu ubliża, to nie tylko moralne, ale i estetyczne poczucie obraża — i przeciw jednemu z praw piękna wykracza.

Ale wieleż ludzi nie stawia takich wymagań etycznych! Jakże często owszem rzeczy najniemoralniejsze, najszersze znajdują powodzenie i poklaski. — Cóż stąd wynika? Wielu przecież ludziom brakuje zmysłu symetrii, innym brak poczucia kolorów, innym ucha muzycznego... Otóż tym wszystkim ludziom — ale najbardziej tym, co nie mają dość delikatnego moralnego zmysłu — nie dostaje czegoś co do prawidłowego wyrobienia człowieka należy, a co konsekwentnie do sądu o pięknie jest potrzebnem. Piękno przecież nie jest tem, co się byle komu podoba, ani tem, co największej liczbie ludzi do smaku przypada, — w takim razie chyba najpię-

kniejsem malowidłem byłyby obrazki świętych z czerwonymi twarzyczkami i pozłocistemi sukniami, — bo takie najwięcej znajdują zwolenników — ale pięknem prawdziwym jest to, co się podoba człowiekowi wzorowo według wymagań natury ludzkiej wyrobionemu — czyli innemi słowy: co się podoba naturze ludzkiej w jej pełnem rozkwicie i doskonałym wykształceniu. A któż zaprzeczy, że w tej naturze ludzkiej w pełni wykształcenia, że w tem „ja prawidłowem“ poczucie moralne naczelne zajmuje miejsce i tem samem w sąd estetyczny wchodzi.

A nie potrzeba się aż do ideału natury ludzkiej wznosić; wszyscy ludzie, jakkolwiek ułomni i od doskonałości moralnej dalecy, mają zawsze dosyć poczucia moralności, ażeby jej związek z estetyką odczuwać. Ci nawet co w życiu własnem mało o moralność dbają, chcą drugich widzieć dobrymi, i ktokolwiek chce ich szacunek zdobyć, musi choć pozory uczciwości przybierać. *Dedit enim hoc providentia hominibus ut honesta magis juvarent*, powiedział Quintilian¹.

Dlatego to po wszystkie czasy, wielcy mistrzowie rozumieli zawsze tę potrzebę dostrajania swych dzieł do wymagań moralności, w miarę jak ta moralność bywała w różnych czasach pojętą. Homer łączy męstwo Achileśa z chwałą i nawet pięknnością fizyczną, a złość Tersita z brzydotą. Szekspir, chcąc nas głęboko zainteresować miłością Romea i Julii, uświęca tę miłość małżeństwem. Wstawmy na to miejsce zwykły niemoralny romans, a sami osądzimy, co zostanie z tej niezrównanej tragedyi i z tego delikatnego współczucia, jakie nas wiąże z jej bohaterami.

Dziś na pozór inne przemogło w sztuce prawo: poeci, malarze, powieściopisarze, dramaturgowie, na wyścigi szarpią uczucia i przekonania moralne — a z tem wszystkiem więcej mają wielbicieli, niż zapewne najwięksi mistrzowie w przeszłości mieli. Jakżeż to anormalne zjawisko wytłumaczyć? Czyż się prawa etyczne lub estetyczne zmieniły? — Żadną miarą; to jedno tylko się stało, że wciągnięto w sztukę czynniki wcale nie estetyczne. Przyciągać można do teatrów i muzeów, nie tylko pięknem i uciechą estetyczną, ale też innemi przynętami. Ile razy grają „Kościeszkę pod Raclawi-

¹ Inst. Orat. I. 12, 19.

camia", teatr się napelnia, nie dla samej artystycznej wartości utworu, ale iż serce skacze na uprzytomnienie tych bohaterских zapasów — co nie ma przecież z estetyką wspólnego. Podobnie i do innych dzieł sztuki ciągnąć może nie sam powab estetyczny, ale też duch partyi, moda, przejście się pewnem systemem, prosta niekiedy ciekawość, w końcu (wyznać to trzeba ze wstydem ludzkiej natury) najmniej estetyczna z podniet — zmysłowość. Którakolwiek z tych pobudek na powodzenie dzieła sztuki wpływa, zawsze się mówi: że ono się podoba — ale tylko jedno jest upodobanie estetyczne, inne są dla estetyki obojętne, inne jej wręcz przeciwnie. Kiedy obraz jakiś urągający przyzwoitości ściąga tłumy ciekawych, nie trzeba sądzić żeby u tych ludzi uczucie estetyczne tak dalece było zwichnięte. Oni, bądź co bądź, świadomi będąc brzydoty moralnej, doznawać też muszą jakiegoś wstrętu estetycznego; tylko po nad tym wstrętem górę u nich bierze wcale nie estetyczna ciekawość.

A jak można do lichych pod względem artyzmu utworów zwabiać tłumy niemoralnemi ponętami, tak samo i odwrotnie pociągać można pewnemi prawdziwie estetycznemi ponętami do niemoralnej i przewrotnej treści. I wtedy wpływ sztuki bywa najszkodliwszy. W pierwszym razie działa ona tylko na złych w drugim i dobrych psuje. Sztuka realistyczna robi istotnie z dniem każdym ogromne postępy, mianowicie pod względem techniki, dokładności studiów nad naturą, delikatności pędzla, tak w malarstwie jak i w literaturze, w powieści i teatrze. Te przymioty iście artystyczne wabią — i wabią niestety mimo również estetycznego odwrócenia, jakie wywoływać musi niemoralna zawartość lub niecna dążność tychże utworów.

Stąd, co i p. Martha zauważył, dzieła tej sztuki zostawiają nam jakiś niepokój w duszy i wrażenia dziwnie sprzeczne. Kiedy Grek wynosił z swego teatru harmonijne i pogodne zadowolenie swych uczuć — my często wychodzimy z teatru lub zamykamy książkę powieściową z rozterką wewnętrzną: nie wiemy czy chwalić mistrza, który nas podbił talentem i świetną fakturą, czy ganić, że obraził nasze moralne uczucia; chce nam się kochać bohatera dla jakichś czarujących przymiotów, jakeimi go przybrano, a wstręt do niego czujemy dla pewnej brzydoty, której nieuchronnie bywa przedstawicielem; zaciekawia nas

psychologiczna analiza, którą autor z lubością przeprowadza, ale w głębi duszy czujemy że to analiza zwierzęcia, a że w życiu i duszy ludzkiej inne grają czynniki; wszystkie nasze etyczne pojęcia zostają zgwałcone i jakby zwichrzone.

Taka maniera w sztuce jest oczywiście szkodliwa dla moralności — bo powoli, pod tą ciągłą predykacją przeciw dobremu w imieniu piękna, pojęcia i poczucie moralności słabną i zacierają się; ale taka maniera jest najprzód szkodliwą dla samejże sztuki, sprzeczną z prawami piękna. Być może, że właśnie to wzniesienie sprzeczności, to szermowanie z sądem moralnym, to porywanie uczuć przeciwko naturalnemu ich prądowi, ma jakiś pieprzyk dla zwiędłych smaków. Ale bądź co bądź, wszelka dysharmonia, wszelka sprzeczka, zwłaszcza z moralnością, jest uszczerbkiem piękna, ujmą prawdziwie estetycznego używania. Tymci większa szkoda im cenniejsze zkadinał dzieła lub im większe talenta w ten sposób marnieją.

II.

Doszliśmy więc do rezultatu — który każde proste serce z góry odgaduje — iż dobro i piękno nie mogą być w sprzeczności. Wynikło nam to, nie tylko z natury dobra, które swe prawo etyczne na wszystko co ludzkie rozciąga, ale także z natury piękna, które mając całej istocie ludzkiej harmonijnie się przymilić, musi i poczucie moralne, tak wysoko w prawidłowej duszy stojące, uszanować i zadowolnić. Zostaje nam jeszcze drugie pytanie: jak ta łączność dobra i piękna ma się w sztuce urzeczywistniać? jakimi sposoby sztuka spełniać może to powołanie do umoralnienia ludzkości, które jej świat zawsze w pewnej mierze przypisywał?

Sztuka umoralnia najprzód, jak się już powiedziało, kiedy sama jest moralną — kiedy artysta nie dopuszcza się jako artysta tego, czego by jako człowiek powinien się rumienić; kiedy nam każe kochać co jest do kochania, brzydzić się tem co jest moralnie szpetne, litować się nad tem, co na litość zasługuje. „Na wychowanie, mówi p. Martha, wpływa nie tyle morał, ile przedstawianie z zycznym człowiekiem, który żyje szlachetnie, który sądzi o rzeczach prawo, który rozmową i przykładem wywiera na otoczenie swoje

wpływ dobroczynny, nawet bez dawania lekey i moralów. Powie-
dzieć można, że w społeczeństwach sztuka gra rolę takiego czło-
wieka. Jeśli jest tem czem być powinna, jeśli jest wzniosłą, czystą,
delikatną, to już kształci, oczyszcza swą delikatnością, samem poka-
zaniem się poucza“.

Nie wyklucza się przez to ze sztuki dotykania moralnych
ran ludzkości, byle z tą delikatnością z tym taktem, z tą miłością
która cechuje wykształcenie serca i dobre wychowanie. Nie zabrania
się wprowadzania postaci lichych i złych, jakich często wymaga
przedmiot i prawda życia. „Ale wieley artyści — mówi Taine¹ —
zmuszeni niekiedy do szkicowania takich charakterów, brali się
na dwojaki sposób dla pokrycia ich brzydoty i podłości: albo uży-
wali ich jako dodatków i niby zagłębień, dla wydobywania na wierzch
główniej postaci — taki jest zwykły proceder powieściopisarzy,
który studyować można w *Donkiszocie* Cervantesa, w *Eugénie*
Grandet Balzaka, w *Madame Bovary* Gustawa Flaubert. Albo też
zwracają nasze uczucia przeciwko tym postaciom, każą im brnąć
z awantury w awanturę, wywołują przeciw nim śmiech wzgardy
i pomsty, pokazują umyślnie złe skutki ich moralnej karłowatości,
wyklinają i wyrzucają z życia ten niedostatek, który się w nich
uosabia. Widz, będąc ku nim wrogo usposobiony, czuje się zadowolnio-
nym; doznaje podobnej uciechy na widok zgniecionej głupoty i ego-
izmu, jak na widok ekspansyi dobra i cnoty. Taki jest walny śro-
dek postępowania autorów komicznych; ale używają go też z po-
wodzeniem powieściopisarze: znajdujemy go nietylko w *Précieuses*,
w *Ecole des Femmes*, w *Femmes Savantes* Moliera, ale też w *Tome*
Jons Fildinga, w *Martine Chuzzlewit* Dickensa, w *Vieille Fille*
Balzaka. Wszelako widok tych dusz skretynizowanych sprawia
w końcu czytelnikowi znużenie, niesmak, nawet złość i gorycz —
a jeśli one są zbyt liczne, jeśli główne zajmują miejsca, to aż się
wnętrznosci przewracają (*on est ecoeuré*). Wstrętnem jest widzieć
robactwo, nawet kiedy się rozdeptuje, i tęsknimy za widokiem zdro-
wszych i wznioślejszych postaci“.

Tak prawda przemawia, nawet przez usta wielkiego materya-
listy w sztuce.

¹ Taine. Philosophie de l' art. V. partie.

Nie potrzebuję dodawać, że sztuka przeciwną idącą drogą demoralizuje. Sztuka, która kocha się i lubuje w lichocie i brzydocie moralnej i wszelkimi sposoby, świetnością faktury i nawet powabem dowolnie przyłataney cnoty, serca nasze do przedmiotu swych upodobań przyciąga; która każdą niecnotę łączy dla przynęty z jakąś szlachetnością, każdą prawosć wystawia nietylko na tragiczny koniec — co może być i prawdziwem i pięknem — ale zawsze i nieuchronnie na moralny upadek — co do rozpacz o cnocie przywodzi; sztuka która nad upadłą kobietą nie litować się każe, ale ją podziwiać; która jeśli nas oprowadza po ciemnych i dusznych zaułkach ludzkości, to nie dla obudzenia zgrozy lub miłosierdzia, ale żebyśmy się oswajali z tą wonią i nasiąkali tym brudem; jeśli odsłania postać człowieka, to nie aby okazać chwałę idealnej piękności, ale by go zhańbić złą namiętnością; kiedy dobiera scen z życia, to tylko poziomych, kiedy kreśli charaktery, to tylko mierne, kiedy uwielbia miłość, to tylko sprośną — taka sztuka jest z *l* e m t o w a r z y s t w e m. Jakżeż człowiek co się szanuje może z nią przestawać? a kto z nią przestaje, jakżeż niema odnieść moralnego skażenia?

Sztuka umoralnia po drugie przez to, że, jak się wyraził Arystoteles, „oczyszcza namiętności“. — „W tym właśnie punkcie namiętności, mówi p. Marta, tkwi głęboka przyczyna waśni, jakie „razporaz między sztuką a moralnością powstają. Sztuka żyje na „miętnością, moralność chce namiętności stłumić“. Uznają na tym punkcie pewną trudność zgody; ale przecież i zgoda i nawet wzajemne popieranie się musi być możliwem. Nie namiętność jest niemoralną, tylko jej wyuzdanie. Namiętności są potrzebnem natury naszej składnikiem, darem Bożym, okrom którego życie byłoby bez ciepła a czyn bez siły. Tylko naturalny porządek wymaga by nad nimi przewodził rozum i trzymał je na wędzidle woli.

Tout est bien, tout est beau, tout est juste à sa place¹.

Etyka uczy kielznać te rumaki i wprzegać je do rydwanu życia. Ale pomaga w tem dziele, przegrywa podczas tej tresury owa lutnia Orfeja, którą znajdujemy nietylko w Grecyi, ale przy początkach każdej cywilizacyi. I w ciągu całych dziejów ta lutnia cudowna widoczną gra rolę w uszlachetnieniu uczuć i popędów: ona

¹ Lamartine.

opiewaniem bohaterskich czynów, szwały rozbójnicze zamienia w zapęły poświęcenia dla ojczyzny, ona wyrabia poczucie honoru, pogardę dla podłości, delikatne współczucie dla cierpień ludzkich. A gdy dzieło tej harmonii psychicznej, która jest kwiatem cywilizacji, dokonane — ona opiewa tej harmonii piękność i podziwiać ją i kochać się w niej każe.

Prawda, że namiętności łatwo zrzucają pęta — i nawet wtedy dzikie ich wybryki mają jakiś urok, który sztukę nęci i zachwycą. Wszelako i w tym razie właściwy moment piękna, nie w samym zerwaniu pętów, nie w strzaskaniu rydwanu leży, ale w tej sile olbrzymiej, która właśnie w tem gwałcie miarę swej potęgi daje, a jest rzeczywiście dodatnim natury przymiotem — siłą dla porządku.

Zresztą i same wybryki należycie przez sztukę ujęte głęboką dla widza zawierają moralność: „Namiętności są ślepe, mówi przytoczony już estetyk, to znaczy, że same siebie nie widzą; dlatego „przyda się, żeby je człowiek widział poza sobą, w zwierciadle „sztuki; wtedy je przedmiotowo sądzi, podziwia, lub potępia“. Każda namiętność ma swoją wewnętrzną sankcję, ma pewną logiczność w swem pochodzie, w swem wytrzeźwieniu lub dojściu do właściwej sobie katastrofy. Jak ten dziki rumak, co stargawszy wędzidło sady ku przepaści, tak namiętność co zrzuciła jarzmo sumienia i rzumu, wspaniała być może w swych potężnych podrzutach, lecz zastraszająca jest swoją ślepotą — a kończy, jak wszystkim wiadomo, żalem i goryczą. Sztuka, w której się ta życiowa logika namiętności w prawdziwym świetle uwydatnia, jest w gruncie moralną, bo jest skróconym i przejrzystym obrazem życia — a życie samo jest bądź co bądź moralnym dramatem, który poucza i wytrzeźwia.

Ale widok namiętności drugih jest zaraźliwy, przedstawienie ich naraża widza na wzburzenie własnych namiętności. — Otóż tu właśnie potrzeba sztuce największego taktu, żeby jej misja umoralniająca nie zmieniła się w szkołę zepsucia. Dwa na to ma sztuka środki. Najprzód, ażeby sam mistrz był moralnym i miłośnikiem moralnego piękna, wówczas znajdzie on niezawodnie taki sposób traktowania największych zboczeń i szalów namiętności, żeby widz tylko szlachetne i moralnie zdrowe zachował wrażenie. W dziele

przebiję się dusza artysty; i tu stosuje słowo św. Augustyna: *Dilige et fac quod vis*.

Drugi środek, sztuce właściwy, zależy na pewnem oddaleniu czyli cofnięciu przedmiotu w świat idealny. Zły przykład gorszy, zła namiętność roznamiętnia, kiedy jest za blisko, kiedy jest w świecie realnym nas otaczającym, albo w przedstawieniu ludzaco do tego świata podobnym. W kolorowanej figurze z wosku nie znieśliśmybyśmy niejednej nagości, na którą pozwalamy jeszcze w marmurowym posągu — bo marmur jest dalszy od rzeczywistości; idealna piękność ciała więcej je też przenosi w świat idealny, niż realistyczna wierność w przedstawieniu. Powieści Zoli i jemu podobnych mieszczą zwykle moral dodatni: obok występku stawiają jego złe skutki i kary — ale dlatego są arcyniemoralne, że wszystkie brudy ludzkości malują w sposób nie zrównanie realistyczny, dotykany, cuchnący — i żywcem duszę w tym kale nurzają. Teatr dzisiejszy dla tego tak łatwo i tak często niemoralnie oddziaływa, że przemawia prozą, że przedmioty bierze z wypadków nam społecznych, że całym urządzeniem sceny i ubiorów ludzaco naśladuje najbliższą nam rzeczywistość. Stąd każdy występki, każdy wybuch namiętności, działa zakaznie, prawie tak samo jak w rzeczywistym pożyciu. Póki zaś teatr przemawiał wierszem, przedmioty brał z nieco odległej przeszłości, mógł sceny przedstawiać tak namiętne, jak czytamy u Racina i Szekspira, bez takiego narażenia obyczajów — bo zostawał w sferze idealnej.

A że to sprowadzenie przedmiotu do poziomu realności, to sztuczne zacieranie właściwego mu znamienia rzeczy idealnej, to traktowanie ludzaco realistyczne, to upośledzające wyparcie się twórczości, sztuce właściwej i należnej, a współzawodnicze z fotografią stereoskopiczną i z figurą woskową — że to wszystko, mówię, jest grzechem przeciw samej sztuce i przeciw pięknu, na to sędzę, łaskawi słuchacze bez dalszych zgodzą się wywodów¹.

¹ Kiedy mowa o traktowaniu namiętności w sztuce, zwrócić muszę uwagę na jeden z najfałszywszych a oraz najniemoralniejszych kierunków, na jaki w tej materii powieść dzisiejsza wchodzi. Wspomniałem już jak często artyści zdobywają sobie powodzenie, nie samem artyzmem, ale różnorodnemi przynętami, nawet doktrynerstwem modnem. Otóż dziś w modę wchodzi polor naukowości, pobieżnie zaczerpnięty z materialistycznych psychologii. I — kto by uwierzył? — rozgłosiwszy tylokrotnie, że sztuka nie ma się bawić

Sztuka umoralnia po trzecie przez to, że nas humanizuje, jak mówiono w czasach humanizmu. Wspomnieliśmy już o wpływie lutni Orfejskiej, na ucywilizowanie narodów i uszlachetnienie uczuć ludzkości; uznajemy powszechnie, że świat klasyczny, ze swoją sztuką i piękną literaturą, jest niezbędną szkołą dla wykształcenia „humanitarnego“ młodzieży; — otóż ta rola sztuki nie jest przejściową, ale w każdej epoce cywilizacyi i w każdej porze życia rzeczą sztuki jest karmić i kształcić ludzkość (*das Menschliche*) w człowieku.

W sztuce zajmujemy się przede wszystkim człowiekiem, idealizujemy go, zachwycamy się tem co najpiękniejsze w jego ciele

w doktryny, sadzą się dzisiejsi powieściopisarze na uczoność, pozują na przedstawicieli pewnych filozoficznych i przyrodniczych teorii, i na kanwie tychże teorii swoje, jak mówią, „studya“ nad namiętnościami przeprowadzają. Jak dalece taki system jest antiartystycznym, to się samo przez się rozumie. Ale jak dalece jest on zgubnym dla moralności publicznej, niech powie niepodejrzany o surowość sązdia, współpracownik *Figara*, Henryk Fouquier:

„Wobec strasznego wybijania zbrodni, jakie dziś spostrzegamy (mówi on w artykule: *Le Romanticisme du Crime*, w marcu b. r.) wielka część odpowiedzialności spada na literaturę. Kiedy idzie o namiętności, zwłaszcza o namiętność miłości, powieściopisarze popisujący się chętnie naukowością, lubią je przedstawiać, jako popędy nieprzeparte, pochodzące z temperamentu, z którym nie walczyć nie może, jako skutki dziedzictwa fizjologicznego i patologicznego, które czynią człowieka zgoła nieodpowiedzialnym. Niegdyś człowieka przedstawiano jako istotę wolną, kuszoną od namiętności, lecz oraz uzbrojoną przeciw nim. Ta walka między siłami nieomal równymi sobie, w której człowiek to zwyciężał, to pokonanym zostawał, była tematem dawniejszej sztuki. Być może, że aż zanadto wolności ludzkiej przyznawano; ale sztuka dzisiejsza, rzucając się w przeciwny kierunek, z tym zapalem jaki wywołują nowości, znosi całkiem tę wolność człowieka, czyniąc z niego narzędzie fatalizmu natury.

„Idea nieodpowiedzialności owłada sędziów przysięgłych, a więcej jeszcze samych zbrodniarzy. Nic wygodniejszego na świecie, jak sądzić się nieodpowiedzialnym, kiedy się chce jakąś namiętność zadowolnić, i nie tak nie ośmiela, jak wiadomość, że jeśli przyjdzie stanąć przed sądem, to będzie się uchodziło wobec dwunastu obywateli przysięgłych, za ciekawy okaz fatalizmu, w guscie Antony'ego, którego potępienie byłoby w oczach sędziów i publiczności czynnem anti-naukowym.

„Namiętność jest teraz ideą scyentyficzną, zaszczerpioną na fantazyi romantycznej. Ten sobie zabija własną żonę, tamten puszcza z dymem własny dom, goni za jakąś nędznicą, która go, rozumie się, w pole wyprowadza, pali w łeb nieszczęsnemu jej wielbicielowi, który o niczem nie wie i niczemu nie winien — i mówią nam: uszanować fatalizm! prawa dziedziczne! temperament! uszanować obłąkanie! — Do licha! jeśli obłąkani, to ich zamknąć trzeba!“

i w jego duszy, odczuwamy z delikatną sympatją jego bole, smutki i radości, nadstawiamy ucha wszystkim tętnom jego serca i oddźwiękom jego duszy — słowem, uczymy się człowieka kochać w jego idealnej piękności, i nawykamy ten ukochany ideał w ludziach żyjących odgadywać. A tak jedno jak i drugie jest wysoce umoralniającem. Nie chcę powiedzieć, żeby sztuka mogła w tej mierze chrześcijańską miłość bliźniego doścignąć lub zastąpić, ale twierdzę, że ma zaszczyt w sferze przyrodzonej podobnie humanitarne, choć nierównie niższe, spełniać zadanie.

Wszelako i tej stronie dodatniej przeciwstawia się niestety strona ujemna: niemoralność sztuki poniewierającej człowieka. Żeby nie uchodzić za cenzora, przytaczam znów słowa nowożytnego estetyka: „Jakżeż wielcy poeci wszystkich czasów, mówi on, czulemi byli dla ludzkości, z jakim ogniem i radością wielbili jego wrodzoną zacność, jak delikatną ręką opatrywali jego rany. Nawet wielcy krytycy ludzkości, Juvenalis i Molière, piętnując występki, objawiali swą cześć dla człowieka. Dziś człowiek jest sobie lichą i śmieszną istotą, którą się prześladuje w powieści, na scenie, prozą, wierszem, aż w sonetach; ściga się go, nie z moralnej surowości, ale z fantazyi i brutalności, jak się ściga zwierza. Sadzą się na nowe odkrycia w jego moralnych brzydotach, wywlekają z przyjemnością jego hańby, zmyślają nawet i obarczają tego helotę nieprawdziwemi podłościami. Najmłodsi nawet poeci, ledwo z jajka wyszedłszy, dokuczają jak złośliwe dzieci nieborakowi. Sztuka, która była przyjaciółką i wielbicielką człowieka, stała się jego wrogiem, szkaluje go, potwarza i brudzi. A nie jest to cechą pojedynczych dzieł, lecz tematem całej naszej beletrystycznej literatury... I dla tego właśnie spodziewać się należy, że ta jednostajność konwenencyonalnego pesymizmu znudzi w końcu i odrazi publiczność“¹

Że taki rodzaj sztuki jest głęboko niemoralny, każdy to, sądzę, czuje — nie wyjawszy tych co mu hołdują. „Skoro się przedstawia zło jako jedyne władce świata, mówi z wielką prawdą p. Bentzon, już nie widzimy o co walczyć w życiu i łatwo zapominamy samych siebie bronić. Wszystko co przyczynia się do osłabienia naszej wiary w siebie i energii w dobrem, to jest

¹ C. Martha l. c.

najistotniej niemoralnem — i w tem właśnie leży głęboka niemoralność pesymizmu“¹. — A że ten rodzaj sztuki jest oraz w najwyższym stopniu naturze sztuki przeciwnym, nieestetycznym, brzydkim, to już sobie każdy w duszy dośpiewał.

Tak więc, z którejkolwiek strony badamy ten stosunek estetyki do moralności, na jakiejkolwiek czy przymioty czy uchybienia sztuki zwracamy uwagę, zawsze i wszędzie trafiamy na tę zgodność i łączność wymagań dobra i piękna — zgodność i łączność, która o harmonii naszej natury wymownie świadczy, a domyslać się każe wspólnego i absolutnego Pierwiastku, od którego dobro i piękno wraz z prawdą nierozdzielnie zstępują.

Im dalej i głębiej ten związek obu sfer badamy, tem więcej jedna w naszych oczach przenika drugą, jedna opromienia drugą. Sztuka staje przed nami jako współpracownica moralności, a moralność jako jedna i najpiękniejsza z sztuk. Cnota doskonała okazuje się arcydziełem sztuki, do wykonania którego wszyscy jesteśmy powołanymi i uzdolnionymi mistrzami; a wszystkie nasze i moralne i estetyczne skłonności do wykonania tego arcydzieła służyć nam mogą — i powinny.

X. M. Morawski.

¹ Th. Bentzon. La satire de l'esthétisme. Revue des deux Mondes, Mars 1887.

MŁODE LATA KSIEDZA STANISŁAWA CHOLONIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Mikołaj Grocholski wicegubernatorem podolskim. — Urzędnik i Wolnomularz. — Ksiądz Zacharyasz Werner. — Projekt sprowadzenia Redemptorystów do Janowa. — Petersburskie zawody. — Sejm warszawski. — Powołanie zakonne siostry Cecylii.

Choloniewski widział doskonale, że nie brano go na seryo, że znajduje się w nieokreślonej, bardzo nieprzyjemnej pozycji; cofać się jednak przed czasem nie chciał, a pocieszał się uśmiechem losu dla ukochanego szwagra. Śmiało powiedzieć można, iż więcej mu leżała na sercu karyera Grocholskiego, niż własna, ciągle się też nią zajmował, to dla dodania ufności donosił, że cesarz na urzędy w Polsce chce tylko Polaków, i przestrzegał, aby więcej rachować na polskie niż na rosyjskie rekomendacye¹, to dawał wskazówki, jak witać cesarza w przejeździe przez Podole: „Wesoło „Pana i hucznie witajcie, lecz nie krzyczcie: Niech żyje król!“; to wreszcie przypominał, aby zaniehbując dozwolonych zabiegów, nie tracić pokoju duszy:² „Trzeba się zapatrywać na wszystkie swoje „starania, jak na posuwanie figurek szachowych. Raz zbredzisz, to „poprawisz przy następnej partyi... bo i jakież rozumny człowiek „daje na stawkę spokój serca, rachuje na protekeye, buduje na „ruinach, jak się wyraża Bossuet. Powiesz mi: To chyba nie grać! „Nie! mój drogi, grać trzeba i to przez całe życie, ale honorowo „i nie tracąc zimnej krwi“.

¹ 9 sierpnia 1816.

² 22 sierpnia 1816.

Pierwsze wiadomości z Podola brzmiały niezbyt pomyślnie. Cesarz nielaskawem okiem spoglądał na Grocholskiego, a Stanisław musiał go pocieszać, tak jak słusznie mógł pocieszać samego siebie, że „jeśli ci się osobiście nie kleiło, to bądź przekonany, że „ważniejsze może jakieś powołanie od Pana Panów Tobie przeznaczone“, ale, dodawał z fantazją *summa summarum* wszystko do „brze poszło“¹. Jakoż, jakby na usprawiedliwienie ostatnich tych słów, mógł Chołoniewski już w dwa tygodnie później powinnować, a podobno i pierwszy donieść szwagrowi, o dopiero co wyszłym ukazie, w którym cesarz, uznając zasługi położone na marszałkowskim urzędzie, mianował go wicegubernatorem podolskim. Powinnowanie to skreślone z niezwykłą jak na wiek tak młody rozwagą, wskazuje na wewnętrzny proces, jaki w tym czasie Chołoniewski przechodził; szumowin młodości nie będzie już wkrótce i śladu, a poczucie obowiązku i miłość Boża zajmą pierwsze miejsce w rozumie i sercu.

„Wyznam ci², że kilka miesięcy wprzód ten nowy urząd, „chociaż nieodpowiedni temu, co ci przyjaźń życzyć może, mocno „mnie by ucieszył, tj. po dziecinnemu. Lecz od niejakiego czasu, „takem się w wielu względach podstarzał, że nie jestem w stanie „korzystać z szczęśliwego wypadku, który nim się być zdaje, bez „rozpatrzenia się, czy nim długo będzie dla osób, do których się „on ściąga. ... Wyznam ci szczerze, że nie mam serca ci tego winnować. Chociaż jest chlubnem w oczach opinii, nie może być „przyjemnem dla mnie, który znam twój sposób myślenia, twe interesy i twoje przywiązanie do obowiązku. Jaka cię czeka odpowiedzialność? Jakich będziesz miał naczelników? Jakich podkomendnych? Jak się z nimi będziesz musiał objadać! Jak dobra „oddalone od Kamieńca!... Tymczasem do czego się weźmiesz, „wiem, że wprzód będziesz prosił o pomoc Boską, aby cię wsparła „w ciężkich, ale świętych obowiązkach“.

W kilkanaście dni później zastanawiał się bliżej nad kilku szczegółami i trudnościami nowych tych obowiązków:³ „Jeśli mu-

¹ 18 paźdz. 1816.

² 3 listopada 1816. — List polski.

³ 18 listopada 1816. — List francuski.

„sisz coś reformować, bierz się do tego z wolna, a przedewszystkiem „nie zaprawiaj goryczą twych przedstawień do Guriewa. ...Skoro „potrafisz przywrócić porządek w powierzzonej ci części administra- „cyi, pozyskasz sobie ufność, a podwładni twoi będą musieli albo „zmienić swe postępowanie, albo jeśli do tego nie zdolni, a nie „zechcą mrzeć z głodu, to będą musieli ustąpić swych miejsc dla „urzędników krajowców, którzy, mając jakąś własność, mogą w da- „nym razie pociągnięci być do odpowiedzialności“.

Mimo pozornie świetnego stanowiska Grocholski na wicegu- bernatorskim urzędzie nie spoczywał na różach: wiele spraw zale- głych trzeba było mozolnie odrabiać; niechętnych i zazdrośnych jednać; a w dodatku dla zjednania sobie niezbędnej powagi wobec świata urzędowego i wszystkich, co ludzi mierzą wstęgą i tytułem, krzątać się w Petersburgu o dworską jakąś rangę. Stanisław wziął na siebie to ostatnie staranie, a wywdzięczając się przyjacielowi za dawne napomnienia, pocieszał go i zachęcał do wytrwałości: „Zda- „jesz się zupełnie zniechęcony nowym urzędem¹, lecz wytrwaj do „końca, póki ci zdrowie i siły pozwolą, *et non poenitebit*... Ja tu „będę, ile mógł pukał, stukał i kołatał“. Jakoż pukał i do starego Siewersa, będącego w wielkich łaskach u cesarza, i do Saint-Prie- sta, który znowu ze swej strony obiecał przypuścić atak do Sie- wersa. Staruszek obiecywał, zapewniał, że Grocholski ma *wahr- haftig Recht*, obmyślił całą niemiecką przemowę do cesarza, w któ- rej miał prosić o odznaczenie dla Grocholskiego i Giżyckiego, jako jedyną nagrodę swoich własnych zasług, ale zbyt był stary i osła- biony, aby to teoretyczne uznanie w praktyce przeprowadzić i pię- knie ułożoną mowę w rzeczywistości wypowiedzieć. Wysłał wprawdzie raport do cesarza, ale odpowiedź nie nadchodziła. „Z na- „szym staruszką wielka bieda“, donosił Stanisław w sierpniu 1817 r.², a więc po całorocznych bezskutecznych zabiegach. „Ce- „sarz wyjeżdża, a on słaby. Raport swój posłał, odpowiedzi niema „z Carskiego siola, a starowina podobno czynnie wybiera się do „carstwa wiecznego. Na tem się kończą nasze wszystkie zabiegi; „lecz dla tego żyć trzeba, a beczyc wstyd. Najczęściej zaś krzy-

¹ 11 stycznia 1817.

² 23 sierpnia 1817. — List polski.

„wimy się bardzo na najmniejsze nieprzyjemności, bo nie możemy „sobie wystawić, aby bieda była stanem naturalnym, tylko chcemy „ją kiedyniekiedy oglądać... Ten twój awans, to jest jakieś li- „cho, co im więcej popierać, tem się ono gorzej posuwa; kiedyś „nawiasem ci spadnie to wszystko, co długa mazoła nie dokazała“.

Jak przepowiedział, tak się stało: ranga, order, awans „spad- dły nawiasem“ na Grocholskiego, kiedy już Chołoniewski wyjechał z Petersburga; jego własne zamiary i starania i dla siebie i dla innych, jakby z góry skazane były na niepowodzenie. Później błogosławił Boga za te niepowodzenia, które królewską drogą krzyża poprowadziły go do oddania się zupełnego w służbę, już nie ziem- skiemu, ale niebieskiemu królowi; teraz różne te zawody i trudno- ści hartowały go w walce życia i przyzwyczajały oko do spogląda- nia w niebo. W listach z tego czasu spotykamy coraz częstszą wzmiankę o Bogu, coraz silniej występujące przywiązanie do reli- gii. Prawda, że dopiero co równie pilnie uczęszczał do kościoła, jak do wolnomularskiej łoży, ale rzecz niewątpliwa, że jak naj- większa część Polaków-masonów z tego czasu, tak i Chołoniewski nie miał wyobrażenia o właściwych celach sekty — był przekonany, że zmierza ona tylko do jakichś nie dość określonych, humanitar- nych celów, a kabalistyczne jej znaki i próby uważał za nieskho- dliwe a ciekawe mistyfikacje. Taki dobry chrześcijanin, jakim nie- wątpliwie był Mikołaj Grocholski, należał do łoży petersburskiej *Les amis reunis*; za przykładem szwagra poszedł Chołoniewski, i prawdopodobnie w czasie pierwszego swego pobytu w Peters- burgu przywdział oznaki masonskie¹. Bawiło go, że przy nazwisku tego lub owego znajomego mógł umieścić trójgwiazdkowy trójkąt; że na końcu listu podpisywał się tajemniczo przybranem w łoży nazwiskiem *Petrus das Kind*, a zamiast używać słowa „łoża“, „ma- sonerya“ lub „wolnomularstwo“, rysował tajemniczy kwadracik. Na tem podobno ograniczały się wszystkie tajemnice przekazane mło- demu Bratu, ale i tego było już za wiele. Ktoś z przyjaznych, może spowiednik, może pocziwa jakaś książka zwróciła mu pier- wszą uwagę na niebezpieczeństwo tajnych sekt i walkę ich z ko-

¹ O ówczesnych łożach masonskich w Petersburgu, Kijowie, Kamieńcu, Żytomierzu, zamieścił ciekawe szczegóły Dr. Antoni J. w piątej seryi swych *Szkiców i Opowiadań* str. 392 np.

ściołem katolickim. Czy to prawda, czy to możliwa zapytał Chołojewski z niedowierzaniem, otrzymawszy to poufne, choć widocznie bardzo delikatne ostrzeżenie i z cechującą go dobrą wiarą postanowił dowiedzieć się czegoś więcej o celach i istocie masoneryi: czy to prosta zabawka, czy humanitarne stowarzyszenie, śmieszne kuglarstwo, czy niebezpieczny wróg religii i obyczajów, ukrywający się pod błazeńskim strojem arlekina?

Szczęśliwy traf ułatwił otrzymanie dokładnej, a prawdziwej odpowiedzi na powyższe pytania. W połowie czerwca r. 1816, a więc w kilkanaście dni po odejździe Stanisława do Petersburga, zawitał do Janowa nowy gość, znany niemiecki poeta, ksiądz Fryderyk Ludwik Zacharyasz Werner. Nawet w tych czasach, w których życie zbyt wielu ludzi było jednym zbiorem najdziwniejszych awantur, Werner zwrócić musiał na siebie uwagę oryginalnością losów, które przechodził, a które pchając go coraz inną koleją, oblekły wreszcie w habit Redemptorysty i zaprowadziły do Janowskiego zamku. Ojciec Wernera profesor historii na uniwersytecie w Królewcu odumarał go bardzo młodo; matka, kobieta wyegzaltowana, przepełniła żywą wyobraźnię niezdrowemi fantazyami, a gdy fantazy te połączyły się z metafizycznymi wykładami Kanta, którego wykładów słuchał przez lat cztery, zrodził się w młodej głowie filozoficzno-poetyczny chaos. Chaos w rozumie sprowadził chaos w sercu i w życiu. Rozkochawszy się na zabój w jakiejś kobiecie bardzo podejrzanej wartości, uciekł z nią do Warszawy, wziął tutaj ślub, a osiadłszy w Piotrkowie, po dwuletniem zaledwie wspólnem pożyciu, starać się począł o rozwód. Druga żona umarła wkrótce; z trzecią, córką jakiegoś krawca warszawskiego, również w dwa lata po ślubie się rozwiódł. Zakończywszy w ten sposób małżeńską swą karyerę, zwrócił się Werner do łóż wolnomularskich, zapisał się do nich i z nadzwyczajnym zapalem zaczął pracować nad „odrodzeniem rodzaju ludzkiego“. Z kolei posypało się z pod płódnego pióra kilkanaście dramatów napisanych z niezaprzeczoną oryginalnością i pięknnością formy, ale przesiąkniętych denerwującym sceptycyzmem i jawną bezbożnością. Imię Wernera stało się głośne: dramata jego odgrywano na wszystkich niemieckich scenach; gdziekolwiek przybył, w licznych podróżach po Niemczech, Czechach, Szwajcaryi i Francyi, otaczało go koło zapalonych wielbicieli

i wielbicielek. Hołdy te oszołomiły, ale nie potrafiły napelnić serca poety; masonski mistycyzm, po bliższem przypatrzeniu się napelnił go wstrętem; biedne serce gonilo za wyższym jakimś religijnym ideałem, ale w zimnym protestantyzmie nie mógł tego ideału odzyskać. W tej chwili wahania się, Opatrzność dała mu za przyjaciela biskupa Dalberga; jego rady i nauki otworzyły nowy świat przed zdziwionem okiem poety; łaska odezwala się w sercu, a podróż do Rzymu, widok przejmujących do głębi uroczystości katolickich dokonały dzieła. Pierwszego kwietnia 1811 r. wyrzekł się Werner protestanckich błędów, a w parę lat później mimo głośniego oburzenia protestantów z samym królem pruskim na czele, został księdzem. Ogniste, proste, ale pełne siły kazania gromadziły do stóp jego ambony tysiące słuchaczy, a Bóg błogosławił słowom płynącym z głębi wzruszonego, prawdziwie przekonanego serca. W czasie wiedeńskiego kongresu zapoznał się Grocholski z dość dokładnie znającym Polskę Wernerem i obaj prawdopodobnie już teraz zastanawiać się poczęli nad pytaniem, czyby Redemptoryści, do których zakonu Werner później wstąpił, nie mogli się osiedlić najprzód na Podolu np. w Janowie, a później rozszedłszy się stąd po pogranicznych prowincjach, stanąć waleń przeciw silnemu jeszcze prądowi obojętności i niewiary. Dla wszechstronnego omówienia i przeprowadzenia tego planu, zjechał właśnie Werner do Janowa i wnet, zawiązawszy listowną znajomość z Chołoniewskim, zwrócił się do niego o poparcie niełatwej tej sprawy w Petersburgu; natomiast Chołoniewski, osidlony masonską propagandą, najlepszą miał sposobność dowiedzieć się od dawnego wolnomularza, i to jednego z najgorliwszych, jaką dać należy odpowiedź na dręczące go pytania, czem są tajne sekty, jakie ich cele i stosunek z Kościołem.

Z sposobności tej nie omieszkiał skorzystać. Pozwalał sobie wprawdzie powątpiewać¹ „czy pobyt w Janowie tego męża świętego, ale chodzącego nadzwyczajnymi drogami, będzie pożyteczny dla Janowskich mieszkańców, bo choć go osobiście nie znam, to zdaje mi się, sądząc po ostatnich jego dziełach, iż zbyt wielką wagę kładzie w religii na rozum“, ale swoją drogą w kilkanaście

¹ Do *Mik. Grocholskiego* 25 czerwca 1816.

dni później polecał szwagrowi: ¹ „Drogi Przyjacielu! Poproś Wernera, żeby się za mnie pomodlił, a jeśli to człowiek prawdziwie „święty, zapytaj go, nie jako filozofa, ale jako katolika złączonego „z kościołem rzymskim, jakie ma zdanie o wolnomularstwie“. Odpowiedź nie zaraz nadchodziła, a niecierpliwy Stanisław w dwa tygodnie później powtarza tylko dokładniej to samo pytanie ²: „Rozmów się zwłaszcza z Wernerem o instytucji wolnych mularzy. „Czy duch tej instytucji podejść się da pod kategorię idei „przynoszących zaszczyt umysłowi ludzkiemu, ale jak uczy do „świadczanie zupełnie bezkorzystnych? Czy w całej tej teorii nie „ma czegoś zbyt nieokreślonego i ogólnikowego, i czy tem samem „w praktycznej aplikacji dla ludzi i rzeczy, nie traci ona na wadze? Czy dalej, wewnętrzna ta masonerya nie jest tylko może „niedoleżnem rozwinięciem środków podawanych nam przez religię? „Co nakoniec o tem myśli jako kapłan Boży? Otóż kilka myśli „i wątpliwości, świdrujących mi oddawna w głowie, a na których „rozwiązaniu wiele mi zależy“.

Odpowiedzi Wernera domysleć się nietrudno. Wchodząc w myśl Choloniewskiego wykazał naprzód, że wolnomularstwo co najmniej do niczego dobrego nie prowadzi i że zapowiadziany przez nie program, mający wrzekomo ludzkość uszczęśliwić, jest zbiorem ludzających sofizmów. Na to zgadzał się Choloniewski nie tylko na słowo mistrza, lecz i opierając się na tem, co sam widział i słyszał: „Byłem raz na zebraniułoży: *vox, vox, praetereaque nihil*“ ³. Ale czy wolnomularstwo jest nie tylko niepożytecznem ale i szkodliwym; czy katolik może być masonem? „Jestem już prawie przekonany, pisał w miesiąc później ⁴, że nasze wolnomularskie stowarzyszenie w praktyce zupełnie jest niepożyteczne. Chciałbym być „teraz pewnym, czy jego członkowie istotnie podpadają kłatwie? „Spytaj o to Wernera. Chodzi tu o pytanie konkretne, więc każdy „teolog wiedzieć będzie, co na nie odpowiedzieć, a bądź co bądź „obojętnymi w tej kwestyi być nie możemy“. I znowu po dwóch

¹ 3 lipca 1816. — List franc.

² 21 lipca 1816. — List franc.

³ Do Mik. Grocholskiego 31 lipca 1816.

⁴ 29 sierpnia 1816.

„tygodniach, gdy szwagier doniósł, że Werner ostro przeciw masoneryi występuje¹: „Nie dziwuję się, iż Werner jest przeciwny „wolnomularstwu. Teorya ta, tak jak w niektórych głowach się „znajduje, piękna. Przystosowanie często niebezpieczne, a nie wiem, „czy było kiedy pożyteczne. Nie sądzę, iż w tem tak łatwo za cu- „dzem idę zdaniem, lecz sądzę rzeczą sprawiedliwą, godną szla- „chetnego człowieka, nie unikać objaśnienia błędu nawet takiego, „który przez najszlachetniejsze pobudki za sobą pociągnął. Wten- „czas sam błąd zbawienne zdradza skutki, bo prawdę świetniej wy- „kazuje“.

Historya Grocholskiego i Chołoniewskiego była historią wiel- kiej liczby polskich ówczesnych masonów: schwytani na lep pię- knych, szlachetnie brzmiących formulek, szli na osłep w zastawione sidła, których byliby z pewnością uniknęli, gdyby im kto wytłu- maczył, jakie w ustach masona mają znaczenie piękne słówka: filantropia, ludzkość, braterstwo. Chołoniewski — nauczony własnem doświadczeniem, jak takie jadem zatrute dwuznaczne słówka oma- mniają rozum i oszalamiają wyobraźnię — występował później przeciw nim, jako przeciw najśroźszym wrogom rodzaju ludzkiego — całą książkę napisał przeciw fałszywie zrozumianej filantropii, a na samo wspomnienie przedrzeźniającego chrześcijanizm masonskiego brater- stwa, trząsł się z oburzenia. Tak dosłownie sprawdziły się jego słowa, że czasem „sam błąd zbawienne zdradza skutki, bo prawdę „świetniej wykazuje“. Obecnie, po otrzymaniu odpowiedzi Wernera na swe zapytania o wolnomularstwie, pozostały mu wprawdzie jeszcze chwilowo pewne teoretyczne wątpliwości, pochodzące z braku teologicznego wykształcenia, a raczej z paru gdzieś posłyszanych, czy wyczytanych, zupełnie niezrozumianych filozoficznych zasad, ale praktycznie zerwał stanowczo z łożą²: „To co mi Werner pisze „o masoneryi, bardzo jest dobrem. Można by coś jeszcze odpowie- „dzieć na decyzję papieżowi o zgromadzeniach, które nie wiem czy „(theologice) można potępiać, albowiem nie wiem, czy należą do „trybunału teologów. Philosophice i ja potępiam i już dawno nie „bywam i nie myśle bywać“.

¹ 10 września 1816. — List polski.

² 23 listopada 1816. — List polski.

Kiedy Werner listami swemi wyprowadzał Choloniewskiego z łoży, to on tymczasem, wywdzięczając się przyszłemu Redemptoryście, nie przestawał się krzątać, aby wyjednać zakonnikom tym pozwolenie zakładania klasztorów w cesarstwie rosyjskiem, a najprzód w Janowie. Była to „ciężka sprawa!“ „Wybadałem tu grunt, „pisał wprost do Wernera¹, co do klasztoru Redemporystów w Janowie i potwierdziłem się w poprzednio już zakomunikowanej myśli, iż w całej tej sprawie trzeba postępować wolno i ostrożnie. „Jezuici zostawili nieprzychylną ideę o wszystkich zakonach; dla „tego na pierwszym miejscu należy zapewnić i przekonać rząd, że „Redemptoryści nie staną się winnymi zarzucanego Jezuitom prozelityzmu. W tym celu niezbędnem jest dokładne sprawozdanie „o obecnym stanie tego zgromadzenia w Polsce, bo dopiero po „akuratnem zapoznaniu się z wszystkimi szczegółami, będzie można „dać odpowiedź na zarzuty, bądź ministra, bądź metropolity Siestrzenecwicza. Zdaje mi się jednak, że, wezwawszy na pomoc cierpliwości i wytrwałości, wszystko będzie można otrzymać od osób „skłonnych do dobrego, byle je im wystawić pod kształtami odpowiedzialnymi ich umysłowi i charakterowi“. W tym celu proponował Choloniewski, aby Redemptoryści starali się wejść w łaski ministra oświaty Galicya, żarliwego promotora Towarzystw Biblijnych, przyrzekając dawać swym uczniom do czytania odpowiednio dla ich wieku wyjątki z Pisma św. i zaprowadzając modną w tej chwili angielską metodę Lancastra, która, zastępując profesorów przez zdolniejszych uczniów, miała jak wszystkie tego rodzaju metody, swoje światła i cienie, zapalonych zwolenników i jeszcze zapaleńszych wrogów.

Nie wiemy, co Werner odpowiedział na te propozycye, same w sobie niewinne, ale które z czasem za daleko może mogłyby zaprowadzić; zdaje się, że żadnych tego rodzaju zobowiązań brać nie chciał na swą odpowiedzialność, bo w dalszej korespondencji nie znajdujemy wzmianki ani o Lancastrze, ani o czytaniu w szkołach Pisma św. Metropolita Siestrzenecwicz za staraniami Choloniewskiego, a może jeszcze i innych rozumnych katolików, wysłał porozumiawszy się z Galicynem list do O. Hofbauera do Wiednia, z prośbą

¹ 1 grudnia 1816.

o przysłanie kilku redemptorystów Niemców do Krymu w miejsce zmarłych tamże księży, pracujących w niemieckich koloniach. Chołoniewscy znów i Grocholscy tak żywo pragnęli osiedlenia się Redemptorystów w Janowie, że na chwilę była myśl, aby wicegubernator podolski wyjechał osobno w tym celu do Wiednia i tam ostatecznie ubił sprawę z O. Hofbauerem. Ale zanim myśl ta przyszła do skutku Chołoniewski wyjechał z Petersburga, a Werner zamianowany przez biskupa Mackiewicza honorowym kanonikiem kamienieckim, właśnie w tej chwili, w której po gazetach niemieckich kursowała pogłoska, że rzuciwszy sutannę, wrócił do protestantyzmu, opuścił Janów na wiosnę 1817 i podążył do Wiednia. Po usunięciu na bok dwóch głównych promotorów założenia klasztoru Redemptorystów w Janowie, inne zamiary, plany i niepokoje pogrzebały na czas dłuższy, nielatwy ten do wykonania projekt. W parę lat później myślano znowu o sprowadzeniu Redemptorystów do Strzyżawki; Stanisław za bytnością w Wiedniu konferował w tym względzie z O. Hofbauerem, ale choć tenże bardzo chętnie na nową tę myśl się zgodził, do wykonania jej nie przyszło.

Pomyślna gwiazda zaświecić w Petersburgu nie chciała i nie otwierała się zaklęta brama świetnej karyery, nie dało się nic wykolatać dla rozwoju religijnych interesów Podola. W Janowie i Strzyżawce, uroczej majętności Mikołaja Grocholskiego, pocieszano się tem przynajmniej, że licznie zabrane znajomości w stolicy ułatwią Stanisławowi drogę przez życie a może i poprowadzą go w niedalekiej przyszłości na ślubny kobierzec. Naturalnie, największa część nowych znajomości, tak w rosyjskich jak nawet w polskich domach, nie wychodziła poza granicę etykiety, lub koleżeńskich względów. Bywał czasami u Naryszkinów i Sołtykówów, zaprezentował się księżnie Serra-Capreola, i starej księżnie Dołgorukiej, polował na niedźwiedzie z Galicynami, chodził na operę z Tymowskim, ułatwiał pierwsze kroki świeżo przybyłym do Petersburga, Brzostowskiemu, Małachowskiemu, Kossakowskiemu, i „półtuzinowi młodzieńców *„optimae spei*, którzy tu *ob spem* umieszczenia się w dyplomatyce *„przyjechali*, *ob spem* już tu przez kilka niedziel siedzą i *ob spem* *„wyjadą* nie nie wskórawszy ¹⁴”. Centrem nowych znajomości i już

¹ Do Mik. Grocholskiego. 2 września 1817. List polski.

nie powierzchownych przyjaźni była Rozalia Rzewuska, poważna, wypróbowana przyjaciółka, „trzecia ma siostra“, jak ją zwykł Chołoniewski nazywać, a która, z prawdziwie siostrzanem uczuciem, ostrzegała młodzieńca przed możliwymi niebezpieczeństwami, a zawsze gotowa go była wesprzeć zdrową, na religii opartą, przyjacielską radą czy pociechą. Małżonka awanturniczego Wacława Rzewuskiego, dość sama przeszła w życiu prób i cierpień moralnych i materyalnych, aby mózdz wskazać przyjacielowi, jak takie próby znosić, a nie tracić w nich ani hartu ducha, ani serca do ludzi. Z biegiem czasu przyjaźń ta, przypominająca rozmowy św. Benedykta ze Scholastyką, zmieni swą postać: Stanisław z słuchającego ucznia przemieni się w mistrza, ale moc przyjaźni i cel jej: wzajemne pomaganie sobie w służeniu Bogu pozostanie niezmiennem.

Obok Rzewuskiej i za jej pośrednictwem zawiązał Chołoniewski ściślejsze stosunki z domem Gołwinów. „Pani Gołwinowa, „brzmiał pierwszy nieco obszerniejszy biuletyn o nowej tej znajomości¹, jest kobietą zupełnie odrębnego rodzaju, ma dwie córki „brzydkie, bogate. Wszystkie trzy, kobiety pewne, bardzo utalentowane“. Drugi biuletyn, zredagowany w półtora miesiąca później był pochlebniejszy, choć utrzymany w tym samym tonie²: „Pani Gołwinowa, kobieta wielkiej miary, jest dla mnie małym Janowem. „Zajęła się mną, jak zajmuje się wszystkimi swymi przyjaciółmi. „Bardzo mi u nich dobrze, bo córki jej, areybrzydkie, ale dowcipne i rozumne“.

Z tego rodzaju, zresztą bardzo ogólnikowych i do niczego nie obowiązujących wyrażen, wysnuto na Podolu wnioszek, że Stanisław płynie pełnemi żaglami do małżeńskiego portu i że niebawem zamiast patentu na konsula w Ameryce, przywiezie młodą żonę do Janowa. Ale rok cały przeszedł, a stosunki z domem Gołwinów pozostały na tej samej przyjacielskiej, ale tylko przyjacielskiej stopie. „Bardzo się mylicie, moi najmilsi, odpowiedział kategorycznie „Stanisław na zrobioną sobie insynuację³, dysponując na poczekaniu „moim losem; prawda, że pani Rozalia robi co może, aby mię włączyć do grona tych zacnych ludzi, ale pomimo tego cały ten pro-

¹ 17 lipca 1816.

² 29 sierpnia 1816.

³ 10 lipca 1817 Do *Cecylii Chołoniewskiej*.

„jekt buja jeszcze po obłokach przez samą wyobraźnię osnutych. „Do dziś dnia, pisał do szwagra w tydzień później¹ nie tylko się „nie zdecydował na osiedlenie się tutaj, ale nie czuję do tego najmniejszego powołania. Powiedz mi jednak na wszelki wypadek, „co o tem sądzisz, jako katolik. Polak, przyjaciel i brat“. Mikołaj nie nacierał, ale i nie odmawiał; radził tylko przyjść prędko do stanowczej decyzji, „bo zwłócząc i wahając się w nieskończoność, męczy się siebie i drugich, nie się nie robi, sobie i drugim los się zamyka“. „Boisz się, żebym nie był Ł... w konkurach, odpowie- „dział Stanisław na te napomnienia². Próżna obawa, nie tylko za- „lechce koło serduszka, zobaczysz jak decyzja przyjdzie prędko. „Dotąd tego wszystkiego nie ma. *Finis carminis*, godzina moja „jeszcze nie wybiła“.

I wybić nie miała, mimo że Miecznik bardzo się ucieszył na pierwszą wieść o możliwych projektach syna, i że on sam prosił Boga, aby mu dał powołanie do małżeństwa, dla zaspokojenia ojca i rodziny³. Jak zwykle w podobnych razach, były pewne przeszkody do zwalczania, a Stanisław, którego koło serduszka wcale nie lechtało, nie miał najmniejszej ochoty z niemi wojować. „Panney choć „sobie życzą męża z naszych krain⁴, ojciec bynajmniej nie jest tego „zdania, a jeśli by się nakłonił, to tylko z powodu protekcyi u góry. „Zresztą jest tu nas dużo, co się zwijamy w domu, chłopcy dziar- „skie i żwawe. Między innymi pułkowy adjutant Fredro i Kossa- „kowski. Ja zaś wypadłem zupełnie z owej to taktyki rekogno- „skowania. Trzebaby mnie pomocnika, trzebaby mnie wolniejszej „głowy i nie mieć rozdrażnionego i zmęczonego umysłu pamięcią „dawnych głupich zalotów... *Finis carminis* chęci Bogu ofiaruję „w tej jak i w innych okolicznościach“.

Pociechę we wszystkich tych petersburskich zawodach, było dla Choloniewskiego coraz jaśniej wyrabiające się, coraz wyraziściej w listach z tego czasu występujące przekonanie, że byle spełniać swój obowiązek a tak Bogu służyć, to ostatecznie mniejsza gdzie

¹ Do Mik. Grocholskiego 18 lipca 1817.

² 23 sierpnia 1817. Do M. Grocholskiego.

³ 17 września 1817. Do Cecylii Choloniewskiej.

⁴ 4 października 1817. Do M. Grocholskiego.

i w jaki sposób, przyjdzie tę służbę odprawiać. Poufne, długie pogadanki z Rzewuską, wpływ De Maistre'a, niewątpliwy, ale którego niestety! nie jesteśmy w stanie bliżej określić, ascetyczne rozmowy z księżmi Nicolasem i Mauguin, listy Wernera, Grocholskiego i siostry Cecylii, zdążającej coraz goręcej i jawniej do wyłącznego poświęcenia się Bogu w życiu zakonnem, wreszcie sameż doznane zawody, coraz bardziej oczyszczały serce, wznosiły je do nieba, i w religii każały szukać wyjaśnienia wszystkich zagadek, balsamu na wszystkie smutki. Patrząc na świat z wyższego stanowiska, ze spokojem zapatrywał się na przyszłą swą karierę, uważając ją jako środek, nie cel. „Jeśli mi dadzą wybór, czy wyjechać, czy dostać „stałe zajęcie w Petersburgu, to przedewszystkiem poradzę się bre- „wiarza, ścisłych mych obowiązków, troszkę mego zdrowia — a po- „tem dziej się co chce“¹. „Kto silnie wierzy“² w istnienie wyższego — „odślaniał siostrze stan swej duszy i kreślił przekonania, do któ- „rych dochodził — nadprzyrodzonego porządku, kto zdolniejszy do „głębszego żalu za swe przewinienia, ten też zdolny do silniejszej „nadziei. Uczucie to zbadane z prostotą i nabożeństwem musi się „przedstawić naszym oczom, jako naturalny rezultat poprzedniego. „Cierpienia prowadzą chrześcijanina do nadziei, bo i czegożby się „mógł spodziewać, gdyby nigdy nie cierpiał“. W jednym z listów żartował wprawdzie, że nie wielka sztuka i zasługa chwytac się re- ligii i nabożeństwa, kiedy to teraz w Petersburgu w modę weszło: ale nabożeństwo — które pobudzało do podobnych myśli, a na życie tak wysoki, chrześcijański dawało pogląd, i tak po chrześcijańsku uczyło znosić cierpienia — było czemś więcej, niż wynikiem przemijającej mody.

W połowie września 1817 wrócił Capo d'Istria z kapiel do Petersburga, i tą razą zdawało się, że się wreszcie los Chołoniewskiego stanowczo rozstrzygnie. Minister z nadzwyczajną uprzejmością ofiarował mu urlop na kwartał, dla załatwienia familijnych interesów, a później obiecał go przyłączyć do poselstwa, do którego sam zażądał. Z takimi wiadomościami stanął Chołoniewski pod koniec grudnia w Janowie, ale ani ojciec, ani szwagier, ani

¹ Do *M. Grocholskiego* 19 lutego 1817.

² Do *Cecylii Chołoniewskiej* 10 września 1817.

nikt z bliższej rodziny nie zapatrywał się zbyt różowo na obietnice, na których już tyle razy doznawano zawodu i po dokładnej rozwadze uradzono, że nie ma po co chwilowo wracać do Petersburga, aby znów przez długie miesiące kołatać u wszystkich drzwi i znów prawdopodobnie niczego się nie dokołatać.

Do wzięcia urlopu przyczyniło się kilka ważnych okoliczności. Najpierwszą w porządku czasu były kijowskie kontrakty, na które ojcu trudnoby się było wybrać, ale najważniejszą, choć przy wyjeździe z Petersburga przez mgłę tylko przewidzianą było powołanie siostry Cecylii do życia zakonnego, której ułatwić należało przeprowadzenie powziętego postanowienia a ojcu osłodzić boleść rozstania się z córką. Cecylia od dziecka okazywała szczególną skłonność do modlitwy, do wszystkiego co z służbą Bożą miało styczność: dzieckiem stroiła ołtarzyki i zachęcała rodzeństwo do urządzania uroczystych procesyj; później przestała się ubierać w papierowe stuły i ornaty, ale za to utrzymując wzajemną harmonię w domu, pielęgnując ojca w coraz częstszych słabościach, słodyczą i pokorą jednała sobie miłość wszystkich i wysługiwała sobie welon zakonny, który jakby od samej kolebki stał się ideałem najgorętszych jej marzeń i pragnień. Stanisław umiał ocenić zalety siostry: radził jej się nieraz; pytał o zdanie o tej lub owej osobie, „bo moja siostra „umie doskonale ocenić zalety drugich, a z zadziwiającym rozsądkiem rozpoznaje piękne dusze“¹; znając niemniej sam piękną jej duszę, nie zdziwił się też zbyt, gdy przyjechawszy z Petersburga do Janowa, przekonał się, że siostra niemal zupełnie już jawnie, a coraz goręcej wyrывa się do klasztoru.

Powołaniu temu w zasadzie nie mógł być przeciwny: na to zbyt po chrześcijańsku był wychowany, zbyt dobrze znał a teraz odświeżył sobie w pamięci katechizmowe zasady; zostawało jedno tylko pytanie do rozstrzygnięcia, czy to istotnie głos Boży, czy może tylko przemijająca gra młodocianej wyobraźni? W Janowie, ówczesnem zdaniem jego, wszystko powleczone było zbyt może klasztornym pokostem; z świętymi tamtejszemi duszami mówić nie można było jak tylko o wieczności; niektóre pobożne praktyki zbyt były wyśrubowane; służąc Bogu nie myślano dosyć, że służba

¹ Do *M. Grocholskiego* 21 lipca 1816.

ta odbywać się zawsze powinna z wolnością i radością¹. Czyż więc może, pytał się Stanisław, pociąg siostry do zakonu nie jest tylko niezdrowym owocem tego życia w pół klasztornego; czy nie ludzi samej siebie, sądząc, że klasztorna krata nie będzie miała innych koleców prócz tych, z którymi już w Janowie się zapoznała. „Cesia „myśli o odsunięciu się od świata². Zasada sama w sobie dobra, „ale trzeba przekonać się, do jakiego stopnia Bóg zechce zasadę tę „zastosować do Cesi. Tymczasem, można pracować nad sobą samym wszędzie, gdzie jest krzyż, ołtarz i ofiara. Otóż moja zwrotka! Po wyczerpujących przez długie miesiące prowadzonych, prawdziwie braterskich rozmowach z siostrą, zwrotka ta przekształciła się w inną: trzeba pracować nad sobą przy tym ołtarzu i taką Bogu składać ofiarę, jakiej On sam od nas zażąda.

Lecz nie dość powiedzieć sobie: wstąpię do zakonu; należy jeszcze wybrać odpowiedni zakon i klasztor, i w tym właśnie względzie Cecylia, znająca zakony niemal jedynie z książek i opowiadań, potrzebowała najwięcej wskazówek i pomocy. Pełne zaparcia, oddane wyłącznie obcowaniu z Bogiem, niemal pustelnicze życie Karmelitanek, najbardziej przemawiało w tej chwili do jej pragnień; nie znając jednak dokładnie ich reguły i codziennych zatrudnień, trudno było stanowczo się zdecydować. Postanowiono tedy na domowej naradzie, że Stanisław wystarać się powinien o przyłączenie do poselstwa w Paryżu, a przypatrując się tam dokładnie życiu Karmelitanek i innych zakonnic, zda siostrze szczegółową relację, wedle której będzie mogła kierować przyszłe swe kroki. Ojciec bez trudności zgodził się na tę myśl, która synowi zapewnić mogła karierę, zwlekając wstąpienie córki do zakonu na długie jeszcze miesiące, a ostatecznie do niczego go nie zobowiązywała. Sam więc rachując zwłaszcza na protekcję W. księcia, którego niegdyś w Janowie u siebie gościł, naglił syna, aby czemprędzej wybrał się do Warszawy, dokąd w marcu przybyć miał cesarz wspólnie z Capodistrią, i raz wreszcie dowiedział się jasno, czy chcą go, czy nie chcą użyć w dyplomatycznej służbie.

¹ Do *M. Grocholskiego*. Warszawa 23 marca N. S. 1818.

² Do *Mikołaja i Emilii Grocholskich*. Janów 26 listopada 1817. — List francuski.

„Stałem szczęśliwie w Warszawie, donosił Stanisław ojcu¹,
„w sobotę, drugiego zrana, tj. 2/14 marca; podróż rozpedziła żółć;
„drogi bezecne były powodem wynurzania jej obficie, lecz moralnie.
„Kwaterna z łaski Tymoskiego, jak na ten czas i tania i dobra. Je-
„dna karetka kosztuje miesięcznie 80 zł. Warszawa wybielona; place
„rozprzestrzenione, Zygmuntowski osobiwie; całe linje domów wa-
„lono, płacąc podług wszelkiej słuszności właścicielom i kazano
„gdzieindziej stawiać. Dotąd co do mego przyjazdu; następnie ra-
„port faktów tak publicznych, jak i partykularnych od czasu mego
„przyjazdu. W nocy z piątku na sobotę o godzinie 5 zrana zjechał
„N. Pan do stolicy swojej królewskiej; tego dnia prezentowali mu
„się tylko naczelnik z Wielkim księciem i niektórymi generałami.
„W niedzielę zrana pokoje były przede mszą, na których my dwo-
„racy paradowaliśmy. N. Pan nie dawał tego dnia audyencyi, jak
„tylko ministrom i senatorom. Reszta urzędników miała go szcze-
„ście oglądać i powitać na przechadzce do kaplicy. Ponieważ podług
„obydwóch kalendarzy już się post zaczął, albo kończy, żadne bale,
„ani fety nie mogą mieć miejsca w tym tygodniu. Skończył się
„więc ten dzień na assamblach u naczelnika. W poniedziałek zrana,
„przygotowawszy list wiadomy papie, udałem się przed ósmą zrana
„do Monseigneur (Wielkiego księcia) lecz go już nie zastałem w pa-
„łacu. Ostrzegł mnie Kicki, adjutant, że o samej siódmej trzeba się
„tam znajdować. Powtórzyłem więc moją wizytę we wtorek. Przy-
„jechawszy kilku adjutantów rady zaciągałem względem oddania
„listu, — i czy nie lepiejby było zapytać się wprzód Monseigneura
„o pozwolenie w tej mierze. Po konsultacyi z generałem Korutą
„upewniono mię, iż przy prezentacyi, kiedy W. książę przystąpi do
„mnie, bezpiecznie można oświadczyć, od kogo list i wręczyć go
„Jemu“.

„Nie od rzeczy tu jest nadmienić, że cesarz tegoż dnia uświe-
„tnił dwa pierwsze półki gwardyi polskiej, mianując się ich naczel-
„nym dowódcą, tak jak półków gwardyi starej w Petersburgu,
„i że nad innemi dwoma półkami, podobnież swego brata nazna-
„czył naczelnym szefem. Z tego powodu mnóstwo oficerów przyszło
„z powinszowaniem do W. księcia, który wesół wszedł do sali.

¹ *Varsovie* W. Piątek 7/19 mars 1818. — List polski.

„Oficerowie w linii stali: ja przy końcu. Podziękowawszy im, poleciał prosto do mnie. Oświadczyłem mu, *que mon père, qui a eu le bonheur de posséder Votre Altesse Impériale dans sa maison pendant quelque temps, a pris la liberté de me charger d'une lettre pour V. A.*, na co on grzecznie odpowiedziałwszy, zażądał listu, który ja spiesznie wręczyłem. Stał obok mnie młody X. Wiaziemski, także dworak. Gadając z nim kilka minut W. książę rozpieczętowywał przez ten czas list papy. Potem nagle nas rzucił, a oddawszy kopertę oficerowi, na warcie u drzwi stojącemu, poszedł opatrywać żołnierzy, którzy w dalszych salach stali. W kilka minut potem widziałem go, równie spiesznie powracającego, obok nas, przez ten sam pokój, w którym z nami rozmawiał. Trzymał list w ręku, zdawał się go z atencją czytać, bo nie patrząc się na otaczających, ciągle czytając wrócił do swoich pokojów. Tu się zakończyła audiencya, bo wkrótce parada się zaczęła; wszyscyśmy się rozjechali. *Tempus edax rerum* okaże skutki tej mojej relacyi“.

„Jeszcze w niedzielę o drugiej południu dano nam znać, że nasz hr. Capo d'Istria przyjechał. Polecieliśmy do niego z Sobolewskim młodym, który także w jego biurze pracuje. Przyjął nas grzecznie, oświadczył mnie zaraz, że mnie tu będzie zajmował. Jakoż nad moje spodziewanie, drugiego dnia od 9 zrana do 2 południu zaciągnięto mnie do roboty. Nie mogę jednak, jak z tego się cieszyć, bo komplet w biurze bardzo przyjemny. Prócz nas kilku rosyjskiej służby, jako to: Müller, Sallen, ja i Stroganof, mamy kilku Polaków młodych, co już byli w Petersburgu, a to Sobolewski młody, i Małachowski młody. Nic nie mogę jeszcze donieść o mojej determinacyi nadal. Jeśli bowiem ciągle mną tak się zechce trudzić hr. Cap., to zupełnie jego opinii zostawię moje nadal przeznaczenie. Wiem zaś pewnie, że z cesarzem będzie Cap. w Kiszeniewie, Odessie etc. Sejm zacznie się 15/27 Marca; zakończy się 15/27 kwietnia. Cesarz 18/30 kwietnia ma wyjechać na Podole. Jeszcze po domach tutejszych nie miałem czasu być, bo rano całe w biurze, a po obiedzie nieco obchodzić trzeba Niedzielę świętą“.

Po kilkunastu dniach, kiedy Sejm na dobre rozpoczął roboty, Chołoniewski zaczął dołączać do swych listów najświeższe warszawskie gazety, prawdziwy specyał dla Podolaków, żądnych nowin,

a zbyt dotychczas w tym względzie nie rozpieszczonych. Spuszczając się więc na gazety sam krótko tylko i nawiasem wspominał o obradach sejmowych, w krótkich biletach pisanych pośpiesznie, ale wskazujących na wrażenie ówczesnej chwili, na zainteresowanie się ogólne publicznemi sprawami. „Ukradłem nieco poranku biurowi „przeznaczonego, pisał do szwagra¹; przyszedłem wcześniej do kancelaryi, aby od twego listu zacząć mą pracę. Posyłam ci mowę „N. Pana i pismo peryodyczne Koźmiana o sejmie. Mowy Mostowskiego tak egzemplarze rozebrane, że dopiero za parę dni będę „ją mógł dostać. Dopiero jedną sesję sejmową mieliśmy prócz o „twarcia, a która trwała do białego dnia, tak, iż W. ks. Konstanty „wracając z wieczoru u p. Stanisława Potockiego, widząc jeszcze „świątła w izbie poselskiej, poszedł na obrady, przy zagajeniu których „zrana się znajdował“.

Kiedy Sejm noc w dzień przemieniał, w biurze, nie chcąc zostać w tyle, trzeba było przynajmniej przenieść pracę z rannych na popołudniowe godziny; zresztą w ten, czy w ów sposób czas mijał prędko, zajęcia nie brakło, ciekawość i różnorodne wzniecone nadzieje miały ciągle nowy pokarm przed sobą. „Zrana, brzmiał następny z rzędu biuletyn², włóczę się po kościołach; potem do biura, „gdzie często do wieczora trzeba makiem siedzieć. Mamy tu awan- „taż (tj. my biurowi dworacy), że nas do stołu Wołkońskiego „w zamku zapraszają; kuchnia wyborna, a co najdogodniej, że pod „jednym dachem z biurem. Jak tylko momencik wolny, leci „się na obrady, które także obok tego biura, które tak w tej „mierze jest topograficznie szczęśliwie położonem, iż z jednej strony „okna jego na senatorską izbę wychodzą, z drugiej przez sień tylko „sąsiaduje z poselską. Szwędą się, wypytuje i błaznuje człowiek, „ile można, potem znowu do roboty. Wieczór wcale wolny; to albo „u namiestnika, albo u Stanisława Potockiego, albo u Nowosilcowa; „albo u pani Rozalii. Naturalnie zabawę i przyjemną naukę trzeba „było czasem okupić nudami: „Nieustannie tu mamy bale“³, lecz „dla mnie, który mało osób znam zbliska, a o których znajomość

¹ Warszawa 19/31 marca 1818.

² Do *M. Grocholskiego* 15 marca 6 kwietnia 1818.

³ Do *M. Grocholskiego* 8/20 kwietnia 1818.

„starać się, będąc na wylocie, roztropność nie każe, wszystkie podobne zgromadzenia są tylko ciekawe, lecz niezabawne“.

Mniej jeszcze było zabawnem, że mimo grzeczności, jakich Chołoniewski na każdym kroku doświadczał, mimo, że go w biurze sumiennie pracą zajmowano, niewiele zbliżał się do głównego celu, dla którego do Warszawy przyjechał. Widząc, że dłuższe zwłoki, same kłaniania się, ściskania ręki i najskrupulatniejsze nawet pisanie sążnistych referatów do niczego nie doprowadzą, raz jeszcze stanowczo i bez ogródek postanowił rozmówić się z Capodistrią o swej przyszłości¹. „Najprzód robił niejaki trudności co do ambasady paryskiej, ale kiedy mu przedstawił, że interesa familijne zmuszają mię prosić o pozwolenie udania się do Francyi, i że w celu złączenia tych obowiązków z obowiązkami służby rządowej, proszę go o miejsce przy ambasadzie paryskiej, zapytał mię: Jakie to interesa? Nie zawahałem się odpowiedzieć mu, choć na to nie byłem przygotowany, o pobożnych zamiarach mej siostry: wystawiłem, że we Francyi najlepiej mógłbym się rozglądać, jak te zamiary do skutku przyprowadzić, i że skoro ojciec nie jest wręcz tym zamiarom przeciwnym, to jest moim obowiązkiem ułatwić siostrze wszystkie środki do pójścia za swem powołaniem. Zdawało mi się, że zgadzał się na moję argumentację; kazał mi napisać list do cesarza, który sam mu obiecał przedłożyć, skoro za pięć dni powróci z Kalisza do Warszawy. Aż do tej chwili jestem w zawieszeniu co do ambasady, bo co do pozwolenia na podróż do Francyi, tego nie mogą mi odmówić“.

Jakoż nie odmówiono, ale wręczając paszport do Francyi nie wspomniano ani słówkiem o przyłączeniu do ambasady. Stanisław zamyślał już w pierwszych dniach czerwca puścić się do Paryża; przyjechawszy do Janowa spostrzegł wnet, że na kilka przynajmniej miesięcy będzie jeszcze musiał tę podróż odłożyć. W czasie jego nieobecności nadeszły z Paryża reguły i dokładny opis codziennego trybu życia Karmelitanek, a po przeglądnięciu tych dokumentów zawyrokowano jednogłośnie i sama Cecylia, choć niezupełnie jeszcze przekonana, uznać musiała, że Pan Bóg nie dając jej zdrowia ani jakiegos szczególnego wyraźnie z nieba płynącego zapалу do podję-

¹ Do *M. Grocholskiego* 1/13 kwietnia 1818. — List francuski.

cia tak wielkich ostrości, nie woła jej do tego zakonu. Niemal jednocześnie otrzymała Cecylia bardzo pochlebne informacye o Wizytkach wileńskich, a obraz patryarchalnego Bogu oddanego ich życia tak miłe zrobił na niej wrażenie, iż odtąd w tę głównie stronę popłynęły jej myśli i pragnienia. Wobec takiego usposobienia siostry, ustępował na bok pierwszorzędny cel podróży do Francyi: natomiast myśleć należało o zupełnem zjednaniu ojca dla projektów siostry i odprowadzeniu jej do Wilna, gdzie przypatrzysz się nie tylko Wizytkom, ale i innym żeńskim klasztorom, mogłaby w jednym z nich, bliżej rodziny i w ojczywym kraju, spróbować swych sił i przekonać się, czy to głos i wola Boża nagli ją do celi klasztornej.

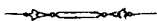
W parę dni po powrocie Stanisława z Warszawy powzięto stanowczo ostatnią tę decyzję. Ojciec¹, „po powtórzeniu próśb“ Cesi i poparciu ich przez nas, zezwolił prawie zupełnie, choć z płaczem, na jej „projekta życia zakonnego“. W gruncie rzeczy miecznik nie tracił nadziei, że córka, znalazłszy się po raz pierwszy dłuższy czas za domem, zatęskni za rodziną i powróci do niej po paru tygodniach, a może i dniach; liczył również na perswazyje siostry swej, księżnej Kolety Czetwertyńskiej, z którą Cecylii polecił się w Grodnie zobaczyć; a tak ostatecznie widząc, że dłuższe przewlekanie bardziej by tylko mogło wzmocnić upór córki, zgodził się, choć z wielkim żalem, „z ciężkością i po gwałtownej walce z własnem sercem“, na podróż jej do Wilna². (C. d. n.)

Ks. Jan Badeni.

¹ Do *M. Grocholskiego*. Janów, 10 maja 1818.

² Mając zamiar wydać w kilku odciskach cały życiorys Ks. Chołoniewskiego, prosimy łaskawych czytelników, którzyby mieli jakiegokolwiek dokumenta lub wiadomości dotyczące jego prac literackich, korespondencyi lub działalności kapłańskiej, żeby nam takowe raczyli użyczyć, lub o nich nas uwiadomić.

(*Przypisek Redakcyi*).



KRYTYK NASZYCH POWIEŚCIOPISARZY.

(Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie, skreślone przez Piotra Chmielowskiego. Kraków 1887).

„Cierpliwość bowiem, jest to alfa i omega w abecadle kobiecy“, powiedział Korzeniowski w „Drugiej żonie“, a gdyby był „pierwszą“ lub „trzecią“ żoną napisał, wypadłoby mu niezawodnie powtórzyć toż samo. Kobieta umie być cierpliwszą od mężczyzny, czego w literaturze naszej dowodzą „romans“ i „powieść“.

Romans zajrzał w historię, otrzepał z pyłu stare zbroje, dawne ubiory, sprzęty, zabrał trubadurom awanturnicze miłości, pokłonił się królom i królowom, rozmiłował w turniejach, spowiadał w chatkach pustelników i stracił cierpliwość, gdy „Malwina“ ks. Wirtemberskiej ustąpiła miejsca Julii w „Czterech weselach“, mającej mało „domyślności“, a wiele obrzydliwości serca, gdy w samą porę stanął „Jan z Tenczyna“, aby nie stanąć obok „Spekulanta“, gdy „Julia i Adolf“ Kurpińskiego mieli poznać „pana Karola“ i gdy... krótko powiedziawszy: nie wystarczała już czytającym zastawa ze średniowiecznych uniesień, a zapragnęli, by im malowano życie istotne, rzeczywiste, a ludzi nie pożyczanych ze starych pieśni i dawnej wyobraźni, ale żywych, dzisiejszych, nie ożywionych z trumien, ale takich, jakimi byli aktualnie.

Stracił romans cierpliwość w Polsce, schował się w bibliotekach, muzeach, zamknął w historii literatury, a natomiast zjawiała się powieść pełna kobiecego wdzięku, ale i kaprysu. Cnotą cierpliwości zdumiewa, ale że Kraszewski w „panu Karolu“ powiada, iż „kobieta jest to zlepek z tchnienia aniołów i uczuć szatanów“, to też powieść obok owej cnoty, nie mało owych „tchnień“ i „uczuć“ w literaturze rozlała.

Romans sentymentalny był niezgrabny, jak stary kawaler domator; ale poważny, uczeiwy, bogobojny, a pełen poszanowania dla wszystkiego, co było narodowi drogie i święte. Korzył się przed enotą, karmił winy, godził wszystkich, nie waśnił nikogo, gwaru społecznego, kłótni, namiętnych walk stronnictw, „nowinek genewskich“ nowego zakroju nie znosił, czy one tam masoński stem-pel miały na sobie, czy polityczno-filozoficzny, czy utopiją były, czy doktryną. Powiedziano mu, że nudny — i poszedł sobie do biblioteki, a powieść wdarła się na jego miejsce.

Cierpliwości odmówić jej nie można, nawet podziwiać ją należy. Czego to ona nie zniosła, w czym nie wytrwała? I najpiękniejsze porywy patriotyzmu, i najwspanialsze momenty historyczne, i poświęcenia wielkie a dantejskie cierpienia i charaktery na miarę „Fidiasza“ i katakomby, a obok tego pijane czasy saskie, błoto z bruku ulicznego, cuchnące wyziewy szynkowni, jad społecznej waśni, modlitwa i przekleństwo, miłość i nienawiść, salon i ulica, kościół i karczma, ideały narodowe i trucizny zagraniczne — idealizm i realizm, porywy mesjaniczne i czarny pesymizm, polityka, dydaktyzm, pedagogia — wszystko co kto chciał i mógł, jak chciał i umiał, powierzał powieści, a ona z bezprzykładną cierpliwością przyjęła to, wypieściła, wychowała i wydała w świat.

Pour rendre agréable la vie, n'y regardons pas de trop près; toż i powieści naszej zupełnie blisko, ani chcemy, ani możemy w tej chwili się przypatrzeć, a jeno w krótkości przypomnieć te czasy, kiedy to jeszcze wszechwładną była panią w literaturze, kiedy to z historycznej: leniwszi uczyli się historyi, z obyczajowej: znajomości świata i ludzi, a nawet i prawd społecznych, lub — zasad religijnych. Dziś powieść straciła na uroku, a i na wszechwładzdy; społeczeństwo dorosło, więc mentor stał się towarzyszem, nie może nauczać, musi bawić. Może też i z wiekiem straciła urok niewieściego wdzięku, powab młodości, a więc grymaśniejsi jesteśmy, wybredniejsi w jej towarzystwie, domagamy się od niej znacznie większej wartości w pomysłach i artystycznym wykonaniu.

Nie wytknięto ani chronologicznej, ani literackiej i artystycznej granicy między romansem a powieścią; estetyka z urzędu nie wynalazła różnic między nimi; a jednak kopce graniczne usypały się same, różnice wyrosły, nie wskutek zmiany nazwy, ale gdy po wy-

chowańcach stanisławowskich czasów, po wychowańcach perukowego wieku, ujęli pióro ci, co im w kolebce brzmiały pieśni legionów, a straszło już widmo Sybiru, Moabitu, Kufszteinu.

Gdy zbolące serca po utracie niepodległości wzajemnie sobie czyniły żółciowe wyrzuty popełnionych win, gdy mierzono wzajemne te winy i piętnowano, gdy wreszcie zaczęto się budzić, nawoływać do odrodzenia, a każdy na swój sposób dawał na nie receptę, upierając się przy swojej, ganiąc inne.

Z zupełną, kalendarzową ścisłością nie można podkreślić, lub czerwonym atramentem oznaczyć roku tej przemiany, ale może nie omylimy się mówiąc, że po listopadowe powstanie roztkliwiamy się romansem, a po niem bujamy z powieścią po wszelkich pojawach życia.

Czy tu *Niemcewicz* (Dwaj panowie Sieciechowie, Jan z Tenczyna), czy *ks. Wirtemberska* (Malwina, czyli domysłność serca), czy *Elżbieta Jaraczewska* (Pierwsza młodość, pierwsze uczucia, i t. d.) czy też bez pretensyi literackiej, a dla własnej przyjemności pisząca pani *Mostowska*, czy *Bronikowski* z licznym szeregiem po niemiecku pisanych romansów historycznych, czy znowu *Bernatowicz*, z mniej udalym „Nałęczem“ a wielce zajmującą „Pojatą“, czy to nawet pełen humoru i werwy i ekonomista i poeta zarazem hr. *Fryderyk Skarbek*, *Kropiński*, *Krajewski* ze swoim „Leszkiem“ — wszyscy oni, chociaż niektórzy sięgają życiem daleko w czasy późniejsze, jednego pokroju artystycznego, jednego zacięcia i mają jeżeli nie wspólną, to podobną metodę tworzenia. Ku nim i *Klementyna z Tańskich Hofmanowa* się nachyla i jej *Kochanowskiego*, chociaż się dopiero 1845 r. pojawia, do owych romansów zaliczyć wypada.

Jakaż to różnica między tym zastępem wychowanym na Walter Szkocie, sielankach *Delilla*, romansach pani *Genlis* i pani *Cottin*, na *Floryanie*, *Fenelonie*, na pieśniach *Osjana* i przygodach *Pawła* i *Wirginii*, a powieściarzami polistopadowych czasów. Może jeden *Rzewuski* zakrojem patetycznym, deklamacją jeszcze ich przypomina, ale i *Kraszewski* i *Korzeniowski* już od nich odbiegli, a cóż mówić o innych.

Nazywają przesadą, gdy się mówi, że *Kraszewski* nauczył Polskę czytać. Zapewne, że literalnie biorąc, byłoby to frazesem, jeżeli nie panegirykiem, ale jest w tem coś prawdy. To wszystko, co się nam dotąd pod nazwą romansu przesunęło, budziło zajęcie

w kraju, niekiedy zapal dla siebie zyskiwało, interesowało tych, co czytywać zwykli romans zagraniczny, ale raczej dla tego, że romans polski formował się według zagranicznego żurnalu, gustu, wedle tamtejszej mody. Interesowano się nim, jak interesować się zwykło kopią, gdy się zna oryginał. Kraszewski pierwszy zerwał z tradycją i szukać zaczął rodzimego materiału i rodzimej formy, pierwszy kusił się nie o kopią, ale oryginał. Jak Mickiewicz rodziną stwarza poezję, wykrzesując wśród wileńskiego otoczenia polską *Sturm- und Drangperiode*, tak Kraszewski co do znaczenia swego w literaturze, ma nieco z Klopstocka, coś z Lessinga i Wielanda. Usiłowanie by znarodowić twórczość literacką, pokrewne Klopstokowi, zapęd do tworzenia nowych kryteriów literackich, to owo „coś” z Lessinga, a motywa, jakimi kierował się Wieland, by Niemcom francuską swywołnością pocukrować narodową lekturę, aż nadto widne w Kraszewskim.

O działalności Kraszewskiego, jako pisarza, szczególnie o jego publicystyczne upory czy omyłki, o jego zapatrywania na sprawy narodowe i religijne, o jego uprzedzenia, a wreszcie o wartość literacką, można się sprzeczać, nawet walczyć, ale zdaje się, że w tem zgodni wszyscy, iż olbrzymią produkcją a wszechstronną działalnością literacką ożywił naród, rozbudził umysły, wytworzył talenty autorskie, zapewnił powieści oryginalnej przewagę nad tłumaczoną, a bezprzykładną wytrwałością w pracy stał się przykładem narodowi, tak leniwemu!

Nie nauczył więc czytać, bo czytano już i Krasickiego i Naruszewicza i Trembeckiego i Karpińskiego, nie zapomniano o Kochanowskim, o Reju i o Skardze; czytano też romans przedlistopadowy — ale nauczył Kraszewski z amilowania w czytaniu i z interesowania się powieścią polską.

Krewkość jego za lat młodszych, a stąd niecierpliwość, nie jedna omyłka w tendencyi, nie jeden zapal bez wartości, a może i chwilowo szkodliwy; sarkazm źle skierowany, ironia nadużyta; często produkcya pośpieszna, wodnista, z nawyku raczej niż z natchnienia zrodzona, widnieją na nim, jak rysy na wielkim posagu; ale sam posag w całości wzięty pozostanie na zawsze w literaturze posagiem tytanicznej siły, a uczciwej woli i niespożytej zasługi.

Żaden z powieściopisarzy, takiego jak on, nie wywierał

wpływu na czytających i na rozrost piśmiennictwa. Dośćby przytoczyć, że pociągnął przykładem *Korzeniowskiego*, że go oderwał powodzeniem doznawanem od komedy i dramatu, a rozruszał do „powiastek i opowiadań“, do „Spekulanta“, „Kollokacyi“ i t. d. Może znajdzie takich, co się zgodzić zechcą, że Korzeniowski lepszym jest powieściarzem, niż dramaturgiem. W dramacie, czy tragedyi, nie obszedł się bez kompilacyi: „Karpaccy Górale“ i „Wilhelm Tell“, „Aniela“ i „Hamlet“, „Dymitr i Marya“ i „Kaballe und Liebe“, „Żydzi“ i „Nathan der Weise“; w komedyi moralizuje zanadto dydaktycznie, po profesorsku. W powieści i pomysłowym jest i oryginalnym i bardzo zajmującym. Można mu nie wybaczyć „Tadeusza Bezimiennego“, na równi z „Czterema weselami“ Kraśzewskiego i wielu innymi tego rodzaju z etyką, a nawet z przyzwyczajoną pokłóconymi wybrykami, ale niepodobna nie uznać „Kollokacyi“ lub „Krewnych“ za arcydzieła powieści.

Nowego kierunku w powieści nie wytknął Korzeniowski, nowej *species* nie wynalazł, wpływu stałego nie wywierał, ale zostawił wzór wybornej obserwacyi stosunków społecznych, przedstawiając je z niezwykłą wiernością rysunku, aczkolwiek o kolorycie nieco zaczernionym.

Jak w poezyi tak i w powieści przeważa u nas pierwiastek historyczny lub polityczny. Na obserwacyę ogólną ludzkiej natury, na psychologiczne studia, nie stało nam czy to czasu, czy spokoju. Od stu lat przeszło, zaledwie zbudzeni z zastoju, żyjemy bezustannie gorączkowo, nie pewni jutra, wśród wstrząśnień, walk, nadziei i zawodów, uniesień i klęsk. Chorób u nas dużo wszelkiego rodzaju, znać je i leczyć się na nie potrzeba, ale też pocieszyć się można tą stwierdzoną prawdą, że organizm nasz wielce silny, wielce żywotny być musi, skoro mimo najgorszych warunków, jeszcześmy czerstwi, a choć tak nerwowi, przecież od konwulsyjnych wywrotów bezpieczni.

Zaledwie padł ostatni strzał konfederacyi Barskiej, a już rozbiór pierwszy, przeobrażenie szkolnictwa, gorączka reorganizacyjna, krzątanie się nad podniesieniem oświaty i literatury — a wśród tego prądy francuskie niosące z sobą i światło nowe i brudny z niem kopeć i czad, co odwraca serca od starej wiary i starej

prostoty — wysilenia stronnictwa patryotycznego, sejm czteroletni, 3 maj i stara anarchia, co staje do walki z rozumem, uczciwością i porządkiem — wojna, drugi rozbiór, Kościuszkę, Racławice i Maciejowice, wymuszona abdykacya ostatniego króla i rozwartą na rozciecie epoka tułactwa, cierpień, prześladowań. Obce rządy zmieniają co chwila system polityczny, jakiego się względem nas trzymają, legiony z Napoleonem wywalczają nowe nadzieje, nową wiarę narodową, księstwo warszawskie sprowadza gorączkę, to znowu królestwo kongresowe tylko rozkwasa i tworzy fermenty na drożdżach kryjącej się przed reakcją rewolucyi europejskiej.

Rozsiana po listopadzie emigracya rozpoczyna roboty na cudzych warsztatach, wedle niepolskich modeli. Krwawy rok 1846, w ślad za nim burza rewolucyjna czterdziestego ósmego roku i wnet straszna 1863 tragedia.

Gdy to wszystko jak w latarni czarnoksiężskiej przesuniemy przed oczyma, to z większem poszanowaniem będziemy na literaturę patrzyli, że zdołała i żyć i rozrastać się, jak owe kłosy, co oparły się i wichrom i gradom; ta latarnia czarnoksiężska wytłumaczy i mesyaniczne uniesienia poezyi i Towiańskiego marzenia i owe cierpkości pióra, rozlane i pieśnią i satyrą, dziennikarstwem i paszkwilem, broszurą polemiczną i powieścią; owa latarnia czarnoksiężska rozgrzeszy z niedostatków artystycznych i braku psychologicznego zagłębienia.

Jak Konradowi przebaczone grzechy, bo „kochał wiele, bo kochał wielu“, tak literaturze, a jak na teraz powieści, należy wybaczenie owych wszelkich niedostatków, bo nad nimi promienieje prawa, patryotyczna tendencya. Jeżeli tu i owdzie zaplątał się ton fałszywy w patryotycznej harmonii, wnet znalazł się krytyk, co go wyrzucił, co przed nim ostrzegł, „by . . . w grobie kości, nie ruszyły się z radości“ — i opinia publiczna doraźny wywierała wyrok potępienia.

Ktokolwiek i kiedykolwiek będzie sądził powieść naszą, czy na nią z tego, lub owego stanowiska społecznego popatrzy, zawsze przyzna, że działała w ogóle *bona fide*, a pisarze chcieli spełniać *officium boni viri*; zaś spekulacyi literackiej, wyrobnictwa tandetnego, kondotierstwa, nie łatwo w niej znajdzie; a jeżeliby nawet jaki

zapęd w tym kierunku się pojawił, to tak nieśmiały i wątpliwy, że ślady stóp jego zaraz się zacierały.

Nie doczekała się wszelako dotąd powieść nasza krytyczno-historecznego opracowania w całkowitym swym rozwoju. Mamy artykuły, szkice literackie, fejetony, drukowane wykłady publiczne, ale wszystko fragmentarycznie, lub monograficznie traktowane. „O polskich romansopisarzach“ *Kraszewskiego* (1836), „Literatura romansu w Polsce“ *Grabowskiego* (1840), dla nas już za stare, za odległe, a w owych czasach były znowu za bliskie, a może i za... młode. *Belcikowskiego*: „O naszym najdawniejsem powieściopisarstwie“ (1867), to tylko fragment starych czasów po wiek XVIII., *Tarnowskiego* „Romans polski w początku XIX. w.“, już samym tytułem mówi, co jest jego treścią. To też z radością przeczytaliśmy tytuł książki: „Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie, skreślone przez *Piotra Chmielowskiego*. Kraków. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego i K. J. Heumanna 1887“. Książka obszerna, 631 str. dużej ósemki, imię autora głośnie, wymawiane z większą lub mniejszą sympatją, ale zawsze z uznaniem dla talentu i rzetelnej pracy; tytuł budzi już nie chęć, ale łakomstwo czytania. Wszystko to sprawia, że czytelnik z góry już, nim książkę otworzył, nastraja się jak do bankietu wykwintnego, a uzbraja nie w łokieć ale, co najmniej, w sążniową miarę do odmierzenia książki. Na kartce tytułowej przeczytał, że tu mowa będzie nie o wszystkich, w jakieś grupy ujętych powieściopisarzach, lecz tylko o Kraszewskim, Czajkowskim, Rzewuskim, Kaczkowskim, Zacharjasiewicz, Jeżu i Sienkiewicz. Cokolwiek przykro czytelnikowi, ale pocieszył się przed mową autora, bo zaraz na wstępie powiada autor, że „rodzajem literatury, największy wpływ na ogół wywierającym jest powieść, a nie badając początku i stopniowego rozwoju wpływu tego, nie wchodząc w przyczyny i skutki, a biorąc go jedynie takim, jakim się obecnie przedstawia, zwrócę uwagę czytelników na to, że nie tylko ciekawą, ale nawet bardzo ważną rzeczą jest zbadać, jakie są cechy jego, to jest, jaką karm duchową powieść nasza daje publiczności, jakie ideały stawia przed jej oczyma, jakie wzory do naśladowania poleca“.

To nas uspokaja, pociesza i napawa nadzieją, że znajdziemy w tych siedmiu nazwiskach powieściopisarzy, siedm wyczerpujących

całkowitych, zaokrąglonych obrazów, zwłaszcza, że w końcu przedmowy zapewnia autor: „Nie chcę narzucać swoich poglądów i przekonań dogmatycznie, kreśląc je ogólnikowo, bez poparcia odpowiednimi dowodami“.

Po przeczytaniu I. ustępu o Kraszewskim, doznajemy po części zawodu, pewnego żalu do autora. Dlaczego tylko pierwszym dziesięcioleciem działalności Kraszewskiego się zajął? Czy chciał dać obraz rozwoju powieści od 1830—40? W takim razie nie ma wcale miejsca w tej książce dla Sienkiewicza, skądże Jeź? jakim sposobem Zacharjasiewicz i t. d.? Płodność Kraszewskiego tak olbrzymia, tak różnorodna, wpływy jego na literaturę tak wielkie, że zapewne na 101 stronnicach wszystkiego o nim powiedzieć nie można, ale czyż nie lepiej było dodać jeszcze papieru, pracę rozszerzyć, a dać nam całkowity obraz tego olbrzyma niż siekać go na kawalki, jak rybę do smażenia. Od roku 1879, kiedy krytyk napisał ten fragment, było dość na to czasu. Wszakże autor w przedmowie powiada, że pragnie wykazać wpływ powieści jakim się obecnie przedstawia; mówiąc zaś o powieściach Kraszewskiego z pierwszego dziesięciolecia, tego obecnie przedstawiającego się wpływu nie wykaże, bo ówczesne Kraszewskiego powieści obecnie już wpływu nie wywierają, a ci, na których wywierały, otrzęśli się z niego stanowczo.

Na wstępie przypomina Chmielowski, że Kraszewski „utworami swoimi przeniknął zarówno w wyższe, jak w niższe sfery społeczne i stał się przez to najpopularniejszym w całym zakresie piśmiennictwa naszego“, że gdy publiczność polska ponownie zwróciła się do literatury francuskiej, gdzie znajdowała utwory Wiktora Hugo, Balzaca, George Sanda, Eugeniusza Sue, i wielu innych, „w takiej to chwili pracę budzenia uśpionego życia umysłowego swojskiego wziął na siebie Kraszewski“.

Godziło się to i należało powiedzieć i tem na progu zaraz przywitać Kraszewskiego, ale wątpliwej wartości współzucie (str. 21) dla „sędziwego pisarza, gdy robił Rachunki z całego życia społecznego; a różnorodność prac, zadraśnięcie cudzych przekonań i interesów, sprowadzało nań bole i cierpienia“. Zdaje mi się, że to nie były „cudze przekonania i interesy“, które zadrasnął Kraszewski w „Rachunkach“. Nie mniejszą od p. Chmielow-

skiego mamy część dla hetmana powieściopisarzy, ale sądzymy, że żyjąc poza krajem, nieznając w nim ani ludzi, ani stosunków, nie rozumiejąc dokładnie, lub niechęć rozumieć, wśród jakich warunków kraj ten żył przez lat ośmdziesiąt, niegodziło się takiemu pisarzowi dokonywać czwartego podziału Polski na terytorya dobrych i złych, mądrych i głupich i część Polski, co po rok 1860 najcięższe ze wszystkich przechodziła tortury, wydzielić od godności zasiadania u narodowego stołu. Czyż obiektywizm p. Chmielowskiego, gdy mowa o Rachunkach, tylko na współczucie dla autora się zdobywa?

Natomiast z całą przyjemnością wyrrywamy inne słowa warszawskiego krytyka, a powtarzając je za nim, podkreślamy w tem miejscu: „Parę pokoleń przypatruje się już tej cichej, spokojnej działalności, która poważnie i skromnie, bez hałaśliwych okrzyków kroczy wytrwale, dzień po dniu, godzina po godzinie, że z całą słuszością, a bez najmniejszej przesady mogła wziąć za godło swoje: *nulla dies sine linea*. Nie wahamy się twierdzić, że ten przykład pracy dany swojemu społeczeństwu, stanowi najświetniejszy liść w wawrzynie zasług naszego powieściopisarza. Dla dobra zarówno jednostek, jak i ogółu, potrzeba jednej jedynej rzeczy: naśladować go w tym względzie, jak najtroskliwiej“.

Podkreśliliśmy wyrazy p. Chmielowskiego, ale zastrzedzby się wypadło przedtem, jakoby owa działalność była zawsze „spokojna“, zawsze „poważna i skromna“ a „bez hałaśliwych okrzyków“. Wszakże sam krytyk (str. 31) przyznaje — mówiąc o „Ostatnim roku panowania Zygmunta III.“ i „Kościele S-to Michałskim“ — że „coś go ciągnęło do przeszłości, chciał ją poznać i zbadać dokładnie, ażeby ją przedewszystkiem *wyszykanować*“. Kto na to bada przeszłość by ją *wyszykanował*, temu wówczas nie dopisują ani „spokój“, ani „powaga i skromność“.

Nie brak też „hałaśliwych“ a może i zuchwałych okrzyków w walce z krytyką, o czem jest mowa kilkakrotnie u p. Chmielowskiego z przytoczeniem ustępów polemicznych, które dają świadectwo, że nie brakło zarozumiałości w młodych latach Kraszewskiemu, zarozumiałości objawiającej się z hałaśliwością Słowackiego. Chmielowski sam się na to zgodzić musi, wobec tego, co

podaje na str. 53. Przytacza ustęp z „Wędrówek literackich“, w którym bardzo jeszcze młody Kraszewski i jako człowiek i jako autor, odsądza literaturę polską od wszelkiej wartości. „Proszę przewrócić — pisał — cały katalog Bentkowskiego i dodatki do niego wileńskie i lwowskie, i wszystkie świeże katalogi — i proszę z tego mnóstwa książek wszelkiego rodzaju, choćby jedną pokazać, któraby miała wartość rzeczywistą, to jest europejską, któraby w jakiegokolwiek nauce, sztuce, w rzeczach smaku i imaginacji, nadawała ruch myślom i wpływała na epokę... Prócz oryginalnego geniuszu Kopernika, któż więcej stanie? Może jeden, może żaden“. Na te słowa nie bardzo „skromne“ pan Chmielowski odpowiada: „Tak surowego, a pod pewnemi względami niesprawiedliwego sądu o wartości utworów umysłowych swojskich, do owego czasu nikt u nas nie wygłosił“. Słowacki był skromniejszy, bo chociaż siebie miał za słońce, uznawał drugie w Mickiewiczu.

Wpływ Sterna, Jana Pawła Richtera, Hoffmanna i Irvinga a i Skarbka na stopniowy rozwój i talentu i artyzmu Kraszewskiego, przedstawia Chmielowski trafnie i prawdziwie.

Słusznie zwraca uwagę krytyk na nietrafne traktowanie erotycznego pierwiastku w pierwszych powieściach Kraszewskiego, tudzież na „teoretyczne“ zamilowanie przyrody, o której wiele mówi, ale jej nie maluje. Zgodzić się też można z bardzo trafnem spostrzeżeniem, że Kraszewski biorąc wiele z obserwacji, był zdania jednego z rosyjskich pisarzy, że „chcąc ludzi widzieć, jakimi są, trzeba więcej patrzeć przez okna i dziurki, niżeli oko w oko“, a „przeto obserwacye jego ściągały się bardziej do powierzchowności, aniżeli do wnętrza duszy. Przez okna i dziurki od kluczów, można wiele ujrzeć tajemnic; ale wtedy jedynie tajemnice te przedstawiają się nam w swojej wewnętrznej treści, gdyśmy z ludźmi przeżyli dość czasu oko w oko, wówczas bowiem odkryje się różnica pomiędzy człowiekiem w towarzystwie, a człowiekiem na osobności“.

Do zalet rozprawy p. Chmielowskiego zaliczyć potrzeba, że podał ciekawy i charakterystyczny przegląd najważniejszych i najgłośniejszych swego czasu krytyk, jakie się o pierwszych pracach Kraszewskiego pojawiły. Jakby na stwierdzenie tego, że nie zawsze praca znakomitego powieściopisarza była pełna „spokoju“ i „powagi“

i że „szykanował“ przeszłość, znajdujemy w naszej książce wyjątek z „Tyg. petersb.“ w tych słowach: „Kraszewski zdaje się mieć talent znikczemniania najinteresowniejszych miejsc historii“. I dziś podobno o „Ostatnim roku panowania Zygmunta III.“ toż samo powiedzieć by się dało, i to ze stanowiska już czysto estetycznego, gdyby ta powieść nie utonęła wśród tylu innych powieści histor. Kraszewskiego, a nie „znikczemniających“, ale uświetniających „najinteresowniejsze miejsca historii“.

W powieściach „Pan Karol“, „Cztery wesela“, „Leon Leontyna“, upatruje krytyk objaw oryginalności i siły, a podziwia artystyczne „Czterech wesel“ wykończenie i „najwięcej dobrze nakreślonych tam charakterów“. Nam by się zdawało, że Julia nie jest objawem siły i oryginalności, ale raczej wybrykiem spotwornionej fantazyi. „Głupota, samolubstwo, szachrajstwo, podłość przedstawiona w postaciach szlacheckich wchodzących w skład powieści (Dyonizy, Aleksy, Salezy) a niezapomniane też zmateryalizowanie księży, którzy będąc na pogrzebie i widząc smutek na twarzy Adolfa i obłąkanie w obliczu męża, powiadają sobie: „Pan Bóg nie zapomina o nas, zapomaga potrosze sług swoich, trzeci to już pogrzeb tak bogaty tego roku w naszej parafii — mechanicznie odczytują brewiarz, śpiewają pieśni pogrzebowe, przeplatając je gawędką o swoich dochodach, o psach, o polowaniu, powtarzają sobie plotki o zmarłej. W całej galerii obrazów i obrazków, dwie tylko postacie są uczciwe (prezes i Matylda, żona Adolfa), ale te właśnie postacie, zupełnie w cieniu postawione“. (str. 57) Tak mówi krytyk o tych „dobrze nakreślonych charakterach“.

Zapewne, że i szachrajów, samolubów i t. d. można nie tylko dobrze, ale i znakomicie skreślić, i gdyby tu chodziło o luźne sylwetki, charakterystyki, lub portrety, nie mielibyśmy nic przeciw uciesze p. Chmielowskiego, że to tak dobrze skreślone charaktery. Ależ to powieść, to obraz życia wyrwany z płynącego żywota narodu, to charakterystyka obyczaju jednej jego warstwy. Wobec tego owe „dobrze nakreślone charaktery“ są niesmaczną, nie artystyczną, a i złośliwą, a może nawet dla każdego wstrętną karykaturą. Krytyk tłumaczy autora tem, że na chwilę stał się tu pesymistą i materyalistą. Dziękujemy i za to!

Nie ograniczył się autor na wykazaniu genezy i rozbiórce po-

wieści, ale wiedzie nas za Kraszewskim przez młodzieńcze jego lata, czas studyów uniwersyteckich i podaje z biografii tyle, ile potrzeba do zrozumienia rozwijającej się twórczości pisarza, i to twórczości wszechstronnej a nie tylko powieściopisarskiej. Poznajemy też i Kraszewskiego powieściopisarza i poetę i krytyka, dziennikarza i historyka, a poznajemy w stopniowym rozwoju, rozroście, tęczeniu, talentu i w rozmaitych przemianach artystycznego kształcenia, aż do napisania powieści „Świat i poeta“, w której, jak mówi krytyk „Kraszewski wypowiedział już całego siebie, jakim był w danej chwili“. (str. 91).

Oceniamy wielce, zręczność krytyka w odkrywaniu psychicznych procesów w duszy autora, którym się zajmuje: niepodobna zaprzeczyć, że skreślenie genezy wszelkich utworów, umotywowane, zbieranie szczegółów skrzętne i podejmowane umiejętnie, wobec autora obiektywizm godny krytyka, ale nie ma obiektywizmu wobec tendencji, idei autora, wobec jego pomyłek i uniesień, których dopatrzeć by przecież wypadało, w imię prawdziwie bezstronnej krytyki.

Tego rodzaju praca niedokończona, przzerwana, fragmentaryczna, podobna do widoku budowli zaczętej, jest odłamem posagu, nie posagiem całym i nie dając zupełnego o autorze wyobrażenia, tych, co literatury uczyć się potrzebują, nie nauczy, a nawet nie korzystnie dla autora uprzedzi, dając obraz wyrabiającego się, a nie wyrobionego pisarza; ci, co lepiej z literaturą obeznani, w takim fragmencie nie znajdą całkowitego zadowolenia.

Po Kraszewskim, przedstawia Chmielowski *Czajkowskiego*, a obchodzi się z nim po macoszemu. Autor „powieści kozackich“, który na widownię wystąpił później od Kraszewskiego, ale o wiele szybciej od niego zyskał sobie sławę bardzo rozgłośną, lubo krótko trwała, stanowi ogniwo, łączące dawny nasz romans historyczny, którego najwybitniejszym przedstawicielem był Bernatowicz, z nowszym, rozpoczętym przez Ignacego Chodźkę, a do pewnej doskonałości doprowadzonym przez Henryka Rzewuskiego. Jako pośrednik pomiędzy jedną fazą a drugą, skupia on w sobie częściowe cechy obu, nie bez tego jednakże, aby druga, nowsza, wyraźniej się w nim nie odzwierciedliła“. Ta wstępna, a tak dogmatyczna charakterystyka Czajkowskiego, nie wiem, czyby znalazła dostateczne

dowody. Nie podaje ich też krytyk, a to, że Czajkowski zerwał z dawniejszą deklamacyjną szkołą, nie stanowi charakterystyki Czajkowskiego, jeno właściwe jest wszystkim niemal polistopadowym powieściopisarzom, a właśnie główną może tworzy różnicę między dawniejszym „romansem“, a nowszą „powieścią“.

Jak Czajkowskiego między Bernatowiczem i Chodźką umieścić można, nie rozumiemy; boć i naturą wyobraźni i metodą i materyałem i artyzmem tak od nich różny, a tak oryginalny, że byłby wśród nich ogniwem, ale ze zupełnie innego łańcucha. Nie sądźmy też, by sława Czajkowskiego była „krótkotrwałą“, bo przeżyła i Bernatowicza i Chodźkę, a trwa równie długo, jak sława i wziętość takich, jak Rzewuski, Kaczkowski, Korzeniowski i t. d.

Czytając, co autor pisze o Czajkowskim, doznajemy wrażenia, jakbyśmy patrzyli na człowieka, który otrząsł z drzewa wiosenne kwiecie i liście pozrywał, a odłamując gałęzie, zaglądał w zabarwienie rdzenia, to znowu przepiłowany pień, liczył w nim słoje, a chciał tego drzewa podać charakterystykę. Poznaliśmy drewno, nie drzewo.

Ze stanowiska fizyologicznego patrzy krytyk na autora, widzi w nim zjawisko, nie czuje ducha i sam pisze bez ducha. Razi tu jakieś jałowe, acz skrupulatne wyszukiwanie i zbieranie szczegółów, które objaśniają, że autor tak lub owak pisze, ale nie mówią dlaczego? Zdawać się tu może, że Chmielowski pisze o robotach mrówek lub zręczności bobrów, a nie o autorze, w którym można widzieć, „że się przemienił w prostego Ukraińca“ (str. 106) że „wiele dysharmonijnych rysów“ rzucił w postaciach kobiet (str. 110), zgodzić się można, że używał wyrażen trywialnych, że „motywowanie postępowania osób na scenę wprowadzonych nie istnieje“ (str. 111), że nie bardzo wchodzi w głębi duszy, a „zewnątrzną postać“ kreśli (str. 115) i t. d. — że można wszystko to widzieć, osądzić, zganić, ale nie należy zapominać, że tam było coś wyższego, coś istotnego, co porywać mogło młodzieńcze wyobraźnie i zapalać, a zająć zawsze nawet i osiwiiałych, że to coś, to siła ducha, siła wyobraźni, idea, poezya.

Nie zgodzimy się też, aby Czajkowski, „pojmował dzieje po kronikarsku“ (str. 114) a nawet p. Chmielowski zapewne nie zupełnie w to wierzy, skoro zaraz w ósmym wierszu powiada, że

autor „wypadki przeinaczał bez ceremonii, nie krępując się bynajmniej chronologią, lub istotnym dziejów przebiegiem“, czegooby przecież kronikarz nie czynił. Właśnie, przeciwnieby może wypadło powiedzieć, że za mało był historykiem a więcej poetą, że historię posłał w służbę poezyi i ulubionego ideału.

Zgadzamy się z charakterystyką bohaterów i bohaterek Czajkowskiego, byleby krytyk nie otrząsał z nich kwiecień i liści. Zgadza się, że „świat kobiecy został upośledzony w powieściach Czajkowskiego“ (str. 130) ale czyż wielu pisarzy u nas zdobyło się na „historycznie-prawdziwy typ niewiasty polskiej?“

Niech nam wybaczy p. Chmielowski jeszcze tę dodatkową uwagę, że napisawszy rzecz o Czajkowskim w r. 1876, z wielką szkodą dla literatury nie uzupełnił jej w ciągu lat dziesięciu, a po ukazaniu się w *Przeglądzie polskim* wykładu profesora Tarnowskiego „Michał Czajkowski“, mielibyśmy nadzieję, że to uczyni, choćby już w interesie własnej powagi naukowej, aby nie publikować rzeczy, która wobec „Michała Czajkowskiego“, musi się wydać co najmniej... spóźnioną.

Czwartą część książki, bo około 150 stronnie, poświęca krytyk *Henrykowi Rzewuskiemu*, a zajmuje się nim *con amore*. Szczegółów tu siła wielka, wyjątków przytoczonych tyle, że z poza nich często nie widać i nie słyhać p. Chmielowskiego. Pracy wiele, artyzmu pisarskiego mało, a podobno i krytyk zażywać go winien. Co do samej diagnozy talentu i tendencji Rzewuskiego, możemy na wszystko prawie podpisać się, co mówi krytyk warszawski, a nawet nader cenne i pożądane byłoby to studjum, gdyby nie brak należytej wymierności w układzie.

Ponieważ tytuł książki zapowiada rzecz o powieściopisarzach, więc zupełnie słusznie, abyśmy na 150 stronnicach poznali Rzewuskiego jako powieściopisarza przede wszystkim, tymczasem o „Listopadzie“ mamy stronnie kilka, o „Zamku krakowskim“ coś dwie, o „Śmigielskim“, „Lezdejce“ i t. d. po kilkanaście wierszy. Z krótkich, ogólnikowych, a pobieżnych uwag o powieściach, żadnego o ich wartości wyobrażenia czytelnik powziąć nie może, a przecież tego pragnął i tego się spodziewał, a natomiast przeszło sto stronnie czyta się polemiki z „Teofrastem“ „Wędrówkami umy-

słowami“, „Mieszaninami obyczajowemi“ i „Próbkami historycznemi“, wreszcie kilkanaście stronnice o artykule „Cywilizacya i religia“.

A czy to potrzebne? a czy to pożyteczne? Rzewuski, autor „Listopada“ i „Pamiętników Soplicy“, wreszcie „Zamku krakowskiego“ i t. d. słowem Rzewuski powieściopisarz, pozostanie na zawsze w literaturze i pamięć o powieściach jego nie zaginie; Rzewuski filozof, Rzewuski moralista, przepadł dla nas, za nim się jeszcze wieko trumny nad jego ciałem zamknęło. Czy jest dziś kto na całym obszarze ziem polskich, co by wobec jego poglądów społecznych i politycznych, nie ruszył ramionami, lub nie odwrócił się od nich, dla jednych z pogardą, dla drugich z niewiarą? Wartości aktualnej nie mają dziś i mieć nigdy już nie mogą, jak też może i nie miały wartości, gdy je wygłaszał, bo podobno nikogo niemi na stałe nie podbił, nie pozyskał. Po cóż z nimi dziś walka, coś jakby z wiatrakami Donkiszota? Chyba dlatego jedynie, że autorowi widoczną sprawia przyjemność walka z konserwatyzmem, więc najskrajniejsze, najwstrętniejsze i najprzewrotniejsze zdania, a może poprostu dziwactwa Rzewuskiego, zbutwiały już w grobie autora, wydobywa się z ziemi, odziewa w pancerz czystego konserwatyzmu i dalejże kruszyć z nim kopię.

Ktoby chciał z książki p. Chmielowskiego poznawać dzisiejsze stronnictwo konserwatywne, mógłby myśleć, że ono wykarmione mlekiem zasad Rzewuskiego i bronią jego żywota. Czyż warszawski krytyk tego może zaprzagnął?

Ta namiętność walki z konserwatyzmem czy zdrowym, czy chorym, żywym i pogrzebanym, istotnym czy wynaturzonym, najniepotrzebniej bez pożytku, bez celu odwiodła krytykę od właściwego zadania, od zajęcia się powieścią Rzewuskiego.

Nie idzie mi tu o sympatyę, lub antypatyę p. Chmielowskiego do tych, lub owych zasad, nie jestem ani rycerzem, ani pacholkiem konserwatyzmu i nie mam osobiście powodu stawać w jego obronie; wyznam szczerze, chociaż gościem tu jestem tylko, że najmilszy mi ów „złoty środek“, o którym krytyk wspomina chociaż go „szarą miernością“ nazywa; nie usiadłbym z krytykiem na lewicy, to pewna, ale i do prawicy bezwarunkowo bym się nie śpieszył; jednak w imię szlachetności, sprawiedliwości, w imię dobra trzeźwej, a sumiennej i poważnej krytyki i wymierności artystycznej, zredu-

kowalbym całe to p. Chmielowskiego mozolne, pracowite a nieużyteczne rusztowanie cytatów, do jednej dziesiątej części, a byłoby dość do określenia i apostazy narodowej Rzewuskiego i jego skrajności arystokratycznej.

Gdzie mu nie zawadza katolicyzm, gdzie nie nastęrcza mu się sposobność do szczypania przeciwnych sobie wyobrażeń społecznych, tam p. Chmielowski umie patrzeć spokojnie, badać trzeźwo, chociaż chłodno, jak profesor anatomii, bez artystycznego ożywienia.

„Rzewuski był znakomitym pisarzem; jest to fakt, który zarówno zwolennicy, jak i przeciwnicy jego opinii uznają; należy mu się więc ocena zarówno szczegółowa, jak beznamiętna“ powiada krytyk (str. 135), po malowniczo napisanym wstępie.

„Szczegółowo“ też podaje biografię autora, wykazuje stosunki jego rodzinne, wpływy, wśród jakich umysł jego i charakter się rozwijały, nie pomija nawet takich drobiazgów, że gdy był w konwiktach, „głowa pokryła się wyrzutami“. (str. 135) Powiada nam, że Henryka wychowywano po katolicku, bo „wyszktałenie ściśle katolickie było wówczas w modzie“ (str. 141)... chociaż zdaje nam się, że ta „moda“ zawsze a nie tylko „wówczas“, „modą“ była i będzie, aby dzieci katolickie nie w innej wierze wychowywać, jeno w katolickiej.

Bardzo trafnie charakteryzuje kosmopolityczne zabarwienie znacznej części bogatszej szlachty ówczesnej, jej martwość, apatyę. „Małe wykształcenie polityczne, a wielkie pretensye społeczne nie dozwalały wielu naszym historycznym rodom widzieć jasno. Mieli oni wprawdzie przed sobą takie wzory, jak Czartoryskich, Ossolińskich, Czaekich, co wśród zmienionych okoliczności, potrafili wybrać dla siebie sferę pożytecznej działalności już to na polu wychowania publicznego, już to w piśmiennictwie; ale były to wzory zbyt mozolne do naśladowania...“ Śród takich to wychowywał się Rzewuski i z wychowania nie wyniósł ani głębszego, a systematycznego ukształcenia, ani pojęć o obowiązkach życia.

Gdy podrósł, wyjechał za granicę, zatrzymał się w Krakowie, gdzie bawił się dobrze w ówczesnym salonie krakowskim, który, własnymi słowy Rzewuskiego, krytyk zajmująco maluje (str. 145). Wnet spotykamy autora w Petersburgu, wśród kółka Polaków. Nastęrczyła się krytykowi sposobność do narysowania genezy misty-

cyzmu i jego wpływów na bujny umysł Rzewuskiego. Rzecz ta podana spokojnie, osądzona według właściwej miary, jak również na str. 263, gdy podobno Mickiewicza (prelekye) i Rzewuskiego poglądy na konstytucję 3 maja, wywodzi z filozoficzno-mistycznych źródeł.

Wpływ de Maistre'a, Bonalda, Oleszkiewicza, baronowej Krüdener, a następnie pobytu w Rzymie z r. 1830 na 31, zetknięcie się z Mickiewiczem ponowne, wyjaśnione należyście, bez hipotez, a definitywnie.

Umiał też zajrzeć krytyk w głąb duszy i wykazać proces psychiczny autora, jak się w pisarza wyrabiać zaczął, jakie miał po temu motywa i materyały, wśród otaczającego go społeczeństwa (str. 156—162), i przystępuje do oceny „Pamiętników Soplicy“, o których mówi, że „były utworem swobodnego, ubocznemi względami nie skrepowanego i nie skrzywionego artystmu“.

Analiza „Pamiętników“ i charakterystyka, pod każdym względem wyborna. Przeczytawszy raz, mimowoli cofa się czytelnik, by lekturę potoczyć, ale p. Chmielowski wnet żałuje widzieć tego, że był tak przedmiotowym i tak artystycznym krytykiem, bo zaraz nicuje nie autora, ale „Soplicę“, jakby nie chciał pozostawić czytelnikowi uroku i po książce Rzewuskiego i po własnej wybornej ocenie. Nicuje ducha szlachetczyzny starej, poniekąd trafnie, a dowcipnie, nie bez soli attyckiej, jeno że ta sól cuchnie solniczką pozytywistów warszawskich.

I znowu spotykamy się z ciekawą, zręczną, wierną diagnozą tej choroby Rzewuskiego, która mu literaturę kazała poczytywać za cyprys zdobiący grobowiec, a godziła go bez zastrzeżeń z istniejącym porządkiem politycznym (str. 180), ale za długo nas tem krytyk zajmuje, radziibyśmy już poznać Rzewuskiego powieściopisarza. Dopiero na str. 202 doczekaliśmy się wreszcie genezy „Listopada“. Zaledwie o jego narodzinach powiedział krytyk, a już go porzuca, i gdy oczekujemy niecierpliwie estetyki, spotykamy się znowu z anatomią i to anatomią nie „Listopada“, ale prądów i sporów krytycznych ówczesnych. Znienacka wpada na nas spór (str. 206) o katolicyzm z ks. Chołoniewskim, spór za długi, a przeto rażący, bo odwodzi od rzeczy. To znowu na str. 210 walka „postępowców“

z „zakamieniałymi zachowawcami“ Tygodnika petersburskiego, a gdzież „Listopad“, o którym zacząłeś mówić, zapytać możemy.

Krytyk musi się wygadać, to trudno, to nie sejm, gdzie marszałek może wezwać mowcę „do rzeczy“, to papier cierpliwy i szoludowana publiczność warszawska, więc goniąc za „Listopadem“ wpadamy znowu w kłótnię Hołowińskiego z Trentowskim, aż wreszcie na str. 215 znowu „Listopad“.

Zbolały nas uszy od tych kłótni, zbolały oczy od czytania, ale wynagradza to krytyk charakterystyką „Listopada“, która byłaby wielce zajmująca, gdyby ją wyprzeć z pomiędzy owych niepotrzebnych balastów.

Zadowoleni śpieszymy dalej, by nowym przysmakiem się uraczyć, bo na str. 227 widzimy w cudzysłowie „Zamek krakowski“. Niestety, bardzo o nim mało, rzecz od niechcenia, z pośpiechem traktowana. Doznaliśmy zawodu, ale większego jeszcze doznajemy, gdy „Adama Śmigielskiego“ zbywa, wyraźnie z b y w a krytyk trzydziestu pięciu wierszami, a w podobny sposób obchodzi się z „Lezdejką“ i „Zaporożcem“.

Powieściopisarza Rzewuskiego, poznaliśmy tylko z „Pamiętników“ i „Listopada“ — a i to z oczu, acz trafnych, ale przecież nie wycieniowanych, a już znowu pilno krytykowi do kłótni donkiszockiej i od str. 235—289 znowu polemizuje z katolicyzmem Rzewuskiego, jego apostazją i dziwactwem arystokratycznem — wszystko to w czambuł pod jeden biorąc strychulec, pod jedno pojęcie zbrodni podciągając. A wszakże już prosta logika nakazywała w tych „zbrodniach“ poczynić różnicę, bo „katolicyzm“ jest tylko zbrodnią u Moskali i kilku zdyskredytowanych już pozytywistów warszawskich, „konserwatyzm“ może być zbrodnią w oczach tych, co go rozumieć nie chcą, lub zrozumieć nie zdołają, a tych nie wielu, zaś apostazya narodowa — jest zbrodnią wobec całego narodu.

Jednak przyznać trzeba, że wśród tej lawiny polemicznej jest bardzo wiele ciekawych a dobrze skreślonych ustępów, jak ów wspomniany już o Mickiewiczu (str. 263), jak rzecz o „szkole tradycjonalistycznej“, jak historia „Dziennika Warszawskiego“ i t. d. Z pomiędzy wielu innych, powinienem przytoczyć ten ustęp: „Było w Rzewuskim jakby dwie osobistości: jedna polska — otwarta, rubaszna, trywialna nawet; druga francuska, ale w tym rodzaju,

który się u nas nigdy nie podobał, wyrobiona cudzoziemskim wychowaniem, długim pobytem za granicą, szydłercza, przepojona legitymizmem i tradycjonalizmem, w duchu Bonalda de Maistre'a. Pierwsza jednała mu sympatyę, zapewniała powodzenie jego opowiadaniom i żartom; druga odpychała od niego, bo naród ani legitymizmu francuskiego, ani zasad de Maistre'a znać nie chciał. Utworem pierwszej były „Pamiętniki Soplicy“, to też wzbudziły entuzjazm; typowym utworem drugiej był artykuł: „Cywilizacya i religia“, dla tego też został odepchnięty ze wstrętem (str. 281—2). *Mutatis mutandis*, można to przyjąć za generalną charakterystykę Rzewuskiego.

(Dok. nast.)

Czesław Pieniążek.



PAMIĘTNIKI HRABIEGO BEUSTA.

(Friedrich, Ferdinand Graf von Beust. Erinnerungen und Aufzeichnungen aus drei-Viertel-Jahrhunderten. Stuttgart 1887).

(Dokończenie.)

Po spóźnionym i nietrzeźwym wstępie w świat, mały Beust bardzo powoli rozwijał się na ciele; już jako kilkoletni chłopiec ważył zaledwie 18 funtów. Pomimo to przeżył wielu rówieśników i kolegów w urzędzie, a sam późnej doczekał się starości. Był średniego wzrostu, cienki, chudy, miał piękną twarz i nogę maleńką, z której był bardzo dumny; gdy w Wiedniu z jego nogi żartowano, odpowiadał: dajcie pokój mojej nodze, jest to ta sama (*derselbe gute Fuss*) na której stoję z Europą. Natura obdarzyła go łatwym pojęciem i wyborną pamięcią; w dodatku otrzymał sporą miarkę szczęścia. Katastrofy, dotyczące państwa i narody, zawsze jakoś jemu wychodziły na pożytek. Po ukończeniu nauk uniwersyteckich w Getyndze, doznawszy trudności w wejściu do służby rządowej, zamierzał starać się o docenturę w Lipsku. Tymczasem przyszła rewolucya lipcowa we Francyi, zmiana ministrów w Dreźnie i znalazło się dla niego miejsce w wydziale spraw zagranicznych; przytem pracował w administracji i jako kammerjunker zbliżył się do dworu. Po kilku latach, w 1836 r., został posłany do Berlina na sekretarza legacji, stamtąd przeniósł się do Paryża i w 1841 r. był już posłem przy dworze bawarskim, następnie posłem w Londynie. Rewolucya 1848 r. otworzyła mu drogę do ministerium. Nominacya musiała być jednak na razie cofnięta; Beust jeszcze kilka miesięcy przeczekał na poselstwie w Berlinie. Do ga-

binetu wszedł dopiero w maju roku następnego, z okazji zaburzeń stołecznych. Król schronił się do Königsteinu; minister spraw zagranicznych z kolegą z wydziału wojny, zamknięci w budynku rządowym nad Elbą na nowem mieście, byli świadkami wejścia Prusaków i przytłumienia nieporządków. Przez lat szesnaście Beust piastował tekę spraw zagranicznych, a z nią razem oświaty i wyznań, sprawy wewnętrzne, handel, rolnictwo, policyę, nawet w najgorętszych i najtrudniejszych czasach. Co więcej, potrafił pozyskać przychyłność króla Jana, jednego z najzacniejszych ludzi, jakich ziemia nosiła, przytem człowieka posuwającego do pedantyzmu ścisłość w pełnieniu obowiązków. Towarzysząc mu podczas kampanii r. 1866 Beust znalazł się wraz z swoim monarchą w Wiedniu, w dniu bitwy pod Sadową. Na dworcu kolei żelaznej przyjął ich cesarz Franciszek Józef, bladej jak ściana, wiadomością o przegranej.

Beust czuł, że jego karyera w Saksonii skończona, ale potrzebował dokumentu z rekomendacją na dalszą pielgrzymkę. Zaproponował więc królowi, aby go wysłał do Berlina traktować o pokój między Saksonią i Prusami. Bismark oświadczył, że z ministrem Saskim nie chce mieć do czynienia — w ten sposób wobec świata uczynił go swoim politycznym i osobistym rywalem. Pierwsze spotkanie Beusta z Bismarkiem miało miejsce w r. 1848 w Berlinie, w domu p. de Savigny, także jednej z przyszłych ofiar niemieckiego kanclerza. Savigny był posłem pruskim przy Bundestagu. Bismark był jeszcze niczem i bawiąc w stolicy, używał gościnności tamtego. Podczas ранnej wizyty Beusta, zjawił się w pokoju, w szlafroku, z ogromną fajką. Mówiono właśnie o straceniu w Wiedniu Roberta Bluma. Beust twierdził, że to wielki błąd ze strony rządu austriackiego. *Ganz falsch!* krzyknął Bismark; *wenn ich einen Feind in der Gewalt halte, muss ich ihn vernichten!* Czy w tych słowach nie mieści się program polityczny żelaznego męża? Uplynęło lat niewiele. Beust był ministrem spraw zagranicznych w Dreźnie, Bismark posłem pruskim w Paryżu. Wracając z wystawy londyńskiej, saski minister zetknął się z późniejszym rywalem. Zjedli razem parę dobrych obiadów i rozmawiali o różnych różnościach, dotyczących wspólnego rzemiosła. Wkrótce potem Bismark objął naczelnictwo gabinetu w Berlinie. Już to wprost, już to za pośre-

dnictwem p. de Savigny zawiązała się między kolegami korespondencya w sprawach bieżących, głównie względem odnowienia związku celnego; projektowano zjazd obu ministrów, który nie przyszedł do skutku. Obie strony widocznie sobie nie ufały. Dopiero w ciągu r. 1863 Beust wybrał się do Berlina. Bismark w przejeździe do Gastein, odwiedził Drezno; dwaj ministrowie rozłączyli się w najlepszej komitywie. Lecz, pod jesień, Beust wystąpił w Lipsku na obchodzie śarzeleckim z mównicą, w której zbyt gorąco ujmował się za jednością niemiecką i która w Berlinie mocno się nie podobala. W następnym roku, za inicjatywą cesarza austriackiego, monarchowie niemieccy zebrali się w Frankfurcie na naradę nad reformą związku. Król pruski, bawiący w Badenie, przybycia odmówił. Wysłano doń w poselstwie króla Jana saskiego z Beustem. „Chcecie nas zgubić, ale się Wam to nie uda!“ — temi słowy przyjął Bismark drezdeńskiego kolegę. „Niech Wasz król, odrzekł tenże, przyjedzie do Frankfurtu i powie zebranyim książętom: po odbyciu dwóch kuracyi potrzebuję odpoczynku, proszę więc o parę miesięcy zwłoki; natenczas kongres nazajutrz się rozjeździe“. — „Być może, rzekł Bismark, ale pewności nie ma“. — „Wszak mnie pan ufasz?“ zarzucił Beust. — „Ufałem, ale od mowy w Lipsku, ufać przestałem. Pański najlepszy przyjaciel, generał Manteufel, aż się rozchorował po przeczytaniu pańskiej mowy i ciągle powtarza: jak się można do tego stopnia na człowieku zawieść?“

Późniejsze wypadki stosunków naturalnie nie poprawiły. Po zajęciu Drezna przez wojsko pruskie w r. 1866, władze pruskie rozpoczęły polowanie na papiery Beusta: w jego letnim mieszkaniu poodrywano podłogi i przy tej okazji wypito wszystko wino z piwnicy; u długoletniej przyjaciółki ministra przewrócono w tym samym celu dom do góry nogami. Już po podpisaniu warunków pokoju z Austryą, Beusta bawiącego u znajomych nad granicą czeską ostrzeżono, żeby unikał forpoczt pruskich, bo może być przez pomyłkę wzięty do niewoli.

Zostawszy ministrem austriackim Beust był, rzecz prosta, najgorzej zapisany w papierach kanclerza berlińskiego, który go oskarżał przed królem saskim i w swoich dziennikach nieustannie kazał zaczepiać w nadziei, że go wyrzuci z Wiednia. Nadeszła wreszcie wojna francusko-niemiecka; Austrya zbliżyła się do Niemiec, ce-

sarz Wilhelm poczał co roku przyjeżdżać do Gasteinu, a z nim i ks. Bismark. W r. 1871 spotkali się tam znówu dwaj kanclerze, w rok później spotkanie się powtórzyło. Ks. Bismark był w dobrym humorze, nader uprzejmy i rozmowny. Skarżył się na cały świat później: na sąsiadów, na papieża, na katolików niemieckich; wszyscy najgorzej się sprawowali względem Prus, *alle haben ruchlos gehandelt*, wszyscy mieli być ukarani, najpierw katolicy. Cały program kulturkampfu kanclerz przed kolegą rozwinał. Przechodząc do osobistych rzeczy, pochwalił się jakiej w swoim czasie użył sztuczki, aby Thiersa zmusić do przyjęcia warunków pokoju. Po prostu zaczął mówić do niego po niemiecku. *Mais, Monsieur nous ne comprenons pas un mot d' Allemand! — C'est égal je ne parlerai qu' allemand.* Po upływie pół godziny, Thiers poddał się, a wtedy kanclerzowi mowa francuska wróciła.

„Co pan robisz, kiedy wpadniesz w gniew?“ zagadnął raz Bismark Beusta. „Dla mnie jest jedna rada: tłuc co mi pod rękę wpadnie. Kiedyś byłem u króla i wyszedłem w „czarnej złości“, trzasnąłem drzwiami, aż mi klucz został w ręku; wpadam więc do pokoju Lehndorfa¹ i rzucam klucz w miednicę, która poszła w kawałki“. — „Boże wielki! czyś książę chory?“ pyta Lehndorf. „Byłem chory, ale teraz już jestem zdrow“.

Hr. Beust (cesarz austriacki nadał mu tytuł hrabiowski w r. 1868) zaprosił księcia na obiad w domku szwajcarskim. Wszyscy przybyli w rannem ubraniu. Podczas obiadu, który miał miejsce w altanie, ujrzeli powóz pocztowy, a w nim hr. Arnima świeżo mianowanego ambasadorem w Paryżu. Posłano po niego z zaproszeniem. Powóz stanął, ale podróżny znikł. Schowany za powóz przywdziewał frak. *Mit einem solchen Menschen, soll man nur höhere Politik treiben!* zawołał Bismark.

Bawił wówczas w Gasteinie zamożny frankfurteczyk, p. Christ, ożeniony z siostrzenicą hrabiny Meran i dawny znajomy Bismarka. Przy poobiedniej gawędzie, w niemal czysto austriackiem towarzystwie, zwrócił się raz do żelaznego kanclerza w te słowa: „Powiedz mi książę wreszcie, dla czego w 1866 nie poszedłeś do Wiednia? wszak tyle razy słyszałem od księcia, we Frankfurcie, że dzień wja-

¹ Hr. Lehndorf, adjutant cesarza Wilhelma.

zdu do Wiednia będzie dniem najpiękniejszym w pańskim życiu?" — Bismark tylko mruczał.

Po drugim pobycie w Gasteinie, nastąpiło w Salzburgu spotkanie obu cesarzy, austriackiego i niemieckiego. Kanclerze byli naturalnie obecni. Na każdym kroku tłum wznosił okrzyki na cześć księcia Bismarka. „Widzisz pan, mówił tenże Beustowi, jak ja się dobrze urządziłem. Dawniej ludzie na mnie pluli, więc pokazywałem się po cywilnemu i nie potrzebowałem uchylać kapelusza, teraz gdzie mnie ciągle honorują, noszę mundur i salutuję po wojskowemu, bez zdejmowania czapki“. Po odjeździe monarchów, kanclerz austriacki odwiedził berlińskiego kolegę do Reichenhall, pożegnali się serdecznie, jak żęby na resztę dni pogodzeni. Tymczasem na zajutrz po upadku hr. Beusta, gdy na ambasadzie londyńskiej nikomu już nie powinien był zawadzać, dzienniki berlińskie rozpoczęły nową zjadłą przeciw niemu kampanię, która trwała tak długo, jak długo hr. Beust pozostawał w służbie publicznej. Ujmował się za nim sam ambasador niemiecki, hr. Münster: niechajby raz dali pokój temu człowiekowi! I prawdziwie niebyło już nad kim się znęcać. Hr. Beust rano na starym Arabie spacerował w Hyde-Parku, nie ominął żadnego zebrania towarzyskiego, komponował walce i wierszyki, zabierał głos na bankietach dobroczynnych stowarzyszeń i pisał depesze, których jego następcą najczęściej nie czytał. Podobny los musiał spotkać i jego reklamacye, regularnie słane do Wiednia, ile razy w delegacyach zaczępiono politykę dawnego kanclerza; przynajmniej ani razu satysfakcyi publicznej nie otrzymał. Mogło mu niezbywać na dobrych chęciach odegrania czynnej roli w stosunkach międzynarodowych, ale nie miał nikogo za sobą i nikomu wody zamącić nie był w możności. Jeden kanclerz niemiecki, gdy mu się co nieprzyjemnego przytrafiło, chwycił się za jeden z trzech historycznych włosów, wołając: *cherchez Beust!*

I trzeci kanclerz ówczesny, ks. Gorczaków, nie lubił wiedeńskiego kolegi. Rosya nie miała jednak przyczyny skarżyć się, ani na politykę gabinetu austriackiego, ani na zachowanie się hr. Beusta. Antagonizm ks. Gorczakowa płynął z innego źródła, z tego, co Francuzi nazywają *la jalousie du métier*. Kanclerz petersburski mocno dbał o reputacyą najlepszego stylisty w dyplomacyi europejskiej; kanclerz wiedeński toż samo i silił się, aby współzawod-

nika prześcignąć. Książę oskarżał przeto hrabiego, że mu pomysły wykrada, *qu'il lui volait ses idées*. Około roku 1868 hr. Beust ofiarował Rosyi usunięcie z traktatu paryskiego klauzuli neutralizującej morze Czarne; rząd rosyjski ofiarę odrzucił, lecz po wojnie francusko-niemieckiej sam tę klauzulę jednostronnie wypowiedział. Hr. Beust zwrócił się z uszczypliwą uwagą, która obieгла wszystkie stolice: *Ce procédé peut rendre les traités plus faciles, il ne servira pas à les rendre plus solides*. A podczas wojny, kiedy hr. Beust usiłował wywołać zbiorowe pośrednictwo Europy między stronami wojującymi, ks. Gorczaków mu odrzekł: w swoim czasie Europa wystąpi, ale pod inną kokardą! Francya uległa i musiała przyjąć podyktowane sobie warunki; wtedy hr. Beust odplacił pięknem za nadobne, pisząc do Petersburga: widzę kokardę, ale Europy nie widzę! I ks. Gorczakowowi do śmierci brzęczało w uszach: *Je ne vois pas d' Europe...*

Mało który Francuz dorównał temu synowi flegmatycznej Saksonii darem dowcipu i konceptu. Trafnem i dobrze umieszczonem słówkiem hr. Beust nieraz w ciągu swego zawodu dopomógł sobie znakomicie. Zostawszy ministrem spraw wewnętrznych w Saksonii, znalazł policją w oplakanem zaniedbaniu i w rękach władz miejskich, które skąpiły funduszków. „Kiedy nie chcecie dać pieniędzy, rzekł, odstąpię policją rządowi“. — „I owszem, odpowiedziano, ale mamy dyrektora, co służy już lat trzydzieści, człowiek bardzo doświadczony, odda rządowi wielkie usługi, a my uwolnimy się od obowiązku płacenia mu emerytury“. — „Ach! westchnął minister, dyrektor policyi który dziesięć lat — a cóż dopiero trzydzieści — żywy na urzędzie wytrzyma, nic nie wart...“ Wydziedziczony król Hanowerski zamieszkał w Hietzingen pod Wiedniem; gościnności odmówić mu było niepodobna, bo padł ofiarą polityki austriackiej, lecz jego obecność sprawiała Gabinetowi wiedeńskiemu liczne kłopoty i ścigała ustawiczne skargi ze strony Prus. Podczas wielkiego przyjęcia na Ball platzu, poseł niemiecki baron Werther ośmielił się rzec do gospodarza: „muszę nawyknać do tego, że przyjdzie mi tu spotykać króla Jerzego. *A qui la faute?* — odciał się w lot hr. Beust, czyli innemi słowy: dobrze wam tak, pociście go z własnego domu wypędzili?

Kto czem wojuje, od tego ginie, mówi Pismo św. Po zamor-

dowaniu cesarza Maksymiliana w Meksyku, monarcha austriacki przypisywał winę tego nieszczęścia Napoleonowi III., który Maksymiliana na tronie osadziwszy, w krytycznej chwili opuścił. Kanclerz, nie ukąsiwszy się w język, wtrącił: a „Hanower?“ .. I w ten sposób dość często znosił cegielki na własny grób. W ciągu roku 1869 kanclerz osiągnął zenitu swojej kariery. Dobrze widziany u cesarza, miał silne plecy w parlamentach, wiele budował na faworze opinii publicznej; bądź co bądź, zadał kłam prorokom, którzy twierdzili: Beust pogrzebał Saksonią, pogrzebał związek niemiecki, pogrzebie i Austryą. Tymczasem Austrya widocznie wzmagała się w siły. Kanclerz pojechał do Badenu do królowej Augusty pruskiej, żeby przez nią tentować o zgodę z dworem berlińskim. W Ouchy odwiedził ks. Gorczakowa. Towarzyszył cesarzowi w podróży po Kroacyi i w wielkiej wycieczce na Wschód. W Zagrzebiu straż rezydencyi cesarskiej polecił wedle zwyczaju wiernym Serezanom, których jeden z dygnitarzy, nie mocny w filologicznych drobiazgach, nazywał Saracenami. Zapytany przez monarchę, jak mu się podobają ci gwardziści o malowniczych czerwonych płaszczach, kanclerz trafnie zauważył: *Im Vorzimmer angenehmer als im Walde*. Po powrocie ztamtąd, kanclerz opowiadał o nich rozmaite ciekawe epizody, historycznej wagi, które w pamiętnikach przemileczał, zapewne przez dyskrecyą. Nie zdołał jednak powstrzymać się od ukrytej wprawdzie, ale grubej niedyskrecyi, byle uszczypnąć Madziarów i swego następcę na Ball-platzu. Jak wiadomo, Węgrzy pożąдали wówczas aneksyj osad wojskowych i ten interes szedł im bardzo trudno. Cesarz chciał zwiedzić osady, lecz nie miał ochoty zabierać tam z sobą prezesa gabinetu węgierskiego i dawać mu okazję odegrania roli przyszłego gospodarza. „Przypadł mi więc obowiązek, pisać kanclerz, powstrzymania hr. Andrassego, pod pozorem konferencyi“. Miłe przypomnienie dla zatrzymanego i jeszcze dla kogoś! W podróży na Wschód kanclerz zwiedził kolejno Konstantynopol, Ateny, Jerozolimę, był przytomny otwarciu kanału Sueskiego, zaważił o Kair i Aleksandryą. Polityką podobno nie wiele się kłopotał, za to bawił się wybornie, nie na morzu wprawdzie, bo dużo cierpiał na morską chorobę. W swoim czasie opowiadano, że gdy cała świta, płynąca na osobnym okręcie, wila się w boleściach, kanclerz kazał sygnałami przesłać do statku cesarskiego klasyczne

powitanie: *Morituri te salutant, Caesar!* Musiała to być dowcipna bajeczka, skoro kanclerz o tem nie wspomina. Przytacza natomiast *qui pro quo* następnie: Cesarz kazał zapytać: co robi Beust? telegrafista zamiast odpowiedzieć: *er schläft*, pomylił się w sygnałach i odpowiedział: *unverschämt!* W ustach przeciwników kanclerza jego nazwisko nierzadko poprzedzał przymiotnik: *bez wstydu*. Czy to był prosty traf, czy przyjacielska usługa, czy osobisty wyanalazek kanclerza, zapisanie go w pamiętnikach maluje człowieka, który był gotów z siebie nawet samego najdotkliwiej żartować, oraz daje miarę tonu, w jakim jest cała podróż opisana. Dykteryjki sypią się jak z rękawa. W Konstantynopolu znalazł kanclerz dawnego znajomego, generała Ignatiewa. Do układów z nim nie było powodu, powiada hr. Beust, mogłem przeto swobodnie używać przyjemności gawędzenia z nim; on zaś miał zwyczaj zaczynać od słów: *Vous savez que mon grand défaut est de toujours dire la vérité*. Zasłużenie zaś czy niezasłużenie, Ignatiew uchodził za człowieka, który nigdy prawdy nie mówi. Sultan zgotował swemu gościowi najświetniejsze przyjęcie, które naturalnie grubo kosztowało. Ale, rzekł ktoś, urzędnicy tureccy od półtora roku nie widzieli pensyi; czy taki stan rzeczy może utrzymać się w XIX. wieku? Kiedy istnieje, odparł kanclerz, nie ma powodu, żeby i nadal nie istniał. W Jerozolimie kościół Armeński posiada skarbiec, wartający kilkadziesiąt milionów. Kanclerz nie może przemilczyć swojej admiracyi dla rządu tureckiego, który, pomimo wiecznego niedostatku, nie poszedł za przykładem tylu państw katolickich i majątku kościelnego do skarbu nie zagrabił. Porównanie nasuwa się samo z siebie, ale pod piórem ministra austriackiego jest nieco ryzykowne. Wszak hr. Beust szedł w sprawach kościelnych torem Józefa II., a jeżeli dóbr duchownych do skarbu nie zaaneksował, to nie jego, Beusta, zasługa. Cesarz Józef ułatwił mu cnotę szanowania cudzej własności. Idźmy dalej. W Aleksandryi wice-król dał wielki bal dla monarchów i książąt obecnych przy otwarciu kanału Suezkiego. Kanclerz, nie mając powozu, poszedł piechotą; w drodze spotkawszy osiołka, dosiadł takowego i na ośle, we fraku, białym krawacie, wstęgach, jedwabnych pończochach i lakierowanych trzewikach, zajechał przed pałac. Ubawiwszy cesarzową Eugenię opowiadaniem o swojej peregrynacyi, przez cały wieczór trzymał rękę na piersiach, nie z roz-

czulenia na widok historycznego widowiska, ale przez troskliwość o swoje gwiazdy brylantowe; zauważył bowiem, że w sali kręci się mnóstwo niepewnych figur. W pamiętnikach męża stanu, żart podobny robi przykre wrażenie; co kiedyś ludzie pomyślą sobie o nas, czytając, jak potentaci tego świata ocierali się dobrowolnie o rzezimieszków? A jeszcze zachodzi pytanie, czy aż tak źle działo się w samej rzeczy. W każdym razie niejeden czytelnik szepnie sobie: w kanclerzu austriackim zbyt często pokazuje palec *un polisson*.

Dla uniknięcia długiej przeprawy morskiej, kanclerz wracając obrócił drogę na Włochy. We Florencyi złożył czołobitność królowi. Wiktor Emanuel nie szczędził oświadczeń przywiązania dla Austrii: obiecał podobno na każde zawołanie dostawić pół miliona żołnierza, chwalił się że „naród słucha kiedy on mówi“, a o sobie zakonkludował, wspominając o świeżo przebytej ciężkiej chorobie: *J'ai pensé que je crèverai, et cela me faisait plaisir*. Hr. Beust tak daleko filozofii nie posuwał: gdyby się był we Włoszech urodził, byłby pewno ministrował przy boku tego króla z obustronnem ukontentowaniem, nie naśladował wstrzemięźliwego Turka w rzeczy dóbr kościelnych. Kiedyś w Wenecyi, przy zwiedzaniu klasztoru Armeńskiego San-Giorgio, pytaliśmy przeora, czy zgromadzenie czuje się bezpiecznem wobec rządu włoskiego? — „Jesteśmy pod protekcją Sultana“ — odrzekł przeor.

W domu czekały kanclerza kłopoty domowe, kłótnie ministerjalne i przeprawy, wśród których jego nawa miała utknąć na mieliźnie. W drobnych i wielkich rzeczach fortuna zaczęła mu niedopisywać. Zapragnął „zaręczyć się z Galicyą“ mandatem do Sejmu lwowskiego. Izba handlowa w Brodach obrała go posłem. Kanclerz przy pomocy Klaczki śle telegram dziękczynny po polsku, pewien, że tym sposobem uraduje serca swoich wyborców. „Ej! — zawołali chórem brodcy żydkowie — myśmy go wybrali, bo chcieliśmy wysłać do sejmu Niemca, a on gada po polsku!...“ I w sejmie kanclerz nie mógł się pojawić ani razu. Wybuchła wojna francuska, sejm lwowski zamanifestował swoje uczucia, niezupełnie zgodne z oficjalną polityką kanclerza; Klaczko, wówczas urzędnik w ministerjum spraw zagranicznych, wygłosił pamiętną mowę za Francją, z której można było wnioskować, że rząd życzył sobie, aby choć jeden sejm odłączył się od chóru austriackich prusofilów. Tak nie było. Klaczko

wystąpił z własnego natchnienia, wypowiedział co czuje — co cała czuła z nim Polska — i zawczasu był zdecydowany dowieść to czynem. „Cóż teraz?“ — spytał go znajomy przy wyjściu z sali sejmowej. „Teraz idę pisać podanie o dymisyę“. Kanclerz zamieścił w pamiętnikach dokument godny powtórzenia:

„Panie Hrabio!

„Dłużny Francyi za dwadzieścia lat użyzionej mi gościnności i przejęty poczuciem niezmiernych niebezpieczeństw, jakie zupełne zwycięstwo Prus zgłotowałoby równowadze europejskiej i istnieniu Austrii samej, uchwycilem pierwszą nadarzoną sposobność, aby memu osobistemu przekonaniu głośny dać wyraz.

„W polskiem zgromadzeniu przemawiając, odwołałem się do naszych dawnych sympatyj, które obecnie zdawały mi się najzupełniej zgodnemi z naszym przywiązaniem do interesów monarchii austriackiej. Spełniając jednak obowiązek sumienia, nie łudziłem się bynajmniej co do odpowiedzialności osobistej, jaką wzięłem na siebie, jako urzędnik w ministerstwie Waszej Ekscellencyi.

„Mam przeto zaszczyt złożyć w ręce W. E. moją dymisyę wraz z prośbą o pobłażanie dla mego postępowania, bezwątpienia nie całkiem właściwego, lecz natchnionego przez szczere uczucia. Chciej również W. E. wierzyć w moją głęboką wdzięczność i przywiązanie jakie na zawsze zachowam znakomitemu mężowi stanu, którego mogłem ocenić serce wielkie, dobre i szlachetne“¹.

Julian Klaczko.

¹ „Monsieur le Comte! Obligé envers la France par vingt années d'une hospitalité libéralement accordée, profondément pénétré en outre de l'immense péril que le triomphe définitif de la Prusse créerait à l'équilibre Européen et à l'existence même de l'Autriche, j'ai saisi la première occasion qui s'est présentée pour exprimer hautement cette conviction personnelle.

Devant une assemblée polonaise j'ai fait appel à nos anciennes sympathies, qui à l'heure qu'il est me semblaient s'accorder entièrement avec notre dévouement pour les intérêts de l'Empire Autrichien. En agissant ainsi, j'accomplissais un devoir que ma conscience m'imposait, mais je ne me faisais pas illusion sur la grave responsabilité personnelle que j'assumais comme fonctionnaire public, attaché au ministère de Votre Excellence.

J'ai donc l'honneur de remettre ma démission aux mains de Votre Excellence en la priant de vouloir bien être indulgente envers une conduite assurément irrégulière, mais inspirée par des sentimens sincères, et de ne point

Szkoda, że kanclerz zapomniał, czy też nie chciał dodać treści rozmów, jakie miewał z Klaczką, tak jak nie przytoczył srogich prawd, usłyszanych od księcia Władysława Sanguszki, po złożeniu przez tegoż przysięgi tajnego radcy. Można być pewnym, znając nieco obu, że *Hofrath* nie pozostał w tyle za *Geheimrathem*, i że co miał w myśli, to i na języku.

A. M. L.

douter de la profonde gratitude et de l'affectueux respect que je porterais toujours à l'homme d'état éminent dont il m'a été donné d'apprécier le coeur grand, bon et généreux.

J'ai l'honneur d'être, Monsieur le Comte, avec le plus profond respect, de Votre Excellence le très humble et très dévoué serviteur⁴.

STOWARZYSZENIA KATOLICKIE W NIEMCZECH.

II.

Istota, urządzenia i działalność katolickich stowarzyszeń w Niemczech.

Katolickie stowarzyszenia, wiemy to aż nadto dobrze, budzą różne uczucia: jednych zadziwiają siłą swego życia, dla innych są solą w oku. To w czym jedni widzą gorliwość i miłość prawdy katolikom właściwą, to inni uważają za oznakę nagannej katolickiej wyłączności za nietolerancję. Nie jeden, — dobrowolnie czy niedobrowolnie — przeocząc jasno wypowiedziany, faktyczny cel stowarzyszeń, daje się słyszeć ze zdaniem, że dobrze przeprowadzona organizacja stowarzyszeń katolickich ma jedynie na oku pewne hierarchiczne tendencje; zdążające do ujarznienia ludu, poddania go swym widokom na długie jeszcze lata i t. d., bo któż zliczyć potrafi wszystkie na ten temat snujące się brednie. A przecież ktoby tylko zadał sobie trochę pracy i zechciał poznać istotne cele różnych stowarzyszeń, studyując ich statuty — do wręcz odmiennych dojść by musiał wyników. Przedewszystkiem przekonałby się niezawodnie, że wszystkie katolickie stowarzyszenia, jako główny swój cel i zadanie, uważają umysłową i moralną korzyść członków, a popierając wszelkimi prawnymi i moralnymi środkami rozwój interesów pojedynczych stanów, przyczyniły się w znacznym stopniu do podniesienia ogólnego dobrobytu. Dopiero gdyby stowarzyszenia upadły odczuto by, jak wiele dobrego działały i jak trudno je zastąpić.

Nie próżna i przesadna дума z powodzenia włożyła nam pióro do rąk, aby nakreślić obraz czynności stowarzyszeń niemieckich uwiecznionych z pomocą boską dobrym rezultatem — ale szczerą chęć, aby i gdzieindziej korzystając już z nabytego w Niemczech doświadczenia, jęto się do podobnej pracy, która niechybnie podobne przyniesie owoce. Wiem doskonale, że nie mogąc wszystkich mych twierdzeń poprzeć dokładnymi datami, zostawiam w tej pracy niejedną ważną szczerbę; nie tak to moja jednak wina, jak raczej walki kulturalnej, której oplakane skutki czujemy aż po dziś dzień, mimo obecnego zawieszenia broni. Z tejto przyczyny piszący te słowa nie mógł się dokładnie poinformować o statystyce wielu wielkich i ważnych stowarzyszeń i związków; nad czem tembardziej boleje, że liczby działają zawsze silniej i doraźniej, na czytelnika. Taić sobie nie można, że kulturkampf osłabił znacznie życie katolickich związków; dopiero gdy odpłyną ostatnie chmury tej wrogiej dla katolicyzmu burzy, będzie można rozejrzeć się dokoła i dokładnie obrachować straty.

Dla łatwiejszego zorientowania się, podzielmy sobie wszystkie stowarzyszenia na następujące grupy: *a)* społeczne, *b)* naukowe, *c)* dobroczynne, *d)* szkolne, *e)* zawodowe.

Podział ten, choć niewystarczający, gdyż nie wszystkie stowarzyszenia naturalnie w nim się mieszczą, to przecież nie przerażające i nie męczące z góry zbytnią ilością subtelnych odcieni, najodpowiedniejszym jest do naszego celu.

I. Stowarzyszenia społeczne.

A. Związki włościańskie, owo najwyraźniejsze i najpotężniejsze zjawisko naszego społecznego życia związkowego, nie powinnyby właściwie wchodzić w zakres naszej pracy, chociaż bowiem powstały w krajach katolickich i rozwój swój zawdzięczają kierunkowi katolickiemu, to jednak — należy to z przyciskiem zaznaczyć — nie są bynajmniej, ani w ściślejszem, ani w obszerniejszem tego słowa znaczeniu, związkami katolickimi. Każdy może być członkiem: bez względu, czy jest katolikiem czy do partii katolickiej nie należy. Każdemu chrześcijaninowi otwarta tu droga, każdy: kalwin, katolik czy luter, zarówno może pozyskać wszystkie związkowe urzędy.

Na samym więc początku zbaczam nieco od przedmiotu, ale skłania mię właśnie do tego katolicki początek i kierunek tych stowarzyszeń i wspaniały wzrost, który zawdzięczają temu katolickiemu swemu początkowi i kierunkowi.

Opowiem najprzód historię stowarzyszeń włościańskich; ruch jaki wywołało założenie i rozszerzenie się stowarzyszenia westfalskiego; zastanowię się nieco dłużej nad działalnością stowarzyszeń w Szląsku pod kierownictwem barona Huenego, do czego skłania mię zarówno sąsiedztwo z Galicyą jak i podobieństwo stosunków. Wreszcie całą tę część zakończę statystyką ogólną stowarzyszeń włościańskich w Niemczech i kilku nastroczającami się ogólnemi uwagami.

W roku 1862 zebrało się w Westfalii w okręgu steinfurckim 16 gospodarzy pod przewodnictwem barona Schorlemer-Alsta i założyło związek włościański, stawiając sobie w statucie za zadanie podniesienie członków za pomocą pewnych odpowiednich środków pod względem tak moralnym, jak umysłowym i materyalnym. Bardzo właściwie dobrane, a energicznie i konsekwentnie przeprowadzone środki wydawać zaczęły tak pomyślne owoce, że już w roku 1864 wpisało się na członków z górą 250 wiejskich mieszkańców, wspomnianego okręgu. Schorlemer-Alst został przewodniczącym i tegoż roku puścił w świat pismo p. t. „O położeniu i potrzebach stanu wiejskiego w Westfalii“¹. Broszura ta przedstawiała kwestyę jasno i dosadnie; rozeszła się też w mnóstwie wydań i podziałała znakomicie. W następnych latach idąc za raz danym przykładem powstały podobne stowarzyszenia w różnych innych miejscowościach. Ale, gdy nadszedł rok 1871 a nad głowami zawisł kulturkampf, przyszła rządowi dziwna myśl do głowy. Stowarzyszenie włościańskie, któremu przewodniczył v. Schorlemer-Alst, uznanem zostało za polityczne, spiskujące z zagranicą — a zatem restryktem ministeryalnym z d. 22 lipca 1871 r. zostało zniesionem.

Na wielkiem zgromadzeniu włościańskim w Monasterze 30 listopada 1871 r. rozwiązały się wszystkie dotychczasowe stowarzyszenia miejscowe i połączyły się w jedną wielką organizację, znaną

¹ Die Lage des Bauernstandes im Westfalen und was ihre Noth thut. Münster, 1864 Aschendorff'sche Buchhandlung 47 Seiten.

do dziś dnia pod nazwą „Westfalskiego związku włościańskiego“. Rzecz charakterystyczna, że na tem zebraniu próbę zastąpienia wyrazu „religia“ przez „moralność“ w §. 3 statutu¹ odrzucono wszystkimi głosami przeciw jednemu. Celem stowarzyszenia, że jeszcze raz to powtórzmy, jest podniesienie stanu wiejskiego pod względem moralnym, umysłowym i materyalnym i utrzymanie włościan w posiadaniu ziemi. Wybrano i odpowiednie środki do tego celu, jako zaraz zobaczymy.

Liczba członków dochodzi obecnie do 20.000 właścicieli i dzierżawców. Majątek stowarzyszenia wynosił z końcem roku zeszłego 132.000 marek. Prawda, że towarzystwo, przystępując do swej reorganizacyi w r. 1871, nie potrzebowało zaczynać od samego początku, mimo to jednak wymienione cyfry świadczą o wielkim wzroście od owego czasu. Główny zarząd skupia się w wydziale, złożonym z 70 członków z przewodniczącym i dwoma zastępcami na czele. Każdy członek wydziału reprezentuje mniej więcej 25 stowarzyszonych. Zarząd i wydział porozumiewają się wspólnie, w jaki sposób należy kierować stowarzyszeniem, co przyczynia się niemało do wykluczenia wszelkiej jednostronności i ducha partyi.

Warto posłuchać co mówi, o tem i o kwestyach do tej zbliżonych, założyciel „westfalskiego stowarzyszenia włościańskiego“, w liście do piszącego te słowa z 8 grudnia 1886 r. „Raz jeszcze wyraźnie zastrzegam, że założone przeze mnie westfalskie stowarzyszenie włościańskie, już w samych swych początkach, gdy jeszcze ograniczało się do okręgu Steinfurt w r. 1862, wcale nie było wyznaniowem. Przeciwnie zaraz z początku przyłączyło się doń wielu członków wyznania ewangelickiego, a liczba ich wobec ciągłego wzrostu towarzystwa wielce pomnożyła się i urosła w tysiące. Trudno podać tu dokładną ich liczbę, ponieważ przy przyjmowaniu nowych członków, nie badamy nigdy jakiego są wyznania. I pastorowie protestancecy bywają członkami stowarzyszenia, zarządu i wydziału. Surowo przestrzegam, aby do narad nie wchodziły kwestye polityczne ani religijne, których i tak już statut stanowczo nie dopuszcza; temu też w rzeczy samej zawdzięczamy, iż działalność

¹ Członkowie towarzystwa obstają za utrzymaniem religii, rodziny i własności, jako podstaw społeczeństwa i państwa.

nasza nie rozbiega się w różnorodnych kierunkach, a wszyscy nam ufają.

Dla zabezpieczenia członków swoich od nieprzewidzianych klęsk, stowarzyszenie zawarło układ z Towarzystwem ubezpieczeń od ognia, gradu i na życie; wystarawszy się dla swych członków, o jak najkorzystniejsze warunki. W ten sposób niedoświadczonym udzielono wskazówki, do jakiego towarzystwa asekuracyjnego mają się udawać, a w razie potrzeby „stowarzyszenie włościańskie“ broni interesów swych członków.

O rozmiarach czynności stowarzyszenia konsumcyjnego surowych produktów gospodarskich (sztuczne nawozy, narzędzia gospodarskie, materiały spożywcze, nasiona) najlepsze da wyobrażenie choćby ten szczegół, że w przeciągu dwóch lat istnienia przeszło przez ręce tej instytucji za sam nawóz i żywność 1,058.841 marek.

Najlepszy znak praktycznego rozsądku dało Stowarzyszenie, biorąc się od razu do uregulowania kredytu. Wielkie zasługi oddało Towarzystwo włościaninowi, popierając westfalski prowincjonalny Bank ziemski (*Landschaft für Provinz Westfallen*), wyzwoliło bowiem chłopów z nadmiaru długów i uchroniło przed lichwą. Bank ziemski zaspokaja potrzebę kredytu i obecnie jest w posiadaniu listów zastawnych, w okragłej sumie 22 milionów marek; w przeszłym roku puścił w kurs $3\frac{1}{2}$ procentowe listy zastawne. Dla zaspokojenia potrzeb kredytu osobistego, stowarzyszenie utworzyło miejscowe Towarzystwo kasowe oszczędności i pożyczek na zasadzie prawa wzajemności. Dotąd już sto miejscowości ma swoje kasy, tworzące znowu związek, którego punktem środkowym jest Centralna kasa ziemska w Monasterze. O czynności tego związku niech zaświadczą następujące cyfry: od stycznia aż do września r. 1886 poszczególne stowarzyszenia wniosły do kasy centralnej 1.065,397 marek, podjęły zaś 1.063,102 m.

Dla uniknienia procesów i pieniactwa w łonie Towarzystwa wprowadzono sądy polubowne i urzędy rozjemcze; czynność ich oszczędza wiele kosztów i łagodzi nieporozumienia.

Westfalskie stowarzyszenie włościańskie wystarało się o wydanie rozporządzenia z 30 kwietnia 1882, regulującego stosunki majątków ziemskich w prowincyi westfalskiej. Na mocy tego roz-

porządzenia nie wprowadzono wprawdzie nowej jakiejś spadkowej ustawy, ale posiadacz ziemski może przynajmniej, zapisując swój majątek na liście posiadłości ziemskich, zapewnić dziedziczość dla swego domu, pod warunkami zapewniającymi utrzymanie gruntu i chroniącemi przed parcelacją.

Starając się o zdrową oświatę stowarzyszenie dopomaga zimowym szkołom gospodarczym, które mają za cel obznajamiać z pierwszemi zasadami praktycznego i teoretycznego gospodarstwa, prowadzenia ksiąg i t. d.

Pomijając całe szeregi tanich i praktycznie pisanych pism zawodowych o lichwie, o handlu bydłem, ustawodawstwie rolnem i t. p. Towarzystwo wydaje własny organ p. t. „Chłop westfalski“. Pismo to wychodzi miesięcznie w objętości 16 do 32 stronic in 8^o, zawiera rozprawy treści agraryjno-politycznej, artykuły z zakresu techniki gospodarczej, przegląd gospodarski, skrzynkę z pytaniami i t. p.

Bardzo wreszcie ożywionemi i pouczającemi były posiedzenia odbyte w tym roku, tak posiedzenia walne, jak pojedynczych związków i wydziału.

Jakież są warunki przyjęcia do stowarzyszenia westfalskiego? Parę tylko ważniejszych dla przykładu przytoczymy. Paragraf 4 statutu brzmi jak następuje: Do stowarzyszenia może być przyjęty 1) chrześcijanin obu wyznań, wypełniający ich przepisy, zalecający się życiem moralnem i trzeźwem 2) pełnoletni, posiadający w pełni prawa uczciwego obywatela, 3) niezależny właściciel gruntu, zajmujący się gospodarstwem. Wkładka roczna wynosi stale na rok markę; wszyscy urzędnicy Towarzystwa są jego członkami honorowymi. Dwunastego grudnia 1881 r. ukonstytuowało się w Neustadt na górnym Szląsku pod przewodnictwem barona von Huene w Grossmahlendorf „Szląskie stowarzyszenie włościańskie“. Już tego samego dnia zgłosiło się na członków 3.700 osób, a liczba ta wkrótce znacznie wzrosła. Co najbardziej dolega chłopu górnoszląskiemu wykazano w pierwszym na próbę rozesłanym numerze „miesięcznika stowarzyszenia szląskiego“, w rozprawie: „Skąd ma właściciel gruntu otrzymać korzystną pożyczkę na swój grunt i glebę?“

Stowarzyszenie szląskie, jako niedawno powstałe, nie może oglądać tak wielu skutków swej działalności, jak westfalskie i z tej głównie racji należy bliżej się zaznaczyć ze statutem tegoż a to

tem bardziej, że odznacza się on niezwykłą znajomością rzeczy i dokładnością opracowania. W wielu zasadniczych punktach schodzą się oba statuty, w innych musiano się rachować z odrębnymi stosunkami Szłaska.

Stowarzyszenie mające swe centrum w Opolu postawiło sobie za zadanie podniesienie pod każdym względem i utrzymanie przy życiu posiadłości włościańskiej czyli wiejskiej. Dla osiągnięcia tego celu chwycono się następujących środków:

a) Omówienie i odpowiednie uchwały, zmierzające do obrony wspólnych interesów członków, do odwrócenia szkód grożących posiadłości ziemskiej, zaniechanie złych nawyków, nadużyć i zbytku.

b) Popieranie oświaty i nauki, o ile są potrzebne stanowi włościańskiemu.

c) Godzenie interesów spornych, usuwanie kłótni i procesów przez bezstronne pośrednictwo.

d) Obrona interesów członków przez wpisywanie ich do towarzystw assekuracyjnych.

e) Walka z lichwą, pośrednicząc zwłaszcza w wyjednaniu taniego kredytu, a zarazem:

f) Troszcząc się o utrzymanie roli w posiadaniu dotychczasowych właścicieli, tak przez powyżej wymienione środki, jak również stawiając tamę nadmiernemu szkodliwemu dla gospodarstwa rozdrobnieniu posiadłości włościańskiej.

Przyznać trzeba, że we wszystkich tych punktach dotknięto najgłówniejszych przyczyn upadku stanu włościańskiego. Pośród wielu innych środków działania, nieobliczonem w następstwach może się okazać to naleganie na usunięcie złych nawyków, nadużyć i zbytku, jak niemniej wystąpienie przeciw przeciążeniu zbyt wieloma i to niepotrzebnymi naukami, rozwielniającymi się już nawet po szkołach elementarnych, a to popieraniem oświaty i wiadomości, będących w jakimś stosunku do stanu włościańskiego. Bo i co przyjdzie z tego chłopu, że więcej wie o geografii, niż o tem co się dzieje w stajni lub oborze! Może to i za drastyczne porównanie, ale rzecz cechuje dobrze i zupełnie prawdziwie. A do celu tego tj. do nadania zdrowego, zgodnego z istotą rzeczy kierunku, zdąża stowarzyszenie z taką ścisłością, że dziwną by zaiste było rzeczą, gdyby wieśniakowi, uczęszczającemu na miejscowe i walne

zebrania, choć cokolwiek z tego w głowie nie utkwilo. Prawda, że myśl nowa nigdzie nie ma trudniejszego dostępu jak do chłopa, zapatrzonego w starofrankońską modłę, wedle której kierowały się jego dziady i pradziady: w żaden sposób nie może mu się pomieścić w głowie, że nie tylko zewnętrzne stosunki są przyczyną upadku jego stanu, ale że sam ten stan spuścił z oka sposobność zwrócenia na lepsze tory swej doli. Przeglądając roczniki miesięcznika, poznaje się dopiero całe niedołęztwo włościanina z odpowiedzi i wskazówek, wychodzących od zarządu i redakcyi, a z drugiej strony nigdy się dość nie nadziwisz tej cierpliwości, z jaką redakcyja wciąż na nowo powtarza jedno i to samo, aż gdy do syta nie wiedzieć wiele razy na jedną kwestyę odpowiedziała, zjawia się znów ciekawy, który nie pomyślawszy nawet o zajrzeniu do dawnych roczników, znowu chce się tego samego dowiedzieć.

Zgłaszać się o przyjęcie można do każdego członka zarządu lub wydziału. Przewodniczący przyjmuje tymczasowo; potem rozstrzyga o tem Wydział. W razie wątpliwości Wydział rozstrzyga, czy kandydat posiada zalety wymagane od członka, lub czy tenże, choć już przyjęty, nie zasługuje na wydalenie. Członkami honorowymi zostać mogą na przedłożenie Wydziału, a za uchwałą walnego zgromadzenia, mężowie wybitni, dla celów stowarzyszenia dobrane zasłużeńi.

Zarząd towarzystwa uregulowano na wzór stowarzyszenia westfalskiego. Wyboru zarządu, składającego się z przewodniczącego, zastępcy i 50 ławników, dokonuje Wydział co trzy lata. Przynajmniej połowa członków Wydziału wychodzić powinna w każdym okręgu wyborczym z szeregów właścicieli wiejskich.

Zarząd i Wydział przynajmniej raz na rok zgromadzać się powinien na ogólne posiedzenie, w którym z zasady uczestniczą wszyscy członkowie. Na żądanie 30 członków musi być zwołaniem walne zgromadzenie w przeciągu trzech tygodni. O polityce i religii nie wolno mówić na zgromadzeniach. Wkładka roczna wynosi markę.

Nakoniec ostatni paragraf 11 statutu brzmi: Rozwiązanie towarzystwa może nastąpić za uchwałą dwóch walnych zgromadzeń, odległych od siebie przeciągiem czterech tygodni; do prawomocno-

ści tej uchwały potrzebną jest większość głosów obecnych. Wymieniona uchwała orzeknie zarazem o przeznaczeniu zebranego majątku.

Jak widzimy rozwiązanie stowarzyszenia nie tak łatwo, za lada powiem wiatru, może nastąpić.

O środkach pieniężnych i wydatkach stowarzyszenia najlepsze wyobrażenie da następująca tablica przychodów i rozchodów.

I. Przychody za rok 1882 i 1883.

I. Wkłádki	12.538·78 marek.
a w szczególności: a) do banku stowarzyszenia	12.023·40 m.
b) do zarządu	515·38 „
Razem	<u>12.538·78 m.</u>

U w a g a. Z wkładek przed ich zaciągnięciem odliczają się wydatki członków, Wydziału, na porto i t. p. W rzeczywistości więc suma wkładek płaconych przez członków jest znacznie wyższą.

II. Z inseratów w miesięczniku	189·85 m.
III. Rabat od fabryk sztucznego nawozu za	
rok 1882 a) z fabryki Pyrkosch	117·50 „
b) „ Silesia	12·00 „
IV. Procenta z banku	<u>271·28 „</u>
Ogół dochodów	<u>13.129·41 m.</u>

II. Rozchód za rok 1882 i 1883.

1) Druk i rozsyłka miesięcznika	6894 93 m.
2) Inne koszta druku	65·65 „
3) Papier i koperty	43·25 „
4) Porto dla zarządu	166·20 „
5) Inseraty	38 30 „
6) Koszta zgromadzeń	35·00 „
7) Przekład na język polski	300·00 „
8) Kancelarya	200·00 „
9) Procent bankowi	<u>35·40 „</u>
Razem	<u>7.778·73 m.</u>
Według tego przychód	13.129·41 „
Rozchód	<u>7.778·73 „</u>
Czyli stan kasy z d. 1 listop. 1883 r.	<u>5.350·68 m.</u>

Nie od rzeczy tu będzie zauważyć, że stowarzyszenie szląskie wiele zyskało przez wybranie sobie banku szląskiego na swego kasyera. Nietylko bowiem zaoszczędziło sobie skutkiem tego wydatku na utrzymanie kasyera, ale też pobiera w banku odpowiednie procenta, mianowicie tą razą 271·48 m., od których odliczając prowizję dla banku 35·40 m., zostaje na czysto 236·08 m.

Jak rośnie majątek stowarzyszenia, świadczą następujące cyfry: 1 października 1883 r. wynosił 5.350·78 m.; w roku 1884 8.474·60 m.; w roku 1885 wzrósł do 11.990·00 m.; a w r. 1886 1 października doszedł okragłej cyfry 14.000 m. Przeważnie składa się z listów zastawnych.

Jak znowu troszczy się stowarzyszenie o wyjednanie różnych ułatwień dla swoich członków w towarzystwach asekuracyjnych dowodzą następujące szczegóły:

W miesiącu wrześniu r. 1884 zabezpieczyło się w prowincyalnem towarzystwie ogniem za pośrednictwem stowarzyszenia z ustępstwem 10^o/_o do 20^o/_o — 1194.

W północno-niemieckiem towarzystwie ubezpieczeń od ognia było w r. 1882:

404 ubezpieczeń na		2,185.063 m. i 18.516·70 m. premij z góry płatnych
w r. 1883:		
806	" "	3,666.856 " 30.180·70 " " " " "
w r. 1884:		
1126	" "	5,069.474 " 40.941·— " " " " "
w r. 1885:		
1365	" "	5,988.411 " 52.293·60 " " " " "

Nie wynotowane tu spóźnione wpłaty na szczęście odliczone były począwszy od r. 1883 aż do końca r. 1885 jako premie, co uczyniło: 154.079·58 m.

Natomiast towarzystwo ubezpieczeń wypłaciło poszczególnym członkom za poniesione szkody ogółem 230.555·20 m.

Stąd nadmiar wkładek 46.775·62 m.

Szczególne trudności do zwalczenia miało towarzystwo z powodu wielu języków używanych w kraju, w którym działa. Dla zaradzenia tej niedogodności, urządza zgromadzenia miejscowe: niemieckie, polskie i morawskie i miesięcznik swój również w tych trzech językach wydaje.

Na pierwszym miejscu zajmuje się stowarzyszenie kwestyą kredytu, odwołując swych członków wszelkimi sposobami od szukania żydowskiej lichwy wiodącej bezwarunkowo do ruiny, a zachęcając do wytworzenia sobie nie tak łatwego lecz istotnego kredytu. Dla członków stowarzyszeń okręgowych stoją otworem: okręgowe kasy oszczędności, Towarzystwo kredytowe ziemskie (*Landschaft*) i nakoniec prowincjonalne kasy pomocnicze. W wywiadywaniu się o kredyt osobisty pośredniczy redakcyja miesięcznika, do której wprost zwracają się abonenci z zapytaniami. Stowarzyszenia kasowo-pożyczkowe Reiffeisena wbrew wszelkim złym wróżbom i jakkolwiek z początku musiały walczyć w Górnym Szląsku z wielu trudnościami, zakorzeniły się już, i coraz lepiej się rozwijają. Z następujących cyfr (z października r. 1885) można powziąć wyobrażenie o wielkości tego rozwoju. Dwanaście istniejących tego rodzaju stowarzyszeń, zostających bez wyjątku pod dozorem i kierunkiem pana Reiffeisena w r. 1884 przedstawiało kapitał . 90.090·92 m. W tem wkładki oszczędnościowe 70.495·27 m.

W ogóle przychód wynosił	127.002·78 m.
Stąd wypłacono	29.899 26 „
Wypożyczono członkom	83.865·79 „
Procenta i zarząd	4.502 80 „
Suma rozchodów	<u>118.267·85 m.</u>

Aktywa towarzystw wynosiły	131.029·96 m.
Passywa	<u>130.020·55 „</u>
Zysk	1.009·41 „
Z lat ubiegłych pozostało w kasie	<u>1.764·34 „</u>
Uzyskamy w ten sposób fundusz rezerwowy	2.773·75 „

Pomyślmy, że trzy towarzystwa ledwie że zostały założone, że wiele pieniędzy pochłonęły koszta urzędzeń, a zrozumiemy, że zysk nie mógł być większym. Wszystkie te towarzystwa zawiązały wspólnie związek górnoszląski, który wziął sobie za zadanie ułatwiać wzajemnie korzystanie z doświadczenia, osiągniętego przez poszczególne stowarzyszenia. Środkiem do tego służącym są częstsze zebrania, na których zgromadzeni komunikują sobie nawzajem owoce osiągniętego doświadczenia. W ogóle da się powiedzieć, że towa-

rzystwa starają się wpływać i pod względem moralnym i pod religijnym i dochodzą w istocie w tym kierunku do dobrych wyników.

Podawszy w powyższym zarysie najważniejsze i zasadnicze szczegóły o stowarzyszeniu włościańskim westfalskiem i szląskiem, rzucmy okiem na ogólny ruch podobnych stowarzyszeń w całych Niemczech. Nie przestaniemy tu na samych krajach katolickich, by na tej wyłączności nie ucierpiała całość obrazu.

Roku 1881, dnia 24 września zawiązało się *Nassauskie stowarzyszenie włościan*. Liczba jego członków na początku r. 1883 dochodziła do 2.000. Przewodniczącym jest obywatel ziemski Jan Tripp z Burghof niedaleko Dernbach (*Unterwarterland*). Zakładając kasy oszczędności, towarzystwa ubezpieczeń dla bydła, w krótkim czasie osiągnął bardzo pomyślne rezultaty. Urządzone przez Stowarzyszenie sądy rozjemcze cieszą się wielkiem powodzeniem. Organem towarzystwa jest „Gospodarz“ (*Landwirth*), wychodzący w Rüdesheim.

Na podobnych statutach i z podobnemi urządzeniami istnieje od r. 1881. *Towarzystwo włościańskie środkowego Renu*. W lipcu r. 1882 powstało pod kierunkiem barona v. Thielemann *Wschodni-niemieckie stowarzyszenie włościańskie* z główną siedzibą we Wrocławiu. W obwodzie świdnickim liczy ono podobno pewną garstkę członków. Feliks baron v. Löe, wraz z gronem podobnież usposobionych mężów, założył w r. 1882 d. 2 listopada *Reńskie stowarzyszenie włościańskie*. W nader krótkim czasie stowarzyszenie urosło fenomenalnie:

We wrześniu 1883 r. liczyło	. . .	12.600	członków
w kwietniu 1884 „	„ . . .	15.000	„
„ lipcu „	„ . . .	17.000	„
„ grudniu „	„ . . .	18.000	„
„ marcu 1885 „	„ . . .	20.000	„
„ wrześniu „	„ . . .	22.400	„
„ listopadzie „	„ . . .	23.000	„
„ sierpniu 1886 „	„ . . .	25.000	„

Tak więc w ciągu czterech lat istnienia stało ze względu na liczbę członków między najpierwszemi tego rodzaju stowarzyszeniami w Niemczech. Ale i pod względem pieniężnym nie mniej się rozwinęło.

W roku 1883 miało dochodów	13.094·85 m.
„ „ „ „ wydatków	9.625·86 „
A więc pozostało w kasie	3.468·99 „
W roku 1885 miało dochodów	74.639·76 m.
„ „ „ „ wydatków	52.104·57 „
Pozostało w kasie	22.535·19 „

Stowarzyszenie konsumpcyjne dla nawozów, żywności dla bydła i nasion, bardzo jest czynnem. Każda nowość gospodarza poddana jest surowej próbie przez osobnych specjalistów i potem dopiero zalecaną członkom. Produkta surowe podlegają rozbirowi dla sprawdzenia, czy istotnie zawierają w sobie odpowiednie składniki. System wzajemnych ubezpieczeń zastosowano tu w najszerszych rozmiarach. Pozawierano układy na najkorzystniejszych warunkach z towarzystwami ubezpieczeń od ognia, dla bydła, na życie i od gradu. Towarzystwo odznaczyło się w agitacji za spoczynkiem niedzielnym. Sady jego rozjemcze zasługują na gorące uznanie.

Jednocześnie, bo w listopadzie 1882, powstało także *Towarzystwo Heskje*. Na czele jego stoją hr. Ernest v. Erbach z Erbachu, nadradca sądowy Frank z Darmstadt i proboszcz Göhr z Geinsheim. Towarzystwo rozwija się pomyślnie, zwłaszcza w Hessyi reńskiej.

W Westfalii obok *Stowarzyszenia Westfalskiego* zawiązało się jeszcze w listopadzie 1882 włościańskie stowarzyszenie *Minden-ravensberskie* z siedzibą w Oeynhausien pod prezesem baronem von der Reek. Obecnie toczą się narady nad zjednoczeniem ze stowarzyszeniem westfalskiem.

W październiku 1882 r. założył pastor Kersler z Fredesloh w Mohringen koło Hannoveru *Stowarzyszenie Solling-Leineńskie*, ale jakoś nie słyhać, czy mu się dobrze powodzi. Na statutach i z urzędzeniami stowarzyszenia westfalskiego powstało 11 stycznia 1883 r. *Zachodnio-pruskie stowarzyszenie włościańskie* — liczy 450 członków, punkt centralny w Deutschkrone.

W miasteczku sasko-wejmarskiem Geisa powstało za namową księdza Hagemanna *Stowarzyszenie włościańskie górnego Eisena-chu*. Ma ono objąć swą działalnością cały obwód karselski.

Również w *Bentheim* w Westfalii powstało małe stowarzyszenie, które podobnie jak Minden-ravensberskie i wschodnio niemie-

okie rozpoczęło pierwsze swe kroki od wysłania adresu do księcia Bismarka.

Istniejące od lat 25 *bawarskie włościańskie stowarzyszenie patryotyczne* rozwija się jak najświetniej pod bar. Hafenbraedl.

We wrześniu 1882 założył baron v. Rossbach-Thüngen *Stowarzyszenie frankońskie*. Rozszerzyło się ono już na Norymbergię i Erlangen — rozwija się pomyślnie.

W r. 1884 w Szwabii bawarskiej powstało *Stowarzyszenie Szwabskie*. W starej Bawarii istnieje *Stowarzyszenie w Tuntenhausen*, założone przez bardzo zasłużonego dziś już zmarłego hr. Arco-Zinneberg i Dra Ratzingera.

W Badenie, w Unterland i Bodensee — tworzą się podobne związki.

W okolicach Trewiru założono *Stowarzyszenie Trewirskie*, przewodniczącym jest poseł Limburg na Helenenbergu a sekretarzem ksiądz Darbach z Trewiru.

Z wyliczonych stowarzyszeń ułożyły dla siebie od samego założenia stałe statuty: westfalskie, nassauskie, saskie, śląskie, zachodnio-pruskie, hesskie, reńskie i poniekąd może wschodnio-niemieckie, które razem liczą okragło 60.000 członków. Bez obowiązującego statutu powstały: nimdenrawensberskie, bentheimskie, frankońskie, i solling-leineńskie.

Pierwsze położyły sobie za najważniejsze zadanie rozwinać energiczną zorganizowaną działalność w celu podniesienia majątkowych interesów stowarzyszonych; drugie ograniczyły się na wysyłaniu adresów do kanclerza państwa i petycyach do rządu o zasiłek z funduszków państwowych dla podratowania stanu wiejskiego. Bezwątpienia czasami dobrze jest, owszem przynależy i potrzeba uciekać się i do tego środka, ale kto się nim wyłącznie zadawałnia ten z pewnością nie dopnie zamierzonego celu. Dla czego, mógłby ktoś słusznie zapytać, stowarzyszenia włościańskie nie dążą do utworzenia organizacyi centralnej, która spotęgowałaby ich środki działania i powagę? Na ten zarzut niech odpowie baron v. Schorlemer, który świetnie rozwiązał to pytanie w mistrzowskiej mowie, na XIV. walnem zgromadzeniu gospodarzy niemieckich w Berlinie 8 lutego 1883.

„....Przechodzę do innego punktu. Niedawno zadano nam

pytanie: „Nie byłoby rzeczą pożądaną zaprowadzić pewien związek pomiędzy istniejącymi i powstającymi stowarzyszeniami włościan a tak cały ten ruch scentralizować?..“ Bardzo to poważne pytanie. Sądę jednak, że jeszcze nie czas na centralizowanie dzisiejszych stowarzyszeń. Mniemam, że nigdy stowarzyszeń nie należy fabrykować, lecz że trzeba dozwolić im samorodnie wzrastać i organicznie się rozwijać. Fabrykaty będą zawsze maszynkami bez wartości; kto chce wytworzyć organizm kwitnący życiem ten musi czekać na jego wolny rozwój. Wielu okolic w Niemczech nie objął jeszcze ruch włościański — a może i nigdy nie obejmie. I na cóż by się zdało jednoczyć to, co ledwie żyć poczyną, lub co dopiero stawia pierwsze kroki? Skończyłoby się na tem, że mielibyśmy wielu generałów a armii by nie było; dużo krzyku a mało pożytku! (Wesołość! wielka prawda!)

W stowarzyszeniach włościańskich chodzi o pracę — nie o agitację! (Brawo!)

Daleko to łatwiej agitować niż pracować, a właśnie nieniejsza kwestya wymaga gruntownej i energicznej pracy i ona to powinna być rzeczą główną każdego w szczególności związku. Inaczej doszlibyśmy do zwracania się z każdą potrzebą do rządu państwowego czy krajowego, a powtarzam, że choć nie odrzucam zgola pomocy państwa i uznaję, iż w wielu razach jest pożądaną — nie chciałbym jednak, aby ruch stowarzyszeń włościańskich na niej się tylko opierał. Błądzi kto mówi: „od państwa wszelkiej pomocy się spodziewamy“. Nie! stowarzyszenia nasze opierać się powinny na własnych siłach... tak muszą być zorganizowane, aby się mogły utrzymać bez względu na przychylne lub nieprzychylne usposobienie rządu. (Słusznie!)

A nadto i z innych jeszcze przyczyn byłbym przeciw zwracaniu się nad miarę do rządów: gdy kiedyś załaknie pomocy, odmówią jej albo w istocie trudno ją będzie okazać, cóż się stanie?.. Rzecz prosta: okaże się nieufność do kierowników, a za nią pójdzie upadek! A jakże łatwo obudziłaby się niechęć i nienawiść do rządu... Życzenia me i nadzieje inszą idą drogą: Stan wiejski powinien zostać tem, czem był zawsze — najpierwszą podporą ładu społecznego, i chrześcijańskiego w państwie i społeczeństwie, a nade wszystko — podporą monarchii i tronu. Gdyby bowiem ruch ten

gdzieindziej miał zawieść i stan włościański z obranej drogi sprowadzić, wówczas oplakiwałbym chwilę, w której założyłem pierwsze stowarzyszenie i wołałbym raczej, aby ich nigdy nie było. (Brawo!)

„Mówiąc przeto że dotąd jeszcze nie dojrzał ruch włościański do centralizacyi, że musi się wprzódzy rozwinąć“, wyraziłem przedmiotową przyczynę bronionego przezemnie twierdzenia. Ale jest jeszcze jeden powód przeciw centralizacyi, formalny wprawdzie, lecz niemniej rozstrzygający. Obowiązująca dotąd ustawa o związkach stanowczo jest przeciwną centralizacyi stowarzyszeń włościańskich. Ustawa ta zakazuje, aby tego rodzaju stowarzyszenia wzajemnie się nie łączyły ani za pośrednictwem Wydziałów, ani przez korespondencye lub delegatów. Powie ktoś: ależ stowarzyszenia w politykę bawić się nie będą. Zapewne, tylko jak niedawno tegośmy doświadczyli, stowarzyszenia zajęły się kwestyą spadkobierstwa a rząd zaraz się odezwał: „to sprawa publiczna, polityczna!“ W ten sposób rzecz biorąc, nie jedna tego rodzaju kwestya polityczna może zawadzić o stowarzyszenia włościańskie. Gdyby zaś zaprowadzono centralizacyę, podległyby stowarzyszenia karom, postanowionym przez odpowiednie prawa na przypadek, jeśli jeden jaki związek z drugim wchodzi w łączność. Bardzoby się stać mogło, że rząd nieprzychylny na jedną skargę stłumiłby cały ruch; a stowarzyszenia nie mogłyby się nawet skarżyć: wszakże przekroczyły prawo. Otóż sądzę, że jest naszym obowiązkiem po istniejących stowarzyszeniach prawa szanować i według nich się rządzić! (Słusznie!)

Może mi ktoś powie: nie chcesz centralizacyi, a przyznajesz, że są wspólne cierpienia, które powinny mieć wspólny wyraz. Kędyż zwracać się mamy ze zbiorowemi skargami, dokąd znosić prośby o pomoc? Dla tak pytających mam prostą odpowiedź: „Tu, do kongresu gospodarzy niemieckich!“ Niech się tu schodzą właściciele ziemscy: tu każda skarga chętnie znajdzie posłuch, każde cierpienie dolegające właścicielowi znajdzie współczucie. Wszyscy, przychodzący ze słusznemi prośbami o pomoc, mogą rachować na dobre przyjęcie, i dla tego jeszcze raz powtarzam: „Przychodźcie tutaj!“ (Brawo!)

Umyślnie przytoczyłem w dosłownem brzmieniu dłuższy ustęp

z tej mowy — można się bowiem z niej wiele nauczyć. Mówca wykazuje, że takich instytucyj nagle tworzyć nie można, można dodawać bodźca ale, kto przesadza w pośpiechu, za wiele rezykuje. Powtóre w dosadnych wyrazach ostrzega przed wyłącznem opieraniem się na rządzie, nie radzi u niego szukać pomocy w zakładaniu stowarzyszeń i przewiduje złe skutki, gdyby towarzystwo, spuściwszy się na rząd, samo nie starało się stanąć o własnych siłach. Jeśliby rząd do każdej drobnostki mógł się mieszać i sam objął główny kierunek, Stowarzyszenia włościańskie straciłyby wkrótce charakteryzującą je cechę i przemieniłyby się w polityczną partycję, popierającą to lub owo stronnictwo rządowe.

(Dok. nast.)

Dr. Baumgarten.

DZISIEJSZY USTRÓJ KOŚCIOŁA W AMERYCE.

Z okazji ostatniego plenarnego Synodu Baltimorskiego.

(Acta et Decreta Concilii Plenarii Baltimorensis A. D. MDCCCLXXXIV.
Baltimore 1886).

(Dokończenie).

W przytoczonych uprzednio dekretach zajmował się synod prawie wyłącznie elementem w kościele rządzącym tj. klerem, normując jego życie, przepisując sposób jego wychowania i wykształcenia tak duchownego jak i naukowego po seminariach, a wreszcie stwarzając hierarchię kościelną, której dotąd brakowało w Ameryce.

Od kleru przechodzi synod do wiernych, na których zwraca swe oko, a macierzyńska ta jego troskliwość najlepiej uwydatnia się w dekretach omawiających wychowanie młodzieży. W niejto bowiem spoczywa nadzieja i cała przyszłość Kościoła. Stąd *parvuli* byli zawsze przedmiotem szczególniejszej jego pieczy, do których wychowania przyznawał on sobie niezaprzeczone prawo. Od Boga bowiem odbiera Kościół rodzicielską powagę i władzę nad dziećmi, kiedy ich we chrzcie św. odradza na syny Boże, a jako mistrzyni wszystkich ludzi i narodów posiada tem samem misję do ich nauczania we wierze i nadzoru ich moralności. Przez 16 stuleci czuwał Kościół swobodnie nad wychowaniem młodzieży, od trzech dopiero wieków z przyjściem protestantyzmu poczęła w Europie władza świecka wypierać Kościół z tego stanowiska i monopolizować w swem ręku wychowanie młodzieży. Spór ten z każdym dniem się zaognia, w miarę jak rośnie niewiara, a z nią i nienawiść

do Kościoła Chrystusowego. Zaraza ta przeszła i do naszych antypodów, w odmiennej może nieco formie, ale zawsze do jednego dąży ona celu.

„Jeśli kiedy, żałą się biskupi amerykańscy, to z pewnością „w naszym wieku Kościół Boży i duch świata dziwną a zaciętą „stoczyły walkę o wychowanie młodzieży. Ludzie bowiem, duchem „świata przesiąknięci, od wielu już lat wszystkie sprężyny poru- „szają, aby Kościołowi wydrzeć nadany mu od Chrystusa urząd „nauczania katolickiej młodzieży. I nie dziw. Odkąd bowiem nie- „godziwe owe prądy indyferentyzmu, naturalizmu i materjalizmu „wieloma oswładnęły do tego stopnia, iż mniemają, że koniec i szczę- „śliwość człowiek tylko w tem życiu doczesnem i w tym świecie ma- „teryalnym znaleźć może, ten sposób wychowania, który usiłuje czło- „wieka także a nawet przedewszystkiem do życia przyszłego i wiecznej „szczęśliwości wznieść i pokierować, musi się jednym koniecznie „wydawać niedorzecznym i niepotrzebnym, innym znów szkodliwym „i odrzucenia godnym. Kościół zaś — którego jest najważniejszem „posłannictwem na ziemi, aby wszystkich ludzi, co się odrodzili dla „Chrystusa we chrzcie św., już od samego używania rozumu po „drodze prawdy i sprawiedliwości przywieść do końca nadprzyro- „dzonego — w żaden sposób nie może dopuścić, aby rodzice, których „jest prawem i obowiązkiem, tak od natury jak od Boga włożo- „nym, starać się o chrześcijańskie wychowanie swych dzieci, tylko „sekularyzowaną edukację im dawali, skoro ta nie może im zgola „dostarczyć środków potrzebnych do dostąpienia ostatniego ich „końca“¹.

Mogłoby się jednak zdawać, że wobec *Voluntary principle*, wszelka walka o szkołę stała się niemożliwą w Ameryce. Tymczasem tak nie było. Seciny faktów, oburzających uczucia katolickie a notowanych przez dzienniki, liczne protesty przeciw przymusowej nauce biblii protestanckiej po szkołach, świadczą o nietolerancyi sekt protestanckich. Najwymowniejsze atoli w tej mierze są zeznania samychże akatolików. Oto co wyrzekł jeden z przywódców presbyteryańskich: „Biblia i szkoła ludowa, to dwa kamienie młyńskie, które wymielą wszelki katolicyzm z serca młodzieży“. Inny

¹ Tit. VI. C. I. n. 194.

duchowny metodystów twierdził, że na tej drodze stracili katolicy w Ameryce w przeciągu lat dwunastu 1.900,000 dusz. A głośny protestancki pastor Dr. Clark von Albany bez ogródki powiedział: „Całe zastępy ulegają wpływowi naszych instytucyj, a najteższym „czynnikiem w tej mierze był nasz godny podziwu system szkolny“¹.

Bacne oko biskupów oddawna spostrzegło niebezpieczeństwo, dlatego starali się oni temu zaradzić, wznoszeniem szkółek parafialnych. Praca ta szła oporem dla braku sił nauczycielskich i dotkliwszego jeszcze braku środków materyalnych. Katolicy musieli, zarówno jak i wyznawcy innych sekt, opłacać szkoły publiczne; chcąc mieć szkoły własne trzeba było drugiego podatku od nich wymagać. Ileż to wysiłków, ileż ofiar musiała ponieść uboga ludność katolicka, usiłująca swe dzieci uchronić przed jadem bezwyznaniowych szkół. Te 2.464 szkółek parafialnych, 581 akademii i 83 kollegiów, które dziś posiada Ameryka, świetnym są dowodem i miarą zapobiegliwości, energii i hojności tak biskupów, jak i wiernych w Stanach Zjednoczonych. Ale wszystko to jeszcze niewystarczające. Dlatego też Synod zwraca się do biskupów, przywołując słowa pierwszego Baltimorskiego Synodu: „Upominamy biskupów a, zważywszy naj- „większe szkody ze złego wychowania młodzieży, zaklinamy ich „przez wnętrznosci miłosierdzia Bożego, aby postarali się o założenie „szkół przy każdym kościele swej dyecezyi, a jeśliby potrzeba „była i okoliczności pozwalały, niech opatrzą, aby z dochodów ko- „ścioła, do którego szkoła należy, byli utrzymywani zdolni nauczyciele“². Ale pomyślność i frekwencya szkoły zależy także i od innych warunków. Wiele rodziców, czy to z przesądu o szkołach katolickich, czy z niewiedomości, czy też pragnąc lepszego wykształcenia swych dzieci, posyłają je do szkół protestanckich, nie bacząc, jakie szkody z tego wyniknąć mogą.

Do nich więc zwraca się concilium i w rzecznym zakleciu poleca im własne ich dziatki. „Katolickich zatem rodziców nietylko „z miłością ojcowską upominamy, ale rozkazujemy z wszelką powagą jaką posiadamy, aby najdroższej dziatwie swojej, od Boga „sobie danej, dla Chrystusa na chrzcie św. odrodzonej i do nieba

¹ Stimmen aus Maria-Laach Band XV.

² Conc. Plen. Balt. II. n. 430.

„przeznaczonej dali wychowanie prawdziwie chrześcijańskie i aby ich strzegli wszystkich przez cały przeciąg ich dziecięcego i młodzieńczego wieku, od niebezpieczeństw edukacyi czysto sekularyzowanej i dlatego posyłali je do szkół parafialnych lub innych prawdziwie katolickich“¹.

Wyrażnym wreszcie dekretem Synod to stanowi, aby w przeciągu dwu lat przy każdym kościele parafialnym stanęła szkoła. Gdyby który z kapłanów okazał się mniej starannym albo zgola opieszałym w tej mierze, albo gdyby z jego winy nie przyszło do skutku założenie szkoły, takiemu zarząd parafii ma być natychmiast odebrany. Jesliby przeciwnie staraniom wszelkim proboszcza stała parafia na przeszkodzie, nie wspomagając go lub wręcz się temu sprzeciwiając, powinien ją biskup surowo upomnieć i złą wolę napiętnować. Rodzice zaś, którzyby dla przyczyn dostatecznych chcieli swe dzieci w innych kształcić zakładach, muszą się postarać o pozwolenie biskupa swego.

Ostatni ten przepis mógłby się wydawać niesprawiedliwym i nie zupełnie roztroptym. Jak może Kościół zagradzać drogę dzieciom do większego kształcenia się. Czy można rodziców zmusić, by nieraz wbrew może swemu przekonaniu, wbrew najżywszej chęci, nie posyłali swych dzieci do szkół lepszych. Czyż to nie zanedbto ciężka ofiara rozwiać swe nadzieje najpiękniejsze co do wychowania dzieci, do zgotowania im lepszego, świetniejszego losu. Czyż miłość rodzicielska nie przyjdzie w konflikt z sumieniem i wyraźnym rozkazem zwierzchności kościelnej?

Ale ten przepis znajduje dostateczne usprawiedliwienie w dalszych dekreтах. Gdyby się Kościół nie starał o szkoły, nie dbał w nich o wykształcenie młodzieży, nie śmieliby może biskupi takiego rozkazu wydawać. Ale u nich wychowanie młodzieży, to *sanctissimus finis*, urząd wychowawczy to *munus sacrum et sublime*, to obowiązek ponad obowiązki *gravissimum officium*. Wszelkimi siłami biskupi usiłować mają, aby szkoły parafialne na równym zupełnie stopniu stanęły z publicznymi, aby były dobre i pożyteczne *bonae et efficaces*, aby je „podnieść na ten stopień po-

¹ Tit. VI. c. I. n. 196.

„żytku i doskonałości, jakiego słusznie domaga się honor kościoła, „pomyślność tak wieczna jak i doczesna dziatek, a wreszcie chwalebna rodziców gorliwość“.

I aby tego dopiąć, już klerykom to w seminaryum wpajaniem być ma, że „jednem z najważniejszych zadań kapłana jest chrześcijańskie wychowanie młodzieży“, i że to bez szkoły parafialnej nie może być uskutecznione. Ze seminaryum wynieść mają klerycy sposób i metodę, ażeby „jasno i gruntownie“ mogli dzieci nauczyć katechizmu i historii św. Więcej zaleca to kapłanom pracującym: „szkołę swoją niech miłują, jako źrenicę oka swego“, mają ją często, przynajmniej raz na tydzień odwiedzać, czuwać nad obyczajami uczniów, obudzać w nich zapał do pracy, nie tylko dbać, aby dzieci katechizm dobrze umiały, ale i w innych naukach postępowały. Ktoby zaś z kapłanów był w tej mierze niedbałym, ten niema być promowanym, ani na proboszcza stałego, ani może jakikolwiek inny urząd stały otrzymać. Biskupi i kapłani wiernych nauczać mają i to w nich wyrabiać przekonanie, że szkoła jest esencyalną częścią parafii, od której przyszła jej exystencya i pomyślność zależy. Otwarcie mają im tłumaczyć, że zajmowanie się szkołą dla kapłana „nie jest nadobowiązkowem zajęciem, przyjętem na to tylko, by pokazać swą wielką gorliwość, albo by czas pożytecznie i mile spędził, ale to brzemie i obowiązek, *onus et officium* od kościoła nań włożone“¹, które atoli nie sami, ale z pomocą parafian dźwigać i dopełniać ma. Parafianie mają dostarczać należytego utrzymania szkole, inaczej sprzeniewierzyliby się bardzo obowiązkom swoim. Rodzice mają chętnie nieść ten datek mały, którego się szkoła domaga, a wszyscy inni zwłaszcza zamożniejsi mają wedle możności przyczyniać się do wzrostu i chętnie przystępować do towarzystw, w tym celu zawiązanych. Udział zato mieć mają w zarządzie szkołą *salvis juribus ecclesiasticis*, co do przyjęcia nauczycieli lub ich odprawienia, co do karności i kierunku nauk.

Tym sposobem, byt szkoły zabezpieczony i opieka nadana. Koncilium tem się nie zadawałnia. Stan szkoły i rozkwit zależy od dobrych i zdolnych nauczycieli. O tych więc starać się potrzeba i na przyszłość nikt nie powinien otrzymać posady nauczyciela

¹ Tit. VI. c. II. n. 302.

w szkole parafialnej, jeśli nie okaże świadectwa z odbytego egzaminu przed komisją dycezalną. Komisya ta ma być ukonstytuowaną w rok po ogłoszeniu tych dekretów. Na członków jej powołać ma biskup kapłanów najlepiej obeznanych z potrzebami szkół, którzy mają solenne przyrzeczenie złożyć, że urząd swój sumiennie spełniać będą, stosownie do przepisów biskupich i końca, na jaki się ten egzamin ustanawia. Przed tąto komisją stawić się muszą wszyscy kandydaci i kandydatki stanu nauczycielskiego, aby otrzymać dyplom uzdolnienia, bez którego żaden proboszcz przyjąć ich nie może. Świadectwo to atoli opiewać ma na pięć lat tylko, po upływie których, muszą się poddać powtórnemu i ostatniemu egzaminowi. Rozporządzenie to rozciągać się ma także do zgromadzeń i stowarzyszeń duchownych, które się szkołami zajmują. Nadto, prócz komisji egzaminacyjnej, mają biskupi ustanowić komisye szkolne, któreby kontrolowały przy egzaminach tak po miastach jak i po wsiach pracę nauczycieli i postęp uczniów. Po odbytej wizycie mają przesłać wyczerpujące sprawozdanie do prezesa komisji egzaminacyjnej.

Aby wreszcie nie brakło nigdy dobrych nauczycieli, mają biskupi albo sami przez się, lub też przez pośrednictwo św. kongregacyi ułożyć się z przełożonymi zgromadzeń, poświęcających się wychowaniu młodzieży, aby w celu przysposobienia zastępu zdolnych nauczycieli utworzono osobny kurs przygotowawczy, gdzieby, obok wykładów pedagogii i innych potrzebnych, kandydaci stanu nauczycielskiego mogli być praktycznie kształceni.

Szkoły parafialne w Ameryce podobne a nawet to samo mają zadanie, jak nasze szkoły ludowe lub normalne tj. przygotować ucznia do szkół średnich. Wielu też uczniów równie jak u nas, czy to dla braku zdolności, czy to dla niemożności materyalnej, kończy na nich swą edukacyę i szuka prędszego albo i pewniejszego kawałka chleba w gospodarce, rzemiosłach i innych tym podobnych zajęciach.

Innych znów wola rodziców, albo i żądza większego wykształcenia, lub chęć zdobycia sobie świetniejszego stanowiska, popycha do obszerniejszych i dalszych studyów. Kandydatom stanu kapłańskiego opatrzył Synod konieczne wykształcenie w seminaryach wielkiem i małym. Teraz inna go troska zajmuje. „Zbyt często „przytrafia się, że ci co przechodzą, jako dzieci pobożne i niewinne „z łona rodziny i z pod opieki katolickiej szkoły do kolegów in-

„nowierzezych, powracają nadęci wprawdzie wiedzą, ale wyrzuci z miłości to jest z wiary i moralności chrześcijańskiej. Oby się zatem, „mówi Synod, już teraz tak to ułożyć i urządzić mogło, do czego „niechybnie z postępem czasu dojść się spodziewamy, aby młodzież „katolicka ze szkół elementarnych przejść mogła do szkół wyższych „a przez nie dobieść do mety swych pragnień“¹. Z błagalną więc prośbą zwraca się Synod do wiernych, aby wspólnymi siłami przyspieszyli ten moment szczęśliwy *illum felicem rerum statum*, w którymby stanęły liczne a doborowe szkoły wyższe, by w nich, wszyscy bez wyjątku, młodzieńcy katoliccy mogli się wyuczyć wszystkiego, czego sobie życzą ich rodzice, albo czego sami się nauczyć pragną. Bogatszych przedewszystkiem zaklinają biskupi *per viscera misericordiae Dei*, aby dla chwały katolickiego kościoła nie zamykali hojnej ręki w tem celu, by młodzieńcy ubożsi a odznaczający się zdolnością, dobrymi obyczajami a tuszący dobre nadzieje dla kościoła i kraju, znaleźć mogli sposobność do dalszego kształcenia. Z radością notują fakt tej ofiarności wielu osób majątnych, przez którą zaskarbili sobie wdzięczność uczącej się młodzieży, uznanie u wszystkich katolików, pochwały Ojca chrześcijaństwa, a wreszcie sowite niebios błogosławieństwo. „Oby więc wszyscy ludzie za- „możniejsi za ich chwalebny przykład poszli, iżby nie potrzeba „było nadal przypominać katolikom, do czego dawniej ze wstydem „musiano się uciekać, ażeby od innowierców, albo nawet wrogów „Kościoła uczyli się, jak w tej mierze postępować mają“².

Ponieważ w niektórych dyecezyach udało się biskupom otwarcie szkół wyższych, upomina synod rodziców, aby do tych tylko szkół dzieci swe posyłali. Gdzieby jednak koniecznie, dla braku szkół katolickich, musieli swe dzieci kształcić w szkołach innowierców, błaga ich Synod, aby czuwali z jak największą troskliwością nad ich wiarą i obyczajami, pomni zawsze słów Chrystusowych: *Cóż pomoże człowiekowi, choćby cały świat pozyskał, a na duszy swojej szkodę poniósł*³.

Pragnąc jak największego rozkwitu i postępu w szkołach ka-

¹ Tit. VI. c. II. n. 212.

² Tit. VI. c. II. n. 211.

Mat. XVI. 26.

tolickich zwraca Synod uwagę profesorów tychże na doniosłość ich zadania *gravissimi et sanctissimi muneris*. „Im to powierza się „tych, którzy dla Kościoła i kraju więcej mają nad innych zaszczytu i pomyślności, albo hańby i szkody przynieść. Ich bowiem „uczniowie będą przewodzcami i kierownikami ludzi o mniejszem „wykształceniu; piórem i słowem na katedrach i mównicach, w publicznych pismach i na zgromadzeniach prywatnych, w naukach i towarzystwach — słowem we wszystkich życia ludzkiego drogach „i chwilach kierować będą umysłami drugich i pozyskają ich dla „swoich partyj i zamysłów albo dobrych i użytecznych, albo przeciwnych i zgubnych“. Stąd też koniecznie potrzeba wpajać w nich zasady jak najlepsze i przyzwyczajać do prawości w mowie i działaniu. Czujność nauczycieli nie ma się rozciągać tylko wśród murów szkolnych, ale wszędzie mają usuwać im niebezpieczeństwa narażające na szwank ich cnotę, strzegąc ich od ponęt i pokus, których po miastach pobliskich pełno. Przedewszystkiem jednak ugruntować ich mają w wierze katolickiej; ucząc ich religii przez cały ciąg studyów i to nie pobieżnie i mimochodem, ale *apprime* i *solide*.

Kończą zaś swe wskazówki tem przesłicznym wezwaniem: „Zbroją prawdy niech ich tak otoczą i uzbroją, aby w żadnej życia „chwili nie ulegli zasadzkom i pociskom fałszu, lecz mogli na nie „mężnie uderzyć i zwycięsko je pokonać. Każdy niech wszystkie siły „i całą swą ambicję do tego skieruje, aby uczniowie jego we „wiedzy dorównywali uczniom najlepszej szkoły innowierców, a „prawością i czystością obyczajów wszystkich przewyższali. W tej „ciężkiej pracy niech nigdy nie upadają na duchu! Niech wiedzą, „że walczą o honor Boga i chwałę Kościoła, o ludzkość i pomyślność swego kraju i niech nigdy nie tracą z pamięci tych słów „proroka: *A którzy uczeni będą, świecić będą jako światłość „utwierdzenia, a którzy ku sprawiedliwości uprawują wielu jako „gwiazdy na wieki wieczne“*¹.

Z innych rozporządzeń synodu dwa przedewszystkiem zasługują na uwagę, tj. dekrety co do książek i gazet, i co do stowarzyszeń.

Przyznając potęgę prasie i wpływ jej zgubny albo zbawienny,

¹ Tit. VI. C. II. n. 212.

według tego czy jest zwolenniczką prawdy czy też fałszu, nadużycie sztuki drukarskiej zwą główną plagą naszego wieku, a nadużycie to „nie jest już wolnością, ale wyuzdaną, w pisaniu i drukowaniu „wszystkiego co się tylko spodoba, swawolą, co jak rzeka po zerwaniu tam, wyszedłszy z brzegów i rosnąc w bezmiar zalala cały „obszar świata bezbożnemi, jadowitemi, przeciwnemi dobrem obyczajom, krzywdzącemi i znieważającemi Kościół i Boga pismami“¹. A co najbardziej smuci i boli biskupów, że wiele takich książek, pism, dzienników nabywają katolicy, że wiele takich wrogich czynników żyje kosztem dzieci kościoła, że spotkać można w domu katolickim pisma i dzienniki przeciwne ich wierze, które i dzieci i domownicy chciwie czytają. Opierając się tedy na powadze Apostołów, na dekretach tak Lateraneńskiego V. jak i Trydenckiego Soboru, i na wyrokach ostatnich papieży każą kapłanom, „aby często i surowo upominali wiernych, swej pieczy oddanych, a zwłaszcza ojców „rodzin, żeby żadnych książek przeciwnych religii lub moralności „nie trzymali w domach swych i pilnie czuwali nad tem, by się „one nie znajdowały w rękach ich dzieci i domowników“. Kaznodzieje i spowiednicy „niech uczą, że wielkiego występku dopuszczają „się ci, co czytają, albo i zatrzymują u siebie bez słusznej przyczyny złe książki“. Dowodów i przykładów bowiem nie braknie im do pokazania, że ludzie nawet dobrej woli, powoli zarażają się przewrotną lekturą. Nawet ludziom *optimae indolis* niech radzą, by niewiele czytali gazet i dzienników o niepewnej barwie. „Czytanie „bowiem ich ustawiczne jest ogromną stratą czasu, umysł zbyt się „przyzwyczajają do lekkości i baśni fałszywych, a ubywa pobożności“. Potępwszy surowo wszelkie bezbożne usiłowania w tej mierze, z pochwałą odzywają się o dobrych i pożytecznych książkach, pismach i dziennikach. „Wielka zaiste mieści się chwała w tem, „byśmy się na to zdobywali dla sprawy najlepszej, co bezbożny czyni „w celach najgorszych, i żebyśmy tyle mokołu łożyli dla ocalenia „dusz, ile oni zadają sobie trudu dla ich zguby: i byłoby hańbiącą „gnuśnością, nie walczyć z niemi na każdym kroku“². Powołując się zatem na zbawienny skutek pism Apostolskich i Ojców Kościoła,

¹ Tit. VII. c. IV. n. 224.

² Ibid n. 225.

„Występkiem byłoby, powiadają, zaniechać posługiwania się prasą „do obrony i rozkrzewienia wiary i zostawiać najcieńszą broń w rękach „nieprzyjaciół“. Chcąc stawiać czoło bezbożności i zły wpływ sparaliżować dobrym, zachęcają tak duchownych jako i świeckich, którym nie brak zdolności autorskich, by się doskonalili *omni studio, ope et arte*, w swoim zawodzie, broniąc nauki i praw Kościoła, wydając pod egidą biskupów ulotne pisemka. Niemniejsze pochwały oddają nakładcom i towarzystwom, trudniącym się wydawaniem dobrych książek. Takich, biskupi mają otoczyć swoim faworem i wzbudzać w nich zapał, by za ich staraniem na wszystkie strony rozchodziło się dobre ziarno zdrowej nauki. I ażeby ich nie narazić na straty ale ułatwić zbyt polecają proboszczom, by kupowali takowe do bibliotek parafialnych.

Niepodobna nam pominąć słów pełnych najwyższego uznania dla pisarzy katolickiego obozu. „Za godnych wszelkich „pochwał uznajemy tych duchownych i świeckich pisarzy, co „przez drobne lub większe pisma albo też dzienniki bronią i popierają sprawę katolicyzmu. Znakomite ich zasługi względem Kościoła, zdaniem naszym, nie tylko na tem świetnem zgromadzeniu „godzi się wdzięcznie wspomnieć, ale należy im się odpowiednie „uznanie, zalecenie i najwyższa pochwała. Pamięci ich wieki błogosławić będą, kiedy po zbożnej pracy spoczną i złożą w ręce Boże „talenty bogato pomnożone. Niech tedy nie ustaje, ale niech rośnie „z dniem każdym liczba tych, co do walki o dobrą sprawę śpieszą „z wielkim duchem, pełni poświęcenia i zapału“¹. Nie poprzestając jednak na samych pochwałach praktycznie się biorą do rzeczy. Biskupów zadaniem ma być, starać się oto, żeby w każdej prowincyi założonem było czasopismo w duchu czysto katolickim, które popierać, a nawet w razie potrzeby pieniędzmi zasilać mają biskupi, *si necesse fuerit, etiam ope pecuniae sustentetur ab Episcopis*. Wykonanie tego zadecydują oni na prowincjonalnym Synodzie, albo też w inny sposób. Nadto, by zniweczyć zgubny wpływ tak zwanych pism niedzielnych, najwięcej popytu mających u niższej klasy, zaleca Synod założenie tygodniowych gazet dycieczalnych, albo lepiej prowincjonalnych; w takim razie bowiem ułatwi się skupie-

¹ Tit. VI. c. IV. n. 226.

nie lepszych sił i coraz większy rozwój i postęp tychże pism. W każdym mieście większem pragnie Synod założyć dziennik, któryby dorównywał liberalnym co do sił, znaczenia, zdolności redaktorów i powagi. Niekoniecznie ma się on zwać katolickim, wystarcza, by zawierał wszystkie najświeższe fakty i to wszystko, czego się od dzienników żąda, aby przy danej sposobności bronił sprawy religijnej przed natarczywością i fałszami wrogów, prawdę odsłaniał, milczeniem pomijając wszystko, co może zgorszyć lub rozbudzić namiętności w czytelnikach.

Następnie demaskuje dążności wielu gazet katolickimi nazwanych, ostrzegając wiernych, że samo nazwanie nie wystarcza. „Autorowie tychże, chętni są katolicką ich nazwą, ale życiem „swoim i piórem bezczeszczą to święte imię i na pośmiewisko je wystawiają. Szerzą oni bowiem wśród ludu swe zdania, które nie są „czem innem, jak tylko wymysłem niedowiarków lub nowatorów „o powstaniu społeczności ludzkiej i granicach władzy świeckiej. „Nadto, albo zdradziecko w miódowych słówkach usiłują powagę „Kościoła podkopać, albo też i otwarcie przeciw niej powstają. „Katolickim jest tylko ten dziennik, co naukę Kościoła wyklada „i ochrania, rozwój Kościoła w kraju i świecie opowiada i gotowy „jest we wszystkim uleść powadze kościelnej“. Zastrzega jednak, że nie wszystko to, co się mieści w dziennikach katolickich, uważać potrzeba za naukę opartą na powadze Kościoła lub biskupa. Waler istotny aprobaty biskupiej danej dziennikowi polega na tem, „że biskup sądzi, że redaktorowie jego w niczem nie występują „przeciw wierze i obyczajom i żywi nadzieję, że na przyszłość tego „nie uczynią, a w końcu, że pisma ich mogą służyć ku zbudowaniu“. Biskupa nie można czynić odpowiedzialnym za wszystko, co się w dziennikach zawiera, lecz za to tylko, „co na mocy urzędu „swego ucząc, napominając, rozkazując lub wzbraniając, ogłasza „i własnoręcznie podpisuje“.

A czyniąc zwrot do redaktorów pism katolickich, aby jako noszący sztandar prawdy i cnoty, na których wszystkie oczy i pociski nieprzyjaciół są zwrócone, stali nieskazitelną życia na wysokości swego posłannictwa; *vehementer obtestamur et obsecramus*, mówi do nich, „aby wiernie i stale swój urząd pełnili *a z życia „i obyczajów mieli zalecenie u wiernych“*. Z pism ich przebijają

ma miłość i skromność chrześcijańska. W odpieraniu nawet napaści, kłamstw i obelg na Kościół i religię, nie mają się posługiwać stylem ostrym, zjadliwym, ale siłą dowodów pokonywać przeciwników, „tego bowiem żąda słuszność i świętość sprawy, której się „bronić podjęli“. Nie inaczej postępować sobie mają z pisarzami własnego obozu, mogą utrzymywać przeciwne im zdania i opinie ale „z umiarkowaniem i bez goryczy. W ludziach bowiem *dobrej woli* doskonale pogodzić się daje miłość chrześcijańska ze zdań „różnością“.

Świątą pochwałą zaszczyciwszy wprzód prasę katolicką, wytyka jej błąd ciężki, często się powtarzający. „Ze wstydem i boleścią „najwyższą wyznajemy, że zmusza nas wzgląd na pasterski nasz „urząd do upomnienia katolickich pisarzy, aby ani sami przez się, „ani przez swoich pomocników, nie uderzali na duchowieństwo, „a zwłaszcza na biskupów i by ich zdań, dekretów i rozporządzeń „dyecezalnych pod swój sąd nie oddawali, nie ganili i nie podawali „w pogardę i pośmiewisko u wiernych i akatolików. Rozkazu raczej Apostoła słuchając, niech będą posłuszni i ulegli swojej „zwierzchności. Należną uległość tym zwierzchnikom przykładem „swym i pismami niech zalecają“. I nie poprzestając na upomnieniu ale chcąc skuteczną tamę położyć złu, z dnia na dzień bezkarnie się szercącemu, stanowią: „Jeśli by na przyszłość ktoś z duchownych „lub świeckich, czy to osobiście, czy przez swych przyjaciół lub „innych przez nich podmówionych, krzywdził i hańbił po gazetach „duchownych, a zwłaszcza na dostojęństwie zostających, co więcej „gdyby się odważył sposób rządzenia biskupa dyecezyą szarpać „i potępiać, ogłaszamy autorów samych, ich współników i zwolenników tego nadużycia nader zgubnego, za wichrzycieli porządku, „za wrogów kościelnej zwierzchności, za winnych najcięższego zgrzeszenia i zasługujących, by po udowodnieniu ich winy, byli cenzurami kościelnymi skarzeni“¹.

Z równą surowością i stanowczością występuje Synod przeciw wszelkim towarzystwom tajnym. O niegodziwości ich celów przekonani, papież nie raz z wysokości swej Piotrowej stolicy, piętnowali ich niecne dążności, wrogie dla Kościoła i społeczeństwa, rzucając

¹ Tit. VII. C. IV. n. 230, 231.

anathemata na wszystkich związkowych i ich popleczników, które Leon XIII. w Encyklice *Humanum Genus* zebrał i odnowił.

„Nie chcemy powiada Synod, by te dekrety tak mądrze przez „papieży wydane, w celu oddalenia największej plagi od wiernych „Chrystusowych, zostawały bez żadnego zgola zastosowania; ale „owszem pragniemy ich użyć w całej mocy, aby ten jad śmiertelny „raz wreszcie wyrzucić z Kościoła i społeczeństwa“¹. Pod tajnemi towarzystwami, jak się dalej tłumaczy, nie mają się rozumieć tylko sekty Masonów i Karbonariuszów, ale wszystkie, które się pod inną wprowadzie nazwą zawiązują, ale w rzeczy samej nie są czem innem jak Masonskimi i Karbonaryjskimi. Do liczby takich przez Stolicę św. potępionych sekt, zaliczyć trzeba wszystkie, domagające się tajemnicy od swoich członków, której nawet Kościołowi odkryć im nie wolno, albo wymagające przysięgi lub przyrzeczenia na ślepe posłuszeństwo swej władzy.

„Cóż bardziej nad nie zgubnego dla Kościoła i kraju istnieć „może, woła Synod. Na ich tajemnych zebraniach ludzie bezbożni „i chytry mogliby knuć przeciw Kościołowi i władzy świeckiej „najstraszniejsze zamachy, a jeśliby Kościołowi nie przysłużyło „prawo nadzoru, nie byłoby rady na odwrócenie klęski. A jeśli ci „związkowi nie zlego na nich nie czynią, niech się nie kryją w ciemnościach“. *Kto czyni prawdę przychodzi do światłości, a każdy który źle czyni, nienawidzi światłości*. Jeśli tedy nie wychodzą na jaw, policzyć ich trzeba w grono tych, o których mówi Zbawiciel „umilowali raczej ciemności niż światłość, bo były złe ich uczynki. „I niech nikt nie mówi, że stowarzyszenia te pomagają do postępu „ludzkości. Ten rodzaj ludzki, który na mocy odkupienia i przeznaczenia dąży do jedności tj. do złączenia wszystkich ludzi „w jedną jakoby rodzinę, jakby tylu braci pod jednym wspólnym „ojcem, aby ich utrzymać silnemi związkami jawnej szczerości, „równej dla wszystkich sprawiedliwości i powszechnej miłości; „w jakiż sposób może on dojść do postępu, kiedy widzi swe członki „rozdarto i rozrzucone tj. ludzi od ludzi przez sekret oddzielonych, „kiedy jedni drugich wykluczają od obowiązków prawdy, sprawiedliwości i miłości, jeśli się do ich grona nie zaliczają. A, co się

¹ Tit. VIII. c. III. n. 245.

„tyczy onego ślepego posłuszeństwa, cóż nad nie bardziej zbrodni-
„czego wymyśleć można przeciw wysokiej godności człowieka i pra-
„widła zdrowego rozumu, które są podwaliną dobrych obyczajów
„i zarządu krajem?“

Wyliczywszy tedy cenzury w konstytucyi *Apostolicae Sedis* zawarte, ogłaszają, że nie myślą o nich milczeć lub kryć się z niemi, ale pragną ich rozgłoszenia i zastosowania przeciw winnym, „aby „zbawiennym postrachem powstrzymać wiernych, zwiedzionych lub „ze słabości upadłych do powrotu skłonić, a upornych jako owce „parszywe z owczarni swej wyrzucić“.

W kwestyi poszczegółnej, kiedy będzie chodziło o przekonanie się, czy jakiś związek lub towarzystwo zaliczyć do zakazanych towarzystw tajnych, mają biskupi wprzód sami przez się lub innych roztropnych mężów, zbadać wszystko co się tego towarzystwa tyczy, a jeśli coś potępienia godnego znajdą, mają roztrząsać, czy to wypływa z natury tegoż towarzystwa, czy też z okoliczności czasu, ludzi, miejsc; a jeśli mimo to jasną rzecz im nie była, zapytają o zdanie Stolicy św. Wreszcie dla utrzymania jednostajnego postępowania, ażeby jakieś towarzystwo nie było w jednej dyecezyi potępionem a w drugich nie, wyrok zależyć będzie od komisji, w której skład wejdą wszyscy arcybiskupi. W razie gdyby ich zdania były podzielone, rzecz cała ma być oddana pod sąd Stolicy św.

Ale prócz kar i postrachu inny jest jeszcze środek do odciążenia ludzi od towarzystw tajnych. „Każdy rad należyć do ja- „kiegoś towarzystwa, częstokroć dla korzyści jakiejś, albo nadziei „protekcji, albo kiedy idzie o młodzież w celu rozweselenia się lub „wykształcenia“¹. Dlatego doradza Synod zawiązywanie bractw i towarzystw w celach dobrych. Niekoniecznie mają one być pobożne i religijne, cel ich może być doczesny i materyalny, ale mają zostawać pod opieką biskupów i dyrekcji duchownych się poddać. A ponieważ na największe niebezpieczeństwa narażona jest młodzież, stanowi Synod, aby w każdej parafii lub stacyi misyjnej, gdzie się dostateczna liczba młodzieńców znajduje, odpowiednie i wyłączone dla nich towarzystwa przez rządę parafii zawiązane były, któremi w szczególny sposób ma się on opiekować. „Bez tych bowiem

¹ Tit. VIII. c. III. n. 256.

„stowarzyszeń, dzieło uchronienia przed złem naszej młodzieży katolickiej, zaczęte w szkołach parafialnych, zmarnieje, i nasi młodzieńcy, których się z takim staraniem od dzieciństwa strzeże, „zwiedzeni obyczajami i pokusami świata, zginą w odmęcie wzbromionych towarzystw. Należąc zaś do towarzystw uczciwych, mogą być łatwo, obok dążenia do korzyści ziemskich, do większej poobożności zaprawiani od roztropnego duszpasterza“.

Obok tych, mają być utworzone w każdej parafii towarzystwa katolickie z celem religijnym, jakim jest nauczanie prawd religii opuszczonych lub w więzieniach zostających, rozszerzanie dobrych książek i inne uczynki miłosierne, tak do ciała jak do duszy się odnoszące. Najwięcej zaś starać się mają zarządcy parafii o wprowadzenie towarzystw św. Wincentego. „Znaną jest rzeczą, co działa „i do czego zmierza ono, całem bowiem jego zadaniem jest, iść „w pomoc nędzarzom i przygnębionym, a to z dziwnym sprytem „i skromnością, która im mniej pragnie być widzianą tem jest „lepszą dla miłości chrześcijańskiej i sposobniejszą do ulżenia nędzy ludzkiej“. Gorąco zaleca także Synod towarzystwo *Rozkrzewiania wiary*“, od Stolicy św. tak wychwalone i przywilejami i łaskami nadane, dlatego w każdej dyecezyi, gdzieby dotąd nie istniało, ma być założone i propagowane. „Miłość ku Bogu, jak się spodziewamy, pobudzi wszystkich, by małym swoim datkiem przyczynili „się do powiększenia dzieła misyj katolickich, po całym świecie „rozsianych“.

Niemniejsze pochwały oddaje Synod „Bractwu Wstrzemięźliwości“, tem bardziej, że nadużycie napojów palonych jest plagą grasującą w tamtych krajach. „A ponieważ występki ten i wśród katolików nie rzadko się spotyka, gorszą się przeto innowiercy i tak „muje się rozwój religii katolickiej. Miłość więc Kościoła i kraju „pobudzać winna wszystkich, by wszelkimi siłami starali się ten „zgubny występki wykorzenić zpośród ludu“¹.

Jeden jeszcze rys cechujący Kościół amerykański pozostaje nam skreślić, który przekonywa nas najzupełniej, że tam mieszka duch Chrystusowy, a tym jest miłość pełna wyrozumiałości, nie gnębująca innowierców, rachująca się ze słabością ludzi, z okoliczno-

¹ Tit. VIII. c. III. n. 260.

ściami czasu, miejsca i zatrudnień, pełna litości dla upadłych i grzesznych.

Wśród tysiąca sekt protestanckich, żyje Kościół katolicki w Ameryce. Wierni jego wciąż się ocierają o innowierców, mają z nimi do czynienia, nieraz zależni od nich, lub złączeni bywają wspólnym z nimi interesem. W obcowaniu z nimi Synod jedną rzecz poleca: „Nie słowami i zaciętością w polemice, ale modlitwą i cnót przykładem sprowadza się do Kościoła innowierców“¹. Zdarza się nieraz, że, ciekawością zdjęci, przychodzą oni do naszych kościołów, są obecni na nabożeństwie i słuchają kazań. „Ale gorliwość rozumna, przestrzega Synod kaznodziejów, nie pozwala, by im dawano „okazyę słuszną do obrazy“².

W Ameryce, tej ziemi najwyższego rozwoju w przemyśle i handlu, gdzie fabryki, dniem i nocą pracując, wymagają ciągłej obecności i współdziałania robotnika, większa ilość świąt uroczystych stała się niepodobna. „Ze smutnego doświadczenia naszych duszpasterzy „wiadomo nam, że nie zachowują się należycie te nieliczne nawet „święta nasze, w nich bowiem wielu mszy świętej nie słucha, wielu „jeszcze nie wstrzymuje się od pracy, a w istocie największa część „naszych wiernych nie może ich należycie święcić, nie tracąc ostatego środka do utrzymania życia. Zmuszeni pracą u innowierców „utrzymywać życie, nie mogliby w te dni jej zaniechać, a w istocie między przewodcami przemysłu taki panuje zapal, iż mówią, „że albo nie mogą zezwolić na przerwę w pracy, albo też w istocie „nie chcą. Stąd grzechy, fałszywy stan sumień, pogarda pasterzy „przeciw temu powstających“. Ażeby temu zaradzić, redukują liczbę świąt do sześciu tj. Niepokalane poczęcie N. P. M. — Boże Narodzenie — Nowy Rok — Wniebowstąpienie Pańskie — Wniebowzięcie N. P. M. i uroczystość Wszystkich Świętych, odąd mają być święcone jako *festa fori*. Równie co do postów daje Synod władzę biskupom, by rozrządzili, co w Panu osądzą za potrzebne. „W wielu bowiem miejscach stoi postom na przeszkodzie „ostrość klimatu, w innych drożyzna postnych potraw, w innych „rozmaite obyczaje mieszkańców i zwyczaje“. Ten sam duch miło-

¹ Tit. VI. c. II. n. 213.

² Tit. VII. c. I. n. 215.

ści cierpliwej i litosnej najlepiej ujawnia się, kiedy mówią o upadłych kapłanach. „Nader smutny i pelen niebezpieczeństwa jest stan „takiego kapłana, zwłaszcza zważywszy warunki naszych krajów, „tak, że słusznie można go porównać w jego nędzy doczesnej i duchowej, do syna marnotrawnego, o którym wspomina Ewangelia. „Ale niemniej prawdą jest, że my, jak ów ojciec, o którym mówi „przypowieść, czujemy dla zbłąkanych uczucie rodzicielskiej miłości i świętego politowania. Zawsze bowiem gotowi jesteśmy ich, „byle wrócili do domu rodzinnego z żalem za swe występki i z ufnością w serce ojcowskie, przyjąć otwartymi rękami i wrócić im „prawa syna młodszego, ciesząc się, że syn, który umarł był, odżył, „a który zginął był znalazł się“. Nie odtrącając zaraz występnych od serca z miłością, chociaż tego żaden tytuł sprawiedliwości się nie domaga, troska się o ich potrzeby doczesne i duchowe. Poleca biskupom wzniesć, ile możności, jak najprędzej dom, gdzieby pod dozorem zakonnym zostając, mieli czas wejrzeć w siebie, błędy swe oplakać i na lepszą wejść drogę. Tymczasem nakazuje Synod biskupom *onus imponimus*, aby starali się o pomieszczenie takich w jakim domu zakonnym.

Takim duchem ożywiony Kościół niedziw że rośnie i rozwija się, jak to ziarno ewangeliczne, bo ma w sobie siłę niespożyta i pomoc i błogosławieństwo Boże.

„Przed stu laty — oto świadectwo, które jeden z najwyższych „urzędników państwa złożył Kościołowi, przy obchodzie jubileuszowym miasta San-Francesco, a którym naszą pracę kończymy — „przed stu laty, jakżeż słabym był Kościół w Stanach Zjednoczonych. Jakżeż potężny on dzisiaj. Z silnych on najsilniejszy! Wzgardzony przed wiekiem, jego imię było hańbą. Dziś dumny w przeświadczeniu swej potęgi, jego dzieci wolne, mogą wszystko osiągnąć, czego zapagną. Mogą być prawodawcami, senatorami, „sędziami. Gdzież jest potężniejszym Kościół, jak obecnie w Ameryce? Gdzie ma szersze, głębsze i mocniejsze podwaliny? Gdzie „znajdują się jego szpitale, jego klasztory, jego kolegia, jego kościoły w bardziej kwitnym stanie? Nie wyrzekłem ani słowa „pochlebstwa przy tej uroczystości dla świętego, apostołskiego, rzymskiego Kościoła. Gdybym był jednym z jego synów, złożyłbym mu „ten sam hold, pelen wdzięczności i prawdy. Tak atoli może to wy-

„głądać na pochlebstwo, ale on obejdzie się bez mojej łaski. I nie-
„myślałem bynajmniej obrazić jego dzieci, wyjawiając przed wami
„różność mej wiary. Ale jako protestant bez namysłu najmniejszego
„oświadczam, że cieszę się z potęgi, rozwoju świętego, apostołskiego
„rzymsko-katolickiego Kościoła i przepowiadam, że za drugie sto
„lat, stanie się on jeszcze potężniejszym, a jego potęga najwyższą
„będzie w Stanach Zjednoczonych — i oby się to stało, bo moje
„serce przywtdrza tej przepowiedni! A kiedy rozbieram, że Kościół
„jest matką wszelkiej dzisiejszej cywilizacyi i piastunką wszystkich
„wolnych politycznych instytucyj, wtedy proszę pokornie Boga
„wszechmocnego, aby ta wielka kraina wolnych mężów całą pełnię
„bogatego żniwa w jego ręce złożyła.

X. *Zdzisław Bartkiewicz.*



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pisarze polityczni XVI. wieku przez *St. Tarnowskiego*. Kraków 1886, t. I. 397, t. II. str. 492.

Wielka luka w historyi literatury polskiej zapełniona tą dwutomową pracą profesora Tarnowskiego. Dotychczas Bentkowski, Maciejowski, Wójcicki, Łukaszewicz, Bartoszewicz i wszyscy, którzy z nich kompilowali lub ich metodę pisania przyjęli, nie próbowali nawet podać nam obrazu politycznej literatury polskiej, która z natury swojej odbiciem była politycznych poglądów i dążeń narodu. Ograniczano się na krótkiej, często mylnej biografii politycznych pisarzy i przytoczeniu, także nie zawsze dokładnem, tytułu ich rozpraw i dzieł politycznej treści. Winić ich o to bardzo nie można, bo dopokąd nie mieliśmy monografij autorów, trudno było myśleć o całości obrazu politycznej literatury. Rozpoczyna się ona już w XV. wieku równocześnie z rozwojem politycznego życia w narodzie, a pojawieniem się politycznej literatury na Zachodzie, któremu Polska nigdy obcą nie była, ale właściwa jej doba przypada u nas jak i na Zachodzie na wiek odrodzenia się nauk, humanizmu i reformacyi religijnej, na wiek XVI. I do tej to doby studia pisze i ogłasza w dwóch tomach prof. Tarnowski.

Zwykłą u głębszych umysłów bezstronnością wiedziony, autor nasz poznaje niedostatki i wady swego dzieła i spowiada się z nich

z wielką szczerością przed czytelnikiem, uwalniając przez to krytyków od niemilej chociaż łatwej roboty wytykania błędów lub wad drugim. A więc najprzód: „długości i powtarzania“, rozwlekłość, oto wada pierwsza i przyznajemy że prawdziwa. W jednym tomie można było pomieścić co w dwóch napisano, tłumaczymy jednak autora tem, że całe dzieło, to nie jednolita praca, ale zbiorowa. To co się na prelekcyach uniwersyteckich i na odczytach publicznych różnemi czasy mówiło i co się jako dorywczy artykuł w peryodycznych pismach ogłosiło, zebrane tutaj w dwa tomy przerobione miejscami lub uzupełnione. Autor przedewszystkiem jest profesorem i mowcą, potem pisarzem; nie zawsze to, co się słucha z zajęciem i przyjemnością, czyta się z tem samem usposobieniem; stąd najbardziej zajmujący odczyt, wydrukowany, wydać się może rozwlekłym.

Tą też okolicznością tłumaczy się do pewnego stopnia zarzut, którego autor oskarża się być winnym: „brak naukowej metody“ — pochodzący stąd, że u nas tej metody nie uczono go za młodu, a on na obcych uniwersytetach nie bywał. Nie ma znów czego tak bardzo żałować. Metoda każda wymaga pewnych zasad, i krytycznego zmysłu w zastosowaniu tych zasad. Nasz autor posiada niewątpliwie pierwszy z tych warunków, czego o jego poprzednikach i towarzyszach powiedzieć nie zawsze można, bo ma pewne i jasne zasady. Zmysłu dostrzegawczego, krytycznego, Bóg mu nie odmówił, a pracy i sumienności w tej pracy sam sobie nie szczędził; jest więc i warunek drugi. Owe tyle sławione „metody uczone“ zwłaszcza pruskie obracają się — wskutek ciasnoty swoich ram, do których ludzi i wypadki wtłoczyć usiłują, wskutek i swej jednostronności — nie rzadko na szkodę nauki, która nie powinna pozostać teorią, *res abstracta*, ale stać się powinna czemsiś konkretnem, oprzeć się na rzeczywistych danych, weilić się i obrócić na korzyść organizmu społeczeństwa.

Tej też praktyczności i aktualności nauki szuka nasz autor w swoich „studyach“ i pragnie je spożytkować odrazu na naszym pokoleniu. Dla niego studia nad polityczną literaturą są tylko dopełnieniem historii narodu, a ta pozostanie zawsze mistrzynią życia, *historia, magistra vitae*. Praca jego nabywa przez to wiele interesu, zajmuje w wysokim stopniu, czyta się ją bez znużenia,

jakby opowieść jaką, a stąd przystępną jest dla młodszych umysłów i szerszego koła czytelników. Akademia Umiejętności, oceniając te zalety, podjęła się wydawnictwa dzieła dla uświetnienia pamiątki 300 letniej rocznicy śmierci króla Stefana; koszta druku ofiarował sam autor.

Rzecz sama rozpada się na dwa tomy a rozdziałów 13. Podział ten chronologiczny pociąga za sobą konieczność powtarzania się. Erudycyi autora przyszły w pomoc świeże publikacye wydawnictw Akademii Umiejętności pióra profesora Bobrzyńskiego, Pawińskiego, Balzera, prace Zeissberga, Caro i t. d. Autor zawsze i wszędzie stoi na gruncie katolickim i z tego punktu widzenia osądza czasy i ludzi. Rozczytywanie się w św. Tomaszu z Akwinu i Bonawenturze utwierdziło go w słuszności raz obranego kierunku badań i sądów; przyszedł on do przekonania, że „zwyczaj identyfikowania katolickiej nauki z despotyzmem i wystawianie jej za urodzoną z natury rzeczy nieprzyjaciółkę wolności“ (str. 4) jest z gruntu mylną. Przeciwnie, średniowieczny katolicyzm pojmuje władzę książęcą czy królewską, jako nie bezwzględną ale „na warunkach opartą, z woli ogółu wychodzącą, przeto odwołalną i wyborowi podległą“. Na tle tych średniowiecznych pojęć politycznych przedstawia nam autor dwóch pierwszych pisarzy-polityków z XV-go wieku: Pawła z Brudzewa i Henryka z Góry. „Pierwsze te pisma polskie w materyach politycznych: *De potestate Papae et Imperatoris respectu Infidelium* Pawła są bardzo zajmujące, i przedmiotem, bo odnoszą się do wielkiej i chwalebnej dla Polski sprawy (Krzyżackiej), i duchem, bo świadczą o wykształceniu i nauce, zwłaszcza o wysokiej cywilizacyi, o szlachetności pojęć i dążeń, o pewnej a wspanialej podstawie moralnej, na jakiej stał autor, a zapewne i cała ówczesna Polska“ (str. 19). Henryka: *Tractatus contra Cruciferos* „o ile przeciw Krzyżakom wymierzony ważny nie jest, ale jako wyraz i ślad ówczesnych stronnictw ciekawy“ (23).

Historycznych poglądów na dzieje Polskie w XV. i XVI. wieku, na które i my chętnie się piszemy, zapożycza nasz autor od przyjaciela swego od serca, nieodżałowanej pamięci Szujskiego, i na tem tle przedstawia i ocenia memoriał Ostroroga podany na Sejm 1477 p. t. *Monumentum pro Reipublicae ordinatione*; wygląda on

raczej na zarys i plan dzieła, na spis materyi, które dopiero obszerniej rozwinięte być mają. Poznać z niego można autora, „jako człowieka rozumnego z nauką i politycznym zmysłem, człowieka swego czasu, reprezentanta jego ducha i dążności“. Pomysły jego (o nominacji biskupów przez króla, o zniesieniu apelacji do Rzymu i t. d.) są skutkiem i wyrazem dwóch czynników; dążności państwa do opanowania Kościoła i zrobienia go zależnym od siebie, i rozprzężenia Kościoła samego, w jakim on był w XV. wieku. Ale dążą niewątpliwie i niemylnie do dezorganizacji zupełnej, do obalenia Kościoła“. (26. 27. 31.) Polityczne jego pomysły „rozsypane luźnie, bez planu, systemu i całości... Dwie rzeczy najważniejsze: silna środkowa wykonawcza władza, i jednostajna skuteczna energiczna polityka na zewnątrz, te w jego pamiętniku dotknięte nie są“. Doktryner to i retor, ten tyle wsławiony przez niektórych Ostroróg, „typ statystów późniejszych..., wyższym od nich nie jest...; nie jest też wyższym od współczesnych statystów zagranicznych“ (str. 47).

Bardzo ciekawą jest ocena łacińskiej rozprawy Stanisława Zaborowskiego, o którego życiu i pracach nie dotąd nie wiemy. Tytuł jej: *Traktat o naturze praw i dóbr królewskich i o reformie królestwa i o jego rządzie Rzpltej*. Celem jej wykazać nieprawność nadań królewsczych prywatnym ludziom, gdyż z dóbr tych należy opatrzyć stałą obronę królestwu i mieć w pogotowiu wojsko na wojnę z Turczyńcem. „Dzielko to jest dziwne, złożone razem z gorącego patryotyzmu i bardzo żywego ducha publicznego; z bardzo szlachetnych i wysokich pojęć o prawie publicznem i publicznym obowiązku i ze średniowiecznego zarazem ducha zależności państwa od Kościoła, z tem wyobrażeniem w Polsce rzadkiem, że schyzmatyków i heretyków mieczem do wiary nawracać się godzi“ (57)... „Pospolicie nowszym wiekom, pojęciom starożytnym, dążnościom protestanckim nawet, przypisujemy jako skutek, czy jako odkrycie, to pojęcie władzy najwyższej, jako ograniczonej, na którem zasadza się wolność. Tymczasem wieki średnie i Kościół formułują to jasno i wyraźnie kiedy mówią: *Rex non dominus coronae est sed rector*, nie panem ale rządcą królestwa jest król... Miały swoje zalety te proste na sumieniu i katechizmie oparte, te ciemne katolickie zasady prawa publicznego.

Wedle nich nie ważne są podpisy Stanisława Augusta i uchwały sejmu Grodzieńskiego... wedle nich przedawnienia nie ma i nie może być prawa przeciw prawu". (52. 53.)

Szujski w rozprawie „Odrodzenie i Reformacya“ a bar-dziej jeszcze w prelekeyach swoich uniwersyteckich, które miałem sposobność przeczytać uważnie w oryginale, bo wydane jeszcze nie są, scharakteryzował wybornie umysłowo polityczny proces, jaki się odbył w społeczeństwie polskim w XVI. wieku. Te same poglądy i zdania spotykam w rozdz. II. pracy prof. Tarnowskiego str. 71—84. Statysci polscy XVI. w. to fotografia statystów Zachodu, kształcą się na greekich i łacińskich wzorach, na Aristotelesie zwłaszcza, Platonie i Ciceronie, zapożyczają od nich pojęć i poglądów bez wyprowadzenia wszelako z nich ostatecznych konsekwencyj, są eklektykami. Tak samo kształci się, myśli i rozumuje chociaż nie pisze, wyższa warstwa duchowieństwa i szlachty. Wykończono-go systemu tu nie ma, ani planu na przyszłość, ani inicjatywy do politycznej gruntownej reformy, ale jest szczerza, obywatelska chęć naprawy rażących błędów i wad społecznych, jest przykładanie gojących plastrów na rozognione rany Rzpltj., dokrynerstwo ożenione z empiryzmem. Wiernym przedstawicielem tej politycznej szkoły ksiądz Orzechowski „piszący po łacinie tak ozdobnie, tak świetnie i z taką łatwością, jak żeby ona była jego własnym językiem“. Natura bogata, namiętna, rozrzucona, powodzeniem zepsuta, o moralności nader wątpliwej, i dla tego występuje ten namiętny szermierz słowa w swej: *Respublica polona* z mową rzpltj., jakby roz-żalonej matki do obywateli swoich. Znamy ją z Tomicyanów i in-nych odpisów XVI. w.; drukowaną nie była, ale czytana pilnie i zjednała odrazu wielki mir autorowi. Dlaczego? bo karcila su-rowo złośliwe przestępstwo dworu (Bony) i dygnitarzy sprzedajnych, bo przestrzegała, że wbrew nawoływaniom dworu niebezpieczeństwo wojny nie grozi wcale; słowem podbijała bębenka namiętnościom i krótkowidzącej polityce szlachty. Ciekawą jest ona i dzisiaj, bo daje obraz uobyczajenia i publicznego sumienia w tamtej dobie, bierze w obronę chłopą przed fiskalizmem szlacheckim i domaga się, pod groźbą kary Bożej, stanowczej w tem naprawy, uwolnienia chłopą od podatku a nałożenia go szlachcie. Tego u nas żaden statysta wypowiedzieć nie miał odwagi (85—90). W sześć lat po-

tem, 1549, ogłosił Orzechowski swego: Wiernego poddanego *Fidelis subditus*, a karcąc rozwiąłość młodego króla, jego miękkość i zniewieścianość, nawołując go do uczciwości i wierności małżeńskiej, do hartu rycerskiego i męstwa, przypadł jeszcze bardziej do gustu szlachcie i stał się popularnym. Zapomniano, że on, cenzor surowy króla, był księdzem żyjącym jawnie w nierządzie. *Subditus* jest uzupełnieniem *Reipublicae* a „jako, pismo treści politycznej, wielkiej wartości nie ma...; panuje w nim jakiś nieład materyi, powtarzanie się, obfitość retorycznych zwrotów i wykrzykników, znajdzie się tam więcej słów jak myśli“ (91) — słowem nieład, będący wyrazem nieładu w duszy autora, szarpanego walką obowiązków kapłana z namiętnością zmysłową. Z reform, których domaga się *Subditus*, wszystkie są niepraktyczne, doktrynerskie, na sposób republiki rzymskiej z jej świetnych czasów przykrojone; jedna tylko jest słuszna: domaganie się reformy sądownictwa, którą ostatecznie przeprowadził król Stefan ustanowieniem trybunału koronnego.

Na sejm 1543 r. przyniósł Orzechowski dwie mowy, *Turcica*, nawołujące cyceroniańską łaciną rycerstwo i króla do zaczepnej wojny z Turcyą, która już prawie całe Węgry opanowała. „Wartość stylistyczną mają *Turcica* zawsze taką, że mogłyby być czytane po szkołach jako wzór pięknej łaciny... treść na dnie jest i dość skąpa i dość lekka... Politycznej zdolności Orzechowski Turcykami na prawdę nie dowiódł, pisarskiej i retorycznej dowiódł bardzo wiele“. (99. 106.) Skądinąd wiadomo, że roztropna polityka nakazywała staremu Zygmuntowi nie drażnić Turczy, z którym wiązały Polskę poręczone traktaty, a przeciw któremu napróżnoby kto wówczas wyglądał pomocy od „ligi książąt chrześcijańskich“, chociaż do niej nawoływali papieże. W drugiej części *Fidelis subditus*, napisanej 1548 r., powtarza Orzechowski te same paradoksa i morały królowi i poucza go, że nagradzać powinien cnotliwych obywateli „sroży się bowiem bardzo i wścieka cnota zaniedbana i bardzo się buntowniczą staje i samej zguby Rzpljt. pragnie, kiedy siebie pominiętą widzi“. Wyborna doktryna, z ust publicysty-cenzora, otwiera na oścież wrota każdej zdradzie kraju. Smutniejsza to, że ówczesne społeczeństwo przyjęło z owacyami moralistę, głoszącego z cynizmem tak niemoralną tezę. (str. 122.) Cała zaś ta ramota, to brzydki paszkwil na *obscurum regis matrimonium*, na

małżeństwo króla z Barbarą, tem zuchwalszy, że wychodził z pod pióra kapłana, który w świętokradcze związki małżeńskie sam wstąpił, król kazał niszczyć to pismo. Orzechowski się ożenił 1551, a dumny popularnością zheretyczalej szlachty, napisał list do Juliusza III., żądając zmiany prawa kanonicznego o celibacie i sankcyi swego związku. „Co do zuchwałego i wyzywającego tonu trudno znaleźć coś równego temu listowi“ (127) wyzywanie papieża, wyszydzanie odpustów i pielgrzymek do Rzymu, groźba wreszcie odpadnięcia całej Polski od Stolicy św., wszystko to składa się na całość tego listu.

Do Orzechowskiego wraca nasz autor jeszcze w rozdz. IV. i V., gdzie opowiada polemikę jego z Fryczem Modrzewskim: „Ostatni to okres jego życia, szereg lat i dzieł, których treścią jest namiętna walka z protestantyzmem, namiętne i rozpaczliwe uczucie rozkładu i upadku Rzpltej, usiłowanie ratowania jej przez powrót do jedności wiary; wreszcie budowanie dziwnego i dziwaczego teokratycznego systemu. Mieszanina przekonań katolickich, uczuć patryotycznych, niestateczności i niekonsekwencyj dziwnych: okres to najpłodniejszy i najciekawszy w jego piśmienniczym zawodzie, i ten, który najwięcej podobno wywarł wpływu i skutku“ (261).

Szereg tych rozpraw rozpoczyna się od mowy Orzechowskiego na synodzie warszawskim r. 1561, w obronie wrzekomego małżeństwa swego p. t.: *Oratio pro dignitate Sacerdotali*, pełnej sofistyki i cynizmu, którą zakończy groźbą apostazy do schyzmy lub protestantyzmu. Drugą rozprawą obrona boskiej instytucyi papieżstwa przeciw Modrzewskiemu: *Fricius, sive de Majestate Sedis apostolicae*. „Co jest w tem dziełku widoczne, to przełom wyobrażeń Orzechowskiego. Z jednej strony największa prawowierność i gorliwość o Kościół, przechodząca już (w złą lub dobrą wiarę) w taką przesadę, jak teoria o poddaństwie króla władzy prymasa, obok tego gwałtowne i uniżone oskarżenie siebie samego, że się z pod karności kościelnej wyłamywał, w dawniejszych swoich pismach władzę tę podkopywał i ludzi gorszył; a z drugiej strony odzywa się dawny Orzechowski zbuntowany przeciw Kościołowi i odgrążający się, że przejdzie do św. Cerkwi wschodniej... Soborowi trydenckiemu odmawia charakteru ekumenicznego *Concilium*“ (264).

Sprawa małżeństwa Orzechowskiego, narobiwszy w Polsce wiele

hałas, poszła w zapomnienie; Orzechowski spodziewał się, że ją podniesie sobór trydencki, potrzeba mu więc było zjednać sobie episkopat i papieża i w tym celu, po polemice z Modrzewskim, rzucił się do polemiki z arianinem Stankarem; wykradł mu jego rękopis, i lubo rzecz ta nie była ogłoszona drukiem, napisał w tonie niesmacznym i grubiańskim przeciw niej swoją: *Chimere*, dowodząc w części I, że Stankar łączy w sobie herezye Aryusza, Nestoryusza, Macedoniusza i Eutychesa, że jest osłem, kłamcą i zdrajcą i wprowadza do Polski tyranią. Wczęści zaś II. i III.: *de officio regis*, nawołuje króla Zygmunta, aby, na podstawie swej przysięgi i dawnych praw polskich, heretyków wszystkich a zwłaszcza Stankara wygnał z Polski. (267.)

Zbliżał się sejm 1562, na którym król Zygmunt pragnął przeprowadzić t. z. egzekucję praw. Orzechowski, zawsze w tej myśli zjednania sobie episkopatu katolickością swoich poglądów, pisze: *Dyalog około egzekucyi korony polskiej*. „Główną jego myślą jest, że innej egzekucyi nie trzeba, tylko żeby król dotrzymał wiernie swojej koronacyjnej przysięgi, a przedewszystkiem, żeby poskromił herezye i zawieszoną jurydykę biskupów przywrócił. Odjąć ją jest to samo, co jednym zamachem obalić w Polsce króla i Rzpltę. Władza królewska bowiem ma się do duchownej, jak skutek do przyczyny: zatrzymać przyczynę, a skutek ustanie, zatamować źródło a w korycie woda wyschnie“ (276). Według Orzechowskiego, Polska jest lennem państwem Kościoła, papież suzerenem króla, król od papieża przez koronację, której dopełnia prymas, bierze swą władzę i w tym sensie ułożona jest rota przysięgi królewskiej. Niechże jej dochowa król, niech wygna heretyków, biskupom niech przywróci jurydykę i niech zniesie celibat księży, i „pospołu z biskupy na sejmie niech radzi, jakoby ta haniebna a smrodliwa Sodoma w Polsce przez egzekucję ustala“ (281). Zawsze to nie-szczęsne małżeństwo, które Orzechowskiemu wzrok zaciemnia, iż jawnych swoich sprzeczności dojrzeć nie może. Woła w *Dyalogach* o przywrócenie supremacyi Kościoła i władzy biskupiej a równocześnie domaga się od króla, aby wbrew kościelnemu prawu mocą swoją i powagą znosił celibat. Właściwej egzekucyi praw, mianowicie zwrotu dóbr ziemskich do korony należnych a przez ludzi prywatnych *de facto* posiadanych, Orzechowski nie chce, owszem uważa

to za pokusę niebezpieczną do buntu i rebelii, gdyż nikt nie zechce darmo służyć królowi i swojej krzywdy pomści się na ojczyźnie. Dialogi są pierwszą książką polityczną napisaną po polsku są „dokumentem z którego się poznaje umysł, duszę i błędy przeszłości ... one pierwsze w literaturze świeckiej afirmują tak silnie dążność katolicką, powrót do dawnej jedności Kościoła“. (285, 287).

W trakcie sporów o egzekucję praw na sejmie 1562 Moskwa wpadła do bezbronnej prawie Litwy i zajęła Połock. Umysły tak były zacierzwione religijnymi sporami, że zamiast radzić nad wypędzeniem albo powstrzymaniem zwycięskiego wroga, posłowie, przeważnie heretycy z Hieronimem Ossolińskim na czele, domagali się usunięcia biskupów z senatu i od rady królewskiej, gdyż ulegają obcemu panu, papieżowi. To dało powód Orzechowskiemu do napisania rozprawy: *Quincunx albo wzór korony polskiej na cynku wystawiony*. Rzplta zdaniem Orzechowskiego jest ostrosłupem, czy piramidą, po łacinie: *quincunx* po polsku c y n e k, cztery jej strony są: wiara, kościół, kapłan, król i na tem tle osnuwa swoje polityczne na egzekucją poglądy, te same co w *Dyalogach*, zwłaszcza „o pochodzeniu władzy świeckiej od kościelnej i jej od tamtej zależności“. ... Zwrot praw i nadań (jak tego domagał się sejm 1562 r.) jest niesłuszny. Egzekucya prawdziwa i dobra powinna być całkowitą poprawą Rzpltej wedle przysięgi królewskiej, a rozpocząć się od tego, co król dotrzymać winien ołtarzowi i kapłanowi“. (str. 293). Jak w *Dyalogach* tak w onym *Cynku* nie ustrzegł się Orzechowski od sofizmatów i niedorzecznych twierdzeń, jak np. to, że król polski jest królem jedynie wskutek koronacyi prymasa, że jedynie tam, gdzie król obrany i koronowany panuje, jest wolność, a gdzie książę dziedziczny tam niewola, i stąd napada na Litwę jako na stek niewolników i to w chwili, kiedy się na seryo rozpoczęła sprawa unii Litwy z Koroną. Paradoksalne te, a w gruncie szkodliwe wywody, okraszone są przesłicznymi pod względem stylu a nawet trafności przewidywań prorocztwami upadku Polski, coś naksztalt prorocztwa Skargi w sejmowym kazaniu o niezgodzie naszej. Na sejm 1565 r. wystąpił Orzechowski z nową rozprawą bładą i powierzchowną p. t. *Ziemiaństwo*, nie tylko przeciw egzekucyi, ale przeciw objawiającej się podówczas dążności do narodowego Kościoła, a kończy ją znów prorocztwem, że nas sąsiedzi roztargają „jako psi flak“. (str. 311).

Ostatnią niedokończoną Orzechowskiego pracą, a zakrojoną na monumentalne dzieło to jego: *Policia*. Tylko księga I. i część księgi II. ogłoszona drukiem, reszta zaginęła w rękopisie. Idąc za Arystotelesem, porównuje Orzechowski Rzpltę (jako państwo) z domem jednej rodziny, wykazuje konieczne warunki bytu każdej Rzpltej, a potem przechodzi do Polski. Zwierzchnością jej — prymas, jako przedstawiciel Kościoła, urzędem tylko — król, a celem jej szczęście, a raczej uszczęśliwienie obywateli, „przez zjednoczenie wieczne, przez miłość wierną woli człowieczej z wolą bożą“ (str. 315). Taką bożą Policją czyli państwem była Polska przez sześć wieków, teraz się popsowała przez nowinki heretyckie i spory religijne, które podkopują i zwierzchność duchowną i urząd królewski. Tezy tej miała dowieść część II. księgi II. i księgi III., które w rękopisie zostawił Orzechowski, a które zaginęły.

Ogólnej charakterystyce Orzechowskiego poświęca prof. Tarnowski aż 16 stronnic (318—334), chociaż w ciągu recenzji dzieł jego krytycznych uwag nad osobą jego nie szczędził i stąd powtarza się wielokrotnie. „Zawsze i wszędzie ukazuje się ta dziwna głowa (Orzechowski) jako zbiór samych sprzeczności, które zdrowym rozsądkiem, żadną miarą pogodzić się nie dają, ani zrozumieć jak obok siebie mieścić się mogły w jednym człowieku. Przekonania, (czy tylko może wyobrażenia?) niezgodne z postępowaniem i niezgodne między sobą, a to w kwestyach religijnych tak samo jak w politycznych... W napaści wściekły, w podchlebstwach płaski, w przechwałkach i zarozumiałości nieporównany z niczem, jako pisarz silny namiętnością i pięknym stylem, ale nigdy rozumowaniem: zręczny sofista, mistrz paradoksalnej dialektyki, ruchliwy, rzutny, niezmiernie płodny w pisma, z których ani jedno nie jest dziełem: znawca wyborny *aurae popularis* i zręczny jej kaptator, obrońca hierarchii, a ksiądz żonaty, adwokat wojny kokoszej, a zarazem panegirista króla Zygmunta i hetmana Tarnowskiego, w zdaniach sprzeczny, mistrz w naciąganiu i przekręcaniu, jest Orzechowski, i jako natura i jako żywot i jako pisarz arcydziełem sprzeczności i dysharmonii, jest ciekawym a może jedynym w tym stopniu wzorem doskonałości, przykładem nieporównanej stateczności w niestateczności: (— *et tantum constans in levitate sua* —) jest zarazem jedną z ciekawych postaci naszego złotego wieku, a choć w swoim ro-

dzaju niezawodnie jedyny, nosi przecie na sobie wiele cech wiekowi temu właściwych, i wiele także cech, wiele złych własności charakteru polskiego... Jest on produktem XVI. wieku... który zakwestyonował wszystko i sam nie wiedział, czego się ma trzymać w wierze i w pojęciach, musiał zakwestyonować i kodeks moralny, musiał niewiedzieć, czego się ma trzymać w życiu, co mu wolno, a co nie, co się godzi, co nie" (321). Tylko w takim wieku mógł się zjawić taki Orzechowski; o charakter też u niego nie pytaj i dla tego „człowiek ten nietylko nie był pożytecznym, ale był szkodliwym. Sąd o Orzechowskim jako o człowieku musi być bardzo surowy... Wzór to osobistości wybijającej nad miarę, nad wszystko, nad prawo, nad wiarę, nad Kościół, nad państwo, nad człowieka samego wreszcie, rozkiełznanej ze wszystkich wędzideł zasad moralnych lub tylko logicznych. I przez to jest Orzechowski na nieszczęście typem bardzo polskim, jest podobny do wszystkich naszych rokoszanów, w innych okolicznościach i na innem polu, jest tem samem, czem na polu spraw politycznych Krzysztof Opaliński, Janusz Radziwiłł albo Lubomirski" (327).

„Orzechowski jako pisarz jest do określenia trudny... Jego charakterystyczne właściwości są: wymowność najprzód, wielka energia i jedrność stylu, zwroty niespodziane a efektowne, słowem pozory pisarza bardzo świetne, olśniewające. Powtóre, niepospolita acz nieszlachetna wcale zdolność dialektyczna... Do tego wszystkiego ma wielki spryt i węż do poznania opinii publicznej... zna wybornie publiczność, do której mówi, wie, co się jej podoba, wie jak trafić w jej słabą stronę... (byłby więc wybornym dziennikarzem). Ale będąc przykładem zdolności publicystycznych, dobranych tak szczęśliwie jak rzadko, jest on zarazem zbiorem wszystkich własności, przez które publicystyka może być niebezpieczną i nieuczciwą: jest typem publicysty złego" (330).

A jako polityk? „Znakomitym umysłem politycznym Orzechowski nie jest, ani w spekulacyjnym, ani w praktycznym kierunku“. Podobny zresztą do wszystkich politycznych pisarzy XVI. wieku, którzy teorie swe polityczne zapożyczali od Arystotelesa i średniowiecznego ustroju państw, a w praktyce nawoływali do powrotu do czegoś co było, do jakiegoś niejasno sformułowanego stanu lepszej przeszłości, wytykali trafnie i śmiało błędy i nie-

dostatki instytucyj polskich i grzechy narodu, prorokowali nawet wczesną jego zgubę, ale zdobyć się na to nigdy nie mogli, aby powiedzieć narodowi, że mu potrzeba silnego rządu, skoncentrowania władzy w ręku króla, podatków stałych obowiązujących zarówno wszystkich, reprezentacyi państwowej u dworów ościennych czyli ministrów zagranicznych — słowem tych wszystkich reform, które same jedne były zdolne zabezpieczyć byt polityczny Polski. Orzechowski jako polityk był tylko echem krótkowidzącej polityki szlacheckiej demokracji polskiej i nie więcej. (Dok. nast.)

Ks. St. Załęski.

Szkice i poszukiwania historyczne przez Kazimierza Pułaskiego. Kraków, tom jeden r. 1887.

Z imieniem autora od niedawna dopiero spotykamy się na szerszej widowni literackiej, a jednak w rodzinnej jego okolicy, na Podolu, znane ono od dawna w naukowym świecie, pozyskało już sobie powagę i zasłużone uznanie. Ostatnia praca p. Pułaskiego, te *Szkice*, które właśnie mamy przed sobą, zjedną mu zapewne rozgłos i uznanie i na szerszej arenie literackiej. Zaznaczamy to z przyjemnością, autor bowiem, który jak dotąd, ukrywał się w swem zaciszu, śmiało i dzielnie wkracza nową swą publikacją w szeregi nader poważnych pracowników na polu historii. Krytyczne i sumienne roztrząsania jego źródeł historycznych pozwalają przypuszczać, że ich ma do rozporządzenia niemało, a co większa, że umiejętnie niemi władać umie. Słowem p. K. Pułaski jest zdobyczą dla świata nauki, wydatne dźwizgi już stanowisko w szeregu nowszych jej orędowników. Na wzór wielu swych współczesnych braci pióra, przejął się i on ulubioną w ostatnich czasach formą, skreślania dziejów w formie epizodycznych *Szkiców*, przedstawiając oddzielnie, w zaokrąglonej niejako ramie, pojedyncze wypadki, wydatniejsze ustępy dziejowe, lub malunek pojedynczych okolic i miejscowości wielkiej naszej ojczyzny, krajów, prowincyi i okolic, wchodzących w skład dawnej Polski. Z tej, że się tak wyrazimy, decentralizacyi, p. Pułaski wychodzi więcej może zwycięzko od innych swych towarzyszy pióra: obrazy jego mają więcej zaokrąglenia, więcej ściśłości historycznej, czego brak odczuwamy u innych. To też i dzisiejsza wiązanka p. Pułaskiego, ze wszech miar zasługuje, abyśmy się jej przypatrzyli bliżej. Pierwszą w tym tomie rozprawką historyczną, jest barwny, malowniczy obrazek tych sławnych „ukraińskich kresów“, malowanych i studyowanych *con amore* przez dziejopisów dzisiejszych. Bo też to barwny i malowniczy pas ojczyznej ziemi naszej, leżący jakby na uboczu, na jej ukrainach, przedstawiający niewyczerpane wzory zarówno dla poety, dla malarza i dla poważnego historycznego badacza dziejów. Nad tą piękną ziemią smugą, unoszą się niby niepochwytne duchy, poetyczne postacie tych Wiśniowieckich, Lanckorońskich, Daszkiewiczów i inne, krew z krwi, kość z kości typy rycerskie, obramione jakąś jakby aureolą poetyczną, nim je duch czasu nie przyobłóki, nie wprowadził do dziejów ojczyznych. Głównem siedliskiem tych postaci, wyjętych jakby

z ramek legendy, tak długo niepochwytnych, były dwie wysunięte w tym kraju wedety, dwa obrotne naddnieprzańskie zameczki: Kaniów i Czerkasy, które pierwsze wstrzymywać miały na swych barkach, napływającą do biednej ojczyzny naszej, nawałnicę hord tatarskich i innej dziczy muzułmańskiej. Komendanci tych posterunków, mianowani przez króla i stany, nabierali zwykle w krwawych tych zapasach lwiej odwagi, czuli też dobrze, że na ich barkach leżał niejako spokój i całość całej Rzeczypospolitej, rośli więc stąd w dumę, okiełznać się niedawali, pozornie tylko uzoając nad sobą władzę króla i stanów, którzy, dla własnego bezpieczeństwa, ulegać im niejako musieli. Obdarzeni pierwsiastkowo skromną starościńską władzą, siegnęli rychło po buławę, hetmaństwo im się uśmiechnęło, hetmani też poczęli, a nikt im oporu w tem stawiać się nie ważył — i pod egidą tej buławy, Bóg wie jak daleko zająsby mogli.. Zmieniły się jednak czasy, zmieniły i okoliczności na zewnątrz: nastąpiły chwile spokojniejsze, utrzymała się zresztą i powaga królewskiego majestatu, a więc już samo przez się i groźni ci *raubritterowie* nasi, wojownicze swe inżynieria z rąk wypuścić musieli, hetmańskie swe buławy zamienić na godła spokojnych kolonizatorów — pług i lemiesz stać się miały odtąd ich znamię. Otóż militarne w początkach znaczenie, takich dwóch kresowych placówek naszych, ich ustrój i urządzenie, następnie gospodarka i kolonizacyjne stanowisko na kresach, zatarła nareszcie ich odrębności i zlanie się z ogółem wielkiego państwa, oto przedmiot barwnej i ze stanowiska historycznego wyczerpującej gawędy, pierwszej w zbiorze pana Pułaskiego.

Druga z kolei rozprawka, objęta pod tytułem „Gospodarka królowej Bony na kresach“, treścią swą obejmuje jeden z tych zaledwie naszkicowanych ustępów w dziejach naszych. Bona, to typ zaledwie ujęty w historyi, a jakkolwiek się ku temu nie nadaje, to postać mglista, prawie legendowa, a jednak tak ściśle z narodowymi dziejami spleciona, że ją pod skalpel historyka ze wszech miar ująćby należało. Zreassumujmy się — co nam właściwie po niej pozostało? Szczypta legendy o skarbach, które z Polski wywozła, a które przysłowie o sumach neapolitańskich wytworzyły, przysłowie mgliste, nieokreślone, którego genezę w ostatnich dopiero czasach Bartoszewicz i Kantecki ściślej objaśnić usiłowali, przenosząc je dopiero do historyi, zresztą kupa zmurszałych gruzów na Podolu i na Wołyniu, które lud zamkami Bony nazywa, a które rzeczywiście w licznych jej starostwach pozostały — otóż i wszystko. Rzeczywiście, niewiele to zgoła, dla utrwalenia pamięci nie tylko już niewiasty, ale królowej, której działalność bądź co bądź przez lat kilkadziesiąt na ziemi polskiej zarysowała się wydatniej, pozostawiła w krajach zwłaszcza kresowych pamiątek po sobie niemało. W martwych napozór źródłach, w odgrzebanych lustracjach zamków Bony dawnych województw wołyńskiego i podolskiego, skrzętnie zebranych w wydawnictwach Al. Jabłonowskiego, udało się p. Pułskiemu odkryć skarby nielada: bogaty materiał do rządów tej królowej w Polsce, uwydatnić jej działalność, zwłaszcza na tak zwanych kresach. Rewizye zamków w Barze, w Kowlu i w Krzemieńcu pod umiejętną analizą p. Pułaskiego, to cenny materiał nie tylko do topografii i statystyki ale i do historyi skarbowości w tych dzielnicach dawnej Polski — jakby wierny malunek jej z XVI. i z początków XVII. stulecia, a nietknięty dotąd przez nikogo. Dopelnia książkę p. Pułaskiego kilka drobniejszych już rozprawek, jak biograficzne materiały do życiorysu sławnego Adama Kisiela, wojewody kijowskiego, po-

czerpnięte z jakiegoś nieznanego dotychczas archiwalnego zbioru rodziny Orańskich na Podolu, nareszcie próbka rodowodu znakomitego domu książąt Algimuntowiczów-Holszańskich, o który sami przed laty kusiliśmy się, a który autor *Szkiców* o ile się dało dopełnił, powołując się w części na odgrzebane przez nas dawniej źródła.

Taką jest książka p. Pułaskiego, o której króciutkie to sprawozdanie da już poniekąd miarę o stanowisku, jakie autor zajął w dziejopisarstwie naszego kraju i czego się po nim odtąd na polu, które uprawia, spodziewać możemy.

Tadeusz Jerzy Stecki.

Ostatnie chwile powstania styczniowego, na podstawie autentycznych źródeł, opowiedział *Z. L. S.* Tom I. Kraków 1887.

Już sam tytuł książki, zresztą i chwila pojawienia się jej, wyznać musimy otwarcie, na smutne naprowadziła nas wnioski, obudziła wiele nieufności. To też z pewnego rodzaju obawą, wzięliśmy ją do ręki, przywiodła nam bowiem na myśl jeden z najboleśniejszych epizodów porozbiorowego żywota naszego, brzemienność w następstwa, które dotąd obliczyć się nie dały, oznamionowane długimi latami łez i niedoli, które ani oschnąć ani zatrzeć się nie dały. Pojmujemy to jednak dobrze, że i smutne te karty wejść kiedyś przecie do dziejów narodowych muszą, ale czy na to jeszcze nie za wcześnie, z ręką na zbolełym sercu, zapytać się nam o to godzi. Czy ręka co się na ten malunek zdobywa, nie zdrżę nam jeszcze, czy łza nie przysłoni powieki? Autor, naoczny wydarzeń tych świadek, a nawet czynny podobno biorący w nich udział, bodaj czy dziś nie podzieliłby zdania naszego. Nie wchodząc przeto w rozbiór, jakkolwiek pięknej może jego pracy, a chcemy wierzyć i najlepszych do napisania jej pobudek, zawolać nam raczej z poetą należy: „Zawczasie kwiatku, zawczasie“.

Tadeusz Jerzy Stecki.

Rozmyślenia o gorzkiej męce Pana naszego Jezusa Chrystusa, napisał i wydał *Ks. Stanisław Stojałowski*. Lwów 1887.

Jestto pierwszy tomik działu religijnego, którym rozpoczyna autor wydawnictwo biblioteki „Wienca“ i „Pszczółki“. Ma ona obejmować jedenaście dziełek mniej więcej trzy arkuszowych, z których pięć ma być treści religijnej, sześć zaś innych treści historycznej, a wszystkie mają wyjść w roku bieżącym.

Książeczka ks. Stojałowskiego rozpada się na trzy części. Pierwsza obejmuje okres życia Zbawiciela od stajenki aż do odejścia na puszczę, przedstawiony w stacyach bolesnych. Druga od wieczernika aż do sądu Piłata obejmuje dziewięć stacyj krwawych. W trzeciej składającej się z czternastu stacyj krzyżowych, przedstawiona dalsza męka aż do złożenia w grobie.

Krzyż jest księgą oną mądrości, z której, jak wyznał Doktor Anielski, zaczerpnął on tę wielką wiedzę i znajomość Boga, będącą do dziś dnia podwaliną chrześcijańskiej filozofii i teologii. Na zapytanie zaś czem jest w życiu duchownem człowieka, odpowiadają Ojcowie św., jak Grzegorz św., Orygenes:

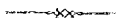
„że w duszy, która jest śmiercią Chrystusową zajęta, nie może mieszkać ani grzech, ani żadna pożądliwość“. Najlepszym tego dowodem żywoty świętych, którzy z rozmyślenia o męce Bożej czerpali oświecenie, zachętę i siłę do postępowania i wytrwania na ciernistej drodze doskonałości. Pilnie rozczytywano się w tej księdze, to też z dzieł, traktatów, rozmyślań o tym przedmiocie można zebrać sporą bibliotekę.

W ostatnich atoli czasach zmniejszyła się święta praktyka, coraz mniej pisano w tej mierze; a w naszym kraju prócz przesłicznych „Rozmyślań o Męce Pańskiej“ pióra O. Kajsiewicza żadna książeczka nie zrobiła większego rozgłosu, a wszystkie pojawiające się były przeważnie przedrukami dawniejszych autorów.

Przyczyna zaś, czemu wiele z książek duchownych nie ma powodzenia u wiernych, leży w tem, że piszący je częstokroć więcej ubiegają się za oryginalnością myśli, świetnością wyrażań i artystyzmem w wykończeniu, a brak im ciepła miłości Bożej i namaszczenia wyższego, które mają być główną ich zaletą.

Książeczka ks. Stojalowskiego wyróżnia się w tym względzie. Technie z niej pobożność i prostota ewangeliczna, jest w niej rzewność uczucia, a pocziwem słowem bez sztucznego naciągania nawołuje do cnoty i naśladowania cierpiącego Zbawcy. Miłą więc będzie towarzyszką dla każdego, co w poście zechce się oddać z Kościołem rozmyślaniu męki Zbawiciela, albo w miesiącu czerwcu rozważaniu nieskończonej miłości Boskiego serca, którą nam w męce swej najlepiej okazał.

Z. B.



Z piśmiennictwa zagranicznego.

Lehrbuch der Dogmatik, von *Dr. Hube Teophil Simar*. Priester der kath. Theologie an der Universität zu Bonn, zweite verbesserte Auflage. Freiburg im Breisgau, Herder 1887.

„Jutrzenka zapowiadająca lepsze czasy, dla dogmatyki katolickiej w Niemczech, która z Libermanem zaświtała, rozjaśniła się coraz więcej i najpiękniejsze wydała dzieła“. Temi słowy określa autor stan dzisiejszej teologii katolickiej w Niemczech.

Skromność jego nie pozwala na to, aby osobistą swą zasługę na tem polu dostatecznie ocenił. Pominawszy już bowiem, że wydawca przez swą dogmatykę (*Teologia św. Pawła*) i moralną teologią wsławił swoje nazwisko, to za niemałą policzyć mu należy zasługę, że na osławionej wszechnicy w Bonn, gdzie już dawniej starano się racjonalizm wprowadzić do teologii katolickiej, a gdzie obecnie starokatolicyzm obrał swe główne siedlisko, sztandar czystej

nauki katolickiej zawsze podtrzymywał i dzielnie występował w jego obronie. Dążność ta jasno zarysowuje się i w obecnym podręczniku, którego drugie wydanie w tym roku opuściło prasę.

„Życzeniem mojem jest, aby obok wielkich i znakomitych dzieł dogmatycznych Heinricha i Schiebena zjednała sobie skromne miejsce podręcznika, służyła początkującemu za podstawę tej świętej wiedzy i zagrzewała go do zgłębiania i lepszego poznawania czystej nauki kościoła“.

W ten sposób określa autor cel, jaki mu przyświecał przy wydaniu podręcznika. I śmiało, bez obawy, twierdzić możemy, że cel ten w zupełności osiągnął, równie pod względem treści jak i formy.

Na pierwszym miejscu uwzględnia naturalnie autor dogmatyczne orzeczenia kościoła; tam, gdzie ich nie ma, opiera się na *sententia communis theologorum*, głównie zaś św. Tomasza i innych koryfeuszów szkoły. Osobistego swego zdania autor nigdy nie narzuca; często niemal lękliwie z nim się ukrywa. Jako zaletę tego drugiego wydania należy poczytać, że łagodzi zbyt wiele ostrych pojęć, pomieszczonych w pierwszym, np. „że Kościół już przeciw Pelagianom orzekł, że łaska uczynkowa tylko dla sprawiedliwych jest potrzebna“ — zdanie niedokładne i mogące łatwo nasunąć fałszywy pogląd na rzeczy, (str. 526). Również odnośnie do kwestyi, czy Bóg ma wolę wszystkim ludziom zapewnić zbawienie, pomieszczono jako uroczystą definicyą kościoła, że Bóg chce zbawić wszystkich. Obecnie zmodyfikowano ją o tyle, że nie jest to dogmatem w ścisłym słowa tego znaczeniu (*defide*), ale tak wkracza w dziedzinę dogmatu, iż z nim jak najściślej się łączy (*pronimum fidei*), na co się każdy teolog zgodzić musi (str. 555). Podobnie rzecz się ma ze sporną kwestyą, czy do nadprzyrodzonej zasługi potrzebna jest pobudka (*motivum*) miłości, czy też pobudka jakiegokolwiek bądź innej cnoty wystarcza. W pierwszym wydaniu autor uznał cnotę miłości za niezbędnie do takowej potrzebną, w drugim prostuje to swoje zapatrywanie w ten sposób, że pytanie to stawia jako jeszcze nierozstrzygnięte. (str. 537). W jednym tylko punkcie nie zmienił zbyt surowych poglądów, a mianowicie, że pobudką *attritionis* tj. tak zwanej niedoskonałej skruchy, jeżeli takowa ma stanowić istotną część pokuty, winien być akt *caritatis perfectae vel imperfectae*.

tae, akt miłości doskonałej lub niedoskonałej (str. 851). Zbyt śmiało byłoby orzeczenie, że to jest zdaniem przez wszystkich uczonych przyjętem, gdyż nie tylko wielu teologów jeszcze przed soborem trydenckim, jak zresztą autor sam przyznaje, (str. 752) inaczej uczyło, lecz również i wielu późniejszych (str. 753) uważa za pewnik, że wystarcza żal niedoskonały, płynący z pobudek bojaźni lub nadziei nadgrody, *attritio mere servilis* ale nie *serviliter servilis*, co się zgadza zupełnie z potępioną propoz. 36 synodu pistoryńskiego. Obydwa te zdania mogą a raczej muszą się w tem godzić, że pobudka żalu niedoskonałego winna być nadnaturalną, że zatem naturalna jest wykluczona, dalej, że wolną wolę trzeba skierować do wyrzeczenia się grzechu i odwrócenia się od niego, a zwrócenia się ku Bogu. Czy zwrot ten woli do Boga ma pochodzić z miłości ku Niemu, na to w zasadzie wszyscy się godzą, choć czasem o słowa się sprzecają. *Bojaźń Boża początek miłości Jego* (Eccl. XXV. 16). Gdyby wszyscy zważali na te słowa i jak w nich zarysowuje się stosunek rozumnej bojaźni do miłości, ustałoby podobno wiele niepotrzebnych walk i sporów. *Timor Dei initium dilectionis ejus*. Eccl. 25. 16.

Drugą zaletę podręcznika stanowi jasność, łatwość wyrażenia i względna dokładność.

Łatwem do pojęcia i jasnem, zwłaszcza dla początkującego, jest np. wytłumaczenie grzechu pierworodnego. „Był on nasamprzód grzechem wewnętrznym nieposłuszeństwa przeciw wyraźnemu Boskiemu nakazowi. Co do celu i pobudki był grzechem pychy, pod względem przedmiotu był zarazem grzechem zmysłowości“ (str. 348). Ta sama jasność wyrażenia okazuje się w ogóle w nadzwyczaj trojskliwie dobranych określeniach, przyczem, jak autor w przedmowie z wdzięcznością wyznaje, wiele definicij, które mu jako błędne w pierwszym wydaniu wskazano, w drugim sprostował.

Względna dokładność podręcznika okazuje się z ułożenia i podziału treści takowego. Dr. Simar zajmuje się głównie specjalną teologią, z fundamentalnej objaśnia tylko reguły, które nam w dziedzinie wiary pozwalają się oryentować. Zwyczaj ten panuje obecnie na wszechnicach niemieckich, nie będziemy się zatem dłużej nad tem zastanawiali. Specjalną teologię dzieli na dwie części: w pierwszej mówi o Bogu, jednym w naturze a troistym w oso-

bach, w drugiej o działalności Boskiej na zewnątrz (*ad extra*). Część pierwsza obejmuje traktat o możliwości i sposobie poznawania Boga, o treści objawienia, o istocie i własności Boga, o Trójcy najśw. W drugiej wyklada o pierwotnym porządku natury i łaski tj. o stworzeniu, zachowywaniu i rządzeniu światem, o czystych duchach i człowieku, dalej o przywróceniu człowiekowi łaski po jego upadku czyli o nauce odkupienia i uświęcenia człowieka tj. o odkupieniu, łasce, kościele, sakramentach z dołączeniem nauki o czterech rzeczach ostatecznych. Jak widzimy, podział nadzwyczaj jest logicznym.

Jak dla początkujących, podręcznik nie mógł być bardziej dokładnym; dostarcza on nadto dostatecznego materiału do zorientowania się w ważniejszych kwestjach spornych, gdyż i te są tu uwzględnione. Nie spotykamy się tu wprawdzie z długimi i szerokimi wykładami tej lub owej kontrowersyi, czego zresztą nie mamy prawa się spodziewać, jednakowoż w streszczeniu mniejszym drukiem przytoczone są zawsze wierne zdania rozmaitych autorów i ich argumentacye. Sam autor swego własnego zapatrywania nie wyjawia, lecz pozostawia uczącemu się zupełną swobodę wybrania sobie z przytoczonych zdań, które mu najwięcej odpowiada. Wydanie to i tem się odznacza, że w sławnej kontrowersyi pomiędzy Tomistami i Molinistami (a raczej pomiędzy Bannesem a Moliną) znaczne zawiera poprawki, autor własnego zdania i tutaj wprawdzie nie wyraża, można się go jednakowoż łatwo z słów jego domysleć. Wziął on sobie, zdaje się, za zadanie, oczyścić św. Tomasza z zarzutu, jakoby tenże zgadzał się na tezę, znaną pod nazwiskiem *praemotio phisica ad peccatum*, co rzeczywiście jest silnym zarzutem nie przeciwko św. Tomaszowi, który tego nie powiedział, lecz przeciwko uczniom Bannesa. Autor nasz mówi na str. 494 „Naukę jego (tj. św. Tomasza) o determinacyi woli (*praemotio*) trzeba w ten sposób pojmować, że zezwolenie stworzenia na grzech dokonywa się bez specjalnej determinacyi ze strony Boga, i że Bóg, tylko jako Ten co nas stworzył i utrzymuje (*Causa prima, primus motor, supremus Dominus*), przyczynia się do fizycznego istnienia aktu (*entitas actus*) a nie do grzesznej decyzji“. Przeciwno temu twierdzeniu ani wiara, ani rozsądek nie mają do nadmienienia, czego też nikt nie czyni, jak już filozofia w tezie *De concursu Dei* dowodzi.

W podręczniku naszym, jak widzimy, wszystkie najważniejsze punkta i kwestye są omówione; za krótko może autor mówi o kościele, zwłaszcza o znamionach prawdziwego kościoła Chrystusowego. O istocie wprowadzie Kościoła dość obszernie traktuje, lecz pragnęlibyśmy, aby właśnie ta kwestya, która w obecnych czasach takiej nabrała doniosłości, zwłaszcza dla początkującego nieco obszernej była przedstawioną.

Jeszcze kilka słów o metodzie i sposobie dowodzenia w podręczniku. Metoda jest dobra. Tezy odznaczone dużym drukiem, dowody umieszczone drukiem małym, przeprowadzone w sposób swobodny, nie scholastyczny. Dowody przeważnie są pozytywne, tj. opierają się przedewszystkiem na Piśmie św., następnie na Ojcach Kościoła i to zwykle na klasycznych ustępach z ich pism, które w całej przytoczone są rozległości. Wreszcie cytuje autor pisarzy szkoły scholastycznej, zwłaszcza ze szczególnem zamięłowaniem św. Tomasza, często w dosłownych ustępach. Przeciwno temu nie się nie da nadmienić. Co zadziwićby mogło, to, że uczony profesor argumentu *ea ratione theologica*, prawie zupełnie nie uwzględnia, a jednakowoż w wielu wypadkach przyczynia się takowy co najmniej do pewnego wyjaśnienia tajemnic wiary. Od podręcznika nie mamy prawa wymagać ścisłego, spekulatywnego roztrząsania każdej kwestyi; pragnęlibyśmy jednakowoż, aby takowe nie było traktowane tak po macoszemu. I początkującemu można, jak uczy praktyka, dostatecznie rzecz objaśnić, aby później przy wolniejszej chwili mógł sam bezpiecznie oko w te głębie zapuścić.

Jasną jest rzeczą, że przez te uwagi uznana ogólnie dobroć podręcznika ucierpieć w niczem nie może, świadczą one tylko o zajęciu, jakie w recenzencie wzbudziło. Z całego dzieła wieje ciepło, przekonujące nas o czystym jego duchu katolickim, przebija miła i ujmująca skromność. Są to zalety które, w młodym teologu używającym tego podręcznika, mogą tylko wzbudzić zamięłowanie i po szanowanie dla tej pięknej, wspaniałej, niezgłębionej królowej umiejętności i utrwalić potrafią jego przekonania przeciw lada powiewowi nieprzyjaznych zdań i przyczynią się pewnie nie mało do stałego i wiernego przechowania powierzonego depozytu.

Ks. A. Kraetzig.

W eleganckiej bibliotece zebrało się po obiedzie czterech przyjaciół: stary prezydent sądu apellacyjnego, „komendant“ ze złotem sercem choć nieco opryskliwym słowem; trzecziesięczny seminarzysta, który mimo młodych lat niejednej w życiu doznał przygody; wreszcie archiwista zagrzebany w starych foljach, nieprzepuszczający żadnej niedokładnej dacie, żadnej krzywo postawionej literze. Gawęda rozpoczęła się od Don Kiszota i naturalnym biegiem rzeczy potoczyła się od rycerza z Manszy do innych rycerzy — do rycerskości w ogóle, jej ducha, działalności, pożytku. A czy dziś duch rycerski nieodwołalnie i rzeczywiście pogrzebany? Czy Gambetta nie dlatego właśnie do takiej wspiął się wysokości, że umiał się zimnem wyrachowaniem kierować, a nieraz nadużywał rycerskich popędów swych ziomeków? Czy młody przytomny rozmowie seminarzysta, walcząc poprzednio w szeregach armii amerykańskiej, a później zrzekając się dla służby Bożej majątku i znaczenia, nie jest nowym dowodem, że szlachetny rycerski zapal bije jeszcze w niejednym sercu, zapominać każe o niebezpieczeństwach, pędzi do walki za każdą sprawiedliwą i piękną sprawę? A więc czy nie wartoby przypatrzyć się rozmaitym typom rycerzy w różnych krajach i czasach; jakimi byli ci ludzie, jakimi były ich idealy, pragnienia? Rozmawiający przyjmują tę myśl z zapalem i postanawiają wspólnemi siłami bliżej się przyjrzeć trzem wielkim eposejom: *Nibelungom*, *Pieśni Rolanda*, *Cydowi*, w których występują przed nami, jak w zwierciadle dawni germańscy, frankońscy, kastyljyscy rycerze, z wadami swemi i zaletami, wspaniałem sercem i silną ręką, zbroczoną krwią winnych, a zbyt często i niewinnych.

Na następne już posiedzeniu zamiar przechodzi w wykonanie. Jeden z przyjaciół opowiada w głównych zarysach treść *Nibelungów*; później archiwista streszcza *Pieśń Rolanda*; seminarzysta odcytuje całą rozprawę o *Cydzie*. Nad każdym ważniejszym punktem wywiązuje się dyskusya, a że odbywa się w bibliotece nie trudno swe zdanie poprzeć kilku cytatami, zarzecz w razie wątpliwości do tego lub owego autora. Naturalnie nasuwają się i szeroko roztrząsane są pytania: Jaki zachodzi stosunek tych trzech eposei do siebie? jakie każda z nich przedstawia idealy? jak wówczas wyobrażano sobie dobrego rycerza, wasala, chrześcijanina? W powietrzu słychać wciąż szczek oreża o Grymhildy, czy Chimeney; każde obraźliwe słowo wywołuje cały potok zniewag i krwi: „patrzcie, woła tryumfująco komendant, czy pojedynek nie jest konieczny, czy nie leży on niemal w naturze ludzkiej? — Inni odpowiadają, tłumaczą; komendant zbija odpowiedź tylko paru gniewnemi słowami i wychodzi zniecierpliwiony. Ale wypadki tego rodzaju nie przerywają wspólnej harmonii; wszyscy wiedzą, że stary żołnierz wróci za chwilę i sam dorzuci niejedno trafne słowo w wybornej np. i dowcipnej, wtrąconej między dwie eposeje, pogawędce o modzie, galanteryi, tolerancyi, estetyce, lub o owym tajemniczym wyrazie, który się u filozofów nazywa „metafizyką“.

Forma dialogu ma swoją niejedną dobrą i niejedną złą stronę; ale tutaj wyznać należy, że autor wszystkie dobre strony jak najlepiej potrafił wyzyskać. Dowcip, nauka, forma lekka i przyjemna, łączą się w całość, z której uczony profesor uniwersytetu nie dowie się żadnych nowych filologicznych

szczegółów, ale która umysł każdego orzeźwi, poda mu mnóstwo, choć tylko niby od niechcenia narzuconych myśli a może i zachęci kogo, aby idąc za przykładem komendanta, postanowił sobie głębiej i dokładniej nad nimi się zastanowić.

J. B.

Théodore Wibaux, zouave pontifical et Jesuite par le p. *de Coetlosquet*. Paris Retaus-Bray.

Czy wybije jeszcze kiedy godzina krucyaty, czy młodzież chrześcijańska będzie jeszcze kiedy mogła, idąc śladami dawnych rycerzy, zatknąć zwycięski krzyż na murach Jerozolimy lub wejść w tryumfującym pochodzie do miasta wiecznego, i uwolnić namiestnika Chrystusowego z obecnego uciśnienia i niewoli? Nie nam przesądzać; a jednak wojna święta, wojna pańska, podjęta z zapalem i ofiarnością dla wywalczenia sprawiedliwości, kto wie czy nie najpewniejszym stałaby się środkiem odrodzenia dla świata i ludzi: Veuillot zapytany o radę w stanowczej chwili przez młodego chłopca, którego biografię witamy, odpisywał gorącym słowem: „Święty Piotr nie potrzebuje żołnierzy, ale nam potrzeba mu ich dostarczyć, nam trzeba krwi utoczyć, aby okupić przemieszanie Francji“. Młodzieniec posłuchał tego głosu i stanął w szeregach, w których znajdowała się wówczas i pewna liczba naszych ziomków, jak nie zabrakłoby ich i teraz, gdyby znowu iść przyszło na obronę Ojca chrześcijaństwa. Jakimi byli ci żołnierze, jaki zostawili przykład? jakie wiedli życie? Wyjaśni nam to krótkie streszczenie miłej książeczki, którą mamy pod ręką.

Teodor Wibaux należał do licznej i chrześcijańskiej rodziny: ojciec i matka chowali bogobojnie trzynastoro dzieci. Żywy, porywczy, niepodległy Teodor utrudniał im to zadanie, wynagradzając dobrocią serca wady młodego wieku. Skończywszy szkoły, zamarzył o zapisaniu się w poczet obrońców papieża. — „Ty miałbyś zostać żuawem! — okrzyknął ojciec — chyba sam siebie nie znasz. Wszakże nie umiesz niczego się wyrzec, nie znieść ani wycierpieć, przebierasz w jedzeniu, grymasisz na posłanie jeśli nie wygodne, bodaj jednego cygara odmówić sobie nie potrafisz! Pokaż nam wprzód, iż umiesz zwalczać przyrodzoną miękkość i niechęć, a dopiero zobaczę czyś zdolny do trudów i nudów wojskowego zawodu“.

Teodor uczuł prawdę słów ojcowskich i przez rok cały dolażył wszelkich starań, aby przekonać rodziców, że potrafi być żołnierzem papieskim. Po upływie czasu próby, trudno było usprawiedliwić dłuższą odmowę. Młodzian pośpieszył do Rzymu w 1866 r., w osmnastym roku życia. Odtąd książka się przeważnie składa z korespondencji rodzinnej. Nowy żuaw ani się domyśla, iż listy jego urosną w istną kronikę dziejów armii papieskiej, historią żuawów, niby powszednią, ale z pobudek bohaterską. Rzemiosło wojskowe właściwie nie odpowiadało usposobieniu młodzieńca; jeśli je obrał, to z czystego poświęcenia: „Myśl, iż uczestniczę w najświętszej sprawie, dodaje mi nadprzyrodzonej siły“, pisze do rodziców. „Odkąd jestem w Rzymie, coraz częściej potrzebuję się zasilać Najśw. Sakramentem“. Pilnie też przestrzega pobożności i czystości. „Onych cnót nieodzownych dla żołnierza papieskiego“. „Dobrze mi przy Piusie IX., nikomu bym miejsca mego nie odstąpił“.

A jednak nie łatwe, nie zabawne to życie i rzemiosło: „Dwa razy dzien-

nie odbywamy ćwiczenia: rano marzniemy na placu św. Piotra, atoli żelazo mego karabinu ciepłem mi się wydaje, gdy pomyślę, że to dla Piusa IX. Po południu pocimy się jak myszy; tym sposobem, jest tedy rozmaitość... Wszyscy ci, którzy mają grosz przy duszy, używają jakiego pocziwego Hollendra do grubszej roboty, czyszczenia broni i rzeczy, i t. p. Bardzo to może wygodnie, ale trochę zniewieściałością mi się być zdaje. Dla tego też, mimo nie jednej pokusy, dotąd staram się sam sobie wystarczyć i posłużyć. Czemuż bo oszczędzać sobie umartwienia? każda kropla potu błogosławieństwem dla mnie i dla was“. Ta myśl zasłużenia na łaskę Bożą dla siebie i rodziny, trwała odzywa się nótą w listach dobrego młodzieńca. „Niech żyją przykrości i cierpienia! byle cierpieć z Bogiem, za swoich i dla zdobycia nieba“.

Dawne wygodne życie czyni go czulszym na niedostatek lub trudy woj-skowe. Wszystko chętnie znosi, bo zapal święty go podtrzymuje. Godziny warty skracą sobie odmawianiem różańca; przyłącza się do pobożnych stowarzyszeń, należy do konferencyj św. Wincetego z żuawów złożonej, i pokazuje się, że ta garstka rzekomych najemników, jak ich wroga nazywała prasa, rozda je rocznie do 6000 franków pomiędzy ubogich. Tęsknota za rodziną raz poraz rzewnem odzywa się echem: „Nie wątpię, mamó, że tam często za twego żuawa do komunii św. przystępujesz. Ilekroć się nudzę na warcie, przenoszę się do naszego domku, wchodzę tam niewidzialny, a za pomocą zegarka, wiem dokładnie co o tej porze robicie“.

Przykrzyła się bohaterskiej garstce bezczynność przymusowa, kiedy marzyli o walkach i bitwach. Najmniejszy też rozkaz wymarszu zapala im głowę i serce. Raz wykomenderowano oddział do Civita Vecchia — „Szalałem z radości, przez całą drogę śpiewaliśmy pobożne pieśni w wagonie“. Z nadejściem lata, wielu kolegów za urlopem wyjeżdża. „Nie rozumiem ich, pisze Teodor, a nuż rewolucya nagle wybuchnie, nuż się garybaldzycy pojawiają, ci co wyjechali przez resztę życia swej nieobecności odżałować nie potrafią“.

Inne mu bohaterstwa Pan Bóg przeznacza. Straszny wybuch cholery w Albano otwiera żuawom nowe pole poświęcenia. Znajdują sposobność ujawnienia, czem jest męstwo chrześcijańskie w obec każdego niebezpieczeństwa. Wszyscy się wyprzedzali w usłudze oddawanej cholerycznym. Teodor Wibaux przodował w czynnem miłosierdziu, a wieczorem sam prał bieliznę umarłych, zwalczając wstręt przyrodzony.

Ten pobożny, nieraz heroiczny młodzian, miewa jak inny chwile ciężkości, zwątpienia, pokusy. Ale jak umie je odganiać i zwalczać, jak się smuci każdym zboczeniem towarzyszków! „Mamo, pisze w jednym liście, jesteś mi zawsze najlepszą przyjaciółką. Nieraz, gdy się waham między głosem obowiązku a namiętnością, twój głos rozstrzyga, bo pragnę zawsze zachować czyste czoło dla twego pocałunku, chcę spojrzeć ci śmiało w oczy, bez rumienienia się za przeszłość, a nareszcie: bo jedna łza twoja przeze mnie wyciśnięta do rozpaczyby mnie przywiodła — dla tego bronie się, walczę i cierpię“. Jeżeli nie wszyscy w około tą samą błyszczą stałością, Teodor stara się ich wytłumaczyć, usprawiedliwić, a podnosi ich rdzenne przymioty. „Jesteśmy tu niezwykłym wojskiem. Młodość i majątek niejednego zaciera czasem pamięć, iż są obrońcami najświętszej i najczystszej sprawy. Ale niechno wypadki stawiają ich wyraźniej w obec powinności, odrazu czują się krzyżowcami, i wtedy już tylko w nich jedno jest serce, jedna myśl, jeden zapal. Miłość ta dla osoby Piuso-

wej i św. Kościoła wiele słabostek zakrywa i przebaczyć nakazuje, miłość ta wpaja w serca gorącą żądzę walki i śmierci. Podobna śmierci pogarda nie może być przyrodzonym uczuciem: wszyscy czekają dnia ofiary jak wesolego święta“.

Młodzieniec nasz marzy o wylaniu krwi do ostatniej kropli za ukochaną sprawę. Dzień Mentony podaje mu ku temu sposobność szczęśliwą. Po zwycięskim starciu z Garybaldeczykami wraca zastęp bohaterski do Rzymu z okrzykiem: „Niech żyje Pius IX.“ Bóg przyjął gotowość za ofiarę. Teodor Wibaux nie zginął, ani był rannym. Ale niebawem wejście Piemontczyków do Rzymu положиło koniec istnieniu malej armii papieskiej. Rozpuszczone jej szeregı skupiają się znów, aby we Francji dokazywać cudów waleczności. Teodor Wibaux został wtedy oficerem i odznaczył się w obronie zagrożonej obcym najazdem ojczyzny. Po zawarciu pokoju mógł być wrócić do rodzinnego życia. Ale dusza, która raz zakosztowała rozkoszy poświęcenia, już nie potrafi powszedniem zaspokoić się szczęściem. Nie mogąc być żołnierzem papieskim, młodzieniec zapragnął być duchowym szermierzem, i wstąpił do Jezuitów. Wtem wybucha prześladowanie: zamykają się klasztory, zakonnicy idą w rozsypkę. „Bardziej, niż kiedykolwiek, powtarza młody nowicjusz, pragnę złożyć całego siebie w ofiarę za grzechy Francji“. Bóg przyjmuje tę dobrą wolę, i Teodor Wibaux umiera na wygnaniu w Jersey, mając zaledwie lat trzydzieści trzy, 10 czerwca 1882 r.

Niedokładny zarys treści daje wszelako miarę książki, przeznaczonej głównie dla młodzieży, aby w niej rozwinąć święty zapal i pobożną ofiarności. Życzenie to autora stało się i życzeniem sprawozdawcy. Im smutniejsze czasy, tem większa potrzeba, aby młodzież w wierze i wierności Bogu i Kościołowi czerpała moc konieczną do przetrwania chwil próby i przyspieszenia zorzy dni lepszych.

M.



Z pism peryodycznych.

Historisch-politische Blätter für das katholische Deutschland herausgegeben von *Edmund Jörg* und *Franz Binder*. 97 Band. München 1886. In Commission der Literarisch-artistischen Anstalt str. XI. 972.

„Jak długo jeszcze i jak się to skończy?...“ oto pytanie pełne znaczenia, jakie redakcyja pisma, o którego wartości już w zeszłorocznem sprawozdaniu jak najpochlebniej mogliśmy się wyrazić, sobie i czytelnikom swoim na samym wstępie nowego rocznika zadaje. Zaiste smutno w starej Europie! Dla łodzi narodów na fali wypadków nigdzie bezpiecznej nie widać przystani; kotwica jej nad bezdenną kołysze się otchłanią i gruntu nie chwyta, wszak prowi-

zorya i oportunizm, to chyba tylko pływające wyspy, nikomu i niczemu nie dające trwałego punktu oparcia. Wschód zalegają chmury w gromy ciężarne a i zachód pogodnem nie przymila się obliczem. Tam rozstrój i nieład przekupstwem i bizantyńską perfidią sycony i podtrzymywany, tu chęć zemsty i głuche wrzenie socyalnej, podziemnej roboty, które tem donioślejszem się staje, im bardziej zanika stan średni, ów przedział skuteczny między zdemoralizowanym nędzarzem, a nie lepszym prawie kuponów posiadaczem. Władza państwowa ruchów tych panem już nie jest i oportunizmu półśrodkami się posługuje. Nawet w Anglii rozprawiają o ele narodowo-ochronnem, które wprowadzie kasy rządowe napelni, lecz nędzy mas zatem też i złowrogich knowań podstawy nie usunie. Narodów bowiem o wybitnym woli kierunku dzisiaj nie masz; ich miejsce zajęły stronnictwa, dla których utrzymanie się przy władzy, korzyść własna, a nie ogółu dobro i bezpieczeństwo działania bywa normą i podniętą. Bankructwo parlamentaryzmu coraz widoczniejsze. W Niemczech przynajmniej dążenie do dyktatury z dniem każdym wyraźniej się zarysowuje, a wypadki bynajmniej nie zadają kłamu słowom Windhorsta, jakie w parlamencie ($\frac{1}{12}$ 1885 r.) przy sposobności sprawy polskiej wypowiedział: „znajdujemy się w anormalnym stosunku absolutnej dyktatury“. Rada związkowa musiała się wyrzec wszelkiej ingerencji w sprawach polityki zewnętrznej, której ster w bardziej uparte, aniżeli żelazne ręce pochwycił książę Bismark, sądząc, że potrafi Europie narzucić swą wolę. Tymczasem niespodzianki się mnożą. Na wschodzie nieprzewidziane zawikłania, rozbieżności konferencyi konstantynopolitańskiej i możliwa koalicya mocarstw w ugrupowaniu innem, aniżeli kanclerzowi mogłoby być miłym. W Egipcie krew znowu płynie. Kanclerz sam Anglią do stanowczego popycha kroku, jednak nadąsawszy się, że mu Anglia niedostatecznego użyczyła poparcia w polityce kolonialnej, na stronę rywalizującej przerzuca się Francyi. Sztuki takie udają mu się „jak długo starczy żołnierzy i pieniędzy“ (Windthorst). Ale wojsko w przeciągu $14\frac{1}{2}$ lat kosztuje 6889 milionów marek. Stan średni i chłop coraz bardziej ubożeje, zatem i najbezpieczniejsze podwaliny siły państwowej się chwieją. Frazesem bowiem w świat rzucone można nazwać słowa, „że militarizm dobrobyt wzmacnia“, albowiem kilku wielkich kapitalistów i przemysłowców nie można uważać za

wyraz dobrobytu ogółu. Jeszcze dzisiaj a może i jutro będzie skąd wziąć, ale co dalej? Prawda! są jeszcze rozmaite monopole. Państwo pierwszym stanie się przemysłowcem, a naród bluzą w jego fabryce. Sapiienti sat.

Rozczyniwszy w alembiku wszystkie ingredyencye Bismarkowskiego działania, zostaje jako osad pruskość. Cała bowiem kanclerza denerwująca polityka jest niewątpliwie ze stanowiska pruskości pojęta i prowadzona. Rzesza niemiecka nie nie znaczy; wyraz „narodowość“ jest tylko płaszczykiem misternie udrapowanym gwałtu, wyrzekającego się wszelkiej prawnej podstawy. Ks. Cumberland w imię patriotyzmu traci swoją ojcowiznę; polscy poddani, w najuleglejszej żyjąc lojalności, muszą opuszczać ojców swych ziemię, ażeby Prusy, jak powstały, tak też i nadal krzywdą innych rozrastać się mogły. Czy to dobrze? Ani dla Prus ani dla Niemiec, które doszedłszy do pierwszorzędnej potęgi w obrobie prawa i słuszności umocnienia swego stanowiska i wpływu szukać były powinny, w przeciwnym bowiem razie prędzej czy później spełnić się muszą słowa Goethego: *Was glänzt, ist für den Augenblick geboren...* Wyrzeczenie się wszelkiej prawnej podstawy przez kanclerza i jego stronników, czyni niemożliwą zgodę z „Centrum“, które, prócz polegania na prawie i słuszności, niczego więcej się nie domaga. Otóż odkąd prawo zdeptano i z całym cynizmem siłę ogłoszono prawem, w Europie źle się dzieje, a Bóg jeden wie, czy na tem koniec i czy cięższe jeszcze na ludy starego kontynentu nie przyjdą dopuszczenia.

Taki mniej więcej pogląd na położenie ogólne, a w szczególności Niemiec rozwija wstępny artykuł, którego morał krótko da się wyrazić słowy: „Nawrócić, póki czas!“

Tę niepewność wszystkich stosunków dla braku poszanowania prawa odzwierciadlają i stwierdzają liczne poglądy polityczne, jakie w sposób bardzo poczytny i pouczający, redakcyja w każdym zeszycie umieszcza, informując czytelnika dokładnie o wszystkich ważnych sprawach w ciągu każdego miesiąca. Po Skierniewicach i Kromieryżu, po pomyślnych rzekomo układach, stoi Europa bezradnie nad puszką Pandory, nad sprawą bułgarską, której końca dotąd nikt przewidzieć nie może.

Kanclerza zawodzą najpiękniejsze marzenia. Monopol wód-

czany, złotodajna studnia, z której co rychlej czerpać pragnie, nie da się przeprowadzić w parlamencie. Znaczenie tego monopolu omawia i jego szkodliwość wykazuje artykuł (str. 226): *Die Todtgeburt der innern Politik im Reich und Staat; das Branntwein-Monopol.*

Należyta odprawa, godna pisma opierającego się na prawie i uczciwości, dana jest kanclerzowi i jego adherentom co do sprawy polskiej w artykule (str. 307): *Die Polen-Debatte im preussischen Landtag und die Verruferklärung des Reichstags.*

Sprawami socjalistycznymi zajmuje się artykuł (str. 380) noszący tytuł: *Der Reichstag wegen Erstreckung des Socialistengesetzes.* Walkę religijną przedstawia pogląd rozwinięty pod tytułem: *Der alte Culturkampf und der neue Culturkampf.* Postępowanie biskupa fuldajskiego należyta otrzymuje odprawę w słowach: „nie ma mu czego zazdrościć jak kurze między pawiami“ (str. 461).

Na szczególną uwagę zasługuje także przedstawienie stosunków irlandzkich. Niemniej ciekawe, a nas bliżej obchodzące są artykuły, noszące tytuł: „Niemcy i Czesi w przeszłości i teraźniejszości“. Na podstawie rozwoju dziejowego dochodzi autor do ery ministerstwa Taaffego i podnosi jego zasługi, że umiał Czechów, zajmujących bierne stanowisko, napowrót ściągnąć do parlamentu bez naruszenia konstytucyi i bez ukrócenia Niemców czeskich w należącym się im prawie. Mimo to Niemcy, zapominając o liczebnej przewadze Czechów i o ich dziejowej przeszłości, jakoteż o ich znaczeniu dla potęgi monarchii, nawet za granicami państwa, zanoszą skargi na rzekome krzywdy i czernią rząd, a nawet bynajmniej nie dwuznacznie wzdychają, ażeby obce jakie mocarstwo krzywdy ich pomściło. Autor wylicza w interesie słuszności niegodziwe zarzuty, jakich się niemieccy centraliści, nie wzdrygając się nawet przed kłamstwem, dopuszczają, szczególnie od czasu, gdy rozporządzeniem z d. 14 czerwca r. 1880 czeski język z niemieckim równouprawniony został, które to rozporządzenie niczem więcej nie jest, jak przypomnieniem tego, co w konstytucyi grudniowej r. 1867 w artykule XIX. ustanowionem zostało. Znakomicie odparty jest zarzut, czy tam skarga Knotza, jakoby czeskie duchowieństwo i czeskie szkoły szczególniejszej protekeyi rządu używały. Spór ten w ogólności jest bardzo pożałowania godny, nie przyczynia się bowiem

bynajmniej do wzmocnienia Czech, a stosunki ekonomiczne bezsprzecznie dotkliwie poniosły straty. Autor nawołuje przeto do zgody i przypomina, że w Austrii niemożliwą jest „z urodzenia rządząca partya“, że Austrii siła spoczywa we wzajemnem porozumieniu pod jej łagodnem berłem połączonych narodowości, że tylko taka Austrya skuteczną może być tamą przeciw od Wschodu zagrażającemu potopowi.

Na uwagę zasługuje także artykuł „o stosunkach szczególnie religijnych i wyznaniowych w Bośni i Hercegowinie“. Zaznaczywszy, że od czasu okupacji wymienionych prowincyi zapanował tamże ład i wzmógł się do pewnego stopnia dobrobyt, czyni autor ministrowi Kallayowi zarzut, że za jednostronnie pojął swoje zadanie, starając się przedewszystkiem o podniesienie ekonomicznych stosunków ziem podlegających jego zarządowi. Udaje mu się to, prowincye bowiem nie tylko z własnych dochodów pokrywają koszta administracyi, lecz umarzają już także zaliczkę udzieloną im ze skarbu państwa. Mniej atoli podoba się autorowi administracya moralna. Szczególnie zarzuca ministrowi indyferentyzm religijny i pływający stąd zaniedbanie religijnego wychowania. Nadto wyznanie oryentalne zbyt często bywa faworyzowane w stosunku do katolickiego, a Serbowie większą cieszą się opieką, aniżeli Kroaci. Austrya jako mocarstwo katolickie, także katolickie wyznanie szczególniejszą powinna otaczać opieką, zwłaszcza, że Słowianie wyznania oryentalnego lgną najwyraźniej do Rosyi. Mieszczą się w tym artykule piękne i głębokie uwagi, lecz nie znając stosunków zbliska, nie możemy oznaczyć, czy autor przypadkiem rzeczy zanadto czarno nie widzi.

Obok artykułów, przedstawiających stosunki polityczne i społeczne, zamieszcza i ten rocznik wiele rozpraw treści historycznej, filozoficznej i estetycznej. Ciekawe są np. listy od biskupa Collonitscha i do niego od cesarza Leopolda i ks. Schwarzenberga, których oryginały znajdują się w archiwum ostrzygońskim i w centralnem archiwum książąt Schwarzenbergów w Wiedniu. Listy odnoszą się treścią do wyboru następcy Innocentego XI. Collonitsch działa w interesie cesarza Leopolda, któremu bardzo na tem zależało, ażeby miał w osobie nowego papieża równie oddanego sprzymierzeńca, jak nim był poprzednik. Doniosłości ogłoszenia tych

listów ocenić nie umiem, albowiem nie jest mi wiadomem, czy już przedtem nie zostały gdzieindziej ogłoszone i spożytkowane.

Zajmującą i bardzo zręcznie napisaną jest charakterystyka króla Fryderyka Wilhelma IV., zwanego „romantykiem“, o którym Ranke się wyraża: „miał może więcej serca, aniżeli z interesem państwa zgodnem być mogło. Jego idealny pogląd na rzeczy często od rzeczywistości odstępował...“ Autor usiłuje podać apologię przez historię nisko cenionego monarchy, którego szlachetny sposób myślenia wiele dobrego zdziałał tak dalece, że nawet ludzie jak Hermann Wegener się odzywają: „...do zdrowej polityki wewnętrznej nie dojdziemy, dopokąd nie powrócimy do myśli i zasad polityki Fryderyka Wilhelma IV.“

Ładne są także biograficzne szkice jak np. „Wspomnienia o Karolu Erneście Jareke“, którego polityczna i literacka działalność bardzo poczytnie została skreślona. Niemniej zalecają się rysy charakterystyczne wyjęte z dzieła Helferta o namiestniku tyrolskim „Aloizym Fischerze c. k. demokracie“, o którym autor powiada: „Gdyby Austria wielu podobnych miała demokratów, wiernych synów Kościoła, oddanych sług swego pana i cesarza, prawdziwych przyjaciół ludu: za małą ich liczbę w każdym z krajów koronnych możnaby ofiarować całą zgrają obecnych liberalnych uszczęśliwaczy ludu z dodatkiem arystokracji pieniężnej i wielkiej części szlachty rodowej“.

Z rzeczy estetycznych zasługują na obszerniejszą wzmiankę artykuły „O wpływie czci świętych obrazów na sztukę i moralność“ i „O reformacyi w stosunku do malarstwa i rzeźby“.

Kościół katolicki czyni dobrze i mądrze, korzystając w każdej dobie swego rozwoju z legend i obrazów, starając się pamiętać i wzorowe życie świętych całemu ogółowi chrześcijańskiemu uprzytomnić i uprzystępnąć. Jeżeli się zgodzimy, co już Plato wypowiedział, że sztuka jest odbłaskiem doskonałości, a najwyższa doskonałość jest w Bogu, sztuka tem doskonalszą się staje im bardziej do Boga się zbliża. Tak już starożytna sztuka z religii wyrasta. Bardziej religijni Grecy wyżej stanęli pod względem sztuki od Rzymian zajętych przedewszystkiem zdobyczą ziemską. Jak religia mienić się może matką sztuk pięknych, tak ostatnie zawsze chętnie służącemi córami swej matki się okazywały. Prawdziwe są słowa Tiecka: „że

żaden płomień prościej i wyżej ku niebu się nie wzbija jak sztuka“, o czem kościół katolicki nigdy nie zapominał i zawsze sztuce należne naznaczał miejsce, celem usposobienia przez nią ducha do wszelkiej wzniosłości. Nie zapoznając bynajmniej wielkiego znaczenia sztuki dla wychowania ludzkości kościół zawsze sztukę protegował i z czasem do wyrobienia się sztuki chrześcijańskiej doprowadził. Porównując sztukę klasyczną z chrześcijańską dochodzi się do przekonania, że gdy sztuka klasyczna tylko piękną zmysłowość przedstawić była zdolną, sztuka chrześcijańska w zaświat sięgnęła. Religia wybiła przeto na sztuce piętno idealne, co też historia stwierdza a mistrze, jak Rafael, Cornelius, Overbeck, Steinle etc. w dziełach swoich uwiecznili.

Ważność sztuki i jej potrzebę dla kultu uznają nawet akatolicy i racjonalści prawdziwie myślący. Diderot np. powiada: „beźmyślni rygoryści rzetelnie nie znają doniosłości działania zewnętrznych ceremonii na lud. Zaprzeczyć się bowiem nie da, że w sztuce kościelnej mieści się wielkość i powaga uroczysta a wzniosła“. Kościół używa przeto obrazów nie tylko dla ozdoby, lecz są one niejako biblią *pauperum*, którzy z obrazów więcej, aniżeli z najlepszej księgi wyczytują i do naśladowania pięknych wzorów dają się pobudzić. Reformacja zatem nie postąpiła roztropnie, usuwając obrazy z świątyni, przez co nie tylko pozbawiła się bardzo skutecznego środka umoralniającego, lecz także zadała cios stanowczy rozwojowi sztuki narodowej, która tylko na tle chrześcijaństwa do samorosłej potęgi wzbić się mogła. W traktacie o stosunku sztuki do reformacyi mieści się także znakomity szkic historii obrazoburstwa w Europie.

Oprócz artykułów wymienionych i innych, podobnych im treścią, zawiera wyżej wymieniony tom, szereg sprawozdań i recenzyj ważniejszych dzieł z zakresu historii, literatury, pedagogii i filozofii. Znaństwo i bezstronność nadają rozbiorem niepospolitej wartości.

Dr. K. Petelenz.

Rozmaitości.

Artykuł „Miru“ o kościele narodowym.

Jakkolwiek w praktycznych kwestyach nie zawsze się z „Mirem“ zchodzimy, jednak podnieść musimy fakt, że artykuły zasadnicze i doktrynalne bywają u niego bardzo dobre. Przed dwoma miesiącami zwróciliśmy uwagę naszych czytelników na jego rozprawę o prawie kościoła do szkoły, obecnie wspomnieć musimy o artykule „Socjalizm i Chryścijaństwo“, który ciągnął się przez kilka numerów a jasno i treściwie badał źródła tej choroby społecznej i moralne lekarstwa jakich ona wymaga. Jeszcze donioslejszy był artykuł wstępny z d. 2 marca, zwalczający nawoływanie jednej z ruskich gazet do kościoła narodowego — który w streszczeniu przytaczamy.

Po pięknym ogólnofilozoficznym wstępie tak się wyraża autor:

Narodowości w ostatniej instancyi, są Bożej Opatrzności dziełem, przewidziane i uprojektowane jej mądrością. Jak pojedynczy ludzie, według swoich zdolności i skłonności, jedni do tego drudzy do innego powołania w społeczeństwie więcej są sposobni, tak i narodowości, każda w swój sposób przyczynia się do ziszczenia powszechnego zadania ludzkości. Rozmaitość charakterów narodowych sprawia, iż ludzkość swoje zadanie może spełniać wszechstronnie, albowiem charaktery te wzajemnie się dopełniają ku osiągnięciu wspólnego, wszystkim zarówno naznaczonego celu.

Jak ciała niebieskie nie mogą wyjść poza właściwą sobie orbitę, jak gałąź oderwana od całości, nie otrzymując życiodajnych soków z korzenia, usycha, tak ludzkość w swoich rozlicznych kształtach, aby nie niszczała, musi się trzymać swego krystalizacyjnego punktu.

To są zasady prawdy wiecznej i nieskończonej mądrości, moralności i prawa — słowem religii. Jeśli jest jeden Bóg, to bezwzględnie musi być tylko jedna prawda, tylko jedna prawdziwa wiara, tylko jeden prawdziwy kościół nieskazitelnie przechowujący i nieomylnie wykładający naukę Boskiej prawdy.

Sam rozum się tego domaga, bo to jest nieodbitym warunkiem zrealizowania boskiego celu świata. Charakterystycznymi zaś cechami jednego prawdziwego Kościoła, prócz dwóch innych są: najprzód, jedność w rzeczach istotnych, bo ostateczny cel jest jeden i wszystkim wspólny — powtóre: powszechność, ponieważ kościół bierze ludzi nie o ile są różni między sobą, lecz o ile są równi sobie. Lecz dwa te pojęcia tj. jedności i powszechności — logicznem następstwem włączają konieczność wewnętrznej spójni i jednego zwierzchniczego zarządu, bez czego żadne społeczeństwo nie może być jednym. Różność

form zewnętrznych np. w obrządkach, podnosi tylko blask całości. Ale jest granica w różności: dwa kościoły z których jeden wierzy w to, co drugi dorzuca lub zostawia wolnemu rozumowaniu — albo też tylko niektóre rozporządzenia władzy uważa za obowiązujące, — takie kościoły nie mogą absolutnie stanowić jedności — byłaby to oczywista *contradictio in adjecto*.

Z tego się pokazuje, jaki sąd należy wydać o t. zw. kościołach narodowych. Kościół narodowy jestto niby gałąź odcięta z drzewa dla umajenia domu. Wtenczas tylko może on się ostać, jeśli świecka, narodowo-polityczna władza weźmie w swoje ręce wszystkie religijno-kościelne sprawy. Kościół narodowy to cezaro-papizm, jedna z największych aberacyj ludzkich w zakresie religii. Czyż kościół narodowy jest zdolnym zaspokoić wrodzoną potrzebę religii i jej pocucie? Kto w takim kościele ma rozstrzygać kompetentnie w sprawach wiary i moralności? Na jakiej powadze może się oprzeć instytucja, któraby sobie to prawo chciała przywłaszczyć? Kościół narodowy nie jest postępem, ale jest cofnięciem się do niekultury, do czasów przedchrześcijańskich, pogańskich, gdzie Ormuz, Melkart, Asur, Zeus i Jowisz byli narodowymi bogami.... W kościele nacyonalnym cały naród, z duszą i ciałem, z moralnością i sumieniem oddaje się w ręce władzy cywilnej, która nim rozporządza bezwarunkowo, podług zmiennych sytuacji politycznych, bo nie napotyka żadnej zapory w jego religijnym sumieniu. Religia, rzecz najwyższa i najświętsza, pośrednictwo między Bogiem a człowiekiem — upadła się i poniża do narzędzia w ręku władzy świeckiej, a naród wpada w najgorszego rodzaju despotyzm. Wszelki kościół odłączony od jedności z jedynie zbawczym Kościołem katolickim, utracą natychmiast swą siłę, nie może się utrzymać w niezależności wobec władzy krajowej, i staje się jej niewolnikiem.

Sądząc powierzchownie wydaje się bardzo pięknym frazes: „w kościele niezależnym będziemy mieli duchowieństwo, które nie otrzymując z zewnątrz żadnych instrukcyj ani rozkazów, będzie mogło działać zgodnie z interesami swego kraju i narodu“. Najzupełniejsze to łudzenie samego siebie! W praktyce rzecz się ma całkiem inaczej. Bo któż jest w stanie dać niezbitą definicyę pojęcia: „interes kraju i narodu“? Partye i partyjki wyrabiają sobie pod rozmaitemi wpływami najróżnorodniejsze o tych rzeczach pojęcia, bardzo często zupełnie i wprost sobie przeciwne, a przyjąwszy zasadę, że religia powinna służyć za środek dla osiągnięcia zamierzanych celów narodowych — wytwarzają się najprzód koteryjne, potem prowincjonalne, powiatowe, a w końcu indywidualne zapatrywania religijne. Stąd sekciarstwo jest naturalnym, nawet koniecznym w takim kościele zjawiskiem... Dla dzieci jednego Boga nigdy nie jest uciążliwą władza przezeń ustanowiona, której zasadą miłość, a jedynym celem i pragnieniem — szczęście i zbawienie powierzzonego sobie stada. Duchowieństwo kościoła narodowego odbierałoby mnóstwo surowych przepisów, częstokroć sobie przeciwnych, stosownie do zapatrywań panującego w rządzie systemu, a nie miałyby żadnego własnego punktu oparcia. Duchowieństwo katolickie jest przepowiadaczem prawdziwego słowa Bożego, i wykonawcą rozkazów tego, którego sam boski Zbawiciel postawił na czele swego Kościoła. Duchowieństwo kościoła nacyonalnego byłoby głosicielem zmiennych, sprzecznych, często niereligijnych zasad partyi rządzącej, przyozdobionych dla formy cytatai biblijnymi.

Zasady są jasno i stanowczo wypowiedziane — to nam ro-

kuje, że i w praktycznych zastosowaniach „Mir“ zechce i odważy się zawsze konsekwentnie je przeprowadzać.

Ks. Stojałowski, proboszcz w Kulikowie, zapowiada wydawnictwo Biblioteki „Wieńca“ i „Pszczółki“. Na r. 1887 obejmie to wydawnictwo dwa działy. *Dział I. religijny* zawierać będzie 6 książeczek: 1. Rozmyślenia o gorzkiej męce P. Jezusa (wyszły z druku). 2. U stóp krzyża, czyli Nowy Miesiąc Maj (pod prasą). 3. Pan Jezus na ziemi, czyli Nowy Miesiąc Czerwiec. 4. Święty Piotr pierwszy Papież. 5. Święty Jozafat Kuncewicz patron Rusi. 6. Żywot i rządy papieża Leona XIII. Każda książeczka mieć będzie 3—4, lub więcej arkuszy druku.

Dział II. historyczny zawierać będzie również 6 książeczek: 1. Stefan Czarniecki. 2. Wojny kozackie. 3. Kazimierz Pułaski, konfederat Barski. 4. Stefan Batory. 5. Dziewczyna z Orleanu, Joanna d'Arc. 6. Wspomnienia z r. 1863. Książeczki te również mieć będą najmniej po 3 arkusze druku i kosztować będą 1 zlr. 50 ct.

Zamawiać można osobno dział religijny, albo dział historyczny — obydwie razem za 2 zlr. 80 ct. — osobno po 1 zlr. 50 ct.

Pierwszy tomik z tego wydawnictwa jużśmy otrzymali i zdajemy z niego sprawę w niniejszym numerze.

SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Papież a pokój Europejski. — Różne plany zapewnienia Papieżowi niezawisłości. — Rozwój katolicyzmu w Anglii. — Pisma angielskie o zawiązaniu dyplomatycznych stosunków z Watykanem. — Amerykańscy „Rycerze pracy“. — Memoryał kardynała Gibbonsa i list kardynała Manninga. — Prześladowanie chrześcijan w środkowej Afryce.

Wśród ogólnej przygniatającej niepewności, w jakiej nie od kilku już tygodni, lub miesięcy pozostaje cała Europa, coraz częściej i ogólniej słyseć się daje pytanie, które przed niewielu jeszcze laty wziętoby za jakąś mistyczną, średniowiecznym pokostem pokrytą mrzonkę: Czemużby państwa chrześcijańskie, zamiast marnować tyle pieniędzy i ludzi na utrzymanie, wciąż wiszącego na włosku, zbrojnego pokoju, nie mogły raczej wytaczać swych sporów przed polubownym a dającym największe gwarancye bezstronności trybunałem Papieża? Czemu nie wprowadzić do powszechnego użytku i o ile można w najszerszym zakresie lekarstwa, wypróbowanego z dobrym skutkiem przez tyle wieków, a które w ostatnich latach okazało znowu, że nie straciło na dawnej mocy i skuteczności? Nie od dziś wprawdzie występują te, mimowoli nasuwające się na myśl, pytania: w czasie zaboru Watykańskiego podniósł je Urquart, później Renan z punktu widzenia wyłącznie utylitarnego szeroko i bardzo na seryo nad niemi się zastanawiał; ale nigdy, tyle co dzisiaj, nie zajmowały one opinii publicznej, nigdy tak jak dzisiaj nie stanęły na samej granicy oddzielającej oderwaną teorię od praktyki. Przed paru miesiącami pojawiła się

wieść, że Papież będzie pośredniczyć między Rosją a Bułgarią; jeszcze wieść ta nie przebrzmiała, a już wiedeński korespondent bolonńskiego dziennika *Unione*, donosił zdziwionemu światu o zamierzonym pośrednictwie Papieża między Włochami a Austrią. W jednej chwili telegraf rozniósł na wszystkie strony wiadomość, o rzeczeniu się przez Austrię, za wpływem Papieża, włoskiej części Tyrolu w zamian za zbrojną pomoc w razie wojny; a wiadomość ta, choć tak dziwnie i nieprawdopodobnie brzmiąca, obiegała jednak wszystkie dzienniki, a w licznych sferach włoskich wzbudziła szaloną radość. Dziś wreszcie na porządku dziennym stoi kwestya pośrednictwa Papieża między Francją a Niemcami. Nie wtajemniczonymu nie łatwo zrozumieć, w czym, w jaki sposób i w jakim kierunku mógłby się Papież podjąć, w obecnej chwili pojednawczej misyi między dwoma temi, pozornie w dobrych jeszcze stosunkach pozostającymi państwami, ale faktem pozostaje że coraz więcej przyjaciół Kościoła, obojętnych i wrogów, jakby instynktowo lękając się burzy, szukają pewnego jakiegoś stanowczego środka do rozpedzenia coraz ciemniejszych, przez długie lata gromadzących się chmur rasowych nienawiści i mimowoli zwracają oczy na Watykan.

Jeśli wierzyć informacyom *Figara*, Niemcy pierwsze zwróciły się do Leona XIII. z półurzędowem zapytaniem, czy nie zechciałby rzucić swego słowa na szalę zagrożonego pokoju, przyczynić się do zgodnego załatwienia sprzecznych interesów obu sąsiadujących mocarstw. W Watykanie po długich naradach, zatrzymać się miano na myśli, że pokój między Francją a Niemcami wtedy tylko stale da się zapewnić, jeśli oba te państwa przegrodzone od siebie zostaną szerokiem pasmem, z mniejszych państw złożonej konfederacyi, w skład której weszłyby: Belgia, Szwajcarya, Alzacya i Lotaryngia, Luksemburg i Holandya. Bliższe szczegóły tego planu nie są jeszcze znajome, ale w Watykanie, jak utrzymuje *Figaro*, żywią nieplonną nadzieję, opartą na wielu i to bardzo poważnych racyach, że kombinacya ta, śmiało ale rozumnie pomyślana, z której naturalnie wypłynie częściowe przynajmniej rozbrojenie, a zatem zmniejszenie podatków, przyczyniających się przede wszystkim do rozwoju propagandy socyalistycznej, otrzyma poklask całej Europy i niezadługo już może wejść będzie mogła w życie. Czy Ojcu św. powiodą się jego szlachetne, ale trudne do wykonania zamysły? py-

tają się dzienniki, tak nawet obojętnie lub nieprzychylnie dla papieżstwa usposobione jak *Morning Post* lub *Popolo Romano*. „Lękam się, odpowiada ten ostatni, że inicjatywa papieska spełźnie „na niczem, bo są rany, zbyt trudne do zasklepienia; ale bądź co „bądź przyklaskujemy jej gorąco i życzymy, aby Leon XIII., nie „zrażając się trudnościami, prowadził dalej misję pokoju, która „jemu samemu i Stolicy św. zapewni trwałą sławę“. W każdym razie, jak przyznaje *République Française*, na końcu długiego artykułu poświęconego polityce watykańskiej, wyznać należy, że Papież „choć zwolna odzyskuje dawny wpływ na sprawy Europejskie“.

Rzecz naturalna, że niezastygła nigdy kwestya rzymska teraz wobec takiego podniesienia uroku papieżstwa, coraz silniej naprzód występuje, i coraz natęczywiej domaga się rychłego rozstrzygnięcia. Nie mówiąc już o katolikach w dotychczasowych rządowych i rewolucyjnych Włoszech, zarysowują się w tym względzie dwa coraz wyraźniejsze stronnictwa: jedno powtarzając słowa monachijskiej *Reichspost* woła: „Raczej wojna nieszczęśliwa, niż pokój z łaski Papieża!“ drugie nawołuje rodaków do zawarcia, choćby za znaczną cenę, sojuszu z papieżstwem, bo dopiero sojusz taki zapewnić zdoła Włochom silne na wewnątrz, niezależne na zewnątrz stanowisko. Odgłosem pierwszego stronnictwa były dwie interpelacye w parlamencie włoskim, czy i o ile ufundowane są pogłoski o dążeniu Papieża do odzyskania władzy świeckiej; odgłosem drugiego — nowy list dawnego rewolucjonisty Fazzariiego o konieczności zawarcia zgody z Papieżem i razporaz pojawiające się mniej lub bardziej szczęśliwie pomyślane i dyskutowane plany, w jaki sposób możnaby tę zgodę praktycznie przeprowadzić. Ostatnią fazą tych coraz inaczey i coraz w innych kolorach przedstawiających się projektów, jest myśl rzucona w gazetach, aby nie wracając Papieżowi Rzymu, zapewnić mu wolność i niepodległość już nie prawami gwarancyjnemi, które z natury swej wskazywać muszą na pewną zależność Papieża od rządu włoskiego, lecz traktatem, zawartym między Watykanem a Włochami, jako między dwoma równorzędnymi potęgami, a poręczonym przez wszystkie europejskie państwa. Projekt ten, zyskuje co dzień na rozgłosie i dziwiłoby się nie można, gdyby zwłaszcza wobec coraz silniejszego prądu opinii, domagającej się rozwiązania kwestyi rzymskiej, nie był już lub w najbliższej

przyszłości nie został wzięty pod poważną rozprawę. Prezydent włoskiej rady stanu Cadorna usiłował wprawdzie niedawno w artykule ogłoszonym w drezdeńskiej *Deutsche Revue* przekonać jeśli nie siebie, to innych, że nikt już dzisiaj we Włoszech, kwestyą władzy doczesnej się nie interesuje, że lud włoski ma zapewne cześć dla papieżstwa, ale jako dla powagi czysto duchowej, używającej zresztą w zarządzie Kościołem jak największej wolności; ale już samo ogłoszenie w tej chwili tego w polemicznym tonie napisanego artykułu i to przez tak wysoko postawioną osobistość, dochodzi chyba właśnie wręcz przeciwnej tezy. Gdyby Cadorna chciał i mógł szczerze myśl swą wyjawić, to kto wie czy nie zgodziłby się przynajmniej w ogólnych zarysach na zasady wygłoszone z rzadką śmiałością przez Eugeniusza Rendu w republikańskim tygodniku: *Revue politique et litteraire*:

„Przyjazne głosy z Niemiec i Francyi ostrzegają was w imię „sztuki, religii i historii, czem stał się dla Rzymu tytuł stolicy, „który miasto czci przyniósł mu tylko poniżenie. Dnia każdego „coraz widoczniej upada, a niedługo czekać, zanim pani ta świata „przemieni się pod ręką spekulantów i sekciarzy w mieszczańskie „miasto trzeciego lub czwartego rzędu. Prowadźcie dalej rozpoczęte „dzieło; domuwujcie wznoszące się kamienice; strójdzie w nowe „suknie królowę, która dwukrotnie zawładnęła światem; a po latach „dziesięciu sami powtórzycie, może już zapóźno, prorocze słowa jednego z waszych trybunów: „Rzym jest jedynem miastem, do „którego byłoby nieszczęściem przenieść siedzibę rządu; z którego „dopuszczając się raz tego nierozsądku, należałoby ją jak najrychlej „usunąć...“ Pod hasłem: Rzym stolica ukrywały się namiętności i interesa, nie mające nic wspólnego z wielkością i tradycjami narodowemi; nie chodziło tu bynajmniej o stolicę „polityczną dla nowego królestwa, ale o zniszczenie stolicy religijnej całego świata; nie chodziło o nowy nabytek dla króla „włoskiego, ale o wyrzucie z panowania naczelnika katolickiego Kościoła... Mówicie: „Rzym był Rzymem Cezarów, był Rzymem „Papieżów; niechże dzisiaj będzie Rzymem Włochów“. A jesteścież „pewni, biorąc na swe ramiona przyszłe losy miasta wiecznego, że „Rzymowi złaicy zwanemu zapewnie przyszłość, odpowiadającą jego przeszłości? Rzym Cezarów panował nad światem nie-

„wolników; Rzym Papieżów panował nad duchami; nad kimże „panować będzie Rzym Włochów? Rzym, mówicie, jest głową „Włoch. Włoch, ani słowa; ale nie królestwa włoskiego. Weźcie „tylko miarę do ręki: głowa ta nie ma żadnej proporcei do całości, „z którą chcieliście ją spoić: głowa olbrzym, a ciało karzeł nie „może znieść jej ciężaru“.

Bardzo pięknie, choć nie bez przeszkód i walki z zastarzalemi przesadami, rozwija się życie katolickie w Anglii. Wielka Brytania liczy w tej chwili 24 arcybiskupów i biskupów; z tych na Anglię i księstwo Wales przypada: jeden arcybiskup i trzynastu biskupów, na Szkocję dwóch arcybiskupów i czterech biskupów, reszta na Irlandyę. Aby ocenić postępy katolicyzmu, dość powiedzieć, że kiedy statystyka z r. 1886 wykazywała w całej W. Brytanii: 1575 kościołów, kaplic i stacyj obsługiwanych przez 2576 księży; to dziś liczba ta wzrosła do 1610 kościołów, kaplic i stacyj, w których pracuje 2599 księży. W londyńskim parlamencie zasiada 75 katolików Irlandczyków, a pięciu katolików Anglików. Niestety dawne i nowe krzywdy wyrządzone przez Anglię Irlandyi, oddzielają od siebie, bardziej niż morze, obie wyspy, nie zezwalają nawet na odpowiednie porozumienie się między sobą angielskich i irlandzkich katolików, którzy przecież zdawałoby się, we wszystkich niemal ważniejszych kwestyach, w jednych powinnyby stać szeregach. Duchowieństwo katolickie w Irlandyi znajduje się przedewszystkiem w nadzwyczaj trudnem położeniu. Irlandczycy zarzucają mu, że nie dość dba o najświętsze interesy powierzonych sobie owieczek; Anglicy oburzają się, że kler wpływa na wybory, nie wzywa do oddawania władzy należytego posłuszeństwa, namawia do nieuiszczenia się z podatków, proteguje rewolucyjne tendencje. Na ostatnie te zarzuty, które od pewnego czasu coraz częściej zaczęły się pojawiać w angielskich dziennikach, odpowiedział niedawno temu biskup Crock z Cashel w otwartym liście wysłanym do *Freemann's Journal*, a który zwięźle, ale jasno wyjaśnia stanowisko, zajęte przez episkopat irlandzki:

„Na myśl mi nigdy nie przyszło, chociaż mocno ubolewam „nad postępowaniem obecnego rządu, zachęcać do ogólnego oporu, „przeciw wypłacie podatków, lub doradzać politykę niezgadającą „się z tak świetnie i z takim skutkiem prowadzoną polityką, przez

„zasiadające w parlamencie narodowe stronnictwo irlandzkie. Należę „do najgorętszych i najstałszych obrońców tej polityki. Wyłączną „nadzieję pokładam w pokojowej agitacji konstytucyjną dozwoloną i na „niej opartej, gdyż ona jedynie, jak spodziewam się, zdoła nam „przywrócić nasze prawa narodowe. Trzebaby być szalonym, aby „w obecnych okolicznościach, zalecać innego rodzaju postępowanie“.

Dzienniki angielskie i tego rodzaju postępowanie nazywają nie-
raz „rewolucyjnym“, a miesząc pojęcia dozwolonej i niedozwolo-
nej konstytucyjnej i rewolucyjnej agitacji udają zdziwienie współ
z poważnym *Times'em*, że Watykan od pewnego czasu, wbrew
wszelkim tradycjom rzymskiego Kościoła, okazywać zaczął wi-
„doczną sympatyę dla anarchicznego ruchu w Irlandyi“. Nie, od-
powiada na to *Moniteur de Rome*; Watykan dla anarchistów nie
ma i nie miał nigdy ani jednego słowa pobłażania. „Papież przy
„każdej sposobności przypominał katolikom irlandzkim, że jest ich
„obowiązkiem i interesem, odłączyć swoją sprawę od anarchistycznych
„knowań, a w walce o przynależne im prawa ograniczyć się na po-
„kojowej, legalnej agitacji... Watykan występuje zawsze silnie
„i energicznie przeciw anarchistycznym knowaniom; ale pokojowej,
„legalnej agitacji nie może przeszkadzać“. Inna rzecz, czy papież,
i jedynie tylko papież, nie mógłby się najskuteczniej przyczynić do
wyrównania wiekowych zaległości i uśmierzenia nienawiści, potęgo-
wanej każdego dnia nowymi, z obu ztrzon popelnianymi gwałtami.
Myśl tę z szczególnym naciskiem podjęły w ostatnich tygodniach
dwie najbardziej może wpływowe gazety: *Times* i *Pall Mall Ga-*
zette; druga z nich zwłaszcza bardzo racjonalnie domaga się jak
najprędszego zawiązania dyplomatycznych stosunków z Watykanem:

„Papież przedstawia zbyt rzeczywistą, a pod pewnemi wzglę-
„dami zbyt poważną siłę w interesach tego świata, aby jakiemu
„bądź rządowi wolno być mogło utrzymywać nadal odnośnie do
„niego ów ostracyzm polityczny, spuściznę dawno ubiegłych czasów,
„kiedy to kierownicy naszej nawy państwowej toczyli z Papiestwem
„śmiertelną walkę. Naturalnie tli jeszcze i dymi się trochę popiołu
„po tej starej teologicznej wojnie, a garść ta popiołu buchnie pło-
„mieniem na wieść o podanym projekcie. Ale wkrótce te resztki
„dawno minionej przeszłości znikną bez śladu. Wszystkie czynniki
„i stałe siły rządzące nowożytnem państwem, pokazują nam, że nie

„jest, ani mądrą', ani roztropną rzeczą, pozbawiać się dobrowolnie „najlepszego sposobu dowiedzenia się co myśli Papież i ostrzeżenia „go, co i jak my myślimy... Dotychczasowa zabawka zarządzania „Irlandya, w interesie wszystkich, z wyjątkiem Irlandczyków, należy „już do czasów minionych; stary ten system kona, a lada chwila „skona. Stolica św. Piotra, kierując się polityką, zainaugurowaną „przez Leona XIII., stać się może pokojowem centrum nowożyt- „nego świata. A Anglia czyż długo jeszcze będzie mogła stać na „uboczu; czyż długo jeszcze nie zechce zbliżyć się do tego cen- „trum, którego przeznaczeniem — jak wszystko rokuje — jest „działać tyle jeszcze wielkich rzeczy dla dobra ludzkości i cywi- „lizacyi?”“.

Dokąd dojść, w jakim kole obracać się może dozwolona agita- tacya; gdzie legalna zmowa przemieniać się zaczyna w spisek; kiedy w tym lub w owym może początkowo dobrym i rozsądnym celu, założone stowarzyszenie napiętnować należy nazwą tajnego związku, wrogiego społeczeństwu, a zabronionego przez Kościół: oto pytania z którymi dziś nie w samej tylko Irlandyi się spotykamy, a na które nieraz bardzo trudno, a nieobznajomionemu dokładnie z wszystkimi szczegółami, niepodobna w konkretnych wypadkach odpowiedzieć. W każdym razie niemало światła na ważne te pytania rzuciły pi- sma kardynałów Manninga i Gibbonsa, o bardzo rozszerzonym w Ameryce północnej, związku *Rycerzy pracy*, a którymi w obecnej chwili, bardzo żywo zajmuje się cała europejska i amerykańska prasa¹. Związek *Rycerzy pracy* zniósł w r. 1878 pod prezydenturą

¹ Mówiąc tak w tym, jak i w wielu innych podobnych wypadkach o całej europejskiej prasie, zrobić musimy raz na zawsze zastrzeże- nie, co do bardzo znacznej liczby naszych dzienników, które zbyt często, o kwestyach najważniejszych, żywo zajmujących tak katolików, jak i akatolików całego świata, zachowują głuche milczenie. Trudno pojąć, czemu to milczenie przypis- ać? Nie natłokowi wiadomości, bo nieraz jedna i ta sama, nie zawsze bardzo ważna kwestya w kilku i kilkunastu artykułach i korespondencyach do przesyty bywa rozbierana i powtarzana. Nie fałszywej bojaźni, uchodzenia dajmy na to, za „klerykałów“ bo najmniej klerykalne, nie tylko obojętne, ale wrogie religii pisma zagraniczne, tymże samym kwestyom raz po raz poświęcają długie kolu- mny. Skąd więc ta zagadkowa obojętność na sprawy które z niejednego punktu widzenia, nas więcej nieraz, niż cudzoziemców obchodzą? Pytanie to wymaga odpowiedzi od jakiego dobrze znającego nasze stosunki publicysty.

żarliwego katolika Terrencjusza Pawderly, wszelkie z wolnomularstwa zaczerpane przysięgi i tajemnice, i od tej chwili, zrzućwszy krepujące go pęta, przybierać począł kolosalne rozmiary. W r. 1883 liczył 50000 członków; w połowie 1885 r. cyfra ta wzrosła do 111000, a dziś przechodzi milion. Głównym celem związku jest uczciwa, ale silna walka z wielkim kapitałem, dążącym do zagarnięcia całej ziemi w wyłączną swą własność, poświęcającym dla spekulacyi wszystkie, choćby najświętsze, interesa mniej uposażonych. Dążąc do tego celu Związek domaga się słusznějších praw regulujących stosunek między pracą a kapitałem; zakazu sprzedaży gruntu spekulantom; ograniczenia pracy na godzin osiem; miejscowych sądów rozjemczych między patronami a robotnikami; zabezpieczenia robotników na wypadek kalectwa, zrównanie kobiet z zapłatą dla mężczyzn i t. p. Strejkom jest związek w zasadzie zupełnie przeciwny; przeciw anarchistom oświadczył się stanowczo na ostatnim ogólnym zebraniu w Richmond. Słowem związek postanowił sobie za wyraźny program starać się jawnymi i legalnymi środkami o polepszenie doli robotników a tem samem stanąć waleś przeciw wzbijającemu z coraz większą siłą socyjalizmowi, doprowadzającemu do anarchicznych scen, jakich niedawno temu świadkiem było Chicago.

Cel i program, w ogólnych przynajmniej rysach, był z pewnością dobry i rozumny; ale czy związek, stanowiący już prawie państwo w państwie, długo potrafi się utrzymać w zakreślonym statutami łożysku; czy jego naczelnicy, znając swą siłę, nie zechcą jej użyć do celów w programie nie wymienionych, a do których katolikowi ręki przyłożyć nie wolno? Takie pytania zadali sobie biskupi kanadyjscy i w najlepszym bezwątpienia zamiarze, ale kto wie czy nie za pospiesznie, nakazali podległym sobie katolikom, pod grozą kar kościelnych, opuścić szeregi związkowe. Potępienie to wywołało żywą dyskusję i naturalne pytanie, czy i w Stanach Zjednoczonych należałoby zakazać katolikom przystępować do związku. Bardzo liczne i poważne protesty odezwały się natychmiast przeciw tego rodzaju orzeczeniu; stała komisya złożona z wszystkich arcybiskupów Stanów Zjednoczonych, oświadczyła się dziesięcioma głosami przeciw dwóm, za powstrzymaniem wszelkich kroków przeciw *Rycerzom pracy*, tego samego zdania było 75 biskupów (przeciw pięciu) zgromadzonych na synodzie Baltimorskim, a osta-

tecznie arcybiskup baltymorski, kardynał Gibbons w długim, po mistrzowsku zredagowanym memoryale do kongregacyi Propagandy, kierując się, jak pisze z naciskiem, zasadami wyrażonemi w encyklikach Leona XIII., wziął stanowczo i energicznie w obronę zagrożony związek.

„Stowarzyszenie to — pisze kardynał — żadnemi przysięgami i tajemnicami nie związane, nie tylko Kościołowi nie jest wrogie, lecz „przeciwnie sam jego prezes i najznakomitsi członkowie oświadczyli „mi, iż najzupełniej są gotowi dać swe statuta władzy kościelnej do „przejrzenia i poprawienia“. Również nie jest wrogiem lub niebezpiecznem dla państwa: sam prezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył mi o tem zapewnił, przyznając otwarcie, że w Ameryce wiele się dzieje niesprawiedliwości socyalnych, i że przeciw tym tylko jawnym niesprawiedliwościom, a nie przeciw państwu lub porządkowi społecznemu związek występuje do walki. Złe istnieje i potrzeba na nie energicznego lekarstwa; temu zaprzeczyć nie można; zachodzi jedynie pytanie, czy *Rycerze pracy* używają odpowiedniego lekarstwa, czy nie jest ono za gwałtowne, zbyt niebezpieczne? Gdzieindziej możnaby się może z sądem zawahać, ale mówiąc o Ameryce, nie należy tracić z oka amerykańskich stosunków. Stowarzyszenia się, w pewnych z góry określonych warunkach wszędzie są korzystne, u nas nieodzowne. Kto chce pozyskać uwagę publiczną, zapewnić skutek najsluszniejszym żądaniom, ten z konieczności rzeczy musi się do tego środka uciekać. Dlatego wolnomularstwo stało się tak potężnem, a przedstawiając robotnikom tyśiączne powaby i rzeczywiste korzyści, załazi cały nasz kraj. Robotnicy katolicy, słuchając głosu Kościoła, wyrzekli się wszystkich tych korzyści, a natomiast złączyli się w związek, konieczny dla obrony własnych swych interesów, Kościołowi oddany i posłuszny; czyż można się dziwić, że pytają teraz: „Dlaczego wytrąacie nam z ręki jedyną broń w słuszenie podjętej walce?“ Jak każda rzecz na świecie, tak i *Rycerze pracy* nie są wolni od wszelkich zarzutów; pytanie tylko, czy uczynione im zarzuty nie są przesadzone, i czy zasługują na tak surowe postępowanie. Do związku należą i katolicy i protestanci, lecz nie zna ten naszych amerykańskich katolików, ktoby sądził, że z tego obcowania z protestantami wypłynąć może jakie niebezpieczeństwo dla wiary. U nas robotnicy katolicy

nie uważają, jak nieraz w Europie, Matki Kościoła za wrogą sobie macochę, lecz są jej synami rozumnymi, kochającymi, gotowymi oddać za nią wszystką swą krew, jak dziś dla niej nie szczędzą mozolnie zarobionych pieniędzy. Dwie trzecie związkowych i główni urzędnicy są katolikami; nie ma więc niebezpieczeństwa, aby element protestancki mógł wiaść górę, a chcieć go zupełnie wykluczyć, w naszym kraju i stosunkach, byłoby czystem niepodobieństwem, żadne również niebezpieczeństwo nie grozi ze strony ateistycznych lub anarchistycznych żywiołów; próbowały one nieraz wślizgnąć się do związku i zatruć jego zdrowe zasady; ale za każdą razą zostały na głowę pobite i ze wzgardą odepchnięte. Nad gwałtownymi scenami, wywołanymi przez niektórych związkowych, nikt bardziej nie boleje od samego związku; nie można ich kłaść na jego karb, jak nie można przypisywać Kościołowi złych czynów nieposłusznych jego dzieci. Kościół katolicki znanym jest i czczonym w Ameryce pod tytułem „Przyjaciela ludu“; trudno wypowiedzieć, jak smutne wrażenie wywarłoby na wszystkich, na katolików, jak na innowierców, gdyby ten doświadczony przyjaciel obrócił się teraz przeciw ludowi, odbierając mu z ręki broń w walce prowadzonej rozumnie i spokojnie, a w której słuszość i sympatye wszystkich dobrze myślących, począwszy od prezydenta Stanów Zjednoczonych, po jego stoją stronie. Już dziś przeciwnicy Kościoła walczą przeciw niemu zarzutem, że jest *unamerican*, że nie rozumie ducha i potrzeb naszej półkuli; jakążby dopiero była ich radość, gdyby w oczy bijącymi, zrozumiałemi dla wszystkich i wszystkich interesującemi faktami, mogli poprzeć to swoje twierdzenie! Przeciwnicy klaskaliby w ręce; największa część robotników katolickich, przekonanych o swem prawie i czystości zamiarów, nie posłuchałaby podobno odzywającego się do nich głosu. Lecz dajmy na to, że potępienie kościelne zdoła odciąć głowę związkowi *Ryccerzy pracy*; rzecz niewątpliwa, że w tejże chwili powstanie dziesięć nowych związków, bo są one w tej chwili konieczną potrzebą; a tak rozpocznie się wojna bez końca — gonitwa za cieniami, zmieniającemi co chwila swą postać, gonitwa bez celu i wyjścia.

„Lud amerykański — kończy kardynał Gibbons swój memoriał — „pogląda ze spokojem i zupełną ufnością na postępy walki socyalnej i ani na chwilę nie wątpi, że potrafi się obronić przeciw wy-

„nikającym z niej niebezpieczeństwom i krótkotrwałym ekscesom. „A jeśli mam całą myśl mą wyrazić — z najgłębszym szacunkiem, ale „zarazem z szczerością, jakiej domaga się odemnie powierzony mi „obowiązek, to zdaje mi się, że roztropność doradza, a взгляд na „powagę Kościoła domaga się, abyśmy nie narzucali się Ameryce „z kościelną protekcyą, o którą nas nie prosi, a której, jak sądzi, „nie potrzebuje. W całej tej rozprawie nie mówiłem o Kanadzie, „ani o zapadłej tam uchwale, wymierzonej przeciw *Ryccerzom pracy*; „uważałbym bowiem za wielką niewłaściwość, mieszać się do spraw „kościelnych innego kraju, mającego własną swą hierarchię, a któ- „rego potrzeb i warunków społecznych, w których się znajduje, nie „możemy należycie ocenić. Zdaje się nam jednak, że w innych zu- „pełnie warunkach znajduje się ludność prawie zupełnie katolicka, „zamieszkująca np. Dolną Kanadę, a w innych ludność różnych „wyznań u nas osiadła. Stolica św. wydała wyrok *juxta exposita*, „ponieważ zaś dane relacye te i wyjaśnienia do nas zupełnie za- „stosować się nie mogą, stąd nie żądamy od Stolicy św. jakiegokol- „wiek bądź niekonsekwencyi w postępowaniu“.

Przekonywający ten memoryał wywarł wielkie wrażenie równie w Europie, jak i w Ameryce: rozjaśnił i rozstrzygnął sprawę. Cała prasa amerykańska, z wyjątkiem kilku organów monopolitycz- nych, złożyła kardynałowi gorące dzięki, a memoryał nazwała: nowem świetnem zwycięstwem kościoła katolickiego, prawdziwego i gorącego przyjaciela ludu. Do hołdów tych przyłączył się kardynał Manning w liście, w którym bez żadnych zastrzeżeń, rzecby można z entuzjazmem, staje na stanowisku zajętem przez arcybiskupa Baltymorskiego: „Spodziewam się, że to wyjaśnienie historii „i potrzeb nowego świata otworzy nowe pole myślom i czynom... „Kościół jest matką, opiekunką, przyjaciółką ludu: jak Pan Jezus „za ziemskiego swego życia, tak Kościół po dziś dzień żyje mię- „dzy ludem. Argumentacyi kardynała w tym względzie, nie oprzeć „się nie zdoła. Mam mocną nadzieję, iż jeszcze przed opuszczeniem „Rzymu, odkryje on przed oczami wszystkich te nowe horyzonty „nowego świata — świata przyszłości“. Dzienniki katolickie nie przesadzają, wyrażając się, że pisma obu kardynałów, stanowią epokę, w tak ważnej, poruszającej umysłami wszystkich kwestyi socyalnej. „Jak niegdyś chrześcijaństwo rozwiązało kwestyę niewol-

„nietwa, tak dziś znowu — pisze wiedeński *Vaterland* — te same stare „zasady moralności chrześcijańskiej, stają w służbie socyalnej sprawy, wiedliwości. Zabrzmiało już hasło, a hasło to stanie się początkiem „nowej fazy w historii ludzkości“.

Jeśli prawdą jest, a świadczy o tem historia, że *sanguis Martyrum, semen Christianorum*, to nieznane, lub do najnowszych czasów ledwie przez mgłę znane, kraje środkowej Afryki bujnym i pięknym plonem wkrótce się pokryją. O mordach spełnionych na tamtejszych chrześcijanach doniósł telegraf już dawniej; później donosił o nich kardynał Lavigerie; wreszcie wikary apostolski z Victoria-Nyanza, biskup Livinghac nadesłał w ostatnim czasie 31 lipca 1886 bardziej szczegółowe, z pewnego źródła zaczerpnięte sprawozdanie o ostatnich chwilach tych bohaterów, godnych stanąć obok dawnych afrykańskich męczenników. Młody król Ugandy: Muanga, podjudzony przez swych doradców, zwrócił się najprzód przeciw misji anglikańskiej, a następnie z wściekłością dzikiego zwierzęcia, podnieconego widokiem krwi, rzucił się na katolików. Wedle opowiadań świadków, liczba męczenników przenosi sto, chociaż misjonarze zdolali dotychczas sprawdzić tylko około czterdziestu nazwisk. Młodzi paziowie królewscy szli na śmierć za wiarę, jak na ucztę: jednego z nich sam król przebił własnym mieczem, czterech innych poniosło śmierć w wolnym ogniu, modląc się i głosząc do ostatniego tchnienia chwałę Bożą. Kat zamordować musiał własnego syna; w dowód rodzicielskiego przywiązania zaniechał tylko względem niego zwykłych tortur, ścinając mu poprostu głowę. Inni nie byli tak uprzywilejowani. Maciejowi Murumba odcięto ręce i nogi, darto pasy z ciała, upieczono je w jego oczach, a później konającego porzucono na polu, spodziewając się, że dzikie zwierzęta dokończą ofiary. Jakiś bogaty murzyn, widząc, że córka jego mimo wszelkich prośb i namów trwa niezachwianie w wierze, chwycił za nóż i wziął się do odkrawiania, od twarzy począwszy, coraz innych kawałków ciała, mówiąc: „Przez te otwory, razem z krwią, wypłynąć musi przecież zła nauka, którą ci wszczepiono i rzucono na ciebie czary“. Istotnie, jak niegdyś lud rzymski, tak dzisiaj afrykańscy murzyni, czarami tylko tłumaczą sobie niezrozumiałą dla nich stałość chrześcijan, wśród najokropniejszych mąk. Przeciw samym misjonarzom nie odważył się jeszcze dotychczas

król czynnie wystąpić; inna rzecz, czy ten stan rzeczy długo może potrwać i czy, jeśli tymczasem palec Boży nie zaciąży na szali, nie dowiemy się niebawem o nowych mordach, skierowanych nietylko przeciw „oczarowanym“ murzynom, ale przeciw „czarownikom“ — misyonarzom.

Bardziej pocieszające wiadomości przychodzą od pojmanych przed kilku latami przez wojska Mahdiego, zakonników i zakonnic. Równie chrześcijanie, jak i mahometanie otaczają ich wysokim szacunkiem; a słowa ich i przykład nie pozostaną da Bóg bez śladu na biednej, przez tyle wieków odlogiem leżącej, afrykańskiej ziemi.

Ks. Jan Badeni.

Ze Szwecyi.

Przeciwnie dążności w kościele szwedzkim. — Usiłowania podniesienia życia chrześcijańskiego wewnątrz kościoła państwowego. — Zakłady dobroczynne. — Misyje krajowe i zagraniczne. — Dążności separatystyczne. — Sekciarze i cudotwórcy.

Rok temu, jak pisałem do waszego *Przeglądu* o stanie szkół w tym kraju; dziś na wasze żądanie, skreślić chcę stosunki religijne, mianowicie stan państwowego kościoła.

Jeszcze w roku 1817 wyrzekł Izajasz Tagner podczas uroczystości reformacyjnej w Lund: „Nastal wiek nowy z całkiem nowymi zasadami (aniżeli doktryny materyalistycznej) i o całkiem odmiennym duchu. Nasze czasy są jak wiek Lutra, czasem niespokoju, walki; ale mimo to jestem przekonany, że z odnětu walki ścierających się żywiołów, powstanie twór lepszy, piękniejszy, albowiem duch porządku unosi się już nad padołem ciemnoty“.

Czy ów genialny bałwochwalca Lutra wiedział, co właściwie wówczas wyrzekł, nie wiemy; prawdą jest jednak, że ruch religijny w Szwecyi istnieje, i to wcale nie słabszy dzisiaj jak przed laty 70. Spodziewamy się zaś, że Opatrzność Boża ruchowi temu szczęśliwy nada obrót. Bądź co bądź zajmującą jest rzeczą rzucić okiem na ten ruch umysłowy, i na dzisiejszy stan chrystyanizmu w Szwecyi.

Najpierw poczał św. Jędrzej r. 829 czynić starania celem pozyskania Szwecyi dla kościoła katolickiego. Mozolne prace św. Zygryda, Szczepana i innych wielkich misyonarzy przekonały wreszcie po długim i trwałym oporze pogaństwo, a śmierć męczennika króla Eryka IX. w r. 1160¹, w Upsali utrwaliła zwycięstwo krzyża św. Od tego czasu zakwitł chrystyanizm w Szwecyi i wydał wielkich świętych ku większej chwale chrystyanizmu. Wnet jednak nastąpiły burze wieku XVI. Dał się im unieść król Gustaw I. Waza, a raczej użył ich do dopięcia swych zamiarów. W Örebro rozpoczęło się oderwanie Szwecyi od kościoła katolickiego, sejm w Westeräs oświadczył się za luteranizmem a koncyljum narodowe w Upsali dokonało wreszcie zniszczenia kościoła katolickiego. Odtąd kościół ewangelicki z urządzeniem episkopalnem, istnieje w Szwecyi i utrzymuje się na tem stanowisku nawet po wydaniu przez Gustawa III. w r. 1781 t. zw. „Edyktu tolerancyjnego“; kościół ten atoli nie zdołał wykorzenieć w narodzie szwedzkim ducha potrzeb religijnych, ani im zaradzić, i w nowszych czasach obudził się w tym kierunku w naszym spokojnym kraju ruch umysłowy. Dobrze myślący protestanci usiłują życie religijne i moralność w kościele swoim podnieść, drudzy oddają się celom separatystycznym i pracują nad utworzeniem nowych sekt, porzucając kościół państwowy albo też pozostając w związku z nim, odstępują od jego nauki i obrzędów. Inni znów, gardząc kościołem państwowym i wszelkim petyzmem, posuwają protestanctw konsekwentnie aż do zupełnej niewiary.

Z serdecznem współczuciem i nie bez uznania spogląda katolik na usiłowania uczciwych protestantów, w celu podniesienia życia chrześcijańskiego. Starają się oni działać przeciw zepsuciu, wykonują uczynki miłosierdzia i zachęcają do nich, rozpowszechniają według możności słowo Boże i pobożność. Stąd też pochodzi ogólna przychyłność dla stowarzyszenia „Goodtemplerei“, które jest zarazem związkiem wstrzemięźliwości przeciw niszczącemu kraj nasz używaniu napojów gorących. Zresztą używanie napojów gorących zmniejszyło się przed zaprowadzeniem „Goodtemplerei“, od dawna bowiem pracowała gorliwie nad tem policya. W nowszych

¹ Co do roku śmierci króla Eryka nie wszyscy się zgadzają.

czasach sama ludność wzywała pomocy policyjnej w tym celu¹. Doszło do tego, że osoby prywatne próbowały wspólnemi siłami zaradzić niemoralności. Oto, co doniosły dzienniki przed kilku miesiącami *Nya, Dagligt, Allehanda* z dnia 29 marca r. 1885, oznajmia: Petycyje przeciw literaturze niemoralnej zbierane bywają od marca, w celu przedłożenia ich królowi w połowie tego miesiąca (marca). „Aftonbladet“ donosi: „Z 10.000 rozesłanych list, nadeszła już blisko połowa. Z list, na których było miejsce dla 80 nazwisk, nadeszło wiele przepełnionych podpisami, podczas gdy inne tylko 15—30 nazwisk zawierały. Co się tyczy stanowiska społecznego podpisujących, zachodzi wielka różnaitość: od najwyższych kościelnych, cywilnych i wojskowych dostojników, aż do prostego ludu; nierzadko podpisywały się całe gminy ze swym nauczycielem na czele. Listę z „Karlskrony“ podpisali prawie wszyscy oficerowie marynarki“. Tyle *Nya, Dagblitt, Allehanda* — energiczna działalność przeciw niemoralności tem jest w naszym kraju konieczniejszą, iż za granicą zlempi książkami nas zalewa.

Dobroczynność jest powszechną. Oprócz licznych zakładów dobroczynnych działają także wiele w tym kierunku i osoby prywatne, zapisując legata na cele dobroczynne, odwiedzając chorych, wskrzeszając instytucye dobroczynne, sprowadzając dyakonissy i t. d. Nieraz celem pobudzenia do naśladownictwa, daje się słyszeć głos: „Patrzcie, jak was w tym względzie katolicy wyprzedzili“. Zdarzało się znów czasami, że pobożne damy protestanckie udawały się do księży katolickich, wypytując ich o potrzeby wrzekomo przez swych współwyznawców zaniedbanych parafian. Katolickie siostry miłosierdzia są tu w wielkiem poważaniu. We wrześniu r. 1884 odbyła się w Sztokholmie druga konferencya szwedzka luterskich pastorów, na której, na wniosek nadwornego kaznodziei Brinka,

¹ Na stacyach kolejowych, gdzie panuje wielka troskliwość o odżywianie się podróżnych, wzbroniony jest pod ostremi karami wyszynk napojów gorących. Publiczność laknąca tego nektaru, wie jednak, że usłuźni szynkarze przechowują w pokoju bocznym flaszkę wódki i nie bronią użyć takowej.

Przed kilku laty został z tego powodu gospodarz oberży we Falköping oskarżony przez jednego z podróżnych. Skarżący zeznał, że on sam w ten sposób posługiwał się flaszką gospodarza. „Tak?“ rzekł na to oskarżony, „więc ja pana oskarżam o kradzież“.

wzięto pod bliższą rozwayę rozwój dobroczynny działalności urzędowego kościoła. *Dagens Nyheter* w nr. 9588 tak się o tych rozprawach wyraża: „Pan Brink mówił, że nasz (luterski) kościół musi w tym i wielu innych względach zdjąć pychę z serca i przyznać się do rażącej opieszałości następnie wskazawszy na to, co kościół katolicki na wielu miejscach w Szwecyi za pomocą swych sióstr miłosierdzia działa, a szczególnie na poświęcenie sióstr Elżbietanek¹ nadmienil, że i kościół szwedzki w tym kierunku coś zdziałać musi, że rodziny protestanckie podobnie jak katolickie powinnyby sobie uważać za zaszczyt, jeżeli kto z ich grona wyłącznie poświęcić się zechciał wykonywaniu miłości chrześcijańskiej. Profesor Rudin rzekł, że kapłani powinni w tym celu zgromadzić koło siebie starsze i młodsze kobiety. Wiele zależy od sumiennej, gorliwej, z zapalem podjętej inicjatywy. W tym sensie przemawiali też i inni mowcy. Pastor Schwarz twierdził, że, w swojej przynajmniej gminie, zna niewiasty poświęcające się takim usługom“. Tyle gazeta *Dagens Nyheter*. Inna gazeta podała następny charakterystyczny rys. Urządzono w Sztokholmie przytulisko, w którem dotąd znalazło schronienie przeszło 100.000 osób, któreby bez tego dobroczynnego dzieła na ulicy noce zimowe przepędzać musiały. We wilią Bożego Narodzenia przysła jakiemuś poczciwemu człowiekowi na myśl, wszystkich w przytulisku zebranych ugościć kolacją — a w tym samym czasie nadeszło od jakiegoś nieznanego 100 koszuł do rozdziału między uczującym. Łącznie z państwowym kościołem szwedzkim stara się o ożywienie pobożności wiele „związków misyjnych“, choć pytanie — czy i o ile działalność ich jest zbawieną. Największemi środkami rozporządza *Evangeliska Fosterlands-Stiftelsen* (ewangelickie stowarzyszenie patrystyczne), założone r. 1856 przez niejakiego Luudborga, na wzór podobnych stowarzyszeń w Szkocyi. Kieruje niem komitet z 15 członków złożony, między którymi znajduje się kilku państwowych pastorów. Siedziba stowarzyszenia jest Sztokholm, a zadaniem staranie się o misye tak w Szwecyi, jak i za jej granicami.

¹ Dom macierzysty Elżbietanek znajduje się w Nisie, na pruskim Szląsku. Na dochód tych sióstr odbył się przeszłego roku w Sztockholmie bazar, urządzony staraniem ciała dyplomatycznego.

Lud nasz zlakniony słowa Bożego, buduje po miastach i wsiach domy misyjne, w których następnie kaznodzieje podróżni, głoszą nauki, niestety! nieodpowiadające prawdziwym potrzebom. Jeśli wierzyć można studyum, wydanemu przed kilkunastu laty przez doktora Björnströma w czwartym zeszycie *Lakareföremingenförhandlingen föråret 1872—1873*. (Rozprawy towarzystwa lekarskiego na rok 1872—1873) o przyczynach chorób umysłowych w Szwecyi, i innym wiarygodnym badaniom, to fanatyzm religijny w Szwecyi przyprowadza wiele osób do obłądu umysłowego, właśnie dzięki onym podróżnym kaznodziejom, którzy jedną strunę duszy dotąd nierozumnie i nieroztropnie naciągają dokąd wreszcie nie pęknie. Towarzystwo ewangelickie patryotyczne misyonaruje wewnątrz kraju przez kazania, rozdzielanie biblij, obrazków i drukowanych rozprawek. W tej chwili z (początkiem sierpnia r. 1886) do grona misyonarzy należy także 15 świeckich kaznodziei podróżnych, mających pod swemi rozkazami 91 kolporterów.

Misyje zagraniczne mają za zadanie nawracanie pogan i pieczę nad duszami marynarzy skandynawskich, w obcych miastach nadmorskich. W pierwszym kierunku czytamy o misjach w Indjach i wschodniej Afryce, w drugim — w Liverpolu, Lubece, Marsylii, Bostonie i t. d. Misyjonarze kształcą się w osobnym zakładzie Johannelund koło Sztokholmu; w roku szkolnym 1885/6 znajdowało się w zakładzie 11 uczniów, z tych 4 pogan krajowców, nie wszyscy jednak z tych uczniów pastorami zostają. Kierunek wychowania jest pietystyczny; potrzebne środki materyalne otrzymuje stowarzyszenie z dobrowolnych datków¹.

Podobnym niemałego znaczenia związkiem jest również *Svenska Missionsförbundet*, (Szwedzkie Stowarzyszenie misyjne), które

¹ Godnem uwagi jest objawiające się od lat kilku wielkie zajęcie się krzyżkami i obrazkami świętych. Nie tylko w mieszkaniach osób prywatnych ale na wielu wystawach sklepowych można widzieć u protestantów a zwłaszcza u pietystów obrazy częścią własnej kompozycyi, częścią od katolików zapożyczone, jak np. wiele kopij sławnych obrazów Madonny, Zbawiciela i t. d. W domu misyjnym w Guesta znajduje się obraz Matki Boskiej obok obrazu Zbawiciela. Pewna katolicka dama urządziła niedawno w skale grootę z Lourdes. Jeździ tam teraz lud wiejski łódkami i składa Matce Bożej ofiary z kwiatów.

choć pod względem materyalnych środków niżej stoi od *Ewangelickiego stowarzyszenia patriotycznego*, to jednak niemniejszego jest znaczenia, zwłaszcza ze względu na swego założyciela. Jest nim dawny kaznodzieja kościelno-państwowy Waldenstroem; obecnie nauczyciel religii w gimnazjum w Gefle. Zdolny ten człowiek zebrał sobie wielu zwolenników, a działanie jego i nauka, choć z kościoła państwowego nie wystąpił, bardzo jest jednak dla tegoż szkodliwą. Rzecz pewna, że tłumy idące za Waldenstroemem najzupełniej nie wiedzą, jakiej się nauki trzymają: zachowują pewne obrządki, odmawiają pewne modlitwy i tem się zadowalniają. Podobnie ma się rzecz z innemi sektami w naszym kraju: treścią ich wiary jest protest przeciw urzędowemu kościołowi.

Dążność seperastyczna, jak zapewnia Billing, biskup z Westäres, rozszerza się ciągle coraz bardziej. W mowie, otwierającej synod w Westeräs r. 1886, biskup ten położył nacisk, iż jak dawniej nowe sekty w Szwecyi kupiły się pod sztandarem liberalnym, tak dziś kupią się pod radykalnym. Inny znów protestancki biskup Rundgren z Karlstadu, w mowie przy uroczystem zamknięciu wykładów szkolnych w tamecznem gimnazjum, mianej dnia 12 lipca 1886, podzielił nowych protestantów szwedzkich na trzy odrębne klasy. Jedni żądają zupełnej wolności w głoszeniu kazań, udzielaniu chrztu i sakramentu Ołtarza; gorszymi są t. z. *Frärlings-armé*, *Salvation-army* „Stowarzyszenie zbawienia“ cudotwórcy Boltzinsa. Komu się wydaje, że mógłby dobre kazanie wygłosić, ten pragnie popisać się przed jak najliczniejszym gronem słuchaczy; to też liczni prorocy i prorokinie starają się jak mogą, ściągnąć do siebie, ile się da, zwolenników. Pewna staruszka imieniem Anna, która dziś pewnie jeszcze żyje w Nordlandzie, miewała częste kazania z wielkiem powodzeniem w swej rodzinnej miejscowości Liden i w okolicy, a słuchacze jej i uczniowie, nazywali się Annitami. Chrzest dzieci był dawniej obowiązkowy, a pastory dopelniali sumiennie i bez dowolnych zmian swego obowiązku w tym względzie. Teraz jednak występują już przeciw chrztowi w ogóle, a przynajmniej przeciw chrztowi dzieci; a prawa państwowe do chrztu nie zmuszają, w statystyce oficjalnej oprócz rubryki dla żydów znajduje się osobna rubryka dla nieochrzczonych dzieci i dojrzałych.

Oddawna już nie wszystkim się podobało, że komunie tylko

w kościele rozdzielano. Około r. 1875 Waldenstroem przesłał królowi petycję podpisaną przez siebie i 22.000 podobnie myślących, w której utyskiwał, że dotychczasowy sposób rozdawania komunii jest zawadą, przeszkodą chrześcijańskiej wolności zbierania się za przykładem apostołów, bez względu na czas i miejsce, ku uczczeniu pamięci śmierci Chrystusa łamaniem chleba w tym lub owym domu, i dowodził, że przyjmowanie i udzielanie Sakramentu Ołtarza powinno być wolnem, tak jak z łaski Boga wolnem jest słowo Boże. Król przeszedł nad tą petycją do porządku dziennego; natomiast potworzyły się osobne „Stowarzyszenia Sakramentu Ołtarza“, mające na celu rozdawanie komunii i poza obrębem kościołów. Arcybiskup Sundberg między innemi wyjaśnieniami, danemi na Synodzie Upsalskim r. 1879, o stosunkach w swem *Erkestift* (archidiecezyi), dał i następujące: „Powstała niezmiernie wielka ilość stowarzyszeń, które oświadczają, że nie chcą brać udziału we wspólnem przystępowaniu całej gminy do Sakramentu Ołtarza, ale że każdy przystępować doń winien osobno; nadto rzadko kiedy udzielają im tego Sakramentu ich kapłani; zwykle czynią to laicy, a bardzo często uważają wszelkich szafarzy tego Sakramentu za zbytecznych, i sami go własnymi rękami podejmują. Znane są te stowarzyszenia najczęściej pod nazwą: *Nattuardsföreninga* (Stowarzyszenia Sakramentu Ołtarza). Oni sami nazwy tej nie uznają, zowiąc się „Stowarzyszeniem łamania chleba“, albowiem jak mówią już sama nazwa, „Sakrament Ołtarza“, nie jest w biblji uzasadnioną, i z tego powodu usuniętą być powinna. O ile wiadomo, liczba takich stowarzyszeń z końcem r. 1878 miała wynosić 62, choć według wszelkiego prawdopodobieństwa jest ich nierównie więcej. Jedno stowarzyszenie liczy 8—10, a czasem i kilkaset członków, choć cała ta sprawa otoczona jest taką tajemnicą, iż w szczegóły zapuszczać się niepodobna. Co jest pewnem, to że najwięcej członków rekrutuje się w Gestriklandzie i w tych częściach Uplandy, które najbardziej wpływom Waldenstroema uległy. Przecież mimo zamykania drzwi, udzielania biletów wstępu i t. d., rzecz cała w zupełnej tajemnicy zostać nie mogła. Niektórzy członkowie uczuwszy wyrzuty sumienia wyznali, że udzielanie komunii św. odbywa się w jakimkolwiek czasie, skoro tylko członkowie są w usposobieniu do urządzenia odpowiedniego nabożeństwa.

Ustawia się wino i chleb, jeden z obecnych odmawia modlitwę, lub też ma jakąś przemowę, poczem każdy z kolei odłamuje sobie kawałek chleba i pije wino z kubka, odmawiając przytem jakieś zdanie z Pisma św. lub np. słowa: „Jezus kocha nas, Jezus żyje“ i t. d. W niektórych miejscowościach stawiają na stoliku wino, albo wodę z sokiem i kosz ze sucharami, a każdy mający przystąpić do Komunii, sam je do ust bierze, stosując się ściśle do słów Chrystusa: „Bierzcie i jedzcie“. Wyznania grzechów i rozgrzeszenia nie uznają za potrzebne, a nawet w wielu wypadkach, pijąc wino i jedząc chleb, żadnych przytem słów nie wymawiają. Z tego wszystkiego widać, że Sakrament Ołtarza przemieniono w coś zupełnie odrębnego, odmiennego, coś co raczej przypomina nam dawne gody miłosne. I to ma być przywróceniem świętości Sakramentu Ołtarza między ludnością, ożywieniem karności kościelnej. Wszelkie dalsze komentarze byłyby zbyteczne!“ Dotąd słowa arcybiskupa Sundberga. Podobne żale i ubolewania słyszeć się dały na Synodach dyecezyj Westerås w r. 1878 i dyecezyi Linköeping w r. 1882; w pierwszej z tych dyecezyj istnieją nieczne takie stowarzyszenia w 23, w drugiej w 25 gminach. A ileż jeszcze stowarzyszeń zdołało zapewne się ukryć przed okiem państwowych pastorów! Podobne stosunki istnieją w Wein i t. d. Serce łaknie chleba niebieskiego, a ponieważ kościół państwowy nie jest go w stanie dać, szukają go biedacy gdzieindziej, i jedną marę po drugiej sami sobie tworzą.

W ostatnich czasach bardzo wiele mówiono o „cudotwórcach“, zwłaszcza o niejakiem Boltzinsie i pannie Halli, i dokonanych przez nich cudownych uzdrowieniach; Boltzins leczył za pomocą oliwy i całunu, ale bez kazania; panna Hall zapomocą kazania ale bez wszelkich zewnętrznych środków. Boltzins miał być początkowo gałganiarzem, następnie wyrywano go sobie w najwyższych kołach. Dziś jednak stracił on już na uroku, i niewielka tylko garstka niczem w swej wierze niezachwianych pietystów ludzi się jeszcze dozwala. To nas sprowadza na ciekawe zjawisko powstających tu sekt z odrębnym ustrojem gminnym. Ale że to kwestya obszerniejsza powrócę do niej w przyszłym liście.

Listy z nad Bałtyku.

XI.

Klasztory siedliskami sztuki. — Architektura dawnych zamków. — Zamek Malborski, Wendeński, Feliński. — Galerye obrazów w dawnych zamczyskach. — Architektura w gmachach publicznych i prywatnych. — Dom stowarzyszenia „Czarnogłowców“. — Ratusz w Rewlu. — Przyczółek kościoła św. Jana w Rydze. — Izba nowożeńców i sala ucztowa w gmachu „Izby kupieckiej“ w Rydze.

Zarówno jak kościoły nadbałtyckie, których szkic nader pobieżny w liście poprzednim usiłowaliśmy skreślić¹, były niewątpliwie siedliskami sztuk pięknych i liczne tutejsze klasztory. Nie jeden z nich słynął z niepomiernych bogactw.

Z tych klasztorów po większej części nie zostało już kamienia na kamieniu, a o wielu nie wiemy nawet dzisiaj, na jakim mianowicie miejscu niegdyś się wznosiły.

Atoli wszystkie one zasługują na wspomnienie, gdyż niepodobna nieuwzględnić, że i klasztory pomnażały znacznie siedliska sztuki kościelnej. Te cenne ogniska średniowiecznej kultury przyczyniały się tem bardziej do rozszerzenia poczucia piękna w naszym społeczeństwie, że w owych czasach istniał jeszcze i nad Bałtykiem chwalebny, iście chrześcijański zwyczaj trzymania domów Bożych otwartych wciąż dla wiernych.

Nie ulega wątpliwości, iż ówczesna sztuka była przeważnie sztuką kościelną. Ale czy się ograniczała ona wyłącznie do samych tylko kościołów i klasztorów?

To nas zniewala do szukania odpowiedzi na pytanie: jak też wyglądały niegdyś wnętrza licznych tutejszych zamków?

Była pod tym względem zapewne niemała różnica w zamkach władców inflanckich a zamkach miejscowego rycerstwa, różnica ta wszelako musiała ulegać licznym odmianom. Rzecz można z pewnością, że wielu badaczy przeszłości bałtyckiej i dotąd jeszcze nie uwzględniła należycie owego stopniowania.

¹ Chcąc dać mniej lub więcej wyczerpujący obraz kościołów nadbałtyckich należałoby im poświęcić co najmniej kilka arkuszy druku, a to już przeszłoby o wiele miarę niniejszych „listów“.

Nie należy zapominać, iż wszystkie te zamki i zameczki, które po większej części bywają dziś oceniane ze szczątków zwalisk po nich pozostałych, — służyły przedewszystkiem ku obronie mieszkańców i że każdy taki zamek lub zameczek podlegał niejednokrotnie zniszczeniu ogniem i mieczom a nawet zupełnemu zburzeniu. Co się pożarom i napadom wrogów szczęśliwie oprzeć zdołało, to dziś przedstawia po większej części tylko nagie mury, tylko kształty zewnętrzne pojedynczych zameczysk, a kształty te nie tyle potrzebowały odpowiadać warunkom estetyki jak raczej potrzebom obrony.

Jeślibyśmy byli zmuszeni wydać sąd o Malborgu, owem głównem zameczysku niemiecko-krzyżackiego zakonu — oceniając go wyłącznie z jego kształtów zewnętrznych, nigdybyśmy przeczuć nie mogli, iż wewnątrz tego zamku stanowi dzieło sztuki tak niezwykle wysokiej wartości, iż najwięksi znawcy¹ widzą tu „tryumfy“, odniesione przez architekturę krzyżackiego zakonu w dziedzinie sztuki.

I dla czegoż główne zameczyska tegoż krzyżackiego zakonu w Inflantach — owego niegdyś najbogatszego kraju krzyżaków niemieckich — tak bardzo miałyby się różnić od Malborga?

Sądząc z całego ich ustroju, takie na przykład zamki inflanckie jak wendeński i feliński nie wiele musiały ustępować, podziwianemu i dotąd powszechnie, zamkowi malborskiemu.

Z pozostałej bowiem do dni naszych części zameczyska wendeńskiego niepodobna powziąć niekorzystnego wyobrażenia o jego wewnętrznej strukturze, a wykopaliska felińskie, których część znaczną w ciągu roku zeszłego odsłoniły nam wcale udatne drzeworyty „Kłosów“², przekonywają dosadnie, że potrójne zameczysko w Felinie już samymi swymi rozmiarami przechodziło o wiele sławiony dziś powszechnie zamek malborski.

Na miejscu dawnego horodyszcza Sakalanów, „Viliendą“ zwanego, wzniesiono olbrzymie zameczysko felińskie, pomimo trudności, jakie tam przedstawiał zupełny brak ciosowego kamienia, który zdaleka sprowadzać musiano, co wszelako nie przeszkodziło archi-

¹ Obacz *Lübke*: „Grundwiss der Kunstgeschichte“ tom II., str. 28.

² Obacz czasopismo warszawskie *Kłosy*. Tom XLI. nra 1054 i 1055, a mianowicie str. 164—167, str. 180—182 i str. 192.

tektom ówczesnym stworzyć i w tem zamczysku ozdoby plastyczne, zdumiewające swym prawdziwym artyzmem i dzisiaj jeszcze budowniczych nadbałtyckich.

Najbardziej atoli zachwyca znawców część średnia zamku, zawierająca aż cztery piętra.

Najniższą kondygnacyą stanowi zamkowa piwnica. Ciężkie, olbrzymich rozmiarów sklepienie, odpowiadające co do podziału osi sklepieniom refektarza (czyli tak zwanego *Remter*) po nad nią się znajdującego, wyrasta naksztalt potężnych koszuw z kilku ogromnych monolitów. Silne sklepienne żebra o kwadratowym przekroju nadają całości charakter korzeni olbrzymich drzew, których pnie, przechodzące jako słupy granitowe przez wszystkie piętra, kończą się na najwyższem lekką koroną, pozostałych jeszcze tu i owdzie gwiaździstych sklepień.

Jeśli w kilkunawowych salach zgromadzeń zakonno-rycerskich (*Remterbau der Ordensschlösser*) rozwiązano po mistrzowsku niełatwe zaiste zadanie połączenia potęgi i mocy z urokiem prawdziwej lekkości i wdzięku, wiejących z palmistych lub siatkowych sklepień, opartych tu i owdzie na wspaniałych monolitach, — to dla ożywienia płaszczyzn umiano umiejętnie wyzyskać sztukę malarzką i rzeźbiarską. Światła jaskrawsze, których niebo północne odmawia krainom nadbałtyckim, usiłowano zastąpić bogactwem kunsztownych witrażów, sklepienia gotyckie starano się ożywić nie tylko przez bogate rozcłonkowanie pojedynczych podłaczy, pasów i żeber ale i przez uroczą polichromią, a jednostajność płaszczyzn ściennych usuwano umiejętnie, za pomocą dębowych okładzin (boazerij) i pięknym malowidł.

To też ówczesna sztuka malarska zdobiła oczywiście nie tylko kościoły ale i zamki nadbałtyckie, w których nawet niepomierną odgrywała ona rolę. Na szczególną baczność zasługuje fakt, że nie tylko od epoki odrodzenia, ale jeszcze w czasie najpełniejszego rozwoju gotycyzmu rezydencje władców inflanckiego zakonu posiadały całkowite galerye obrazów, złożone z portretów mistrzów prowincjonalnych, arcybiskupów i biskupów.

Tak skąpi skądinąd w opisy kronikarze i analiści nasi inflanccy wspominają kilkakrotnie o słynnych podobiznach arcybiskupów, zdobiących zamek ronnenburski, oraz o galeryi portretów mi-

strzów prowincjonalnych w zamku wendeńskim, a nie możemy pominąć milczeniem, iż nie były to wcale malowidła fantastyczne ale raczej współczesne portrety, których podobieństwo zostało stwierdzone.

Za ich podobieństwem przemawia pomiędzy innemi i ustęp z kroniki Hornera, zawierający uwagi o portrecie Hermistrza Plettenberga. Pochwała w nim Horner „udatnie oddany wyraz twarzy, w którym znać męża odznaczającego się ludzkością a zarazem męznego wojaka, w którego szlachetnych rysach dzikość bojownicza wcale nie przebija“. Inny znowu kronikarz, Renner — którego rękopiśmienna kronika zdobiła wystawę historyczną w r. 1883 — usiłuje naśladować piórem niektóre postacie, zdobiące wspomnianą galerję. Nieudatna kopia portretu współczesnego mu hermistrza Henryka Galena ma z pewnością tę przynajmniej wartość, iż wykazuje nam ona dosadnie, że malowidło, z którego swą kopję wykonywał Renner; nie było malowidłem fantastycznym, mającem tylko wartość ornamentacyjną.

Nawet w zamku piltyńskim — który stanowił rezydencją najmniej potężnego ze wszystkich władców nadbałtyckich — istniała już w wieku XV. galerya biskupów kurońskich, jak to dokładnie wykazują archiwa piltyńskie.

Najtrudniej dziś dać wierne wyobrażenie o ówczesnych gmachach świeckich, tak publicznych jako i prywatnych.

Większa część miast średnich w prowincjach nadbałtyckich jest już całkowicie zmodernizowaną, toż samo rzec można o miastach pomniejszych, a z liczby tych ostatnich nie mało już zupełnie znikło z widowni, tak np. miasto Kokenhuza, o którym w roku bieżącym podało czasopismo *Kłosy* wyczerpujący artykuł. Nawet dawne miasto hanzeatyckie, Ryga, nie posiada obecnie już ani jednego domu mieszczańskiego, któryby sięgał wieków średnich. Tylko w Narwie i w Rewlu dają się takowe tu i owdzie jeszcze napotkać. Znamionują je obrócone ku ulicy śpiczasto zakończone facyaty, które tu i pierwotnie tenże sam ogołocony mieć musiały charakter, jaki je w ostatnich stuleciach odznaczał. Atoli z bogatej ornamentyki średniowiecznych facyat niektórych domów rewelskich dalby się może wyprowadzić niezbyt śmiały wniosek, że szczyty i frontony onych, na pociski wrogów najbardziej narażone, zaledwie w później-

szych wiekach ów огоłocony charakter przyjęły. Ilekroć bowiem chodziło o naprawę facyat zniszczonych a zwłaszcza ich przyczółków, musiał się dawać uczuć w sposób dolegliwy zupełny brak pewnego rodzaju misternie odrabianych średniowiecznych cegiełek, których do pierwotnej ornamentacyi użyto, a także brak owych różnobarwnych polewanych cegieł, jakimi w wiekach średnich stale usiłowano ożywić monotonne płaszczyzny przyczółków i tympanów ścian frontowych, przedewszystkiem zaś brakło na smaku tego mianowicie czasu, w którym te starodawne domy powstały. Następnie zaś tynk i jego powłoka, niemniej się przyczynić musiały do przekształceń przyczółków i facyat prastarych domów, jak w swoim czasie zdołały one stopniowo przekształcić powierzchność niemal wszystkich dawnych nadbałtyckich kościołów.

O takich przekształceniach nie lada mogłyby nam wiele opowiedzieć przetrwałe aż do dni naszych gmachy publiczne bałtyckie, a pomiędzy innymi dom stowarzyszenia „Czarnogłowców ryskich“, czyli tak zwany *Schwarzenhäupterhaus* w Rydze, a także słynny ratusz w Rewlu, gdyż oba te gmachy, właśnie w sposób powyższy, iście okrótnych przemian niejednokrotnie doznały.

Korporacya mieszczańska Czarnogłowców (*die Compagnie der löblichen Schwarzen Häupter*) potrzebuje dla waszych czytelników chociażby króciuchnego komentarza. Siega ona wieków średnich. O potędze tego mieszczańskiego związku będziecie mogli powziąć niejakiś wyobrażenie dowiadując się, że niegdyś ów słynny związek, złożony wyłącznie z bezzennych obywateli miejskich, posiadających nieruchomości w Rydze, własnym kosztem odlewać kazał wspaniałe działa do obrony miasta. W czasie wystawy historycznej ryskiej w roku 1883 wystawiono ich kilka. Niektóre z dział „Schwarzhäupterów“, zdobne w płaskorzeźby, wykonane w stylu odrodzenia z epoki jego największego rozkwitu, są tak wykwintnie odrobione, że wobec nich dzieła tegoczesne wywierają wrażenie wytworu najzupełniej barbarzyńskiego. Słynie dotąd z niepomiernego bogactwa skarbiec „Schwarzhäupterów“, posiadający przepyszne srebra. Niektóre z tych prastarych wyrobów sztuki złotniczej stanowią tak piękną kartę w historii sztuk pięknych, że przy innej sposobności wypadnie nam raz jeszcze do nich powrócić. Tymczasem zaś wróćmy do rewelskiego ratusza, którego precudownie skleciona sala prze-

chowala aż do dni naszych wspaniałe szczątki dawnych ozdób wewnętrznych.

Otoczające tę salę siedzenia (stalle) o olbrzymich tylnych oparciach i wysokich poręczach pokrywa niemniej przepyszna rzeźba gotycka jak ta, która niegdyś stanowiła główną ozdobę zamków nadbałtyckich. Mocno wystający fryz, zdobny w piękne i bogate rzeźby, wykonane w stylu odrodzenia XVI. wieku, przedziela tu płaszczyzny ścian na dwie oddzielne części, z których wierzchnią pokrywają malowidła a dolną zajmują już-to wspaniałe okładziny dębowe (*des boiseries magnifiques*) już też obicia ze staroświeckiej tkaniny, przypominające nasze dawne makaty.

Tę samą średniowieczną salę ozdobiły niegdyś prześliczne gobeliny, przechowane dotąd w skarbcu tegoż starodawnego ratusza, a ozdobione nie tylko herbami miasta Rewla, ale i pięknie tu i owdzie na nich wytkanym napisem: *Anno 1547*.

Kilka prastarych domów mieszczańskich w Narwie, których charakterystycznie urządzone wnętrza przetrwały do dni naszych, przypominają z wielu względów opisaną powyżej salę ratuszową rewelską. Najpiękniejszą ozdobę tych komnat stanowią także fryzy mocno wystające. Składają je najczęściej małe arkadki romańskie i nadzwyczaj starannie wyrzeźbiona ornamentyka roślinna najszlachetniejszego rysunku. Jest to jeden z najpiękniejszych średniowiecznych zabytków.

Wytworne rzeźby drewniane z tejsze epoki, przedstawiające najrozmaitsze sceny myśliwskie, zdobią prastary strop głównej wieży zamku Neuenburskiego w Kurlandyi ¹.

Skromny lecz pelen stylu przyczółek, po za którym zresztą prędzej świeckiej budowy, niż domu Bożego oczekiwaćby należało, został nam dotąd uratowany w facyacie kościoła św. Jana w Rydze, którego część tylna, przybudowana już za czasów protestanckich, stanowi niestety architektoniczny dziwotwór, nie mający żadnego związku ze wspaniałem siatkowem sklepieniem tej obecnie na nabożeństwa protestanckich Łotyszów przeznaczonej świątyni. Natomiast za przyczółkiem domu Böcklera na Starym Rynku w Rewlu możnaby już chyba oczekiwać kościoła. Zdobią go bowiem od-

¹ Ciekawe te rzeźby oddaje wybornie tablica XVII. dzieła „Geschichte der Herren v. d. Reche mit 14 Illustrationen“, Breslau 1878, in 4-to majori.

wieczne wspaniałe freski treści czysto religijnej, zręcznie w medalionach poumieszczane. Cztery pomniejsze medaliony zajmują popiersia czterech Ewangelistów, wykonane w znacznie większej wielkości niż naturalna. W środku jaśniej wizerunek Trójcy Przenajświętszej, a nad nią wznosi się wysoko Chrystus ukrzyżowany. Freski te sięgają oczywiście XV. stulecia, w którym ten dom zamieszkiwał czasowo biskup rewelski¹. W tylnej części domu istnieją dotąd ślady dawnej kaplicy; ołtarz jej kamienny przetrwał do dni naszych.

Przy przebudowaniu gmachu „Izby kupieckiej“ w Rydze zachowano nam w całości dwie nader ciekawe średniowieczne komnaty, a mianowicie tak zwaną „Izbę nowożeńców“ (*Brautkammer*) i dawną salę na biesiady przeznaczoną — które dosadnie dowodzą, że i świeckie budowle krajów nadbałtyckich odznaczały się w wiekach średnich nie małym artyzmem.

Pierwsza z tych komnat, *die Brautkammer*, potrzebuje dla waszych czytelników pewnego komentarza. Trzeba bowiem wiedzieć, że dawni możni mieszczenie tutejsi, stosując się do raz przyjętego zwyczaju, gmach „wielkiej giełdy“ czyli „Izby kupieckiej“ na uroczystości weselne stale obierali. Domy w owych czasach budowano nie obszerne, a pokoje licznych w nich gości pomieścić by nie mogły.

Niedziela na ślub była przeznaczoną, wybranie każdego innego dnia poczytywano za wstyd i hańbę.

W dniu oznaczonym orszak ślubny już przed dziewiątą zrana wyruszał do kościoła. Kosztowne futra, drogie pasy, srebrne łańcuchy, klejnoty i pierścienie rozpanoszonych mieszczan świetnie połyskiwały, odbijając na sobie blask wschodzącego słońca.

Po odbytych ślubnym obrzędzie, małżonkowie z całym orszakiem weselnym udawali się do gmachu wielkiej izby kupieckiej. Tu czekał na nich wystawny obiad. Kilkadziesiąt mis srebrnych dymioło się potrawami; goście zasiadali do stołu: wino, miód i piwo

¹ W nowo ogłoszonej źródłowej pracy *Revalsche Alterthümer* pisze wyraźnie archeolog *Amelung*: „Nachdem den 11 Mai 1433 in Reval eine gewaltige Feuersbrunst stattgefunden hatte, erbaute Bischof Heinrich v. Uexküll den Bischofshof. Während am Bau des neuen Schlosses gearbeitet wurde, nahm der Bischof in dem hohen Giebelhause am Markte zeitweilig seinen Sitz“ (*Rev. Alt.* pag. 7).

ły się strumieniami. Po obiedzie chowano srebrne czasze, puhary i naczynia, każdy cynowych tylko mógł teraz używać. Kto chciał, udawał się na popołudniowe nabożeństwo niedzielne — pozostali, używając darów Bożych, zabawiali się tańcem.

Okolo dziesiątej wieczorem, na mocy obowiązującego prawa, odprowadzano nowozaślubioną parę do oddzielnej komnaty, zwanej „izbą nowożeńców“ czyli *Brautkammer*.

Nad drzwiami do niej wiodącymi znajduje się dotąd słynna dębowa płaskorzeźba, przedstawiająca Zaśnięcie Najświętszej Panny w obecności Apostołów, których oblicza jaśnieją wiarą i przekonaniem, iż wobec nich spełnia się tajemnica święta. Znawcy chwalą nadewszystko lekkość draperyj. Ten cenny zabytek snycerstwa z XV. wieku z wielu względów przypomina naszego Wita Stwosza, a należy bezwarunkowo do najpiękniejszych dzieł sztuki rzeźbiarskiej, jakie się w krajach nadbałtyckich znajdują.

Wspomnianą izbę nowożeńców zdobi starodawny kominek niezwykłej piękności, wzniesiony tam od wieków, a w roku 1853 z wielkiem staraniem odrestaurowany, tudzież dosyć niewymyślne okładziny dębowe (boazerye) i siedzenia okalające wszystkie cztery ściany prastarej izby.

Sala zaś uctowa należy bezsprzecznie do najpiękniejszych pomników średniowiecznego budownictwa. Przecina ją w samym środku kilka cienkich kolumn (monolitów), podtrzymujących jej lekkie starogotyckie sklepienia. Atoli brak dekoracyj ściennych, które pierwotnie i tu istnieć musiały, daje się czuć dotkliwie w starodawnej dwunawowej sali. Rzuciwszy obecnie okiem bądź na przedudne ostrolukowe sklepienia, z których się zwieszają aż dwa szeregi bogatych, a z pewnym artyzmem wykonanych wieloramiennych brązowych pajaków, bądź na charakterystyczny balkon przepysznie z dębu rzeźbiony, a przeznaczony oczywiście na chór muzyki godowej, — ubolewać przychodzi, iż okna średniowiecznej sali, wykonane w stylu nowożytnym, najzupełniej psują harmonię tej skądinąd prawdziwie uroczej całości.

Gdy, przy sposobności odnawiania starodawnych gmachów, gruba nieświadomość popełnia tu i owdzie nie jeden wandalizm, godzi się istotnie postawić pytanie: czy też już nie ma żadnych dróg dla rozszerzenia wiadomości o dzisiejszych zasadach konser-

wacy i restauracyi dawnych zabytków sztuki, któreby skłoniły kraj, pod tym względem bez opieki rządowej a i bez konserwatorów prywatnych pozostający, do zachowania bez skazy cennych resztek artystycznej przeszłości.

Zawiązany w Rydze przed kilkoma laty komitet *Dombauverein*, którego zadaniem jest czuwanie nad umiejętnem dokonywaniem prac restauracyjnych około tego najdawniejszego pomnika architektury nadbałtyckiej, staranność i gust wytworny, z którymi do przebudowania tej starożytnej budowy przystąpiono, każą nam wnosić, że pytanie przez znawców sztuki kilkakrotnie stawiane: czy owej krzyczącej dysharmonii w dolnej starogotyckiej sali gmachu izby kupieckiej ryskiej nie da się już wcale zaradzić? w sposób zadawalniający nie pierwszej zostanie rozwiązane, aż Towarzystwo *Dombauverein* w dalszym ciągu nie rozszerzy zakresu swej działalności i do innych pomników przeszłości krajowej, w ten przynajmniej sposób, że broniąc umiejętnie dobrej sprawy, zachęci do ukonstytuowania się innych komitetów miejscowych, których stałym zadaniem byłoby: czuwanie nad pojedynczemi pomnikami sztuki w krajach nadbałtyckich.

Gustaw Manteuffel.

Z kraju Słowienców.

Ludność i położenie geograficzne. — Handel. — Zwyczaje i obyczaje. — Przesady. — Obrzędy weselne i pogrzebowe.

Słowieńskie ziemie są z małemi wyjątkami jeszcze dość urodzajne i do uprawy przydatne, to też dotąd lud nasz nie potrzebował troszczyć się zbytecznie o zaspokojenie swych potrzeb. Zwłaszcza większa część Karyntyi, cała dolna Styrya a poczęści i dolna Kraina opływały we wszystko, i mogły uchodzić za ziemski raj, skąd zaopatrywali się we wszystko i mieszkańcy mniej urodzajnych stron, górnej Krainy, Przymorza i Karyntyi. Niewielka ziemia Słowienców, zajmująca ledwie 437 mil □, z mniej więcej 30 miastami, 70 miasteczkami a 6500 wioskami, w których mieszka

koło 1,300.000 dusz narodowości słowieńskiej, ma jak najlepsze warunki do rozwoju rzemiosł, przemysłu a przede wszystkim handlu z sąsiadami.

Handel Słowieńców najbardziej ożywiony na południu z Włochami. Do przedmiotów jego należą konie, których zwłaszcza z Krainy i Karyntyi sprzedaje się co roku za znaczny pieniądz. Bydło, chowane w wielkiej ilości w Styryi i Karyntyi, zakupują Niemcy z górnej Styryi, Tyrolu i Salcburga i sprzedają je potem do Rakuz i Wiednia. Wreszcie wyroby leśne odstawia się rzekami Drawą i Sawą do Chorwacyi, do Węgier a nawet dalej ku Czarnemu morzu. Na szczytach swych gór mają ziemie słowiańskie dosyć jeszcze lasów a przy strumieniach wiele tartaków i młynów.

Ludowi naszemu nie można odmówić pohopności do jakichkolwiek przedsięwzięć a tem mniej zamilowania do pracy. Z przykłądną pilnością pracuje nasz ziomek od rana do nocy w rzemiośle, któremu się oddaje, żeby sobie jak najwięcej przysporzyć „tych okragłych“, tylko nie z taką samą troskliwością obchodzi się potem ze swym zarobkiem w niedzielę po karczmach, gdzie bardzo często znajdują się i muzykanci. Zwłaszcza młodzież służebna oddaje się namiętnie tańcowi — czego nie przepije, idzie do kieszeni muzykanta. Również i na odzież wydaje się w nowszych czasach wiele pieniędzy, ponieważ owe „stare dobre czasy“, kiedy to lud zaopatrywał się sam w szaty, choć z grubego sukna i płótna, dawno przemieły, obecnie tylko sklepowe sukno i płótno jest w modzie. Kobiety szczególniej chcą co rok nowym krojem się ubierać i nowe szaty zakupują, tak że często cała roczna zasługa zaledwo na zakupienie tych szat wystarcza.

Lud Słowieński żywi się nędznie. I tak śniadanie składa się z ziemniaków, kukurydzanej kaszy lub polewki. Koło godziny 10 lub 11 następuje znowu „mała juzina“, śniadanie z zimnej stawy: z czarki wina lub jabłeczniku i kawałka chleba domowego z żytniej mąki. Obiad, składający się z kapusty, rzepy lub innej jarzyny i z klusek z mąki kukurydzanej lub tatarczanej, je się zwykle koło godziny pierwszej; „veczerja“ zaś z kaszy jaglanej lub mącznej potrawy przypada letnią porą z zachodem słońca, a w zimie cokolwiek później. Mięsa wołowego jadają mało, częściej wieprzowinę.

Lud słowieński jest pobożny, ale, nie będąc dosyć wykształconym, z obrzędami religijnymi miesza różne gusła i stare zabytki pogańskie. Niektóre z nich są ciekawe z tego powodu, iż są wspólne innym ludom słowiańskim, a stąd początkami sięgają dalekiej przeszłości.

Co począć żeby się z bogacić? Naturalnie stawiać na loteryę. Ale który numer wyjdzie? Aby się o tem dowiedzieć, chwytają pajaka z rodzaju tych, które mają znak krzyża na grzbiecie, wsadzają go do obszernej szklanki i wrzucają 90 liczb napisanych na papierkach. Pozostawiają tak zamknięte zwierzątko na kilka dni, czekając aż roztoczy siatkę. Do których liczb pajak przyczepi swe nitki, te uważają za pewne do „stawiania“, gdyż jak mówią, te najczęściej „wychodzą“. Inny sposób jest taki: w „szczodry wieczór“ idą z napisanymi tak samo liczbami do młyna, znajdującego się gdzieś na samotnem miejscu, tak iż głos dzwonu kościelnego tam nie dochodzi i w dobie północnej mszy miały te liczby jak ziarno: które po zmieleniu zostaną nietknięte, te trzeba stawiać. Trzeci wreszcie sposób jest następujący: Trzeba pójść na trzeci wieczór po pogrzebie jakiego siedmioletniego chłopca na cmentarz zagrzebać na jego grobie kartkę z liczbami. Na drugi wieczór wydobywa się kartkę i pilnie ją ogląda. Liczby, które mają wyjść będą czerwone. Inni zaopatrują się w miskę wody, wkładają do niej srebrną dwudziestówkę (cwancygier) z podobizną N. Panny Maryi i poruszają wodę, zapisując sobie po którym poruszeniu pieniądz z wody wyskoczy na ziemię i tak otrzymane liczby stawiają na loteryi. Chcący się z bogacić uciekają się jeszcze do innych środków, które przedsiębiorają najczęściej w wigilie. Niejeden np. z młodzieży rozpoczyna robić malutką ławeczkę w wigilią św. Łucyi przed wschodem słońca. Ławeczka ta musi być zrobiona z 11 kawałków rozmaitego drzewa męskiego rodzaju. Co rano musi być skończona jedna rzecz: pierwszego rana deska, drugiego i trzeciego poprzecznice, potem cztery nogi, wreszcie kliny. Z tą ławeczką idzie on w wigilią Bożego Narodzenia do kościoła i o północy w czasie „pasterki“ usiada na niej. Podczas podniesienia musi ów cheiwy lekkiego grosza obiegnąć trzy razy kościół ku wschodowi a za trzecim razem usiąść na ławeczce przed drzwiami kościoła. Wtedy zjawi się przed nim nieczysty duch z piekła i zacznie targować ławeczkę. Zwyczajnie dostaje się za nią

mieszek, w którym nigdy nie zabraknie pieniędzy, albo czapkę, która człowieka czyni niewidzialnym, ilekroć wsadzi ją na głowę.

W wigilią można się dowiedzieć pewnych rzeczy, które mają się zdarzyć na rok przyszedły w pewnym domu. Trzeba np. pójść wieczór w czasie dzwonienia na „Aniol pański“ na miedzę sąsiada, gdzie można ze słyszanych znaków rozeznaczyć, czy w roku przyszłym będzie wesele lub pogrzeb: pierwsze można poznać po rozmowie bydła, drugie po odgłosie zabijania gwoździ do trumny. Drugi sposób jest ten, żeby przy odejściu na mszę św. zostać w domu ostatnim, obieć trzy razy chatę, wszystkie drzwi pozamykać, potem przez średnie okno zajrzeć do izby. Tam zjawiające się rzeczy wskażą, co w przyszłym roku zdarzy się w domu osobliwego, czy będzie przyszłość smutna czy też radośna.

W wigilią rozpoczynają się także kolędy, ślawiące Narodzenie Syna Bożego, nie brak jasełek ani „bożego drzewka“, w blasku światła pełnego owoców i przysmaków. W dzień Bożego Narodzenia musi być na stole wszystko, czego tylko kuchnia dostarczyć może, ale w tym dniu nie może się położyć ani gospodarz ani gospodyni, inaczej rok przyszedły nie dopisze i zboże będzie leniwo rosło. Również kadzenie święconem zieleń, które się nosi „ku żegnaniu“ na „zeleno nedeli“, szóstą postu, i kropienie święconą wodą pól i mieszkań w wigilie większych świąt jest jeszcze ciągle w zwyczaju.

W dzień św. Szczepana przynosi się do kościoła na święcenie wszelakie zboże, jakiegokolwiek ma się tylko w domu, z każdego po kilka ziarn, również większy lub mniejszy kawałek soli, którą potem soli się krew i uda zabitego zwierzęcia, jak owiec, nierogacizny. Ziarnka zaś poświęcone, wybiera się po przyniesieniu do domu i chowa do odpowiednich miejsc. W dzień św. Jana ewangelisty święci się wino, które nazywają „Šenjanževce“; po przyniesieniu do domu częstuje się niem zwykle każdego z domowników. Najbardziej oczekiwanym dniem jest święto „Młodzianków“. Dla dzieci jestto dzień radości. Dotykając doroslejszych prętem, mówi się: „Cieszcie się i radujcie się zdrowi i weseli na nowy rok“ (rešite se, rešite zdravi in veseli k novemu letu), poczem dostają się im podarunki, jak chleb, owoce, nawet i pieniądze.

Nowy rok, w którego wigilią kolędowanie jeszcze żywsze jest

aniżeli przedtem, rozpoczyna się rozmaitemi życzeniami: szczęścia, zdrowia i pomyślności, tak między dziećmi i rodzicami, jak i między poddanymi i ich przełożonymi, a najbardziej między krewnymi i znajomymi. Najochotniej obchodzi ten dzień zwyczajnie czeladź, która otrzymuje czasem uadatek do swej zasługi albo też zadatek od nowego pana na rok przyszły: wszystko się to po większej części przepije albo przetańcuje. Ktoby tego dnia powiadają, nie skosztował, nie miałby szczęścia przez rok przyszły.

W dniu poprzedzającym święto „Trzech króli“ wyrabiają rano ze święconej wierzby krzyże i to dla każdej niwy, ile ich posiada gospodarstwo, po jednemu. Również studnie, drzwi domów i stajen, a nawet okna zaopatrują temi improwizowanemi krzyżykami, które wieczór, kadząc trzaskami pozostałemi po robocie, roznoszą po polach. W samą uroczystość święci się woda, która pod nazwą „voda sv. 3 kraljev“ przechowuje się w szklankach i używa przy okoliczności. Piszę się także na drzwiach z liczbą roku u spodu początkowe litery imion 3 królów (C. + M. + B. +). W dzień św. Pawła (25 stycz.) uważają na położenie mgły i wnioskują stąd, z jakich stanów najwięcej będą ludzie umierali. Jeżeli mgła przy ziemi będą umierali żebracy i chudobni, jeżeli nieco wyżej — gospodarze, a jeżeli jeszcze wyżej — bogaci.

Idąc na „pasterkę“ można rozpoznać, kto w przyszłym roku umrze: ten albo upadnie na drodze albo też cień jego przy świetle księżyca będzie bez głowy. Wichry i powiewy wiatru wskazują tego wieczoru, z której strony na przyszły rok pojawi się zaraza. W dzień Oczyszczenia P. Maryi (2 lut.) święci się świece, a stosownie do tego, czy w ten dzień pięknie czy pochmurnie, wnioskują, czy zima będzie jeszcze trwać długo czy nie. Następnego dnia (św. Błażeja) „błazi se“ lud temi świecami, znaczy to, że każdy członek rodziny z zapaloną świecą okrąża po trzykroć głowę przy zgięciu a również i czubek głowy, gdzie nakoniec spali się kilka włosów.

Na zapustny wtorek przypada wiele najrozmaitszych zwyczajów; piecze się np. małe bulki na maśle, „krape“ zwane, i rozdaje się potem czeladzi. Tego dnia bawią się w rozmaite gry. Jedną z nich zowie się „pusta“ a odbywa się w następujący sposób: Jeden z młodzieży położy się na ziemi, rozciągnie ręce, oczy zamknie i udaje martwego. Reszta towarzystwa, skupiwszy się, chodzą

około niego, a każdy ma kij w ręku. Następnie całują „zmarłego Łazarza“, a ten nagle się budzi i tego, na którego ma ochotę, objawwszy rękami, silnie trzyma, a inni biją dotąd dopóki się im z kółka nie wymknie. Gra w „pasterza i owce“ jest bardzo ulubiona. Jeden z towarzystwa bywa właścicielem owiec, drugi pasterzem, trzeci wilkiem a inni - owce. Wilk musi wyjść do przedpokoju, a gospodarz, pasterz i owce zostają w pokoju, którego drzwi stoją otworem. Wilk wpada i kradnie owce, a właściciel odciąga biednemu pasterzowi za każdym razem coś z zasługi, aż wreszcie pasterz straciwszy całe stado, nietylko nic nie zarobi, ale jeszcze biją go dotąd, dopóki owiec wilkowi nie odbierze i nie odda gospodarzowi. Pomijając jeszcze wiele innych gier, wspomnę tylko, że tego wieczora, gdzie się tylko towarzystwo zbierze, musi każdy tańczyć, stary i młody, bo gdyby się zaniechał taniec, nie roslaby rzepa, ani jarzyny. Również mięso i wino w dniu tym trzy razy podają na stół, a zwłaszcza wieczór hojnie. Jest także między ludem przekonanie, że garść gnoju kurzego, zaniesiona tego dnia na pole, czyni całe pole urodzajnem, a resztki z zapust, wyrzucone następnego dnia na sąsiedową ziemię, sprawiają, że się tam rodzą tylko same chwasty.

Na pierwszy dzień postny przygotowują „velbluda“ z końską głową i końskim ogonem, nakrytego płachtą, pod którą włazi silny chłop; dziwny ten potwór otwiera ciągle paszczę i chodzi po izbie¹. Powszechniejszy jest zwyczaj chodzenia z sikawką tam, gdzie ją mają na wypadek pożaru. Wodzi się ją po wsi i niby to próbuje, czy jeszcze na co przydatna, a tymczasem oblewa się przechodzących. Także postać kobiecą lub męską ze słomy, pstro odzianą, stawiają chłopaki na drzewie przed oknami, gdzie kobieta (wdowa lub panna) nie wyszła za mąż w ubiegłych zapustach. Czy nią to na przekór i dla ośmieszenia, jeżeli zamążpójście nie udało się z jakichś tam przyczyn. Na dzień popielcowy myje się i czyści cały dom, obfitość pokarmu się zmniejsza i rozpoczyna post. Na „zieloną niedzielę“ noszą do kościoła dla poświęcenia „presmec“, rodzaj wieńca z wierzbowego pręta (z czerwonej lub żółtej wierzby), przybranego jak można najpiękniej gałązkami zieleniejących drzew

¹ W Polsce oprowadzają „Tura“.

w zimie. Tego „poświęcanego maju“ używa się potem do kadzenia w wigilie pola albo też gdy w lecie groziła zaraza. Na Wielki Czwartek i Piątek nie mają swoich osobnych zwyczajów, ale w Wielką Sobotę, kiedy to nosi się do święcenia chleb i mięso, święci się ten obrządek radosny strzelaniem ze strzelb i moździerzy, również w dzień Zmartwychwstania strzela się w niektórych domach aż do ogłuszenia. Strzelbą wita się także wesół i upragniony dzień św. Jerzego, w którym pasterze wypędzają zwyczajnie bydło na pastwiska. Do radości i uroczystości tego dnia przyczynia się i to, że się dobytek pokropi święconą wodą, zanim się je wygoni z zagrody.

W wigilią św. Floryana, patrona ognia, przygotowuje gospodyni kilka pręci poświęconych na ognisko, postawi na stole święconej wody i stawia gdzieś na obrusie kilka jajek z kielbasą. Przychoǳą bowiem „Floryanowie“, zwyczajnie dwaj chłopcy, z których jeden przygotowane pręty pali na ognisku, towarzysz zaś jego zgarń śmiecie w izbie na jedno miejsce, pokropi ogień święconą wodą po krótkiej modlitwie, a wyszukawszy przygotowanych rzeczy w nagrodę, zjada je z towarzyszem, albo z sobą zabiera. Aż do tego dnia nie zostawi kucharka poświęconego ognia w wielką sobotę na ognisku w nieładzie i nie da mu zagasnąć, ponieważ ogień, w inny sposób zapalony, uważa się za straszny i nieszczęściem grożący. Przed świętem Bożego Ciała urządzają przed domami „mlaje“ (maje), kwiatami przystrojone, a po oknach rozstawiają zielone gałązki lipowe. Z większą jeszcze okazałością obchodzi się dzień św. Jana. Wieczorem dnia tego palą pasterze „kres“ tj. ogromną stertę smolnych gałęzi świerkowych i jodlowych, już przedtem przygotowanych. Tego wieczora, kiedy już kwitną po łąkach białe „świętojańskie róże“, odgadują znawczynie przyszłość domowników, a to w ten sposób. Bierze się na każdą osobę jeden kwiatek i tak wszystkie pozostawia się, poznaczywszy je wpierv imieniem domowników, przez noc na średnim oknie. Nazajutrz rano ogląda się je pilnie, a stosownie do stanu, w jakim się one znajdują, wróży się o przyszłości. Gdyby listki były skurczone, oznaczałoby to śmierć, gdyż piękna i wesół korona kwiatka oznacza wesół i szczęśliwe życie. Zapomocą tego kwiatka badają dojrzalsze dziewczęta, czy są kochane, czy nie. Odrywają mianowicie

listek po listku z wyrazami: „Luby mówi: Kocham Cię — z całego serca — tylko trochę — wcale nie!“. Gdy oderwie ostatni listek uważa ostatnie słowo, które przy jego oderwaniu wymówiła, za wyrok, w który wierzy. Również przy wymiataniu śmieci w tę noc może dziewczę się dowiedzieć, kto jej przeznaczony. Stawia ona świecę na stole i pilnie zamiata izbę, dopiero przy drzwiach się obejrzy, a wtedy zjawi się jej przyszły. Chodzą także dziewczęta tego wieczora do studni, żeby zobaczyć obraz przyszłego. Kwiaty i rośliny przydatne na lekarstwo zbiera się między 15 sierpnia a 8 września, ponieważ wtedy zebrane są najużyteczniejsze. Trzeba wyznać, że młody świat daleko mniej zna roślin, aniżeli starsi ludzie, zwłaszcza pasterze alpejscy, znawcy prócz tego zmian powietrza, opowiadacze ludowych powiastek, śpiewacy narodowych piosenek. W dzień św. Mikołaja chodzi po domach sam święty z „parkeljem“ tj. przedstawicielem karzącego ducha: pierwszy obdarowuje młodzież rozmaitemi podarunkami, drugi zaś grozi dzieciom, które nie umieją się modlić, że je weźmie ze sobą. Imieniny obchodzą się ucztą, dźwiękiem szklanek i strzelaniem.



JANSSEN I HISTORIA REFORMACYI¹.

(Tom V. od r. 1580—1618).

Czem był straszny on dramat — wojna trzydziestoletnia, co pustosząc Niemcy wstrząsnęła ich politycznemi podwalinami, czy był wynikiem ślepego przypadku, czy nagłym wybuchem religijnych albo politycznych namiętności; czy dziełem papistów i Jezuitów, jak teraz jeszcze idąc w ślad za większą częścią protestantów prostodusznie wielu wierzy; czy tylko logiczną konsekwencyą przyczyn dawniejszych, powoli działających — pytanie dla niejednego jeszcze dziejów badacza ciemne i zawile, w prawdziwie mistrzowski sposób rozwiązuje nasz znakomity historyk Janssen, w piątym tomie swojego dzieła. Każdy bezstronny czytelnik, przejrzawszy go, musi koniecznie przyjść do wniosku, że ta katastrofa przygotowywała się oddawna i że trzeba było tylko iskierki, by w nagromadzonym palnym materiale wywołać wybuch. Lecz cóż było powodem tej tragedyi narodów? Na podstawie dokumentów, których nam Janssen dostarcza, występują głównie dwa ważne czynniki: nieustanne frakcyje kalwinistów między sobą i zagranicą przeciw Habsburgom i katolikom a następnie nieokiełzana, brudna polemika wszystkich akatolików z Rzymem. Z dwóch tych punktów patrząc, jasnem jest dla nas odezwanie się Ferdynanda II. przy wybuchu wojny w r. 1618 do wysłańca elektora saskiego. „Dzwon ten alarmowy nie sam przez się zabrzmiał w Czechach, lecz uderzono wń od strony Heidelbergu (palatynat elektorski), od strony Hagi i Turynu“ i zrozumiałe są dla nas słowa margrabiego Er-

¹ Obacz *Przeegl. powsz.* tom X. str. 177. 376, tom XI. str. 221, tom XII. str. 91.

nesta z Anspachu do Chrystyana z Anhaltu: „Mamy wreszcie środek w rękę, którym możemy świat przewrócić“. I w istocie klucza do otwarcia tej zamkniętej księgi należy szukać w Heidelbergu — u kalwińskiego hrabiego Palatynatu Jana Kazimierza. Kalwinizm już od śmierci elektora Fryderyka III. z Palatynatu, który pierwszy z książąt niemieckich doń przystąpił, chylił się politycznie do upadku, groziła mu niechybna zagłada, gdyż Ludwik, syn Fryderyka III., zapalony zwolennik Lutra całą przemocą wprowadzał surowy luteranizm w Palatynacie. Po jego śmierci jednakże zmienił się stan rzeczy. Jako opiekun jego syna, Fryderyka IV., ustanowił się sam Jan Kazimierz hrabią Palatynatu. Zacięty ten kalwinista został politycznym naczelnikiem kalwinistów niemieckich, ba nawet luteranów, przeciw Rzymowi i państwu. Ciekawa to ze wszech miar postać tego „Świętego kalwinistów“. Elektor Ludwik z Palatynatu przeznaczył w r. 1583 na opiekunów swego syna Fryderyka obok swego brata Jana Kazimierza trzech gorliwych luteranów, z tem zastrzeżeniem, ażeby go w luteranizmie wychowywali. Ale Kazimierz, nie zważając zgoła na testament, zgromadził wojsko i wkroczył do Palatynatu, wyłączył innych od opieki, obalił cały testament, a kraj zagarnął pod swą władzę. Powszechnie powstało oburzenie: sam cesarz wdał się w tę sprawę i nakazał wykonanie testamentu Ludwikowego; ale całą odpowiedzią Jana Kazimierza były słowa: „Kto ma siłę, ma prawo“¹. Na to nie mógł nawet cesarz Rudolf nic poradzić, obiegała nawet pogłoska po Niemczech, że Jan Kazimierz otrul swego brata Ludwika, by skupić rząd w swem rękę. Wypowiada to siostra Ludwika w liście z 17 lutego 1584 r. do księżnej Sasko-Weimarskiej: „Sądzę, że musiał umrzeć, gdyż wszyscy doktorzy i rady byli kalwinistami“. Teraz przystąpiono raźnie do świętego dzieła tj. wprowadzenia prawdziwej religii — kalwinizmu. Urządzono wprawdzie w Heidelbergu 8-dniową dysputę między kalwinami i luteranami. Spór ich rozstrzygnęli studenci, występując przeciw kalwinizmowi, naprzód przez świstanie, stukanie i śmiechy, a następnie przez pisemny protest: „Kto nie chce przyznać, że kalwiniści są przez szatana ojca kłamstwa opętani, ten albo nie ma rozumu, albo jest przez szatana zaślepiiony“².

¹ Str. 57.² Str. 59.

Także deputacya 500 obywateli nie mogła u Jana nie uzyskać. Kościół luterski został zamknięty, uniwersytet musiał przyjąć profesorów kalwińskich, wszyscy luteranie zostali z pedagogików wyrzuceni, kilkuset kaznodziei zostało wypędzonych z kraju, a to dla tego, że są — jak odpowiedział Jan Kazimierz na przedstawienia elektora saskiego — „nadętą, chciwą grosza i honorów, pyszałkowatą, pijacką hołotą, która wszelki nieład wraz z żarłocstwem, opilstwem, grami, tańcami, do kraju wniosła, i która także ambonie wstyd i hańbę tylko przynosi“. Wiedział on dobrze, że luteranie dobrowolnie się nie nawracają, to też kiedy w Neumarkt wybuchło powstanie, Jan Kazimierz zmusił buntowników głodem do kalwinizmu¹. Smutny stan, w jaki powoli popadł palatynat, maluje nam Salm w następnych słowach: „Kościoły stały się przybytkami hańby; natomiast piwiarnie cieszą się gęstym odbytem; chrześcijańska moralność zamiera skutkiem bydlęcego opilstwa, gwałconej wiary małżeńskiej i nieczystości“. Sam nawet Jan Kazimierz żalił się: „Wśród prostych ludzi szerzy się wszelaka obraza boża, mordercze bójki, nieczystość, wyuzdane i hulaszce życie“. Ale nie lepszy od innych był „Święty kalwiński“ Jan Kazimierz. Nazywano go wprawdzie „Pomazańcem Pańskim“, „Pociechą Izraela“, „Gedeonem“, „Alecibiadesem“, ale bieda w kraju, srożąca się między luteranami i kalwinistami wojna ustawiczna, kłopoty pieniężne, nie dały mu znaleźć spokoju i zatruwały życie. Przytem i pożycie jego z żoną Elżbietą było nadzwyczaj smutne. Nienawiść ku niej doszła do tego, iż ją wrzekomo z powodu wiarołomstwa wtrącił do więzienia, a kiedy umarła, „powstało silne podejrzenie, że ją otrul, powiada wieloletni jego poufnik La Huguerye, żeby urzeczywistnić inne zamiary małżeńskie“².

Taki tedy człowiek był politycznym przywódcą partyi wrogiej katolickiemu kościołowi, cesarzowi i państwu. Jakież były zamysły tego księcia? „Uwikłać państwo niemieckie w wojnę z Hiszpanią, a niemiecką, francuską, niderlandzką sprawę do wspólnej akcyi skojarzyć³, ażeby za życia cesarza nie dopuścić wyborów, ale naprzód z pomocą Unii przeprowadziwszy bezkrólewie, osadzić na tronie cesarskim Henryka z Nawary, a natenczas

¹ Str. 162.² Str. 105.³ Str. 85.

z upadkiem cesarstwa austriackiego odłączą się Czechy i Węgry. Henryk IV. jako zwolennik Kalwina, przyciągnie całe Niemcy do kalwinizmu, a wtedy zagłada katolicyzmu stanie się tylko kwestią czasu⁴. I żeby ten plan urzeczywistnić, nie zaniedbał Jan Kazimierz żadnej ku temu sposobności. Pierwszą nastęrczyły mu zamieszki akwizgrańskie. Z powodu surowych rządów Alby w Niderlandach, schroniło się wielu kalwinistów i protestantów do czysto katolickiego miasta Akwizgranu; niektórzy z nich zostali nawet przyjęci do Rady, jednak z tem wyraźnem zastrzeżeniem, „że nie będą kusili się o żadne zmiany w rzeczach religii“. Niedługo atoli zażądali akatolicy publicznej służby Bożej i kościołów, a ponieważ Rada nie chciała na to zezwolić, zdobyli je przemocą, co więcej wybrali na własną rękę dwóch nowych sędziów obywatelskich, a kiedy katolicy protest przeciw temu założyli, wdarli się do arsenału, obsadzili bramy miasta i zmusili katolicką Radę do abdykacyi. Na skargi katolików, posłał wprawdzie cesarz kilku komisarzy do Akwizgranu, ci jednak, jak pisze sam cesarz, „musieli się wrócić wśród urągowsk i wszelkie usiłowania cesarskie spęzły na niczem“.

Nie również nie wskórała zbrojna pomoc biskupa z Lüttichu i księcia Juliusza z Jülichu; miastu protestanckie Akwizgran posilkowały, a hrabiowie uważali sprawę Akwizgrańczyków za swoją. Najczynniejszym naturalnie był Jan Kazimierz: „Jego posłowie byli dowódcami i kierownikami protestanckiego stronnictwa opozycyjnego. „Liczone na to, ażeby wszystko to — co w świętem państwie z pomiędzy książąt, hrabiów, prostej szlachty, miast, było nieposłuszne, uporne, skłonne do buntu — w jeden węzeł, jeden związek zespolic, a elektor Palatynatu Jan Kazimierz jest najznamienitszą głową wszystkich tych spraw i konspiracyj“.

Gdyby poszło po jego woli, zgnębionem zostanie wszystko co katolickie i luterskie, wszyscy duchowni (klasztery) zostaną usunięci, a jedynie panoszyć się będzie chciwy krwi kalwinizm „i kalwiński zwierchnik (w państwie) stanie u steru“. Tak powiada Bechtold o Janie Kazimierzu¹ w czasie, kiedy z powodu zamieszek akwizgrańskich tworzone tak zwany protestancki związek hrabiów.

Ale jemu nie wystarczało być głową hrabiów: chciał to zjednoczenie rozszerzyć także na miasta, i jedno przymierze hrabiów i miast przywieść do skutku.

W tej myśli pracował kanclerz jego Ehem na sejmie w Augsburgu, gdzie właśnie toczyła się sprawa akwisgrańska — a jego usiłowania nie były bezskuteczne, gdyż mógł swemu panu Janu Kazimierzowi oznajmić: „Wszyscy świeccy są przychylni naszej religii, panowie i miasta przyklaskują nam, wchodzimy z nimi w układy i kładziemy przynajmniej dobry fundament“¹. Związek ten jednakowoż nie przyszedł na razie do skutku. Sprawa dojrzewała powoli. Nowy obrót nadał jej smutnej pamięci arcybiskup koloński Gebhard, który przy tej sposobności wszedł w zdradziecki spisek z zagranicą, rozpoczynając już przedtem układy z buntowniczymi Węgrami². Dlatego właśnie został on wybrany przez Jana Kazimierza na apostoła kalwinizmu na rozkrzewienie „świętej ewangelii w czarnej Kolonii“. Gebhard z Waldburga człowiek pozbawiony wszelkiego moralnego poczucia, przy swym wyborze na arcybiskupa kolońskiego zaprzysiął wszystko, czego od niego żądał papież, ale w tym tylko celu, by zaraz przysięgę złamać i cały elektorat koloński dla luteranizmu lub kalwinizmu pozyskać. O prywatnem życiu tego apostoła krążyły najgorsze wieści: „że prowadzi rozwiązłe życie, wśród miłośnic i opojów; że się zaręczył z hrabianką Mansfeld, że pozbawił życia w tyrański sposób troje czy czworo ludzi. To rozgłaszano już po jego intronizacyi. To pewna jednak, że występował publicznie ze swoją nałożnicą. Bracia jej nalegali, by wszedł z nią w związki małżeńskie, co też i Gebhard uczynić obiecał. Według ówczesnego prawa, uznanego nawet przez wszystkich protestantów, biskup przystępujący do luteranizmu tracił *ipso facto* biskupstwo. Gebhard chciał się ożenić, ale zarazem i biskupstwo zatrzymać, a stąd popadł w kolizyę z Kościołem i ustawą państwa. Z tej matni wydobył go Jan Kazimierz. Doradził Gebhardowi, by się czempredzej ożenił, elektorat zamienił na księstwo świeckie i został kalwinem: „że on w tym celu gromadzi już wojsko, zawiązuje stosunki z Francją, od której oczekuje pieniędzy i posiłków, co więcej że ma wszystkich hrabiów na swe usługi“³. Po tem przyrze-

¹ Str. 22.² Str. 25.³ Str. 9.

czeniu ze strony Jana Kazimierza, oświecił wreszcie Duch św. arcybiskupa“. „Moje sumienie skłania mię — tak pisze do protestanckiego biskupa Bremy — do wyrzeczenia się błędów papieżstwa, zaślubienia panny Mansfeld i utrzymania elektoratu dla swych potomków“. Katolikom przeciwnie przysiągł „że woli raczej umrzeć, niż religię zmienić“. Hrabiemu Palatynatu Janowi Kazimierzowi przysięgał, że chce zostać kalwinem, luteranom że przyjmie naukę Lutra. Piękny zaiste wzór apostoła czystej ewangelii! Łatwo mu już było po takich przysięgach przyprowadzić do skutku „pobożne dzieło“ tj. wszedł w związki małżeńskie ze swą wybraną. Godna to była para, wart był „Pac pałaca a pałac Paca“.

„W Attendorn, tak pisze Kleinsorgen¹, pił Gebhard ze swą młodą małżonką przez cały dzień, w nocy zaś urządził z nią taniec na cmentarzu, przy czem górnicy śpiewali sprosne pieśni, którym on sam w śpiewie dopomagał“. Następnie wpadł z tłumem ludu do kościoła, potłukł młotem ołtarze i wszystkie obrazy postrzącał. Kaznodzieja Mateusz rozbił puszkę z Najśw. Sakramentem a hostye kazał nogami podeptać. „Raz znowu, ujrzawszy Gebhard krucyfiks na cmentarzu, rzekł do żołnierza: idź mój kochany i przebij go, jeżeli krew popłynie, to ją przynieś do mnie“². Takim był „złotrzonny Gebhard z Kolonii“. Jednakże nie powiodły mu się zamiary jego w zupełności. Kapituła katedralna wystąpiła przeciw niemu stanowczo a obywatele nie chcieli o takim panu ani słyszeć. Rzym rzucił nań kłatwę i złożył z godności a z nowej urny wyboreczej wyszedł brat księcia bawarskiego Ernest, który z pomocą katolickich Stanów siłą zbrojną wywalczył biskupstwo. Jan Kazimierz, któremu Gebhard również poprzysiągł, że chce zostać kalwinem, zaczął zbierać się do wojny przeciw Ernestowi bawarskiemu, pisał do „dziewiczej“ królowej angielskiej Elżbiety, do króla duńskiego o pomoc, usiłował księcia de Bouillon nakłonić do udziału, niemniej Saksonię, Brandenburgię i księcia Oranii w Nederlandach.

Najwięcej gotowości znalazł Kazimierz u króla Henryka z Nawary. Ten posłał osobnego posła Jakóba de Segur Pardeillana do Londynu z oznajmieniem „że protestancey książęta Niemiec zgodzili się, by przeszkodzić obiorowi króla z domu austriackiego, gdyż zmiana religii ze strony Gebharda w samą porę nastąpiła;

¹ Str. 34.² Str. 35.

że królowa ma posłać do Niemiec 200.000 talarów, on zaś przyśle równocześnie sporą sumkę i wiele klejnotów, że związek protestancki będzie o wiele silniejszym niż liga katolicka, by domowi austriackiemu i papieżowi temu „potworowi“ koniec położyć a prawowiernej religii (kalwinizmowi) zapewnić zwycięstwo¹. Elżbieta zgodziła się chętnie na to, wysłała poselstwo do króla duńskiego, a następnie do Stanów jeneralnych. Tak zdawał się być gotowym związek protestancki; który miał najprzód obronić sprawę Gebharda a potem Austryę korony pozbawić. Naczelnikiem jego w Niemczech mianowano Jana Kazimierza, który w rzeczy samej wkroczył z wojskiem do elektoratu, pałac i pustosząc po drodze wszystko, ale wreszcie pobity przez bawarskie wojsko z pośmiewiskiem i hańbą ustępować musiał. Tymczasem jego pupil Gebhard, codzień niemal się upijając a stąd niezdolny do żadnego działania, uciekł razem ze swą wybraną do Anglii pod skrzydła angielskiej królowej. Ta jednakże obeszła się z czcigodną parą nader zimno: a to dlatego „że nie wszedł w związki małżeńskie z pobudek wiary, ale cielesnych“. Jako jałmużnę na życie dała mu 2000 talarów. Gorzej jeszcze szło Agnieszce. Zawiązała ona zbyt czuły stosunek z ulubieńcem „angielskiej królowej, hrabią Essex, za co ze wstydem i hańbą wypędzoną została z Anglii“. Gdyby się był plan Jana Kazimierza udał, zasiadałaby większość w elektoracie protestantów; w ten sposób byłaby Austria przepadła, a Henryk z Nawary zapewne by zasiadł na tronie niemieckim. „Tak tedy udaremniony został wielki zamach na konstytucyę² państwa i religię“, lecz tylko na jakiś czas, bo jak zapewniał elektor w Heidelbergu (Jan Kazimierz) sprzymierzeni dokażą tego, że państwo więcej już nie zazna spokoju.

Tak pisał jeden z radców Moguncyi w roku 1584 i miał słusność. Bo chociaż pierwsza próba w Kolonii się nie powiodła, to Jan Kazimierz wziął się na nowo do dzieła. Sposobność do tego nastroczyły mu stosunki we Francyi, pod rządem bezdzietnego króla Henryka III. Henryk IV. chociaż kalwin rościł sobie pretensye do następstwa. Liga dążyła do przeszkodzenia temu a Henryk IV., nie chcąc dobrowolnie ustąpić, ogłaszał się za pomocą, i znalazł ją u Elżbiety i Jana Kazimierza. Elżbieta przedstawiała

¹ Str. 42.² Str. 54.

królowi duńskiemu i Janowi Kazimierzowi: „że Papież chce wszystkich książąt do uległości przywieść i gromadzi ogromne wojska, naprzód na wygubienie Hugenotów we Francyi, że zatem obowiązkiem jest wszystkich protestanckich mocarstw utworzyć wielką ligę przeciwko papieżowi, stąd też winni książęta porozumieć się przez posłów, a ona dostarczy pieniędzy aby za nie Jan Kazimierz zaciągnął 20.000 jazdy i 10.000 piechoty, na których czele ma wkroczyć do Francyi“¹. Jan Kazimierz zgodził się na ten plan. Sfabrykowano zatem w Heidelbergu paszkwil „Famoslibell“, w którym odmalowano biednym Niemcom w czarnych kolorach wiszące nad nimi niebezpieczeństwo. Donoszono tam, że Hiszpanie stoją już uzbrojeni na granicy swego kraju, którego władcą nie jest cesarz lecz Filip II., że papież (Syktus V.) rzucił klątwę na Niemcy i oddaje je Hiszpanom na „spustoszenie ogniem i mieczem“, na „krwawę jatki“, a wszystko to głównie skierowane jest przeciw kalwinistom i luteranom. Że nagromadzono ogromne w tym celu skarby, a w Pradze odkryto okropne rzeczy, mianowicie zabiegi Jezuitów, zmierzające do wymordowania wszystkich zwolenników augsburskiego wyznania. Odezwie tej przywodził najbardziej doktor Łukasz Osiander, zwłaszcza co do Jezuitów: „Szatan skazał przez swych powierników Jezuitów wszystkich luteranów na śmierć. Te chytre „dzieci szatana“, „wysłańcy piekła“ gromadzą potajemnie broń, przebierają się, stroją się w złote łańcuchy dla zamaskowania się, a na to tylko aby wygubić wszystkich pobożnych chrześcijan, przeciwnych ich bałwochwalstwu, i wywołać straszną rzeź w Niemczech i innych królestwach“². Do dania wiary tym baśniom przyczyniło się niemało, że Sykstus V. wykluczył od następstwa tronu zarówno Henryka IV. jak i księcia Condé we Francyi. Rozwścieklony niemal tem Henryk, polecił Janowi Kazimierzowi zgromadzić jak najliczniejsze wojsko, które pod jego dowództwo poddawał, a tytułując Elżbietę „głową wielkiego związku“, ofiarował się „jako posłuszny wódz“ na jej usługi. Jan Kazimierz usiłował z pomocą Francyi i Elżbiety tak elektorat jak i Brandenburgię pozyskać dla siebie, co mu się jednak tylko w Dreźnie udało. Jan Jerzy Brandenburski odpowiedział, „że nigdy nie był przychylnym związkowi, który się poczył

¹ Str. 66.² Str. 72.

we Francyi¹ i że sprawa Nawarczyka nie wyjdzie na dobre kalwinistom.

Mimo to zawarł w r. 1583 Jan Kazimierz i jego sprzymierzeni w Niemczech układ z Henrykiem z Nawary, wyprowadził wojska swoje za angielskie pieniądze zrekrutowane pod wodzą pruskiego burgrabiego Fabiana z Dohny do Alzacy, gdzie się tenże połączył z księciem Buillon, i nieszczęśliwy ten kraj, chociaż do Niemiec należący, w straszliwy sposób spustoszył. Byłoby jednak tylko częścią jego zadania: trzeba było nadto zawrzeć wielki protestancki a raczej akatolicki związek i jego ostrze zwrócić przeciw domowi habsburskiemu i Rzymowi. W tym celu toczyły się ustawiczne rokowania i w r. 1591 zgromadzili się elektor brandenburski, saski, książę anhalcki, przedstawiciele miast, przedewszystkiem Jan Kazimierz, w Torgawie, i zawarli między sobą przymierze zaczepno odporne przeciw „Reserwatowi kościelnemu“ tj. przyrzekli sobie wzajem, przy tem co katolikom bezprawnie zabrali i co jeszcze odbiorą, pozostać i tegoż bronić. Omawiano też sprawę Henryka z Nawary, który przyrzekał po uzyskaniu korony francuskiej popierać związek i posłać im w pomoc 2.000 jazdy i 6.000 piechoty. W zamian obiecywali mu sprzymierzeni: ponieważ państwo nie może już dłużej zostawać pod berłem papieskiem, trzeba się postarać o innego cesarza i inny rząd¹, tymczasem wszystkie siły mają ku temu zmierzać, ażeby Henryk odniósł zwycięstwo. Nadto należy wciągnąć do związku Niderlandy (ks. Orański), a tak osiągnięty będzie cel. Brakowało jeszcze do ukonstytuowania związku tylko kilku formalności, gdy wtem umiera Jan Kazimierz ks. Palatynatu w r. 1592. Sprawę związku musiano odroczyć, protestanci i kalwiniści pogrążeni byli w ciężkiej żałobie: „że zmarł pomazaniec pański, nasza pociecha i nadzieja, a góry i doliny, liście i trawy, niechaj tak długo rosa was nie zwilży, aż pomazańca pańskiego opłaczenie“. Odetchnęli natomiast katolicy, gdyż pękła sprężyna związku. Spokój ten jednakże nie trwał długo, gdyż protestanci pomimo zaprzysiężonego pokoju religijnego nie ustawali w swej propagandzie, i tak zreformowali całe biskupstwo strasburskie². Wojna zniszczyła Alzację, Turcy popierani przez Elżbietę, która sułtanowi dała do zrozumienia, że

¹ Str. 88.² Str. 108.

Anglicy przychylniejsi są dla Muzułmanów niż dla Chrześcian, zagrozili ponownie Węgry, i cesarz został ich lennikiem. Henryk IV. francuski, ofiarował sułtanowi najwierniejszą przyjaźń i otrzymał od niego odpowiedź: „że będzie go, (Henryka) jako wroga obłudnej służby bałwochwaleczej, całą siłą wspierał“, a także, że: „miło mu (sułtanowi) na tronie francuskim ujrzeć króla, który jest wrogiem Hiszpanii i papieża“¹. Nie skończyło się jednak na uprzejmych zapewnieniach: „Posłowie Anglii i Francyi — tak pisze Wenecyanin Matteo Zane — naradzali się ciągle z wielkim wezyrem, ażeby użyć całej tureckiej potęgi przeciw Hiszpanii i Austrii, i donoszą mu wszelkie nowiny ze świata chrześcijańskiego, a pośrednikami ich są żydzi“. Piękne towarzystwo! Równocześnie i dzieło Jana Kazimierza nie miało długo zostawać bez głowy: jego miejsce zajął kalwiński elektor Fryderyk IV. z Palatynatu. Ten podjął tradycje Palatynatu: korzystał z wszelakich bied państwa, żeby dawny plan uskutecznić. Na zgromadzeniu w Heilborn odmówił posiłków przeciw Turkom, ale dla Henryka IV. kazał gromadzić pieniądze i wojska tak, że poseł francuski Duplessi Mornay z tryumfem pisał do Paryża: „Wrzucimy Niemcy w ogień, i będziemy starali się skorzystać z ich śmierci“. Przytem pogardzał on z głębi serca niemiec-kimi książętami protestanckimi: „Nazywam ich ewangelickimi, chociaż nie mają oni w sobie nic ewangelickiego prócz nazwy“. A jednak starał się Henryk IV. zarówno przez Duplessis'a jak przez Bongars'a pod pozorem, że się to przeciw Hiszpanii dzieje, nakłonić tych protestanckich książąt do wielkiego związku przeciw Austrii; brały w nim udział Francya, Anglia i Stany generalne. Elektor Fryderyk IV., margrabia Fryderyk z Anspach, Maurycy z Hessen-Kassel wyteżali w tej sprawie swe siły. W tym celu zebrali się oni w Ambergu; nie mieli jednak jeszcze odwagi jawnie wystąpić, gdyż pod ten czas zdobyli Turcy Erlau „klucz świata chrześcijańskiego“, a tylko twierdza Raab broniła przed napadem na Wiedeń. Okrzyk przerażenia przebiegł Niemcy, i zmusił „umawiających się“ do ostrożności.

Smutnym był Sejm w Regensburgu, na którym cesarz domagał się posiłków przeciw Turkom. Największy opór stawiał palatynat

¹ Str. 112.

elektorski (Fryderyk IV.), stojący w związku z elektorem Joachimem Fryderykiem Brandenburskim (zmarły elektor Jan Jerzy choć luteranin zawsze był wierny państwu i cesarzowi) z księstwem Dwu Mostów, Anspach, Baden, Durlach, trzema Hessen i Anhalt, i nie tylko na nie nie zezwolił, ale nawet wytoczył zarzuty i skargi przeciw sejmowi. Cała odpowiedzialność za te wszystkie konspiracje spada na palatynat elektorski, wołano w całym państwie i słusznie. — Fryderyk IV. nowy „Gedeon“, godny w apostołowaniu następca Jana Kazimierza, na wskrós niegodny książę, głowa prawie ograniczona zostawał w zupełnej zawisłości od praktyk zagranicy¹. Brakowało mu, według zeznań współczesnych, nawet luteranów, wszelkich zdolności do sprawowania rządów, a nawet ci, pod których wpływem zostawał, skarżą się corazto więcej „na jego nieznośny zwyczaj, gdyż co chwila miota on najstraszniejsze bluźnierstwa i obelżywe słowa“. „Z małżonką swoją obchodził się z oburzającą dzikością i tyranstwem“. Kiedy w r. 1596 zaraza jego poddanych dziesiątkowała, on się wcale o nich nie troszczył. Dziennik jego pozwala nam najlepiej poznać nędzną tę kreaturę: z największą ścisłością zapisywał on wszelkie rozrywki myśliwskie, maskarady, pijatyki, bale, przebrane², podczas gdy poddanych jego trzebiła zaraza, a kalwinisci i luteranie wzajem się mordowali. Nadto z powodu nadmiernego picia był bardzo skłonny do apopleksyi. Wreszcie i współnikom było tego wszystkiego za wiele. Hans Schweinichen, towarzysz lignickiego księcia Fryderyka, sławny nader opój, pisze: „Bawiliśmy trzy tygodnie u palatyna (w Heidelbergu), cały czas spędzając na picciu, jedzeniu i tańcach, on (Fryderyk IV.) jestto w istocie dziwny pan, który nic nie umie tylko pić“. Dwór jego liczył 678 osób. Nie dziwota więc, że spotrzebowano rocznie 400 beczek wina, 2000 korcy żyta, 2500 pszenicy, 9000 jęczmienia etc. „i że wreszcie w r. 1599 skarbnik oświadczył, że palatyńska kasa straciła wszelki kredyt, a do zapobieżenia biedzie nie ma absolutnie żadnych środków“³. Takito człowiek był głową i „kierownikiem“ partyi rewolucyjnej, apostołem czystego ewangelizmu, albo kalwinizmu! — naturalnie tylko przez swoich radców i ministrów. Ulegał on we wszystkim woli Henryka IV. Ten zawarł wprawdzie r. 1598 pokój

¹ Str. 124.² Str. 130.³ Str. 131.

z Hiszpanią, co więcej przyobiecał uroczyście papieżowi Klemensowi VIII. prowadzić wojnę z odwiecznym wrogiem chrześcijaństwa, przywieść do skutku ligę między Francją, Niemcami i Polską, ale równocześnie kazał on zapewnić sultana, że „przyjaźń między Francją i wysoką Portą jest nadzwyczaj korzystną“, a zarazem podżegał niemieckich protestantów, zwłaszcza Fryderyka IV., żeby się z generalnymi Stanami przeciw Hiszpanii połączyli, która silnie popierała zamiary papieża tj. związek przeciw Turkom“. U Fryderyka IV. znalazł Henryk chętny posłuch. Siejąc najbezczelniejsze kłamstwa, o papieskiej uniwersalnej monarchii, a skutkiem tego o całkowitem wyłączeniu akatolików, przywiódł do skutku w marcu 1599 r. frankfurcki sejm, na którym stawili się wszyscy więksi protestanci i kalwińscy książęta, gdzie też większością głosów uchwalono: zaciągnąć 6000 wojska, wejść z Holandją, Danią, Anglią w ścisłą „korespondencję“, zmusić katolickich duchownych panów i miasta, żeby pieniężnie przyczynili się do tego przedsięwzięcia, a jeśliby „bezsilny cesarz“ przeciw temu występował, nie sobie z niego nie robić. Do Henryka IV. wyprawić poselstwo z oświadczeniem, że niemieccy książęta będą go w wojnie przeciw Hiszpanii wspierać i wybiorą go „protektorem“ Niemiec. I rzeczywiście zebrano wojsko, ruszono przeciw Hiszpanom (Mendoza), którzy nad Renem stali, spustoszone straszliwie katolickie biskupstwa, ale wojsko to żołdownicze zostało w puch rozbite i znowu rozwiały się plany rewolucyi przeciw cesarzowi, państwu i papieżowi. Na nowo rozpoczął intrygę Henryk IV. przez swoją podatną kreaturę. elektora Fryderyka IV., któremu pisał, że „jego przywiązanie do religii reformowanej nie zmniejszyło się przez wyznanie nantejskie, co więcej, że chce się jeszcze więcej do niej zbliżyć“¹. Znowu zwołał Fryderyk IV. „współpiskowców“ do Frankfurtu. Nic tam wprawdzie nie przyszło do skutku, ale powzięto doniosłe na przyszłość postanowienie: „Nie tylko w sprawach religii, w uchwaleniu podatków, w posilkach przeciw Turkom, ale także w stanowieniu wszelkich praw, mniejszości (akatolików) nie krępuje absolutnie większość (katolicy) — przeciwne bowiem postępowanie nie zgadza się ani z wolą Bożą ani z tradycją“. W ten sposób wstrząsnęli całym ustrojem państwowym i jego prawami.

¹ Str. 149.

Pokazało się to jasno w tak zwanym sporze o cztery klasztory, które protestanci zabrali katolikom, wypędziwszy wprzód naturalnie „bałwochwalców“, „papizm“. Katolicy odnieśli się do trybunału państwa i do cesarza; ci rozstrzygnęli spór (w trybunale państwa była większość zasiadających protestancka) naturalnie na korzyść katolików, ale „duch rewolucyi“, Fryderyk IV., doprowadził do tego, że wyrok trybunału nie odniósł skutku, a on wraz ze spiskującymi chwycił za oręż, aby przeciw cesarzowi i katolickim stanom bronić uzurpatorów. „Prawa państwa leżą bezsilne, zdeptane“ powiadali nawet wierni protestanci.

Fryderyk IV. posunął się jeszcze dalej. Turcy szerzyli swe podboje w 1610 r., zajęli Kanisę i stanęli u bram Styrii. Po dwakroć Rudolf, który przecież popierał Stany generalne i wstawiał się za nimi u innych protestanckich książąt, błagał elektora o „zmilowanie“ i „we wzruszający sposób o śpieszną pomoc“, ale napróżno. Na zebraniu protestantów w Friedbergu postawiono nawet zasadę, że „można od cesarza apelować do Stanów“¹, albo jak nadworny prawnik palatyński twierdził „do elektora palatynatu“ (Fryderyka IV.). Przytem nieustannie umawiał się elektor i Maurycy Saski z Henrykiem IV., co do nowego wyboru króla „w każdym jednak razie ma być dom Habsburgski wykluczony“. Namawiano nawet Maksymiliana Bawarskiego, czysto katolickiego księcia, żeby wystąpił jako rywal, czego atoli tenże odmówił. I wtedy dopiero porzucono sprawę Henryka, kiedy arcyksiążę Maciej, podniósłszy rokosz przeciw bratu i złączywszy się z palatynatem i innymi protestanckimi Stanami, rzucił się całkowicie w objęcia kalwinizmu, zarówno w Niemczech jak i na Węgrzech². Fryderyk IV. wziął w swą opiekę rewolucję na Węgrzech i Siedmiogrodzie, niemniej i zdrajcę Boczkaja, „który w jednym roku więcej klęsk zadał, niż Turcy w długoletnich wojnach“³. Lecz po tem wszystkim był (Fryderyk IV.) tylko ślepem narzędziem Henryka IV., „ażeby gdzie tylko można dom habsburski kłopotu nabawić“. Nacierał nieprzerwanie na to, aby nareszcie przysła do skutku w Niemczech Unia protestancka, opieszalych protestantów miały skłonić do przystąpienia do niej groźne wieści, które Fryderyk kazał

¹ Str. 164.² Str. 248 itd., str. 293 itd.³ Str. 250.

wszędzie rozszerzać o praktykach Jezuitów, papieża¹ i ligi². Palatynat elektoralny zerwał sejm w Regensburgu z r. 1608, podburzył Macieja i Rudolfa. Dziewięć „krwawych praktyk papieża i jego piekielnej czeredy Jezuitów“ przeciwko luteranom zostały na nowo puszczone w obieg³, a wskutek tego dał się pozyskać nawet Joachim brandenburski, który się długo wzdrygał przed „nowym związkiem szmalkaldzkim“. Saksonia elektorska, Wirtemberg, które kalwinistów (palatynat elektoralny, Anhalt) w równej mierze, jak katolików nienawidziły, dały się skłonić posłowi angielskiemu i duńskiemu, że „nie oglądając się na religijne nieporozumienia — przystąpią do tego związku“⁴.

Dnia 16 maja zebrali się więc w Ahausen książęta, i wysłanicy wszystkich stanów niekatolickich i zawarli Unię: „Sonderbund“, mającą na celu wrzekomo bronić religii, w rzeczywistości coś postępować w duchu listu związkowego, którego autorem według wskazówek Henryka IV. już w r. 1606 był Chrystyan z Anhaltu⁵. Na czele tego związku stanął Fryderyk IV. z Palatynatu, który wniósł, „aby związkowi zaraz się zbroili i uderzyli na Czechy“, a to dlatego „ażeby kierownictwo sprawy odebrać radcom praskim (cesarza) a oddać je państwu (Unii)“. To było zadaniem głównem całej Unii, a poza tem wszystkiem czyhał Henryk IV. na koronę cesarską. Pierwszem owocem Unii było, że Maciej któremu jego brat najpiękniejsze kraje wydarł, przyłączył się do niej; w Wiedniu i całem księstwie austriackiem nadał protestantom wolność religijną, którą później ci tak zrozumieli, że „kiedy im się spodoba, będą mogli Macieja wypędzić“. Tak oświadczył bez ogródek „głowa i rzecznik protestantów“, „ich ewangelicki trybun“ baron Jerzy Tszernebl⁶. Ten zaproponował nadto księciu Chrystyanowi anhalckiemu za pośrednictwem hrabiego Stahremberga związek przeciw Maciejowi. Związek ten miał na oku przedewszystkiem Wiedeń. „Jeśli Wiedeń posiadziemy, to domowi austriackiemu zostaną tylko Czechy i Szląsk, gdyż Turcy pomogą nam; w ten sposób będziemy mogli przeciwnikowi opór stawić, ale także zhołdować wszystko naszej religii i zreformować“. Maciej nie wi-

¹ Str. 250.² Str. 261—272.³ Str. 299.⁴ Str. 301⁵ Str. 301, 305.⁶ Str. 561.

dział dla siebie innego sposobu wyjścia, jak tylko oddać się i zezwolić na wszystko, czego się odeń domagano. „O Macieju! pisał arcyksiążę Leopold, wy jesteście powodem ruiny własnej i naszego domu“¹. Mefistofeilesem Macieja był wiedeński biskup Melchior Klesl, którego słusznie nazywano „dżumą domu austriackiego“². Ten „zażarty wróg domu austriackiego“³ zostawał w rozległej korespondencyi z rozkoszwaniami w Węgrzech, z Unią, Francją i zdradzał to Macieja, to Rudolfa, to znowu protestantów, jak mu potrzeba było. Za to atoli ściągnął na siebie „jako zdrajca“ powszechną wzgardę Niemiec.

(C. d. n.)

Ks. A. Kraetzig.

¹ Str. 565.

² Str. 692.

³ Str. 698.



KRYTYK NASZYCH POWIEŚCIOPISARZY.

(Dokończenie).

(Nasi powieściopisarze. Zarysy literackie, skreślone przez Piotra Chmielowskiego. Kraków 1887).

I w rozprawie o *Kaczkowskim*, nie mógł się powstrzymać p. Chmielowski od rzucenia terminu, który w ustach Polaka nader dziwnie wygląda. Charakteryzując różne prądy społeczne, pisze na str. 294 o dwu wybitnie występujących kierunkach arystokratyczno-katolickim i demokratyczno-postępowym. Czy katolicyzm jest antytezą postępu, jak arystokracja antytezą demokracji? Czyż krytyk podziela opinie, które się już wybrukały w nihilistycznym błocie, a którym tak bardzo sprzyja p. Suworyn *et tutti quanti*? Czy z polskiego stanowiska patryotycznie taką powtarzać teorię w kraju, gdzie katolicyzm broni narodowości?

Zadowolniwszy się tym terminem, na wiernie, ale konturowo przedstawionem tle historycznem, zebrał p. Chmielowski z właściwą sobie skrzętnością wszystkie fakta, które stworzyły i wyrobiły Kaczkowskiego powieść, jego zasady i charakter twórczości. Gdzie idzie o zebranie szczegółów, tam krytyk skrupulatnym jest pracownikiem, w wykładzie jasnym, choć suchym. To też zapęd do badań historycznych, do szukania tradycyi, pojawienie się: Szajnochy, Bartoszewicza, gawęd Pola, Syrokomli i t. d. skreślone prawdziwie i w miarę. „Przeszedłszy przez różgi doświadczenia krwawego, umysły szukały ukojenia w rozpamiętywaniu przeszłości. Chciano zapomnieć, choćby na czas krótki tylko, o niesmaku bieżącej chwili i zanurzyć się w ożywczem źródle tradycyi, chciano

sobie osłodzić przykrość położenia rzeczywistego, przypomnieniem dawniejszej sławy. Przedstawiać tedy przeszłość w obrazie żywym, taką, jaką była, a choćby nawet dobrze jej pochwlebić; zainteresować ubiorami, sprzętami życia domowego, ciekawostkami archeologicznymi, stało się przedmiotem pragnień czytelników i usiłowań autorów" (str. 299). To zetknięcie się i powieści i poezyi na gruncie historii i tradycyi sprawiło, „że powieść była niejako przed-sionkiem poezyi, a poezya aureolą powieści" (str. 302). Wśród takich usposobień pojawia się Kaczkowski.

Dość przedmiotowo, ze spokojem wyjątkowej daty, mówi krytyk o prądach agitacyjnych z przed r. 1846, o „zludzeniach" „działaczy", o „Radzie Narodowej", o starciach na gruncie konstytucyjnego życia 1848 r. i o tem, że Kaczkowski wobec wszelkich gorączek chwili ówczesnej, pozostał konserwatystą i katolikiem.

Podając relacje o Nieczujowych powieściach, nie nieuje już p. Chmielowski jak w „Pamiętnikach Soplicy" szlachty z XVIII. w. z nieubłagany, pastwiącym się sarkazmem, ale jak historyk, a nie satyryk, kreśli krótko, trafnie, a dosadnie stosunki wzajemne szlachty i magnatów (str. 361).

Analizy estetycznej mało, a i to, co jest, nie ma należytego układu. Krytyk co moment zbacza od przedmiotu, czytelnik gubi się w labiryncie szczegółów pomieszanych tak, że w pierwszym czytaniu trudno dociec, co do czego należy. Żadnej powieści w całości krytyk nie przedstawia, szkicuje gdzieśgdyś główne postacie, a „Murdelionem" i „Grafem Rakiem" zajął się tylko dokładniej.

Rozprawiając się z najnowszą działalnością Kaczkowskiego, podaje Chmielowski o „Tece Nieczui" zupełnie obojętną relację, z której atoli można poznać, jakie było Kaczkowskiego na „Tekę Stańczyka" zapatrywanie. Własnego zdania krytyk o „Tece Nieczui" nie wypowiada, bo nie ma zapędu do włożenia swojego „ja" w tę, lub w ową „Tekę".

Chętnie wraz z krytykiem wyciągniemy moral z pism Kaczkowskiego, zgadzając się najzupełniej, gdy mówi, że „słusznie utrzymywał, iż na wybuch jakiś gwałtowny, na poświęcenie się domowe, na wojnę choćby śmiertelną, stać nas było każdego czasu; ale obaczyć przed sobą cel jakiś daleki, dążyć do niego wytrwale"

pracą całych pokoleń, poświęcać się jednemu celowi codziennie przez całe życie, nigdyśmy nie umieli“.

Żałować wypada, że tło historyczne w pracy o Kaczkowskim tylko naszkicowane, a gdy mowa o *Zacharjasiewiczu*, to już zaledwie kilka rysów historycznych widzimy, a rysów tak bladych, że niktby zgola z książki p. Chmielowskiego nie zrozumiał ani owych dusznych lat Metternichowskich i onego wiatru wydmuchiwanego miechem emigracji paryskiej, ani tych wszystkich robót, co stworzyły „św. Jura“. Mimo względów cenzuralnych, dałoby się przecież powiedzieć o tem wszystkim coś więcej, a bodaj tyle, by Zacharjasiewicz nie wyskoczył jak Minerwa z głowy Jowisza, ku podziwieniu czytelnika, dlaczego takim jest, a nie innym, co mu szeptało natchnienie, co kołysało talent pisarski.

Zaledwie z kilku słów dowiadujemy się, że Zacharjasiewicz dwa razy więziony, zrazu zwolennik radykalizmu głoszonego przez „Postęp“, potem na chwilę panslawista (w ówczesnem, a nie dzisiejszem słowa znaczeniu), staje się wreszcie „marzycielem-realistą“. „Czy można marzyć, a jednak mieć poglądy realne?“ — zapytuje Chmielowski i dość obszernie, choć nie dość jasno na to odpowiada i teoretycznie i analizą dzieł Zacharjasiewicza.

Analiza nie jest dla krytyka celem, jeno środkiem do stwierdzenia pewnych tez *a priori* o autorze wypowiedzianych, to też nigdzie całego obrazu, nigdzie zaokrąglenia w ocenianiu utworu i żadnego nie poznajemy dokładnie. Ten z profilu węglem naszkicowany, z tamtego jedna główka, z innego kawał draperyi. Chmielowski szuka argumentu, dowodu na poparcie tezy, a gdy mu się zdało, że ją znalazł, porzuca i powieść i figurę, o którą zaczął i szuka nowych świadków, coby mu powiedzieli, czy np. Zacharjasiewicz był postępowym. Ulubione to jego pytanie, więc powołane do złożenia świadectw „Dzieje ideału“ (str. 467) więcej od innych otrzymują pytań, rzecz rozebrana dokładniej, coś i z treści nawet ułamano, ale z tej inkwizycyi polityczno-społecznej wynik nie wielki, bo sędzia ferował wyrok, że autor jest nieokreślony, postępowy i niepostępowy zarazem.

Wytykając autorowi słabość stylu i języka, zapewnia p. Chmielowski, że „dopiero kiedy Zacharjasiewicz zaczął stałe prawie przebywać w Warszawie, kiedy się bliżej i dokładniej przyj-

rzeł sposobowi pisania, jaki tutaj panował, kiedy się obeznał z wymaganiem redakcyi, — wówczas styl swój wygładził, uczynił giętszym i odpowiedniejszym do wyrażania różnych odcieni myśli i zaczął tworzyć bez porównania daleko więcej niż przedtem, gdy był w Galicyi“ (str. 477).

Jest to słabostka cokolwiek parafiańska tej barwy co „globus węgierski“; zabawna, a nie szkodliwa. Nie gniewamy się o nią, jeżeli sprawia przyjemność p. Chmielowskiemu, jak ongi cieszyło go przekonanie, że tuzin tak zwanych pozytywistów zreformował całą Polskę. Mimo, że kazał autorowi uczyć się dopiero w Warszawie, przecież kończy artykuł uwagą: „w tych utworach, jak „Na kresach“, „Św. Jur“, „Zakryte karty“ i t. p. spełnił dobrze zadanie pisarza narodowego i wystawił sobie trwały pomnik literacki (str. 479). A przecież te dzieła napisał przed odbyciem studiów w Warszawie.

Artystyczniejszy od poprzednich zarysów literackich, jest VI. o *Milkowskim* (Jeżu). Postać Jeża wyraźna plastycznie, choć nie psychicznie; rozumiała, ale bez ducha. Jest to rzeźba człowieka, nie człowiek. Tło historyczne suche, o rysunku niedostatecznym, a bez kolorytu. A jakiż to znakomity materyał do tła historycznego: wojna węgierska, dantejskie cierpienia emigracyi, wojna krymska, roboty polskie na Wschodzie. We wszystkim Jeż bierze udział, ale ze wszystkiego zaledwie anegdotycznej wartości epizody. To też postać autora, choć wykrojona starannie, wygląda jak przylepiona do tła, a nie malowana na niem, wśród niego.

Razić może na wstępie jakiś zapęd panegiryczny, który się w toku rzeczy zamienia w nieco sentymentalną adoracyę skrajnych, negacyą podszytych, a bezwyznaniowością cuchnących zasad autora. Wielbi go Chmielowski, że im wiary dochował. Wierność to godniejsza lepszej sprawy.

Co u kogo innego uchodziłoby mogło za retorykę, to u zimnego, a tak nie retorycznego p. Chmielowskiego, mimo woli czytelnika na panegiryk wygląda. „Przypatrując się wizerunkowi naszego powieściopisarza, rozważając tę kościstą budowę jego twarzy zawiedłej a kanciastej trochę, te brwi nastroszone (sic!), ten wąs obfity zawieszysty, ten wyraz energii, siły i hartu, jaki z oczu jego bije, mimowoli zrobić musimy spostrzeżenie, że fizyognomia ta wy-

różnia się jaskrawo od przeciętnej dzisiejszej twarzy poetów i belletrystów“ (str. 483). To, nawet cokolwiek, jak na p. Chmielowskiego, patetyczne skreślenie fizyognomii autora, wyraźniejszym jeszcze staje się panegirykiem, gdy mówi „o rzymskiem“ pojmowaniu obowiązku, gdy do Paprockiego się ucieka, by szlachectwo Miłkowskich wykazać, gdy dodaje: że „Miłkowscy pieczętowali się herbem Ślepowron, o którego współklejnotnikach jeszcze *Długosz* zauważył, że byli to wszyscy *viri bellicosi*“ (str. 484), a wreszcie, gdy nie zapomina i matki autora Balbiny Brudzewskiej z domu, zaliczyć do rodu senatorskiego, zapewniając, że „Brudzewscy byli wojewodami i kasztelanami“ i z nich pochodził sławny Wojciech z Brudzewa. Czy to może nie dla chwały „Towarzystwa demokratycznego“, że taki *natus* był jego członkiem?

Z wielką sympatją skreślona postać p. Józefa Miłkowskiego, porucznika wojsk polskich, ojca Zygmunta, bo znalazł w nim to p. Chmielowski, czego u innych dopatrzyć się nie chciał, i to, co mu do przekonań religijnych bardzo się dostroiło.

Pan Chmielowski zobaczył kilku rozpróżnionych dandysów o historycznych imionach, marnujących i majątek i cześć rodową na warszawskim bruku i już te karykatury uczynił sobie typem bogatej młodzieży szlacheckiej; poznał z tuzin ciasnych głów szlacheckich i już ich ciasnotę mózgu zgeneralizował na całą szlachtę. Tak musimy przypuszczać, skoro prawość charakteru i sprawiedliwe obchodzenie się z chłopami p. Józefa Miłkowskiego i słowa „szlachcicem u mnie ten, co szlachetnie postępuje“, „nie ma żadnej zasługi w pełnieniu obowiązku, ale nie pełnienie jest zbrodnią“, poczytuje za fenomen jakiś, który dopiero krytykowi odkryć się udało.

O ile ten fenomen p. Chmielowskiego wcale nie jest fenomenem, (bo my tu z własnych wspomnień, z własnego doświadczenia i żywej, nie kłamanej tradycyi poświadczyć możemy, iż na dziesięciu szlachciców, bodaj połowa była takich), — o tyle znowu dalsze właściwości domu p. Józefa, są istotnie wśród szlachty niezwykle. „W domu Miłkowskich nie znalazłbyś książek do nabożeństwa, z wyjątkiem jednej bardzo starej, będącej własnością babki“. „Rodzice i dzieci postów nie obserwowali, w kościele bywali zaledwie parę razy do roku“. Księża u p. Miłkowskich nie bywali, z wy-

jątkiem kanonika Komornickiego, który był „kapłan z a c n y, przekonań liberalnych, zapalony myśliwy“ „deklamował wiersze i polował“ (str. 487).

To już chyba tylko dla ócz p. Chmielowskiego pochwała panegiryczna tak pp. Milkowskich, jak i owego „zaczego“ kapłana, który swą zacność kapłańską objawiał w polowaniu, deklamacyi i liberalizmie.

Cieszy się krytyk, że w liceum w Odessie, „panował duch pewnej swobody“, bo „studenci nie byli przymuszani do słuchania wykładów religii“ (str. 490) a skupia po części zasługę w sprawie dążenia do uwłaszczenia włościan, około 24 letniego akademika kijowskiego, późniejszego Jeża, który „w duchu tym napisał i rozpowszechnił odezwę do współobywateli“ (str. 493). Czyż takiemu pisarzowi jak p. Chmielowski przypominać potrzeba, że autorowie konstytucyi 3 maja wprawdzie żyli, zanim się kijowscy akademicy brać do reformy zaczęli; że szlachta i pod rosyjskim rządem w prośbach do tronu, i pod austriackim w sejmach postulatowych, domagała się uwłaszczenia, gdy jeszcze ani p. Chmielowskiego, ani nawet Jeża na świecie nie było; że jeżeli ta sprawa nie rozwiązała się we właściwszym czasie i po myśli polskiej, to nie dlatego, że „ustrój kastowy“ temu przeszkadzał (str. 510), jeno — że jej przeszkadzała obca polityka. Zagadka też to prawdziwa, kiedy to i kto taki gardził u nas cywilizacją zachodnią? (str. 510).

Gdzież się podziało poczucie estetyczne p. Chmielowskiego, gdy przytaczając i streszczając ustępy z „Drugiego Bożego przykazania“, nazwał je scenami „które śmiałością, a zarazem trafnością satyry przewyższają wszystko, co w naszej literaturze istnieje“ (str. 536). Namby się zdawało, że ani „trafności“, ani „satyry“ tam nie ma, jeno „śmiałość“ w znikczemnieniu godności człowieka, jeno obelżywa karykatura, a tak ordynarna, że istotnie „przewyższa wszystko, co w naszej literaturze istnieje“... karczemnego.

Wierny sobie pan Chmielowski, uważa w analizie względy estetyczne za uboczne, a szuka w autorze myśli społecznej i według tego jedno dzieła, jak „Historia o pra...pra...prawnuku itd.“, „Drugie przykazanie“ rozbiera obszernie, o innych w kilku wierszach wspomina.

Mimo uwielbienia dla autora, przyznaje krytyk, że Jeż tro-

szczył się o propagowanie myśli społecznych, że „przedmiotowości zupełnej w kompozycji osiągnąć się nie starał (str. 549), że artysta z niego nie zamiłowany i nie tęgi, w stylu zaniedbany, w języku często prostacki“.

Gdyby tu można było zastosować ową sentencję *si finis bonus, laudabile totum*, to ostatni zarys o *Sienkiewicz*u, dodawałby powagi i godności całej książce. Nie wysuwa się tu p. Chmielowski podjazdem na katolicyzm i konserwatyzm, nie indaguje autora z przekonań politycznych, czy społecznych, nie rozlewa zgorzkniałej satyry, ale od początku do końca przemawia z powagą krytyka, w dobrym tonie estetyka. To też to jedyne, z prawdziwie estetycznego stanowiska traktowane studium literacko-krytyczne.

Wstęp do zarysu, może nieco za długi, za teoretyczny, cokolwiek akademickiego znaczenia wobec tego, co po nim następuje; zdaje się zapowiadać jakąś wyczerpującą historję powieściopisarstwa już nie tylko naszego, ale nawet europejskiego, jest jakoby przyszyty do zarysu, a nie zrosły z nim organicznie. Ale nie gniewamy się za ten przyczynek, bo wiele tam myśli cennych, obserwacyj bądź świeżych, bądź w porę przypominanych. Może zanadto uogólnione słabe strony dawniejszej krytyki, może za silnie wytknięte, a niekoniecznie też wierzyć nam wypadnie, by bezwzględnie anatomiczną analizą dało się „zrozumieć przedewszystkiem pisarza i jego dzieło, a potem wyjaśnić ich dla siebie i dla drugih...” (str. 557), bo taka anatomia nie zdolna wyszukać ani w pisarzu, ani w dziele, najlepszej ich części, bo porywów ducha, siły wrażeń, jakie rozrzucają między czytelników.

Niebardzobyśmy się godzili na charakterystykę przedmiotowości, którą krytyk w tak zwanym „realistycznym“ kierunku upatruje. Oczywiście, że „*Pan Tadeusz*“, to „najpiękniejszy i najświetniejszy przykład przedmiotowego traktowania osób i zdarzeń“, (str. 561), ale czyż rozwinął się dzisiejszy realistyczny kierunek na modłę *Pana Tadeusza*?

Pan Chmielowski zastrzega się, by nie brać realizmu za jedno z naturalizmem, „który wykrzywił ideę Balzaka, gdyż z niechęci do bohaterów, wyrzekł się ich całkowicie, we wstępie do napuszonych figur szlacheckich i objawów patetycznych, polubił błoto społeczne“ (str. 561), ale niech i nam wolno będzie zastrzedz się prze-

ciw takiemu pojmowaniu realizmu, jakie p. Chmielowski wyznaje. Według niego nowelle Sienkiewicza, reprezentują świetnie kierunek realistyczny — a namby się zdawało, że ten realizm pesymizmem nazwaćby należało. Nikt nie dorównał Sienkiewiczowi w udzielaniu figurom powieści: wydatności, siły, żywotności plastyki i owej prawdy, która realizmem się określa, ale dlaczegoż bohaterowie jego są zawsze tragiczni? Dlaczego niema realizmu wydarzeń, obok realizmu osób? Jeżeliby p. Chmielowski upierał się przy tem, że tam i wydarzenia realne, to musiałby nas przekonać, że nieszczęście jest prawidłem życia. Zgodzę się na realizm, który przedstawi życie w całym jego pojawie, a nie w wyjątkowych fatalnościach.

Dzisiejszy tak zwany kierunek realistyczny, niemal w całej swej produkcyi przybrał cechy pesymizmu. Treścią nowel bywa niemal zawsze jakiś smutny, nieszczęśliwy wypadek, zwycięstwo ruchu nad sprawiedliwością, tryumf rozpusty nad enotą, namiętności nad charakterem. Czyż to może być rzeczywistym obrazem aktualnych stosunków życia? Jeżelibyśmy olśnieni tem, że tak zwani realisci malują ludzi prawdziwych, wyrwanych żywcem z tłumu, uwierzyli w to, że i wydarzenia są równie wiernym obrazem ogólnego życia, to życie musiałoby nabrać dla nas prawdziwego wstrętu.

Że życie jest trudem, pracą, walką, cierpieniem, tego nas uczy doświadczenie; że wśród tych walk zdążamy do celu wyższego — uczy nas wiara; że w cierpieniu doskonalić się mamy, uczy nas etyka, a tak zwany realizm chciałby nas nauczyć, że życie jest nieszczęściem bez ratunku, że jest igraszką losu, dziełem ślepego przypadku, wynikiem sił ścierających się w przyrodzie, klęską jakąś, od którejby nam uciekać samobójczo należało. Gdybyśmy w to uwierzyli, trzebaby nam zaprzeć się cywilizacyi chrześcijańskiej, uwierzyć w „siłę przed prawem“, powiedzieć bytowi narodowemu: *lasciate ogni speranza* i to bez nadziei, by jaki Dantyszek napisał: Jeszcze nie zginęła!

Tak nam się przedstawia dzisiejszy kierunek realistyczny i dlatego upieramy się przy tem, że go z całą słusnością: pesymistycznym nazwać można i dlatego też pod każdym innym względem znakomite nowelle Sienkiewicza, te prawdziwe arcydzieła genialnego talentu i artyzmu pesymistycznymi nazwać sobie pozwalamy,

przyznając zresztą, że ocena, jaką im p. Chmielowski poświęca, bystra, rzetelna a podjęta z pewnem ożywieniem, czego dotąd tak wyraźnie nie widzieliśmy u p. Chmielowskiego, dokonana gruntowniej i ściślej, od poprzednich.

Trudno natomiast pogodzić się z krytykiem, gdy mówi o pierwszej wielkiej autora powieści „Ogniem i mieczem“. Dotąd okazywał p. Chmielowski, że u niego w sądach estetycznych *conscientia laxa*, a tu stanął na trybunie z aparatem największego pedantyzmu a może mizantropizmu (przepraszam za to wyrażenie) estetycznego i krytycznego. Przyznając wielkie temu arcydziełu zalety, uderza przecież w jego kompozycję i takie wysnuwa *conclusum*, że powieść ta arcydziełem nie jest, że tylko cząstki kompozycji świetnie wykonane, ale że może zająć „zaszczytne miejsce obok *Listopada*, *Murdeliona*, *Grobu Nieczui*, *Uskoków*, *Hrabiny Kosel*, którym bardzo wiele zawdzięcza“ (str. 630).

Każdy, kto uważnie przeczyta książkę p. Chmielowskiego dopatrzy się dwóch rzeczy *à propos* tego *conclusum*. Pierwsze: Krytyk zupełnie inną skalą surowości wymierzał wartość wymienionych powieści, niż powieści Sienkiewicza; tamte sądził z pewną pobłażliwością, patrząc przez szpary i na całość i na szczegóły, te zaś osądza z wyszukanyim pedantyzmem, popartym silną dialektyką. Powtóre: mimo tak nierównej miary, przecież *activa* „Ogniem i mieczem“ przez samego p. Chmielowskiego wykazane, są w trójnasób większe od aktywów tamtych powieści, a *passiva* w trójnasób mniejsze, znowu według tego, co p. Chmielowski o tem pisze.

Pytanie się więc nasuwa: dlaczego w sądzie nierówna miara, dlaczego w obliczeniu bilansu pominięto owe *super plus* aktywów i „Ogniem i mieczem“ nie ustawiono po nad tamtymi powieściami, ale obok nich?

Nie myślę wcale insynuować p. Ch. złej woli, ani świadomej siebie niesprawiedliwości, ale gdy sobie przypomnę z jaką złośliwością patrzyła pewna część prasy na zapal, z którym wyrwali sobie i wielcy i mali, i starzy i młodzi, i uczeni i prostaczkowie tę wielką powieść Sienkiewicza, gdy sobie przypomnę, że ów pseudo-realizm, a raczej pesymizm, z filozofii pozytywistycznej wyrosły, a sosem teoryi ewolucyjnych podlany, stał się bożyszczem

tak zwanego postępowego obozu, to mi się rzecz tak przedstawi: Chmielowski zachwycony nowellami Sienkiewicza o barwie pesymistycznej, rozgniewał się, że w „Ogniem i mieczem“ zobaczył zwrot od tego kierunku, rozgniewał się zapalem, jaki powieść ta obudziła i wysadził się na pedanterię i dyalektykę, by powieść ściągnąć z tej wysokości, na jakiej i opinia publiczna i krytyka ją postawiły. Tymczasem w toku rzeczy sam się unosi potęgą dzieła, ulega jej, wyszukiwanie wad i usterek wiedzie się dość niezgrabnie, naciąga się co można, lecz mimo tego, piękność pięknoscia, wielkość wielkoscia i p. Ch. stanął u końca rozprawy i cóż ma powiedzieć? Przypomniat sobie, że chciał zmniejszyć urok tego arcydzieła, więc dolepił *conclusum*, zgodne z tezą, ale nie z przeprowadzonym dowodem.

I czemuż to chce dowieść krytyk niedostatków kompozycyi? Oto np. nie chce pojąć, dlaczego Zagłoba uprowadza z Rozłogów Helenę, skoro to było „w rażącej sprzeczności z jego charakterem“ (str. 612), a jednak na innem miejscu mówi, że Zagłoba to „łgarz i samochwalca, tchórz i pijak, ma przecież w gruncie pocziwe serce, umie się nawet rozczulać; przyciśnięty koniecznością, staje się rozpaczliwie odważnym“ (str. 615). I po cóż to było „samowoli autora“ przypisywać fakt uprowadzenia Heleny, skoro *ipsissima verba* krytyka tłumaczą ów fakt zupełnie jasno. Dobre serce w Zagłobie przemówiło na widok Heleny, zdanej na łaskę i nielaskę Bohuna, „przyciśnięty był koniecznością“ wydobyć się z pomiędzy kozaków, by nie ściągnąć na siebie jeszcze większej na przyszłość kondemnaty, „przyciśnięty był koniecznością“ ucieczki od dzikiego Bohuna, którego po krwawych scenach w Rozłogach bardziej się przeląkł, niż niepewnych losów, na jakie się teraz puszczał, mając w nich przecież prawo liczyć na pomoc „forteli“.

Nie może sobie, a raczej nie chce p. Chmielowski wytłumaczyć, dlaczego Skrzetuski sam nie ubiega się o zdobycie Heleny, dlaczego nie schodzi się z Bohunem i nie stacza z nim walki o Helenę, dlaczego czynią to Zagłoba i Wołodyjowski? Tego, że Skrzetuski przeniósł sprawę publiczną i obowiązek żołnierza nad sprawę miłosną, nie chce krytyk uwzględnić, bo jak mówi i Wołodyjowski i Zagłoba nie ubliżając obowiązkowi żołnierskiemu o losy Heleny się troszczą. Ależ proszę sobie przypomnieć, że Zagłoba

radby uniknąć pola bitew, a Skrzetuski go szuka z poczucia obowiązku, że Skrzetuski jest w powieści personifikacją tej dobrej, pięknej, wzniosłej strony rycerskiego ducha, co kazał wszystko poświęcać ojczyźnie, tego ducha, który jeszcze nie całkiem uleciał z narodu w owych czasach i słusznie pojawia się w powieści. Skrzetuski zdał na Boga losy swego serca i dołą Heleny, jak prawy rycerz, który jeden miał cel: służyć ojczyźnie. Gdyby jego wola była się rozłamała na dwoje i podzieliła między ojczyznę i Helenę, czyżby krytyk nie zarzucił, że taka postać tuzinkowa, samolubna i t. d.?

Zagłoba unikający bitew, a fortelista, mógł się puszczać na poszukiwania i awantury, raz, że nie reprezentuje rycerskości polskiej, powtóre że jako nie interesowany bezpośrednio, nadaje się wybornie za narzędzie woli Bożej, lub jeżeli się krytykowi podoba: za medyum zbiegu okoliczności. Zaś walka osobista Skrzetuskiego z Bohunem, dwu bohaterów, reprezentujących to, co w obu obozach było najszlachetniejszego, byłaby domieszała do sprawy publicznej cechę prywaty i wartość artystyczną kompozycji obniżyła.

Dodajmy do tego takie zarzuty, że w powieści Sienkiewicza Chmielnicki nie czystą mówi ruszczyzną, że topografia Ukrainy nie dostatecznie wystudytowana, bo Zagłoba za prędko 60 mil do Baru przebiega i t. d. a ocenimy ten pedantyzm na równi z owym, którego inny krytyk użył do zarzutu, że nie wiadomo w „Grażynie“, co się stało z krzyżackim pierścieniem oddanym u bramy litewskiej straży.

Ważniejszym byłby zarzut „jednostronności historycznej w malowaniu osób i zdarzeń“, że „przedstawienie tego straszego sporu pomiędzy Rusią a Polską“ (str. 599) nie jest przedmiotowe, a krzywdzące cokolwiek stronę Polsce przeciwną. Z dialektyki Chmielowskiego wynikałoby się zdawało, że w pojmowaniu wojen kozackich stanął obok nie polskich, a jeno tendencyjnych historyków, że istotnie widzi tam walkę Rusi z Polską. Czyż krytyk na prawdę nie chce uznać, że sprawa Chmielnickiego ma z jednej strony znamiona buntu wojskowego, a z drugiej socyalnego ruchu? Nie da się zaprzeczyć, że w Polsce zrodziły się winy tego buntu i tej ruchawicy socyalnej, ale wychowały się i wyrosły w namiętności Chmielnickiego i agitacyach postronnych. Czyż całę szamota-

nie się akcyi Chmielnickiego, nie dowodzi najwyraźniej, że nie Ruś on reprezentował, ale własny egoizm i rozbestwienie?

To też fałszywym akordem odzywa się w tym poważnie traktowanym zarysie, następujący dialektycznie naciągnięty ustęp: „... to powieść „Ogniem i mieczem“ wyda nam się nie przedmiotem zobrazowaniem kilku chwil z przeszłości, czem się na pozór ukazuje, ale jakby apologią gospodarki szlacheckiej na Ukrainie, jakby usiłowaniem zakrycia przywar i błędów szlachty ówczesnej, jakby uidealizowaniem tej polityki, która poczytując lud za bydło juczne, sobie tylko wszelkie prawa ludzkie przyznawała“ (str. 605).

Trudno być cierpliwym wobec tego! Trudno utrzymać na języku wyraz, który się nań ciśnie, bo toż samo głoszą z najstraszniejszą perfidyą gadzinowym funduszem żywieni wrogowie. Czyż p. Chmielowski w sekciarskiej zaciekłości tylko około Polski i w Polsce skupia to, co było powszechne, europejskie, co było wynikiem ducha czasu w całej Europie, a co u nas uciskiem, zaś gdzieindziej niewolą się objawiało?

Czemu powieść „Ogniem i mieczem“ takie wywarła wrażenie? Zapewne, że potęgą artystycznych kreacyj, ale też więcej tem, że tam się rozlał duch polski, wcielił — i przemówił głośno i wyraźnie i do głów, i do serc, i do sumienia. To portret ojca podany pędzlem genialnego malarza synowi. Krytyk zobaczył, że na portrecie niema brodawki, którą widział na żywej postaci, że czupryna gęściejsza, że wąs lepiej ułożony niż był w naturze, i wziął stąd asumpt do zarzutu, że malarz pochlebił portretowi, że nie był fotografem. Krytyk nie patrzył synowskim okiem na arcydzieło malarza, które tem właśnie arcydziełem się stało, że malarz wydobył charakter i ducha postaci żywej i tełnał je w malowidło, dając mu taki wyraz twarzy, takie ożywienie, że syn się rozplakał z radości, bo w portrecie Ojca i zobaczył i odczuł to, co widział i czuł w jego osobie, w jego charakterze, w jego duchowej istocie.

Dziwna też Chmielowskiego pretensya, że „Ogniem i mieczem“ nie ma w sobie tego dydaktyzmu historycznego, co „Dwa lata dziejów“ Szajnochy (str. 606). Niechże się gniewa na Rzewuskiego, że z dzieł Kalinki więcej się każdy nauczył historii stanisławowskich czasów, niż z „Listopada“. Wobec tej krytyki Chmie-

lowskiego, mimowoli przypomina się Osiński i jego ślina, gdy się zjawiał Mickiewicz. Wtenczas śliniła się stara rutyna, dziś młode sekciarstwo literackie.

* *

Po zamknięciu książki Chmielowskiego doznajemy wrażenia, jakbyśmy wyszli z magazynu mebli, gdzie był nie jeden sprzęt cenny wśród gracidel rozrzuconych w nieładzie, zasypanych śmieciem magazynu.

Autor, wydając tę książkę, lekcewał albo siebie, albo publiczność. Że siebie lekcewał nie pragnął, domyśleć się łatwo, bo gdzież i kiedy nie poczytywał się za wielkość ten, co go sekciarze do godności proroka dźwigali, ale że rzucenie na półki księgarskie książki tak od niechcienia złatanej, a tak nieobrobionej, jest lekceważeniem publiczności, zgodzi się każdy do sekty nienależący. Pan Chmielowski wszedł widać na drogę, po której kroczyć zwykli spekulanci literaccy, co przestają pisać a zaczynają robić książki, przynajmniej „Nasi powieściopisarze“, mają na sobie piętno książki na spekulację robionej, a do tego z pośpiechem, bo już autorowi nie starczyło czasu na rozbiór „Potopu“, chociaż książka po skończeniu tej powieści się pojawiła.

A teraz zapytać się jeszcze wypada, *cui bono* ta cała robota? Jeżeli dla młodzieży, to ani jasna, ani przystępna, ani zdrowa; jeżeli dla tych, co literaturę znają, to ani dość świeża, ani głęboka, ani oryginalna, — dla wszystkich zaś jest obrazą uczuć religijnych, a obniżeniem powagi i godności krytyki.

Obniżył się bardzo poziom intelektualny w parafii pozytywistów i ich sprzymierzeńców, skoro z ich naukowej kazalnicy tak niedołężnie wykiszony kwas, nektarem się im wydaje.

Pisząc uwagi o najnowszej książce p. Chmielowskiego, nie oglądałem się na to, czy je wydrukuję i gdzie. Barwa pisma któreby je umieścić chciało nie wpływała na mnie, a że starałem się być zupełnie „przedmiotowym“, bezstronnym sprawozdawcą, najlepiej to świadczy, iż chętnie wyszukiwałem w książce tego, coby mnie do uznania zniewalać musiało i uznanie też z prawdziwą wyrażałem radością.

Skoro więc njezawiśle, a według szczerzego przekonania na rzecz spoglądałem, wybaczy mi zapewne p. Chmielowski owo *conclusum* o jego książce wypowiedziane, do którego dodać muszę, że z tej książki można się dowiedzieć jakie są uczucia religijne, pojęcia społeczne i zapatrywania literackie krytyka i jego współwyznawców, ale niepodobna tu poznać stanowiska i wartości literackiej naszych powieściopisarzy.

Czesław Pieniążek.



MŁODE LATA KSIĘDZA STANISŁAWA CHOLONIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Podróż do Wilna. — Klasztory w Brześciu Litewskim. — Pobyt w Grodnie. — Wizytki Wileńskie. — Pierwsze dnie w klasztorze. — Odniesione wrażenia i plany na przyszłość. — Projekt podróży do Francyi — Lwów, Wiedeń.

W sobotę d. 22 czerwca późnym wieczorem, wyruszyli podróżni: Cecylia, odprowadzający ją do samego Wilna Stanisław i Emilia, ładownym powozem na tę odrębnego rodzaju wyprawę po złote runo¹. Pierwsza stacya przypadła na Berdyczów, gdzie Cecylia widzieć się jeszcze chciała ze swym spowiednikiem, przeorem Karmelitów. „Gdy siostra z księdzem naradzała się o przyszłą „swoją wokacyę, najwięcej nastawał na to, aby — ponieważ tyle „zrządzeniem Boga wymogła na czułości ojca i uchylila trudności — „nie chciała skwapliwością szkodliwą zagrozić sobie sposobności „rozpatrzenia się dostatecznego we wszystkich panieńskich klasztorach w Wilnie będących. ... Najlepszą miały reputacyę Wizytki, „lecz nie zawadzało i drugim się przypatrzeć. Dla uniknięcia zaś „różnych uprzedzeń, radziłem, aby tak w Grodnie u Ciotki, jak „w Wilnie, nie oświadczać się z żadnem innem przedsięwzięciem „jak tylko oglądania wszystkich ogólnie domów panieńskich... „Po obiedzie szczęśliwie ruszyliśmy z Berdyczowa. Przeor pocziwy, „dawszy błogosławieństwo, dał jednej i drugiej siostrze relikwie „św. Teresy“.

¹ Cała ta podróż i pobyt w Wilnie opisany w osobnym dzienniczku, bardzo starannie po polsku z dnia na dzień pisanym. Z tego dzienniczka wyjęte są odnoszące się do tego czasu cytaty.

Jednostajnie toczyła się droga aż do Brześcia, przeplatana nieuniknionemi kłopotami z końmi pocztowemi, których nie zawsze na czas można było dostać. Po tygodniu podróży ujechano zaledwie 34 mil, a mimo, iż Stanisław bardzo energicznie zapowiedział damom, „iż wypada koniecznie raniej wyjeżdżać, dla tego zaś „wcześniej zasypiać“, nie zdaje się, aby te jego roztropne napomnienia bardzo przyspieszyły jazdę. W Brześciu zatrzymano się znowu blisko tydzień dla słabości Emilii. „Układamy sobie z siostrą, zapisuje Stanisław pod datą 3 lipca, objechać wszystkie klasztory, tak męskie jak i panieńskie. Są tu prócz katedry i Jezuitów, które to kościoły popaliły się, Bernardyni, Dominikanie, Bazylianie, Trynitarze, Augustianie; panieńskie dwa klasztory: Bernardynki i Brygitki. Życzyłem sobie z wielu przyczyn, aby Cesia panieńskim klasztorom i tu przypatrzyła się, — bo sądzę, że nie może dość sama przez się przypatrywać się wewnętrznemu, rzeczywistemu ich stanowi w tym kraju i w teraźniejszym wieku“. Stosownie do tego programu zapoznał się Stanisław z gwardyanem Bernardynów, który, jako należącego do rodziny fundatorów tego klasztoru, bardzo uprzejmie go przyjął, i dał, o ile można, najdokładniejsze informacye o Bernardynkach miejscowych. Nazajutrz, 4 lipca „zawiózłszy Cesię do Bernardynów na mszę, wprowadziłem potem do furty Panien Bernardynek. Już była uprzedzona Panna Starsza. Dano nam klucze do parlatoryum. Izba dość obszerna; przedzielona kratą do sufitu; siostra na wilgoć się skarżyła. W kilka minut pokazała się Matka Wielebna. Wolnym weszła krokiem, staruszka, twarzy rumianej i czerstwej. Oświadczyliśmy jej powód naszej wizyty. Zrazu niezrozumiawszy nas dobrze, sądząc, że się wpraszamy na mieszkanie do klasztoru, zaczęła się pomału wymawiać; aleśmy ją w tej mierze wnet uspokoiли, a ona też siostrę za klauzurę wpuściła. Przyznała mi się ta potem, że poniewolnie wzdrygnięcie uczuła, gdym wychodził, zostawiając ją tylko z Francuską, służącą. W kilka godzin wróciła do domu „z wesołą twarzą: opowiadała nam sposób przyjęcia i cały porządek klasztorny. Panna Wielebna z familii Przeńska, swoim kosztem klasztor wybudowała; przełożoną już od 46 lat zostaje, bo choć wybory co trzy lata, zawsze na nią pada wybór. Wszystkie zaś zakonnice przez nią już przyjęte, lecz siostra przyznała się, że

„staruszka, choć przyjemny zdawała się mieć charakter, bardziej „wydawała się, jak obywatelka zarządzająca domem własnym, niżli „jak zakonnica, piastująca urząd przełożonej z wyboru, a w istocie „nie różniąca się od innych zakonnic, jak tylko ściślejszem zachowaniem reguły. Tymczasem cela staruszki wygodna; łóżko z firanką; zresztą brudy w całym klasztorze. W refektarzu wszystkie „razem jedzą prócz Wielebnej Matki.

5 lipca. Piątek. „Zrana posłałem służącego, prosząc PP. Brygity, aby siostra mogła je odwiedzić. Chętnie zezwoliły na to. „Ponieważ blisko stancyi był klasztor, zaszliśmy do niego piechotą. „Powierzchnia budowla nędzna, okazała się siostrze daleko porządniej, jak u Bernardynek. Przyjęła ją u furty Furtyanka; odprawiwszy mnie, siostra była z tą Francuską, co i wczoraj. Bawiła tu kilka godzin; więcej jej się podobał ten klasztor ze strony „czystości i porządku zakonnego. Przeorysza dożywotnia Bielska. „Klasztor ten uboższy od Bernardynek. Panny te zachwalały Bernardynki, które im tej samej nie oddawały sprawiedliwości. Siostra nakoniec konkludowała, że pomimo chęci swoich, jeśliby inne „zakony podobne tym były, musiałyby się wstrzymać z zamiarem „swoim...”

7 lipca. Niedziela. „Wyjechaliśmy z Brześcia po południu; „przez noc całą nie zatrzymywaliśmy się.

8 lipca. Poniedziałek. „Ku południowi, gdy się nam koło „psuć zaczęło, na obiad, na stacyi blisko Różannej zatrzymaliśmy się... W tem miejscu nadybaliśmy Konstantego Czetwertyńskiego¹, „który na Wołyn jechał imieniem rodzeństwa dla objęcia części „należącej się sukcesyi po stryju Gabryelu. Mocno się ucieszyliśmy „z tego trafunku. Siostrom doniósł, że nas *ma Tante* spodziewa się „po odebraniu listu Papy. Nic im nie wspomniał o zamiarze naszej „podróży. Gdym go wziął na stronę, przyznał mi się, że o wszystkim wie i z żalem o tem gadał. Rozpowiedziawszy mu w krótkości, jak się rzeczy miały, nadspodziewanie rozbrojone były jego „uwagi. Przyznał się, iż sam mówił matce, że mu się nie zdaje, „aby ona mogła co wymódl na Cesi; po nadaremnych ojca usilowaniach w tej mierze, zalecał mi, abym jej nie dał rozmawiać

¹ Syn księżnej Kolety, rodzony brat Gustawa Czetwertyńskiego.

„z pewnym księdzem Orlikiem, który u nich przesiaduje, a od „którego, mówił mi, trzeba aby się strzegła, bo to ksiądz „prawdziwie i głęboko nabożny¹.

10 lipca. Środa. „Po krótkim popasie, o dziesięć wiorst od „Grodna, gdzie się siostry przebrały, zajechaliśmy wieczorem szcze- „śliwie o godzinie 7, wprost do domu księżnej... Oddała nam listy „od ojca, które na nas tu czekały. W tych pisał ojciec do mnie, „a do sióstr przez domowych, aby Cesia się dała namówić do po- „wrotu. Lecz to nie było pisane w sposobie rozkazującym, lecz „perswazyi i prośby, przytem i obligujący list w tej mierze do „ciotki. Ta mię wzięła na stronę, aby się o wszystkim dowie- „dzieć. Przyznała mi się, że mało nadziei pokłada w swoich uwa- „gach, kiedy ojca nie pomogły. Kiedy jeszcze dowiedziała się, że „już i plenipotencyę i instrukcyę mnie dał ojciec, zdziwiła się, że „się spodziewał od niej rady jakowejś w tak daleko już zaszłym „interesie.

11 lipca. Czwartek. „Z rana Lery² dowiedziawszy się przeze- „mnie o całym stanie rzeczy, przyznał iż, kiedy ojciec nie zabronił „z początku córce wiadomego projektu, niepodobna teraz niedozwolić „jej doświadczyć nowego sposobu życia, lecz, że z wielką ostrożno- „ścią trzeba postępować. Przytem wszyscy się zgadzają na to, że „klasztor Wizytek w Wilnie bardzo przykładny i z szanownych „złożony osób. Córka Szadurskiego wstąpiła do niego. Jeszcze przed „piętnastu laty miała to na myśli i dla uskutecznienia jej nie cze- „kała, jak tylko dokończenia edukacyi sióstr, którą się trudniła. „Ojciec, szanowny wielce mąż z swojej świątobliwości, był jednak „z początku przeciwny temu zamiarowi. Nakoniec przystawszy nań, „przytomnym był wzięciu sukienki i sam niezmiernie poruszającą „miał mowę. Dużo mnie Lery doniósł szczegółów o Petersburgu...

12 lipca. Piątek. „Ciotka usiłuje Cesię odwrócić od jej pro- „jektów: ta jej daje swoje argumenta. Listy piszemy do Janowa. „Ja odpowiadam, że nie odebrawszy wyraźnego rozkazu zostawienia „Cesi, nie mogę jej odmówić dalszej podróży, po próżnych ciotki

¹ Słowa podkreślone w rękopiśmie.

² Włodzimierz Józef Czetwertyński, pasierb księżnej Kolety, ciotki Sta-
nisława, zrodzony z Kampenhausówniej.

„uwagach. Decydujemy się jednak czekać jeszcze na następującą „pocztę; — pomyślniejsze może odbierzemy nowiny, a przynajmniej „bardziej jasne...

16 lipca. *Wtorek.* „Na mszy u Dominikanów... Z rana sio- „stry oświadczyły ciotce, że wyjadą we środę. Każda z obu stron „użyła argumentów dla poparcia swej sprawy. Ciotka nie mogąc „zaręczyć, że gdy się w jej domu przez zimę zostanie, na wiosnę „swoją projekt będzie mogła skutecznie, słabo się jej odjazdowi „opierała. Zalecała jej mocno, aby, gdy się źle znajdzie w klasztor- „rze, zaraz o tem dała jej wiedzieć.

17 lipca. *Środa.* „Z rana odebraliśmy listy z Janowa. Podo- „bnie użalania się i perswazyje, jak i w pierwszym liście, lecz nieco „wolniej. Już w nich ojciec dorozumiewał się, że jesteśmy w Wil- „nie; zalecał aby i tam po rozpatrzeniu się w klasztorach, skłaniać „siostrę do powrotu... Na obiedzie był wicegubernator Andrzyko- „wicz z żoną, która bardzo piękna. Ten nam potwierdził nowiny „o siedmiu namiestnikostwach. W Wilnie ma być stolica z sześciu „polskich prowincyj złożonego namiestnikostwa, na których czele „W. X. Mikołaj jest wyznaczony... Mówią, że na wyjeźdźnym ce- „sarza za granicę, rząd nowy ogłoszonym będzie. Andrzykowiec Le- „remu przyznał się, że w Łoży w Grodnie chciano podobne propo- „zyce, jak i w Wilnie robić, co do uwłaszczenia chłopów; że „w Łoży w Wilnie zaproponował jeden aby na urzędy BB. . byli „tylko wybrani; że jakoby W. Wschód. . . Warszawski śmiał do- „praszać się cesarza, aby Petersburg. . . od niego zawisł. Jakoby ce- „sarz miał zakupić w kraju polskim dóbr za 16 milionów, aby je „zasiedlić wojskowemi koloniami, podobnie jak stepy“.

W trzy dni później 20 lipca stanęli nasi podróżni pod bra- mami Wilna. Stanisław wyprzedził siostry o parę stacyi, aby poszukać dla nich wygodnej kwatery; ale zaledwie miał czas rozglądnąć się po mieście, gdy nadybał go kozak księcia Lubeckiego, „dono- „sząc, iż tu od trzech dni sztafeta na mnie czekała z Janowa, że „chcieli na poczekie ją już zwracać, że książę Lubecki, który tu dla „zdrowia żony swojej od niejakiego czasu przebywa, wstrzymał ją „do naszego przybycia, o którym był uwiadomiony przez przejeź- „dającego Kłusowicza. Mocno mię ta nowina zdziwiła i zmieszała: „lękalem się, czy nie nieszczęściu sztafetę tę przypisać... Sztafeta

„była posłana dla tego najprędzej, aby jeszcze Cesię perswazyą
„odwrócić od przedsięwzięcia. Jędrzej w liście swoim, pisanym niby
„imieniem ojca, zdaje się nakazywać powrót Cesi i nas o to zaklina.
„List przeciwnie papy zdaje się tylko tłumaczyć i że tak powiem
„łagodzić wyrazy Jędrzeja, przypisując je jego smutkowi. Sam zaś
„na poprzednich przestaje uwagach i perswazyach, bez żadnego
„wyraźnego rozkazu. ... Siostry o 9-ej przyjechały szczęśliwie 20
„lipca, w sobotę, czwartą po sobocie, dniu wyjazdu z Janowa...

22 lipca. *Poniedziałek.* „Księżna Lubecka z mężem do nas
„przyjechała. We wszystkiem siostry objaśniła i natychmiast pod-
„jęła się zawieść je do Wizytek. ... Oddałem wizytę X. D... za-
„chwalonemu spowiednikowi u Dominikanów. Długo mi rozprawiał
„o massonerji, jej sekretach bezbożnych i prześladowaniach, które
„od nich ucierpiał, gdyż za kazanie im przeciwne przez X. Siostrzen-
„cewiczka został strofowany. ... Cesia na spacer karetą pojechała;
„ja na teatr. Dwa słowa operetkę dano, w której p. Ledocho-
„wska z Warszawy popisywała się. Za powrotem do domu zasta-
„łem i Emilkę, która bardzo była zbudowana Wizytkami, zwłaszcza
„MM. Husson i Żabą.

23 lipca. *Wtorek.* „Z rana wizytę oddaliśmy Lubeckim; pó-
„źniej byliśmy wszyscy troje u Wizytek. Siostry poszły za kratę;
„ksieni wyszła do mnie. Staruszka z familii Żabów. Długo mnie
„rozprawiała o prześladowaniach tego klasztoru podczas rewolucyi.
„Mieszczka je zafundowała; klasztor liczny i złożony z familiantek.
„Fundusz nie wielki z jednej wioski składający się, za Katarzyny
„był im odebrany; przez Pawła własnoręcznem pismem przywró-
„cony. Poniatowski król, jadąc do Petersburga, obiecał im wyrobić
„kapitał na utrzymanie pensyi na dwanaście panien. Z mojej strony
„w krótkości opowiedziałem im zamiary Cesi i chęci papy i jakie
„mam w tej mierze od niego zlecenia. Po obiedzie siostry wizytę
„oddały Karmelitankom. Przyjęły je tylko u kraty, nie mogąc bez
„pozwolenia zwierzchności duchownej za kratę puszczać, nawet ko-
„biety. Mniej się siostrze ten klasztor podobał, niżli Wizytki,
„u których M. Husson, Francuska; przełożona Żaba i panna Sza-
„durska w nowicyacie będąca. M. Żaba zaproponowała, aby siostra
„dla lepszego rozpatrzenia codziennie dojeżdżała, lecz życzyła sobie
„przytem, aby administrator był o tem uwiadomiony. Przez ten

„czas oddałem wizytę p. Malewskiemu, rektorowi Uniwersytetu, „dawniejszemu mojemu profesorowi prawa, który mnie bardzo grzecznie przyjąwszy, oświadczył, iż z przyjemnością każe nas po całym Uniwersytecie oprowadzić i siostrze wszystko godne widzenia pokazać. Obydwaj Śniadeccy z przyczyny czasów wakacyi powyjeżdżali na wieś.

25 lipca. Czwartek. „Pojechałem do administratora dla zawiadomienia go o zamiarach siostry. Ks. oficyał Cywiński rozśmieszył mię perypatetyczną wymową o wokacyach; uprzejmością pocieszył. Obiecał poznać się i pomówić z siostrą, przytem dał jej pozwolenie odwiedzać za kratą Wizytki i Karmelitki.

26 lipca. Piątek. „Tego dnia zrana odwiedził nas rektor Malewski. Siostra oddała wizytę klasztorowi. Rektor nas zaprosił do Uniwersytetu po obiedzie o godz. 4, dla widzenia obserwatorium. „Jakoż o tejże godzinie zastaliśmy go już u drzwi Uniwersytetu... „Wróciwszy zastaliśmy siostrę, która przez ten czas miała wizytę administratora. Ten do niej jak z ambony perorował dosyć oryginalnie.

31 lipca. Środa. „Dzień naznaczony na przenosiny Cesi do klasztoru. Cały ranek zeszedł na pakowaniu się. Siostra układała z radością garderobę swoją. Próbowwała biórko w odmykaniu, aby sobie łatwo mogła sama usłużyć. Zaproszony będąc na obiad do Ogińskiego na piątą popołudniu, musiałem się wymówić, bo wiedziałem, że odprowadzenie siostry zatrzyma mnie długo... Gdy rzeczy już były upakowane, Cesia z siostrą dość spokojnie się pożegnała. Przez drogę powtórzyłem jej wszystkie moje przestrogi poprzednie względem próby i szczerości, z jaką względem siebie i nas powinna postępować przez czas naszej tu bytności, ostrzegając ją, że jeśli w tem będzie miała obawę, to nie przez nie szczerość, lecz fałszywe wyobrażenie, że zdradza społeczność, do której wstępuje. We wszystkim przyrzekła mi powodować się radą familii. Dzień pogodny i dziwnie był piękny. Cesia była wzruszona, ale więcej rozczerzenia, jak niespokojności malowało się na jej twarzy. Gdyśmy zbliżali się do bramy klasztoru, pytałem się jej: „Czy jesteś niespokojną, jak pierwszą razą?“ Odpowiedziała mi: „Nie mnie w tem tak nie pociesza, jak miłosierdzie Boże, które mię aż dotąd doprowadziło“. Kazałem za sobą jechać Mi-

„kulskiemu dla przeliczenia pieniędzy, które na wikt roczny Cesi
„i jej pensję półroczną miałem złożyć u ksieni. Zadzwoniliśmy
„u koła; wkrótce wyszła furtyanka i Cesię zaprosiła. Rzuciła się
„na moją szyję i mocno mię ściskając, łzami się zalała. Już też
„i ja z ciężkością się wstrzymywałem, chociaż przez ten cały czas,
„coś pocieszającego w sercu przemawiało nam, kiedyśmy się zasta-
„nawiali nad jej przyszłością. Cieszyłem ją, ile mogłem. Weszła za
„furtę. Gdym ją stracił z oczu, wnet mnie odwaga odbiegła. Myśl,
„iż ją zapewne po raz ostatni w mojem objęciu trzymałem, mocno
„mi przeraziła serce, miałem sobie za złe, iż po raz ostatni, nie
„odważyłem się jej okazać całej szczerości i mocy przywiązania
„mojego.

„Wszedłem do parlatorium. Już tam zastałem ksienię i mi-
„strzynię. Polecilem jej powtórnie siostrę; zaraz i ta weszła. Prosi-
„łem, aby jej nie dozwoliły, choćby sama chciała, zaraz próbę po-
„czynąć, aby jej spoczynek nakazywały, przytem siostrę starszą dla
„słabości wyexkuzowałem i bilecik od niej oddałem, który zawierał
„w sobie umowę o wygodę Cesi. Przeliczyłem i oddałem mi-
„strzyni 600 rubli srebrem. Obiecała ksieni dać kwit. Oddając
„pensję Cesi oświadczyłem ksieni, iż siostra się prosiła, aby te
„pieniądze były u mistrzyni Dłuskiej złożone, dla tego, aby rozpo-
„rządzać niemi za jej wiedzą, do porządku nawykła. Ksieni i mi-
„strzyni ze zwykłą łagodnością i dobrocią na wszystko odpowiedziały.
„Zaprosiły nas jeszcze do kościoła. Uśmiechając się ksieni: Teraz
„wzięłyśmy pańskie pieniądze a panny już niepo-
„trzebujemy. Mały ten wypadek wielką dla mnie był pociechą,
„mogłem raz jeszcze siostrę uściskać. Nie cierpię rozczulania się
„próżnego, nieprzystojnego mężczyźnie, ale chwila ta była dla mnie
„tak ważną, dla przyjaźni i serca; mocno więc się uradowałem.
„Weszliśmy do kościoła, trzymając się za ręce; pomodliwszy się
„przed N. Sakramentem, zwiedzaliśmy zakrystyę, relikwie, konfe-
„syonały. Kościół piękną i jasną kopułą ozdobiony, wszędzie czy-
„stość, porządek i wdzięczne, że tak powiem ochędóstwo, przyjemny
„widok robią. Zaraz koło ołtarza piękna krata, przez którą piękny,
„obszerny i ochędózny pokój daje się widzieć: jest to chór. Tam
„wszystkie zakonnice do modlitwy, komunii i wszystkich ceremonij
„zbierają się. Wychodząc obeszlśmy w koło kościółek; słońce było

„ku zachodowi. Zwróciłem siostry uwagę na piękny widok, jaki nam miasto wystawiało z owej wysokości, oświecone ostatnimi słońca promieniami. Rzekła mi: Gdybyś wiedział, jakie tam z drugiej strony piękne będą miała niebo!

„Jeszcze korzystałem z tej krótkiej chwili, aby jej uwagi robić nad jej przyszłością. Że, jeśli chce być szczerą sama z sobą, to wszystko w zakonie powinna uważać względem siebie i przewidując, że z czasem mogą osoby świątobliwe, teraz żyjące powymierać, że nim drugie się uformują na ich miejsce, duch jedności może upaść, że wówczas nie będąc jeszcze siebie samej pewną, gdy pierwsza czarowna ta chęć do życia zakonnego minie, która chęć, ka wszystkim w życiu ludzkim nowościom towarzyszy, powinna, aby iść szczerą do Boga drogą, nie uważać siebie koniecznie do tej jedynej przykuty, przez którą może Bóg chce ją tylko próbować; że nakoniec zawsze familia zostanie jej przychylną, a ten czas, który na próbie przebędzie, dla dalszego zdrowia duszy i ciała będzie pożytecznym, jeśliby w świecie chciała familii być pożyteczną. Na to wszystko dała mi słowo: „Obiecuję ci tu przed Chrystusem powodować się twojami radami“. — „Spokojny więc jestem i już mnie nie ciężko pożegnać się z tobą.

„Zbliżyliśmy się do furty. Zadzwoił ktoś przed nami. „Otwarły się drzwi żelazne. Ucisnąłem kilka razy siostrę — i znikła z oczu moich. Wracalem śpiesznie do domu, do drugiej, aby ją pocieszyć. We łzach ją zastałem; źle i ja moje ukrywałem...

1 sierpnia. Czwartek. ... „Ksieni upewniła mię, że wszystko dobrze pójdzie, że siostra kontenta; nadeszła i ona. Znalazłem ją zmęczoną, lecz dość wesołą. Wyszła matka. Siostra przyznała się, że jeszcze nowość ją we wszystkim uderza; że ma piękną stanicyę, lecz że miała biedę z otwieraniem bióra, które nowe i ciężko się otwiera. Mistrzyni sama jej kawę przyniosła. Mówiła mi: Dobrze, że się próbuję w czasie waszej bytności, inaczejbym sił nie mogła swoich doświadczyć. Przyznała się jeszcze, że nie wie, jak się do klęczenia i częstych małych ukłonów wezwyczai; że to niema dla niej żadnego powabu, że dobrze, aby się doświadczyła w tej mierze. Gdym zawołał potem M. Husson, obawiała się, abym jej tego nie mówił. Husson mnie zaś powiedziała, że gdy weszła do

„swojej stancyi wieczorem, wszystkie jej ściany z uniesieniem całowała. Wróciłem do domu na obiad. Ułożyliśmy ze siostrą, aby ja „dopiero w niedzielę odwiedziła, dla lepszego wypróbowania się „nawzajem. Po obiedzie posłaliśmy prezenta do klasztoru dla ksieni: „kawę, cukier i herbatę; dla dam: Dłuskiej i Husson, czekoladę „i tabaki po dwie paczek. Prosiłem Emilkę aby, pisząc do ksieni, „nie do Cesi nie pisała“.

Tu z końcem kajetu urywa się dziennik; dalszy ciąg prawdopodobnie zaginął, lub nie było czasu dalej go ciągnąć. W powrocie do domu, trzeba się było chcąc nie chcąc zatrzymać dwa dni w Brześciu, z powodu przejazdu W. Ks. Konstantego, dla którego zabrano wszystkie konie pocztowe. Pomimo tego, już 21 sierpnia we wtorek, stanęli nasi podróżni: Stanisław i Emilia z powrotem w Janowie, pocieszyć wielce strapionego ojca, który do ostatniej chwili nie stracił nadziei, że córka może jeszcze cofnie się z pół drogi „Przysłuchując się¹ uważnie naszemu opowiadaniu o najdrobniejszych szczegółach, wzdychał od czasu do czasu, ale wreszcie „powiedział: Byleby tylko była szczęśliwa i wola Boża „nad nią się spełniła! „Ojciec, donosił Stanisław siostrze, „w jednym z następnych listów² po chrześcijańsku zdał się co do „ciebie na wolę Bożą, a kiedy Mikołaj złączył się z naszą trzódką, „odzyskał dawny pokój i zadowolenie“. Jakoż można było być zadowolonym czytając wiadomości nadchodzące z Wilna, zwłaszcza listy młodej postulantki, z których znać było coraz gorętszą miłość Bożą, ożywiającą jej serce, coraz większą radość, że Bóg dał jej dopiąć swego powołania. „Listy moje suche jak zapalki wobec Twoich, żartował sobie Stanisław, choć ogień ten wewnętrzny i na niego widocznie oddziaływał³: „*Depositum custodi*, zachowuj go „dla siebie i dla nas wszystkich zostających na świecie, zwłaszcza „dla mnie, potrzebującego Twych modlitw bardziej, niż ktokolwiek „inny. Oddając cię w ręce Chrystusa Pana, złożyliśmy najlepszy „nasz kapitał na wielkie procenta, owszem na lichwę... Duchowne „cierpienia, jakich od czasu do czasu doświadczasz, zaniepokoić cię

¹ Do *Cecylii Chołoniewskiej*. Janów 24 sierpnia 1818.

² 3/15 września 1818. List francuski.

³ 12 września 1818 st. st. List francuski.

„nie mogą, bo znasz lepiej odemnie naukę krzyża. Z twoim charakterem i w twojem położeniu, zadowolenie zupełne, bez ograniczenia, mniejby mi się podobalo... Ojciec pisuje rzadko, bo jak mówił mi dopiero co: Ona kontenta, i ja kontent z jej szczęścia; „coż mam jej pisać?“

Podróż do Wilna, wzruszenia tam przebyte, rozmowy z siostrą poprowadziły Stanisława znów o wielki krok naprzód na rozpoczętej drodze duchowego życia. Cecylia dopięła już celu, do którego dążyła; Emilię, wracając kiedyś z nią sam na sam do domu, układał plan¹, „jak Jejmość ma być nadal czynną, aby mężowi i familii tyle była pożyteczną, ile jej Bóg dał sposobności i dobrych chęci do stanu, w którym się znajduje“, i prorokował: „Przejdzie i przeskoczy nas wkrótce ta dama na drodze zbawiennej“; Jędrzej nosił się już z pewnemi bliżej określonymi małżeńskimi planami. A on sam? On sam jeden tylko nie wiedział, w którą stronę skierować kroki, czego Bóg od niego się domaga; co więcej zdawało mu się, że jakakolwiek droga stanęłaby przed nim otworem, do podjęcia żadnej nie jest dosyć przygotowanym. Więc przedewszystkiem — przed ostatecznem zdecydowaniem się, gdzie iść i co robić — należało bardziej się umysłowo wykształcić, lepiej zwłaszcza i głębiej poznać fundament wszelkiej wiedzy i drogoskaz na całe życie — katechizm. Wykonanie tego planu w Janowie nastroczało niemałe trudności, a że ojciec napierał, aby skorzystać z danego paszportu i wyjechać do Paryża, dla nabrania znajomości świata i ludzi, czemuż życzenia tego nie posłuchać, i korzystając z ułatwień, jakie nastrocza Paryż, obok zaznajomienia się z salonowym polorem, zaczerpnąć tam innej głębszej wiedzy — wiedzy o świecie, Bogu i wzajemnym ich do siebie stosunku?

Program ten stał jasno przed oczami Stanisława. „Wiesz, dla czego wybieram się za granicę². Korzystając z obecnego mego

¹ Do *M. Grocholskiego*. Janów 29 sierpnia 1818 r.

² Do *M. Grocholskiego*. Janów 26 maja 1818 r. List ten, a raczej poważny memoriał, pisany po francusku, opatrzonej na wstępie, jakby kazanie, łacińskim tekstem Pisma św.: *Cui autem similem aestimabo generationem istam. Similis est pueris sedentibus in foro qui clamantes coequalibus dicunt: Cecinimus vobis et non saltastis, lamentavimus et non planxistis. Qui habet aures audiendi, audiat.* (Mat. IX 15, 16, 17).

„stanowiska w rodzinie i w świecie, pragnę korzystać z tych kilku
 „chwil pozostających do mej dyspozycji, aby trochę się rozumnie
 „wyszkalić. Wychowanie moje naukowe, ogólnie wzięte, było
 „jakby wyrachowane na umęczenie mię. Miałem pewną, nie z mej
 „zasługi pochodzącą łatwość do pracy; skorzystano z niej na to
 „tylko, aby wpoić we mnie niezdrową żądzę wiedzy w ogóle, nie
 „zwracając mi nigdy uwagi na metody prawdziwe, do jakiegoś
 „celu prowadzące. Znana ci historia mego życia pogorszyła jeszcze
 „ten stan rzeczy. Jeszcze chwila, a byłbym zeszedł na zero. Szczę-
 „ściem i największem szczęściem Bóg dozwolił, abym poczuł, iż
 „choćby mię może można wymówić z zupełnej nieświadomości
 „w każdym innym kierunku, z nieznajomości katechizmu nigdy się
 „wytłumaczyć nie potrafię. Postanowiłem więc nauczyć się kate-
 „chizmu, i dziś czego dawniej po sobie nie byłbym się spodziewał,
 „czuję w sobie odwagę do rozpoczęcia nauk na nowo, mimo, iż
 „jestem nieco przystarym uczniem. Zapatrując się z zimną krwią
 „na to postanowienie, nazwałby je kto mógł szalonem, ze względu
 „na tysiąc i jedną najrozmaitszych przyczyn; to też nie powziąłem
 „go, jak uciekając się do jedyne go możliwego środka: na wszystkie
 „przyszłe me studia zapatruję się jako na dodatek do nauki kate-
 „chizmu. Inaczej nie potrafiłbym przeciąć tego węzła, bo złe szkolne
 „nawyczki ciągnęłyby mię do książek, a coby te książki dawniej
 „były ze mnie zrobiły, gdyby mi nie był wpadł w ręce katechizm
 „Montpellier'a! Podróż i przyszłe projekta zajęcia czasu, są tylko
 „następstwem tych moich rozumowań, opierających się o kate-
 „chizm!... I dla tego przyszłą mą podróż poświęcam nietylko na-
 „byciu nauki, jakiej domaga się odemnie stanowisko właściciela
 „dóbr w kraju nie zupełnie barbarzyńskim; ale też przygotowaniu
 „się do działania w katolickim duchu, w małej naszej prowincyi,
 „której tak brak środków i ludzi rozbudzających tego ducha...
 „Przedewszystkiem obserwować będę wszystko, co się odnosi do
 „kwestyi wychowania, zwłaszcza klas uboższych, do instytucyj pu-
 „blicznych tego rodzaju, ich materyalnego i moralnego powodzenia.
 „Ty, znając miejscowe potrzeby, a mając nadto większe doświad-
 „czenie odemnie w traktowaniu interesów, będziesz mógł zużytko-
 „wać ten materyał na korzyść kraju. Najpierw zrobisz próbę w wła-
 „snym majątku, a jeśli udadzą ci się niektóre ze zrobionych kroków,

„inne nieudadzą, wtedy bogaty korzystnymi doświadczeniami, obserwacyami roztępnemi, a nadewszystko czystą intencją, która po-
 „dwaja wartość każdego umysłowego skarbu, zdążać będziesz, na
 „urzędach przez kraj ci zleconych, do zastosowania na większą
 „skalę środków już wypróbowanych, a podnoszących znacznie wszel-
 „kiego rodzaju dobrobyt. Słowem, ty będziesz architektem, ja znośić
 „ci będę cegły i wapno...

„Wszystkie te myśli, raczej sercem niż rozumem pojęte
 „i dla tego tak źle wyrażone, nie są sennemi marzeniami, iluzją,
 „chimera, bo w chęci do pracy chrześcijanina, pragnącego wyłącznie
 „zdążyć do Jezusa Chrystusa, nie masz iluzji. A my dwaj prze-
 „cież, i wielu innych z nami, pragniemy bądź co bądź iść tą drogą;
 „zatem, jeżeli tylko nie stracimy z oka wąskiej ścieżki Chrystuso-
 „wej, zawsze korzystną odbywać będziemy podróż: czy wielkich
 „rzeczy dokonamy, czy małych, bylebyśmy zawsze i wszędzie sta-
 „wali Chrystusa przed wszystkiem na świecie — przed dobrem pu-
 „blicznem i naszym dobrem osobistem i bylebyśmy dobro naszego
 „bliźniego stawiali na tej samej linii co i nasze. *Omnia enim ve-*
 „*stra sunt sive Paulus, sive Caephas, sive Apollo, sive mundus,*
 „*sive vita, sive mors, sive praesentia, sive futura; omnia enim*
 „*vestra sunt; vos autem Christi; Christus autem Dei*“.

Po raz pierwszy to podobno wypłynęły z pod pióra Stanisława słowa już nie tylko chrześcijańskie, bo chrześcijaninem, i to coraz szczerzszym i gorętszym był oddawna, ale gorące takim ogniem miłości Boga i bliźniego, wyrażające, tak silnie i jasno zrozumienie, że poznać i służyć Bogu, jedynym celem człowieka. Nie był to chwilowy płomyk, rozniecony przelotnym zapalem; przeciwnie, wzmagał się on coraz więcej, usuwał napotymane przeszkody i innych również serca zapalał. W cztery miesiące po skreśleniu tego programu życia, przystępował Stanisław do wypełnienia go w szczegółach; sprowadziwszy Jędrzeja dla opieki nad ojcem, i poleciwszy modlitwom obu sióstr swe plany i pragnienia, wyjeżdżał do Francji.

Droga zapowiadała się świetnie. „Dotąd podróż idzie wspa-
 „niale, donosił z Brodów¹, i wyjawszy paru małych przykrostek,

¹ Do Grocholskich. 13/25 września 1818.

„mam się dzięki Bogu, jak nowy most“. We Lwowie przyjęli go z otwartymi rękami bliscy krewni: Jan Choloniewski i żona jego Józefa z Rzyszczewskich. Obraz, jaki rozwinął się tu przed oczami Stanisława, pocieszył chrześcijańskie jego serce¹. „Jan zachowuje „zawsze serce jedyne, ale w ciele niemal obumarłem; Józefina pełna „życia, a życie jej w Jezusie Chrystusie. Pod względem miłosierdzia więcej czyni w kwadransie, niż ja zrobiłem przez całe życie. „Bóg też przygotowuje jej piękną koronę — dozwolił, że Jan wszedł „na zupełnie dobrą drogę i do śmierci się gotuje. Dwa razy się „już spowiadał. Prosiłem jej, aby namówiła męża do przyjęcia „ostatniej Komunii św., zanim straci do reszty władzę w języku“. Ale czas naglił; po trzech dniach trzeba się było pożegnać z dawnymi i nowymi znajomymi, na pierwszym miejscu z rodzonym stryjem Franciszkiem Ksawerym Choloniewskim, prezydentem galicyjskich stanów, i z pewnym żalem z jednej strony, pociechą z drugiej bo nieznośna szaruga nie uprzyjemniała wcale halickiego grodu — ruszyć dalej na zachód.

„Zajechałem — pisał w pierwszym liście z Wiednia² — do oberży, „*zum ungarischen Koenig*, nowo założonej, którą przełożyłem nad „inne dla bliskości św. Szczepana. Płacę osiem złotych dziennie, „za dwa małe ule, zowiące się tu pokojami. Z początku apetyt „z podróży wyjednywał łaskę dla dawanego mi jedzenia; teraz widzę, że jest paskudne... Zwiedzanie Wiednia rozpocząłem naturalnie od św. Szczepana i szczęściem natrafiłem właśnie na *Heilig* „i błogosławieństwo N. Sakramentem. Co za kościół! jaki majestat! jak ten zmrok w nim jest miły! Obszedłem parę ulic; „deszcz zmusił mię prawie do wstąpienia do Burgu na *Maryę* „*Stuart*; gorąco wypędziło mnie przed końcem pierwszego aktu. „Wiesz, że dawniej kochał się w teatrze aż do namiętności, ale „właśnie częste obserwacye aktorskiego rzemiosła zrobiły mię bardzo „wymagalnym dla tych ludzi. Nie mogę im darować, kiedy „źle małpują tak cenną rzecz, jaką jest serce ludzkie; nie daruję „im, kiedy są tylko dobrymi, a nie doskonałymi, a tutejsi nie są „doskonałymi“...

¹ Lwów. 17/29 września 1818. Wilia wyjazdu do Wiednia. Jan Choloniewski umarł następnego roku.

² 8 października 1818. Czwartek.

Pierwszy ten wieczór w Wiedniu był obrazkiem w miniaturze następnych dni i tygodni, wyjąwszy trzech dni rekolekcyj odprawionych pod przewodnictwem Wenera. Poranki napelniała rozmowa z Bogiem i długie serdeczne rozmowy o Bogu z Wenerem i Hofbauerem; wieczory spływały w salonie Rozalii Rzewuskiej, gdzie zapoznać się mógł z kwiatem arystokracji wiedeńskiej, a w pogadance z tymi panami i paniami, filozofami i poetami, wglądać bliżej w komedję i tragedję życia ludzkiego. Pierwsza zaraz rozmowa z Hofbauerem, który snuł plany, jak Redemptorystów sprowadzić na Podole, przeciągnęła się przez dwie godziny. „Postać jego poważna i melancholiczna, rozmowa pełna treści“¹; „Hofbauer — dopelnia w miesiąc później² tego szkicu rzuconego na papier pod pierwszem wrażeniem — jest dziwnie przyjemny staruszek. Sposób mówienia gminny; myśli często dziwnie piękne i nawet głębokie. Bardzo mię jego towarzystwo bawi i buduje. Wener nasz poeciwy przeniósł się już do OO. Augustyanów, gdzie się gotuje na swoje 30 kazań, które przez adwent i post będzie kazał. Ciągłe tu z sobą baraszkowaliśmy. Czytał mnie wszystkie swoje produkcje literackie — *die Mutter der Machabeer*. Dużo o tem mówił, czy chwalać, czy krytykując. Kazimierz piękną posiada duszę; co raz to się lepiej okazuje w pożyciu, lecz ma przytem i niespokojność umysłu przyrodzoną poetom, która truje mu najmiłsze momenta. Teraz walczy z sobą, czy ma wszystkie swoje poezye spalić i mni-chem zostać, czyli też użyć talentu ku chwale Boskiej ... I w tem wiele się przyczyn ukazuje na jedną i na drugą stronę... Myśli mu się snuły, by do Alzacyi powędrować. Ale uwaga moja była, że tu tylko poezye jego i to przyjaciele krytykują, którym nie jest obowiązany zdawać rachunku, kazania są bez krytyki; tam zaś rodzaj *Sorbonny* i do nich może się wmieszać. Wszystkie więc kwe-rele kończą się tem, iż póki będzie sądził, iż ludowi tutejszemu może być pożytecznym, na miejscu zostanie. U Augustyanów stan-cyę ma nie złą, ale jedzenie mizerne. Pensyę roczną 300 złr. od Wajmarskiego księcia regularnie zaczął pobierać. Służącego ma

¹ 8 października 1818.

² 4 listopada 1818. „Dzień wyjazdu mego do Francyi“. List częścią po polsku, częścią po francusku, jak wiele innych z tego czasu.

„wielkiego nygusa, ale świątobliwego, z którym codzień scena. Nie skarży się na brak wygod, ale na brak ludzi wchodzących w jego myśli i na to się krzywi jak dziecko. Przyznam się, że pomimo „przyjaźni najtkliwszej ku osobie, tak ze wszech miar szacunku i miłości godnej, wiele myśli pięknych i nowych w rozmaitych materyach *in thesi*, ale nie *in praxi* przyjmowałem. I oto były „kłótnie zabawne. Powiada, że obok natury niemieckiej, francuski „mam sposób myślenia“.

Przed rozłączeniem się wręczył Werner „młodszemu swemu w Chr. bratu“ 35 własnoręcznie napisanych „niezbędnych“ aforyzmów, z prośbą, aby je raz na tydzień odczytywał i głęboko sobie wyrył na sercu i na duszy. Najważniejszymi w tej chwili dla Chołoniewskiego było kilka głębiej pomyślanych aforyzmów o powołaniu Bożem i jego znakach; jako najoryginalniejszy zapowiada się ostatni aforyzm o „małpowaniu“ Francuzów i Niemców. Nieszczęściem, pisząc go późnym wieczorem, Werner był już poprzednią pracą znużony: rzucił kilka świetnych, paradoksalnych myśli; nagromadził kilkanaście z różnego stanowiska pojętych pytań, czy i jak należy stąpać śladami Francuzów lub Niemców, i zostawił je bez właściwej odpowiedzi, urywając nagle słowami kapłańskiego błogosławieństwa: „Niech Bóg błogosławi Tobie i Twojej najukochańszej mi „rodzinie, tutaj przez krótki czas życia i tam wiecznie!“

(Dok. nast.)

Ks. Jan Badeni.



STOWARZYSZENIA KATOLICKIE W NIEMCZECH.

(Ciąg dalszy).

B. Stowarzyszenia czeladników.

a) Stowarzyszenia czeladników mają na celu kształcenie i postęp młodzieży rzemieślniczej pod względem naukowym, zawodowym i towarzyskim. Przed rokiem 1849 miały one charakter zasadniczo mieszczański, lecz odkąd ks. Adolf Kolping, wikary w Eberfeld, stanął na czele tego nowo budzącego się ruchu, zmieniły znacznie dotychczasową swą postać. Staraniem księdza Kolpinga powstało pierwsze, z początku bardzo skromnie przedstawiające się, Towarzystwo rzemieślników katolickich a założyciel, który sam był kiedyś chłopcem szewskim, i znał z doświadczenia smutne położenie biednych sierot — czeladników, nie tracił żadnej sposobności do przeprowadzenia swej myśli, i zwłaszcza na ogólnych zgromadzeniach katolików niemieckich, nieraz przedstawiał wymownie niezbędną potrzebę zakładania towarzystw rzemieślniczych pod kierunkiem katolickiego duchowieństwa. Myśl ta, przyjmowana wszędzie z największą sympatją, dziś już w czyn się zamieniła.

Towarzystwa czeladnicze miały według myśli Kolpinga stać się bezpiecznym przytułkiem dla młodego pracownika; dać mu moralne oparcie, zawodowe i umysłowe wykształcenie; prezes miał zastępować ojca rodziny; członkowie mieli uważać się za braci, a towarzystwo dawać oparcie moralne i wykształcenie umysłowe i zawodowe. Cały swój program wyraził Kolping jasno

i dosadnie w następnych dwóch zdaniach wypisanych dużemi głoskami w każdej sali zebrań.

- 1) Religia i cnota
Pracowitość i pilność
Zgoda i miłość
Wesołość i zabawa.

- 2) Religia i praca są złotym skarbem ludu.

Członkowie pozdrawiają się wzajemnie słowami: „Niech Bóg błogosławi pocziwemu rzemiosłu“.

W roku 1855 kwitło już 70 takich towarzystw. Dzisiaj liczba ta wzrosła do 600, mających około 140.000 członków. Towarzystwa rozszerzyły się po Niemczech, Austrii, Włochach, Francyi, Belgii, Szwecyi, Wołoszczyźnie, Egipcie i Północnej Ameryce. Kolping został już poprzednio zamianowany rektorem kościoła franciszkańskiego i zostając na tem stanowisku kierował całym tym wielkim ruchem. Zastępcą jego został monsignore Sebastian Schäffer.

Towarzystwa uważały sobie za pierwszy obowiązek zakładanie szkół wieczornych, w których uczniowie pobierają regularnie lekcye prowadzenia ksiąg kupieckich, rachunku, rysunków, nauk przyrodniczych i wyrabiają wypracowania piśmienne. Nadto w miarę środków postarano się o gospody dla przyjezdnych członków związku, aby zanim wyszukają sobie odpowiednie zajęcie, zaradzić pierwszym ich potrzebom. Jednocześnie starano się, dojść jak najprędzej do posiadania własnego domu, a wiele towarzystw poszczycić się może i pod tym względem pomyślnym skutkiem swych usiłowań.

W roku 1864 dokonał Kolping na walnem zgromadzeniu katolików niemieckich w Wirzburgu, ostatecznej organizacyi stowarzyszeń rzemieślniczych, wpłatając je w organizacyę kościelną. Każda dyecezya ma zamianowanego przez biskupa prezesa dyecezalnego; stowarzyszenia rozsypane po dyecezyach całego kraju podlegają znów jednemu prezesowi, a wszyscy prezesi otrzymują wskazówki od generalnego prezesa urzędującego w Kolonii.

Jako legitymacyę dla towarzyszy zaprowadził Kolping tak zwaną „książkę podrózną“, wystawioną na imię podróżującego, przez prezesa towarzystwa, do którego ktoś się zapisał. Mieszczą się w niej także adresy wszystkich stowarzyszeń czeladniczych i ich pre-

zesów, a każdy prezes w którego okręgu posiadacz książki dłużej się zatrzyma, notuje to paru słowami. Na końcu książki umieścił Kolping, ułożone przez siebie, prawdziwie złote uwagi dla podróżujących.

Dzieło Kolpinga wciąż jeszcze szerzy się i wzrasta; błogie jego skutki uznał i Kościół i państwo.

Tajemnica pomyślnych rezultatów działalności Kolpinga, przyczyna trwałości jego utworów bardzo jest prosta. Czemu dzieło Kolpinga takie i tak trwałe wydało skutki? Odpowiedź prosta. Oparł on je na podstawie głęboko katolickiej, a tem samem nie znośzącej żadnej zapalczywości lub faryzeuszkowskiej obłudy. Nie uważa stowarzyszeń za domy poprawy dla wykolejonych i rozpuszczonych, lecz widzi w nich zakłady, w których młodzieniec w najniebezpieczniejszych latach życia może i powinien znaleźć oparcie moralne i religijne. Zwracając całą bacność na pielęgnowanie cnót, w zawodzie rzemieślnika koniecznych i pożądaných, nie zapomina, że mozoły życia trzeba zaprawić wesołością i żartem. Byłe przyjemność obracała się w granicach dozwolonych, sam jej bramy otwiera; nawet tańców z zasady nie wykluczył. To też z góry można było mieć nadzieję, że kto tak zrozumiał potrzeby ludzkiej natury i zapatrując się na nie ze strony praktycznej zdał sobie z nich ścisły rachunek, ten mógł się spodziewać ze swej pracy pożądaných owoców.

Główną sprężyną towarzystw czeladniczych, są drobiazgi, bagatelki. Przekona nas o tem obraz Towarzystwa Düsseldorfskiego z końca ubiegłego roku. Na tym z życia wziętym, konkretnym przykładzie najlepiej będzie można poznać przewodnią myśl Kolpinga i ogólny skutek jego usiłowań.

b) *Towarzystwo Düsseldorfskie* posiada trzy domy: jeden z nich kupiono w 1864 r., drugi w 1882 r., tuż obok tamtego położony, tak iż obecnie połączono je w jeden. Dom trzeci wybudowano w latach 1885—6 na cele Towarzystwa i ten ostatni zajęło Towarzystwo w jesieni 1886 r. W *Rheinische Volksblätter* organie Towarzystwa w południowych Niemczech czytamy następujący opis tego nowego domu: „Towarzystwo Düsseldorfskie długi czas należało do mniejszych; takiem też było; gdy niezapomniany jego prezes Rennen kupił dom na Bilkerstrasse 1864. Dopiero gdy prezes Jakób Spicker-

nagel urządził obszerną salę, zakupił dom sąsiedni i oba domy zamienił na jedną porządną gospodę dla stowarzyszonych, cały związek znacznie się podniósł. W obu domach mieszka i jada z górą 100 członków. W izbach panuje wzorowa czystość; jedzenie jest pożywne i tanie. Jest to prawdziwie chrześcijański dom rodzinny, nad którym pieczę sprawuje główny zarządca p. Ferdynand Hipp. Spickernagel nie poprzestał na tych dwóch domach w środku miasta wznoszących się; wkrótce bowiem po ich urządzeniu zakupił znaczny plac na Werhahn, miejscowości wesolej, położonej na krańcu miasta. Tu wybudował niedawno skończony dom św. Józefa i myśli go zaludnić stowarzyszonymi. Dom ten, stojący dzisiaj dzięki hojnym składkom i opatrnościowej opiece patrona swego św. Józefa, jest jedną z najpiękniejszych ozdób Düsseldorfu. Nie dawno temu naumyślnie jeździłem do Düsseldorfu, aby mu się dokładnie przejrzeć, a odtąd ilekroć spotkam nowego jakiego członka ze stowarzyszenia rzemieślniczego, zachęcam go, aby nie żałował czasu i pięknemu temu domowi w szczegółach się przypatrzył. Z świadomością więc rzeczy mogą jego wewnętrzne i zewnętrzne urządzenie naszkicować.

„Wielka brama dzieli parter na dwie równe części. Z bramy wchodzi się na prawo do dwóch obszernych sal przeznaczonych na jadalnię, a które zarazem służą za rodzaj bawialni dla stowarzyszonych mieszkających w domu. Za salami jadalnemi bufet, w którym w południe i wieczór dzielą potrawy. Z bufetu idzie się przez korytarzyk do kuchni, znajdujący się w osobnym skrzydle obok izb sypialnych i pracowni dziewcząt. Mieszkanie służby żeńskiej ściśle odłączone od reszty zabudowania, łączy się z pralnią, piwnicą i spiżarnią. Na lewo od bramy prowadzą kamienne schody do sypialni stowarzyszonych. Naprzeciw wejścia jest sypialnia rządcy domu. Do sypialni stowarzyszonych prowadzi szeroki korytarz. Świeże powietrze napływa za pomocą osobnego przyrządu, urządzonego we drzwiach; korytarze i wszystkie bez wyjątku pokoje mają doskonale urządzone przewiew. W pokojach sypialnych umieszczonych bywa zawsze, ze względów moralnych, po trzech stowarzyszonych. W domu św. Józefa ma pomieszczenie prezes, ma on osobne drzwi, przez które dostaje się do swego mieszkania, prócz tego z mieszkania swego na parterze i na trzeciem piętrze ma przejście do właściwej

gospody. Na dziedzińcu mieści się małe gospodarstwo, składające się z dwóch krów i tuzina nierogacizny. Budynki gospodarskie są w ten sposób urządzone, że stronę ich nieestetyczną usunięto w tył; gospodarstwo, jak zapewnia prezes, dobrze się pod każdym względem opłaca. Nie jestem w możności podać wysokości wkładów i rocznych spląt na zakupienie domów, gdyż nie mówiąc już o innych dobroczyńcach, obecny prezes sam bardzo zamożny, wiele z własnej kieszeni wyłożył na rzecz towarzystwa i dla tego nie pozwala oglądać głównej księgi rachunkowej. Z całego jednak urządzenia wypada, że położenie towarzystwa jest, lub będzie wkrótce bardzo świetne.

Liczba członków przed pięcioma laty wynosiła 400; od tego czasu stale wzrasta i obecnie dochodzi do 630. Stowarzyszenie składa się po większej części z uczniów, będących pod przewodnictwem prezesa, po części z nowo wstępujących towarzyszy, wreszcie z przyjezdnych związkowych. Liczba nowych członków wszystkich trzech kategorii wynosi rocznie około 160; około 100 zaś opuszcza corocznie towarzystwo düsseldorfskie, udając się na wędrowkę i t. p. Majstrowie wszelkich rzemiosł pilnie wywiadują się w biurach wywiadowczych obu domów o zdatnych robotników; znak to widoczny, że stowarzyszenia te dobre sobie pozyskały imię.

Towarzystwo posiada dwie instytucje kasowe: 1) kasę dla chorych, do której każdy członek płaci 20 fenigów tygodniowo i otrzymuje za to w razie choroby bezpłatnie pomoc lekarską, lekarstwa i 8.50 marek tygodniowo gotówką. 2) Kasę oszczędności, o której tyle tylko wiem, że stowarzyszeni są z niej bardzo zadowoleni.

Przejeżdżający stowarzyszeni, którzy mogą się wylegitymować książką podrózną, otrzymują mieszkania bezpłatne. Liczba korzystających z tego dobrodziejstwa dochodzi rocznie do 2300, ale ponieważ niektórzy przepędzają w gospodzie kilka nocy z rzędu, stąd liczba wszystkich noclegów wynosi około 3000. Po noclegu otrzymuje podróźny śniadanie, a w razie potrzeby dalszy wikt i przytułek. Pieniądzy na drogę się nie daje.

W Düsseldorfie mieszka w domach Stowarzyszenia 180—200 czeladników. Mieszkanie na pierwszym piętrze kosztuje 6 marek,

na drugim 5·50 m., na trzecim 5 m. Razem jest tu dosyć miejsca na 250 stowarzyszonych.

Szczególniejszy nacisk położono na dobroć, taniość i ilość pożywienia. Zasadą jest, aby każdy sobie za własne pieniądze jedzenie kupował. Śniadanie wydaje się i płaci *à discretion*, obiad i kolacya w cenie 30—50 fenigów. Znajomy mój, który tam częściej jadał, mówił mi, że wszystkiego jest do syta i smacznie. Na obiad dają zupeł, jarzynę, ziemniaki i dwie potrawy mięsne. Filiżanka kawy kosztuje 5 fenigów, z dwoma bulkami 10 fenigów, cała porcja kawy 25 fenigów, kufel piwa 10 fenigów.

Rewizją pościeli dzienną i tygodniową zajmuje się gospodarz domu. Sam prezes nie odbywa właściwych rewizyj, ale uwiadamiają go o wszystkim i zupełnie na swych podwładnych może się spuścić. Zarządem każdego domu trudni się osobno do tego wyznaczony poważny gospodarz. Rewizji żywności dokonywa prezes bardzo praktycznie: od czasu bowiem do czasu zupełnie niespodziewanie zasiada do stołu i wszystkiego z kolei próbuje.

Nie zapomniano i o przyzwoitych rozrywkach. Podczas zapust odbywają się humorystyczne wieczorki, a w tłusty poniedziałek wielki bal maskowy, jedyna zabawa tańcząca, przez przeciąg całego roku; sam prezes jest na niej obecny, ale punkt o północy opuszcza salę. Z biletów wstępu pokrywają się koszty zabawy. W lecie odbywa się wspólna wycieczka z muzyką. Imieniny prezesa i rocznica założenia Towarzystwa są wspólnymi uroczystościami; a na Boże Narodzenie każdy dostaje jakiś podarek z tradycyjonalnego drzewka. Dzisiaj przedstawienia teatralne nie odbywają się już tak często jak w r. 1870; wtedy grywano nawet sztuki Calderona, jak *Książę Niezłomny*, *Miłość Krzyża*, a słynni profesorowie, jak np. Andrzej Achenbach i Karol Müller nie lenili się sami, z rzadką prawdziwie dobrocią, dekoracyj malować. Sala przeznaczona na tego rodzaju obchody, rozszerzona za obecnego prezesa, wystarcza na 1000 osób, zarząd wynajmuje ją czasami za umiarkowaną cenę na cele religijne i dobroczynne (nie zaś na zabawy). W sali prócz krucyfiksów stoją biusty cesarza, następcy tronu, papieży Piusa IX. i Leona XIII. i wreszcie ojca Kolpinga.

W osobnej sali jest bilard; oba domy mają gustowne kręgielnie, które niemało znajdują amatorów. Raz na tydzień sam pre-

zes daje lekcję śpiewu chóralnego. Chór w kościele św. Maksymiliana składa się po większej części z stowarzyszonych i świetnie się spisuje.

Dzisiejszy prezes uwolniwszy się w jesieni przeszłego roku od innych swych obowiązków, oddał się wyłącznie towarzystwu, i od-tąd żadnego zebrania nie opuszcza. Takie zebrania dwa razy w ty-dzień wieczorem się odbywają: w sobotę i poniedziałek. Program wieczorku sobotniego jest bardzo ożywiony. Posiedzenie trwające półtorej godziny (od dziewiętej do wpół do jedynastej) rozpoczyna się zwykle odczytem, dalej idą: deklamacya, wspólne pieśni, mo-nologi i t. p.; w poniedziałek jest odczyt treści religijnej a po nim wspólna modlitwa wieczorna. Niedzielne zgromadzenie obowiązuje wszystkich, poniedziałkowe tylko katolików. Ktoś ze świeckich przewodniczy zabawom; prezes zachowuje sobie tylko ogólny nadzór.

Gdym się zapytał w jakim stosunku jest towarzystwo do władz cywilnych, odpowiadano mi: „za czasów Kallmana władze patrzyły na nas z niedowierzaniem, dzisiaj są nam przychylne“. Ludność żywi wiele sympatyi dla towarzystwa.

c) Aby dać czytelnikom wyobrażenie o podobnem stowarzy-szeniu w Wiedniu przytoczę z roczników wiedeńskiego głównego stowarzyszenia czeladzi katolickiej za rok 1885/6 kilka spostrzeżeń. Z miesiącem majem towarzystwo ukończyło rok 34 swej działalności. W niedzielę i poniedziałki od-bywają się stale obowiązujące posiedzenia z odczytami, śpie-wem i t. d.; w inne dni tygodnia mają miejsce wykłady rysunków i modelowania (4 razy tygodniowo), sposobu praktycznego prowa-dzenia ksiąg rachunkowych, języka francuskiego, śpiewu, muzyki, szermierki i kroju sukien męskich. Biblioteka widocznie rośnie a stowarzyszeni pilnie z niej korzystają. Nie można też członkom odmówić zmysłu oszczędności: po 309 wkładkach złożyli stowarzy-szeni 1.189 zlr. 29 cnt., podjęli zaś 8.796 zlr. i 3 ct. w 195 odręb-nych sumach. Stan kapitału obrotowego wynosi na 820 uczestni-ków 24.428 zlr. i 41 cnt. Odnośnie do liczby członków w ubiegłym roku należało do związku 929 młodzieży rzemieślniczej; a 253 świeżo wstąpiło do towarzystwa. Z innych stowarzyszeń korzystało z gościnności wiedeńskiego 723, a z nich 216 pozostało w Wiedniu. 2166 przyjezdnym udzielono bezpłatnego noclegu; 1148 porcyi po-

żywienia rozdano bezpłatnie. Dotąd należało do towarzystwa razem około 20.000 członków. Widocznie błogosławieństwo boże spoczywa na towarzystwie. Liczba stowarzyszeń mnoży się z roku na rok, tak iż obecnie jest ich już w monarchii austro-węgierskiej 124, a ogółem liczba wszystkich stowarzyszeń wewnątrz Austrii i poza nią znacznie przechodzi 600.

Berlińskie stowarzyszenie rzemieślnicze liczyło w ubiegłym roku 700 członków. Towarzystwo zakupiło sobie dom na ulicy Niederwallstrasse pod nr. 32 za cenę 150.000 marek. Sześćdziesiąt tysięcy marek zdolano zapłacić w chwili objęcia domu w posiadanie. W domu jest miejsce na pięćdziesięciu towarzyszy; 40 miejsc stale wynajmuje się berlińskim towarzyszom; 10 zachowanych jest dla przyjeżdżających braci.

C) Stowarzyszenia uczniów. D) Stowarzyszenia majstrów.

W krótkich słowach załatwię się z dwoma temi stowarzyszeniami. Pierwsze są przygotowanym stopniem w hierarchii stowarzyszeń czeladniczych, drugie można uważać za ostatni tychże wyraz. Stowarzyszenia uczniów zaczęły istnieć ledwie od 10 lat; stoją zazwyczaj pod kierunkiem prezesa towarzystwa rzemieślniczego a w każdym razie pod przewodnictwem jakiegoś kapłana, któremu dopomaga z kilku członków złożony zarząd. Członkowie zarządu czuwają nad uczniami bez przesady lecz stale: wywiadują się w tym celu u majstrów o ich zachowanie się, o pilność i postępy. Zarząd urządza wystawy prac uczniów a najlepsze obdarza nagrodami.

Stowarzyszenia majstrów wytwarzają się z członków towarzystw czeladników; którzy opuszczając towarzystwo zwykle zostają nadzwyczajnymi jego członkami. Towarzystwa poczytują sobie za zadanie wykształcenie dobrych majstrów a starają się to osiągnąć przez usilne pielęgnowanie ducha obywatelskiego i religijnego. Jak w towarzystwach czeladników, tak i tutaj wszelka agitacja lub dysputy polityczne z zasady, statutami są wykluczone. Głównymi środkami do osiągnięcia zamierzonego celu są: miesięczne wspólne posiedzenia, odpowiednie odczyty, czytanie dobrych czasopism, wzajemna wymiana nabytego doświadczenia, wreszcie kasy dla chorych i umierających, kasy oszczędności i zaliczkowe. W ciągu ustępu o stowarzyszeniach rzemieślniczych nieraz wspominaliśmy

o literaturze osobno dla nich wytworzonej. Tu zamykając rzecz dobrze będzie może przypatrzeć się jak też to w słowie odbija się to, co w czynie tak dobrze przeprowadzono. Jeden tylko podamy ale wybitny przykład.

Towarzystwo Pomyślność robotników (*Arbeiterwohl*) wydało dwie złote książeczki, dla klas pracujących, które wzajemnie się uzupełniają: *Szczęście domowe* to przewodnik praktycznej moralności w zakresie życia rodzinnego, „Kompas“ to już w rozszerzonych ramach *vademecum* rzemieślnika w jego obowiązkach i zawodowych stosunkach. Właściwie mówiąc są dwie różne książeczki, zatytułowane: *Kompas*. Kompas dla młodego robotnika i dla żonatego; ale różnicę tę znać tylko w pewnych rozdziałach. Rozdziały zatytułowane: pijaństwo, nieuczciwość, oszczędność, pilność i gorliwość, przyzwoitość (prawidła zachowania się), spoczynek niedzielny, wytehnienie, gry i inne są jednakowe w obu książeczkach; przeciwnie w jednej tylko znajduje się np. rozdział o życiu wojskowem, o obowiązkach dobrego dziecka, o małżeństwie i t. p.

Książeczka *Szczęście domowe* cieszy się niezmiernem a słusznem powodzeniem. Rzemieślnik, znajdujący zadowolenie w gronie rodzinnem, nie puści się pewnie na bezdroża, nie zmarnuje zarobku w szynku, sił w pijaństwie i życiu niemoralnem. Ale czy można, ale jak osiągać ten ideał, aby najmilszem wytehnieniem dla rzemieślnika po ciężkiej pracy był kącik domowy? Tego uczy właśnie *Szczęście domowe*, aby tylko wszyscy, zwłaszcza żony, matki, narzeczone chciały się zastosować do przepisów niej wyrażonych. Autorowie wymienionych książeczek mieli trudne przed sobą zadanie. Robotnik, szczególnie młody niewiele czyta i to co najwięcej gazety — różnej wartości. Trzeba go było zająć i zachęcić. Jakoż tak co do treści, jak i stylu książki te wyróżniają się korzystnie od tylu innych w tym rodzaju utworów. Nie nużąc morałami, ujmują rzecz w formę zwięzłą, jasną; styl z poważnego zmienia się czasami w odpowiednich ustępach, w humorystyczny, a dosadne porównania i obrazki z życia zaczerpane działają na wyobraźnię. Rzemieślnik widzi nie jakąś subtelną teorię, lecz obraz własnego życia.

Prasa bez różnicy wyznań przyjęła przychylnie ten objaw zdrowej i rozumnej myśli. Powodzenie było ogromne: *Szczęścia do-*

nowego rozeszło się 130 tysięcy egzemplarzy, a rzecz niewątpliwa, że *Kompasowi* niemniej dobrze się powiedzie. Cena pojedynczego egzemplarza wynosi 40 fenigów, 100 egzemplarzy kosztuje 28 marek, a tysiąc już tylko 220 marek.

Rząd bawarski zalecił podwładnym organom protegowanie i rozszerzanie *Kompasu*.

E. Stowarzyszenie św. Rafała.

Stowarzyszenie św. Rafała czyli opieki nad katolickimi emigrantami narodowości niemieckiej, rozwinęło się z komitetu opiekuńczego (1863) nad katolickimi emigrantami niemieckiej narodowości, a założone zostało w r. 1871. W r. 1878 jako uznane już przez wielu biskupów otrzymało aprobatę Papieża. Stowarzyszenie ma za zadanie opiekować się tymi emigrantami Niemcami, którzy, stanowczo zdecydowawszy się na opuszczenie kraju, wystawieni są na rozliczne niebezpieczeństwa, tak pod względem religijnym, jak i moralnym, nie tylko w czasie podróży, ale i w pierwszych chwilach pobytu, wśród zupełnie obcego, dobrze jeśli nie wrogiego otoczenia. Modlitwa i składki pieniężne są środkami Stowarzyszenia. Dwa są rodzaje członków: rzeczywisci i honorowi. Pierwsi płacą rocznie co najmniej markę, drudzy sześć marek, lub przynajmniej składają jednorazowy dar 24 marek. Polem pracy stowarzyszenia są miasta nadmorskie, opanowane przez niewiarę, żądze użycia i chciwość.

Wykonywanie właściwych celów towarzystwa należy do „mężów zaufania“, w części kapłanów, w części świeckich; spotkać ich dzisiaj można we wszystkich niemal portach świata, z których wyjeżdżają lub do których przybijają emigranci: w Bremie, Hamburgu, Antwerpii, Rotterdamie, Amsterdamie, Hawrze, w Londynie, Liverpoolu, New-Yorku, w Baltimore, Porto-Allegro, Joinville, Buenos-Aires, Capstadt; jeźliby zaś, w tych samych co dzisiaj rozmiarach, wychodztwo do Australii miało dłużej potrwać, to stowarzyszenie niechybnie zwróci szczególną uwagę i na to pole pracy. Stowarzyszenie nie traci z oka wychodźców od początku aż do kresu wędrówki. I dla tego ten tylko może liczyć na zupełną opiekę stowarzyszenia, kto od chwili wyjazdu całkowicie mu się powierza i usługi jego przyjmuje, za które zresztą nie płaci ani grosza. Mąż

zaufania, powodując się długoletniem doświadczeniem, wyszukuje przede wszystkim zbyt pohopnych do wędrówki, i stara się do rozwagi nakłonić, do zadania sobie pytania, czy podróż istotnie wyjdzie im na pożytek. Takie ostrzeżenie przed lekkomyślnie przedsięwziętą podróżą uważa stowarzyszenie za główne swe zadanie; jakoż pracę w tym kierunku wieńczą już jaknajlepsze wyniki. Następnie mąż zaufania poucza emigranta dokładnie: aż do najmniejszych drobiazgów o wszystkim tem, co mu czynić należy a czego unikać, a więc jak ma rzeczy swe pakować i wysyłać, kiedy i jaką drogą odjedzie, gdzie ma noc przepędzić, którego dnia przybije do portu. Począwszy od roku 1873 aż do tej chwili rozesłano do emigrantów z samego Hamburga i Bremy z górą 30.000 listów z podobnemi objaśnieniami. Jeżeli emigrant dokładnie wyzna-czy godzinę swego przybycia na dworzec kolejowy, mąż zaufania odprowadza go do restauracyi, w której tu jest zabezpieczony od wszelkiego niebezpieczeństwa moralnego i materyalnego. Odtąd mąż zaufania nie opuszcza już wychodźcy ani na chwilę. On mu kupuje bilet na okręt i na kolej, rozmienia mu i wysyła pieniądze, zakupuje przedmioty potrzebne do podróży. Jak wielkiem jest, pod tym względem zaufanie wychodźców katolików, protestantów i izrealitów można stąd już zrozumieć, że od roku 1873 przeszło przez ręce dwóch tylko mężów zaufania 7½ miliona marek. O ile się tylko dało nakłaniano wychodźców do przyjmowania Sakramentów św. do uczęszczania do kościołów na nabożeństwo. Zwraca na to uwagę wychodźców mąż zaufania, przypomina mu toż samo napis na tablicy umieszczonej w każdej gospodzie, utrzymywanej przez towarzystwo; nakoniec mąż zaufania odwiedza dwa razy na tydzień wszystkie domy zajezdne towarzystwa, a jest ich 50 w Bremie i tyleż prawie w Hamburgu — i znowu poprzednie napomnienia powtarza. Od r. 1873 było na mszy około 180.000 wychodźców, pomiędzy nimi wielu nawet protestantów, blisko 22.000 przystąpiło do ŚŚ. Sakramentów, oczyszczając po największej części duszę przez spowiedź generalną.

Ale towarzystwo nie zadowolnia się bynajmniej odprowadzeniem wychodźcy na okręt, ułatwieniem mu drogi. I po drugiej stronie Oceanu rozwija ono swoją czynną miłość. Gdy emigranci staną na lądzie, spotka ich tam mąż zaufania i ofiaruje dalsze

usługi towarzystwa św. Rafała. Kto jedzie w jakimś celu naprzód wytkniętym, tego mąż zaufania stara się jak najrychlej doń doprowadzić, kto zaś go sobie dotąd nie upatrzył, tego prowadzi mąż zaufania tam, gdzie najłatwiej znajdzie sobie zajęcie, a gdzie również będzie miał możność spełnienia obowiązków religijnych, gdzie kapłan, kościół i szkoła, zachowają go od utraty wiary i enoty. Szczera wdzięczność należy się akwizgrańskim siostron reguły św. Franciszka w New-Yorku i Hoboken, które zaraz po przybyciu młodych dziewcząt zajmują się nimi z wszelką gotowością i zapewniają im przytułek w klasztorze, dopóki nie znajdą jakiegoś dobrego, uczciwego miejsca.

Godnem jest pożałowania, że towarzystwu wzbronionem jest ogłaszać inseraty w dziennikach, z których by można coś o niem się dowiedzieć; tak że stosunkowo bardzo tylko niewielu, ucieka się doń o pomoc. Wychodzący austriacy zgola nie zwracają na nie uwagi.

Niepodobna z jakąkolwiek dokładnością podać liczby emigrantów, opuszczających rokrocznie Europę. Jak fale na morzu tak ruch ów wznosi się do cyfr, którym trudno dać wiare, i spada znów do liczb bardzo skromnych. I tak rok 1881 a podobnież i całe dziesięciolecie, które rok ten zamknął, było przypływem w ruchu emigracyjnym; po nim nastąpił odpływ. O przychodach i wydatkach towarzystwa św. Rafała dadzą nam wyobrażenie następujące cyfry:

	Przychody	Wydatki
Z r. 1882 . . .	13103·59 mar.	8454·30 mar.
„ 1884 . . .	11168·46 „	10466·05 „
„ 1885 . . .	10424·73 „	9773·09 „

Stowarzyszenie tak doniosłego znaczenia zdaje się, że powinno być wyjętem zpod opieki policyjnej. Tymczasem uznano, że towarzystwo podejmuje zadanie niebezpieczne dla państwa i dla tego całe korpusy urzędników z trudem godnym lepszej pracy badają, śledzą, i wszelkimi środkami policyjnemi ograniczają jego działalność. Nic dziwnego, że poddane takiej opiece stowarzyszenie nie może się należycie rozwinąć i że dochody jego się zmniejszają.

*F. Towarzystwo Görresa, mające na celu pielegnowanie nauki
w Niemczech katolickich.*

Towarzystwo Görresa powstało w Koblencji w 1875 r., z natchnienia *barona von Hertling*, choć urzędowy początek datuje się dopiero od 25 stycznia 1876 r. Sama nazwa wskazuje dostatecznie, jakim jest cel towarzystwa. Cel ten spełnia, wspierając ludzi uczonych i nauczycieli prywatnych; wydając własne dzieła i czasopisma w zakresie nauk poważnych, oraz pomagając w ogłoszeniu prac i treści naukowej. Towarzystwo dzieli się na 4 sekcye: 1) Filozofii, 2) Historii, 3) Literatury i Sztuk, 4) Prawa i nauk społecznych.

Jak widzimy z rocznych sprawozdań, towarzystwo wydaje nie-małe sumy na rzecz młodych uczonych. Nadto wysyła towarzystwo rokrocznie jednego lub kilku z nich na swój koszt do Rzymu, gdzie stypendziści ci zbierają obfite naukowe plony, we włoskich, przede-wszystkiem w papieskich archiwach.

Od roku 1876 towarzystwo *Görresa* ogłosiło drukiem trzy-dzieści dwie prace, przeznaczone na dary dla członków i rozsyłane tymże bezpłatnie, choć i w handlu księgarskim nabyć je można. Objętość każdego takiego dziełka wynosi przecięciowo 110—130 stronic. Niektóre dziełka mieszczą kilka rozpraw; inne zajmują cały lub nawet parę tomików. Między ogłoszonymi dotąd dziełkami, jedenaście jest treści historycznej, cztery filozoficznej, dwa przy-rodniczej, cztery mniej lub więcej teologicznej, trzy literacko-histo-rycznej, pozostałe można stosunkowo do różnego punktu widzenia, do jednej z wymienionych kategorii zaliczyć.

Z poruczenia towarzystwa *Görresa*, wychodzi obecnie w Mo-nachium *Rocznik historyczny*. Czasopismo to z początkiem bieżą-cego roku rozpoczęło rok ósmy istnienia. Oparte na szerokiej bar-dzo podstawie naukowej, pozyskało wielką wziętość w Niemczech nietylko katolickich, ale nawet i w protestanckich. Zwłaszcza w roku minionym *Rocznik historyczny* bardzo szczęśliwie się rozwinał; za-prowadzono w nim wiele zmian i ulepszeń, tak, że dziś służyć może za wzór tego rodzaju wydawnictwom. Redaktorem głównym jest *Dr. Herman Grawert*, profesor szkoły wyższej w Monachium.

Towarzystwo wydało nadto trzy książki okolicznościowe. Jedną z nich poświęconą areybiskupowi kolońskiemu *Dr. Pawłowi Melchersowi* z powodu ukończenia katedry kolońskiej; druga ks. biskupowi Wroclawskiemu, z powodu jego jubileuszu biskupiego; trzecia J. E. biskupowi *Filipowi Kremenzowi*, z powodu objęcia przezeń kolońskiej katedry. Pierwsze z tych pism wyszłe z pióra Cardanusa, mówi o areybiskupie kolońskim *Konradzie von Hochstaden* (1238—61); drugie napisane przez *Dra Franza*, jest rozprawą o małżeństwach mieszanych na Szląsku; trzecie, roztrząsa kazania i katechizmy biskupów Warmińskich, Hozyusza i Kromera.

Z polecenia towarzystwa wydaną też została pewna liczba książek treści filozoficznej, nadto przyczyniło się ono do kosztów nakładu pewnej liczby dzieł obszerniejszych, przeważnie treści historycznej.

Niedawno temu rozesłało towarzystwo do wszystkich członków w bardzo energicznych wyrazach, napisany okólnik, zachęcający do popierania nowo powstającego *Rocznika filozoficznego*, który wyprzećby powinien z rąk wszystkich istniejące już w tym rodzaju w złym duchu redagowane pismo.

Oddawna prowadzone prace przygotowawcze do ułożenia *Słownika nauk społecznych* (*Staats-Lexikon*), opartego na podstawie katolickiej, nie postąpiły jeszcze tyle, aby chociaż tom pierwszy mógł być wydany. Redakcyja pomienionego *Słownika* składa winę na brak odpowiednich współpracowników. Twierdzenia tego nie chcę krytykować, lecz bardzo wielu wyraża się o niem z niedowierzaniem, i mniema, że raczej redakcyę oskarzyćby można o brak dostatecznej energii i rozumnej działalności.

Stowarzyszenie *Görresa*, liczy obecnie około 1820 członków rzeczywistych, którzy wnoszą po 10 marek corocznej składki i otrzymują, oprócz sprawozdań rocznych, trzy dziełka z liczby prac przez Stowarzyszenie wydanych. Około siedemset osób wnosi po 3 marki rocznie i otrzymuje samo tylko sprawozdanie roczne. Tym ostatnim nie przysługuje prawo zasiadania na zgromadzeniach ogólnych i zabierania w nich głosu. Nadto są jeszcze członkowie dożywotni i członkowie honorowi.

W pierwszym dziesiętku lat swojego istnienia zebrało towarzystwo w ogóle ze składek: 245.063 marek 23 pfen., a z tychże wydało około 200.000 marek na cele powyżej wymienione.

G. Stowarzyszenie prawników katolickich.

Na wezwanie 23-go zgromadzenia generalnego katolików niemieckich, zebranego we *Fryburgu w Brysgowii* w 1875 roku, założone zostało *Stowarzyszenie prawników katolickich*. Celem stowarzyszenia jest obrona instytucji, praw i interesów kościoła katolickiego przez uprawianie nauki prawa, wydawanie opinii jurydycznych, oraz wyjątkowo w razach potrzeby, przez zastępstwo prawne przed sądami i urzędami. Członkami być mogą Niemcy katolicy, posiadający stopień doktora prawa, lub teologii, albo dyplom z egzaminu wymaganego przed objęciem państwowych lub kościelnych urzędów. Komitet centralny ma prawo przyjmować i innych katolików dostatecznie znanych, nie Niemców. Stowarzyszenie rezyduje w Moguncyi; przewodniczy mu komitet centralny złożony z członków wybranych na zgromadzeniu generalnem, ci zaś wybierają na lat trzy prezesa, wiceprezesa, sekretarza i kasyera. Po upływie trzech-lecia te same osoby są znowu wybieralne. Na opędzanie wydatków każdy członek składa rocznie pięć marek. Organem związku jest czasopismo *Archivum prava kościelnego katolickiego*, (*Archiv für katholische Kirchenrecht*) wychodzące w Pradze, redagowane przez profesora *Vering'a*. Czasopismo to otrzymują członkowie stowarzyszenia za cenę umiarkowaną, dziewięć marek rocznie. Jako drugi organ stowarzyszenia wychodzi od r. 1882 *Przegląd prawniczy dla Niemiec katolickich*, (*Juristische Rundschau für das katholische Deutschland*) wydawany przez prawników katolickich w Moguncyi. Według programu wydawane być mają rocznie cztery zeszyty objętości około trzech arkuszy druku. Cena za cztery zeszyty, trzy marki, członkowie stowarzyszenia nie ponoszą kosztów przesyłki.

Na zgromadzeniu generalnem odbytem w Monasterze w r. 1885 postanowiono zmienić dotychczasową organizację w ten sposób, iż każda diecezya miała odtąd mieć jednego męża zaufania, do którego udawać się mają wszyscy żądający rady lub pomocy stowarzyszenia. Mąż ten zaufania bądź sam rzecz rozstrzyga, bądź w ważniejszych wypadkach, przechodzących dane upoważnienie, przedstawia sprawę komitetowi centralnemu, który nad nią obraduje, i ostatecznie ją urządza.

Działalność stowarzyszenia osiągnęła już wielokrotnie bardzo pomyślne rezultaty, w procesach wytoczonych ubogim probostwom, a to przez wydawane w odpowiednich wypadkach opinie jurydyczne, jakoteż przed podjętą na koszt stowarzyszenia sądową obronę. Żalować należy, iż stowarzyszenie dotąd nie dość powszechnie jest znane, aby mogło tę pożyteczną działalność rozprzestrzenić w szerszem kole bardziej odpowiadającym celom i zamiarom dobroczynnym, któremi się powoduje. Stowarzyszenie liczy obecnie trzysta pięćdziesiąt członków.

(Dok. nast).

Dr. Baumgarten.



CUDA I ICH ZNACZENIE W DZIEJACH OBJAWIENIA.

Po stwierdzeniu możliwości i potrzeby Objawienia Bożego, nasuwa się nam mimowoli pytanie, czy i skąd może człowiek zaczerpnąć pewności o tem, że mu Bóg istotnie jakieś prawdy objawił. Odpowiedź na to pytanie będzie przedmiotem naszej rozprawy.

Jeśli bowiem Bóg raczy człowieka nauczać swych prawd, i żąda od niego rozumnej wiary jako w prawdy boskie, koniecznie musi je tak uwydatnić żeby człowiek nie mógł rozumnie powątpiewać o ich pochodzeniu. Pewnymi znakami musi swą naukę opatrzyć, któreby nie dopuszczając najmniejszego rozsądnego powątpiewania świadczyły, że Bóg sam w swej nieomyślnej mądrości ją do wierzenia przedłożył. Nazywamy te oznaki *criteria revelationis*, kryteriami Objawienia, ponieważ z ich pomocą słusznie rozsądzić możemy, czy Bóg w rzeczywistości owe prawdy objawił, czy też jakiś oszust pod płaszczykiem powagi Boskiej był ich wynalazcą; nazywamy je też *motiva credibilitatis*, ponieważ pod ich wpływem uznajemy za wiarogodny sam fakt Objawienia, a konsekwentnie też za wiarogodne prawdy w tem Objawieniu zawarte.

Że nauka Boska musi posiadać takie cechy, było to jedno-głośną nauką szkoły katolickiej, która z św. Tomaszem twierdzi: „że niktby nie wierzył, gdyby nie był do tego zniewolony albo wi-docznością oznak, albo czemś innem podobnem“¹. A Pius IX. wstępując w ślady szkoły nie wahał się swą najwyższą powagą polecić: Rozum ludzki, żeby w rzeczy najważniejszej nie ulegał oszu-kaństwu lub błędowi powinien ze wszelką starannością roztrząsać

¹ S. Thom. 22 g. 1 a 4 ad. 2.

sam fakt Objawienia dla upewnienia się, że Bóg te prawdy istotnie ogłosił¹.

Ale jakież to oznaki być mogą, któreby niechybnie świadczyły o boskiem nauce pochodzeniu.

Jeśli rzecz *a priori* rozważamy, to możemy ich szukać tak w istocie samej nauki, jak też w osobach którym Bóg bezpośrednio naukę swą objawił posłannictwem ogłoszenia jej innym. Absolutnie mówiąc mógłby Bóg i innym sposobem dać świadectwo o Boskości swej nauki, wlewając w serca wierzących niewzruszoną o niej pewność i uczucie które rozróżnia niemylnie między prawdziwie Boską nauką a jej fałszerstwem. Nie brakło też filozofów którzy temu Boskiemu „instynktowi“ wartość i ważność kryterium Objawienia przyznawali². Oznaki pierwszego rzędu są przedmiotowe drugiego zaś podmiotowe; czy Bóg takimi chciał opatrzyć swą naukę niżej zobaczymy. Najprzód o kryterjach przedmiotowych.

Gdyby Bóg chciał taką wzniosłością, mądrością, ścisłością i skutecznością naukę swą obdarzyć, żeby żaden rozum ludzki nie tylko nic podobnego wymyśleć nie był w stanie, a zarazem też każdy z wielką łatwością ogromną różnicę odkryć zdołał między nauką prawdziwie Boską i każdym ludzkim jej naśladowaniem — toby zaiste w samej już istocie nauki Boskiej tkwiły nieomylnie znamiona jej Boskości. Takie bowiem przymioty wewnętrzne mogą być wypływem jedynie Boskich przymiotów i bez wszelkiej dwuznaczności prowadziłyby do boskiego jej nauczyciela.

Czy Bóg takie znamiona dał swej nauce, o tem później. Tymczasem przypatrzmy się innym, które wybrał jako przystępniejsze dla wszystkich, pewniejsze i jaśniejsze. Jak król swemu posłańcowi listy wierzytelne daje, ażeby jego słowo przyjęto jako prawdziwie królewską mowę, tak i Bóg swych posłańców w podobne niejako świadectwo zaopatruje, żeby i ich słowo przyjmowano nie jako ludzkie, ale jako Boskie słowo. Te oznaki zaś którym posłańców swych akredytuje u rodu ludzkiego i Boską powagę im samym i ich słowom jedna, podwójny muszą mieć charakter: najprzód muszą być tego rodzaju, żeby żadna siła ludzka ich stwo-

¹ Eucycl. d. Nov. 1846.

² Eg. Denzinger. Religio'se Erkenntnis. II. B. p. 291 SS.

rzyć nie zdolala, powtóre takie być muszą, żeby każdy rozum z łatwością mógł w nich poznać Boski ich charakter. Pierwszego warunku wymaga niewątpliwa pewność wiary, wtedy tylko bowiem wykluczoną jest wszelka wątpliwość roztropna, kiedy pewnem jest że posłannictwo od Boga pochodzi; drugiego wymaga powszechność wiary, prawda bowiem Boska dla wszystkich jest przeznaczoną, zarówno dla uczouych i nieuczouych, wszysey bez wyjątku ludzie z wiary mają czerpać swoje zbawienie.

Dlatego owe znaki, uwierzytelniające posłańców Bożych muszą być wpływem owych Boskich przymiotów, które wyłącznie są doskonałościami Bożemi. i żadnej naturze stworzonej nie są własne, aby ich działalność każdy rozum z łatwością mógł rozróżnić od działalności stworzonej siły i uznać w niej ramię Boże. Takimi zaś doskonałościami Boga są Jego wszechmoc i wszechwiedza. A więc czynami swej wszechmocy i wszechwiedzy Bóg powinien swych posłańców otoczyć, niemi świadczyć że od Niego otrzymali posłannictwo, od Niego otrzymali prawdy do ogłoszenia rodzajowi ludzkiemu. Temi czynami są cuda i proroctwa. Cudami więc i proroctwami musi Bóg udowodnić powagę swych posłańców, głosicieli swej Boskiej nauki.

A zatem cuda i proroctwa najpewniejszym są probierzem Objawienia; czy Bóg w rzeczywistości cuda czynił na korzyść Apostołów swoich to kwestya *faktu*, o której mowa będzie w następujących rozprawach; czy cuda i proroctwa mogą być znakami Objawienia, to kwestya *juris*, do zbadania jej obecnie przystępujemy.

Praktyczny i filozoficzny materyalizm, racjonalizm wszystkich stopni aż do niemieckich stowarzyszeń protestanckich (*Protestantenvereine*) wszelkimi siłami starają się cuda w krainie bajek i zabobonów pomieścić. I tak np. *Deutsche Zeit- und Streit-Fragen*, których celem jest nowoczesną oświatę szczepić wśród ludów, nie wahają się twierdzić „że Bóg dawniejszych religij bezpowrotnie zgiął dla ludzi naszych czasów, w skutek dzisiejszej znajomości natury i jej ustaw. W tym wszechświecie nie dźiać się nie może przez rękę zewnętrzną, wszystko co się w nim dzieje wypływa z natury rzeczy;“ „że Bóg nigdy nadzwyczajną działalnością nie narusza naturalnego i prawnego porządku rzeczy,“ „że błędne jeszcze jest pojęcie o Bogu, które Go przedstawia jako podobnego

do człowieka, jak gdyby samowolnie rządził siłami i prawami świata¹. Dawid Strauss chwali Darwina i w tem jego najwyższą uznaje zasługę „że otworzył bramę, przez którą szczęśliwsza potomność wyrzuci bezpowrotnie cuda. Każdy kto wie, co w najściślejzym z cudami jest związku, uwielbia go za to jako największego dobroczyńcę rodu ludzkiego“². Frohschammer zachęca nowoczesną umiejętność do złamania i wywrócenia tych spruchniałych podpór chrześcijaństwa“ (tak nazywa cuda)³. A stowarzyszenie protestanckie wychwala mowę Virchowa we Wrocławiu na zgromadzeniu niemieckich lekarzy i badaczów natury, wygłoszoną „jako protest umiejętności z najwyższym (*souveräner Ruhe*) spokojem założony przeciwko najgrubszemu zabobonowi“⁴. Mimowolnie dobrze mówi *Protestantische Kirchenzeitung*, że daremnie szukać w tej sławnej mowie Virchowa rozwiązania podniesionej kwestyi, gdyż znajdujemy w niej tylko bezzasadne twierdzenie, żadnem dowodem nie poparte, „że nie masz siły, któraby zdolala choć na chwilę zawiesić prawa natury“.

Przeciw tym falangom dzisiejszego niedowiarstwa dość będzie udowodnić: 1) że cuda są możliwe 2) że cuda prawdziwe łatwo rozróżnić można od działania natury, 3) że cuda mają wartość boskiej pieczęci na potwierdzenie autentyczności Objawienia. Zaczniemy od pierwszego punktu.

Na samym wstępie wypada nam ustalić pojęcie cudu. Poznawszy to, co w chrześcijańskiej filozofii słowem „cud“ oznaczamy, łatwiej nam będzie zrozumieć jego możliwość i usunąć wątpliwości co do niej powstające. W tem określeniu cudu pójdziemy drogą wskazaną nam przez św. Tomasza i całej szkoły katolickiej⁵.

Cud w ścisłym tego słowa znaczeniu jest faktem istotnym i jawnym, podpadającym pod zmysły, którego działanie przewyższa wszelki porządek i wszelką siłę natury. Jestto więc czyn, którego przyczyna sprawcza *causa efficiens* nie da się odnaleźć

¹ Jahrgang 2 Hest 31. Die Religion im Zeitalter Darwins Heinrich Lang.

² Der alte und neue Glaube. P. 117.

³ Das neue Wissen und der neue Glaube. S. 39.

⁴ Protestantische Kirchenzeitung d. d. 26 Sept. 1874.

⁵ S. Thomas. I. q. 105. ad 5. 6. 7. — Contra Gentes 6. III. c. 101.

2. II. q. 178. art. 1. ad 3.

w dziedzinie sił i możności stworzeń; ale której szukać trzeba w potędze i działaniu bezpośrednim Stworzyciela. Nie każda jednakże bezpośrednia czynność Boża w swem stworzeniu tworzy cuda. Wiele bowiem czynności bezpośrednich Boga, tak w porządku naturalnym jak i nadnaturalnym, bez ustanku zachodzi w naturze stworzonej, a mimo to należy do zwyczajnego ładu świata. I tak np. zachowanie i utrzymywanie istnienia stworzeń *conservatio*, zwykła i ciągła pomoc, udzielana stworzeniu przy każdym jego działaniu, czyli tak zwany *concursus*, samo stwarzanie dusz i wlewanie ich w ciała siłami przyrodzonymi i t. p. nie liczą się do cudów. Do istoty cudu należy bezpośrednia czynność Boża, występująca ze zwykłego porządku rzeczy od Boga ustalonego ¹.

Dwojaki więc element stanowi istotę cudu: bezpośrednie działanie Boga w stworzeniu, do jakiego nie uzdolniają go siły przyrodzone, i działanie Boga przekraczające granicę zwykłego porządku, który tak stworzenie w swych czynnościach, jak Bóg sam w niem i z niem działający zachowuje. Jeśli więc mówimy o człowieku, że cud uczynił, nie znaczy to, jakoby człowiek siłą własną od Boga spotęgowaną, albo siłą nową od Boga mu udzieloną, był jego sprawcą, ale że Bóg użył człowieka za narzędzie, aby niewidzialna czynność Jego wszechmocy, uwydatniła się w widzialnem współdziałaniu człowieka.

A ponieważ bezpośrednie działanie Boże w trojaki sposób może przewyższać siły natury i jej porządek, trojaki też rozróżniamy rodzaj cudów. Może czynność Boża przechodzić granice wszystkich sił przyrodzonych a to tak dalece, że natura pod żadnym warunkiem nie jest w stanie czegoś podobnego dokonać. Takim cudem np. jest uwielbienie ciała ludzkiego. Albo też działanie Boże może być tego rodzaju, że choć natura jest zdolna tego dokazać, ale jednak nie w takim podmiocie. Tak np. siłami własnymi obdaruje natura człowieka życiem, oczy jego światłem, ale żadną miarą nie potrafi ona wlać nowego życia w zmarłego albo przywrócić wzrok ociemniałemu. Albo też wreszcie może działanie Boże różnić się co do sposobu, tak, że natura może być zdolną takiego czynu i w tym

¹ S. Thomas I. q. 105. ad 7. ad 1.

samym nawet podmiocie, ale sposób działania Bożego przewyższa możność sił przyrodzonych. Tak np. może natura swemi siłami powrócić zdrowie choremu; ale bez użycia stosownych środków fizycznych, albo bez zachowania procesu naturalnego potrzebnego siłom fizycznym, i to w jednej chwili — to jedynie zdoła wszechmoc Boża uskutecznić¹.

Warto tu nadmienić inną jeszcze klasyfikacyą cudów, ogólnie w szkołach katolickich przyjętą i powszechnie znaną. I tak odróżniamy cuda po nad naturę (*supra naturam*), wbrew naturze *contra naturam*, poza naturą (*praeter naturam*).

Zasadniczą myślą tego rozróżnienia jest wzgląd na stosunek, jaki zachodzi pomiędzy wypadkiem nadzwyczajnym, czyli cudem, a siłami przyrody. I tak wypadek może być tego rodzaju, że natura zupełnie nie jest zdolną coś podobnego zdziałać i to albo w żadnym zgoła, albo przynajmniej nie w takim podmiocie jak np. wskreszenie umarłego, cud taki zowiemy po nad naturę. Wypadek znowu, w którym działanie natury musiałoby przeciwny zupełnie skutek wyrzucić, jak np., kiedy owi trzej młodzieńcy izraelscy rzućeni w rozogniony piec babiloński nie zgorzeli, zwie się cudem wbrew naturze. Albo wreszcie może zajść taki wypadek, że natura potrafiłaby to samo zdziałać, tylko nie w ten sam sposób, jak np. doraźne uzdrowienie chorego — i to zowiemy cudem poza naturą².

Zanim jednak przystąpimy do zbadania możliwości cudu, na dwie rzeczy musimy zwrócić uwagę. Fałszywem z gruntu i niegodnem Boga jest pojęcie, przedstawiające Go, jako wszechmocnego Stworzyciela, co skończywszy dzieło stworzenia, już się więcej o nie nie troszczy i obojętnie przypatruje się światu, jak siły weni wlane z żelazną koniecznością wykonywają swą pracę i działając na siebie i wzajemnie się modyfikując, zdążają do celu od Boga im wskazanego. Tak Boga pojmować niepodobna. Jest on panem absolutnym swego stworzenia, w które ciągle wlewa istność raz mu daną, wciąż niejako stwarzając je i współdziałając z każdą jego czynnością, kieruje je do celu, dla którego je z nicości wywołał.

¹ S. Thomas I. p. q. 105. art. 8.

² Thomas De Potentia q. 6. art. 2. ad 3. Summa contra Gentes l. III. c. 101.

Słowem Bóg bez przestanku udziela swej wszechmocnej czynności bezpośrednio stworzeniu, tak, że ono ani na chwilę nie obchodzi się bez osobistego wpływu swego Pana i Boga.

Druga zasada, którą sobie przypomnieć musimy, jest następująca. Cel, dla którego Bóg cuda działa, nie mieści się w fizycznym porządku świata, jak gdyby Bóg ich potrzebował do odrestaurowania zniszczonych sił natury albo do wzmocnienia i polepszenia fizycznego porządku rzeczy, ale cel ów leży w wyższym porządku Opatrzności, do którego się stosuje i cały świat fizyczny, ze wszystkimi swymi siłami. Cel cudów jest religijnym i moralnym, gdyż niemi posługuje się Bóg do zaświadczenia o prawdziwości i boskości swych objawień.

A teraz przystąpmy do dowodów. Kto się nie waha uznać wszechmocności Bożej, która jest źródłem cudów, ten logiczną koniecznością musi przypuścić i możliwość cudów. Prawdą jest, że siły natury są dane od Boga, ale pod pewną miarą i nieprzebytymi granicami ścięśnione, coś więc dziwnego, że nieskończenie większa nad nie wszechmoc Boża więcej od nich jest w stanie uczynić? Widzimy pewne stopniowanie między dziełami samych stworzeń, tak dalece, że co jedno zdolne jest zdziałać, drugie tego nie potrafi: dziecko ma swój własny sposób i dziedzinę działania, której przekroczyć nie może, mąż w sile wieku do więcej i większych czynów jest zdolny, i częstokroć jeden człowiek na większe i potężniejsze czyny zdobyć się może niż drugi. Jeśli więc niema w tem sprzeczności, że jedno stworzenie więcej zdziałać zdoła niż drugie, czemużby Bóg, którego ramię jest wszechmocne nie zdołał uczynić tego, czego cała natura nie jest w stanie sprawić? W całym skarbcu natury nie masz zaiste siły, któraby mogła wrócić umarłemu stracone życie, ale czemużby Bóg nie mógł tego uczynić. Wszakże od Niego pochodzi pierwsze życie i zdolność w naturze do przyjęcia go, dlaczegóżby nie mógł udzielić martwemu ciału zdolności do przyjęcia nowego życia. Kto w tem widzi sprzeczność, ten nie uznaje wszechmocy Bożej.

Ale może te prawa, które Bóg w naturze ustanowił i z jej siłami nierozłącznie zespolił, tyczą granicę, której niewolno Bogu przekroczyć, podobnie jak mu niewolno przestąpić praw moralności. Tak rozumują racjonaliści. Dlaczegóżby Bóg miał zmieniać swoje

prawa, czyżby się mądrość Jego miała omylić w ich ustanowieniu? czyżby wszechmoc Jego nie zdołała tworzyć rzeczy i praw wystarczających na wszystkie czasy, któreby nigdy nie potrzebowały poprawki? czyż samowolność Boga miałaby być tak zmienną jak wola dziecka, żeby z taką łatwością odstępował od praw raz mądrze ustanowionych? Oto pytania dzisiejszej filozofii, w których mieszczą się zarzuty przeciw możliwości cudów¹. Broń to nie nowa. Dla tych samych bowiem przyczyn już Spinoza odrzucał cuda. „Prawa natury, utrzymywał on, które rządzą światem są ustawami Boga, pochodzącymi z jego niezmiennej istoty i doskonałości. Każdy zatem wypadek wbrew prawom natury sprzeciwiałby się tem samem „Boskiej naturze, co jest zupełną niemożebnością². Ale i Spinoza nie nowego nie wymyślił. Św. Tomasz i cała szkoła scholastyczna robiła sobie te same zarzuty daleko gruntowniej i jędrniej, ale — umiała na nie równie gruntowną i jędrną dać odpowiedź³.

Przypatrzmy się trochę bliżej tym prawom natury i ich konieczności, a przekonamy się, że one bynajmniej nie stawiają wszechmocy Bożej nieprzebytych zapór w czynieniu cudów. Istnienia ich dowodzić nie myślimy, bo to zbyt widoczną jest rzeczą. Zadaniem fizycznych umiejętności jest wykrywanie tych praw, wedle których tak ogromne kosmiczne ciała, jak i najdrobniejsze atomy swe ruchy i czynności odbywają. Stara i nowsza filozofia zgadzają się wprawdzie w przypuszczaniu praw natury ale różnią się w określe- niu jego istoty. Co jest więc prawo natury? gdzie trzeba go szukać, czy w rzeczach samych, czy poza niemi, w jakimś osobnym podmiocie, któryby służył za ogólnego kierownika wszechrzeczy?

Prawo jest to norma, która każdej sile w naturze się znajdujej, wskazuje sposób i miarę działania⁴. Od czasów Newtona nie brakło uczonych, którzy mniemali, że prawem tem jest jakaś samoistna istota, albo siła kosmiczna, wszystkiemi rzeczami władająca i kierująca je do ich celów⁵.

¹ Müller. Das Wunder Froschhammer l. c. S. 160.

² Spinoza Opera.

³ Summa I. q. 105 art. 6. contra Gentes l. III. c. 98.

⁴ S. Thom. I. II. q. 90 art. I.

⁵ Liebmann Gedanken u. Thatsachen 1. Heft S. 117.

Naukę tę nieraz, ale niesłusznie przypisywano dawnej scholastyce. Ta bowiem umiała odróżnić prawodawcę od prawa. Prawo jest bowiem plodem rozumu i mądrości, które wola prawodawcy nakłada na swych poddanych przez promulgację. Ogłoszenie to prawa może i musi być różne. Jeśli poddanymi są istoty rozumem i wolą obdarzone, promulgacja dokonywa się przez oznajmienie im prawa, z dodaniem sankcji za zachowanie lub za przekroczenie tegoż. Jeśli zaś poddanymi nie są rozumne istoty, ale rzeczy materialne, promulgacja też musi być co do sposobu i istoty materialna. Sam Stworzyciel i Pan tego materialnego świata wycisnął na istocie każdej rzeczy swe prawo i najściślej je zespolił z jej siłami. Stąd niezmienna różnica panuje pomiędzy istotami rozumnymi a nieposiadającymi rozumu. Nad tamtymi panuje moralna konieczność, której często sprzeciwić się może niesforna wola, temi znowu rządzi fizyczny przymus, któremu siła z żelazną koniecznością ulegać musi. Na tem polega owa konieczność tak w nowszych umiejętnościach przyrody sławiona, a którą i stara filozofia uznaje bez żadnego wahania.

Lecz pomimo tej stałej konieczności, wedle której każda siła natury swe czynności niezmiennie odbywa, czyż nie można pod żadnym warunkiem zmienić sposobu i miary działania sił naturalnych? Owszem, doświadczenie uczy nas, że owa stałość wtedy tylko ma miejsce, kiedy jest sama sobie pozostawioną, albo kiedy warunki w których działa pozostaną niezmiennie.

Jedna atoli siła naturalna może działając na inną siłę zmniejszyć miarę jej skuteczności, albo też spotęgować, może jej całą skuteczność zniweczyć, albo też sposób działania zmienić. Kamień rzucony z góry, według prawa ciężkości upada na ziemię, ale wystarcza siła dziecięcia, aby go w naturalnym biegu zatrzymać. Lot kuli wystrzelonej nie zależy jedynie od siły pchającej, ale zostaje także pod wpływem siły ciężkości i oporu powietrza. Wejrzyjmy w świat organiczny a zobaczymy, jak siła żywotna odmienia czynności sił materialnych. W roślinie np. znajdują się te same elementy materialne co w roli, na której rośnie, z temi samemi siłami fizycznemi i chemicznemi, których jednakże działanie ulega zupełnej przemianie. Siłami temi materialnemi włada inna większa siła, która odmienia ich sposób i miarę działania. A choć ta wyższa siła

w tem działaniu swem, postępuje wedle pewnego prawa swego, mimo to prawdą pozostaje, że siła w przyrodzie wtedy tylko zachowuje bezwarunkowo prawa swoje, kiedy nie zostaje pod wpływem siły przemagającej. Krótko mówiąc, siły nasze mniejsze są niejako w służbie u sił wyższych i potężniejszych, które według własnego prawa działalność ich ograniczają, potęgują, zupełnie pochłoniają albo i do wyższego działania podnoszą. Cały świat we wszystkich swych częściach i cząstkach daje świadectwo tej prawdzie¹.

Lecz ogólne to zjawisko lepiej się jeszcze nam uwydatni, jeśli się przypatrzymy czynności sił materyalnych pod panowaniem ludzkiego rozumu i woli. Na żadnem polu wiedzy, odkryć i wynalazków nie pokazuje człowiek tak swojej wyższości nad naturą, jak w panowaniu nad siłami naturalnemi. Umie on doskonale siły i ich czynności ograniczać, paraliżować, sprzęgać, kierować, by wedle jego woli i w oznaczonej chwili rozpoczynały działanie. Każda maszyna jest ilustracją tej prawdy, a im bardziej jest skomplikowana, im więcej ukrytych sił wciągnięto do pracy, im są one różniejsze, tem większy tryumf człowieka nad naturą.

Mechanika tak bardzo w naszym wieku udoskonalona niezaprzeczalnym jest dowodem, że w naturze nie ma siły, którejby większa siła nie mogła hamować, ograniczyć, spotęgować. Rezultat to postępu fizycznych umiejętności w naszych czasach!

Ale czyż sam ten fakt nie świadczy o możliwości cudów? Czyż w nim nie zawiera się ich fundament? Przypatrzmy się trochę bliżej cudom tak zwanym wbrew naturze (*contra naturam*), przeciw którym najwięcej występuje nowożytna filozofia. Pismo św. opowiada, że król Nabuchodonozor kazał wrzucić w piec rozpalony trzech młodzieńców, odmawiających boskiej czci balwanowi przezeń postawionemu. Płomień z pieca wybuchający popalił Chaldejczyków w pobliżu stojących, a młodzieńcy w pośród samych płomieni nietknięci zostali tak, iż ani włos z ich głowy nie został uszkodzony. To niepodobna, wolają przeciwnicy cudów! Owszem! Umiejętność pokazuje, że człowiek potrafi siłę siłą przeciwstawić, jej działanie ukrócić i zniweczyć. Ludzie umia się ubezpieczyć przed niszczącą potęgą ognia, stawić zaporę jego zapędowi, stłumić jego gwałtowność.

¹ Pesch. Welträthsel B. II. S. 269.

A czyżby Bóg tego nie potrafił. Czyż świat tak niezależny jest od Boga, że mu nie wolno wszechmocną ręką sięgnąć w jego mechanizm. Przecież Bóg jest Panem wszechświata, od Niego pochodzą te wszystkie siły i z jego tylko pomocą i współdziałaniem one wciąż pracują. Boża mądrość granicę, sposób i warunki każdej sile przepisała. Albo czyżby Bogu brakło sposobu siłę ognia lub jakąkolwiek inną w działaniu powstrzymać? Że tak nie jest, to nasz rozum jasno widzi, ale wiedzieć tylko nie możemy, w jaki sposób On to czyni, bo *quis consiliarius ejus?* Może Bóg siłę odmówić swego współdziałania, może warunki potrzebne do jej działania usunąć lub znieść, może inną siłę jej przeciwstawić, i działanie siły pozostanie bez skutku. Wszystko to może Bóg uczynić. Ktokolwiek więc uznaje wszechmoc Bożą, ten też konsekwentnie uznać musi, że mu nie brak sposobów do powściągnięcia siły naturalnej w jej działaniu.

Ale może większą będzie trudność względem cudów trzeciego stopnia, które *quoad modum* są nadprzyrodzone, jak np. natychmiastowe uzdrowienie bez żadnych fizycznych środków dokonane. Czegoż wymaga taki cud, jeśli nie siły jakiejś, któraby albo oddaliła przyczynę, przeszkadzającą regularnym funkcjom organizmu, albo organizm nadpsuty odrestaurowała, albo też wyczerpaną siłę organizmu nową energią napełniła. Częstokroć podobną siłą uzdrawiającą posiadają środki naturalne, jak to pokazuje nauka lecznicza. Działanie jednakże takich środków wymaga czasu, bo cały proces chemiczny, który wywołują w organizmie, odbywa się w pewnym porządku. Takie jest działanie samej natury. Ale czyżby Pan całej natury nie potrafił wykonać tego samego na krótszej drodze? Że Bóg w skarbcu swej wszechmocy posiada tę siłę uzdrawiającą, jest rzeczą jasną, bo od Niego mają ją środki lecznicze. Wszechmoc Boża jest nieograniczoną, a więc niezawisłą od żadnego fizycznego środka, może więc to samo bezpośrednio skutecznie, do czego naturze dał siłę wystarczającą.

Ale przejdźmy już do innych zarzutów przeciw możliwości cudów. Istnieje stały porządek w naturze, twierdzi wielu racjonalistów, od Boga samego ustanowiony, a dlatego nieodmienny jak Bóg sam i Jego wola. Cuda więc byłyby zgwałceniem widocznym tego porządku, a to podałoby umiejętność w najzgubniejszą nie-

pewność, a całe życie ludzkie popchnęłoby w powszechny zamęt. Wszelka bowiem umiejętność o naturze, wspiera się na zbadaniu tego porządku, jaki w owej dziedzinie natury panuje, jeśli ten porządek może być naruszonym, to i wiedza o nim niemożliwa; zamiast nauki zupełna niepewność i ciągle powątpiewanie. A co gorsza, całe życie ludzkie funduje się na tym porządku, rachując na pewność zjawisk naturalnych w nim zawartych. Zmieni się ten tok rzeczy, a ustanie wszelka rachuba pewności, i zapanuje powszechne zamieszanie. Tak twierdzą Tyndall, Helmholtz i Büchner.

Ależ czyżto w istocie tak ważny zarzut, czyż nie jestto raczej śmieszna obawa, którą rozwiać może spokojne zrozumienie rzeczy.

Istnieje bezsprzecznie porządek natury i to wieloraki, ustanowiony przez niezmienną wolę Boga. I tak widzimy porządek metafizyczny między jestestwami, mający w jestestwie Bożem swój fundament i rację ostatnią. Dalej porządek naturalny, który panuje w wolnych czynach ludzkich, mający początek swój w nieziennej istocie Boga, tj. w świętości Bożej. Jest i porządek fizyczny, który się rodzi ze stałego zachowania praw naturalnych. A po nad tem wszystkim panuje porządek Opatrzności Bożej, który wszystkiemi rzeczami włada według ustaw swej mądrości i wolnej woli.

Trzeci i czwarty porządek zasługują na bliższą uwagę, jako ściślej z naszą kwestyą związane. Na porządek fizyczny z dwojakiego stanowiska możemy się zapatrywać. Możemy go uważać, o ile w rzeczach samych istnieje, a jako taki nie jest czem innem, tylko stałością praw działających zarówno w najmniejszych cząsteczkach i atomach, jak i w ogromnych ciałach niebieskich, stałością praw, które z niezliczonej ilości najróżnorodniejszych żywiołów tworzą jedną całość pełną harmonii i piękności. Z tej stałości praw wynikają te same zjawiska, a ta regularność, która w nich panuje, drogą nam jest do odkrycia sił natury i praw niemi władających. Porządek ten jest stały, niezmienny i konieczny. Mógłby on być inny, bo mógł Bóg dać swemu stworzeniu inną istotę, przyrody, inne siły, a stąd inne mógł mu przepisać prawa, ale w każdym razie byłby stałym, gdyż sprzeciwiałoby się mądrości i dobroci Bożej zmieniać ciągle istotę i siłę rzeczy i prawa ich działalności. Jestto bowiem własnością Boga, że swym dziełom nadaje swój charakter o ile tylko stworzenie jest zdolne go przyjąć. Byt

stworzenia nie jest koniecznym, ale jest wypływem wolnej miłości Bożej, i skoro stworzenie obdarzone jest bytem, to nie sprzeciwia się, by konieczność i niezmienność panowała w jego działaniach i dlatego dał mu Bóg niezmienną naturę, cel i prawa, które niezmiennie spełniając, do swych celów przychodzą. Jestto nauka dawnej katolickiej szkoły, którą zarówno światło jak dosadnio wyluszczył św. Tomasz. Co do tego punktu zgadzamy się zupełnie z nowożytną umiejętnością.

Ale czy cuda rzeczywiście burzą go i wywracają? Bynajmniej! Czy Bóg zmienił porządek natury, kiedy Chrystus Pan chodził po falach morskich? Zaiste nie! Woda nadal zachowała te same przymioty i siłę swoją, prawo ciężkości zostało to samo jak przedtem było. Czyż zmienił Chrystus Pan porządek życia i śmierci, kiedy zmarłego do życia przywołał. Nie, bo i potem to samo prawo panowało. Żaden cud nie zmienia tych praw, sił i przymiotów natury. Bóg, dokonując cudu, użył tylko swego prawa, które nieodzownie posiada, że może bezpośrednio działać w świecie, którego jest najwyższym Panem. Tak król nie zmienia praw, kiedy ulaskawia złoczyńcę na śmierć skazanego, zegarmistrz nie zmienia mechanizmu zegarka i praw jego ruchów, kiedy posunie skazówkę naprzód, czegoby sam mechanizm nie potrafił. Ale może Bóg wolę swą odmienił tak nadzwyczajnym czynem swej wszechmocy. I to nie! Bo cud to nie chwilowy kaprys Boga, ale dekret od wieków w porządku Bożym przewidziany i postanowiony. Cuda nie są poprawkami świata i jego sił i praw nadanych, jak gdyby od początku Bóg nie był w stanie takimi prawami i temi siłami go obdarzyć, któreby na wszystkie czasy mogło wystarczyć; nie! — cuda są świadectwem, że Bóg nie zostawia świata samemu sobie, o nie nie dbając, nie troszcząc się oń, ale ciągle w nim żyje i czynnie nim się zajmuje. Czy może cuda naruszają zewnętrzny porządek zjawisk naturalnych? Wprawdzie cuda są nadzwyczajnemi zjawiskami, ale i ta nadzwyczajność nie zmienia w zwykłym biegu świata. Kiedy Chrystus Pan otworzył oczy ślepego, albo w sparaliżowane członki wlał naturalną ruchliwość, albo niemym ustom przywrócił mowę, czyż przezto zmienił regularność zjawisk psychologicznych, chemicznych lub fizycznych. Bóg chciał tylko tem nadzwyczajnym zjawiskiem zwrócić uwagę ludzką na swą obecność szczególną, która

w porządku Bożym była potrzebną do wyższych celów od Boga zamierzonych.

Nadzwyczajność dalej cudu nie wtrąca w otchłań niepewności ani — wiedzy, ani życia ludzkiego. Proceder nauk naturalnych opiera się na argumentacji indukcyjnej tj. wnioskuje od regularności obserwowanych zjawisk do stałości sił i praw. Nadzwyczajny przypadek, przerywający tę regularność wcale nie zmiesza nauki, która starając się o tłumaczenie wyjątku, szuka tajnej sprężyny jego: czemu siły natury zboczyły ze zwykłej swej drogi — i jeżeli szczęście jej sprzyja, że rozwiązała zagadkę, chlubi się z wielkiego tryumfu, jeśli zaś nie znajdzie drogi do odgadnięcia jej, to przecież nie porzuca swej zdobyczy — lecz albo w tym nadzwyczajnym fakcie uznaje palec Boży, albo jeśli to się jej niepodoba to sam fakt jako niemożliwy odrzuca, kłam zadając świadkom, albo ucieka się do nieznanых jeszcze przyczyn, jak to czyni wielki Tyndall. Podobnie i życie ludzkie nie jest wystawione na niepewność i zamęt. Kiedy Chrystus P. przechodził przez morze, ludzie bynajmniej nie myśleli, że woda stała się drogą, którą się odtąd bezpiecznie puszczać można. Kiedy mnożył chleb nie porzucili pracy myśląc, że chleb sam z siebie tajemnymi siłami będzie się mnożył. Albo kiedy zmarłych wskrzeszał, nikt nie sądził, że śmierć już swą siłę straciła.

Cuda, jako wypadki nadzwyczajne — przekraczające zwykły bieg natury zostają mimo to w najściślejszym związku z porządkiem moralnym człowieka, któremu służy cały porządek materialny świata.

Nad całym stworzeniem panuje porządek Boskiej Opatrzności, która wszystko kieruje do owego wzniosłego celu, dla którego wszystko stworzył. A w tym porządku, jak każda rzecz stworzona, tak i cuda mają swoje miejsce harmonijnie zastosowane do całości. Cel Opatrzności Bożej, z którego wyrasta cały porządek wszechrzeczy stworzonych — jest chwała Boża. Bóg chciał, żeby istota nieskończonego uwielbienia godna — była też uwielbiona od tysiąca stworzeń, które jego miłość bytem uszczęśliwiła. Dlatego stworzył człowieka, dał mu serce i wolę do umiłowania go, i rozum do poznania wielkości i piękności i wszelkiej dobroci Bożej, aby z tego poznania czerpał miłość, cześć i uwielbienie dla swego Stwórcy. I aby ten rozum jego miał skąd czerpać prawdziwe poznanie Boga

swego i Jego doskonałości rozwarł przed nim księgę natury, w której każda litera, każdy znaczek, opowiada chwałę Boga¹.

Ale ta księga niezrozumiała jest dla oka ludzkiego namiętnościami serca zaciemnionego. Dlatego też Opatrzność Boża dała nam inną księgę, nauczającą znajomości Boga — księgę Objawienia. Pisał ją Bóg na tablicach serc ludzkich mową proroków, Apostołów i piórem mężów, Boską aspiracją oświeconych. Ale aby człowiek zrozumiał jej pochodzenie opatrzył ją Bóg w charakter swój przez pewne a nieomyłne znaki tj. cuda. Jestto nauką św. Augustyna, św. Tomasza, całej szkoły katolickiej.

Dość często spotykamy się z innym zarzutem: „nie doznałem cudu, więc w niego nie wierzę“. Na taki zarzut odpowiadać tu nie myślę.

Jak Chrystus Pan nie chciał zaspokoić ciekawości Heroda — tak Bóg nie zadawał ciekawości mędrców tego świata. Są cuda — cały kościół Chrystusowy na cudach się opiera, bez cudów nie byłby powstał, i nie rozpowszechniłby się po całym świecie, nie przetrwałby 19 wieków walk ogromnych, z których każda przez się wystarczała do jego zaguby.

Jasno stąd widać niekonsekwencyę niektórych nowszych Apologatów chrześcijańskich, co chcieliby z jednej strony ratować rzeczywistość cudów, z drugiej strony bali się twierdzić, że one przechodzą porządek i siłę natury a dlatego zmienili naturę cudów.

Tak np. Clarke protestant Anglik wpadł w błąd dawniejszych okazyjonalistów, twierdząc że natura sama wcale nie posiada sił przyrodzonych, a dlatego też żadnych nie potrzebuje praw któreby nią kierowały w jej czynnościach, lecz że Bóg w stworzeniach swoich sam bezpośrednio wszystko działa, z tą tylko różnicą, że zwyczajnie w ten sam sposób postępuje, a niekiedy dla pewnych przyczyn zmienia tryb swojego działania, a taki wypadek nazywamy cudem².

Bonnet innej szukał drogi do ocalenia cudów bez nadwężenia praw natury. Dwa są według niego porządki sił przyrodzonych, jeden obejmuje siły nam znane, inny dla nas tajne, każdy wła-

¹ Ps. 18.

² Traité de la religion chr. Ch. 19.

sne posiada prawa. Zwyczajnie działają siły znane wedle praw nam wiadomych — niekiedy znów z postanowienia Bożego działają siły tajne wedle praw nam niedostępnych — a wtedy mamy cuda¹.

Houtteville znowu twierdził że jeden jest porządek sił stworzonych ale że koniecznym jest podwójny porządek praw. Jeden to prawa znane — a działanie według ich przepisów stanowi porządek zwyczajny natury — drugi zaś porządek praw, przed nami jest tajemnicą pokryty i kiedy w naturze dzieje się coś wedle niego, zwiemy to cudem². Koniec końców — granic natury — cuda nigdy nie przekraczają.

Słowo odpowiedzi wystarczy: Clarekiego nauka dawno już odrzucona³. Bonnet i Houtteville zgrzeszyli pobożną bojaźliwością. Ktokolwiek bowiem wierzy i uznaje wszechmoc Boga i zupełną nieustanną od Niego zawisłość świata, nie ma w tem trudności — by uznać że Bóg może bezpośrednio działać w swem stworzeniu a w tem działaniu przechodzić poza granice sił, któremi obdarzył naturę stworzenia. Bywają okoliczności w życiu ludzkim, w których i lekkomyślny człowiek nawet przypomina sobie zapomnianą modlitwę, błagając Wszechmocnego o ratunek; a i niewierzący też drzymiącą w sereu wiarę w Boską wszechmoc obudza, i o cuda prosi, o wyższą pomoc której natura dać nie może. To świadectwo — świadectwo *animae naturaliter Christianae*, z głębi serca wychodzi — to świadectwo prawdy. (C. d. n.)

X. Antoni Langer.

¹ Recherches philos. sur les preuves du Christ. Ch. 5.

² La religion christ. prouvée par les fats. L. I. ch. 6.

³ S. Thom. c. Gent. l. III. c. 69.

RADZIWIŁŁOWSKA OŁYKA.

Ołyka dziś nędzna wolyńska miścina, fundum jednej z trzech Radziwiłłowskich ordynacyj miejsce niegdyś rezydeneyi kilkunastu Radziwiłłów, wydatnych historycznych postaci, sławna najwarowniej-szym z zamków wolyńskich i bogatą kolegiatą, nie miała u nas do-tąd szczegółowej monografii, choć na nią ze wszech miar zasługuje. Nieliczne a pobieżne o tem miejscu wzmianki, rozproszone po dzien-nikach i pismach peryodycznych, poszły swoim zwyczajem w otechłań zapomnienia. Zwiedziwszy szczegółowo to miejsce, mając zresztą w rękę dość ważne o niem notaty, z miejscowego i innych domo-wych archiwów poczerpnięte, dajemy o ile można szczegółowe o niem sprawozdanie, w przekonaniu, że takie monografie są niezawodnie przyczynek do dziejów narodowych i badaczowi niejeden rozproszony i nieznany fakt historyczny dostarczyć są zdolne.

Nim jednak do dziejów miasta przystąpimy rzućmy okiem na dzisiejszy stan Ołyki i na pozostałe w niej pamiątki i zabytki.

Miasto to leży pod 487° dług. 535° szer. przy ujściu małej rzeczki Miłowiczki do jeszcze mniejszego ruczaju Putylówki nad wielkim stawem. Już wyjechawszy za Dubno o trzy mile stąd odle-głe, rzucamy wolyńską okolice, jej stopy i chleborodne pola wjeżdżamy na Polesie. Dokoła sosny i piasek, jestto jakby kraniec dwóch cał-kiem odmiennych fizyonomią i charakterem krajów, na którego gra-nicy leży Ołyka. Nie dojeżdżając do miasteczka trzy nagie pagórki niewiadomo z jakiego powodu zowią się w ustach ludu Turczynki,

Turecy bowiem jak wiadomo nigdy tu nie postali. Miasteczko prócz zamku, bram wjazdowych, ratusza i kolegiaty nędzne, żydowstwem zasiedlone, na płaszczynie, całkiem charakter poleskich miasteczek dochowało. Jednak jarmarki dość licznych kupców i kupujących tu gromadzą, a najważniejszym na nich artykułem handlu są łyka i owo sławne poleskie obuwie łapciami zwane, które stosami tutaj z Polesia dowożą, również wszelkie tej okolicy leśne wyroby, po które wołyński chłopiek zdaleka aż tu podąża. To też o trzech blisko siebie leżących miasteczkach, znane jest lokalne przysłowie, że Derażnia na garnki, Klewań na dziady a Olyka na łyka są sławne.

Stare zameczysko tutejsze przedalbrychtowskich jeszcze czasów sięgające, daje wprawdzie najlepsze wyobrażenie dawnej warowni ale powierzchownie niczem nie uderza.

Budowa to bez żadnych ozdób, prócz bastyonów i pospolitej wieżycy nad bramą wjazdową ukoronowanej orłem Radziwiłłowskim, zamyka w sobie kwadratowy smutny dziedziniec. Zewnątrz gołę ściany, równe, przecięte rzędem jednostajnych okien. Fosy obmurowane ze strzelnicami i jedna wycieczka o dwóch ośmiokątnych wieżyczkach zwracają uwagę. Wryty na kamieniu rok 1564 świadczy, że zamek ten wówczas zapewne w takim, jak dziś stanie zrestaurowany został z fundamentów, bowiem dawniej jeszcze musiał być wzniesiony. Do 1793 roku na wałach stały tu jeszcze działa i utrzymywała się nadworna książęca załoga, dziś pusto dokoła, a właściciele zrzadka tylko tu zazierają. I wewnątrz pustki, a prócz wielkich sal z dobrze jeszcze dochowanemi freskami na ścianach, prócz kilkudziesięciu Radziwiłłowskich portretów i zasobnego ich archiwum, nie wiele tu zresztą książęcych zabytków pozostało.

Oto jak opisuje go inwentarz z r. 1755¹: „*In primario* od rynku miasta Olyki cztery słupy dębowe, na wrota jedne i furtek dwie z wiązaniem z wierzchu, od których ciągnie się most na obie strony z poręczami dębowemi, na dwunastu słupach murowanych, czworograniastych stojących i dwóch także ostatnich murowanych,

¹ Inwentarz tj. opisanie całego zamku murowanego z arsenałami i skarbcami w nim będącemi przez nas niżej od J. O. Ks. Imci Michała Kazimierza Radziwiłła wojew. Will., Hetmana W. X. L. destynowanych i podpisanych *Diebus ultimis Mai A. D. 1755 r.*

z syszrabu, to jest strzelnicy wyciągnionych, które na obie strony mostu jego, ciągną się aż do rądelów rogowych. Przed samą bramą zwód na dwóch łańcuchach i kółkach żelaznych w murze osadzonych. Wjeżdżając do bramy po prawej ręce drogi, także mały zwód przeciwko furtki dla przechodzących na łańcuchu żelaznym i kółku na środku furtki wprawionem. Z obu stron tego mostu fosa, którą oblewa ze stawu woda i syszrab na obie strony murowany, spatium w sobie od wału murem opasanego na łokci inżynierskich 10 i cali 3 mający. Na środku brama murowana, kamieniami ciosanemi w około osadzona z wspaniałą facyatą w wierzchu, nad którą kamień murowany czworograniasty z inskrypcyą złotemi literami wyryty *de tenore sequenti*

DEO TER OPTIMO, TER MAXIMO

nec non

Augustae Virgini Castissimae Puerperae

Castrum hoc omni se jure expolians dicat sacratique

Aeviternum

Gubernationem Ejus Divo Michaeli Angelorum

Principi Fortissimo Bellatori

Commendat

*Custodiam Invicto Martyri Argentinio Cujus Sacra Lipsana
Ab Urbano VIII Pont. Maximo huc missa honorifice asservantur*

*Clients humillimus Albertus Stanislaus Radziwiłł S. R. J.
Princeps Dux in Olyka et Nieśwież M. D. Lith. Can. Sibi et
successurae posteritati temporaneum vitae praesentis dum ea
florida virebit Loculamentum*

Relinquit

Anno reparaatae salutis MDCXL Calendis Julii.

„Nad którym kamieniem statua mała Najśw. Panny Loretańskiej, po bokach pretów dwa żelaznych na kompas, a nad samą statua pret z kółkiem żelaznym na lampę wiszącą, w wierzchu zaś kończącej się facyaty nad kaplicą intus będącej, statua kamienna św. Michała w pół żelazem opasana, ze skrzydłami z blachy że-

laznej pozłaceniami. Wchodząc od pokojów schodkami drewnianymi drzwi sosnowe na dwie strony otwierające się. We środku ołtarz na murze sztukatorską robotą rżnięty, w którym obraz Matki Najśw. Częstochowskiej. Korona na głowie mosiężna, pozłacana jedna i druga takąż u Pana Jezusa trzymającego na rękę, sukienka biała atlasowa, na spodzie zaś pod obrazem orzeł na murze rżnięty.

„W koło zamek opasany wałem, po prawej ręce wał obwiedziony murem wzwyz łokci inżynierskich ośm i pół, który ciągnie się do pierwszego rondelu rogowego, równo z wałem murowanego, który na miasto i kościółek św. Krzyża frontem stoi. Od tego rondelu ciągnie się mur, wał wspierający wzwyz łokci inżynierskich 203·4 aż do drugiego rondelu wałowego, początek tylko jego murem zaczęty na Turczyn, nad stawem frontem stojącego od wody dębowymi palami obitego, między którymi syzrab alias strzelnica murowana od wału murem opasanego, na łokci wzwyz dziesięć i cali trzy *spatium intus* mająca. W samym zaś środku tego syzrabu wrota na wprowadzenie armat, nad którymi w samej górze na środku syzrabu górnego na wale będącego blok drewniany do windowania armat.

„Po lewej ręce od bramy ciągnie się mur, wał wspierający aż do rondelu wałowego, początek tego murem zaczęty, palami dębowymi cały od wody stawowej obity wzwyz łokci mających inżynierskich 203·4. Ten lewy rondel stoi frontem od kollegiaty, druga jego strona także wsparta murem, od którego ciągnie się mur wzwyz łokci będący ośm i pół, aż do drugiego wałowego, także murem zaczętego, stojącego nad wodą stawową na Turczynki folwark, frontem palami dębowymi obity. Tył tego zamku wałem jednostajnie wzdłuż wysypyany, na środku przekopany na bramę, przed którym syzrab murowany na obie strony do rondelów murem zaczętych wpierający“.

Z inwentarza tego wskazującego nam tylko obszerność Olyckiego gmachu, niezliczoną ilość jego pokoi i sal, nie widzimy zresztą, aby w owym czasie już wiele pamiątek, bogactw i zabytków pozostało, musieli je wywieźć stąd Radziwiłłowie przed napadami kozackimi, mniej ważne tylko rzeczy pozostawiając. Pominąmy mało zresztą interesujący opis obici, kotar, łózek, materaców, dywdyków, parawanów, porcelany, starego zresztą żelaziwa,

stołów i stolców, wspomnimy tylko o portretach w dwóch ogromnych salach, mieszczących się wówczas, a z których nie wszystkie zachowały się dotąd, a również wypiszemy regestr arsenału, który da nam wyobrażenie, w jakim stanie warowny ten zamek znajdował się wówczas. „W pierwszej ogromnej sali z marmurowemi kominami, dwa tylko znajdują się portrety w całej wielkości: 1) z podpisem u spodu Stanislaus II. Radziwill Filius Nicolai VI. Nigri dicti et matre Szydłowiecka S. R. J. Princeps Dux in Olyka et Nieświż, Comes in Szydłowiec Supr. Maresch. M. D. Lith. Capith, Gener. Samogitiae cum Fratribus suis Jurisdator Ordinationis Domus Radiwillianae Romam pro tempore Jubilaei proficiscens, obiit Passaviae 1599 aetatis suae 40. 2) Marianna Myszcanka Comitissa Warhowicz Michaelis Castel. Volhyniae, filia, Consors Stanislai II. Radziwill, S. R. J. Principis Ducis in Olyka et Nieświż i t. d. obiit A. 1600, aetatis suae 37 A. quiescit Olycae.

Nad obydwoma temi portretami umieszczono herby XX. Radziwillów przez aniołów podtrzymywane. Dalej w tymże pokoju, na ścianach freski różnych bitew, w których Radziwillowie udział brali, i wjazd do Rzymu, któregoś Radziwilla, posadzka w tej sali marmurowa. Z tej sali Wielką zwanej, wchodziło się do drugiej portretowej, której wszystkie ściany zawieszane były portretami Radziwillów i rozmaitych osób do rodziny ich należących. A najprzód 42 portretów samych Leszczyńskich, domu skoligowanego z Radziwillami, portrety te sprowadzone były z Rydzyna do Olyki, u spodu pod każdym z nich mieściły się nadpisy i tytuły. Dalej następujące portrety: 1) J. W. J. P. Sapielchy wojewody Brzeskiego. 2) J. W. J. M. Xiędza de Lascaris bisk. Zenopolitańskiego. 3) X. Karola Stanisława Radziwilla kanclerza W. W. X. Lit. 4) Xiężnej Anny z Sanguszków Radziwillowej małżonki jego. 5) J. W. I. Pana Jana Sapielchy kancl. W. W. X. Lit. 6) J. O. Xiężnej Konstancyi Sapielżyny kancl. W. W. X. Lit. 7) Macieja Mycielskiego kasztelana Poznańskiego. 8) X. Hieronima Radziwilla Chorążego W. W. X. Lit. 9) Dwa portrety Xiężnej Wiśniowieckiej kasztel. krakowskiej. 10) Xiężnej Anny z Mycielskich Radziwillowej wojewodziny Wil. W. W. X. Lit. 11) Xiężnej Karoliny z Radziwillów Jabłonowskiej. Oprócz tych portretów dwie ogromne genealogie Radziwillów i Leszczyńskich.

„Wchodząc z dziedzińca, drzwi sosnowe na dwie strony otwierające się na zawiasach żelaznych, z zamkiem żelaznym wiszącym i z zaszczipką; w tymże arsenale okien pięć z kratami żelaznymi bez szkła, z okiennicami drewnianymi na żelaznych zawiasach. W nim znajduje się: „Armat spiżowych wielkich na lawetach sztuk 4, takichże średnich na lawetach 7, takichże mniejszych na lawetach 12. Armat małych spiżowych w Olyce odlanych 12. Armatka spiżowa tejże miary na formę zostawiona 1. Armata żelazna wielka bez lawetu 1. Armat spiżowych do sprzedania dysponowanych 3. Armat żelaznych maleńkich bez lawetów, z tych jedna rozerwana wpół 2. Szufłów do nabijania armat 12. Nakrywek żelaznych do armat nowej inwencji 12. Graycarów do wykręcania armat 3. Cyngratów do palenia armat 2. Magazyn na proch y kule polowy, żółto z czarnym malowany żelazem, okuty z całym przyborem 1. W tymże magazynie kul żel. armatnich 16. Kartaczów bleszanych 6. Moździerzów żelaznych wielkich 5. Moździerz żelazny maleńki 1. Flint starych polamanych 3. Garnek żelazny 1. Ołowiu Swinia 1? Sworniów do armat 7. Pałaszów Janczarskich starych 5. Pasów Janczarskich starych z mosiądzem 140. Berdyszów małych Janczarskich 36. Patrontasz Grenadyrski z blachami y herbem 1. W tymże blach mosiężnych do patrontaszów z herbami 3. Czapek Grenadyrskich 13. Pałaszów Grenadyrskich 12, kartuzów granad. 10. Form do Rac 19. Młynek do fajerwerku drewniany 1. Chorągiewek 15. Halabardów Janczarskich żelaznych osadzonych na drzewie 15. Beczka z granatami szklanymi nie nabitemi 1. Worów skórzanych na proch 2. Flint z bagnietami 80. Szpunter officerski 1. Ingiwerów 2. Bębnow drewnianych 2. Kul armatnich żelaznych 50. Lanców do karuzelu 21. Rękojeści do kopji 20. Sznurów do karuzelu 3. Dżyryd do karuzelu 20. Tarczów do karuzelu 20. Seren Morskich 4. Dalej wyliczenie kół pod armaty, dyszlów, kagańców i t. p. sprzętów do arsenału należących“.

Sławnym jest naokół kościół ołycki z fundamentów wznieiony przez Stanisława II. Radziwiłła, Pobożnym zwanego a sump-tem wielkim odnowiony przez syna jego Stanisława Albrychta; wspanialszego niezaprzeczenie nie posiada wołyńska prowincya. Książę Albrycht z żonami Reginą Eisenreich i Lubomirską za Władysława IV. w roku 1635 rozpoczął restauracyą i ozdobienie tego

kościola, w pięć lat potem z marmurami w takim stanie jak dziś jest, skończony i poświęcony został przez biskupa łuckiego Andrzeja Gembickiego w r. 1640 d. 26 sierpnia przy wielkim napływie duchowieństwa i szlachty. Pamiątkę dnia tego przechowuje napis na froncie kościoła umieszczony:

DEUS DE TUIS DONIS TIBI Offerimus.

Templum hoc in honorem SS. et individu Trinitatis. Dedicatum Consecratumque est ab Ill & R. Dno. D. Andrea Gembicki Eppo Luceor. Multis Praelatis Magnatibusque praesentibus anno Domini MDCXXXX. Augusti XXV. cujus dedicationis Memoria Proxima Dominica Post Festum S. Barthol. Apli aeternum celebrabitur.

Nadano wówczas dla proboszcza dwie wsi Ciemierzyn i Chro-miaków. Kapituła zaś i wikaryuszom Derę, Stawek, Hosowicę, Oderady, Tynnę i Czelibę jak świadczą akta erekcyjne na miejscu dochowane. Architektami kościoła tego byli niejaki Włoch Jan Maliverna i Reinhold Beffka, rzeźby dokonał Melchior Almpeli. Z Polaków zaś i krajowców architektami było kilku jako to: Jan Baczkowicz, Stanisław Markowicz, Albert Sadowski i Grzeszowicz. Przy zakładaniu tej świątyni ks. Albrycht fundator, umieścił długą o tem wiadomość w języku łacińskim w bani miedzianej, nad szczytem kościoła. Cały ten akt *per extensum* w monumentach swoich przytoczył Starowolski, w polskim zaś i niedokładnem tłumaczeniu Kotlubaj w dziele: Galerya nieświeska portretów Radziwiłłowskich pod życiorysem księcia Albrychta. Przytaczamy w przypisku cały ten charakterystyczny dokument podług Starowolskiego¹.

¹ (Akt założenia i poświęcenia kościoła olyckiego w roku 1640, spisany z polecenia fundatora ks. Albrychta Radziwiłła, kanclerza W. L. i umieszczony w kopule tegoż kościoła. Dokument ten umieszczony w monumentach Starowolskiego).

Porrigit spectabile Templum suam frontem ad Aquilonem ut Septentrionis aestus generoso suscipiat intuitu. Non illam Catonicae contrahent negae, non tristia Lavernarum supercilia corrugabunt. Non immanis ac funestus Lemurum perfricabit aspectus. Solido lapide cocta etiam saxeis ad pietatem animis dicet hujus cuius est imago Ecclesiae fidem, non perfert saxi megarensis levitatem, ut ad nervosam vocem suo cedat loco. Nam quo magis est lapidea eo vitam perenniozem vicet, non mentitos unquam inducet

Mimo jednak kosztownych materyałów i ozdób wykwintnych, gmach ten najniesmaczniejszą w świecie architekturą wystawiony. Front płaski, pilastrami tylko poorany, upstrzony jakimś malowaniem i grzyskami a kapitelami z czarnego marmuru, którego tu obficie użyto wszędzie, wydaje się pstro i niepięknie. Wewnątrz marmurowe czarne ołtarze, malowania brązowe na konsolach dookoła posagi ukazują wielkie staranie fundatora a zarazem, brak smaku w użytych ku temu artystach. Wyszafowano miliony, by postawić pomnik dziwnego smaku XVII. wieku. Malarze, rzeźbiarze, sztukatorowie, architekci, cudzoziemcy silili się zdaje się, aby najkosztowniej dokonać rzeczy najbrzydszej. Jedne posagi wkoło

colores. Nam veritate ipsa verioris gerit insigne fidei quae rebelles aperte odit, fronti nescit occultare sententiam, et quae tantam habet auctoritatem institutorum ac praeceptorum suorum, ut ad effrontium nova commenta et inuenta non soleat mutare vultum. Gratur huic fronti perenni marmore Constantia. Nec tam in illa viator polita saxa et salices distinctos mirare quam virtutum, quas tibi aditu suo propinat panegyrim. Has ergo hic moles non Parii aut Laristii montis excisas jugo intellige sed integri animi dotes transformatas in marmore contemplare. Explicat praeterea haec Basilica frontem, ut nunquam occasurum pietatis gloriam extendat, qua Illustrissimum Albertum Stanislaum Radziwiłł Sacri Romani Imperii Principem Ducem in Olica et Nieśwież. M. D. Lith. Cancellarium Piscen. Meven. Caunen. Tucholien. Velonen. etc. Capitaneum, qui nimium dilexit decorem Domus Dei Sociis et Comitibus tam devote animi lectissimis coniugibus, Regina ab Eisenreich in Domino demortua et Cristiana Lubomirska superstita ad canendum erigat ipsa interim suae erectionis, apud immortalitatem testis quam sortita est, Vicario Petri Urbano, Papa VIII. Rege Poloniae et Sueciae Vladislao IV. Huic igitur fronti erigitur Crux triumphalis, quae imprimis de Sathana inimicos suos per Constantinum Magnum primum Christianum Imperatorem devicit, omnesque ad consummationem usque saeculi ab omni impetu inimicorum protegit. Per hanc crucem

*Rex fortis venit in pace
Et Deus homo factus est*

Triumphabit itaque et perennabit contra omnium etiam hostium impetum. Accessere eidem suffragia et vota piorum, supplicatio populi devota, piissimi pastoris reverendissimi in Christo Dni Dni Andreae Gembicki Episcopi Luceor, qui hanc Basilicam affectu devotissimo, dedicavit Deo Un et Trino, benedixit et consecravit in honorem Sanctissimae Trinitatis. B. V. M. totiusque Curiae triumphantis. Anno 1640 post tactum primum lapidem anno quinto die 26 Augusti.

głównej nawy, mają wiele powagi i pięknie stoją dookoła... Grobowiec kanclerza Albrychta z czarnego i białego marmuru, w smaku odrodzenia, najniezręczniejszy został wykonany. Pieta u góry okropna a stojący aniołowie, nie mają ani wyrazu, ani wdzięku, inne Radziwiłłowskie grobowce, nie wiele są szczęśliwsze. Obok znajduje się wnioście do grobów książęcych, u którego zawieszono płaskorzeźbę kolorowaną, wystawiającą Chrystusa Pana gniotącego śmierć ukoronowaną. Wyrób szkaradny, myśl naiwna. Tuż są portrety pogrzebionych Radziwiłłów, a w pośrodku większego rozmiaru obraz Albrychta na katafalku spoczywającego. Jakkolwiek to wcale nie arcydzieło, ale wpatrzywszy się w ten z dziwną prawdą jakąś pojęty i wykonany wizerunek, czujemy, że malarz dobrze pochwylił stężale śmiercią spokojną oblicze chrześcijanina. Twarz trupa bladością pokryta, snem wiecznym objęta, w rękę trzyma różaniec, z którym skonać musiał pobożny książę. Na nim ubiór z cudzoziemska bogaty... dywan osłania łożę a rząd świec w srebrnych i pozłocistych lichtarzach otacza je. Malarz pracowicie bardzo i wierne powtórzył co widział, nie umiając w to wlać ideału a jednak podnosząc się prawie do niego pojęciem wyrazu twarzy nieboszczyka. Jestto najlepszy pewnie portret ks. Albrychta, obok niego kilka pomniejszych z późniejszych czasów.

Wszystko się snąć spiknęło na to, żeby kolegiata Olycka dużo kosztując była brzydką. Biskup Dederko dodał tu jeszcze swoim smakiem domorosłe ozdoby, na które prawdziwie bez śmiechu patrzeć nie można. Widzimy tu wszędzie jego rękę, nie zawsze trafnie i estetycznie użytą, krzątał się on tu i wiele do podtrzymania kościoła przyczynił się. Onto ofiarował do tutejszej kaplicy P. Jezusa drzewo krzyża św. w wielkim odłamku, które naprzód znajdowało się w kaplicy paryskiej, a potem w rewolucyi 1810 r. dostało się do książąt Poniatowskich, pokrewnych króla Stanisława Augusta, a potem w ofierze do księdza Dederki, który je złożył w kościele Olyckim, gdzie i sam pochowany zmarłszy 24 Grudnia 1829 roku. Obok niego pochowani też są w Radziwiłłowskich grobach dwaj inni biskupi infulaci tutejsi. Ks. Aloizy Osiński biskup-sufragan Łucki, infulat Olycki umarł w Olyce r. 1842 r. Pozostały po nim bogaty księgozbiór, sprzedał z publicznej licytacji konsystorz Ży-

tomirski w 1851 roku, rękopis zaś zabrała rodzina w Królestwie osiadła¹.

Nie wielki kościółek ŚŚ. apostołów Piotra i Pawła starszy od Kolegiaty, oddawna już opuszczony stoi w ruinach. Cerkiew tutejsza, niegdyś uniacka, obszerna, murowana, jak świadczą erekeye, fundowaną i uposażoną w aparaty została w 1712 r. przez

¹ Oto spis takowych podług notatki w kolegiacie Ołyckiej pozostały:

1) Żywoty biskupów wileńskich w 20 poszytach, każdy poszyt *in folio* obejmujący życiorys jednego biskupa. Ten rękopism nabył p. Hipolit Skimborowicz i drukował go w Warszawie.

2) Bogactwa mowy polskiej, czyli słownik języka naszego, praca ogromna, która wielkiej nabyła sławy między uczonymi jego wieku, do jakich słusznie zaliczyć się mogą: Jan Śniadecki, ks. Onufry Kopczyński, ks. Adam Czartoryski generał ziem podolskich i t. p. Obejmuje 14 tomów ćwiartkowych i arkuszowego formatu.

3) Słownik z dzieł ks. Piotra Skargi w 2 tomach i 4 majori (należeć może także do bogactw mowy polskiej).

4) O życiu i czynach ks. Jakóba Wujka z Węgrowca.

5) Początek zakonu Jezuickiego i rozszerzenie się jego w krajach polskich.

6) Materyały do historii literatury polskiej.

7) Spis autorów polskich.

8) Autorowie polscy tomów 9. Dzieło to obejmuje i pisarzy opuszczonych w literaturze polskiej Bentkowskiego.

9) Zdanie Onufrego Kopczyńskiego o słowniku ks. Osińskiego.

10) O kształceniu się o własnościach i bogactwach języka polskiego.

11) Ćwiczenia dawane uczniom w Liceum Wołyńskim.

12) Tłumaczenie Eneidy Wirgiliusza.

13) Wypisy z dawnych akt kościoła katedralnego wileńskiego.

14) O literaturze rzymskiej i polskiej.

15) Listy oryginalne ks. Hugona Kollataja do Tadeusza Czackiego.

16) Listy oryginalne Jana Śniadeckiego do tegoż.

17) Listy oryginalne Czackiego A. księcia Czartoryskiego generała ziem podolskich, feldmarszałka Austrii, ks. Strojnowskiego, Lindego i w. i. uczonych, pisane do A. Osińskiego.

18) Materyały do literatury polskiej.

19) Opis zakładów chwalebnych w kolegiacie Ołyckiej.

20) Związek szlachty litewskiej przeciwko Sapiehom.

21) Dwór święty.

22) Rozmaite listy przez różne osoby do ks. Osińskiego pisane.

23) Odpowiedzi na listy różne, podania, mowy, przedstawienia i t. p. przez księdza A. Osińskiego, i Zajerski ów fundator sławnego seminarium Ołyckiego, które jego nazwę nosiło. O tym zakładzie, jak również i o szkole Ołyckiej, obszernie w historii szkół w Koronie i W. Ks. Litewskim Łukaszewicza i w naszym dziele tom I.

jakaś bogatą mieszczańkę ołycką. Zbudowany, jak świadczy napis, ratusz w 1647 r. stoi w środku miasteczka. Budowa ta z wieżycą dosyć pokaźna, od lat kilkunastu spalona i stojąca ruiną, lada dzień zostanie rozebrana. Jest to dość charakterystyczna próbka architektury naszej czysto domowej z połowy XVII w. Ma to swój wdzięk i cechę odrębną i szkoda będzie, jeśli istotnie, jako grożący niebezpieczeństwem ratusz ten zwalony zostanie. Kraszewski w swym zbiorze wierny jego rysunek posiada.

Dziś jeszcze ładna brama wjazdowa, od strony Klewania, może starsza od ratusza i zamku, jak się zdaje przynajmniej, zastanawia wjeżdżającego... dziś jak wszystkie tego rodzaju wrota, nie już nie zamyka i stoi otworem ludziom i wiatrom...

Jak widzimy, nie brak tu więc pamiątek a żadne niezawodnie z miast naszych, tylu przywilejami i wolnościami udarowane nie było co Ołyka. Dziedzice jej Radziwiłłowie, panowie ogromnych fortun, rezydując na zamku tutejszym, ciągle też starali się o wzrost i dobrobyt dziedzicznego grodu, co już samo pańskiej ich dumie schlebiało. Zajmując najpierwsze w kraju urzędy i laski, ciągle pod boki monarchów Polskich będąc, którzy ich przewagi częstokroć sami się lękali, zresztą przez swoją Barbarę skoligaceni z nimi, łatwo uzyskiwali konfirmacye wszystkich praw i przywilejów swoich miastu nadawanych, handel więc tu się szerzył, mieszczenie w dostatki opływali, a prawa Magdeburgii Ołyckiej, zrównane z Wileńską, tak były nieograniczone, że nie było spraw kryminalnych nawet, którychby sami nie załatwili, kiedy przy nadaniu Magdeburgii po innych miasteczkach wołyńskich, królowie warowali sobie zawsze apelacyę w ważniejszych sprawach do trybunałów swoich koronnych, lub do urzędów większych miast.

Radziwiłłom nie robiono tego zastrzeżenia, oni więc sami zatwierdzali wyroki życia i śmierci przez rajców, ławników i burmistrzów ołyckich im przedstawiane. Ścinano tu więc i wieszano, bez dalszej apelacji jak na zamek do księcia jegomości, a w pozostałych aktach i papierach tej jurydyki, dotąd w zamkowym archiwum przechowanych, mnóstwo śladów tego rodzaju spraw i sądów pozostało.

Dotąd jeszcze przez szczególne dla Radziwiłłów względy, rząd pozostawił niektóre prawa i wolności tutejszej Magdeburgii,

która po innych miasteczkach naszych całkowicie upadła wraz zubożeniem mieszczaństwa, nad którym krajowe władze, zarówno z innymi stanami nieograniczoną władzę i opiekę objęły.

Najlepiej wyświeca nam początkowe dzieje Olyki i pierwszych jej dziedziców, tudzież jaką drogą i kiedy posiadłość ta weszła w dom Radziwiłłów, napis pod portretem Piotra Janowicza Białego, pierwszego fundatora tutejszego kościółka ŚŚ. Piotra i Pawła w kościele Olyckim dotąd przechowujący się.

„Piotr Janowicz Biały jednej dzielnicy Domu WWXX. Litewskich z Gasztoldami, herbu Abdank i Dąbrowa, na Olyce, Nieświeżu, Łachwie Pan i Dziedzic, Wda Trocki i pierwszy wódz wielki W. X. Litewskiego, radą, męstwem, a mianowicie poselstwem do Moskwy po Helenę Iwana Wasylewicza W. X. Moskiewskiego w małżeństwo Alexandrowi Xciu W. X. Lit., i dla wiecznego przymierza Moskwy z Litwą znakomity; Anny Białej jednej tylko córki, z Anną Naruszewiczówną herbu Wadwicz spłodzonej, a Stanisława z Zgierskich Kiszki Wdy Smoleńskiego, potym Hetmana Lit. małżonki Ojciec Anny Kiszczanki tychże córki, a Jana II. Xcia Radziwiłła Brodatym zwanego, kasztelana Trockiego, Marszałka i Hetmana WWXX. Lit. małżonki na Olyce, Nieświeżu i Łachwie po śmierci Piotra Stanisława brata swego dziedziczki, dziad. Kościoła parochjalnego ŚŚ. Apostołów Piotra i Pawła w Olyce na Turczylinie około r. P. 1460 pierwszy fundator, umarł r. 1498, pochowany w Trokach, którego pamięć niech będzie w wiecznym błogosławieństwie“.

Otóż według tego podpisu pierwszym i najdawniejszym panem i dziedzicem na Olyce o jakim wzmiankę znajdujemy był Piotr Janowicz Biały wojewoda trocki i pierwszy hetman W. W. Ks. Lit. zmarły w 1498 r.¹

¹ Tego Piotra Białego Niesiecki dwójako pisze: raz bowiem pod wojewodami Trockimi pisze go: Piotr Biały Gastold herbu Abdank i t. d. później pod hetmanami wielkimi Lit. Piotr Biały herbu Dąbrowa wojewoda Trocki umarł 1498 r. Z tego więc wnosićby należało, iż było dwie familie Białych; jedni herbu Abdank, drudzy herbu Dąbrowa, nadpis jednakże Olycki wyraźnie wskazywać zdaje się, iż oba te domy byli jedneje dzielnicy, tej kwestyi żaden z heraldyków dobrze nie wyjaśnił. Był i trzeci jeszcze dom Białych herbu

Ten z Anną Naruszewicówną herbu Wadwicz, miał tylko jedną córkę także imieniem Annę, którą wydał za Stanisława Kiskę wojewodę Smoleńskiego, potem hetmana Litewskiego. Ta posagiem wniosła w dom Kisków obszerne dobra ojcowskie, tj. Olykę, Nieśwież i Łachwę. Z dwojga dzieci z tego małżeństwa spłodzonych, syn Piotr Stanisław Kiszka dziedzic Olyki, Nieświeża i Łachwy umarł bezdzietny, a fortunę po nim odziedziczyła siostra jego rodzona Anna Kiszczanka zaślubiona Janowi II. ks. Radziwiłłowi Brodatym przezwanemu, kasztelanowi Trockiemu, marszałkowi W. Ks. Lit., który tym sposobem pierwszy z Radziwiłłów panem na Olyce, Nieświeżu i Łachwie został. Niesiecki całą tę genealogię Białych, połączonych z nimi Gastoldów, Kisków i samychże Radziwiłłów okropnie poplątał, wierniej daleko dał nam ją Kojałowicz, w swoim herbarzu. Nie ma śladu jakiegokolwiek fundacyi tego pierwszego Radziwiłła dla Olyki, nie zdaje się nawet, aby tu kiedykolwiek miał przemieszkwać. Trzy razy żenił się, a z dwóch pierwszych żon jego, których potomstwo wygasło w młodym wieku, także ogromne dobra wpłynęły w dom Radziwiłłowski jak Kroże, Hrabstwa Mir i Biała, Geranony i wiele innych. Z trzeciej Kiszczanki miał dwóch synów, z tych Mikołaj VI. Czarnym (Niger) przewzany, drugi z kolei Radziwiłł odziedziczył Olykę.

Otóż gdy tytuł książąt na Goniądzu i Medelach wygasł w domu Radziwiłłów na synach Mikołaja III., Mikołaj Czarny w r. 1547 w poselstwie dyplomatycznym niby, wyprawił się do cesarza Karola V. i do króla rzymskiego, a właściwie mając na celu wystąpienie się tytułu książęcego dla całego domu Radziwiłłowskiego. Wszystko mu się wiodło, bo 10 grudnia t. r. dla siebie i dla brata swego rodzonego Jana IV. uzyskał dyplom na tytuł książąt na Nieświeżu, Olyce i Klecku, dla stryjecznego zaś brata Mikołaja Rudego i jego potomstwa, tytuł książąt na Birżach i Dubinkach, w kilka dni potem dyplomy te przez króla rzymskiego Ferdynanda I. potwierdzone zostały, a w 1549 r. na sejmie w Brześciu nastąpiło zatwierdzenie tych godności przez króla i Stany w Polsce.

Trzaska na Mazowszu osiadły, ci jednakże nie grali żadnej roli politycznej, żyli jeszcze w XVIII. w. i zdaje się nie wspólnego z tamtą wielką rodziną Białych nie mieli, wspomina także o nich Niesiecki.

Mikołaj Czarny zjeżdżał już do Olyki, a prócz zboru kalwińskiego położył kamień węgielny na zamek tutejszy i pierwszy wzniósł go z fundamentów. Nadto w r. 1564 przywilejem z Brześcia wydanym, nadał miastu prawo magdeburskie i wszelkie wolności, jakie miastu Wilnu przysługiwały, dodaje w końcu: „aby miasteczko nasze Olyka od nas niedawno założone i fundowane z małych początków większe w czas brało, i t. d.¹”

Dalej tymże przywilejem uwalnia Olykę od wszelkich innych praw i od władzy starostów, czyni je niezależnem od wszelkich urzędów, prócz wójta podanego przez dziedzica. Wójt zaś tylko przed tegoż dziedzicą, pana miejsca zapozwan być może. Wójt we wszystkich sprawach ma moc sądzić, skazywać, karać, ścinać, w koło wpłacać i t. p. a wszakże w sprawach, które krwi rozlania i na śmierć wskazywania dotyczą, ma się to dopełniać z wiadomością i orzelem Radziwiłła i całego koła rajców i ławników, dla których obierania wszystko pospólstwo na dzień św. Piotra apostoła, na każdy rok zbierać się ma, i wedle potrzeby z wójtem i z rajcami z pospólstwa, których najgodniejszych będą rozumieć obrać mają. Nadaje miastu wagę i przeznacza dochód na to z każdego domu zwanego poworotnym. Na poprawę miasta przeznacza dochód z postrzygalni jatek, (z czego rachunek co rok zdawać w powyższej dacie pospólstwu rozkazuje) ustanawia nareszcie dwa jarmarki w roku.

Po śmierci Mikołaja Czarnego wszystko się dokoła zmieniło. Jezuitom, których tak mocno nie cierpiał i prześladował, dostały się na wychowanie dzieci jego, jeden Jerzy został kardynałem, a trzej pozostali bracia żarliwymi katolikami. Książęta ci zjechawszy się w Nieświeżu d. 20 lipca 1586 r. ułożyli przyszły statut swych ordynacyj, na mocy którego:

1. Dobra wieczyste Radziwiłłowskie z linii książąt na Nieświeżu i Olyce powinny być przechodzić tylko na pokolenie męskie, z wyłączeniem córek i ich potomstwa.

2. Po wygaśnięciu linii jednej, dobra spadają na drugą z wolnym wyborem ostatniego ich dziedzica między pokrewnymi liniami.

¹ Widać więc, że Olyka za Mikołaja Czarnego dopiero miastem być począła, a za poprzedników jego była tylko wiejską osadą.

3. Córki dopuszczają się tylko do podziału ruchomości, z wyjątkiem broni i tego co według praw Wielkiego Księstwa Litewskiego przy dobrach pozostać powinno, a z majątków stosownie do ich wielkości mają otrzymać wyposażenie w pieniądzech.

4. Główne dobra Olyka, Nieśwież, Mir i Kleck, nie mogą być pod żadnym warunkiem alienowane, a w razie nagłej potrzeby tylko czwarta część ich zastawiona.

5. W braku opiekunów postanowionych testamentem, rada familijna ma się opiekować małoletnimi.

Tegoż roku król Stefan w Grodnie zatwierdził ten ostatni, a w 1589 r. approbowała go uchwała sejmu. Tak powstały te trzy kolosalne ordynacye: Nieświeska, Olycka i Klecka, niczem do innych ordynacyj w Polsce, ani w Litwie w urzędzeniu niepodobne. Temu to rozporządzeniu zawdzięczając, dom Radziwiłłowski aż do dziś dnia utrzymał się na stopie początkowej swej świetności i prawie feodalnej w swych dobrach władzy. Trzej bracia podzielili się więc temi ordynacjami, Olycka pozostała przy Stanisławie II. Pobożnym przezwany, Nieświeska przy Krzysztofie Sierotką zwany, Klecka przy Albercie. Z tych, dwie pierwsze zwały się potem i zostają dotychczas w jednym ręku, ostatnia jest w posiadaniu oddzielnej linii Radziwiłłów. Obszerne więc dobra Radziwiłłowskie w Litwie i w Polsce będące, podzielone zostały na dwie klasy, na ordynackie i na allodyalne, złożone po większej części z dóbr Neuburgskich, wykupionych po wygasłej linii Birżańskiej, lub potem nabytych. Te ostatnie, gdy nie były skrepowane prawem Radziwiłłowskiem, przeszły ostatniemi czasy w posiadanie ks. Wittgensteina.

My tymczasem odbiegłszy nieco od zajmującego nas głównie przedmiotu, wracajmy do Olyki, której Stanisław II. Pobożnym przezwany, syn Mikołaja Czarnego pierwszym został ordynatem. Stanisław w dzieciennych jeszcze latach osierociawszy, namówiony przez Jezuitów do powrotu na łono kościoła katolickiego, a olśniony wymową Skargi; tak żarliwym został katolikiem, że aż Pobożnego przydomek uzyskał. Portret jego umieszczony nad drzwiami zakrystyi w kolegiacie Olyckiej. W napisie dość długim zawarte ważniejsze chwile i czyny:

Stanisław II. Pobożnym nazwany na Olyce i Nieświeżu, tudzież S. P. R. książę, hrabia na Mirze i Szydłowcu, wspólnie z bracią ustanowił ordynacyę i sam 1-szy ordynat Olycki, Mikołaj VI. Czarnym zwanego, księcia Radziwiłła wojewody wileńskiego, W. kanclerza W. W. Ks. Lit. i Elżbiety hrabianki Szydłowieckiej, herbu Odrowąż syn. Roku 1580 pod Wielkimi Łukami, r. 1581 pod Pleskowem wojsku polskiemu dowodził, r. 1586 marszałka nadwornego, r. 1592 marszałka W. W. Ks. Lit. łaskę piastował, a w r. 1595 starostą genrlm. ziem Żmudzkich obrany, Kościół parafialny i szpital św. Krzyża w Olyce fundował i licznemi nadaniami uposażył. Na puszczy w Nalibokach, gdzie corocznie na dni 40 dla odnowienia ducha pobożności, zwykł się był ukrywać, kościół fundował i uposażył. Urodził się w Łubiszkach d. 12 maja 1559 r., w podróży do Rzymu w 1599 d. 19 marca życie zakończył, pochowany w Wilnie u OC Bernardynów.

Zaczął od wypędzenia ministrów kalwińskich z Olyki i ze wszystkich dóbr, które mu się po ojcu w dziale dostały, spalił heretycką bibliotekę ojcowską w Olyce i tamże zbudował pierwszy kościół parafialny z wielkim nakładem i hojnie go uposażył zastrzegając w testamencie, iż jeśliby kiedykolwiek Olyka w ręce dyssydentów dostać się miała, tedy kollacya tego kościoła *Jus Patronatus* do biskupów łuckich przejść powinna była. Przy tym kościele fundował szpital św. Krzyża dla biednych, umieszczamy dosłownie akt tej fundacyi, dokument ten tem ciekawszy, że jest jawnym dowodem jak książę pomimo całej swej pobożności był miłosiernym dla innych wyznań, kiedy je bez różnicy do pobożnej swej fundacyi przypuszczał.

„W imię Pańskie na wieczną tę rzeczy pamięć. Amen.

Gdy ludzkiego narodu sprawy pamięci ludzkiej potrzebujące, częstokroć z pamięci i wiadomości ludzkiej wypływają, jeśli pismem i świadectwy nie będą obwarowane; a przeto: My Stanisław Radziwiłł z Bożej i świętego panowania rzymskiego łaski, na Olyce i Nieświeżu książę, marszałek najwyższy W. Ks. Litewskiego, upatrując to i częstokroć na umyśle naszym rozważając, iż bogactwa i majątności tego świata są niepewne i żadnej ważności skarbowym niebieskim, do których zbierania nas Pan a Zbawiciel upomina, (których rdza ani mól zepsować nie mogą) nie mogą być

przyrównane, których to skarbów niebieskich i wiecznych z trudnością możemy dostać, jeżeli z tych ziemskich, które do czasu dzierżemy, ubóstwu i niedostatkowi ludzi ubogich zabiegać nie będziemy. A iż szpital, albo dom ubogich niedołącznych, jest niejako węglem, albo filarem kościoła Bożego i klejnotem onych skarbów niebieskich najkosztowniejszym, gdyżśmy już za Bożą pomocą kościół nasz Olycki z dóbr naszych podostatku fundowali i opatrzyli, zdało się nam za rzecz potrzebną, szpital nasz przez nas nowo zbudowany, nieprzepomnieć, abyśmy go też z tychże dóbr naszych opatrzyć nie mieli, gdyż przez modlitwy ubogich i częste jałmużny i ofiary, jako w księgach machabejskich i na innych wielu miejscach pisma św. jest napisane, duszom przodków naszych, naszym i potomków naszych bardzo pomocne i pożyteczne być wierzymy; tenże szpital przez nas nowo zbudowany, tym sposobem jako niżej z dóbr naszych opatrujemy i wiecznemi czasy fundujemy.

Naprzód tedy, temu szpitalowi zapisujemy i wiecznemi czasy darujemy, część dóbr naszych we wsi Moszczanicy z starodawna do zamku naszego Olyckiego należąca, od spóldziedzica naszego, urodzonego pana Ostafieja Malińskiego pewnemi znakami, uroczyszczami, granicami oddzieloną i ograniczoną. W której jest dworzyszcz półpiąta, ze wszystkimi spółnie i z osobna, polami oranemi i nieoranemi, z rolmi, włokami, z pastwiskami, gajami, lasami z zapustami, z chrustami, z dębnikami; także ze wszystkimi poddanymi i z ich czynszami, daniami, robotami z podwodami dalekimi i bliskimi z karczmą i z wolnem wszelakiego picia szynkiem i z inszemi wszelakiego rodzaju pożytkami, jakimkolwiek imieniem i nazwiskiem swoim przezwanemi, terażniejszymi i na potem będącemi, i które się na potem poczynić mogą, nie na siebie ani na potomki swe, oprócz obrony i opieki, którą nas samego i potomków naszych wiecznemi czasy obowiązujemy, w tejsze części dóbr przeznaczonych na czasy wieczne niezostawujae. Nadto temuż szpitalowi zapisujemy w mieście naszym Olykiem, dwie włoki roli z sianożęciami do nich przynależącemi, od wszelakich i każdej z osobna poduczek i powinności na wieczne czasy wolne. K temu pierzeję długą, dla zbudowania domków wedle szpitala i gdzie teraz stajnia stoi nasza, aż do dworu szlachetnego pana Jana Kilianowskiego, sługi naszego, podle bramy, którą idą na przedmieście nasze Zalesocze, stojącego,

z których domów i mieszkania czynszu na wieczne czasy po groszy 6 na każdy rok przerzeczonemu szpitalowi dochodzić ma. Jeszcze k temu, temuż szpitalowi naszemu dajemy i darujemy ogrody dwa w siele naszym Turczynie między ogrodnikami naszymi, jeden, na którym się posiewa pszenicy miary Olyckiej ćwierciennik, a drugi tamże dla zasiewania legumin rozmaitych, wedle dostatku szpitalowi. Item temuż szpitalowi z folwarków naszych Mytelna i Turczyna, na każdy rok na czasy wieczne, żywności niżej opisane zapisujemy, które mają być przez urzędniki nasze bez wszelkiej odmówki i odwłoki, skoroby jedno przez starszego szpitalnego napomnieni o to byli, wydawane być mają, to jest: żyta miary Olyckiej mac cztery, pszenicy macę jedną, jęczmienia mac 4, grochu macę jedną, masła fasek 2, serów kóp 2, baranów albo owiec 4, krów albo jałowic 2, słodów Olyckich z miarek młynowych przychodzących 3, k temu z myta naszego Olyckiego, na każdy rok na korzenie do kuchni złotych 10, k temu sadzawkę na przedmieściu Olyckiem na zawrocie za bramą Myteleńską, przeciw sadzawce Plebańskiej i nadto w stawie naszym zamkowym Olyckim wielkim, wolne łowienie wata na każdą środę, piątek i sobotę i na wilię i na wielki post, na stół ubogich tylko pozwalamy. Jeszcze nadto w lesiach i w puszczach naszych wolne rąbanie drew na potrzebę tegoż szpitala pozwalamy. A od zwarzyczów co sól wożą, od każdego wołu w wozie po 5 tolp soli, co przedtem Rajce, prawa na to nie mając, niesłusznie odbierali, brać czasy wiecznemi postępujemy. A ostatek z jałmużny, czego dostawać nie będzie, od ludzi chrześcijańskich nabożnych do dania. Do którego to szpitala mają być przyjmowani wszyscy tak katolicy, jako i Ruś i poganie, aby tylko przedtem byli pobożnego żywota. Którego szpitala rząd ma być przy mieszczaniu jakim dobrym, przez rajcę naznaczonym i przez proboszcza na on czas będącego potwierdzonym, który też z dochodów szpitalnych na każdy rok przed niemi liczbę czynić ma i powinien będzie. Któremu za pracę od nas wolność od wszelakich powinności i podwłoczek roli ma być naznaczon. Item na balwierza albo cerulika, który ustawnie przy szpitalu przemieszkiwać ma i pilność około chorych ubogich czynić powinien będzie, pewnego jurgieltu z myta naszego Olyckiego, na każdy rok po 30 złotych polskich jemu płacić powinniśmy, naznaczamy i nadto włokę pola od

wszelakich powinności wolną. Wszakże lekarstwa dla chorych z pieniędzy i dochodów szpitalnych mają być opatrzone tylekroć, ile tego potrzeba pokazywać będzie, który tedy fundusz i nadania prze-rzeczonego szpitala naszego, my we wszystkich punktach, klauzulach i artykułach mocnie i nieporuszenie dzierżeć i zachować na wieczne czasy obiecujemy i potomków naszych do trzymania i zachowania jego mocnie i nieporuszenie, pod sumieniami ich obowiązujemy, i to powinni będą dzierżeć i zachować wiecznemi czasy, za świadectwem listu tego naszego, który ręką naszą podpisawszy, rozkazaliśmy pieczęcią swą zapieczętować. Dan w Olyce r. p. 1593 dnia 13 oktobra, za biskupstwa najświętszego Ojca Klemensa XIII. Przy bytności urodzonych i szlachetnych panów: pana Krzysztofa Pałuckiego podczaszego ziemi Wołyńskiej, pana Jakuba Boboleckiego, pana Teodora Brojaki, pana Gabryela Bronnickiego, którzy od nas będąc proszeni do tego listu naszego rękoma swemi się podpisali i pieczęci swe przypieczętowali, a to dla świadectwa większego“.

(Dok. nast.)

Tadeusz Jerzy Stecki.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Pisarze polityczni XVI. wieku, przez *St. Tarnowskiego*. Kraków 1886, t. I. str. 397, t. II. str. 492.

Głębszy nierównie umysł, będący nie tylko echem ale przedstawicielem ruchu cywilizacyjnego w Polsce, Frycz Modrzewski, jeden z posłów wyznaczonych na Sobór Trydencki, a następnie sekretarz króla Zygmunta Augusta, w swem dziele: *O poprawie Rzeczypospolitej* z wielką siłą i konsekwencyą, występującą przeciw niesprawiedliwości prawa karzącego męzbójstwo chłopa grzywną, a kradzież i rabunek śmiercią, wytykał wady urzędów polskich, zwłaszcza sądownictwa, wskazywał potrzebę uregulowania skarbowości i zabezpieczenia granic od Wschodu. O wszystkim a przynajmniej o bardzo wielu rzeczach tam mowa, mądra w teorii, w praktyce nie zawsze zrealizować się dająca; o jednym tylko, o tem co najpotrzebniejsze, o wzmocnieniu królewskiej władzy a ukróceniu wolności szlacheckiej, ani wzmianki; do tego stopnia opinia publiczna przeciwną była najlżejszej reformie w tym kardynalnym punkcie. Humanista do szpiku kości, popisuje się Frycz znajomością literatury starożytnej — od niego zapożycza pojęć i poglądów polityczno-społecznych, a cytat z Cyncerona, Tacyta, lub przykład z klasycznego poematu zapożyczony, starczy mu nieraz za argument i dowód. Rozprawia zwyczajem Platona i Arystotelesa o jakiejś Rzeczypospolitej *in abstracto* z zastosowaniem do Polski. Na tej podstawie urosły cztery pierwsze księgi: o obyczajach, o prawie, o wojnie i o szkołach. Z księgi pierwszej poznać można dokładnie obyczajowy stan ówczesnej Polski, zaczy-

tać się moralno kaznodziejskich rad i napomnień dla króla, urzędów, dla panów i szlachty, dla młodzieży i pedagogów; „nie brak nawet pomysłów daleko poza wiek sięgających, a najmniej prawd równie złotych jak gorzkich, ale brak jednej rzeczy i to najważniejszej — konkluzyi“ (str. 167). Przeciw tej niesprawiedliwości napisał Frycz na kilka lat przed swoją *Poprawą Rzpltej* dwie oracye: *de poena Homicidii* i *Philaletes*, które prof. Tarnowski rozbiera krytycznie i wysoko ceni (106—114). W księdze o *Prawach* omawia ten przedmiot ponownie, i podaje sposoby uchylenia złego.

Książkę o *Szkołach* niemniej jak piątą książkę o *Kościele* wydał Frycz w kilka lat później. Przyczyną tego opóźnienia, jak słusznie twierdzi recenzent dzieła prof. Tarnowskiego w *Przeglądzie polskim*, był zakaz biskupa krakowskiego 1551 r., drukowania książki o Kościele, jako niezgodnej z nauką katolicką¹.

Frycz był eklektykiem religijnym, nazwalibyśmy go po naszymu liberałem. W swym zapale doktrynerskim wierzył dobroduszenie, że Sobór powszechny zwołany świeżo do Trydentu, te jego religijne doktryny przyjmie za swoje i ogłosi jako dogmat. Ale i ten Sobór w myśl Frycza składać się powinien przeważnie z ludzi świeckich byle mądrych; biskupi i księża mogą doń należeć, jednak nie na mocy swego duchownego charakteru, lecz o ile są naukowo wyższymi i przez lud wybranymi. Później skłaniał się Frycz do kościoła narodowego protestanckiego i zapatrywania swe ogłosił w dziele *de Ecclesia Dei*, jakiemu, zdaniem uczonych ludzi tj. samego Frycza nie było od tysiąca lat, a może nigdy równego“.

Najslabsza księga o szkole. Jedyne nowy pomysł Frycza ten, że funduszu szkolnego dostarczać powinni biskupi, i bogato uposażeni pralaci, pomysł tem dziwniejszy, że Frycz pragnął sekularyzacyi szkoły, skoroby zaś biskupi i duchowni szkoły te zakładać

¹ *Przegl. pol.* Kwiecień 1887 r. str. 146. Autorem recenzyi prof. Zakrzewski. Recenzja sama i sumienna i życzliwa, świadczy o obszernej znajomości czasów i ludzi, ale nie jest wolną od pewnego braku taktu. Nie wiem, czy wypadało zarzucać człowiekowi tej miary i zasługi, jak prof. Tarnowski, i w jego własnym miesięczniku, że nie jest historykiem i bibliografem, że dzieło jego ma wartość bardzo względną, a dopiero po jakich dwudziestu latach pracy autora, mogłoby się stać dobre i prawdziwie użyteczne, że interpunkcja w tej książce fatalna jak rzadko. Podobne zarzuty czynić można każdemu autorowi i każdej książce, bo z czasem i praca indywidualna autora i nauka postępuje.

i fundować mieli, to z natury rzeczy wynikało, że szkoła stałaby się coraz bardziej klerykalną.

Jak Frycz jest moralistą politycznym i doktrynerem religijnym, tak znowu statystą poważnym jest „były“ ksiądz proboszcz z Mościsk, złutrzały potem i żonaty, pisarz ziemski krakowski Jakób Przyłuski. Jego statut, *Statuta Regni Poloniae*, wydany najprzód 1548 r. „nie jest tylko zbiorem praw, ale i ich wykładem, a w komentarzach, które Przyłuski do każdego rozdziału, do każdej materyi, nieraz do jednego artykułu dodaje, mieszczą się jego własne i jego współwyznawców, jego, jak dziś mówimy, przyjaciół politycznych wyobrażenia, pragnienia *desiderata*, i ich program polityczny, choć ani całkowity i dojrzały, ani porządnie ułożony i w całość ujęty“ (236). W sprawach religijnych podzielał Przyłuski wraz z Fryczem zapatrywania protestanckie, tylko, że ton jego polemiki o wiele gwałtowniejszy i namiętny, jak to zwykle u księży apostatów bywa.

Traktat Maryckiego o szkołach, pisma pomniejsze politycznej cechy Reja, Górnickiego, Kochanowskiego i Wolana — do którychby zaliczyć należało zdaniem prof. Zakrzewskiego pismo hetmana Tarnowskiego *Consilium rationis bellicae*, Łaskiego: *Spraw i postępów rycerskich opisanie* — zapełniają resztę rozdziałów tomu I. Nadmieniamy, że tom ten I. krom trzech pierwszych punktów rozdziału III. o Fryczu Modrzewskim, które były drukowane przed laty kilkunastu w *Przeglądzie polskim*, zawiera rzeczy nieogłoszone dotąd w żadnem piśmie, chociaż napisane być mogły w różnych czasach.

Dwa wnet po sobie idące bezkrólewia wywołały kilka rozpraw politycznych, podrzędnej wartości. Autorami ich obywatele szlachta: Ciesielski, Mycielski Piotr, i nieznany nam bliżej szlachcic kaliski. Pisemka te nie omawiają zasady elekcji *viritem*: przyjmują ją jako fakt dokonany, przygotowany jeszcze za rządów Zygmunta I., ale zato zajmują się własnościami moralnemi kandydatów do tronu i korzyściami płynącemi dla Rzpltej z ich wyboru. *Oratio* Zamojskiego do Henryka Walezego jest retorycznym popisem; więcej wartości politycznej ma rozprawa Karnkowskiego: *Modus et ordo electionis novi Regis 1573 r.*, Solikowskiego: *Rozsądek o warszaw-*

skich sprawach na elekcyi przeszłej i Skargi: *Proces na konfederacyą*. Skutecznego wpływu nie wywarły te pisma żadnego.

Dziesięciolecie rządów wielkiego Batorego, tak bogate w wypadki, nie dało snąć czasu do ochłonięcia z wrażeń szybko po sobie następujących, gdyż oprócz urzędowego historiografa Stefanowego Heidensteina, nie mamy żadnego znakomitszego pisarza-polityka z tej epoki. Zato w pierwszej połowie rządów Zygmunta III. zjawia się cykl pisarzy politycznych. Przedniejsze między nimi miejsce zajmuje sekretarz królewski, później kanonik krakowski, Krzysztof Warszewicki. „Jako pisarz pedantyczny retor, jako polityk doktryner, jako człowiek nieszczególny wcale, jako Polak wreszcie nie bez zarzutu, jest Warszewicki jedynym może wyjątkiem pomiędzy ówczesnymi pisarzami polskimi, których się wszystkich prawie lubi. Rażą nas jego tendencye, postępowanie, jego natura jest nam nie sympatyczna, pokazuje nam Polskę inaczej niż wszyscy inni... tak jak się przedstawiała w umyśle i oczach polityków zagranicznych, austriackich albo hiszpańskich. A że przytem był człowiek niezaprzeczenie rozumny, doświadczony, że znał doskonale całą ówczesną Europę, więc sądy jego lekceważyć się nie dają i są w najgorszym razie ciekawe“ (43). Polityczna literatura z końca XVI. wieku dąży do „skupienia narodu na wewnątrz, ubezpieczenia się i działania na zewnątrz“. Skupić siłę narodu można było tylko wzmocnieniem królewskiej władzy, wymykającej się coraz bardziej z rąk Zygmunta III. Nikt może z Polaków nie występuje z taką odwagą cywilną w obronie władzy i majestatu królewskości jak Warszewicki. Tak w poemacie swoim *Wenecya*, wydany jeszcze 1572 r., jak w politycznych *Paradoxa* i w *Mowie po śmierci króla Stefana 1587 r.* ogłoszonych 1579 r. dowodzi wyższości monarchii nad każdą inną formę rządu... jest stanowczym i największym z wszystkich przeciwnikiem elekcyi i bezkrólewów, wykazuje jasno i śmiało ich zgubne skutki. Gorliwy zwolennik austriackiego domu i jurgielnik. Sprzeciwiał się długo elekcyi Batorego i Zygmunta III., ale skoro elekcyja ich stała się faktem dokonany, popierał ich stale, czy to wskutek przekonania czy też, jak mu podsuwają inni, dla prywaty. Batoremu dedykował swoje *Paradoxa* i przemawiał na jego pogrzebie.

Podczas bezkrólewia 1587 r. rozrzucił w licznych opisach dyalog: *Lechitae et Bohemi colloquium* (wydał go p. Wierzbowski

1883 r.), w którym dowodzi szkodliwości elekcji Piasta, a wielkich korzyści z wyboru Austryaka. Gdy podwójna elekcja stanęła Warszawicki bronił znów w dwóch pismach elekcji Maksymiliana, a gdy ten jako jeniec siedział w Zamościu, słał do dworu wiedeńskiego memoriały, jak wykraść Maksymiliana i zawichreniem Rzpltej obalić Zygmunta; pismo to poufne nosi tytuł brzydki: *de rebus polonicis turbandis* i świadczy źle o charakterze jego memoriału. Pomagał mu w tej niekczemnej robocie heraldyk Bartosz Paprocki swą: *Przestrogaż zacnemu narodowi polskiemu i Pamięcią nierządu w Polsce przez dwie fakeye uczynionego*.

Wiadomo, że Zygmunt III. był panem katolickim. Jak miecz Damoklesa wisiała potęga Turecka nad światem chrześcijańskim, papieżę nawoływali królów i książąt do św. ligi. Lgnął do niej sercem i Zygmunt III. ale w narodzie polskim rozdzielone były zdania: przeważało to, które projekt św. ligi uważało za niewykonalny, a wojnę z Turcyą za pokrywkę absolutystycznych dążeń króla. Warszawicki był zwolennikiem ligi i w 14 *Turcykach* wykazywał jej konieczność. „Wszystkie są waryowaniem tego samego tematu z różnych tonów“ i pomimo słuszności co do treści i argumentów, „trudno wyobrazić sobie coś nudniejszego, niecznośniejszego przez pedantyzm, retoryczność i popisywanie się erudycyą jak Turcyki, a co w nich jeszcze niemile, to, że Polaka w nich nie czuć wcale“ (str. 76).

Nierównie lepsze są dwa inne dzieła Warszawickiego. Pierwsze, *de Legato et Legatione*, „nie podaje reguł polityki zagranicznej dla Polski, wydobytych z jej historyi i położenia, tylko daje pewne przepisy zachowania się na dworach dla jej dyplomatów i ambasadorów... Książka ciekawa, pozwalająca zajrzeć w ciasny i drobiazgowy mechanizm dyplomacyi ówczesnej, poznać jak ona od dzisiejszej mało się różniła, a przytem książka dla ówczesnej Polski bardzo pożyteczna“ (192).

Drugie „największe i najważniejsze dzieło Warszawickiego bardzo ciekawe i rozumne, nosi tytuł: *De optimo statu libertatis*. Dyalog to między kanclerzem Ocieskim, biskupem Padniewskim i Orzechowskim wprowadza nas w rok 1561. „Książka dziwna, którą poniekąd możnaby uważać za rekapitulacyę całej literatury politycznej XVI. wieku. Tylko jest w niej jakiś dodatek, coś,

czego w tamtych nie było, skutek i odbicie religijnej i politycznej reakcyi tego czasu, (koniec XVI. w.) idea monarchiczna, królewskość, podniesiona do wysokości zasady, pojęta jak nigdy w Polsce pojęta nie była... Autor (Warszewicki) przez doktrynę opanowany, choć może sam w dobrej wierze pozostał, stracił prosty instynkt sumienia, i występując w obronie Boga i ojczyzny, uczył, że na to nikt nie patrzy, jakimi się tych spraw broni środkami“ (222, 223).

Omówiwszy dzieła, prof. Tarnowski podaje aż na 11 stronnicach wyborną charakterystykę osoby i biografią Warszewickiego.

Bogatsza natura i piękniejszy charakter jak Warszewickiego to syn mieszczanina oświęcimskiego, Łukasz Góra Górnicki, sekretarz i bibliotekarz królewski, starosta tykociński. „Jego historia *Dzieje w Koronie* jest bardzo ciekawym i miłym do czytania pamiętnikiem, ale nie jest dobrą historią, historykiem nie był... *Rozmowa o elekcyi i Droga do zupełnej wolności*, napisane około 1587 r. wydane dopiero 1616 i 1650 r. nie są pismami politycznemi bardzo głębokimi, znakomitemi; jest w nich obok wielu rzeczy mądrych i trafnych, wiele niedokładności i opuszczeń, wiele nawet w samych pomysłach autora sprzeczności... Tak się nawzajem uzupełniają, że jedna bez drugiej straciłaby wiele na wartości.

Rozmowa Włocha, przedstawiającego stronnictwo monarchiczno-konstytucyjne, z Polakiem uosobieniem anarchicznej szlachty, to cząca się przez trzy dni, niezrównana co do ciętości stylu i dramatyczności pomimo nudnej formy dyalogowej, jest w pierwszych dwóch częściach satyrą na wolność, prawodawstwo, sądownictwo i inne urządzenia polskie, satyrą wyborną, dowcipną. Słabszą jest część trzecia *Rozmowy*, podająca środki naprawy. Za to uwagi Włocha nad potrzebą zakładania i podtrzymywania miast, dzisiajby jeszcze powtórzyć się dały. *Rozmowa* kończy się przepowiednią: „Podobno, ani ja ani ty, mówi Włoch, niedoczekamy, żeby Polacy o rządzie pomyśleć chcieli. Sądy boże pędzą was jako wiatry na morzu okręt, a co wiedzieć, jeźli ku portowi czy ku zginieniu... Wy nie umiecie używać wolności, trzeba się (lękać) iżby jej Bóg wam nie odjął“ (287).

„*Droga do wolności* już nie w formie dyalogu, ale sposobem nadzwyczaj ścisłym, suchym nieledwie pisana, przypomina stylem

a nawet układem projekty do ustaw... Dla Górnickiego wzorem państwa dobrze urządzonego i ugruntowanego na najtrwalszych posadach była Rzplta wenecka. W myśl Górnickiego reforma Rzpltej ma być taka, „żeby wszystkie funkcyje państwa odbywać się mogły nieustannie, a potem, żeby była gdzieś przy kimś władza silna, rozległa“. A więc sejm nieustający, o jednej izbie, trybunał przy królu, i stały senat wybierany przez sejm na propozycyą królewską. Nawet urzędy wszystkie mają być obieralne, „ballotowaniem“ na sejmie. Górnicki projektował nawet rodzaj ministerstwa spraw zewnętrznych, złożonego z 16 „panów górnych“ wybieralnych przez sejm co pół roku, którzy o wszystkim obradują ale o niczem nie decydują, jeno sejm. Obok nich staje „urząd 12 mężów“ jakby ministerstwo spraw wewnętrznych: policya, prokuratorya państwa i najwyższa kontrola nad polityczno-administracyjnymi władzami, wszystko to wchodzi w zakres tej władzy „dwunastu“. Jestto niedoleżne naśladownictwo wielkiej rady signori i rady dziesięciu, w Rzpltej weneckiej. Król polski schodzi tu na stanowisko weneckiego doży, który „sam nie będzie mógł nic, ale ze wszystkimi władać będzie wszystkim“.

Rozmowa choć całkowitego planu reformy nie stawia, zdaje się nam nierównie większą mieć wartość i lepiej świadczyć o politycznych zdolnościach autora aniżeli *Droga*... Miał on śliczny sposób pisania, miał rozum bystry i bardzo wykształcony; zdolności pierwszego rzędu nie miał. Pojętność, chwytność, dar przyswojenia sobie wielu rzeczy i pięknego przejrzystego ich wypowiedzenia, oto sądząc z pism, cechy umysłu, który ani w historii, ani w literaturze do pierwszych ról i stanowisk najwyższych stworzonym nie był. Potrzeby Rzpltej jasno widział, to też domagał się ograniczenia elekcyi, należytego względu na miasta i zabezpieczenia Rzpltej od Wschodu przez kolonizacyę kresów.

To „ubezpieczenie Rzplty od Wschodu“ było obok reformy rządu dla Polski kwestyą najbardziej żywotną. Potrącają też o nią, nie tylko wszyscy niemal statyści z Górnickim na czele, ale pojawia się cały szereg pisarzy, którzy swe pióro tej sprawie prawie wyłącznie poświęcają. Rozpoczyna ten zastęp biskup kijowski Józef Wereszczyński, którego dzieje rodzinne opisał tak uroczo Szajnocha w swym szkicu: *Jak Ruś spolszczała*. „W tej duszy

jedno było namiętne pragnienie, zabezpieczyć Polskę i Ukrainę od Turków, w tym umyśle jedno tylko uporeczywe, namiętne zajęcie, tj. wynaleść środki, jakiemiby to zabezpieczenie sprowadziły się dało“ (91, 92).

W tym celu nawołuje do kolonizacji kresów wschodnich, wzywa do wojny świętej z pohańcem. Już 1576 r. ogłasza swą: *Drogę pewną* do osadzenia rycerstwem pustyń w ruskich krainach. Sykstusowi V. przesyła obszerny łaciński memoriał, który po śmierci tego papieża ogłasza po polsku 1592 pod tytułem: *Excytacja ku podniesieniu wojny świętej przeciw Turkom*. W kilka lat potem 1594 i 1598 rzuca w świat: *Pobudkę* pierwszą i drugą do podniesienia wojny św. spólną ręką przeciwko Turkom i Tatarom. Pisma te ulotne usposobić mają sejmujące stany do podjęcia ligi św. *Pobudkę* pierwszą do cesarza, króla Zygmunta i w. księcia Moskwy napisał zacny biskup wierszem, niezgrabnym wprowadzie ale świadczącym o zapale z jakim do tej sprawy się zabierał. W *Publice* podanej sejmowi 1594 wzywa gorąco do założenia szkoły rycerskiej, jakby straży pogranicznej na Ukrainie, i aż siedm sposobów podaje do uskutecznienia tej zdrowej w gruncie myśli, tak że „Rzplta tylkoby na działa, proch i kule dla tej szkołyłożyć musiała“. Niestety wszystkie projekty rozbiły się o „skapstwo sejmów“ a raczej szlachty, która stałego podatku przyjąć na siebie nie chciała nigdy. A dopiero styl i ton tych rozpraw! Nikt mu dzisiaj nie dorówna: „szorstki, groźny, żołnierski i dość pogardliwy; biskup owieczki swoje łaje i upomina jak wódz swoich podkomendnych“.

Obok szkoły rycerskiej ulubionym projektem biskupa kijowskiego: „*Zakon rycerski*: Krzyżacy, ale Krzyżacy uczciwi, rycerze Maltańscy, ale nie siedzący próżno na Malcie, tylko wojujący z Bisurmanami na prawdę, zakon palający duchem religijnym i patriotycznym“. Fantazji szlacheckiej w tym pomysle wiele, praktycznego zmysłu mało; schyłek XVI. w. to nie epoka na rycerskie zakony. Dykeya *Publiki* cudowna, pełna biskupiej unkei, rycerskiego zapалу i natchnienia proroka. Ale na tem się skończyło, sejm ani nie wziął pod rozwagę projektu biskupa rycerza. Nie to, on na sejm 1596 pisze swoje: *Votum panom posłom* bez prozopopei i natchnienia ale trzeźwo i sucho; żąda rzeczy naj-

prostszej i koniecznej: wojska i organizacyi jego i podaje środki, jak „zardzewiałą armatę naszą do porządnego stanu przywrócić“ i ligę św. do skutku doprowadzić. I *Votum* przebrzmiało bez skutku. Praktyczniejszym się wydawał inny pomysł, który nieustrudzony biskup w swej rozprawie: *Osada Nowego Kijowa* przed sejmem 1595 r. roztacza. Treść jego ta: z Kijowa, którego dzisiaj (tj. 1595 r.) kościoły i zamki poszły „na koczowiska albo na legowiska niedźwiedzim, wilkom, bydłu, psom i świnom“, należy zrobić fortecę o dwu warownych zamkach, murach i wieżach, zaludnić go koloniami, zabezpieczyć stałą załogą, liczną, a dobrze opatrzoną. Sejm wyda ustawę kolonizacyjną: nowi osadnicy obdarzeni przywilejami wolnego handlu i samorządu własnym nakładem i zachodem odbudują i obwarują ten gród kresowy. Jako bastion obronny od strony Moskwy, zamykający Dniepr na zawsze, poleca dźwignąć twierdzę w Wyszehorodzie trzy mile od Kijowa. Ale i ten zbawienny pomysł biskupa nie znalazł zwolenników; Polska pozostała po dawnemu bezbronną na kresach, a punkta Grzymułtowskie oddawały Kijów na zawsze Rosyi.

Obok biskupa-rycerza jawi się kapłan-patryota Piotr Grabowski. *Zdanie syna koronnego*; „radzi i wzywa on do walnej z Turcyą wojny, w przymierzu z całą Europą“, a pierwszym przygotowawczym czynem do tego, zabezpieczenie Rzplty od Tatarów. „Praca ta podzielona jest bardzo porządnie podług głównych swych przedmiotów na pięć traktatów... Każdy traktat na kilkanaście punktów“, każdy punkt nosi osobny napis i zawiera osobny argument. Ułatwiałoby to snąć czytanie „Ichmość panom Polakom i Litwie“, nie nawykłym do poważnej, obszernej książki. Ale ani jego jasne jak słońce wywody o niebezpieczeństwie sąsiedztwa z Turcyą, ani gorzka i zasłużona krytyka niedostateczności pospolitego ruszenia i polskich uzbrojeń i projekty zorganizowania armii, nie zdołały złamać starej tradycyi jagiellońskiej, której trzymał się wiernie kanclerz Zamojski. W lat dwadzieścia kilka potem przyszło jednak do tego, że Polska sama jedna wstrzymać musiała swą piersią najazd turecki u Chocima.

W myśl Grabowskiego pierwszym warunkiem pokonania Turcyi było ubezwładnienie Tatarów. W książce: *Polska niżej* podaje on plan kolonizacyi ziem Zadnieprskich, a z łona jej wyjść ma za-

kon rycerski, ale zakon z żonami i dziećmi, zagrodą i rolą, coś nakształt Kozaków swobodowych, jeno ujętych w silniejszą organizację i zachowujących różnicę stanów. *Polska niżna* ulega jedynie królowi, ma na wzór Polski swoje dygnitarstwa, urzędy, sejmy trybunały i swój skarb, a więc tylko personalna unia łączy ją z Rzpltą. Grabowski obmyślił w najdrobniejszych szczegółach podział gruntów, urządzenie domostw, z których każde ma być „warowienką“, źródła dochodów i skarbu wspólnego, zajęcia w pokoju rolnictwem, ćwiczenia wojenne, sposób zbierania się i prowadzenia obrony lub wyprawy a z nieporównanym wdziękiem maluje sielankowość tego kresowego życia i moralną jego wzniosłość, i zapowiada że niezadługo Polska niżna nie tylko zakwitnie, nie tylko stanie przedmurzem Polski od strony Tatarów, ale sięgnie po Krym i wśród państw tatarskich podejmie misję cywilizacyjną. Zbawienne i w wielu punktach praktyczne pomysły Grabowskiego przeszły niedostrzeżone, niepodjęte przez nikogo.

Niezrażony tem proboszcz Parnawski rzuca się na inne pole, występuje jako statysta w chwili gdy Zygmunt III., zniechęcony zuchwalstwem panów, butą szlachty, wybierał się powtórnie w drogę do Szwecyi. W swem *Zwierciadle Rzpltej polskiej na początku 1598 r. wystawionem* nie króla, którego widocznie oszczędza, snąc przez poszanowanie dla władzy, ale magnatów chłoszcze nieli tościwie wady a zwłaszcza „ambicję wielkich panów, i sposoby jakimi oni dążą do tego, by obalić władzę króla, a swoją nieograniczoną na jej zwaliskach ugruntować“ (170). Wspomniawszy z lekka o chorobach Rzpltej wylicza lekarzy trojakiiego rodzaju, którzy ją z tych chorób źle leczą i w gorsze wprawiają.

Następuje dyagnoza krótka ale wyborna siedmiu chorób Rzpltej i lekarstwa prawdziwe na nie, a przedewszystkiem reforma sposobu obrad sejmowych¹.

Obraz literatury politycznej XVI. w. uzupełnia prof. Tarnowski recenzją *Ekonomii i polityki* Arystotelesowej w przekładzie Petrycego i *sejmowych kazań* Skargi. Rzecz zupełnie słuszna; Ary-

¹ Zaznaczyć należy, że tego Piotra Grabowskiego prof. Tarnowski sam prawie odszukał a rozprawę o nim powtórzoną w niniejszym dziele ogłosił po raz pierwszy w *Przeglądzie polskim* 1879 r.

stoteles był duchownym ojcem polityków i statystów nie tylko polskich, ale całego Zachodu, poznać jego dzieła w oryginale, objaśnić je komentarzami z polskich instytucyi, praw i zwyczajów zaczerpniętymi, to prawdziwa usługa dla piśmiennictwa i publicznego życia narodu. Podjął się tej podwójnej pracy lekarz przyboczny carowej Maryny, potem mistrz akademii i praktykujący lekarz w stolicy, Sebastyan Petrycy, urodzony w Pilźnie. Przekład „wspaniały, mistrzowskim językiem wykonany“, dzieło samo jest „naturalnem niejako uzupełnieniem całej naszej literatury politycznej“. A nie jest to czysty przekład, ale zawiera wiele dodatków z własnej głowy tłumacza, które mają wartość ogromną. Petrycy rozpoczął przekład od rzeczy łatwiejszej, od *ekonomiki* Arystotelesa, „któremu chodziło nie o bogactwo i gospodarstwo krajowe, ani o rolnictwo, ani nawet o zawiadowanie majątkiem prywatnym, tylko o istotę domu złożonego z rodziny, gospodarza i z jego czeladzi, o władzę i sposób rządzenia tej głowy domu, którą jest gospodarz. Petrycy za nim idąc nie mógł napisać rozprawy ekonomicznej, rzecz sama i jego komentarz wchodzi raczej w zakres praktycznej filozofii moralnej“. (326) Politykę Arystotelesową przełożył w r. 1605

Przestrogi do każdego rozdziału i *dodatki* do każdej księgi są płodem wyłącznie głowy tłumacza, metodą pożyczoną od innych, ale w nich wartość największa i oryginalność Petrycego. Jest on zwolennikiem monarchii konstytucyjnej, „mieszanego“ rządu, przeciwny acz niewyraźnie elekeyi. Co do stosunku Kościoła do państwa „stoi stanowczo i energicznie przy prawach Kościoła... zniesienie jurydykcyi biskupiej ma za złe“, prawo posiadania dóbr kościelnych uważa za święte, nawet konfiskaty i kaduki miałyby pójść na rzecz nie skarbu państwowego, ale na fundusz kościelny, jako ekspiacya za winę. „Co więcej, jedyny z naszych statystów dowodzi, że Rzplta powinna i ma prawo przymuszać do wiary tych, którzy jej odstąpili“ (347). Lud wiejski, *plebei*, wolności niema z prawa, ale obchodzić się z nim jako z bydłem rzecz niegodna i szkodliwa. Poglądy jego na wybujałą wolność szlachecką, ambicje rodowe, niekarność i butę wobec króla, na warunki dobrego rządu, podobne są do pojęć i wywodów Skargi.

Tego to złotoustego Skargę wysoko stawia i sławi niemal bezwzględnie prof. Tarnowski, jako mądrego kaznodzieję-obywa-

tela i polityka. Skargi kazania nie tylko sejmowe, ale niedzielne i świąteczne noszą na sobie podwójną cechę: aktualność i obywatelskość. Jak za czasów Skargi szlachta, tak dziś wszystkie klasy i lud wiejski do równości praw obywatelskich przypuszczone, a więc obok cnót chrześcijańskich mają także obowiązki i cnoty obywatelskie, które się na tamtych opierają. Sejmowe kazania mówione były w latach 1589—1599 na 10 sejmach. Spisał je Skarga, tak samo co do treści, odmiennie co do formy i zamknął w ośmiu kazaniach. Za model mógł sobie wziąć siedm polityczno-religijnych łacińskich kazań czyli mów poprzednika swego Stanisława Sokołowskiego; czy ten wzór sobie wziął rzeczywiście, trudno to twierdzić. W ocenie kaznodziejskiej potęgi, patryotycznego animuszu i politycznego zmysłu Skargi, posługuje się prof. Tarnowski na kilka zawodów powagą swego kolegi prof. Bobrzyńskiego, mianowicie gdzie ten ostatni dowodzi, że jeżeli Skarga głosił nietolerancję religijną rządową, to czynił to także przez patryotyzm, bo w Polsce ówczesnej tylko nietolerancja religijna uchwycona przez króla zdolną była... obalić nierząd". (438). Różne są gusty, spierać się o nie nie można; nam bardziej do smaku przypada co prof. Tarnowski sam z siebie o Skardze powiada, jak co za swym kolegą powtarza; bierze jednak ochota zapytać dlaczego w duchowej diagnozie Skargi przeoczony jeden ważny czynnik: wychowanie jego w twardej szkole instytutu jezuickiego? Gdy Skarga pisał swe kazania sejmowe, upłynęło lat prawie trzydzieści od wstąpienia jego do zakonu; to trzydziestolecie pobytu w zakonie o monarchiczno-konstytucyjnej regule, czy pozostało bez skutku na duchowy organizm jego? Sądzę, że nie, a byłoby bardzo ciekawą rzeczą, gdyby właśnie tak podniosły i religijny umysł, jak prof. Tarnowskiego, odsłonił a przynajmniej spróbował odsłonić to duchowe pokrewieństwo jakie koniecznie być musiało między Skargą kaznodzieją-obywatelem, a Skargą-Jezuitem.

Przy końcu pięknej swej iście obywatelskiej pracy podaje prof. Tarnowski ogólną charakterystykę politycznych pisarzy XVI. w., „Powiedzmy naprzód, że z całej literatury XVI. w. jest to gałąź najbardziej oryginalna i najbardziej narodowa, specyficznie polska: dodajmy, że z wyjątkiem literatury kościelnej jest i najbujniejsza... Co im wszystkim (pisarzom polit. XVI. w.) wspólne, zaszczyt im

przynosi a pod uwagę czytelnika pierwsze niemal podpada, to pewny a prosty zmysł moralny, który w swoich pismach okazują... Sumienie i honor są u nich żywe i czujne: uczucie odpowiedzialności przed Bogiem i ludźmi za postępek zły jest podstawą ich moralności, która wyszła widocznie z chrześcijańskiej szkoły i prawiła jej zatrzymała stale i mocno. Stąd w jakimkolwiek stosunku wewnętrznym czy postronnym oni zawsze wskażą trafnie i pewnie co się godzi, a co nie... Są też rozumni i bardzo rzetelni, bardzo wysoce wykształceni. Głowy otwarte, myślące, nieraz bardzo bystre, które posiadały całą naukę swego wieku, jaka do ich zawodu należała... Każdy z nich z osobna może znaleźć we Francyi, Włoszech lub Beglii równych sobie i wyższych, ale jako zastęp, jako suma, jako grupa pisarzy politycznych z pewnością nie potrzebują się wstydić współczesnych Anglików, Francuzów, Włochów. Jako statysci polscy wreszcie, jako obywatele i patryoci mają zasługę i wartość ogromną. Każdy z nich mógł to lub owo widzieć złe, lub niewidzieć wcale; nieomylności od nikogo żądać nie można. Ale bardzo wiele widzą dobrze, radzą mądrze, przestrzegają przeźornie... A obok tego mieli miłość ojczyzny niektórzy wielką, wszyscy rzetelną; wszyscy w tem uczuciu mają szczerłość i dobrą wiarę. Wszyscy — co naturalne — mają wyobrażenia bardzo szlacheckie, a niektórzy czasem i szlacheckie uprzedzenia. Ale wyłączności ciąsnej, kastowej, niedorzecznej i szkodliwej nie mają, są nad nią wyżsi. Namietności politycznych w nich nie znać... Nie znać też tej namietności w tem, co oni mówią o innych narodach... W sprawach religijnych u pisarzy protestanckich jest wielka siła namietności w tem co oni mówią o innych narodach... W sprawach religijnych u pisarzy protestanckich jest wielka siła namietności, patetycznej czasem, czasem rubasznej i grubiańskiej w inwektywach na kościół kat., na papieża i duchowieństwo... Po stronie katolickiej zrazu obojętność... ale od chwili jak obrona stała się zorganizowaną, nie można zaprzeczyć, że w postępowaniu jak w pismach jest miara i spokojność* (454—463).

Zaznaczywszy w ten sposób ogólną charakterystykę polityczną literatury XVI. w., zapytuje i daje odpowiedź prof. Tarnowski, dlaczego ona była taką a nie inną, dlaczego przeoczala brak rządu i stałej jasno wytkniętej polityki na zewnątrz, dlaczego w skutkach

swoich była bezpłodną. Tych ostatnich kilkanaście kart (463—492) świadczy, że nasz autor doskonale pojął i zrozumiał całą naszą przeszłość dziejową w jej najgłębszych tajnikach. Brak idei państwa, a postawienie na jej miejsce idei wolności, której każdy szlachcic uważa za swój obowiązek bronić przed urojonem *absolutum dominium* króla, oto źródło anarchii, ale tak głęboko ukryte w łonie narodu, tak szeroko rozlane po jego powierzchni, że dopiero po trzech elekcyach i w ślad za nią idącym rozkładzie zjawiają się pisarze jak Warszewicki i Skarga, którzy wołają na gwałt, że potrzeba rządu, ale wołania ich są głosem na puszczy. Wszyscy inni acz czują i rozumieją bezrząd, ratunku we wzmocnieniu władzy królewskiej uznać nie chcą i wypowiedzieć tego nie mają odwagi. Reformacya zwichnęła do reszty wszelką polityczną myśl zdrową i choćby częściową reformę np. skarbu, wojskowości, sądownictwa, bo za cel główny postawiła: kościół narodowy, i jeżeli który protestancki poseł lub pisarz odezwał się za wzmocnieniem królewskiej władzy albo częściową reformą polityczną, to tylko uważał to jako środek do utworzenia kościoła narodowego. Stałość chwiejnego zresztą Zygmunta Augusta w wierze kat., którą nasz autor słusznie podnosi, rozwiała raz na zawsze nadzieję narodowego kościoła — i odtąd protestanci ani myślą o politycznej reformie a swarami religijnymi psują do reszty jaką taką zgodę obywatelską na sejmach zwłaszcza, zjazdach i w sąsiedzkim pożyciu.

Katolicy, raz osiągnąwszy zwycięstwo, lękali się imać reform politycznych, aby nie utracić tego co zyskali, i stąd *status quo* wadliwej konstytucyi polskiej nie tylko pozostał, ale psuł się coraz bardziej. Powiększała złe nieufność do królów. Wskutek braku dynastyi a przerywaniu przy każdej elekcyi ciągłości rządu; wskutek *pacta conventa*, krepujących coraz silniej ręce króla, wyrość musiał najprzód brak wszelkiej wytycznej myśli politycznej na zewnątrz — państwo jako takie nie miało jej żadnej, mieli ją każdy król z osobna dla siebie i swej familii, miał ją dwór i stąd nieufność narodu do dworu, obawa okrojenia pod pozorem zagranicznej polityki, szlacheckiej wolności. Podczas więc kiedy sąsiednie państwa i państewka o dynastycznym tronie i nieprzerwanej dyplomatycznej akeyi wiedziały czego chcą i dokąd dążą, Rzplta była jak łódka na morzu, falami miotana, bez steru. Brak ten polityki zewnętrznej,

jasno wytkniętej, tkwił tak głęboko w wadliwej konstytucyi naszej, że polityczni pisarze albo go niedostrzegli wcale, albo dostrzegli, stali wobec tej niemocy bezsilni, bo stworzyć trzeba było dynastję, a na to ani odwagi ani środków nie starczyło. Zygmunt III., twierdzi prof. Tarnowski, nie zupełnie słusznie pomimo swoich „poważnych przymiotów“ stał się dla Polski nieszczęściem, bo wskutek swego charakteru, braku miłości dla Polski, i swoich dynastycznych trudności w Szwecyi potęgował podejrzliwość szlachty do króla. W drugiej połowie jego rządów literatura polityczna ani ostrzega, ani radzi, tylko lamentuje; honor jej uratował wiek XVIII. w którym zrywa się szereg politycznych pisarzy, wskazuje ratunek — ale zapóźno.

Taka jest dwutomowa praca prof. Tarnowskiego. Pomimo wad które jej sam wytknął, pomimo bibliograficznych i historycznych, drobnych zresztą błędów, które mu wytknął kolega prof. Zakrzewski, praca cenna, uczciwa, obywatelskim duchem na wskrós owiana i pożyteczna, byleby społeczeństwo nasze czytać w niej chciało i umiało.

Ks. St. Załęski.

Zasady i przepisy dobrego wychowania, według Dr. Albana Stolza dla użytku rodziców, nauczycieli, duchownych i innych wychowawców opracował *K. Prawdzic* Lwów 1886.

Wiele się pisze i dysputuje o wychowaniu i wykształceniu młodzieży, a tymczasem zewsząd podnoszą się żale i utyskiwania na młode nasze pokolenie, na krzewiącą się pośród niego niewiarę, na brak poczucia obowiązków, na lekceważenie wszelkiej zwierzchności, na ciągłą chęć używania, na rozwiązłość w obyczajach i t. d. A nie próżneto żale, nie tylko *quaerelae senum*, ale uzasadnione obawy i skargi, poparte faktami codziennymi. Co przyczyną tego jeśli nie to, że kształcąc umysł, zapomina się o sercu, że więcej dba się przy wychowaniu dzieci o formy i pozór, jak o istotę, że daje im się wykształcenie towarzyskie i naukowe a pomija się moralne, czyli po prostu mówiąc, wychowuje się dzieci więcej dla ludzi i świata, niż dla Boga i nieba.

Dobre zaś wychowanie polega na obznajmieniu elewa z tem, co jest dlań najważniejsze, na wpojeniu wewnątrz tych zasad i przekonań, które będą mogły być prawidłem i drogowskazem na całe życie, na wdrożeniu go do prawości w myśleniu i postępowaniu, jakiej wymagać będzie dalsze życie, późniejsze stanowisko, przyszyły zawód i obowiązki.

I niemają to sztuka umieć dobrze wychować dziatwę, ale to *ars artium*, której prawidła dyktuje zakon Boży, jasne pojęcie o doniosłości tego zadania i praktyczność zdobyta własnem i cudzem doświadczeniem.

Znany całemu światu katolickiemu i wysoko ceniony pisarz i pedagog Alban Stolz wydał przed dziesiątkiem przeszło lat dziełko pod tytułem *Erziehungskunst*, w której dzieli się z publicznością długoletnią swą praktyką wychowania dzieci. Kilka wydań w krótkim przeciągu czasu najlepszem świadectwem jej zalet, praktyczności i potrzeby.

Dziełko to znakomite w swoim rodzaju przyswoił naszemu językowi jeden z naszych kapłanów, nie zmieniając ogólnych zasad i rozkładu, miejscami tylko stosując je do potrzeb naszego społeczeństwa i kraju. W ogóle przerebienie dobrze wypadło, może gdzieś tylko tłumacz za czarno widzi rzeczy i zanadto ostro sądzi, jak np. mówiąc o tańcach. Zresztą książka ta godna ze wszechmiar polecenia. Dochód z niej czysty przeznaczony na zakład nieuleczalnych i przychodzących do zdrowia we Lwowie.

Z.

Kwestye społeczno-polityczne według prawa naturalnego, objawionego międzynarodowego i kanonicznego rozwiązane, przez X. *Licencyata S. Paszkowskiego*.

Z tytułu może się czytelnik spodziewa wielkiego dzieła. W istocie jestto broszura o 85 stronicach, zawierająca w streszczeniu dział etyki filozoficznej katolickiej o prawie publicznem. Sposób traktowania szkolny: rozdziały, paragrafy, numery i litery... po kilka na każdej stronnicy. Jako *compendium* etyczno-społecznych pojęć i tez dokładnie określonych, ta broszura ma swoją wartość. Żałujemy jednak że autor, traktujący tak ważny przedmiot, pierwsze i najważniejsze kwestye, które, wobec dzisiejszego usposobienia umysłów, gruntownego wymagają uzasadnienia, przebiegł tak pobieżnie i bez dowodów, że jego assercyje wyglądają na prawdy *à la Monsieur de la Palisse*; o dalszych zaś zagadnieniach mniej zasadniczych i wcale nie na czasie (jak o prawie do buntu, o słuszności powołań i t. p.) rozpiął się stosunkowo zbyt obszernie i zdań trzymał się skrajnych.

X. M. M.

Miesiące Maryi zawierający Msze św. na wszystkie dni maja oraz Rozmyślania na każdy dzień z zapisków czynionych podczas konferencyj majowych ś. p. *ks. Zygmunta Gołiana* przez *A. D.* Lwów 1887.

U stóp krzyża Nowy miesiąc maj, boleściom Najśw. Maryi Panny poświęcony, napisał *ks. Stanisław Stojalowski*. Lwów 1887.

Literatura religijna a zwłaszcza miesiąca maja wzbogaciła się istotnie przez te dwa dziełka. Nie są to zwykłe fabrykaty lub przeróbki z innych języków, ale oryginalnie opracowane dziełka. Pierwsze, droga spuścizna po wielkim mowcy ostatnich czasów, mile przyjęte zostało przez wszystkich czcicieli jego osoby i talentu, to też w lot je rozchwytało. Drugie zaleca się nowością pomysłu, dobrym rozkładem, rzewnością uczucia i namaszczeniem, jakiego wymaga książka duchowna.

B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Pogląd na literaturę historyczną w Niemczech w roku 1886.

W roku 1886 opuściło w Niemczech prasę osiemset dzieł treści historycznej. Dziwić się temu nie można, żyjemy bowiem w wieku, w którym każdy posiadający jakie takie wykształcenie, bierze się do pióra, lecz skutkiem tej właśnie okoliczności pomiędzy temi dziełami jest bardzo wiele takich, o których nie można twierdzić, żeby w czemkolwiek przyczyniły się do wzbogacenia nauki, lub do rozszerzenia jej badań w szerszym kole czytelników. Oprócz tego właśnie w tegoczesnej literaturze historycznej w Niemczech ściśle rozróżnić należy pomiędzy katolickimi i protestanckimi a nawet pomiędzy chrześcijańskimi, a dla religii nieprzyjaźnie usposobionymi pisarzami. Chociaż jedynym celem dla piszącego historię powinno być zbadanie prawdy i ściśle jej przedstawienie, według tej ogólnej zasady, że historia mistrzynią jest prawdy, to jednakowoż najsławniejsi na tem polu pisarze, jak Ranke, Sybel, Droysen, Mommsen i wielu innych, są najlepszym dowodem, że punktu widzenia chrześcijańskiego z oka tracić nigdy nie trzeba, i nie można. W tym krótkim poglądzie na literaturę historyczną w Niemczech mówić tylko będę o dziełach, pisanych w duchu katolickim.

Zacznijmy od historii świeckiej. Od wielu już lat posiada *Wattenbach* ze względu na znajomość źródeł dziejowych zasłużoną zupełnie sławę. W roku 1858 ukazało się pierwsze wydanie jego dzieła *Deutschlands Geschichtsquellen im Mittelalter*¹, w r. 1886 doczekało się już wydania piątego. Dzieło to nie ma służyć jako prosty tylko podręcznik, lecz przede wszystkim wskazywać, jak źródła historyczne studyować należy. Jest ono i pozostanie dziełem pod każdym względem wzorowem, bez którego żaden badacz historii obejść się nie może. Ważne również jako dzieła źródłowe są *Regesta Archiepiscoporum Moguntiensium*, które w dwóch pierwszych tomach sięgają do roku 1228. Zważywszy, że arcybiskup mo-

¹ Źródła historyczne odnoszące się do dziejów niemieckich w wiekach średnich.

guncki jako kanclerz państwa, we wszystkich sprawach państwa najpierwsze po panującym zajmował miejsce, a jako metropolita Niemiec w sprawach Kościoła najwyższą stanowił powagę, łatwo ocenić doniosłość tej pracy. Jednogodnie przyznają wszyscy, że to dzieło Dra Willa, tak pod względem badań historycznych, jak i krytycznej znajomości źródeł i sposobu opracowania stoi na wysokości dzisiejszej nauki. Zarząd archiwum pruskiego również się stara o to, aby materyał, jaki ma pod ręką, przyswoić nauce. Jednakowoż i tu, jak w ogóle w dziełach Sybla i Droysena, zbyt widocznie przebija dążność „uwielbianie Prus“. W każdym razie wydane 24 tomy dzieła *Die Publikationen aus den preussischen Staatsarchiven*¹, sprawić muszą na czytelniku wrażenie, że wydawcy więcej chodziło o inne cele, niż o odkrycie prostej i nagiej prawdy. *Die Mittelrheinischen Regesten*, będące chronologicznym zestawieniem źródeł, odnoszących się do historii obwodów regencyjnych koblenckiego i trydenckiego, dostarczają w czterech częściach do 10.000 regestów, które sięgają po rok 1300; wydał je Dr. Goerz. *Die Thuringischen Geschichtsquellen*², wydawane przez Dra Schmidta, do których materyał zbierano i za granicą, doprowadzone zostały do tomu V., który obejmuje historię rodu książąt Reuss. Szczególniej zajmujące są dokumenta z drugiej połowy XIII. wieku. Towarzystwo, zawiązane w celu studyowania historii i starożytności w Westfalii, wydało przed 14 laty I. tom *Codex traditionum Vestphalicarum*, w tym roku ukazał się drugi tom tego dzieła pod tytułem *Älteste Verzeichnisse der Einkünfte des Münsterischen Domkapitels*³, stanowiący ważny przyczynek do topografii Westfalii. *Die Quellen zur Geschichte der Stadt Worms*⁴, wydawane przez p. Boosa, prócz tego, że pisane w gładkim, przyjemnym stylu, nie dostarczają nam nowych nie publikowanych dotąd rzeczy, lecz raczej zbierają w jedno rozproszony materyał. Pierwszy tom tego wydawnictwa, jaki się dotąd ukazał, zawiera 509 dokumentów z lat 627—1300. Najobfitszych źródeł do historii dostar-

¹ Publikacye z pruskiego archiwum państwowego.

² Turyngskie źródła historyczne.

³ Najdawniejsze spisy przychodów kapituły Monasterskiej.

⁴ Źródła do historii Wormacyi.

czają jednakowoż w rozmaitych państwach, krajach, prowincjach, a nawet miastach specjalnie w tym celu wydawane *Geschichtsbeiträge*, *Landesgeschichte*, *Alterthumskunde*¹ i t. d. Obok *Neues Archiv für ältere deutsche Geschichtskunde*² Tom XII., rozwijają się także pomyślnie *Die Forschungen zur deutschen Geschichte*³ Tom XXVI., *Historische Zeitschrift*⁴, które to czasopismo w nowej seryi przeszło 20 obejmuje tomów, *Zeitschrift für allgemeine Geschichte* i inne. Szczególniejsze znaczenie również i dla historii polskiej mają: *Die Hansischen Geschichtsblätter*, *Mittheilungen für Geschichte der Deutschen in Böhmen*, *Die Zeitschrift der historischen Gesellschaft für Posen*, *Archiv für Siebenbürgische Landeskunde*, *Zeitschrift für Geschichte und Alterthümer Schlesiens*, *Mittheilungen des Vereins für die Geschichte Westpreussens*, *Neues Lausitzisches Magazin*, *Mittheilungen des Instituts für österreichische Geschichtsforschung*⁵ i inne.

Jakiego sposobu przedstawienia historii autor wystrzegać się powinien? To pytanie stawia sobie Dr. Dellbrück. Szanownemu profesorowi historii na uniwersytecie berlińskim nie chodzi tyle o wskazanie drogi, po jakiej historyk postępować powinien, jak raczej o wyszydzenie „metody używanej przez historyków należących do obozu ultramontańskiego”. Należy on do licznych przeciwników Jansena. Na nieszczęście wybrał osobę Ulricha z Hutten, aby go obronić przeciwko pociskom historyków ultramontańskich, i przez to tak sobie utrudnił zadanie, że nie można się nawet zdobyć na wzięcie do ręki tego dzieła. Również nie wiem, czy głośne powiedzenie „Jansena dzieło jest jednym niezmiernem kłamstwem” wszystkim trafi do przekonania. Lepiej umo-

¹ Przyczyńki do historii; Historje prowincyj; Wiadomości z dziejów dawniejszych.

² Nowe archiwum dawniejszej historii niemieckiej.

³ Badania odnoszące się do historii niemieckiej.

⁴ Czasopismo historyczne.

⁵ Z dziejów Hanzy; Sprawozdania odnoszące się do historii Niemców w Czechach; Czasopismo historycznego towarzystwa poznańskiego; Archiwum siedmiogrodzkie; Historyczne i archeologiczne czasopismo szląskie; Sprawozdania historycznego towarzystwa w Prusach zachodnich; Nowy magazyn łżycki; Sprawozdania austriackiego instytutu historycznego i t. d.

tywowanem jest wyrażenie „klamstwo“ w dziele *Geschichtslügen*¹ (6 wydanie) opracowanem przez „trzech przyjaciół historii“, do których należy i Majunke, dawniejszy redaktor Germanii. Nie wiadać w dziele tem krytycznych, historycznych studyów, wiele także okoliczności wskazuje na to, że autor odpowiedniej części przyzwyczajony więcej do stylu w pismach peryodycznych, a nie w poważnem dziele naukowem używanego, w każdym razie jednakowoż gorące przyjęcie, jakiego książka ta doznała, świadczy dostatecznie o jej potrzebie. Od trzech wieków katolicy pod względem historii trzech ostatnich wieków musieli poprzestawać na tem, co protestanci pisali. Złe to usunięciem zostało na zawsze. Mieli wprawdzie katolicy w Niemczech oddawna wydawane przez Goerresa *Historisch-politischen Blätter* (do 100 tomów), lecz jedno to czasopismo nie było w stanie równocześnie zwalczać wszystkie fałszywe zapatrywania, a ustalać prawdziwe. Najzaciętsza walka toczyła się zawsze głównie o „ciemne wieki średnie“; były one rzeczywiście ciemnymi, gdyż za mało je znano. Dopiero O. Denifle Dominikanin, podarchiwaryusz Stolicy św. i O. Ehrli T. J. zaczęli wydawać *Das Archiv für Litteratur- und Kirchengeschichte des Mittelalters*². Historię szkół i nauk w nowszych czasach opracował głównie Paulsen (1885); co zaś do zakładów naukowych w czasach średniowiecznych, to trzy prace w roku zeszłym wydane specjalnie nimi się zajmują. Pierwsze pomiędzy nimi miejsce należy się bezwątpienia pracy O. Denifle *Die Universitäten des Mittelalters bis 1400*³, która za najlepszy w tym względzie podręcznik uważaną być może. Wyjaśniwszy czem był uniwersytet i jakie pojęcie wówczas o nim miano w wiekach średnich, przedstawia nam autor założenie i rozwój dwóch najstarszych tego rodzaju zakładów w Paryżu i Bononii. W trzecim rozdziale wymienia 55 innych uniwersytetów, które do początku XV. wieku założone zostały. Książki już wydrukowane O. Denifle tylko wylicza, nie wdając się w żadną ich ocenę. Szkoda tylko, że autor w układzie swego dzieła trzymał się metody analitycznej. F. Spechta *Geschichte des Unterrichtswesens in Deutsch-*

¹ Klamstwa historyczne.

² Archiwum średniowiecznej literatury i historii kościelnej.

³ Uniwersytety w wiekach średnich do r. 1400.

*land von der ältesten Zeiten bis zur Mitte des XIII. Jahrhunderts*¹, jest pracą konkursową premiiowaną w r. 1870 przez akademię monachijską, którą jednakowoż później autor przez całe lata zmieniał i poprawiał. W obecnym swym składzie dzieli się ona na trzy główne działy: 1) Początki nauk w Niemczech; 2) Ich rozwój i rodzaje; 3) Najwybitniejsze zakłady naukowe. Szkoły w Niemczech, zaprowadzone przez Irlandczyków i Anglosaksonów, otaczane szczególną opieką przez Karola Wielkiego, rozwinęły się jeszcze więcej za panowania Ludwika Pobożnego. Szczególniej zajmującą jest druga część dzieła, w której autor mówi o stosunku klasztorów i duchowieństwa do nauk klasycznych i świeckich.

Wielka różnica zachodzi pomiędzy temi dziełami księży katolickich a książką Dr. Steina: *Das Bildungswesen des Mittelalters und der Neuzeit*² w dwóch tomach napisaną bez uprzednich poważniejszych studyów historycznych. Dr. Stein nie potrzebuje wcale takowych, gdyż jak sam mówi „zapatruje się na wszystkie sprawy z wyższego stanowiska historycznego“. Wszystkie wywody o początkach chrześcijaństwa u Germanów, o zakonach, stosunku chrześcijaństwa do państwa, osnute są wyłącznie na bujnej fantazyi. Nie można się zatem dziwić, że Paulsen, Denifle, Orterer i inni bardzo niekorzystnie o tej pracy się wyrażają. Dr. J. Müller dostarcza nam 65 *Vor- und früh reformatorischer Schulordnungen*³ z lat 1296—1505. O szkołach ludowych z drugiej połowy wieków średnich traktuje w nadzwyczaj dobrej rozprawie profesor Deisenberger. Najważniejszemi jednakowoż na tem polu zdaje się, będą dla Niemiec *Monumenta Germaniae paedagogica*. Prawda, że badacza historii z zawodu zajmie właściwie tylko pierwsza część tych „Monumentów“. Dzieło to obliczane na 100 tomów ma być tem dla całej przeszłości, czem książka Dr. Spechta jest dla jednej jej części. Część pierwsza ma zawierać reguły szkolne, wizytacje szkół, reguły zakonne i t. d. Z Jezuitów obiecali współpracownictwo OO. Pachtler i Ebner, również Benedyktyni, a i inne zakony przyrzekły brać udział w tej pracy, ponieważ katolickim zapatrywaniom zupełna

¹ Historia szkolnictwa w Niemczech od najdawniejszych czasów aż do połowy XVI. wieku.

² Wykształcenie średniowieczne i nowożytne.

³ Rozkład i porządek szkół przed reformacją i w pierwszych jej latach.

wolność i szacunek uroczystość został zapewniony.. Ze wszystkich odnośnych dokumentów znajdujących się w watykańskiej bibliotece, będzie mogło wydawnictwo korzystać za pośrednictwem O. Denifle.

Wojnę trzydziestoletnią opracował znakomicie profesor Gindely. Chwilowo autor przerwał to wielkie dzieło, wydając natomiast dwa duże tomy: *Wallenstein während seines ersten Generalates im Lichte der gleichzeitigen Quellen*¹ obejmujące dzieje 1625—1630. W czeskim *Muzeum* i innych czasopismach ostatnimi laty również wydano wiele dokumentów do Wallensteina się odnoszących; są one jednakowoż wszystkie Gindelemu znane. Von Helfert w najgorętszych wyrazach chwali to dzieło ze względu na naukowe i krytyczne zużytkowanie źródeł, nie dzieli jednakowoż zapatrywań autora, który Wallensteina zupełnie potępia, a Ferdynanda II. fałszywie ma oceniać. Nadzwyczaj cenną jest rozchodząca się już monografia Kaufmanna *Albrecht Dürer*, w drugim wydaniu. Autor stara się w niej udowodnić, że Dürer pomimo osobistego zapatrywania się na Lutra i jego wystąpienie, od zasad katolicyzmu jednakowoż nie odstąpił. Dwa jubileusze obchodzone w roku 1886 spowodowały również mniejszą lub większą liczbę monografij tj. obchód bitwy pod Sempach i 500 letni jubileusz założenia uniwersytetu w Heidelbergu. Dr. Hartmann wręcz zaprzecza bohaterskiemu postępkowi Winkelrieda i odnośne źródła i literaturę krytykuje bez litości. Przeciwnemu występuje Bernoulli wspierany przez Oechslięgo. Najobszerniej rzecz traktuje nie tylko badacz dokumentów, ale prawdziwy historyk Liebenau. Jubileusz Heideberski zajmował nie tylko stolicę apostolską i głównie w tem interesowane korporacje uniwersyteckie, ale i w równej mierze uczonych, księży, wolnomularzy, biórokratów i innych pisarzy, skutkiem czego wydano do paru set prac większych lub mniejszych. Przypatrzmy się bliżej tym, które na szczególniejszą zasługują uwagę. Hintzelmann ułożył *Almanach der Universität Heildelberg*, Kornbecker z polecenia władz uniwersyteckich opracował *Geschichte der Universität Heidelberg*², dzieło pod względem źródeł dość wyczerpująco napisane, jednakowo-

¹ Wallenstein w czasie pierwszego swego dowództwa w świetle współczesnych źródeł.

² Historia heidelbergskiego uniwersytetu.

woż jeszcze nie skończone; o literaturze katolickiej autor, niestety, najmniejszego niema wyobrażenia. Zupełnie innem jest dzieło wydane przez Palatinusa (pseudonim) pod tytułem *Heidelberg und seine Universität*¹. Autor zastanawia się głównie nad wszystkim, co papież dla tego uniwersytetu zdziałali. Szkoda, że dziełko to nie jest tak wykończonem, jakbyśmy sobie życzyli, ze względu na to, że z całej literatury jubileuszowej jest ono jedynem, w duchu katolickim napisanem. Winkelmann wydał zbiór dokumentów uniwersyteckich, Treyke zbiór matrykul.

Pomiędzy pracami odnoszącymi się do historyi nowszej, zasługuje na uwzględnienie monografia Napoleona I. przez profesora Fournier z Pragi. Źródła dobrze zostały zużytkowane, lecz niestety i Fournier okazuje wielką nieświadomość pod względem wszystkiego, co katolickie. Drugie dziełko tegoż autora pod tytułem *Historische Studien und Skizzen*² stanowi cenny przyczynek do dziejów Austrii. Przed stu laty umarł Fryderyk II. — wiele bardzo o nim pisano i najrozmaitsze wydawano sądy. *Grenzboten Sammlung*, w której nie jedną dobrą można znaleźć rozprawę, dostarcza nam w XI. i XII. tomie seryi II. biografią tego króla według pism i korespondencyj, jakie po nim pozostały, oraz współczesnych sprawozdań. Autor nigdzie własnego nie wygłasza zdania, lecz pozostawia to dokumentom. Choć te tak są dobrane, że, ujmując dużo z dotychczasowej chwały, raczej jednak w dobrem, niż złem świetle przedstawiają pruskiego monarchę. Bądź co bądź autor nie powinien był przytaczać sfalszowanych przez Fryderyka II. bul i listów pasterskich jako dokumentów papieskich.

Dzieje roku 1848 w Austrii opracował von Helfert w obszerniejszym dziele: *Geschichte Oesterreichs vom Ausgange des Wiener Octoberaufstandes*³, które obecnie do czwartego tomu jest doprowadzone, jak również Seb. Brunner w dziele *Denkpfennige*. Helfert zajmował w Wiedniu ważne stanowisko, na którym ze wszystkich ówczesnych zajściach sam czynny musiał brać udział, a opinia poważnego historyka, jaką sobie wyrobił, ręczy nam za to, że

¹ Heidelberg i jego uniwersytet.

² Historyczne studia i szkice.

³ Historia austriacka od początku październikowej rewolucyi wiedeńskiej.

wszystkie znane sobie fakta w prawdziwym przedstawia świetle. Dzieło to napisane z ciepłem autorowi właściwym, z prawdziwą czyta się przyjemnością. Helfert zajmuje się nadto redakcją czasopisma *Das Oesterreichische Jahrbuch*¹. Roczник XI. poświęcony pamięci Grzegorza Waitza. *Sammelband historischer Abhandlungen*², zawiera 28 rozpraw odnoszących się głównie do czasów średniowiecznych a wyszłych zpod pióra Perlbacha, Ewalda, Arndta i innych. Max Dunker jeden z najwięcej zasłużonych historyków niemieckich rozstał się z tym światem w roku zeszłym, w którym umarli również Ranke i Waitz. Był on od roku 1867 do 1874 dyrektorem archiwum pruskiego. Jego *Geschichte des Alterthums*³ wyszła do XI. tomu i szczerze żałować nam przychodzi, że dzieło to nie zostało dokończonem. Tom ostatni opowiada wypadki, zaszłe od śmierci Cimona do zgonu Periklesa. Dr. Busolta *Griechische Geschichte*, Nitscha *Geschichte der römischen Republik*⁴ w dwóch tomach, liczyć się niemniej mogą do dzieł wybitniejszych. Zapatrywania Nitscha na Cezara i Pompejusza są zapatrywaniom Mommsena na tychże mężów wręcz przeciwne. Pompejusza nie uważa za nieudolnego lub śmiesznego lecz przeciwnie tak pod względem wiadomości strategicznych jak i dyplomatycznych za rodzaj geniusza. Hassenkamp ubiegł Dra Bellesheim, który zbierał materyały do historii katolicyzmu w Irlandyi, wydając *Geschichte Irlands von der Reformation bis zur Union mit England*⁵. Sąd autora przeważnie jest sprawiedliwym, chociaż literatura katolicka jest dla niego księgą na siedem pieczęci zamkniętą. Profesora Caro *Geschichte Polens*⁶ wyszedł tom V.; zbytecznemby było, w tem pobieżnem sprawozdaniu nowemi go obsypywać pochwałami lub występować z pewnemi zastrzeżeniami. Z dzieła Janssesa *Geschichte des deutschen Volkes*⁷ również tom V. opuścił prasę.

¹ Austryackie roczniki.

² Zbiór historycznych rozpraw.

³ Historia starożytna.

⁴ Historia rzeczypospolitej rzymskiej.

⁵ Historia Irlandyi od reformacyi aż do zjednoczenia z Anglią.

⁶ Historia polska.

⁷ Historia ludu niemieckiego.

W ten sposób przedstawia nam się ogólny obraz historycznej literatury w Niemczech z ubiegłego roku; obraz naturalnie w głównych tylko zarysach ujęty. O pracach z dziedziny historii kościelnej umyślnie tą razą zamilczeliśmy, gdyż zamierzamy poświęcić im osobne sprawozdanie w jednym z najbliższych zeszytów *Przeglądu*.

X. A. Arndt.

Albert Hetsch. Mit einer Einleitung von Bischof Perraud von Autun. Aus dem Französischen. Freiburg im Breisgau. 1886.

Niedługi ten, ale wykończony życiorys, wykazuje nam, krótko mówiąc, „dzieło łaski“: — z protestanta-panteisty, wyrasta deista, — ten staje się chrześcijaninem-katolikiem, — widzimy go dalej kapłanem, dyrektorem seminarium w Orleanie, wikaryuszem generalnym, a co rzecz główna — mężem świętobliwym. Tak przedstawia się nam *Albert Hetsch* w życiorysie zaczerpniętym z własnego jego dziennika.

Albert przyszedł na świat w Biberbach w królestwie Wirtemberskiem, d. 16 września 1822 r. z rodziców protestantów. Pierwszych nauk słuchał w mieście rodzinnem, ale te już w czternastoletnim chłopcu nie zaspokajały żywego, czynnego ducha. Przeniósł się więc do *Ellwangen*, pod kierownictwo wuja, Doktora medycyny *Bund'a*. Ten lubo katolik, nazbyt był napojony Szellingowską ideą *Absolutu*; żona zaś jego, gorliwa protestantka, przestrzegała nadewszystko wypełniania praktyk religijnych, rozciągając w tem powagę swą i nad Albertem. Pelen entuzjazmu wstąpił Albert do Uniwersytetu w Tybindze i w studiach swoich jał poszukiwać z ognistym zapałem, prawdy po średniej (Centralwahrheit) owego punktu krystalizacji, dokoła którego mógłby ugrupować swe idee. W filozofii przyjmował przewodnictwo *Szellinga*, obok tego dawał ucha Straussowi, czerpał tu i owdzie, z opinii i systemów przeciwnych sobie, ale im więcej zagłębiał się w tego kierunku studiach, tem większą próżnię duch jego odczuwał, tem większy ogarniał go niepokój. Szukał jakiegos środka powszechnego (Centrum) a znajdował niepochwyczone widmo (Phantasma) jak sam wyraził w swoim dzienniku. Oddał się fizyce, i w ogóle, naukom przyrodniczym, zatopił się w doświadczeniach fizycznych, наконец zdawszy w zupełności wszystkie egzamina, otrzymał posadę lekarza przy szpitalu św. Katarzyny w Stuttgardzie; ale z tem wszystkiem pokoju nie znalazł: im więcej badał, tem większą czuł próżnię.

Rząd wysłał niebawem młodego lekarza do Paryża dla zwiedzenia tamtejszych szpitalów. Bawiąc tu pozyskał wstęp do salonu hrabiny de Vantefeuille i zapoznał się z jego towarzystwem. Tam to poznał panią *Swieczyn*, myśliciela *Balanch*, i całe kółko literackie grupujące się około dziennika *Correspondant*; spotkał się oko w oko z życiem katolickiem i odtąd wszczął się w nim tem gorętszy bój wewnętrzny. Nareszcie po ośmnastoletniej walce, kiedy już nie jeden raz powtórzyły się wszystkie fazy takiego życia pełnego zwątpienia, potrzeba było jeszcze znaku z nieba (Zjawienie się Matki Boskiej) dla odniesienia zwycięstwa. Wówczas to rozwidniło mu się w duszy; znalazł już bowiem owo Centrum, jedyny cel życzeń całego żywota. Przeszedł na łono kościoła

katolickiego: pokój zapanował w duchu jego. Energia, działalność, obudziły się w nim na nowo. Umysł jego pojął całe życie kościoła i to pojęcie wprowadziło go nieodwołalnie na tor życia kapłańskiego, do grona tych, którzy być mają solą ziemi, i światłością dla ludzi. Francyi już nie opuścił. Najprzód był przełożonym małego seminarium w *La Chapelle*, koło Orleanu, następnie, dawny jego przyjaciel arcybiskup *Dupanloup* powołał go na przełożonego wielkiego seminarium w Orleanie. Tu pracował niezmordowanie nad podniesieniem studyów klasycznych, filozoficznych i teologicznych, a przede wszystkim nad rzeczywistym udoskonaleniem samego siebie; pozyskał sobie głęboki szacunek i szczerą miłość, a cnoty, które mu to jednały, starał się szczególnie wpajać w wychowanców swoich. Odnosnie do matki swej, kościoła świętego, przejęty był zawsze głęboką, prawdziwą wiarą i gorącą miłością. Uczucia te ożywiały jeszcze i wzmacniał niejednokrotnymi podróżami do Rzymu. Wojna 1870 r. zaprowadziła gorliwego kapłana do lazaretów, gdzie zachwyił zabójczy zaród śmierci. Ostatnim jego życzeniem było umrzeć w mieście świętem i to życzenie spełniło się.

Z prac literackich Hetscha w szczególności zasługuje na pochwałę lubo nieukończony *Zarys chrześcijańskiej Apologetyki*. W dziele tem bystry umysł jego i szlachetna dusza, budzi, ożywia, ducha ludzkiego i rzec można, czyni misyjną w świat wycieczkę. Ma on każdemu coś do powiedzenia: filozofom, literatom, wychowawcom młodzieży, duszom poszukującym prawdy i nawróconym, ale szczególnie kapłanom i wychowawcom młodzieży duchownej; dla każdego ma coś takiego, co nowe światło w umysł, nowy zapal w serce wlewa.

Życiorys ten, w ogóle mówiąc, stanowi książkę interesującą i przyjemną dla każdego czytelnika, za czem i tłumaczowi niemieckiemu wdzięczność się należy. Przekład jest płynny, daje się czytać łatwo. Wydanie staranne, dość powiedzieć, że wyszło nakładem Herdera.

Ks. A. Kraetzig.

Der Weltverkehr. Telegraphie und Post, Eisenbahnen und Schiffahrt in ihren Entwicklung dargestellt von *Dr. Michael Geistbeck*. Mit 123 Abbildungen und 33 Karten. XII. 495. Freiburg. Herder 1887. Preis: 8 m.

Spisać dzieje tak nadzwyczaj dziś rozszerzonych sposobów komunikacji: telegrafu i poczty, kolei żelaznych i dróg morskich, niełatwe to zadanie: wymaga ono długich, z żelazną cierpliwością przeprowadzonych studyów przygotowawczych i prawdziwie niemieckiej systematyczności. Zalet tych nie brakło autorowi; cierpliwość znać z nadzwyczaj starannie ze wszystkich źródeł zgromadzonego, olbrzymiego materiału; systematyczność z dokładnie przeprowadzonych działów i podpodziałów, które czytelnikowi pozwalają się odrazu zorientować w tych długich szeregach cyfer i nazwisk przeplatanych bardzo ciekawymi szczegółami, objaśnionych mapami, obrazami i portretami. Aby ocenić jaką rolę odgrywa dziś telegraf, dość spojrzeć za autorem na 60.000 rozsianych po całym świecie stacyj telegraficznych, rozsyłających rocznie około 168 milionów depesz. Drugimi telegraficznymi opasaczymi można równik 90 razy. Kapitał wydany na telegrafy aż do grudnia 1882, wynosi okragło 1760 milionów marek; z tych 600 milionów na druty podmorskie. Niemniejszą potęgą

jest poczta. W r. 1884 przeszło przez jej ręce 5849 milionów listów: 1077 milionów kart korespondencyjnych; 4610 milionów dzienników i najrozmaitszych druków; 104 milionów próbek towarów. W samej Wiel. Brytanii wspólnie z Irlandyą wysłano w tym roku 1360 milionów listów; ciężar w jednym roku zużytych marek pocztowych dochodzi do 2280 cetnarów.

Kolejom żelaznym nie stoją dziś na przeszkodzie góry i przepaście; nie ma niemal miejsca, gdzieby zwycięzka para nie święciła swego panowania. Sama tylko Europa potrzebowała w r. 1882: 52.000 lokomotyw, 120.000 wagonów osobowych, a 1,250.000 wagonów ciężarowych. Na całej ziemi koleje żelazne przewiozły w wymienionym roku przeszło 2300 milionów osób, i 24 miliardów cetnarów towarów. Długość wszystkich linii kolei żelaznej wynosiła w r. 1880: 367.235 km., a w cztery lata później: 468.108 km. Kapitał, włożony w koleje żelazne, aż do końca 1884 r. przenosi 100 miliardów marek. Prerażające cyfry, wobec których maleją sumy, przeznaczone na morską i rzeczną żeglugę, acz same w sobie kolosalne.

Pod koniec książki zastanawia się autor nad dobrymi i złymi skutkami, tak dziś ułatwionych i na takie rozmiary wprowadzonych w życie środków komunikacyjnych. Naturalnie nie brak dobrych, ale nie brak też i złych skutków; dobre idee rozszerzają się szybciej niż dawniej; ale złe, dla społeczeństwa i jednostek niebezpieczne, również z szybkością błyskawiczną przeciskają się do każdej chatki, i nie masz prawie sposobu, jakby im drogę zagrozić. Na plac bitwy spieszą już nie tysiące, lecz miliony; nędną potwarz, zrodzoną z zawiści, powtarzają sobie w kilka godzin gazetciarze na obu półkulach; żandarm ściga kolejną żelazną złoczyńcę, ale usłużny współnik ostrzega tegoż telegraficznie o grożącym niebezpieczeństwie. O wpływie rozszerzenia się środków komunikacyjnych na moralność, religię, wychowanie, autor przemilcza, lub kilku ogólnikami je zbywa, lekceważąc w ten sposób, a raczej opuszczając najciekawszy rozdział, a do wypełnienia określonego planu niezbędny.

J.

La Péninsule des Balkans. Vienne, Croatie, Bosnie, Serbie, Bulgarie, Roumélie, Turquie, Roumanie, par *Emile de Laveleye*. Paris 1886. Deux Vol.

Czeski uczony Ireczek, zajmujący się przeważnie historią Wschodu, powiada, że głównem zagadnieniem mącącem od ośmiu już wieków polityczny spokój Europy, będącem przyczyną tylu już krwawych wojen, to nierozwiązane a straszne jak widmo pytanie: do kogo ma należeć Konstantynopol: do Greków, czy do Słowian.

Lecz historyk pyta: kto obejmie spuściznę po walącej się Turcyi, a jednocześnie i nie mniej natrętnie drugie następuje pytanie: jak zepchnąć z Europy tego zgangrenowanego olbrzyma? Tott w pamiętnikach, pisanych przed stu laty, opowiada rozmowę swoją z wysoko położonym Effendim, po klęskach świeżo wówczas zadanych Turkom przez wojska rosyjskie. „Dokąd zaprowadzą nas zwycięstwa Rosyan?“ mówił dygnitarz turecki. „Tam“ odpowiadał mu Tott, ukazując z okien pałacu przeciwny brzeg Bosforu. „To i dobrze“, odrzekł Effendi, „tam są również piękne wzgórza i łąki: wybudujemy na nowo miasto piasków i minaretów i nargile palić będziemy“. Zręczna ta anegdota;

zastosowania w rzeczywistości dotąd jednak nie znalazła, chociaż od dawna przypisują polityce Gladstona złowrogie dla Turcyi hasło: *expulsion with bag and baggage* a dyplomatyeczny Thiers przychylił się do niego pisząc w nocy swojej z 1840 r.: „kiedy na półwyspie bałkańskim za jednym zamachem nie można wszystkiego przerobić, tworzyć trzeba niepodległe państwa z odrywających się jego części”.

Słowa francuskiego dyplomaty były tym razem prorocze; cały też jakby jakiś nowy świat powstał na żyjącem jeszcze ale walącym się w gruzy, państwie Otomańskiem. Był to świat nieznany, bardziej nieznany od Chin lub Japonii. Wystąpiła więc cała plejada pisarzy, studujących bądź to pojedyncze szczepy z tej wielkiej rodziny bądź w formie podróży dających poznać te ziemie i ludy.

Każde wstrząśnienie, każda wojna powoływała do życia cały szereg prac na tem polu. Jedną z najnowszych jest wymieniona na nagłówku praca Emila de Laveleye, powstała z szeregu artykułów umieszczanych w znanej *Révue des Deux Mondes*. Z nad brzegów Renu, przejeżdżając przez Wiedeń, podróżuje czytelnik wespół z autorem po Bośni, Serbii, Bułgarii, Rumelii, i Rumunii i dociera aż do Konstantynopola. Spotykani w podróży tej ludzie, byli trochę wydatni, pozować muszą przed podróżnikiem, który rozmawiając z nimi bodaj czy już nie myślał, jak ich w przyszłej swej książce opisać. Stąd portrety Taaffego, Kalnokiego, Salm-Lichtensteina, Kallay'a, Gladstona, króla Milana, królowej-poetki Carmen Silva, arcybiskupa Stadlera i biskupa Strossmayera. Ostatni ten portret jest szczególnie zajmujący — maluje w nim bowiem autor gorliwego pracownika winnicy pańskiej, a zarazem wielkiego chorwackiego patriotę. Uczony książę kościoła, mecenas nauki, nieszczędnący pieniędzy na olbrzymie wydawnictwa, jeden z głównych założycieli uniwersytetu zagrzebskiego, zarówno czczony przez uczonych, jak i przez prostaczków, zrobić musiał dodatnie wrażenie nawet na niechętnego duchowieństwu belgijskiemu profesora. Nie przeszkadza mu to jednak patrzeć z nietajonem niezadowolaniem na rozwój katolicyzmu, któremu przeciwstawia działalność kleru w wschodniego, jakkolwiek i jemu zarzuca brak oświaty, symonię, i liczne nadużycia. Laveleye dowodzi, że dobroczynniejszym jest dla ludu wpływ prawosławia, gdyż duchowieństwo mające rodzinę więcej się wcielić może w naród, dzielając jego troski o byt doczesny. Współpracownik Spencer'a i autor *Klerykalizmu w Belgii* i w tej ostatniej pracy, jak w tamtych, chociaż z pewnem umiarkowaniem w formie, wysnuwa myśl swoją przewodnią, a maczając pióro w żółci przychodzi do sofistmatycznych wniosków. Stronniczy sąd belgijskiego profesora prześlągnięty nienawiścią do katolicyzmu dosięga naszych misjonarzy a wychodząc poza właściwy półwysp Bałkański aż ku Czerniowcom, tam chce dojrzeć ognisko szkodliwej katolickiej propagandy.

Drugi tom pracy Laveleye'a, poświęcony wyłącznie prawie Bułgarii i pragnącej się z nią połączyć Rumelii, pisany jest wyraźnie na tle ostatnich wypadków. Autor, snując z nich wątek opowiadania, zrećźnie uchyla się od wydania sądu o polityce rosyjskiej, a krytykuje ostro rzady księcia Aleksandra. Bohater z pod Śliwnicy, taki rycerski w świeżo wydanych pamiętnikach Dra Kocha, wychodzi z pod pióra Laveleya jako błąda figurka, nacechowana li tylko młodością i niedoświadczeniem. Prześlągnięty militaryzmem pruskim, książę Aleksander chciał według naszego autora, tylko na wojsku się oprzeć — o do-

brobył więc dla tego wojska i o jego wygodę dba tylko, a reformując zwyczaj narodowe zbytkuje w utrzymaniu armii, którą karmi bajeczną ilością mięsa. Dla oświaty za jego panowania nie nie przedsięwzięto — a tak, stosunkowo do innych krajów półwyspu Bałkańskiego, oświata stoi najniżej w Bułgarii — Laveleye stwierdza to cyframi — a cyfr tych pełno w obu tomach wiadomości statycznych wszelkiego rodzaju, poczynwszy od ludności, wypisów o zakładach naukowych a kończąc na przemysłu, handlu i wewnętrznej administracji każdego z krajów półwyspu bałkańskiego. Skąd p. Leveleye zdołał tyle wiadomości nagromadzić, zwłaszcza że jak wszyscy turyści zachodni, nie znał mowy zwiedzanych przez się krajów? Odpowiedzi na to pytanie w książce nie znajduję, a odpowiedź ta należałaby się czytelnikowi pragnącemu wiedzieć, przez czyje okulary podróżnik patrzył na zwiedzane przez siebie kraje i kto mu dat i cyfer do jego książki dostarczał. Właściwa strona opisowa ginie wśród tych dat i cyfer; może to i lepiej, bo sądząc z opisu Konstantynopola, Bosforu, nie zbyt wiele i nie zbyt świetnych farb ma Leveley na swej paletce. Komu w myśli tkwi piękny obraz Konstantynopola odmalowany przez de Amicis'a, lub o tyle nam miłszy, kilku rzutami zarysowany szkic Sienkiewicza, ten wśród dat tych i cyfr, bodaj czy z pierwszej ręki otrzymanych, zatuszowani za tym szerszym nietylko rozum ale i wyobraźnię ciągnącym ku sobie widnokregiem.

M. S.

Souvenirs et visions par O te E. M. de Vogué, p. 320. Paris 1887.

„W książce tej zebrano, pisze autor w przedmowie, studia bardzo różne przemiotem, datą, miejscem do którego prowadzą“. Istotnie „wspomnienia“ te znane w znacznej części czytelnikom *Révue de Deux Mondes*, a które właściwiej nazwaćby można „Wspomnieniami“ lub „Notatkami z podróży“, coraz to w inną część świata czytelnika przenoszą, coraz innemi, nieraz wręcz przeciwnemi wrażeniami go karmią. Pierwszy obraz poświęcony Egiptowi, a w szczególności temu, co pierwszym, powiedzieć można, odkrył dawny Egipt Faraonów, wzył się w jego życie, odchylił zasłonę zakrywającą jego historię: słynnemu Mariette-Bejowi. Autor poznał wielkiego archeologa w Egipcie, w chwili najenergiczniejszej, z wielu przeszkodami połączonej pracy; z jego ust zaczerpnął wiadomości o walkach, które musiał staczać, tryumfach które były tych walk nagrodą; a podziwiając odkopane pomniki, odsłaniające przed zdumionem okiem tę, zdawało się, na zawsze nam niedostępną kartę dziejów, przywiązał się do ich wynalazcy i w świetnych kolorach wyidealizował postać niezmordowanego badacza.

Z Egiptu przenosi się nasz podróżnik, — choć tą razą tylko myślą, — do przedhistorycznej Ameryki. Korteż, Marina, Montezuma, dawna cywilizacja amerykańska, z której ledwie ślady pozostały, zarysowują się w śmiałych rysach, a kilka pięknych, głębszych myśli dodaje tym obrazom wagi i ceny. Odkrycie Ameryki było tylko dalszym rozwojem wojen krzyżowych; średniowiecznych rycerzy i hiszpańskich marynarzy dwie głównie prowadziły pobudki: przedewszystkiem wiara, obok niej chęć pozyskania ziemskich, nieokreślonych a tem samem tem bardziej nęcących skarbów, choć druga z tych pobudek bez pierwszej nicby sama przez się działać nie potrafiła. Piękna to i prawdziwa

myśl, lecz co na nią powiedzą wrogowie religii, czy nie posądzą autora o klerikalizm, o holdowanie średniowiecznym przesądom? De Vogue przeląkł się, jak upiora, samej możebności podobnego oskarżenia, i pośpieszył czempnąć dla ulagodzenia grożących mu gniewów, zawsze popularną wycieczką przeciw inkwizycji. Czemuż zresztą nie miałby dokończyć pięknie zaczętego frazesu; czemu dla wszystkiego i dla wszystkich nie miałby mieć w zapasie tego samego sceptycznego uśmiechu, kiedy jawnie przyznaje się do teorii, że prawda bezwątpienia gdzieś istnieć musi ale gdzieś w obłokach, do których człowiek nie ma i nie może mieć przystępu, tak że jedyną mądrością jest wątpić o wszystkim, na wszystkie zasady, teorye i prawidła z możliwym pobażaniem, ale i niedowierzaniem spoglądać. Ale w takim razie nie wiedzieć prawdziwie, czemu dowcipny Francuz tak nielitościwie żartuje sobie z tego pseudo-patryoty czeskiego, który gorzko mu się skarżył na uciemienie Czechów przez Jezuitów w XV. wieku; czemu, jeśli prawda odnośnie do ludzi jest tylko mrzonką, dla jednej historycznej prawdy robiłby należało wyjątek? Za głębokie to, za nudne pytanie; lepiej więc nie żądać konsekwencji od książki, która nie ma do niej pretensyi, a zadowolnić się tem co daje: barwnem, dowcipnem, obrazowaniem dawnych mumii egipskich, średniowiecznych hiszpańskich rycerzy, dzisiejszych Genewczyków, Czechów i Rosyan.

Dla nas najbardziej interesującym jest opis podróży po Czechach i Rosyi: wrażenia jakich tu autor doświadczył, pogląd jaki sobie wyrobił na sztukę i przemysł rosyjski. Pierwsza nie zbyt mu zaimponowała; największe stosunkowo sympatye żywi dla Wereszczagina; mówiąc o Siemiradzkim, z którego obrazami spotkał się na wystawie w Moskwie, wyraża się złośliwie, że malarza tego ciągnie do siebie nie jakaś głębsza moralna idea lecz przepychy kolorytu, który na domiar złego tak w „Magdalenie“ jak w „Pochodniach Nerona“ ma w sobie mieć coś twardego, odstręczającego. Grzecznie, ale wyraźnie mówi wszystkim Słowianom, a Rosyanom w szczególności: Na artystów stworzeni nie jesteście; jeśli wam się podoba, to bawcie się dalej pędzlem i dłutem, ale nie gniewajcie się, jeśli nikt waszych obrazów i posągów zbyt na seryo brać nie będzie. Natomiast rozwijający się kolosalnie przemysł rosyjski zaimponował i przestraszył francuskiego podróżnika. Darmo! woła z pewnego rodzaju fatalizmem: Rosya zarzuci nas swym węglem, zaleje naftą, a kto wie czy niezadługo zarzucać i zalewać nas nie będzie, nie samymi już tylko surowymi materiałami. Walka wschodu z zachodem toczona wszędzie: w fabrykach i w kopalniach, parą i elektryką, przechyli się lada dzień na korzyść olbrzyma-wschodu, który zaczął wreszcie poznawać potęgę swej siły i skarbów. Być może, że to zbyt pesymistyczne zapatrywania: w każdym razie pewnej części prawdy nie można im odmówić, a bądź co bądź i to już wielki postęp naprzód, że zachodni podróżnicy śmieją tej prawdzie w oczy spojrzeć i nie ukrywają jej pod korcem.

J. B.



Z pism peryodycznych.

Biblioteka warszawska r. 1886.

W ostatnim tym roczniku znajdujemy tyle artykułów najrozmaitszej treści, że nie łatwo zdać z nich sprawę, a coś dopiero po dług wartości ocenić. Są tu artykuły ściśle naukowe z różnych gałęzi wiedzy ludzkiej, utwory beletrystyczne, oryginalne, lub tłumaczenia, poglądy na piśmiennictwo krajowe i zagraniczne, krytyki i sprawozdania, kwestye literackie, ekonomiczne i polityczne... Tak wielka różnaitość treści nie utrudnia przeglądu: czytelnik nie gubi się w chaosie, bo „Biblioteka“ ma już od dawna wyrobioną formę i porządek: tu wszystko na swoim miejscu, w swojej rubryce. Przytem biorąc ją do ręki, czytelnik wie, że się tam nie spotka z pustym frazesem, co się gdzieindziej nie rzadko zdarza, z czemś, co obraża uczucia katolickie lub narodowe.

Z rozpraw czysto naukowych najważniejsze a bezwąt্পienia i najlepsze są te, które dotyczą już to dziejów naszych, jużto innych spraw naszych domowych. Z artykułu Tad. Korzona: „Delegacya m. Kamieńca podolskiego na sejm czteroletni w r. 1789 wysłana“ dowiadujemy się na podstawie dokumentów, że mylnie było dotychczasowe mniemanie, rozszerzone przez wielu naszych literatów i uczonych, jakoby memoriał tych delegatów był w izbie sejmowej czytany przez Dekerta, prezydenta miasta Warszawy. Delegaci byli w Warszawie, uczęszczali na posiedzenia sejmowe jako „arbitrzy“, ale sprawa i ich poselstwo było bez skutku. Szczegół drobny ale odkrycie prawdy i usunięcie błędów zasługuje zawsze na uznanie. Nie mniej zajmującą jest rozprawa K. Górskiego „O wyprawie i klęsce cecorskiej“. Autor nie tylko opowiedział ten fakt dziejowy na podstawie źródeł, lecz także opatrzył rysunkiem miejscowości, w której bitwę stoczono. Badaniem dziejów ziem pomorskich mało się u nas zajmują historycy. Moźnaby nawet powiedzieć, że rzecz ta więcej zainteresowała Niemców, aniźeli nas i w niemieckim języku nie brak dzieł nawet wcale poważnych w tym przedmiocie, choć oczywiście niezawsze bezstronnych.

Z tego powodu rozprawa p. Jarnatowskiego: „Starostwa i dzierżawy w województwie pomorskiem“ nie będzie zbyt cennym

przyczynkiem do dziejów naszych, zwłaszcza, że opiera się na źródłach poważnych, a napisana podług metody ściśle naukowej. Prace takie, do których zaliczyć trzeba: „Cechy w Lublinie“ Wł. Zielińskiego, „Obraz statystyczny szkół w guberniach zachodnich cesarstwa w latach 1825—1826“, Zyg. Glogera „Biskupstwo tarnowskie“, Tad. Nieczui Dobrowolskiego, nie wielu zapewne znajdują na razie czytelników, ale wartość ich przez to nie mniejsza. Nie z romansów i nowel historycznych, chwytanych łapczywie przez ogół, ale z takich żmudnych i nieczytających się gładko rozpraw powstaje gmach wiedzy historycznej.

Nie zapomina „Biblioteka“ i o tak zwanym przez ś. p. Lama „przeciętnym“ czytelniku. Polityk ma tu „Sprawę bułgarską“, „Pesymizm i wszechwładzę państwa“ dobrze znanego pióra. W tym ostatnim artykule rozebrał autor (p. Lipnicki) szczegółowo teoryę Hobbesa, godnego jak wiadomo poprzednika Schopenhauerów i Hartmannów, a jak się na nie zapatruje dość przytoczyć ostatni ustęp rozprawy: „Jeżeli dziś są tacy, co bez zastrzeżenia pojęcie nowożytnego państwa stawiają na równi z wszechwładnem, i jeżeli tę praktykę popiera filozofia niemiecka, wychodząca z tych samych założeń, co Hobbes, nowy ten epizod, choć się cieszy tak potężnym reprezentantem jak ks. Bismark, nie będzie także trwałym“. Kto lubi geografią i chce wiedzieć, jak się ludzie gdzieindziej rządzą, ten ma „Kongo“ i „Nową Konstytucyą Irlandyi“ pióra p. Naganowskiego. Jaką „wartość pedagogiczną“ ma muzyka mogą się dowiedzieć wychowawcy z pięknego artykułu p. Bol. Wilczyńskiego (Wartość pedagogiczna muzyki), a czego nie powinni dawać do czytania swym wychowankom z artykułu p. Smolikowskiego: „Z psychologii empirycznej“. Autor rozebrał tu krytycznie trzy prace Ribota, pozytywisty „czystej wody“, wydane w tłumaczeniu polskim w latach 1885 i 1886. P. Smolikowski przypisuje naszemu zdaniem większe znaczenie naukowe pracom Ribota, aniżeli je one mają w istocie i zbyt łagodnie je sądzi, w każdym razie słusznie zwrócił uwagę na niestosowność tego rodzaju wydawnictwa, jakie pojawiło się w Warszawie.

Takie szczegółowe badania, jak Ribota, nie ogarniające całości nauki, a oparte na fałszywej teorii ewolucjonizmu, mogą tylko zbałamucić ale nie oświecić czytelnika niedoświadczonego. A chyba

wydawcy na takich czytelników liczyli, skoro się wzięli do tłumaczenia, specjaliści bowiem wolą oryginały.

„Tego baczyć nie mogę, dla jakiej przyczyny
Wolicie do Włoch abo Niemiec ślać syny,
Mając swe szkoły doma, gdzie przedtem jeźdzali
Cudzoziemcy, którzy się nauką parali.
Ważcie doma taki koszt na dzieci,
Ujrzycie, że się do was wszystka Padew zleci“.

Tak pisał Jan Kochanowski — widocznie już wtedy nie koniecznie trzeba było szukać szkół za granicami kraju, a wielu ich niepotrzebnie szukało. Jak zgubnemi okazały się te wyjazdy w XVII. i XVIII. w., o tem wiemy dobrze, ale sprawa naszego wychowania w tym czasie nie jest jeszcze na podstawie źródeł tak wyjaśniona, jakby sobie tego życzyć należało. Z wdzięcznością też każdy przeczytał sobie pracę dra Bobowskiego „Wychowanie panicza polskiego zagranicą w XVII. w.“, pracę tem cenniejszą, że opartą na listach samego panicza, jego mentora i samego ojca.

Z prac odnoszących się do literatury ojczystej trzy przedewszystkiem zasługują na szczególniejszą uwagę: o Mickiewiczu dra Teof. Ziemby, o Górnickim St. Ptaszyckiego, o Zaleskim pani Sew. Duchińskiej.

Do najgruntowniejszych znawców życia i pism Mickiewicza należy u nas z pewnością dr. Ziemia. Dowiódł on tego wieloma artykułami, zamieszczonymi w różnych pismach peryodycznych, a wiadomo nam skądinąd, że przygotował on nawet czterotomowe dzieło o Mickiewiczu, oparte na długoletnich poszukiwaniach i studyach. Artykuł, o którym mowa, obejmuje czas podróży Mickiewicza w r. 1830—1831. Autor wydobył wiele mało albo niedostatecznie znanych szczegółów z życia poety do tej chwili się odnoszących, a opowiadanie swoje potoczyste i piękne powiązał ze wspomnieniami tych szczegółów, zachowanemi w pismach i listach poety. Skoro już mowa o dr. Ziembie, to nawiasem wspomnieć wypada o artykule, zamieszczonym w tym roczniku „Biblioteki“, pochodzącym z pióra jakiegoś dra S. W., który oceniając dzieło P. Chmielowskiego „Adam Mickiewicz, zarys biograficzno-literacki“, wskazał, jak to p. Chmielowski korzystał z prac dra Ziemby o Mickiewiczu: nie przytaczając źródeł, odpisywał p. Chmielowski niejednokrotnie całe ustępy, prawie dosłownie.

Pomimo prac Czarnika, Loewenfelda, które obejmują całość życia Górnickiego, i wielu innych, poświęconych szczegółom o życiu i pismach autora „Dworzanina“, wiele jeszcze pozostaje do wyjaśnienia. Praca p. Ptaszyckiego obejmuje tylko „kilka nieznanych szczegółów“, zaczerpniętych z niepodejrzanych źródeł. Z pracy p. Ptaszyckiego wynika, że Górnicki nie otrzymał dzierżawy tykocińskiej w r. 1570, jak dotąd utrzymywano, lecz „daty postąpienia Górnickiego na starostwo tykocińskie należy szukać pomiędzy 8 września 1571 r. a 8 maja 1572; najprawdopodobniej nominacya zapadła w r. 1572. Wasilków otrzymał Górnicki nie w r. 1586, lecz „w dniu 21 lipca 1576“.

Artykuł p. Duchinińskiej o Zaleskim jest wspomnieniem pośmiertnem, z pewnością jednym z najlepszych, jakie się pojawiły po śmierci znakomitego poety.

Z artykułów dotyczących literatur obcych wspomnimy o dwu: o Alfredzie Tennysonie, przez p. Świącieckiego i o poezyi prowensalskiej, przez p. Porębowicza. P. Świąciecki dawno już znany u nas jako tłumacz i znawca obcych literatur. Pisma Tennysona ocenił autor szczegółowo, a ubarwił swoje opowiadanie, przytaczając w pięknym tłumaczeniu wiele ustępów, oczywiście godnych tłumaczenia, bo jak wiadomo, nie wszystko tam na ten zaszczyt zasługuje. P. Porębowicz widzi wielkie podobieństwo między poezją ludową prowensalską a słowiańską, i dziwi się temu. „Skąd bowiem poezya prowensalska i słowiańska w ustach ludu te same przybiera formy i nieraz najdrobniejszymi szczegółami prawie pokrewieństwa czyni złudzenie“. W ciekawym tym artykule autor przyczyny owego podobieństwa nie podaje, choć niewątpliwie znany mu sposób, w jaki zwłaszcza Niemcy kwestye tego rodzaju rozwiązują. Artykuł p. Porębowicza nie traci przez to nic a nic na wartości, a czytelnik obznajmiony z tem, co się na świecie dzieje, wdzięczny autorowi, że go uwolnił od owych ciężkich uczoności niemieckich.

Na ruch naukowy zagraniczny „Biblioteka“ bacznią zwraca uwagę, zwłaszcza „Kronika paryska“ jest zawsze tak świetna, jak może w żadnem piśmie polskiem. Przytem nie zaniedbuje „Biblioteka“ zwracać uwagi czytelników swoich i na ruch naukowy polski. Możeby pod tym względem niejedno było jeszcze do życzenia, ale to życzenie można rozszerzyć do wszystkich niemal czasopism

polских. Pojawia się u nas wiele powieści, nowel i tym podobnych rzeczy tak oryginalnych, jak i tłumaczonych. Ta literatura codzienna możeby nie zasługiwała nieraz nawet na wspomnienie, ale ponieważ stanowi ona pokarm umysłowy wielu tysięcy, warto na nią zwracać baczną uwagę i wskazywać, co w istocie jest pokarmem, a co truczyną. Pojawiają się u nas także książeczki i pisma dla ludu, a w pismach naszych poważnych rzadko się te rzeczy omawia, albo nigdy, choć to zdaniem naszym nie byłoby zbyt cennym, już choćby dlatego, żeby godność tego rodzaju utworów podnieść i tym sposobem nawet lepsze talenty do tego rodzaju pracy zachęcić.

Jeżeli jeszcze co wypada nam podnieść w „Bibliotece“, to staranność, z jaką zaznajamia czytelników ze sprawami ekonomicznymi przez rozprawy i szczegółowe informacye w „kronice miesięcznej“.

Oto krótki pogląd na roczną pracę „Biblioteki“. Czterdziesty piąty to rocznik. Za pięć lat dobiegnie pół wieku, jak pismo to służy naszemu społeczeństwu wytrwale i skrzętnie. Jeżeli się nie mylimy, to był czas, kiedy ta „Biblioteka“ była w Polsce jedynem poważnem pismem.

Szymon Matusiak.



SPRAWOZDANIE

z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Nadużycia w „Powszechnym szpitalu wiedeńskim“. — Świeckie dozorczyńie a siostry miłosierdzia we Francyi i w Belgii. — Wolnomularstwo we Francyi. — Nowe dekreta paryskiej rady miejskiej. — Mowa hr. de Mun. — Liturgia słowiańska w archidiecezyi Barskiej.

Kilkodniowe rozprawy w parlamencie wiedeńskim nad budżetem ministerstwa spraw wewnętrznych, a bardziej jeszcze wyznani i oświaty, przyniosły wiązkę ciekawych, ale bardzo smutnych faktów, drastycznie wskazujących, wiele jeszcze w Austrii wyrwać trzeba zastarzałych chwastów, wiele jeszcze w pewnych kołach rozrasta się uprzedzeń i niechęci przeciw Kościołowi. Deputowany Bendel ogłosił światu nowo wynaleziony przez siebie pewnik, że wszyscy *Ultramontanie* są wrogami Niemców; Dr. Mesiger rzucił biskupom obelżywe słowo; Dr. Beer, przyznając Kościołowi pewne zasługi w wiekach średnich, odmówił mu wszelkiego wpływu na dzisiejszą oświatę i dzisiejsze szkoły; inny jeszcze niejaki Pernerstorfer, występując zresztą z pewną słuszością przeciw wiedeńskiemu „Powszechnemu szpitalowi“, skarżył się również na to, że księża mają do szpitalów zbyt łatwy przystęp, „co jak wiadomo, „bardzo źle oddziaływa na zdrowie chorych“. Skąd ta pewność, kto o tem mówcy powiedział? Ci sami lekarze, przeciw którym po kilku już zdaniach wystąpił z całą energią, odsłaniając na widok publiczny nad wyraz bolesny obraz nadużyć popełnianych w „Powszechnym szpitalu wiedeńskim“, zostającym pod wyłącznym zarzą-

dem świeckich dozorczyń i żydowskich lekarzy. Dyrektor szpitala i trzech doktorów, zajmują najpiękniejsze mieszkania, z pięknym widokiem, urządzone zdrowo i wykwintnie; chorzy mieścić się muszą w pozostałych pokojach, wychodzących na ciasne podwórza, lub na hałaśliwą *Alserstrasse*. Kuchnia szpitalna musi być dla przedsiębiorcy bardzo zyskownym interesem, bo choćby nawet nie stwierdzono zbyt licznych oszukaństw na wadze i ilości, to często chorzy, jeśli ich do tego szalony głód nie zmusza, nie mogą tknąć żadnej z przyniesionych potraw, tak są niesmaczne i niezdrowe. Prawda, że chory to towar, z którego każdy ile może, powinien zysków wyciągnąć. W tym względzie dozorczyńnie mogą służyć za przykład zapobiegliwości. Biada choremu, który im się nie opłaci; i dziwić się temu nie można, bo i dozorczyńnie opłacać się znów muszą portjerowi, aby ich nie oskarżył o zabronione np. regulaminem nocne wycieczki; a kto wie, czy w hierarchicznym tym ustroju i portjer nie musi znów komuś wyższemu składać stałego haraczu? Zdawałoby się prawdziwie, że szpital jest zbudowany i utrzymywany dla dyrektora, lekarzy, dozorczyń, restauratorów i portjerów; tym panom i paniom dobrze się dzieje, chorym najgorzej, ale natrętni chorzy są przecież w szpitalu tylko z litości tolerowani.

Ostra ta filipika, w której obok pewnej może przesady w wyrażeniu, dużo podobno prawdy się mieści, zwróciła na siebie powszechną uwagę i zapewnienie rządu, iż sprawę tę dokładnie zbada, a złemu, wedle możliwości, zaradzi. Ale jak zaradzić? Czy wypędzić obecne dozorczyńnie, a na ich miejsce przyjąć inne, mniej doświadczone, domagające się znaczniejszej płacy, a bardziej może jeszcze okrutne, chciwe i rozpustne? Pernerstorfer wskazał złe, ale lekarstwa na złe nie wskazał; przeciwnie, występując w swej mowie, choć tylko ubocznie, przeciw religii, dał oczywisty dowód, że pływając po wierzchu, nie dotarł do dna kwestyi, w której, jak bardzo słusznie mówi wiedeński *Vaterland*, nie tyle chodzi o osobę, co o zasadę.

„Przejrmy i zbadajmy, pisze wspomniany dziennik, szpitale wszystkich cywilizowanych krajów; uprzytomnijmy sobie, ile pracy, poświęcenia, fizycznego i moralnego trudu domaga się z natury rzeczy od dozorczyń pielęgnowanie chorych; a łatwo się przekonamy, że dwie tylko wręcz sobie przeciwne kategorie kobiet podjąć się mogą tego zadania: te, które z własnej lub cudzej winy zaprzeć się muszą swej przeszłości a przyszłości przed sobą nie mają

i — te, które dobrowolnie z miłości ku Bogu i bliźniemu, poświęcają czyste, nieskalane życie na służbę miłosierdzia, wiedząc dobrze jaką składają ofiarę, ale wiedząc nie mniej, jaka je za to wieczna czeka nagroda. Tak więc do szpitalnej służby cisną się tylko albo zgubione i nieszczęśliwe istoty kobiece, albo ożywione szlachetnym duchem miłości Bożej siostry miłosierdzia... Czy w jakim szpitalu, zawiadowanym przez Siostry Miłosierdzia, mógłby zdarzyć się niedawno temu zaszyły fakt, iżby dozorczyńni ciężko rannemu zalepiła twarz grubym plastrem, aby jego jęków nie słyszeć? Dozorczyńni spała sobie spokojnie tej nocy, ale nazajutrz znaleziono chorego uduszonego... W Paryżu skąd, mimo protestów ze wszystkich stron nadchodzących, wypędzono siostry ze szpitalów, panuje podobny i gorszy jeszcze stan rzeczy. Dzienniki wszystkich odcieni: katolickie, republikańskie i socjalistyczne opowiadają fakta, wobec których dopiero należycie zrozumieć można, dlaczego lekarze paryscy, choć w znacznej części ateści, tak energicznie protestowali przeciw wypędzeniu zakonnic. Wedle tych skarg i opowiadań, dozorczyńnie dolewają wody do mleka i rosolu, zmniejszają porcje mięsa, biją chorych, prześladują wszelkimi sposobami tych, którzy nie są w stanie pieniędzy się im opłacać. Jednym z szczególnie ulubionych środków dyscyplinarnych, wymierzanych przeciw takim biedakom, jest kładzenie ich w czasie ślania łóżek, na temsamem łóżku z jakimś konającym. Wiele świeckich dozorczyń obawia się jak ognia każdej zaraźliwej choroby; jakże wobec takiego usposobienia ma chorych otaczać troskliwą opieką? Nic dziwnego, że nie tylko cała niemal ludność, ale i wielu w nic nie wierzących lekarzy, owszem nawet ateistyczne francuskie dzienniki, domagają się raz poraz z coraz większą natarczywością powrotu Sióstr Miłosierdzia“.

Tymczasem w Belgii liberalne gazety: *Opinion* i *Reforme*, nieodstraszone smutnemi scenami, dziejącemi się w Wiedniu, a zwłaszcza w Paryżu, wystąpiły do walki przeciw Siostrze Miłosierdzia, domagając się natarczywie wypędzenia ich ze szpitalów. Gazety te wydrukowały długi akt oskarżenia przeciw Siostrze, ale mimo najlepszej woli nie śmiały nawet poddać w wątpliwość poświęcenia i ofiarności córek św. Wincentego; natomiast zarzuciły im z oburzeniem, że umieszczają pobożne obrazy nad łózkami chorych i namawiają tychże do przyjęcia przed śmiercią Sakramentów św. Liberalna Rada miejska w Antwerpii, podjudzona temi oskarżeniami, nakazała natychmiast najściślejsze śledztwo, dla przekonania się, czy zakonnice spełniają należycie powierzone im obowiązki, ale niezadługo żałować musiała zrobionego kroku, bo chorzy nie mieli dość słów na pochwałę swych opiekunek, a tak śledztwo zmieniło się w prawdziwy tryumf dla oskarżonych, a w smutną przegraną dla jednego z głównych oskarżycieli, doktora Tervagne, który ze wstydem ustąpić musiał z zajmowanej posady. Wolnomularskie dziennikarstwo starało sobie powetować poniesioną klęskę,

obrzucając błotem i szyderstwem wszystkich tych, którzy w czasie wielkanocnym wiernie spełnili katolicki swój obowiązek. *Gazette* nie przepuściła w tym względzie nawet rodzinie królewskiej; cynicznych żarcików głośnej *Etoile Belge* i powtarzać nie wypada; *Nation*, zwracając się do kobiet uczęszczających do spowiedzi, woła: „Jeżeli chcecie zyskać w oczach naszych na czci, cnotach i przy-
„miotach, to grzeszcie dalej, ale nie spowiadajcie się“. Tysiące socyalistów, którzy niedawno temu urządzili w głównych miastach belgijskich szereg groźnych manifestacyj, a żonom swym i córkom iść pewnie do spowiedzi nie pozwalają, spełniają program wypływający z nauk podawanych przez wolnomularską prasę; ale co stanie się z Belgią, gdy program ten wnuknie w masy ludu, kto i w imię czego potrafi powstrzymać tę codzienną straszniejszą socyalistyczną lawinę?

To samo pytanie, tylko jeszcze z większym naciskiem, bo niebezpieczeństwo większe i bliższe, stawiać sobie muszą francuscy katolicy. Trzecia rzeczpospolita jęczy, od samego początku swego istnienia, pod tyranią wolnomularstwa. Oklepamy to frazes, ale pewne szczegóły i cyfry podane przez masonski dziennik *Voltaire*, a otrzymane z pierwszej ręki, bo od samego prezesa „Wielkiego wschodu francuskiego“, dodają wagi temu frazesowi i przekonać mogą każdego jak ściśle jest prawdziwym. W poselskiej izbie francuskiej zasiada dziś dwustu masonów, jawnych nieprzyjaciół Boga i Kościoła; tak jawnych, z otwartą przyłbicą występujących, iż używane dotychczas, tradycyjne nazwisko „Wielkiego architekta wszechświata“, wykreślili zupełnie z aktów i dokumentów łoży. „Jesteśmy wszyscy, pisze *Voltaire* z naiwnością graniczącą z cynizmem, najczynniejszymi sprzymierzeńcami radykalnej rzeczypospolitej; jako stowarzyszenie pracujemy w tajemnicy, „nie przynosząc przez to ujemy obywatelskiej działalności“. Rzecz prosta, bo ta „obywatelska działalność“ ma być w ich pojęciu tylko nową, na widok publiczny mogącą być wystawioną, edycją tajnej działalności masonskiej. Głównym teatrem tej działalności jest nie od dzisiaj dopiero więcej niż rewolucyjnie usposobiona paryska Rada miejska, która jak jasno się pokazało przy jednej z ostatnich rozpraw jeszcze przed ostatnimi wyborami, które stanowczo dały władzę w rękę najczernerzszym żywiołom, liczyła

w swych szeregach 11 konserwatystów, 25 komunistów i 40 członków, wahających się między komuną a rządem Gobleta. Aby poznać jakie jest usposobienie tego „małego parlamentu“ i jaka cześć dla prawdziwej wolności, dość powiedzieć, że Rada obsypała pochwałami jakąś dozorczynię szpitalną, która mimo gorących próśb konającego, nie przypuściła doń księdza, ponieważ tenże nie mógł na razie wykazać się urzędowem pisemnem pozwoleniem władzy cywilnej. Na jednym z następnych posiedzeń Rada miejska zawotowała 20.000 fr. na zburzenie kaplicy, wystawionej w celu prześlągnięcia Boga za zamordowanie Ludwika XVI. Czyż wobec tego rodzaju faktów i obelg ciskanych w oczy katolicyzmowi, nie miał pewnej racji republikański *Matin* wyznając, że dziś zwłaszcza po ostatnich prawach zawotowanych w parlamencie berlińskim, kościół katolicki znajduje się w stosunkowo lepszej pozycji w Niemczech, niż we Francyi?

Patrząc na te długoletnie, ciągle tryumfy sekty we Francyi, zrozpaczyłoby prawie można o przyszłych losach najstarszej córki Kościoła; gdyby z drugiej strony nie dodawał otuchy widok męźnych szeregów katolickich, walczących nieznuzenie w twardej tej i nierównej walce o najświętsze Boże i ludzkie prawa. Nowym dowodem tej wytrwałości w walce jest założone niedawno temu za inicjatywą hr. de Mun „Stowarzyszenie katolickiej młodzieży“, nowej odnogi pięknie i bujno rozrosłej *Association catholique*. Założyciel w prześlicznej mowie, mianej w Angers wobec bardzo licznie zgromadzonej młodzieży, wypowiedział zasady, cele i dążności nowego związku.

Macie wielkie przed sobą zadanie, bo wy jedni tylko, młodzieńczym zapalem ogrzani, niosąc w ręku pochodnię prawdy, możecie przyczynić się należycie do rozwiązania i rozjaśnienia kwestyi społecznych owych sfinksów, które grożą pożarciem dzisiejszemu światu. „Rewolucya włożyła ludowi na głowę dyademmat, a za chwilę przekuła go w jarzmo, aby zaprządz lud do swego tryumfalnego wozu; lud francuski, niegdyś przez wyższe stany zepsuty, a potem pozostawiony na łup nieszczęsnemu swemu losowi. Zaprawdę, wyższe stany dźwigają na swych barkach ciężką, przygniatającą odpowiedzialność w smutnym dramacie tego żelaznego stulecia. Za mało powiedziałem; na barkach ich cięży straszna odpowiedzialność za długie czasy zepsucia zgotowanego przez rewolucyą naszego wieku; i dla tego was wszystkich, należących do tych wyższych stanów, was wszystkich, którzy wzięliście sobie za szlachetne zadanie, odbudować to, co one w gruzy zamieniły, zaklinam was, wyrzucicie ze serc raz na zawsze i bezwarunkowo, nieszczęsne owe wyobrażenia, które ojczyznę naszą

zaprowadziły na sam brzeg przepaści. Zarówno nie identyfikujecie się z *Ancien régime*, rzucanym wam w twarz, w tym celu, aby was w pochodzie naprzód powstrzymać, boć to tylko kłamstwami wypchane straszdyło; jak nie identyfikujecie się z dzisiejszym porządkiem społecznym, dziełem kilku chciwców i kilku bogaczy. Nie należycie ani do tych, ani do tamtych; jesteście zastępcami chrześcijańskiego ustroju państwowego; wasz program streszcza się w słowach: Służyć Kościołowi i ludowi...

„Parlamentaryzm dawno już sam siebie zabił. Lud nie troszczy się o politykę parlamentarną, lub lekceważy ją sobie i trudno mu nie przyznać słuszności. Kwesytja socyalna, jej losy i walki, przerasta jak olbrzym karłowate, nędzne, kobiece debaty. Na nią trzeba zwrócić uwagę; wszak puka do wszystkich bram: do bram parlamentu, zamków, giełd i fabryk; czy kto chce, czy nie chce, musi jej słuchać. Lecz któż jej da odpowiedź?

Czy rządy?... Rządy, jakimkolwiek okrywały się nazwiskiem, zdradzały tylko zawsze swój obowiązek, nie wypełniały poruczonego sobie zadania, stawały się współwinnymi z rewulucją, wchodziły z nią w konszachty i tylko z jej pomocą działały. Dziś, gdy niebezpieczeństwo bliskie i groźne, rządy mogą się tylko swą nieudolnością pochwalić.

„A więc któż da odpowiedź strwożonemu głosowi ludu? Jaka siła istnieje na tyle spokojna, aby lud pokochać; na tyle mocna, aby nim pokierować? Jedna tylko taka siła istnieje, a wymieniam ją z dumą i zaufaniem syna, mówiącego o matce: tą siłą jest kościół katolicki“.

„Czyście czytali co się stało w Rzymie? Czy wiecie o tych biskupach nowego świata, którzy po przez ocean podążyli do apostolskich progów? Czegoż tam chcieli? Chcieli przed trybunałem Ojca św. poprzeć sprawę robotników. Czyście czytali sprawozdanie kardynała Gibbonsa o „Ryccerzach pracy“ i wyrok Ojca św., przyznający im zupełną słuszność? A czy wpadł wam w ręce ów list kardynała Manninga, potwierdzającego z arystokratycznej Anglii słowa Baltymorskiego arcybiskupa, aby w ten sposób przed całym światem przypieczętować nierozzerwalny związek ludu z kościołem? To jest zdaniem mojem — a ślepi i chromi, którzy jakby w naszym wieku nie żyli, snią sny przeszłości, niech się zdaniem tem nie gorszą — to jest wielki, największy wypadek naszych czasów... Jesteście katolikami, zobowiązaliście się służyć Kościołowi, nie zapominajcież nigdy, że tem samem zobowiązaliście się służyć małym i słabym, że stać powinniście po stronie ludu. Być dobrym katolikiem, to wcale nie znaczy odsuwać się od wszystkiego, co zapałem rozognia serca współczesnych, a zajmować się tylko wprost i wyłącznie religijnymi sprawami; przeciwnie wtedy będziecie dobrymi katolikami, jeśli z całą gorliwością oddacie się służbie swego kraju, jeśli ojczyznę swoją będziecie się starali popchnąć na tory jedynie prawdziwej, wielkiej, żywotnej polityki; jeśli doprowadzicie tę politykę do harmonii z przykazaniami Kościoła; jeśli religii nie będziecie tylko ograniczać i na klucz zamykać, po kościołach, lecz domagać się w imię najświętszych i najsluszniejszych praw, aby przepisy ewangeliczne wpływały i rządziły obyczajami i urządzeniami społecznymi.

Przytoczyliśmy znaczną część wspaniałej tej, programowej mowy, bo i o niej powiedzieć można, że jest jednym z ważnych wypadków naszego czasu. Nowe zapatrywania, wyrażone jasno i od-

ważnie przez hr. de Mun, otwierają przed katolikami francuskimi nowe drogi, po których idąc prędzej może i łatwiej trafią do celu, dziś jakby coraz bardziej się oddalającego — do religijnego odrodzenia społeczeństwa francuskiego. Prasa krajowa, a bardziej może jeszcze zagraniczna, zrozumiała doniosłość tej mowy i bardzo żywo nią się zajęła, nie szczędząc jej w ogóle zasłużonych pochwał, zwracając się myślą do własnych stosunków, potrzeb i pragnień. I kiedy „dyż, pyta ze smutkiem *Vaterland*, i u nas powstanie jakiś de „Mun, który potrafi zapalić szlachetnym ogniem serca naszej młodzieży? Kiedyż będziemy się mogli poszczycić młodzieżą, gorejącą „chrześcijańskim zapalem, dla wszystkiego co piękne, zacne i słusne?“

Pozwolenie, udzielone nowowskrzeszonej archidiecezyi Barskiej (Antivari) w Czarnogórze, wprowadzenia języka słowiańskiego do obrzędów kościelnych, wywarło w południowej Słowiańszczyźnie najlepsze podnoszące wrażenie. Zagrzebski dziennik *Obzor* buduje na tem pozwoleniu cały gmach, aż zbyt śmiałych nadziei, widzi w niedalekiej przyszłości kościół wschodni połączony z zachodnim; wznosi entuzyastyczny okrzyk na cześć wielkiego Papieża, który, równouprawniając języki i alfabety dwóch wielkich odłamów chrześcijańskiego świata, podejmuje na nowo program wielkich swych poprzedników z przed dziesięciu wieków: Hadryana II. i Jana VIII. Bądź co bądź, jak stwierdza bardzo ciekawy, przedmiotowo napisany artykuł w *Allgemeine Zeitung* p. t. „Stan religii w Bałkanach“, oczy ludów słowiańskich rozsianych na półwyspie bałkańskim, zwracają się coraz częściej i coraz dłużej zatrzymują się na Rzymie, który „tyle ma roztropności iż pozwala swym prozelitom „zatrzymać dawne swe obrzędy, modlitwy i księży, domagając się „tylko uznania zwierzchności papieskiej“.

Ks. Jan Badeni.

List ze Szwecyi.

Tworzenie się sekt z odrębnym ustrojem gminnym. — Metodyści. — Baptysci i ich rozrost. — Irgwinianie. — Mormoni. — Swedenborgianie. — Armia zbawienia. — Niewiara i upadek kościoła państwowego. — Położenie katolików tutejszych.

Do r. 1860 sekciarze, z wyjątkiem francuskich kalwinistów, anglikanów lub Rosyan, nie tworzyli odrębnych, w sobie zamkniętych gmin. Teraz zwłaszcza od roku 1873 jest takich gmin więcej, mianowicie Metodystów i Baptystów. Metodyści usiłowali już dawniej, mianowicie pod kierunkiem niejakiego Stefensa, a następnie Scotta zająć silne stanowisko w Sztokholmie. Nie trwało to jednak długo, bo Scott obraził niezręcznymi słowami uczucia narodowe Szwedów. Tymczasem r. 1869 powstał Metodyści episkopalni i prędko rozszerzyli się. Wedle wydanej przez nich samej statystyki, stwierdzonej przez oficjalną państwową statystykę, — liczyli Metodyści w Szwecyi z początkiem czerwca r. 1886: gmin 67, przeważnie przez państwo uznanych, właściwych członków 10.283, członków praktykujących 3.804, kaplic 74, wartości 742.712½ marek. Metodyści szwedzcy dzielą się na 3 powiaty z centralnymi siedzibami: w Sztokholmie, Karlskronie i Göteborgu. Każdy powiat stoi pod osobnym naczelnikiem, żadnej jednak gminie metodyckiej nie przysługują prawo prowadzenia urzędowych ksiąg kościelnych. W ten sposób rząd utrzymuje powagę kościoła państwowego; choć z drugiej strony zachował sobie prawo udzielania dysydentom tego przywileju. Król udzielił niedawno 35 gminom Metodystów prawa zawierania małżeństw przed swymi własnymi kapłanami, pod warunkiem, iż kapłani ci święceniami swymi urzędownie wykazać się będą mogli. Prawo to wytłumaczyli sobie Metodyści w ten sposób, że wszystkim ich kapłanom przysługują prawo udzielania Sakramentu małżeństwa Metodystom, nawet i tym, którzy do tych 35 gmin nie należą. Pastor pozostaje najdłużej 3 lata na tej samej posadzie, następnie otrzymuje inną, chyba jako niegodny zupełnie usunięty zostanie. Corocznie przyjeżdża z Ameryki „biskup“ w celu odbycia wizytacji. Z Ameryki otrzymują Metodyści szwedzcy znaczne zasilki pieniężne. W roku bieżącym otrzymali

około 90.000 marek, z których atoli część ma być zwróconą zapomocą dobrowolnych składek.

Na mniej więcej 30 lat przed Metodystami przybyli do Szwecyi Baptysci. Oficjalna państwowa statystyka podaje ilość ich w r. 1870 na 1.916, w r. 1880 na 7.964; Baptysci sami w wykazie z r. 1886 podają liczbę swych członków na 28.766; prawdopodobnie jest to cyfra przesadzona, ale z drugiej strony wyznaczyć trzeba, że statystyka rządowa podaje znów cyfrę za niską. Sekta ta dzieli się w Szwecyi na 17 powiatów, w których znajduje się 434 gmin baptystycznych. Jedna tylko gmina we Wamhus jest przez państwo uznana, i ma prawo prowadzenia urzędowych ksiąg kościelnych, a to dla tego, że została założoną jeszcze przed wyjściem ustawy z r. 1843. Wszystkie inne gminy z zasady nie żądają uznania siebie przez państwo, ale zadowolniają się zyskiwaniem coraz większej ilości członków i wykonywaniem swego obrządku. Większa część Baptystów nie uwiadamia rządu o wystąpieniu swoim z kościoła państwowego, urzędownie zatem za członków tegoż uchodzą. Z początkiem r. 1886 mieli Baptysci 74 własnych zborów, 478 braci kaznodziejów. Kazania odbywają się nietylko po zborach ale i w domach misyjnych, kaplicach metodystów, pomieszkaniach prywatnych, słowem wszędzie gdzie się po temu nadarzy sposobność. W szkołach niedzielnych zależnych od gmin baptystycznych, udzielało 2563 nauczycieli naukę 27.581 dzieciom. Możnaż, że w cyfrę te wliczone są i państwowe szkoły, których nauczycielem jest baptysta, chociaż *de nomine*, do kościoła państwowego należy. Do szkół codziennych zależnych od baptystów uczęszczało 915 dzieci. Dla celów dobroczynnych zebrano w r. 1885 wedle spisane go wykazu datków kwotę 326.100 marek. Jestto nowy dowód ofiarności naszego dobrego ale oszołomionego narodu¹.

¹ Dnia 15 czerwca r. 1886 skazał sąd wojenny nordskonskiego pułku piechoty na pustkowiu Lungbyjskiem pewnego do ćwiczeń powołanego młodzieńca nazwiskiem Ola Swenssohn z Kristanstadu na 2 miesiące więzienia, ponieważ ten wzbraniał się wziąć udział w ćwiczeniach wojskowych. Skazany jest baptystą, i twierdził, że ze względów religijnych nie może wziąć broni do ręki; karę przyjął bez apelacyi (*Svenska Dagbladet* 18/6 1886).

W tym samym pulku wzbraniał się także inny rekrut wziąć udziału w ćwiczeniach, zgodził się jednak, gdy go zapewniono „że nie chodzi tu o rozlew krwi“.

Irwingianie mają swą gminę w Sztokholmie i w Nordköping i przywłaszczyli sobie nazwę „chrześcijan katolików“, są oni jako tacy przez państwo uznani, ale nie mają prawa prowadzenia urzędowych ksiąg kościelnych.

Mormoni nie mogą się w Szwecyi zaaklimatyzować. Spis ludności z r. 1880 wykazuje ich 44, liczba ta, wedle naszego zdania, musiała się od tego czasu raczej zmniejszyć, niż powiększyć.

Swedenborgianie mają kilka własnych gmin, znachodzą się oprócz tego rozpróśzeni po różnych miejscowościach; wielu lutrów hołduje również zasadom Swedenborga. Gdy w roku bieżącym w zimowym półroczu odbywał się egzamin dojrzałości w Wenersborgu, znalazł się między abiturientami jeden swedenborgianin. Zachodziła kwestya, w jaki sposób egzaminować go z religii? Telegrafowano do Sztokholmu do departamentu spraw kościelnych i do rządu, i jeszcze w ciągu egzaminu nadeszła odpowiedź, że młodzieńca tego należy zwolnić od egzaminu z nauki religii. Znajdują się tu także „morawscy bracia“; nie mają jednak takich kolonii jak w Niemczech i niewiele o nich słyhać.

Marzycielska nauka *Frälsningsarmé* — „Armii zbawienia“, zapuszcza korzenie między głęboko religijnym ludem na prowincyi, a zwłaszcza na wyspie Gottlandyi, szarlatanerya ta jednak nie ma tu wedle naszego zdania widoków powodzenia, owszem ma ich mniej niż w jakimkolwiek innym kraju. Spokojny charakter szwedzki żądnych wybryków i exageracyi nie znosi, a gdy kto się ich dopuszcza, to niezadługo nazwę szaleńca otrzyma. Nie jednokrotnie wszedł ten lub ów z męskich lub żeńskich oficerów „Armii Zbawienia“ w kolizyę z policyą, z powodu nie dość ścisłego zachowywania przepisów policyjnych. Wszakże w granicach prawa, w niczem wolności ich nie ściskają. Odprawiają więc swe nabożeństwa, usiłują nieść ulgę chorym po szpitalach i odbywają procesye. Od dość dawna procesyi Salvations-army w Sztokholmie nie widziałem; można jednak jeszcze od czasu do czasu widzieć patrol złożony z dwóch kobiet w mundurach z wielkim afiszem na piersiach, na którym czerwonymi głoskami wydrukowany napis *Stridszop-Extrablad* zachęcić ma przechodniów do rozkupywania nadzwyczajnych numerów organu „Armii“ Stridszop.

W oficjalnych sprawozdaniach o sektach, znajdujemy prócz

wymienionych, jeszcze wiele innych. Rząd śledzi wszystkie te ruchy z uwagą i bardzo naturalną obawą. Wszak zdarza się czasem, jak mówi jedno z urzędowych sprawozdań, że w jednej wsi stoi pięć lub sześć kościołów należących do pięciu lub sześciu odrębnych sekt. Za wiele „pobożności“ szkodzi kościołowi państwowemu.

Rundgren tak kończy wspomnianą wyżej mowę swą z d. 12 czerwca b. r.: „Kończę życzeniem, aby nasze zakłady naukowe działały bez przerwy nie tylko przeciw niewiedomości, która wszystkiemu wierzy, ale także przeciw religijnemu wykształceniu, które w nic nie wierzy“. Zmarły przed trzema laty, a w kraju wysoce poważany Grafström, luterski proboszcz, „biskup zakonu“, tak się na krótki czas przed swą śmiercią wyraził: „Nasz kościół państwowy nie ma już racji bytu. W krótkim czasie będzie naród nasz w części katolickim, a w części bezwyznaniowym“. Na słowa te można się zupełnie pisać. Pewna doza niewiary należy obecnie w wielu kołach do dobrego tonu; we wielu innych choć niewiara panuje, to przecież ogólnie uznany, dobry ton nie pozwala wyszydząć religii. Z rzadkimi wyjątkami wszyscy ściśle zachowują niedzielę; odmawiają modlitwy przed i po jedzeniu, ale niejedni, zachowujący te zewnętrzne oznaki wiary, w sercu już jej nie mają. Razporaz posłyszysz te słowa: „Nie możesz pan przecież wymagać odemnie, abym wierzył w religię, którą zaprowadził Gustaw Waza“. Ale zamiast zapytać się: „Gdzie znajdę prawdę?“ — wyrzekają się i tej odrobiny prawdy, którą Gustaw Waza pozostawił. Zaprzeczają zwłaszcza niemiłej prawdzie o karze piekielnej, a utalentowany Wiktor Rydberg pracuje z zapalem i dowcipem, godnym lepszej sprawy nad eschatologią, która ostatecznie wszystkim bramy niebios otwiera. Władą on po mistrzowsku piórem, a nadużywając i przekręcając ogromną ilość wyjątków z biblij, pozyskuje dla siebie czytelnika, i nieraz pozbawia go wiary. Pan de Bergen otwiera łamy swej gazety pisarzom zaprzeczającym boskości Chrystusa; inni wprowadzają w kłopot uczonych profesorów, występując przeciw Boskiemu początkowi Pisma św. Jedna ze znanych sztokholmskich gazet wybornie do profesorów tych przemówiła: „Wy lutrzy nie macie prawdziwie racji bytu. Kościół katolicki może wychodząc ze swej zasady udowodnić natchnienie Pisma św. a wy nawet i tego nie możecie“. Inny znów uczony Nyström był w Paryżu i zajmuje się obecnie

pozytywizmem; jest on lekarzem i filantropem: urządza bardzo popularne odczyty. Sam słyszałem od niego wiele trafnych uwag o powstaniu zakonu Dominikanów, Franciszkanów — stygmatach, stygmatyzowanych i t. p. choć nie wszystkie jego doktryny są zdrowe, owszem wiele z nich bardzo zgubny wpływ wywiera.

Ponieważ Sztokholm leży w ślicznym położeniu a utrzymany jest jak cacko, stąd nazywają go czasami *Sköna Synderskau*, tj. „śliczną grzesznicą“; nazwa za ostra, a w porównaniu do innych europejskich stolic wprost niesprawiedliwa. Jeśli Bóg da, a katolicyzm głębsze korzenie tu zapaści, będzie jeszcze lepiej, niż dotychczas. Dotąd katolików w Szwecyi jest bardzo mało. W całym tym wielkim kraju, liczącym 4,700.000 ludności, liczba katolików nie przenosi tysiąca. Mają oni swe gminy w Sztokholmie, Göteborgu, Malinö i Göfle; reszta żyje rozprószona po całym kraju. Kościół katolicki używa tu potrzebnej swobody, i doznaje powszechnego szacunku, ale do znaczniejszego ruchu ku Kościołowi katolickiemu, do takiego i w takich rozmiarach, w jakich np. objawia się w Anglii, mówiąc po ludzku, nie tak jeszcze blisko.

Założycielka Stowarzyszenia rozkrzewiania wiary.

(Vie de Pauline-Marie Jaricot fondatrice de la propagation de la Foi et du Rosaire-vivant. par. M. J. Maurin. Paris 1884).

Ludzie dla Boga pracujący, zarówno jak dzieła takich ludzi, przechodzą czasami niepojęte z ludzkiego punktu widzenia. Z małego nasienia wyrasta nieraz olbrzymie drzewo, czasem ręce napozór niezdolne, postawią budynek wspaniały; ale jak mogły konary i gałęzie tak szybko, tak bujnie się rozrósć? jak się zgromadziły tysiące cegiełek na budowę takiego gmachu? — po ludzku niepodobna prawie tego wytłumaczyć. Są to tajemnice łaski i miłosierdzia bożego, a człowiek, zamiast podziwiać i upokorzyć się, nieraz zuchwale się zżyma i błotem nienawiści i zazdrości obrzuca pokorne narzędzie tyłu łask, ale i pracy tak wielkiej.

Takie były koleje wielkiego dzieła, które obecnie po całym świecie znane, jest korytem, którem płyną dary miłosierdzia mie-

szańców jednej półkuli, dla cierpiących współbraci innych krańców świata. Któż nie zna Stowarzyszenia „Rozkrzewienia wiary“, rozszerzonego dziś na cały kościół katolicki, a wspierającego Apostolów wiary po całej kuli ziemskiej? Ale czy kto, zapytany, potrafi powiedzieć, kto założył dzieło tak wspaniałe, czyje serce miłość do rodzaju ludzkiego natchnęła myślą tak przedziwnie piękną a przytem tak prostą i praktyczną, że natychmiast przyjęły ją tysiące tysięcy i ogromna większość jałmużn na rzecz misyi w tej właśnie, a nie w innej formie dawaną bywa? Wielu jest takich, co ani wie, ani pyta; ciekawsi dowiadują się, że uboga służebnica z Lyonu tę myśl podała, ale czy rzeczywiście ona była służebnicą i jaką, jak się nazywała, o tem dotychczas nikt nie wiedział.

W r. 1818, młoda, świętobliwa panienka dała pierwszą myśl stowarzyszenia „Rozkrzewiania wiary“; przez czterdzieści lat głucho było o tych początkach, dopiero niedawno wydana książka panny Maurin, odkrywa światu obszerne szczegóły o skromnym początku i pierwszych krokach tego olbrzymiego Stowarzyszenia. Szczegółów tych jednak o tyle w tej książce dotknięto, o ile wprost wiążą się z życiem założycielki; dalszych dziejów Stowarzyszenia trzeba śledzić w rocznikach¹: *Annales de la propagation de la Foi*, w dziele p. Maurin znajdziemy tylko ręką przyjaciółki, niemal siostry, skreślony żywot cichej, pokornej a wielkiej służebnicy bożej, Pauliny Jaricot.

Paulina była córką bogatego kupca z Lyonu, a należała do rodziny odznaczającej się tą prawdziwą, wysoką pobożnością, która zasad religijnych nie ogranicza do spełniania obowiązków nakazanych przez Kościół, ale się w każdym czynie życia codziennego przebija. Może najładniejsze kartki książki są te, które opisują stosunki rodzinne familii Jaricot: wychowanie gruntowne, jakie rodzice dzieciom dawali i błogie owoce starań i przykładów rodzicielskich. Paulina była najmłodszą z rodzeństwa; mimo wrodzonego popędu do pobożności i niewinności serca, do 17-go roku prowadziła życie dość światowe, lekkie i wesołe. Ładna a szczególnie ujmująca, wesoła, niepospolicie zdolna, a przytem bogata, nie dziw tedy, że

¹ Wychodzą one we wszystkich już niemal językach, w polskim zaś w Krakowie, staraniem *Misyj katolickich* (ulica Kopernika 26).

świat jej się uśmiechał i że młode dziewczę szło na lep tego uśmiechu. Dopiero usłyszane raz kazanie o zgubnych skutkach próżności otworzyło oczy Pauliny; łaska boża nagle jak grom uderzyła w młode serce i pokazała, dokąd byłaby śliską drogą zaszła, a czego po niej Bóg wymagał. Wierna temu wezwaniu pańskiemu, Paulina natychmiast ze światem zerwała, a nie czując powołania do klasztoru, pozostała w domu i osobę swą, czas i majątek poświęciła dobrym uczynom. Odtąd biedni, strapieni, chorzy, znaleźli w niej matkę; nie było w Lyonie rodzaju nędzy, którejby nie odkryła i w miarę możliwości jej nie zapobiegła. I poza miastem rodzinnem, w St. Valois, gdzie jej szwagier miał wielkie fabryki, wpływ jej się rozciągał; tam pomiędzy młodemi robotnicami rozpowszechniała cześć do Najśw. Serca i odwiedzanie Najśw. Sakramentu, zachęcając je przytem do życia bogobożnego i ścisłą określonego regułą.

To wszystko jednak szerokiemu sercu młodej dziewczycy nie wystarczało; oko jej w najdalsze strony sięgało, a tam, gdzie nie mogła osobistą pracą Bogu i bliźniemu się zasłużyć, częste słała dary. Szczególną ukochała miłością dusze tych biednych, zdziczałych pokoleń, do których światło wiary jeszcze nie dotarło; misyonarzy opatrywała hojnemi datkami, a gdy brat jej, kapłan osiadły w Paryżu, coraz częstsze dawał jej o wyprawach misyjnych szczegóły i coraz większych na te cele domagał się jałmużn, świętobliwa dziewczica nie mogąc już sama pragnieniom serca zadosyćuczynić, poczęła przemysliwać i u stóp ołtarzy prosić o natchnienie, jakimby sposobem tak uregulować składki, aby nikomu nadto nie ciążyły, a mogły objąć szerokie warstwy społeczne. Pewnego wieczora, gdy tak zamyślona w pośród bawiącej się rodziny siedziała, wpadła na myśl podzielenia osób dających jałmużny misyjne na gromadki, licząc po dziesięć osób, z którychby każda dawała po jednym *sous* (2 centy) tygodniowo; każda dziesiątka miałaby przewodniczącego, a dziesięć dziesiątek należałyby do setnika. Ten rozdział składek nie obciążałby zbyt znacznie nikogo, a prosty i wyraźnie określony, łatwoby się przyjął wśród wiernych wszystkich krajów¹. Z obawy,

¹ Z tych składek dwucentowych i przez te dziesiątki stworzonych utrzymuje się dzisiaj przeszło 300 biskupów, 20.000 misyonarzy, nadto tysiące

aby tej myśli, którą uważała za natchnienie, nie stracić z pamięci, spisała natychmiast plan powyższy, a gdy nazajutrz udzieliła go spowiednikowi, ten zawołał: „To być nie może, aby ta myśl od ciebie samej pochodziła“, i zachęcił ją gorąco do skorzystania z tak szczęśliwego natchnienia. Przez cztery lata Paulina zbierała w ten sposób składki na misye zagraniczne i oddawała je w ręce proboszcza, który się był podjął urzędu kasyera. Niemal od pierwszej chwili powstały krzyki i nieukontentowania: wołano, że to herezya zaprowadzać podobne innowacye, bez przyzwolenia władzy duchownej. Paulina natychmiast postarała się o potwierdzenie biskupie, ale i to nie wszystkich uspokoiło. Zapukała tedy aż do Rzymu. Ówczesny Namiestnik Chrystusowy, Pius VII, zapoznawszy się z planem Rozkrzewienia wiary, pochwalił i potwierdził go w zupełności. Po wyroku najwyższej głowy Kościoła, nie śmiano już wprowadzić krytykować dzieła, ale dziwiono się i niemal gorszono, z kąd ta śmiałość a prawie zuchwalstwo młodej dziewczycy, by się w takie rzeczy wtrącać miała; i na to Paulina znalazła odpowiedź, bo ugruntowawszy ukochane dzieło, opatrzywszy je w rzymską aprobatę, w światłych kierowników i rozpowszechniwszy je wszędzie, gdzie tylko jej wpływy sięgały, powoli i nieznacznie usunęła się zupełnie od kierownictwa, i od tej pory, przez lat czterdzieści, tak zupełnie zamilkła o udziale jaki w założeniu Stowarzyszenia miała, że i ludzie o nim zapomnieli, a wkrótce i wręcz mu zaprzeczyli. Później daleko, przy końcu długiego i ciężkiego żywota, z rozkazu przełożonych duchownych, upomniła się o tytuł założycielki; tylko posłuszeństwo i zamiłowanie prawdy podtrzymało ją w tym kroku, tak wstrętnym jej pokorze.

Niemal w tym samym czasie, gdy jedną ręką Paulina nizała tę sieć przeznaczoną na połów dusz, drugą kula inną broń, mającą walczyć potężnie z szatanem i zarazem kołatać do wrót niebios o miłosierdzie boże. W r. 1825, gdy Ojciec św. w encyklice, wydanej z okazji wielkiego jubileuszu, z rozdartem sercem ostrzegał wiernych przed niebezpieczeństwami grozącymi światu, pobożna

szkół, szpitali, kościołów, a nieraz — jak i w obecnej chwili, wiele tysięcy chrześcijan prześladowanych ratuje się od śmierci głodowej. Stowarzyszenie to ma swoje własne pismo *Roczniki rozkrzewiania wiary*, wychodzące co 2 miesiące (z ilustracyami) i dawane bezpłatnie każdej dziesiątce członków.

dziewica u stóp ołtarzy poczęła znowu błagać Boga o nową pomoc i światło — i wtedy natchnął ją Bóg myślą drugiego przedsięwzięcia, niemniej wielkiego jak Stowarzyszenie rozkrzewiania wiary. — Myśl założenia Różańca żywego. Pan Bóg nie tylko ofiary, ale i modlitwy od sług swoich żąda — a dzieła Boże w świecie nie tylko materyalnemi, ale i duchownemi środkami stoją. Dlatego Różaniec żywy jest prawdziwym, jakby dopełnieniem instytucyi Rozkrzewiania wiary w szerzeniu Królestwa Bożego. A jednej pokornej duszy było danem oba te wspaniałe dzieła zainicjować.

W pomysłe Różańca żywego znać tego samego ducha, co w ustanowieniu Rozkrzewiania. Jak tam, tak i tu, mała cząstka obowiązku włożona na jednostkę, — by obowiązek nie ciążył — ale jednostki skupione w solidarne grupy, by *viribus unitis* wielkiego dzieła dokonać. Różaniec, to zawsze najmielsza, najprzystępniejsza dla wszystkich, prawdziwie z nieba dana modlitwa — ale, dla dzieci XIX-go wieku, często niestety za długa: Niechże sobie nawzajem się obdzielają między sobą — niech 15 członków, odmawiając każdy jedną z tajemnic, ofiarują Bogu łącznie cały różaniec, związany żywym sznurem ich pobożnej zмовы — podobnie jak 10 członków „Rozkrzewienia“, ofiaruje solidarnie swą jałmużnę misjonarzom. Z dziwną szybkością rozeszła się ta nowa forma nabożeństwa po świecie: zaledwie pierwsze róże utworzone zostały w Lyonie i najbliższych okolicach, przeważnie w pośród ubogiej ludności wyrobniczej, a już, za lat niemal za miesięcy parę, z Włoch, Szwajcaryi, Anglii, z Konstantynopola i Smyrny, wreszcie z Ameryki, przychodziły wieści o tworzeniu się nowych assocjacyj. Wiatr przeciwności i prześladowań znowu przeciwko założycielce powstał; nie wdając się w opis licznych przykrości, jakie to nowe dzieło na nią ściągnęło, powiemy tylko, aby dać miarę zawziętości nieprzyjaciół panny Jaricot, że pierwsze breve papieskie, potwierdzające żywy różaniec, zostało w drodze schwytane i zniszczone. Drugie i trzecie breve, wydane w tym samym roku 1832, lepiej już było strzeżone, a potwierdzało w zupełności Nabożeństwo Żywego Różańca; Kardynał Lambruschini został mianowany jego protektorem, i do końca życia był najżyczliwszym opiekunem Pauliny.

Zdawałoby się, że założenie i pokierowanie dwóch dzieł tak pięknych i tak rozległych mogłoby wystarczyć na zapelnienie

jednego życia; Paulina jednak w swej gorliwości prawdziwie apostołskiej nie ustawała, a myślą i sercem obejmowała coraz to inne potrzeby Kościoła i wiernych. Będąc w Lyonie świadkiem a także i ofiarą trzech srogich zaburzeń ulicznych, graniczących z rewolucją, przekonała się, że brak zasad i praktyki chrześcijańskiej w klasach robotniczych jest główną przyczyną tego niezadowolenia mas i groźnych wybuchów. Wpływ zbawienny a bezpośredni na te klasy zdawał się jej jedynym środkiem utrzymania równowagi społecznej i zażegnania wzrastających namiętności; nie marzyła nawet o wpływie osobistym na niższe klasy całej Francji, ale zdawało jej się i słuszenie, że jedno ognisko cnoty i dobrego przykładu, jużby wielkie przyniosło korzyści. W tym celu, posłyszawszy o kuźniach będących na sprzedaż, urządzonych na obszerną skalę, a leżących w bardzo korzystnem położeniu, postanowiła je nabyć i tam urządzić stowarzyszenie chrześcijańskich robotników, poddanych pewnym przepisom i obowiązkom. Niechcąc, a z pewnych względów i niemogąc, sama prowadzić rokowań o ten nabytek, powierzyła urządzenie tych interesów człowiekowi, o którym dawano jej jaknajpochlebniejsze świadectwa. Niestety! Pan Bóg pozwolił, że tej duszy o gołębiej prostocie, zabrakło przezorności węża: człowiek, w którym położyła tak wielkie zaufanie, zawiódł ją: cały jej majątek na własne obrócił cele, a co więcej, w tę samą otchłań rzucił liczne pożyczki, jakie Paulina, ludzona nadzieją obiecywanych zysków, porobiła. W przeciągu kilku miesięcy, nie tylko, że z dużego majątku nic jej nie zostało, ale liczne długi, których nie była w stanie spłacić, zaciężyły na niej.

W świecie często nieszczęście pociąga za sobą zapomnienie i opuszczenie; Paulina w młodości nęcąca wdziękiem, stanowiskiem, bogactwem, potem wzbudzająca podziw i uwielbienie życiem bohaterско oddanem na usługi bliźniego, na starość ujrzała się samotną, niemal w nędzy, zapoznaną przez ludzi zacnych, odtrąconą przez bogatych i szczęśliwych. Ostatnie dwadzieścia lat jej życia są już tylko pasmem upokorzeń, strasznych fizycznych cierpień, a gorszych jeszcze moralnych udręczeń; z jałmużny utrzymywała siebie i kilka wiernych towarzyszek, z jałmużny pragnęła zebrać na tyle, aby wierzycieli zaspokoić; tego jednak nie dopięła i z tem bolesnem uczuciem, że ludziom, którzy jej zawierzyli, nie potrafi się wypłacić,

życie zakończyła. W tem jednak zastąpiły ją towarzyszki, którym przekazała pamięć cnót i heroicznych przykładów. Wielkie i płodne dzieła, którym dała początek (a wspomnieliśmy tylko o najważniejszych), trwają i rozwijają się wspaniale, świadcząc, że Bóg pobłogosławił jej pracy, a krzyże, jakimi ją przez całe życie nawiedzał, dowodzą, że miał szczególne w światłości swej służebnicy upodobanie: bo „ćwicz tych, których miłuje“.

Książka panny Maurin krytyki literackiej nie zadowolni, bo jest rozwlekłą i przeciążoną szczegółami, ale dusze proste, które pragną wiedzieć, jak w ukrytem nawet życiu można Bogu i ludzkości służyć, znajdują w tem czytaniu nie jedną naukę i pociechę.

D. M.

Z kraju Słowienców.

Zabobony. — Zwyczaje weselne — pogrzebowe. — Rozwój kultury. — Uprawa roli, przemysłu i handlu. — Przewódcy duchowi. — Ruch literacki. — Maticy działalność. — Towarzystwo dramatyczne. — Wzrost żywiołu narodowego. — Pragnienie założenia uniwersytetu. — Biblioteki.

Jak święta z pewnemi obrzędami towarzyszą słowiencowi przez cały rok, tak różne zwyczaje związane z nim przez cały żywot. Nowonarodzone dziecko niesie się wnet do chrztu a, dopóki nie ochrzczone, nie da mu matka pokarmu. A czasem jeszcze kumowie, wracając z kościoła, posiedzą sobie dłuższy czas w karczmie, a małe biedactwo musi głodować. Nie wolno także nikomu obcemu na małe dzieciątko spoglądać, żeby nie dostało „uroku“. Dla tej samej przyczyny i sam gospodarz nie może wieczór wejść do izby, gdzie jest dziecko. Musi coś na dworze zostawić np. kapełusz, z którym i nocny niepokój zostanie na dworze. Matka przed sześciu miesiącami nie może dziecka wziąć ze sobą do łóżka, bo nad takimi dziećmi ma jeszcze niejaką władzę wałęsający się w postaci matki duch-dzieciomór, zwany „skopjenk“. Onto stara się wszelkimi sposobami udusić dziecko z matką śpiące. Jeżeli się gdzie przyjdzie, trzeba koniecznie posiedzieć, żeby domownikom snu nie zakłócić, tem bardziej też trzeba na to uważać tam, gdzie są małe

dzieci. Po narodzeniu dziecka matka nie może się nigdzie pokazywać, dopóki nie była w kościele na „vpeljevanje“. Weselne zwyczaje w różnych stronach są różne, lecz opis ich zająłby więcej miejsca, dlatego się z nimi załatwię krótko. Gdy się już rodzice przedtem porozumieli cokolwiek między sobą, schodzą się do domu narzeczonej „na ogledo“ i naradzają się, co dalej począć. Obie strony spraszają potem swych krewnych i znajomych na wesele, które według okoliczności trwa kilka dni. Weselnicy ubierają się pięknie, stroją w bukiety i wstążki i bawią się jak tylko umieją, a przede wszystkim tańcem i śpiewaniem przygodnych pieśni. O rozwesele nie i zabawę muszą się przedewszystkiem starać muzykanci, którzy i pana młodego prowadzą do domu panny młodej, żeby ją wziąć ze sobą. Ale drzwi zastają zamknięte: ani żywej duszy w domu. Dopiero po długiem pukaniu do drzwi zjawia się jakaś staruszka. Panna zaś młoda gdzieś w kącie płacze, żegnając się z domownikami. I długo musi pan młody prosić i badać, która ze zjawiających się kobiet jest panną młodą, bo dowcipny gospodarz nie myśli się pokazać weselnikom, dopóki panna młoda nie pokaże się sama swemu małżonkowi. Po drodze strzela się wiele a i muzykanci nie żałują instrumentów, żeby całe towarzystwo w dobrem było usposobieniu i wesołego serca. Młodej parze składają się ze wszech stron życzenia na drogę żywota, boć to związek mający trwać do śmierci, wśród szczęścia lub niedoli, jak Bóg „potoczy“.

Umarłego obmywa się, ubiera w odpowiednie szaty i składa się „na pare“ (katafalk, na którym się znajdują dwie świece, czarka ze święconą wodą i gałązka rozmarynu). Przychodzący kropią nieboszczyka i modlą się o spokój jego duszy. Zwyczajnie zbierają się wieczór sąsiedzi w znacznej liczbie, modlą się i śpiewają odpowiednie pieśni, a domownicy podają im chleb i napój. Wybiera się też dla umarłego „opiekuna“, żeby dopilnował świec i żeby ci, którzy chcą jeszcze go odwiedzić, mogli to uczynić. Opiekun ten musi być zpod innej strzechy. Gdy się trumę z umarłym wynosi przeze drzwi, uderza się trzy razy w próg, na znak, że mu wszyscy życzą, aby nie wracał ze świata, do którego się przeniósł i nie naruszał nocnego pokoju. Mniemają bowiem w istocie, że po nocach słyszy się jęki, stukotanie, pochodzące od duchów umarłych. Godzinę między jedenastą a dwunastą uważa się za przeznaczoną na

takie nadzwyczajne zdarzenia i nikt też, kto tylko może, nie opuszcza w tej godzinie strzechy. Domy Słowieńców zwłaszcza w alpejskich stronach są z drzewa, małe, jednopiętrowe albo też parterowe, składające się z dwu izb: pokoika i kuchni. Piwnice są pod izbami, a chowa się tam rzepę, marchew, kapustę, jablecznik i t. d., zboże zaś trzyma się zwykle na strychu. Domy nowe są już murowane, przedewszystkiem w urodzajnych, winnicowych stronach dolnej Styryi, Krainy i Pomorza. Właściciel domu i gospodarstwa ma zwykle najętą czeladź, a czasem bierze pod strzechę komorników, „gostaćcami“ zwanych, którzy zaopatrują się sami w żywność i pomagają przy pracy. Czeladź najmuje się zwykle na cały rok, a mianowicie za cenę 25—50—75 złr., stosownie do posługi i zwinności w pracy.

Położenie krain słowieńskich, bogactwo ich i stosunki klimatyczne, wabiły dawno cudzoziemców, którzy tu chętnie się osiedlali i przyczynili się do wynarodowienia Słowieńców. Rozpoczęło się to już za czasów wojen i walk z Turkami. A walki te, podniesione po dawniejszych napadach madziarskich, były prowadzone z całą okropnością i srogością prawie 300 lat (od r. 1396 począwszy). Któż się zdziwi, że lud nasz trzymając w jednej ręce miecz, a w drugiej pług, nie mógł myśleć o piśmiennictwie, szlachta nasza dla bezpieczeństwa budowała sobie zamki i twierdze po wysokich skalach i niedostępnych miejscach i tam się w razie napadu broniła, ale biedny lud był na łasce i niełasce wrogów, którzy drewniane jego chaty obracali w zgliszcza i mienie rabowali. Rozwijał się i kwitł wtedy Zachód — bo sąsiad Słowieniec stał na straży jego bezpieczeństwa. O ile tedy naród nasz podniósł się już na pewien stopień kultury, nastąpiło to w ostatnich stuleciach, a zwłaszcza po walkach rakusko-francuskich, odkąd naród nasz mógł się już spokojniej rozwijać. Słowienicy mieszkają rozdrobnieni w sześciu ziemiach: w Karyntyi (około 113.000 dusz), w Styryi (około 432.000) w Krainie (około 420.000), na Pomorzu (około 235.225), na Węgrzech (przeszło 60.000) a w „Benatczańskim“ (tak zwani „Rezjanie“ koło 26.000). Rozumie się, że to rozdrobnienie nie mogło się przyczynić do rozwoju narodu, ani pod względem politycznym, skoro reprezentanci nasi musieli zawsze być w mniejszości, ani też pod względem ekonomicznym. Założył np. arcyksiążę Jan Towarzystwo

rolnicze dla Styryi w Gracu, które miało rozciągnąć swą działalność i na południową część Styryi, zamieszkałą głównie przez Słowieńców: wydaje ono nawet osobne pismo, ale cóż z tego, kiedy w języku obcym — niemieckim, nie ma też lud nasz z tego żadnego pożytku. To samo znaczenie dla Słowieńców mają i inne instytucye, zmierzające do podniesienia gospodarstwa krajowego. C. k. winiarska szkoła np. w Maryborzu, albo Towarzystwo handlu materiałem leśnym w całej dolinie nad Drawą w Celowcu, a częścią także ogrodnicze kółka jak maryborskie i świętojurskie przynoszą korzyści, ale głównie Niemcom. Jedynie Towarzystwo rolnicze krainiskie, spojone ze szkołą weterynarską i kowalską, założone przez „ojca Słowieńców“ Jana Bleiweisa, mające za swój organ czasopismo *Nowice* a częścią także Towarzystwo goryckie, wydające *Gospodarski list*, zaczęło znaczny wpływ wywierać na lud Słowieński, ale wpływ ten nie mógł jednakże rozszerzyć się po wszystkich krainach, gdzie lud nasz przebywa. Towarzystwo krainiskie wydało nawet kilka dzieł w języku słowieńskim, które stały się skarbem całego narodu, jak: *Dzieje powszechne*, *Chemie rolniczą*, *Naukę o gospodarstwie obornem*, *Pouczanie o rozumnem chowie bydła* i t. d. Dzieła te zbogaciły malutkie nasze piśmiennictwo, które na podłę dzieła nie mogłyby znaleźć nakładców. To rozdrobnienie naszego narodu stoi na zawadzie wszelkim naszym przedsięwzięciom, to też zaraz po obudzeniu się naszego życia narodowego powstała myśl zjednoczenia wszystkich ziem w jedną całość administracyjną, ale też przeciw tej myśli wystąpili nasi wrogowie. W dobie naszego duchowego przebudzenia od r. 1860—70 zbierał się lud na wiece po 6.000 do 20.000 dusz, na nich między innemi życzeniami wypowiadał i to, żeby starać się u ministerstwa o zjednoczenie. Ale styryjscy i inni cudzoziemcy po miastach i miasteczkach sprzeciwiali się temu, twierdząc, że dawnych granic nie można naruszać, że zwłaszcza Styrya, pod każdym względem bogatsza, nie ma przyczyny łączyć się z innemi krainami i spłacać ich długów. A opór ten, postawiony ze strony wpływowej i wszędzie przeważającej, sprawił, że się o owej myśli zjednoczenia, jako o czemś niedościgłym, zapomniało ku wielkiej szkodzi naszego narodu.

Drugim życzeniem Słowieńców, które wypowiedziano na owych wiecach, dotyczyło wskrzeszenia narodowego uniwersytetu w Lubla-

nie. Boć prawie 1.400 uczniów wysyłano do szkół wyższych, a ci uczniowie z braku funduszków dostatecznych nie tak łatwo mogą odbywać studia w Gracu lub Wiedniu, a zresztą oderwani od ojczyzny cudzoziemczą i marniej dla kraju. Jednakże znaleźli się ludzie, a nawet wśród samego narodu, którzy twierdzili, że do takiej instytucji jeszcze nasz naród nie dorósł, że nie ma po temu ani książek, ani profesorów. A wiadomo przecież, że słowieńscy profesorowie zasiadają na katedrach obcych uniwersytetów. Kiedy i to życzenie nie miało się spełnić, pojawiło się inne — założenie akademii w Lublanie; ale i to do skutku nie przyszło. Mają Słowienicy obecnie ośm wyższych gimnazyów, a mianowicie: w Celowcu, Marytorzu, Celei, Lublanie, Gorycyi, Tryeście (2) i Capo d' Istria; cztery realne gimnazya: w Bielsku (Vilach), Ptui (Pettau), Krani (Krainburg), Nowem mieście (Rudolfswerth) — wreszcie 7 szkół realnych: w Celowcu, Maryborzu, Lublanie, Gorycyi, Tryeście (2), i Peranie (Pirano). Z pomiędzy szkół wyższych jest teologia w Maryborzu, Celowcu, Lublanie i Gorycyi, gdzie się przygotowuje około 200 kleryków do stanu kapłańskiego dla ziem słowieńskich, a w duchowieństwie znajduje narodowość nasza najwięcej podpory. Seminaria nauczycielskie, które mamy w Maryborzu, Celowcu, Lublanie i Gorycyi, wychowują około 150 nauczycieli (przeważnie nauczycielek), ale są tak urządzone, że każda siła nauczycielska wprawdzie wyrzeczce się swej narodowości, za nim próg szkolny przestąpi, i z tej to przyczyny tak mało mamy nauczycieli czynnych w literaturze. A jeszcze ten mały zastęp zaczął wydawać trzy czasopisma, z których ani jedno nie ma dość siły i gruntu.

W tym względzie daleko więcej karności między duchowieństwem, którego organem jest *Duchowny pasterz*, pismo wychodzące co miesiąc zeszytami i w całym słowa znaczeniu wyborne, a tego nie można powiedzieć o nauczycielskich wydawnictwach.

Z pomiędzy instytucji, zmierzających do podniesienia oświaty, wspomnę o bibliotekach. Prócz publicznych, w Celowcu, Lublanie, Gorycyi i Tryeście, są jeszcze mniejsze biblioteki przy każdym gimnazjum i każdej szkole realnej, a również pojawiły się usiłowania w celu zakładania bibliotek przy szkołach ludowych, ale dla braku książek słowieńskich dla młodzieży i z powodu tej pieczołowitości okęgów szkolnych, żeby dzieci nasze kształciły się na Hoffmannach, Schmid-

tach, Hornach i t. d. w niemieckim języku, nie mogą te usiłowania mieć na razie pożądanego skutku. Godne jednakże wzmianki są dzieła, które wydał w zbiorze: „Knižnica za slov. mladino“, redaktor „Vrtca“, a mianowicie dotąd trzy tomiki: „Dragoljubci“ (drobne powiastki), „Piotr Rzemieślnik“, „Dobry Antoś i zły Dytrych“, — lecz wydawnictwo to upadło. Więcej dziełek tego rodzaju dla młodzieży wydał J. Krajec w Nowem mieście (dzieła K. Szmida), J. Giontini i F. Bamberg — Kleinmayer (w Lublanie), W. Blanke (w Ptui). Ale nikt nie wydał dostatecznej liczby książek tak, żeby przyjaciele młodzieży mieli w czym wybierać, chcąc obdarzyć przy końcu roku dzieci szkół ludowych, a jest tych dzieci około 87.810 w 640 szkołach. W ogóle trzeba powiedzieć, że dla rozdrobnienia składów księgarskich, które w dodatku są zwykle w rękach cudzoziemców, piśmiennictwo nasze kuleje i nie może się wydźwignąć na ten stopień wysokości, na którym radziłyby je widzieć wszyscy szlachetni patryocy.

Najważniejsze towarzystwa wydawnicze, oprócz już opisanego „Towarzystwa św. Mohora“ w Celowcu, są jeszcze: „Matica“ słowiańska i „Towarzystwo dramatyczne“, obie instytucje w Lublanie. „Matica“, — założona głównie za staraniem pierwszego jej prezesa zmarłego już L. Tomana r. 1866, w celu popierania wydawnictwa książek beletrystycznych i naukowych zwłaszcza szkolnych (z roczną wkładką 2 zlr.), — od początku przez dziesięć lat bardzo pomyślnie się rozwijała, choć nie miewała więcej członków nad 2000 (z tych 438 członków założycieli z wkładką 50 zlr. od osoby), wydała jednak dotąd wiele dzieł, których nie mógłby nikt wydać o własnych siłach. Już w pierwszym roku wyszły „Dzieje narodu słowieńskiego“ Irdina, opisy księstwa kraińskiego i karyneckiego (przekłady z jęz. czeskiego). Rozpoczęła potem wydawać „Roczniki“ (podobne do tych, jakie wydaje Towarzystwo naukowe poznańskie), w połączeniu z kalendarzem, gdzie się pojawiała wiele dobrych artykułów treści naukowej i beletrystycznej, jak np. powieści „Taras Bulba“, „Paweł i Wirginia“, „Michał Czarnisz“, „Mahomet“ i powiastki, jak: „Termolana“, „Rachela“, „Spór Iwana Iwanowicza z Nikiforem Nikiforowiczem“ i t. d. Od r. 1876 począł „Rocznik“ (*Letopis*) zamieszczać tylko naukowe rozprawy, między którymi zasługują na wzmiankę opisy zwyczajów i obyczajów słowieńskich przez Fr. Hu-

bada, życiorysy znakomitych Słowieńców, ulamki z dziejów słowieńskich, bibliografią słowieńską, podawaną corocznie przez Jana Tomašiča. Obok „Rocznika“ wydała Matica z biegiem czasu Gramatykę czeską i chorwacką (obie przez J. Marna), kilka dzieł z zakresu historii naturalnej i geografii, jak 2 tomiki opisu słowieńskiej Styryi, przekłady Schödlerowych ksiąg przyrody (4 tomiki), wreszcie zbiór utworów V. Vodnika, „Atlas“ J. Koseskego zawierający 18 kart, jeden tom zamieszczonego opisu słowiańskich narodów pod tytułem: „Slovanstvo“, życiorysy Miklošica, Kopitara, Bleiweisa — pamiątkową książkę o przejściu Krainy pod panowanie Habsburgów, „Čotice iz duševnega življ. štajarskih Slov.“ przez dra J. Pajeka, „Notatki myšliva“ Turgeniewa i kilka mniejszych publikacyj. Wspaniały był zwłaszcza „Spomenik“, owa pamiątkowa książka o połączeniu Krainy z monarchią rakuską in 4^o, nad którą wielu uczonych pracowało, wydana ku uczczeniu 600-letniej rocznicy panowania Habsburgów, a przeznaczona jako dar dla monarchy, zwiedzającego podówczas (1883) słowieńskie kraje. Lecz starannością odznaczają się wszystkie wydawnictwa „Maticy“, przykro tylko wspomnieć, że liczba członków w ostatnich latach coraz bardziej się zmniejszała. „Matica“ ma już własny dom i zostaje w związku z 20 słowiańskimi Towarzystwami, ma również piękną bibliotekę, której jednak do tej pory nie oddano na użytek publiczny. Prezesem „Maticy“ jest obecnie p. J. Graselli, a oplakuje ona stratę już wielu, z pomiędzy których dość wspomnieć trzech najznakomitszych: dra L. Tomana, dra E. H. Costa i Bleiweisa.

Dramatyczne Towarzystwo, któremu chodzi przedewszystkiem o pielęgnowanie sztuki dramatycznej, mającej do teatru lublańskiego niejaki przystęp, zaczęło wydawać utwory dramatyczne w zbiorze: „Slovinska Talija“ i dotąd wyszło już 54 tomików, ale mało utworów oryginalnych. Skutek tego wysiłku z początku a mianowicie w latach 1870—80 nie był wielki, zwłaszcza, że w lublańskim krajowym teatrze, ustępowano miejsca dla słowieńszczyzny tylko z łaski. Większy rozwój sztuki dramatycznej mógłby nastąpić dopiero wtedy, gdyby stanął osobny dom narodowy na ten cel zbudowany, ale dla zmienności czasów węgielny kamień pod ten dom nie tak wnet będzie położony. Towarzystwo dramatyczne ma około 380 członków, podobnie Towarzystwo muzyczne w Lublanie „Glas-

beno Matica“ ma tylko 120 członków, a jego organem jest „Cerkvenni glasbenik“, dostarczający dosyć artykułów o muzyce kościelnej. Towarzystwo gimnastyczne „Sokol“ ma wielu członków w Lublanie, Krani (Krainburg) i Mozirze (w Styrii), a jeszcze więcej Towarzystwa śpiewackie w Lublanie, Celei, Tryeście, Ptui i t. d. gdzie także znajdują się i czytelnice (czitalnice).

Jak już na początku wspomniałem, mieszkają Słowienicy w 6 ziemiach, a uważają Lublanę za swój środkowy punkt i metropolią. Administracyjną władzę ma tam namiestnik, prawa zaś wydaje sejm krajowy, w którym zasiada 36 posłów, są to zaś z mniejszych posiadłości przeważnie Słowienicy, większe zaś posiadłości i miasta wybierają po większej części Niemców. Jednakże wzmógł się tam żywioł narodowy o tyle, że prawa krajowe muszą być wydawane w narodowym języku, tj. w słowieńskim. Słowienicy w Gorycyi i w ogóle na Pomorzu podlegają namiestnictwu w Tryeście, mają zaś sejm krajowy jedni w Tryeście, drudzy w Gorycyi, tam jednak nie wielu zasiada posłów narodowości słowieńskiej i głosy ich nie mają tyle znaczenia i prawa co głosy posłów włoskich, to też wydają się w języku włoskim. Nie lepiej powodzi się Słowieńcom i w Styrii, gdzie do sejmu krajowego w Gracu z 63 posłów wybiera dolna Styrya tj. słowieńska 23 członków. Ale i tu tylko mniejsza posiadłość dostarcza posłów słowieńskich w liczbie 8, którzy, w obec przewagi posłów niemieckich, nie wiele mogą zdziałać dla narodowości słowieńskiej. Gorzej jeszcze wiedzie się Słowieńcom w Karyntyi i na Węgrzech, gdzie przy usilnej agitacyi udało się zaledwie dwu posłów wybrać do sejmu w Celowcu, na których cudzoziemscy posłowie nie zwracają żadnej uwagi. Gdyby Słowienicy nie mieli w Celowcu Towarzystwa św. Mohora (Hermagora), musiałaby tam nasza narodowość upaść. O położeniu Słowieńców w Istrii i Resyi nie ma co i mówić, a stąd łatwo pojąć, dla czego Słowienicy, chcąc zabezpieczyć swe prawa i narodowość, tyle się starali o połączenie ich w jedną administracyjną całość. Przemawiał zatem i jeden z naszych posłów w Radzie państwa, do której wysyłają Słowienicy koło 15 członków. Ci weszli w ścisły związek z braćmi Dalmatyńcami, Czechami i Polakami i tworzą razem z konserwatywnymi Niemcami prawicę, która o ile można przyczyniła się do umniejszenia niedoli poddanych austriackich. Jak już powiedziałem, do

zjednoczenia Słowienców jeszcze nie przyszło, jakkolwiek słowiańscy sprzymierzeńcy obiecali wspierać nas w tym względzie.

Jak tego już warunki krain zamieszkałych przez Słowienców wymagają, oddają się oni głównie uprawie roli. Kraina ma tylko 4·9% nieuprawnej gleby, słowieńska Styrya 3·5%, a Gorycja 8%. W Krainie jest 229.623 mórg pola, 223.090 mórg łąk, 226.595 mórg pastwisk (na to 41.606 mórg w Alpach), 16.764 mórg winogrodów i 705.144 mórg lasów. W słowieńskiej Styryi mamy 199.541 mórg pól, 132.462 mórg łąk, 123.071 mórg pastwisk, 38.186 mórg winnic i podostatkiem lasów. W ogóle zajmuje się uprawą roli 48·6% ludności, reszta chowem bydła, albo się oddaje przemysłowi, jak leśnictwu, górnictwu i rzemiosłom, nie wielki tylko poczet zajmuje się handlem i t. p. Wykopuje się żywe srebro w Idryi około 5600 do 6000 cetn. w roku, żelazo w Krainie (102.000 c.) a nie mniej i w słowieńskiej Styryi, gdzie wydobywa się corocznie wielką ilość węgla kamiennego (około 5½ miliona cetn.). W Karyntyi w Ilberku (Bleiburg) znajduje się dość ołowiu, również cynku i żelaza. Jest tu czarny i biały marmur, kamień do szkła i na oselki i wapno w znacznej ilości w górach. Mamy także znamięte źródła wód mineralnych, jak w Radgoni (Radkorsburg), Slatinie (Neuhaus), Krapinie i Żelaznej Kapli (Eisen-Kappel), i glinę porcelanową w Gróźach w Styryi i t. d. Rzemiosłem i przemysłem zajmuje się w Krainie prawie 6·34% ludności, w słowieńskiej Styryi 2½% (co nader mało), w Karyntyi tylko 4%, a nie o wiele mniej w innych ziemiach i na Przymorzu, gdzie Słowienicy, mieszkający nad morzem, zajmują się i rybołówstwem. Z bliskości morza nie bardzo wiele ciągną pożytków, bo nie ma tam statków, któreby były własnością czy to jakiegoś towarzystwa słowieńskiego, czy to poszczególnych osób. Nie zwrócono też dotąd ku morzu z pomocą kolei handlu słowieńskiego, czy to rozmaitem zbożem, czy owocami, jak orzechami, śliwkami. Tylko zboże dowozi się do Tryestu z Krainy, zwłaszcza z miasta Rybnicy, nieco owoców i jedwabnych kokonów. Najżywszy handel w tej stronie prowadzi się bydłem, końmi, owcami i grubą wełną, również nasienie koniczyzny, żywe srebro idą z Krainy w dalekie strony.

W Styryi zaś najważniejszymi artykułami handlu jest drzewo, żelazo, glina porcelanowa i szkło. Jest tu 11 szklarń, a wyroby ich

idą do Recki i Włoch. Drzewem wszelkiego rodzaju handluje każdy właściciel lasu, dostaje się ono rzeką Sawą i Drawą do Chorwacyi, a dalej na Balkan, do Węgier i Mołdawii, skąd znowu przychodzi zboże, kukurudza, kasza jagłana, wino, a w ostatnim czasie i nierogaczyna, której wielka ilość sprzedaje się corocznie po górzystych krainach; również słonina, ser i naczynia, jak beczki, dostarczane razem z winem do alpejskich krain: do południowej Styryi i Karyntyi, gdzie znów mają wiele bydła pięknej rasy, poszukiwanego zwłaszcza przez kupców niemieckich. Również gospodarstwo pszczelne ma znaczny odbyt, ponieważ dbają o pszczelnictwo i nie dają mu upaść, choć w ostatnich czasach nie bardzo sprzyjały temu okoliczności, dla niedostatku miodu na kwiatkach i niezbyt przychylnej pogody. Coraz więcej uwagi zwraca się i na ogrodnictwo, to też co rok wzrasta odbyt owoców do Chorwacyi i do Węgier, a stąd bez wielkich trudów wpływa немало grosza do kieszeni. Również moszcz w tym roku łatwy ma odbyt, gdyż winnice uszkodzone nie są tak obfite jak dawniej.

Położenie krain słowieńskich szczęśliwe jest w tym względzie, że łatwa komunikacya na dół z powodu rzek spławnych, a do góry z powodu dróg zupełnie dobrych i bezpiecznych, do których należy zaliczyć i koleje żelazne. Te o tyle są szkodliwe, że przy nich urzęduje mnóstwo cudzoziemców zagorzałych, którzy widząc, że i w innych urzędach (prócz duchownych) uprzywilejowany tylko język niemiecki, nie chce ani słyszeć o słowieńskim. Kto się naszym stosunkom bezstronnie przypatrzy, ten przyzna, że na naszą szkodę działa nie tylko nasza niewielka liczba, ale i nieprzyjaźń sroga cudzoziemców i nasze rozdrobnienie. Do handlu, kramarstwa, przekupnictwa i t. p. naród nasz mało ma skłonności, to też cudzoziemcy nie omieszkali wyzyskać tego na swoją korzyść. Na jarmarkach główną rolę odgrywają koloniści niemieccy. Koczewarzy (z powiatu Koczwie w Krainie), roznoszą rozmaite owoce południowe, jak figi, cytryny, pomarańcze i t. d. Szkło roznoszą między Słowienkami najwięcej Rezyanie, do budowania domów drewnianych i murowanych przychodzą Turlanie i inni poddani włoskiego państwa; rozwożeniem garnków i naczyń blaszanych trudnią się Słowienicy z Węgier, tak zwani Prekmurcy (z tamtej strony Mury), i Słowacy; do młócenia zboża przychodzili jeszcze do niedawna

Chorwaci, dopóki nie mieliśmy do tego potrzebnych narzędzi. Natomiast wyprawiało się wielu Słowieńców mianowicie z Krainy do Chorwacyi, zwłaszcza przeszłej jesieni udało się wielu ludzi z Lublany w drogę za chlebem do dalekiej Sławonii i Bośni, nawet do Ameryki wywędrowała znaczna liczba.

Po ś. p. Bleiweisie nie ma między przywódcami i reprezentantami słowieńskimi godnego następcy, któryby jak on zyskał sobie sławę przez prawdziwe obywatelstwo, miłość gorącą dla kraju i poświęcenie się dla narodu. Największego rozgłosu nabył krański poseł do rady państwa Hohenwarth, również Gödel-Lanoy, Raič, Xosnjak, Klua, Nobergoj, Pfeifer i kilku innych. Żyje np. i działa niezmordowanie w Karyntyi starosta A. Einspieler, długoletni jedyny krajowy poseł karyntyjskich Słowieńców w Celowcu. Wielki szacunek zjednał sobie i był redaktor „Słowieńskiego gospodarza“ Dr. L. Gregorec, musiał jednak znosić tyle przykrości, że się wreszcie usunął z publicznego życia, pozostawiając pole do działania innym siłom, choć mniej zdolnym.

Listy z nad Bałtyku.

XII.

Sztuka nadbałtycka. — Cechy rzemieślnicze. — Towarzystwa gwardyj miejskich. — Główne epoki sztuki nadbałtyckiej i stopniowy jej upadek.

W dwóch ostatnich listach naszych nielicznym resztkom zabytków sztuki tutejszej z gotyckiego okresu, którego koniec przypadkowo schodzi się nad Bałtykiem z wielkimi zaszłemi tu zmianami zarówno politycznemi jako i religijnemi, poświęciliśmy więcej uwagi jak tego może wymagał nasz cel główny, którym było skreślenie krótkiego lecz wiernego i wielostronnego obrazu tych okolic kresowych.

Ale, o ile nam wiadomo, zabytki przeszłości tutejszej omawiane były dotąd tylko pojedynczo i to wyłącznie ze strony archeologicznej.

O sztuce nadbałtyckiej bodaj zgoła nie było mowy.

A jednak, jeśli nie mamy być ślepymi na piękności, zawarte w pomnikach tutejszej przeszłości a głuchymi na tyle autentycznych świadectw o istnieniu sztuki nad Bałtykiem, niepodobna nam będzie nie przyjść do przekonania, że kraje nadbałtyckie, niegdyś tak możne, zawdzięczały sławę niezwykłego bogactwa nie tylko temu, iż w całej pełni używały materyalnych bogactw, lecz i tej okoliczności, że się stale odznaczały zdolnością rozumienia idealnych celów sztuki, które pojmowały głęboko i z tego to właśnie powodu dla niej żadnej nie szczędziły ofiary.

A skoro daje się udowodnić, że sztuka w swych głównych przejawach — w malarstwie, rzeźbiarstwie i architekturze — była zupełnie swojską na wybrzeżach Bałtyku, będzie już co najmniej zbytecznem szukać dowodów na to, że przeniknęła tu ona w swoim czasie głęboko przemysł artystyczny, a więc rozmaite rzemiosła i kunszty.

Brak odpowiednich materyałów, który, jakeśmy wykazali powyżej, nakładał tu ciśniejsze szranki na działalność rzeźbiarzy i budowniczych, nie dotykał wszelako i w niczem nie krępował zakresu przemysłu i rzemiosł. Szlachetne i nieszlachetne metale, drzewo najrozmaitsze, szkło, glina i t. d. słowem każdy materyał rzemieślniczy albo istniał nad Bałtykiem, albo z łatwością dał się tam sprowadzić.

Z licznych ustaw cechowych czyli tak zwanych „szragów“ (*Schragen*), sięgających tu częstokroć XIV. wieku a przechowywanych starannie do dni naszych w „ladach“¹ pojedynczych cechów, widzimy najwyraźniej nie tylko jak bardzo poważne i trudne było niegdyś zadanie nadbałtyckich rękodzielników, ale że wszystkie ga-

¹ *Lada* jest to „skrzynia cechowa“, w której się przechowują „szragi“, przywileje, księgi rachunkowe, buławy cechowe, pieczęcie, puhary powitalne czyli tak zwane *Willkomm* i inne pamiątki oraz pieniądze cechowe. W czasie zebrania w gospodzie cechowej starszy czeladnik, pod którego kluczem znajduje się „lada“, wystawia ona, otwiera uroczyście, wyjmuje z wnętrza przywileje, szragi i rozkłada je na otwartej skrzyni, obok której stawia „Willkomm“ i inne pamiątki. Gdy „lada“ jest otwarta, zgromadzeni muszą mieć głowy odkryte i ani pić ani palić nie mają prawa. Katalogi wystaw historycznych, ryskiej z r. 1883 i kurlandzkiej z r. 1886, wyliczają na str. 228—234 i 94—98 kilkadziesiąt cechowych przywilejów, szragów i puharów. Z tych ostatnich niektóre owieszane 30—60 tarczami i monetami rzadkiej piękności.

łęzie przemysłu artystycznego, wszystkie bez wyjątku rzemiosła i kunszt miały swych przedstawicieli na tych oddalonych wybrzeżach.

Główną podstawą istnienia i rozwoju cechów zarówno nad Bałtykiem jak i w zachodniej Europie była obrona mieszczaństwa przeciw gwałtom feudalizmu. Z tych też względów w wiekach XIII., XIV., XV. cechy stanowiły zarazem rodzaj miejskiej milicyi i były niejako szkołą wojenną społeczności rzemieślniczej, która w Rydze i dotąd jeszcze tworzy tak zwaną kompanią gwardyi miejskiej *Compagnie der Rigaschen Stadtgarde*. Występuje ona w czasie większych uroczystości miejskich w charakterze straży honorowej, przybranej w nader wspaniałe mundury. Składają je hełmy, szarfy, epolety złociste; rzekłbyś, że to ubrania oficerskie nie zaś rzemieślnicze.

Jeśli niegdyś, jak powszechnie wiadomo, rycerstwo nadbałtyckie miało obowiązek bronięcia kraju przed najazdami i walczyło z wrogiem w otwartym polu, to mieszczaństwo ówczesne broniło tylko swoich siedzib, to jest miasta. W razie napadu wroga, cechy miały obowiązek bronić murów oddanych ich pieczy, a następnie kosztem swoim je naprawiać. Każdy towarzysz cechowy, zostający majstrem, był obowiązany dostarczyć do arsenału cechowego jakąś broń, jak kuszę, halabardy, oszczepy, muszkiety i t. p. Ażeby zaś cechowi umieli w razie potrzeby władać bronią, pozawiezywano w miastach nadbałtyckich bractwa pod nazwą „Towarzystw gwardyj miejskich“ *Companeyen der Stadtgarde*, znanych w zachodniej Polsce pod nazwą „Towarzystw kurkowych“, które dotąd jeszcze istnieją w Poznaniu, Lwowie i Krakowie, gdzie pierwotni mieszczaństwo w znacznej części byli Niemcami. To też księgi i rachunki miasta Krakowa aż do dnia 18 listopada 1312 roku prowadzone są w języku niemieckim; od wspomnianej daty Rodger, pisarz miejski, prowadzi je, nie po niemiecku jak dotąd, ale po łacinie¹.

Z czasem gdy cechy pozyskały charakter bardziej wojowniczy i tworzyły milicyą miejską, w miejsce „znaku cechowego“ wprowa-

¹ Porównaj: *Monumenta mediæ ævi historica res gestas Poloniae illustrantia*. (Cracoviae, 1878). Tomus IV. (continet libros antiquissimos civitatis Cracoviensis 1300—1400) pag. 28.

dzono chorągwie, które i do dni naszych w użyciu pozostały, lecz służą już tylko, jako oznaki stowarzyszeń rzemieślniczych. Wystawa historyczna ryska z roku 1883 zgromadziła ich kilkadziesiąt, z których najstarsze sięgały roku 1370.

Oprócz celu obrony miasta od napadów zadaniem głównem cechów było przedewszystkiem kształcenie fizyczne i moralne ludzi, zdolnych do pewnej gałęzi przemysłu i rękodzieł, a zarazem zapewnienie członkom swoim opieki, praw słusznych, względów i pomocy w razie potrzeby. Stopniowo wszystkie rzemiosła wiązały się w cechy, począwszy od kupców i złotników a skończywszy na wyrobniakach. Co do żadnego cechu nie należało, było uważane jako „mołoch“.

Co się zaś tyczy rozwoju średniowiecznej sztuki w rzemiosłach i drobnym przemyśle, to o dawnym przemyśle artystycznym tu nad Bałtykiem przychodzi nam wnioskować przeważnie już tylko z okresów późniejszych.

Pustoszenie i rabunek krajów nadbałtyckich, oraz nierozsądek późniejszych już złutrzonych pokoleń dokonały tu tyle zniszczenia, że w krainie niegdyś przepelnionej bronią, a w której świątynia Janusa rzadko bywała zamykaną, nie podobna dzisiaj dopatrzeć ani jednej całkowitej zbroi lub rynsztunku z okresu średniowiecznego, a co więcej, ani jednego miecza z tejsze epoki pochodzącego.

Nie można zatem się dziwić ubóstwu bałtyckich muzeów co do okazów ówczesnego krajowego przemysłu i rzemiosł. Co do nas możemy się śmiało wyrzec żmudnego szukania pojedynczych resztek tego rodzaju okazów. Nie ulega bowiem wątpliwości, że przeszły całe wieki zanim przyszło pod tym względem do tego stopnia upadku, na którym jeszcze niezbyt dawno stali mieszkańcy nad Bałtykiem, gdzie w braku jakiegobądź stylu, rozprzężenie wszelkich pojęć o kształtach i barwach stało się faktem dokonany aż do chwili, w której już jedynie moda swemi krótkotrwałymi kaprysy zdawała się tu zastępować zarówno styl jak i smak dobry. Postarajmy się oznaczyć w krótkich zarysach ową spadzistą pochyłość, po której mieszkańcy nadbałtyccy stopniowo do tak niesłychanych doszli obłądów.

Każdy kierunek w sztuce, który w swoim czasie stanowił epokę, wywierał także wpływ wielki na przemysł artystyczny, mu-

siał więc opanować cały zakres sztuki i rzemiosł znamionami określonego stylu. Kraje nadbałtyckie widziały u siebie najprzód rozwijający się kierunek stylu romańskiego z późniejszej jego epoki, oraz styl romański przejściowy, czyli tak zwany styl romańsko gotycki których to stylów ślady przetrwały aż do dni naszych, jakieśmy to w poprzednich listach wykazali, a ów styl przejściowy zastąpił tu w kolejach czasu ostrołuk tj. gotyk właściwy. To też kraje tutejsze przeżyły wszystkie okresy stylu gotyckiego, a mianowicie wczesną, średnią i późniejszą jego epokę.

W malarstwie, rzeźbiarstwie i rzemiosłach, wszędzie widzimy tu jedną i też samą myśl przewodnią, torującą sobie drogę, a im ważniejsze miejsce zajmowało gdziekolwiek budownictwo, tem głębiej wnikały tam do przemysłu artystycznego i do rzemiosł panujące każdorazowo kształty i ornamentacye architektoniczne.

Owo ostrogranowe wznoszenie się w górę, jakie dostrzegamy już to na wieżach prastarych tutejszych tumów gotyckich, już na facyatach starodawnych domów mieszczkańskich, owo rozczłonkowanie płaszczyzn i przecięcie onych liniami poziomymi — znachodzimy także i w produkeyach pojedynczych rzemiosł wszędzie, gdzie tylko dały się one zastosować, a więc w ówczesnych wyrobach stolarskich, kowalskich, złotniczych a nawet ceramicznych.

A cóż dopiero mówić o głównych formach ornamentyki architektonicznej! Delikatne kresliny, trójlucza, rozety, przydenki czyli wisiorzy (guimberges), wieżyczki, czołganki, kwiatony, alagreki, węzłówki i inne kształty ornamentacyjne, mające własną a tak charakterystyczną nomenklaturę w języku dawnych werkmistrzów, wszystkie one z kolei wpływały u bałtyckiego rzemieślnika nader rozstrzygająco na jego zmysł kształtowania, bez względu na to, czy wytwarzał on swoje dzieła z metalu czy z kruszcu, z drzewa, czy z kości, ze szkła, czy też z gliny.

Jako przykład przytaczam zawieszony w czasie ryskiej wystawy historycznej we wspomnianej już w poprzednim liście „Izbie nowożeńców (Brautkammer) średniowieczny pajak mosiężny, należący do bałtyckich zabytków gotycyzmu.

Środkową część tej perły pajaków gotyckich tworzy sześciokątny baldach, a na nim ostrołup, mający za podstawę tenże sześciokątny baldaszek, a za boczne ściany trójkąty ze wspólnym

wierzchołkiem. Pod baldaszkami, którego wysmukłe wiązania uderzają każdego swoją pięknoscią, widzimy Matkę Boską w całej postaci, stojącą na równokątnej konsoli, przedstawioną ze znamionami królowej Niebios, w misternie wykonanej koronie, z berłem w rękę. Rzekłbyś, że dla uświetnienia Bogarodzicy umieszczono do koła cherubinów, a to w sposób równie piękny jak trafny. Każdy z nich bowiem służy przeważnie do podtrzymywania pojedynczych ramion tego prawdziwie artystycznie wykonanego gotyckiego świecznika. Wyrastająca u dołu konsoli lwia głowa z pierścieniem, cały charakter zdobin sześciokątnego ostrogonu, a także przejście od tego ostatniego do trójkątnej korony, czyli tak zwanego kwiatonu, wieńczącego to cenne dzieło nadbałtyckiej średniowiecznej sztuki rzeźmieśniczej, — są to wszystko niezaprzeczone znamiona najczystszej gotykyzmu, który się dziwnie jasno odzwierciedla w tym zabytku bałtyckiej przeszłości i nadaje mu niezwykłą wartość historyczno-artystyczną.

Po okresie gotykyzmu czyli ostrołuku kroczył z krainy pomarańcz i cyprysów zaledwie w wieku XVI. ku krajom północnym nie mniej zwycięsko styl odrodzenia (renesans), zniewalając zachodnią Europę, a mianowicie Francją i Niemcy, do oddalania się stopniowo od gotyckich tradycji. Styl ten, jak wiadomo, należy do rodziny stylów greckiego i rzymskiego, od których oddziela go przeciąg cały średniowiecza, stylów romańskiego i gotyckiego. Rodzi się motywami ornamentacyjnymi w przystosowaniu do zrębów średniowiecznych i w miarę zdobywania wiedzy o pięknie starożytności przez umiejętne studium pozostałych pomników, traci stopniowo swój charakter średniowieczny i wyluszcza się jako styl nowy o charakterze samodzielnym. Renesans, mając cele prawdziwie artystyczne na oku, zajmuje się robieniem planów i pomiarów z zabytków tylko klasycznych, aby wydarta im tajemnicę piękna zastosować w praktyce do swoich potrzeb¹.

Ten nowy kierunek sztuki zwyciężał wszędzie, tworząc samostne pojęcie o kształtach i barwach. Łuki pełne i półkola, kolumny i półkolumnia (*colonnes engagées*), większe płaszczyzny, jasne

¹ Epoka analityczna rozpoczyna się dopiero później, najprzód we Francji, a właściwe naukowe badanie zabytków jest plodem naszego stulecia.

zestawienie linii poziomych z prostopadłami oraz kształty architektonicznie bardziej uzasadnione wchodzi znowu w użycie a niewyczerpana obfitość nowych motywów ornamentacyjnych dopomaga skutecznie do ożywiania płaszczyzn.

Malarstwo i rzeźbiarstwo wywalczyły sobie stanowisko samodzielne, wcale od architektury niezależne a w sztukach rzemiosł obudza się nawet na oddalonych wybrzeżach Bałtyku ruch twórczy, dotąd nieznany. Zwłaszcza w Rewlu i w Rydze budzą się warsztaty rzemieślnicze z dotychczasowego letargu i przejmują się żywo kształtami stylu odrodzenia szczytnego czyli właściwego, który, aczkolwiek z różnorodnych powstał pierwiastków, przedstawia jednak rzeczywiste poczucie sztuki, ożywiony przeważnie zbądaniem i wprowadzeniem starożytnych kształtów, których wierne naśladowanie w pojedynczych członkach sprowadziło pomysły bez żadnej pod innymi względami twórczości. Sztuka stylu odrodzenia, tej córy ciepłego południa, zdołała wkrótce tak wybornie aklimatyzować się zarówno na wybrzeżach morza północnego jako i nad Bałtykiem, że nie a nie tracąc ze swojej wewnętrznej istoty, potrafiła ona zostać swojską w różniących się pod wszelkimi względami narodów, jak np. u Francuzów i Niemców, występując u pierwszych jako słynny *francuski renesans*, u drugich zaś jako *deutsche Renaissance*.

Gustaw Manteuffel.

Zakaz „Przeglądu powszechnego“ w Niemczech.

Pośród ciężkich ciosów, które zewsząd na kraj nasz padają, ani dziwić się, ani żalić nie możemy, że i *Przeglądowi* naszemu jakieś dostają się pociski.

Tej zimy, 26 listopada zapadł wyrok sądu karnego w Toruniu przeciwko *Przeglądowi powszechnemu* — o czym redakcyja do wiedziała się przypadkowo i *post factum*. O szczegółach zaś i motywach tego wyroku wcale poinformowaną nie została. Ostrzegli nas tylko przyjaciele, że za drugim takim wyrokiem sądowym, debić w Niemczech może być *Przeglądowi* odebrany. Sądziłismy, że na

każdy sposób, ażeby *Przegląd* był drugi raz sądownie skazanym, musiałby okazać niepoprawność i po pierwszym wyroku znowu zawinić. Tymczasem w trzy tygodnie potem, 17 grudnia zapada również w Toruńskim sądzie drugi wyrok, skazujący zeszyt *Przeglądu* z sierpnia, przeszłego roku, z powodu „Korespondencji z Poznania“ (tom XI. str. 300—307).

„W artykule tym (tak opiewa akt sądowy) twierdzi autor, że w Prusach a w szczególności w prowincyi Poznańskiej, wbrew zasadzie artykułu 4-go konstytucyi, katolików a szczególnie polskich katolików odpowiednie władze nie dopuszczają do sprawowania publicznych urzędów, że Zarząd szkół państwowych z wszelką świadomością działa wbrew ogólnym prawnym przepisom, dotyczącym religijnego wychowania dzieci. Fakta te, jak notorycznie stwierdzono, są nieprawdziwe lub poprzekręcane. Nie ulega wątpliwości, że autor odnośnego artykułu, który jak z treści tegoż widoczne, zna zupełnie dokładnie omawiane stosunki i według wszelkiego prawdopodobieństwa mieszka nawet w Prusach, świadomie i tendencyjnie te kłamstwa wygłasza. Dalej z treści artykułu widoczne, że zamiarem autora było zochydzic instytucje państwowe, jak szkoły państwowe i rozporządzenia władz, głównie zarządu szkół państwowych i Regencyi. Autor bowiem chce przekonać swych czytelników, że władze pruskie z wszelką świadomością działają wbrew przepisom prawnym i to ze szkodą polskiej i katolickiej części ludności...”

Ponieważ treść czasopisma jest karygodną, trzeba było stosownie do §. 41 nr. G. B. (kodeksu karnego), odpowiednio do wniosku prokuratorski orzec, że artykuł inkryminowany jak również i część płyt i form, na których tenże artykuł się znajduje, powinny zostać zniszczone...”

Tym razem któryś z przyjaciół naszego pisma uwiadomił nas zawczasu i mogliśmy jeszcze uprosić miejscowego adwokata, żeby zajął się naszą sprawą i założył apelację do wyższej instancyi w Lipsku. Wniosek adwokata był, między innemi, w ten sposób umotywowany:

„W artykule tym, co do udzielenia nauki religii twierdzono tylko: że władze przesiedlają nauczycieli i pozbawiają tym sposobem dzieci możności pobierania nauki religii w języku polskim — że dzieci przyłączają do oddziałów niemieckich, gdzie nawet religią w niemieckim wykładają języku — że szkoły katolickie zamieniają samowolnie na bezwyznaniowe i protestanckie.

„Atoli prawnych przepisów, co do tego, aby religię wykładano w języku polskim, lub żeby szkół katolickich nie wolno było zamieniać na bezwyznaniowe, względnie protestanckie, wcale niema; nie robiono więc zarządom szkół państwowych zarzutu, że działają wbrew przepisom prawnym; a pierwszy sędzia musiał się pomylić i uznać coś za „ogólny przepis prawny“ co takim w rzeczywistości nie jest“.

Trybunał Lipski jednak, wyrokiem z dnia 8 marca b. r. po-

twierdził orzeczenie Toruńskie. Na przytoczony zaś zarzut naszego adwokata, odpowiedział w motywach co następuje:

„Zarzut ten, o ile twierdzi, że sędzia pierwszy zmyślone, lub poprzekręcane fakta, jakie w artykule omawiane, a odnoszące się do tego, że zarządy szkół państwowych samowolnie działają wbrew ogólnym przepisom prawnym, dotyczącym się religijnego wychowania dzieci, znalazł w wyrażeniach artykułu jakie podanie niniejsze podnosi, skierowany jest głównie przeciw faktycznemu osądzeniu i pojęciu tegoż sędziego — których trafności jednakowoż według §. 376 kodeksu karnego niniejsza instancja dochodzić nie ma prawa. Trudno także pojąć, jaki wpływ na tok sprawy wywrzećby mogło skonstatowanie tego, o czem podanie twierdzi, że nie ma ogólnych prawnych przepisów co do udzielania nauki religii w języku polskim i zamieniania szkół katolickich na bezwyznaniowe lub protestanckie, gdyż właśnie wtedy fakta, jakie artykuł omawiał i rozszerzał, że zarząd szkół państwowych działa wbrew ogólnym przepisom prawnym dotyczącym religijnego wychowania dzieci i to samowolnie koniecznie muszą być fałszywe lub poprzekręcane. To, że takich ogólnych (prawnych) przepisów co do religijnego wychowania dzieci niema, faktu władzom narzucanego, że takowe działają wbrew ogólnym przepisom prawnym dotyczącym religijnego wychowania dzieci i to samowolnie, nigdy udowodnić nie będzie w stanie. Dlatego nie chodzi tu bynajmniej o to, czy takie ogólne (prawne) przepisy znajdują się w prawodawstwie, lub nie...

Nakoniec niemiecki *Reichsanzeiger*, pod d. 7 maja następujące ogłosił rozporządzenie Kanclerza:

Skoro w skutek prawomocnych orzeczeń sądu karnego w Toruniu z d. 26 listopada i 17 grudnia roku zeszłego, przeciw wychodzącemu w Krakowie peryodycznemu pismu „Przegląd powszechny“, zapadły wyroki, na podstawie §. 41, 41 i 131 kodeksu karnego: zakazaniem zostaje w całym cesarstwie dalsze rozszerzenie tego pisma na przeciąg dwóch lat; w moc §. 14 prawa prasowego z dnia 7 maja 1874 r. (Państwowy dziennik praw. str. 65)¹.

Wobec tego rozporządzenia oświadczyć musimy, że nie poczuwamy się bynajmniej do „zamiaru zochydzienia“ władz Pruskich,

¹ „Nachdem durch die rechtskräftigen Urteile der Strafkammer zu Thorn vom 26 November und 17 Dezember v. J. gegen die in Krakau erscheinende periodische Druckschrift *Przegląd powszechny* Beurteilungen auf Grund der §§. 41, 42 und 131 des Strafgesetzbuchs erfolgt sind, wird auf Grund des §. 14 des Gesetzes über die Presse von 7 Mai 1874 (Reichs-Gesetzblatt S. 65) die fernere Verbreitung dieser Druckschrift im Reichsgebiet auf die Dauer vom zwei Jahren hierdurch verboten“.

tem mniej do chęci agitowania przeciwko istniejącemu porządkowi. A podnosząc w naszym piśmie fakta, które po części w parlamencie przytaczane były, po części w pismach publicznych w państwie niemieckiem drukowanych opowiadane — nie przypuszczaliśmy, żebyśmy mieli dawać powód do takiego sądu o naszych zamiarach. Chcieliśmy tylko o interesach religii i kraju naszego informować, i za temiż interesami, w granicach legalnych i prasie właściwych, obstawać.

W pomyłkach co do faktów, na jakie każde pismo bywa narażone, gotowiliśmy każdego czasu wycofać się i sprostować. Ale kierunku i zadania, powyższemi słowy i tradycją naszego pisma wytyczonego, dla żadnych względów ni kar zmienić nie będziemy mogli.

Kiedy atoli, ostatnimi czasy, usłyszeliśmy z ust Kanclerza oświadczenie, że życzenia katolickich poddanych zaspokoić pragnie i że Głowę Kościoła katolickiego uważa za czynnik porządku i za pożytecznego Państwu Niemieckiemu sprzymierzeńca — spodziewamy się, że i ten notoryczny kierunek naszego pisma nie będzie nadal uważany, za wrogi państwu i władzom Niemieckim.

X. M. Morawski.

Korespondencya Redakcyi.

Do p. W. S. w Inflantach Polskich: Dziękujemy szczerze za przestrożę i błąd naprawiamy. W skutek pańskiego listu przeczytaliśmy powieść Sowińskiego: **Na rozstajnych drogach** — i znajdujemy, że nie tylko „zbawiennego wpływu na młodzież wyrzucić“ nie może, ale nawet w porządnym domu znajdować się nie powinna. Korespondent nasz zapewne wpadł na niektóre ustępy dyskusyi z ks. Prottem, gdzie jakiś charakter religijny się przebija, i to go o duchu i wartości książki w błąd wprowadziło. Szczęściem, jak nas zapewniono z kompetentnego miejsca, niewielu ciekawych bierze się do tego niepoczesnego romansu.

Redakcyja.

DWA POGRZEBY.

Prasa codzienna opisała szczegółowo dwa wielkie obchody żałobne, na które patrzył Kraków w tych dwóch upłynionych miesiącach. Nam przypada słów kilka powiedzieć o zbiorowym wyniku wrażeń odniesionych.

Oba pogrzeby odbyły się w jednym mieście i w jednym prawie czasie, wśród tych samych ludzi; oba kosztem kraju; ten sam biskup ofiarę spełniał przy ołtarzu za obu zmarłych, ten sam kaznodzieja przemawiał o ich zasługach z kościelnej mównicy Jednakże dla tych, co byli na miejscu i śledzili nastrój umysłów, widocznem było, że charakter tych dwóch obchodów mocno się różniły.

Pogrzeb Kraszewskiego był inscenowany. Skoro telegram rozniósł wieść o zgonie „Nestora naszego piśmiennictwa“, natychmiast grać zaczęła jakaś maszynerya dla wywołania w całym kraju sztucznego zapалу. Jeszcze nie było słyhać o żadnej opozycji, a już w pewnej prasie raz po raz odzywały się głosy, grożące nie wiedzieć jakim wrogom, nawołujące do złamania ich oporu, do wyprawienia manifestacji olbrzymiej „z pompą królewską“. Kiedy wkrótce potem dowiedziano się z poważnego źródła, że jeśliby nieboszczyk nie był się z Bogiem i Kościołem pojednał, mogłoby to być przeszkodą do kościelnego pogrzebu — pojawił się telegram z Genewy opisujący szczegółowo, jak Kraszewski św. Sakramenta przyjmował. Od kogo ten telegram był wysłany, nigdy się nie wyjaśniło, ale podejrzenie padło na to źródło, gdzie tak doskonale wiedziano, kto był, a kogo nie było przy śmierci nieboszczyka, i skąd — dopiero po pogrzebie — wysłano te cyniczne i w bezecny sposób sformułowane zaprzeczenia: „Nie spowiadał się, nie komu-

„nikował.... stał się bryłą podległą rozkładowi na pierwiastki chemiczne, wydaną na łup gazom, grzybkom i żyjątkom“. Kiedy znów pojawiła się wątpliwość, czy testament nie zawiera wyrazu ostatniej woli zmarłego, co do miejsca jego pochowania, starano się najprzód wywołać jakąś zbiorową prośbę do rodziny, ażeby bez względu na testament, zezwoliła na pochowanie Kraszewskiego w Krakowie. A gdy to się po myśli nie powiodło, zmieniono pierwotny projekt utworzenia testamentu przed pogrzebem, i postanowiono pogrzeb przyspieszyć.

W całym ciągu przygotowań, pojawiały się co dzień projekta, niemal nakazy — bez uprzedniego porozumienia się z tymi, których osobami lub rzeczami w ten sposób dysponowano. Były i zachcianki, żeby nawet Kościół i duchowieństwo do demonstracyi z szeregować. Panował ustawicznie jakiś brukowy teroryzm przeciwko urojonej opozycji. A jeśli ktoś się odezwał z własnym zdaniem — jak Dr. Jordan, który, w poufnej tylko naradzie, powiedział, że nie należałoby pomijać możliwego rozporządzenia testamentu i że w tym obchodzie trzeba zachować miarę — niemal do kamieni na niego się porwano.

Nie dyskutuję czy Kraszewskiemu należał się pogrzeb narodowy — ale twierdzę, że to nie była rzecz oczywista, lecz kwestya podlegająca dyskusyi.

Bywają objawy uczuć społeczeństwa tak samorzutne i powszechne, że żadnych nie potrzebują inicjatorów; wystarczy, by ludzie wpływowi lub na czele stojący porozumieli się, dla nadania temu wybuchowi uczucia jakiejś formy oznaczonej. Gdy umiera geniusz, z piersi narodu, któremu Bóg tę gwiazdę był użyczył, wyrwa się doraźny i przeciągły jęk. Gdy umiera mąż o wielkich i nieposzlakowanych zasługach, we wszystkich warstwach i częściach kraju znany i kochany, o którego charakterze i działalności nie ma zdań podzielonych — wówczas podobna we wszystkich sercach powstaje żałoba, i w całym kraju sama z siebie się objawia.

Kraszewski był wielce utalentowanym i nadzwyczaj płodnym pisarzem — ale geniuszem nie był; będzie on miał świetną kartę w dziejach naszej literatury, ale nie będzie świecił między pierwszorzędnymi gwiazdami polskiego ducha; położył on wiekopomne za-

¹ Z listu T. J. Jeża do *Prawdy*.

sługi przykładem niezrównanej pracowitości i rozbudzeniem interesu do rzeczy polskich — ale rzeczy te potrafił on tylko powierzcownie, o wielu mylnie narzucił wyobrażenie — a przytem wiele uczuć słusznych i świętych dotkliwie obraził. Był kiedyś dosyć powszechnie czytany, nigdy nie był powszechnie wielbiony i kochany. Byłoby to nieszlachetnością ze strony społeczeństwa, gdyby nie złożyło wieńca uznania na trumnie sędziwego i zasłużonego pisarza, ale byłoby to znowu dowodem miernoty tegoż społeczeństwa, gdyby w wynoszeniu Kraszewskiego pod niebiosa żadnej nie znalazło miary.

Jaka więc miała być ta miara? czy wypadało wyprawicę pogrzeb narodowy? — czy mianowicie po jubileuszu z r. 1879, który już był niewątpliwie przesadzonym i w następstwach niefortunnym, stosowną było rzeczą jeszcze podobną zrobić manifestacyę i tamtą potwierdzać? — czy wreszcie po procesie Lipskim, o którym nie do nas sąd należy, ale którego niejasna treść nie została jeszcze do tyla wyświecona, aby uchylić wszelki cień z pamięci niebożczyka, wobec ziomków i wobec zagranicy — czy po tym procesie, mówię, właściwą było rzeczą, rzucić całun narodowego obchodu na tę świeżą, jeszcze nie wyklarowaną sprawę i z nią nie jako społeczność wiązać — były to, jak każdy widzi, kwestye niejasne, o których różne mogły być zdania, w których w każdym razie należało się wolność zdania zostawić i uszanować. A ten sposób nakazywania zapалу i terroryzowania zdań, jakiego użyto, był niewątpliwie krzywdzącym i niebezpiecznym. Pachniało to wszystko najsmutniejszymi datami naszej współczesnej historii.

Uchowaj Boże żeby ta nieszcześna tradycya miała się dalej ciągnąć — żeby jakaś garstka niepowołanych i nieuprawnionych, opanowawszy parę gazet i parę cukierni, miała komenderować po ukazie społeczeństwem. Uchowaj Boże żeby społeczeństwo, zahukane krzykami i groźbami tej garstki, miało jej ślepo ulegać — nie pytając nawet gdzie oni są i ilu ich jest co krzyczą.

Jużemy dosyć razy i dosyć ciężko tę nierozumną uległość wobec takich komend opłacili — by już z góry przewidywać, iż to nas może dalej zaprowadzić, niż do inscenowanego pogrzebu. Karności i solidarności przestrzegajmy w jawnej służbie kraju, względem prawa i władz regularnych; ale karności wobec samowolnych komend, strzeżmy się i wstydzmy się. Byłaby ona małodusznością,

bezmąsnością, brakiem prawdziwego obywatelskiego ducha — a mogłyby być początkiem nieobliczalnych nieszczęść.

Tym razem Bogu dzięki nie zgubnego nie wynikło. Sam pogrzeb odbył się poważnie; nawet szyb mniemanym wrogom nie wytuczono (na co się przecież cokolwiek zanosilo). Ale zaznaczyć tu musieliśmy z żalem, że dała się słyszeć ta trąbka złowroga, przypominająca nam najsmutniejsze chwile, których następstwa dotąd oplakujemy. I to z żalem wytknąć należy, że grała w tym obchodzie zbyt wielką rolę pewna młodzież niedojrzała, z której ust mogły wyjść takowe słowa nad trumną Kraszewskiego, jak te: że „miłość ojczyzny, praca i zapal, to trzy bogi młodzieży“! Nie podaję tych wyrazów za bluźnierstwo, bo przekonany jestem, że mówiący nie podobnego nie myślał, ale podnoszę je jako miarę jego niedowarzenia.

Ostatecznie, przy całej swej okazałości pogrzeb odbył się bez szczerego i jednolitego zapalu: władze się usunęły, duchowieństwo było niezdecydowane, wyższe stany mało wzięły udziału, lud był bardzo obojętny — tu i ówdzie nawet między ludem dawały się słyszeć wyraźne objawy niezadowolenia. Sam orszak pogrzebowy był wspaniały, ciekawi przypatrywali mu się z okien i balkonów; ale poza orszakiem, tłumów towarzyszących pogrzebowi nie było; i kiedy kościół Panny Maryi objął tych wszystkich, co mieli bilety wstępu, plac Maryacki okazał się pusty... Nic dziwnego, maszynerya prawdziwego zapalu stworzyć nie mogła.

Zupełnie inaczej przedstawiał się pogrzeb Zyblikiewicza, żadnej nie było tu agitacji, żadnego i inscenowania; zostawało jeszcze po pogrzebie Kraszewskiego jakieś znużenie, przy którym zdawało się, że ten drugi pogrzeb odbędzie się bez żywszego udziału publiczności. Tymczasem, w ciągu tych kilku dni między śmiercią a pochowaniem Zyblikiewicza, zapal rósł sam przez się, do wielkich rozmiarów. O niczem innym nie mówiono tylko o charakterze niebożczyka szlachetnym i czystym, o jego energii, odwadze własnych przekonań, o szczerzej jego miłości dla kraju i pracy dlań wytrwalej i bezinteresownej. Nie było tu punktu ciemnego, nie było podziału zdań, ni stronnictw ni klas. Obywatelstwo tym razem liczny i skory wzięło udział, lud tłumnie się garnał — wszystkie stany i warstwy społeczeństwa, wraz z wszystkimi władzami i duchowieństwem trzech obrządków jednolicie otoczyły trumnę „zacnego

obywatela“. I gdy ogromny orszak żałobny, obszedłszy część rynku, wstępował pod stropy Panny Maryi, a na całej przestrzeni rynku stały kilkunastotysięczne tłumy, biorące serdeczny udział w tej prawdziwie publicznej żałobie — mówiono ze wszechstron, że Kraków nie pamięta podobnego pogrzebu.

A jednak człowiek, który z najniższej warstwy społecznej własną pracą i zasługą wybił się na najwyższe w kraju stanowisko, który żył w sferze czynu, w polityce, w administracji kraju — gdzie każdy krok podlega surowej krytyce, i każdy czyn obraża czyjeś słuszne czy niesłuszne drażliwości i wymagania — człowiek taki miał nierównie mniejsze szanse zdobycia powszechnej i niepodzielnej czci i miłości ziomków, aniżeli ów sędziwy obywatel wołyński i literat, który spędził życie w sferze idealnej, kołyszając wyobraźnię narodu uroczemi baśniami. Wypadło atoli odwrotnie: bo u Zyblikiewicza była wartość moralna notoryczna — bo choć niejeden jego czyn słusznej podlegał krytyce, choć szorstkość jego tegiej natury raz poraz dokoła narażała — jednak wszystkim było wiadomem, że pobudki któremi się powodował, były zawsze szlachetne, i drogi któremi chodził, były proste.

Najwybitniej atoli zaznaczyła się różnica między temi dwoma pogrzebami w ich stosunku do Kościoła. W pewnych kołach wzięto za złe naszemu duchowieństwu, że chłodnem się okazało dla pamięci Kraszewskiego. Ale doprawdy czyż mogło być inaczej — po Bolesławicie, po Rachunkach, po wydawnictwie Tygodnia, po ordezrze Wiktora Emanuela, danym „za propagowanie w Polsce idei przychylnych jednoci włoskiej“ tj. zaborowi Rzymu... i kiedy po tem wszystkim nie było jasnego i stanowczego zwrotu — raz rozdaj odwołania, drugi raz jakieś wycofanie odwołania; — kiedy aż do ostatnich czasów kręcili się około Kraszewskiego znani przewodnicy masoneryi włoskiej, jak Carenti (dwóch ich nawet było w Krakowie na jego jubileuszu, jeden przy zamknięciu zwłok w Genewie) i tak się nim opiekowali że silne wzbudzili podejrzenie, iż coś więcej łączyło ich z nim niż prywatna przyjaźń; — kiedy nakoniec wątpliwą było rzeczą czy Kraszewski przy samej śmierci z Bogiem się pojednał... czy w tych okolicznościach należała się demonstracya ze strony Kościoła na cześć Kraszewskiego? I gdyby się było do niej duchowieństwo z zapalem porwało,

czyżby to nie było dowodem, że nie dorosło swemu zadaniu, że i ono pokłada patryotyzm na uleganiu każdemu hasłu i każdemu powiewowi opinii?

Ale tak się nie stało. Siłą rzeczy stało się, że duchowieństwo było względem pogrzebu Kraszewskiego niezdecydowane, tak jak Kraszewski był względem Kościoła niezdecydowany i chwiejny. Kościół nie zamknął swoich podwoi przed jego zwłokami — bo nie miał dowodu, żeby Kraszewski był odeń odstąpił, lub przystał stanowczo do jego wrogów; ale na zwyczajnej, jakby obowiązkowej poprzestał usłudze. Dostojny Biskup krakowski, który tyle skromnych odprowadza pogrzebów, tym razem tylko w kościele żegnał trumnę; a przed rozpoczęciem najświętszej ofiary, oświadczył od stóp ołtarza, iż to czyni jedynie na podstawie doniesień, że Kraszewski przed śmiercią z Bogiem się pojednał. — Ten postępek Arcypasterza nie wszystkim się podobał; w rzeczywistości jednak był on nie tylko sprawiedliwy i godny — ale najodpowiedniejszy do chwili. To przemówienie zatwierdziło prawa Kościoła i wyjaśniło jego stanowisko. Kiedy królewski orszak wprowadzał do świątyni trumnę, krociami wieńców obwieszoną — Biskup od ołtarza powiedział, że żadna sława, żadna presya ogółu, nie zrobiłaby wyłomu w karności kościelnej — że i Kraszewskiemu odmówionoby pogrzebu, gdyby był, jak się można było obawiać, w niezgodzie z Kościołem umarł; że teraz Kościół przyjmując jego zwłoki, odprawia nie manifestację na jego cześć — bo wątpliwej wierności syna w nim znalazł — ale nabożeństwo, jakiego nie odmawia żadnej duszy, która z uczestnictwa jego modłów wykluczona nie została.

Podobne stanowisko zajął kaznodzieja, ks. Chotkowski. Wobec tej trumny, w której mnóstwo obecnych upatrywało zgasłą pochodnię narodu, podnosząc myśl w górę, powiedział, iż Pan tylko jest tym słupem ognistym, który wiódł ongi lud wybrany, po bezdrożach pustyni, i który w Nowym Zakonie rzekł: *Jam jest światłość świata; kto za mną idzie, nie chodzi w ciemnościach*, — a błędne ogniki, które nie chcą z tego słońca zapożyczać światła, ale własnym płomykiem łyskać, prowadzą tylko na manowce i same wobec światłości tego słońca nikną. Zastrzegłszy się następnie, że „Bogu tylko w kościele należy się kadzidło“ — skorzystał mówca ze sposobności, iż „serca zgromadzonych wzruszone żałobą, do

siejby słów bożych były przystępniejsze“ — i rzucił w te serca z kapłańską powagą, a językiem Skargowskim, kilka głębokich i praktycznych nauk. Przechodząc najglówniejsze chwile życia Kraszewskiego, pochwalił jego wytrwałą pracowitość, uznał wielkie usługi, jakie oddał ojczystej mowie i literaturze; dotykając z wielkim taktem strony religijnej, i zganiwszy śmiało stanowisko „Tygodnia“ w czasie Soboru, podniósł ważność odwołania, które Kraszewski uczynił w Dreźnie r. 1879 — i zwrócił się z rzewnymi słowy do miłosierdzia Tego, który rzekł o Magdalenie: *Odpuszczają się jej wiele grzechów, iż wielce umiłowała.*

Ale nierównie mniej mówił o zmarłym, niż nauczał po kapłańsku żyjących, biorąc asumpt, to z samych czynów Kraszewskiego, to z wielkich wypadków dziejowych, jemu współczesnych. Pokazał wymownie, jak przeróżne wysiłki w tym czasie bez Boga poczęte, bezplodnie zmarniały, jak Kościół w Polsce mimo przesładowań, umocnił się i uświęcił. Obywateli upominał, żeby jak Anteusz w zapasach z Herkulesem, trzymali się oburącz ziemi, na niczyją nie licząc pomoc, prócz bożej łaski i własnej pracy: *Bóg sam będzie walczył za nas, a my sami róbmy.* Niewiasty polskie zaklinał, by były „strażnicami pobożności“ przy ognisku domowem, by głębiej wpajały dzieciom zasady i praktykę religii — bo „mało kto z Polaków umiera bez księdza, ale wielu bez księdza żyje“. Młodzież wreszcie wzywał do pracy w obranych zawodach, a przestrzegał zarazem, że jeden jest tylko klucz, którym trafić można do serca narodu, tj. wiara katolicka. „Zapalcie pochodnie światła, „mówił im, niech jaśnieją w najszersze koła narodu, ale je zapalcie „u światłości świata, iżbyście nie potrzebowali mówić pod koniec „żywota: *Czekaliśmy światłości, alie oto ciemności, jasności, „a w ciemie chodzili*“.

Cała ta mowa była znakomitą pod względem krasomówstwa, godności i miary, ale przedewszystkiem odznaczyła się zrozumieniem stanowiska, jakie przystawało kapłanowi przy pogrzebie Kraszewskiego.

Inaczej pod tym względem wyglądał pogrzeb Zyblikiewicza. Kraszewski często, przy byle jakiej sposobności, afirmował swoje „uczucia religijne“ — ale stosunek jego postępowania do zasad katolickich i do Kościoła, był zmienny i niejasny. Dlatego ludzie, którzy przez religijność rozumieją jakieś nieokreślone uczucie,

a o przekonaniach wyobrażenia nie mają, dziwią się jak można coś zarzucić Kraszewskiemu na punkcie religii.

Zybkiewicz nierównie mniej zatwierdzał swoje religijne uczucia, ale zgodnie z swoją wiarą postępował i nigdy wątpliwego względem niej stanowiska nie zajmował. To też dał mu Pan Bóg godną chrześcijanina śmierć. Już przed rokiem, gdy go ciężka nawiedziła słabość, pospieszył się wyspowiadać. I teraz, skoro poczuł że się śmierć zbliża, zajrzał jej w oczy wcześniej i mężnie. Szanując do końca obrządek w którym został ochrzczony i w którym dzieckiem nauczył się Boga chwalić, zawezwał ruskiego plebana, przyjął z jego ręki ostatnie Sakramenta. Potem przez dni kilka, choć świadom bliskiej śmierci, z największym pokojem, pogodą myśli i żywym zajęciem, rozmawiał o sprawach tego kraju, który całe życie tak kochał. A gdy ostatnia nadeszła chwila, znowu mu Opatrzność nadesłała kapłana, który uchodzącą duszę modlitwą krzepił. Tak skończył ten prawy obywatel i chrześcijanin.

Kościół tym razem zgodnie z wszystkimi stanami wystąpił z całą okazałością i serdecznością. Dwustu kapłanów, sześciu biskupów uczestniczyło w pogrzebie. Modły i pieśni liturgiczne w trzech obrządkach odprawiały się dokoła katafalku. — Kaznodzieja podniósł od razu znaczenie tego zbiegu wszystkich stanów, warstw i obrządków w jednej żałobie: „Ta trumna, rzekł, w pośrodku kościoła „ustawiona, w takim niezwykle uroczystym, wspaniałym pogrzebowym obrzędzie, przy którym wszystkie stany, wszystek lud spieszszy dorzucić garść trawy do korony obywatelskiej i wieńca ostatniej czci pośmiertnej; ta powszechna, nieklamana żałoba, wśród „której żaden nie odzywa się głos, coby chciał umniejszyć uroczystość, lecz owszem każdy ją podnieść i powiększyć się stara; ten „liczny zastęp Biskupów, trojga obrządków; liczny orszak duchowieństwa, dwóch obrządków; to nabożeństwo, w dwóch obrzędach „uroczyście odprawiane przy tym katafalku; zgromadzenie najwyższych dostojników kraju: wszystko to świadczy, jak wielkie musiało być serce tego, który spoczął w tej trumnie, jak bardzo musiał kochać kraj, gdy wszystkie serca dzisiaj przy swej trumnie „łączy i jednoczy“.

Mowa była tym razem prawdziwem obrazowaniem tego życia obywatelskiego, które w kościele opowiadaniem być mogło. Przedstawiał mowca zmarłego, jako Hetmana w Izraelu, który przewo-

dział „upadłemu narodowi, w walce cichej i twardej, ale niezbędnej“ — Hetmana, „z rzędu tych, co wzięli sobie za życia zadanie „nie trwonić sił, lecz gromadzić, nie rozdawać lecz łączyć, którzy „tem głębiej zakładać poczęli fundamenta narodowej twierdzy, im „wyżej wzniesić chcieli gmach, obliczając na długie lata swoją budowę“. Ale w tym hetmanie okazał także żołnierza, który własnym przykładem uczy tej służby kraju, tego wprężenia się w dobrze zrozumianą organiczną pracę. „W tej postaci niezwyklej, „mówił, widzieć będą wszyscy obraz tej Polski, odradzającej się, „która służbą i pracą, posłuszeństwem i karnością, pragnie naprawić to, co zepsuła krnąbrność i niesforność, pycha i lenistwo. „W nim odbija się, jak w zwierciadle, ta miłość ojczyzny, uszlachetniona jak złoto, stuletnią ogniową próbą, która w ojczyźnie nie „widzi siebie i swojej rodziny, lecz dobro wszystkich stanów, bez „żadnej różnicy; a jak do mozołu i pracy, do kieratu służby około „ratowania tego, co ratować trzeba, pragnie zaprzędnąć wszystkich, „bez wyjątku, synów tej ziemi, tak też wszystkim chce zastawić „stół bratniej biesiady wolności, na jednym obrusie zgody, w jednym tylko stroju osobistej wartości i zasługi“.

Najwymowniej atoli podniósł kaznodzieja te dwie funkcyjne łączności, które uosabiał w sobie Zyblikiewicz, naprzeciw dwóm nieszczęsnym rozdwojeniom, jakie grożą społeczeństwu naszemu. Jest u nas niestety waśń stanów, z doktryn i wpływów zagranicznych pochodząca, a zazdrością i podejrzliwością podsycana — jest nadto, właściwa naszemu krajowi rana, waśń narodowości polskiej i ruskiej. Zyblikiewicz nie miał charakteru łagodzącego: „jak granit szorstki i jak stal twardy“, miał jednak to że „jak stal „przyciągał magnetyczną siłą wszystkie kruszce szlachetne narodu, „nie rozdawał, nie waśnił jednego stanu z drugim, lecz w każdym potrafił cenić to, co ma wartość i zasługę w ojczyźnie, lub „co dla ojczyzny wart być może. Sam syn ludu kochał lud, ale nie „miał w nienawiści wyższych stanów, dla tego że wyższe.... To „wytworzyło jego indywidualność potężną — i to sprawiło, że syn „mieszczański postawion jest na czele wszystkich, bez wyjątku stanów — i że wszystkie stany dziś przy jego trumnie sobie ręce „podają, aby uczcić w nim niezwyklej cnoty obywatela“.

Podobnie w sprawie narodowości i obrządków, Zyblikiewicz był typem, pouczającym jak się ta kwestya rozwiązać może i po-

winna. Syn Rusi i Cerkwi, wierny jej aż do chwili śmierci, rozumiał że walka stronnicza nie na korzyść ale tylko na szkodę, obu narodowości wyjść może, stanął odrazu ponad partyjami i sporami, i podając ręce obu stronom do wspólnej pracy, sam na korzyść obu narodowości i wspólnej ojczyzny najwięcej zdziałał. To też pogrzeb jego ruski w krakowskiej świątyni był wspaniałem tej myśli jego życia wyrazem.

„Oto kłos pszenicy, mówił kaznodzieja, który żniwo śmierci „położyło przed wami! Wygrzany w słońcu miłości wspólnej ojczyzny, dojrzał na męża którego nikt nie pytał o ród, o dom, o pochodzenie, o obrządek — a dziś... trumną jednoczy nas Łachów „i Rusinów w tym prastarym grodzie Jagielonów“. Gdy zaś w końcu wezwał mowca wielkiego Męczennika co krwią swoją jedność przypieczetował — „by wstawił się u tronu Bożego o miłosierdzie, „dla tego zacnego syna Cerkwi świętej, aby mu Bóg był miłościw, za tyle miłości którą rozniecił swym życiem i przykładem między rodzoną bracią“ — wówczas podniosłe wzruszenie ogarnęło najwidoczniej obecnych: czuło się, że kaznodzieja wyjął z pod serc wszystkich myśli i uczucia, ale wyjątkowo wzniosły i piękny i skończony nadał im wyraz¹.

Taki był charakter tych dwóch pamiętnych pogrzebów. Widzieliśmy w nich z pociechą, że społeczeństwo nasze nie daje się unosić każdemu wiatru, i że nie pomijając żadnej zasługi, umie jednak najwyżej cenić to, co jest najdroższem, wartość moralną.

Ks. M. Morawski.

¹ Obie te mowy ks. prof. Chotkowskiego wyszły osobno, w przepysznym pod względem typograficznym wydaniu, z drukarni Czasu.



SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

Stronnicza.

DZISIEJSZY USTRÓJ KOŚCIOŁA W AMERYCE. Z okazji ostatniego plenarnego Synodu Baltymorskiego. Przez <i>Ks. Zdzisława Bartkiewicza T. J.</i>	39, 295
KILKA UWAG O PESYIMIZMIE W NOWELISTYCE WSPÓŁCZESNEJ. Przez <i>Czesława Pieniążka</i>	56
STOWARZYSZENIA KATOLICKIE W NIEMCZECH. II. Istota. Urządzenia. — Działalność. Przez <i>Dra Baumgartena</i>	278, 426
DWA POGRZEBY (Kraszewskiego i Zyblikiewicza)	I

Artykuły naukowe i literackie.

Z PRZED 300 LAT. Karta z Dziejów Kościoła w Anglii. Przez <i>Ks. St. Załęskiego T. J.</i>	1
MŁODE LATA KSIĘDZA STANISŁAWA CHOLONIEWSKIEGO. Przez <i>Ks. Jana Badeniego T. J.</i>	17, 228, 410
O OBJAWIENIU. Przez <i>Ks. A. Langerę T. J.</i>	61
PAMIĘTNIKI HRABIEGO BEUSTA. Przez <i>A. M. L.</i>	84, 267
SŁOWO O STOSUNKU KOCHANOWSKIEGO DO RONSARDA. Przez <i>Kazimierza Bronikowskiego</i>	101
O ZWIĄZKU SZTUKI Z MORALNOŚCIĄ. Przez <i>Ks. M. Morawskiego T. J.</i>	209
KRYTYK NASZYCH POWIEŚCIOPISARZY. Przez <i>Czesława Pieniążka</i>	248, 396
JANSSEN I HISTORIA REFORMACYI. Przez <i>Ks. A. Kraetziga T. J.</i>	381
CUDA I ICH ZNACZENIE W DZIEJACH OBJAWIENIA. Przez <i>Ks. A. Langerę T. J.</i>	442
RADZIWIŁLOWSKA OLYKA. Przez <i>Tadeusza Jerzego Steckiego</i>	458

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

STUDYA I SZKICE Z DZIEJÓW LITERATURY POLSKIEJ. Skreślił <i>Piotr Chmielowski (Dr. Hugo Zathay)</i>	117
SZKICE I OPOWIADANIA <i>Dra Antoniego J. (Tadeusz Jerzy Stecki)</i>	126
PAMIĘTNIK O <i>MARYI WESSŁOWNIE, Królewiczowej Konstantowej Sobieskiej. Przez Sabinę z Gorzkowskich Grzegorzewską</i>	129
GERDA. Fragmenta z poematu <i>Ezajasza Tegniera. Wolny przekład z oryginału, p. Wawrz. hr. Benzelstierna-Engeströma</i>	129
PISARZE POLITYCZNI XVI WIEKU. Przez <i>St. Tarnowskiego (Ks. St. Załęski T. J.)</i>	313, 477
SZKICE I POSZUKIWANIA HISTORYCZNE. Przez <i>Kazimierza Pułaskiego (Tadeusz Jerzy Stecki)</i>	324
OSTATNIE CHWILE POWSTANIA STYCZNIOWEGO, na podstawie autentycznych źródeł, opowiedział <i>Z. L. S. (Tadeusz Jerzy Stecki)</i>	326
ROZMYŚLANIA o gorzkiej mecie Pana naszego Jezusa Chrystusa. Napisał i wydał <i>Ks. St. Stojalowski</i>	326
ZASADY I PRZEPISY DOBREGO WYCHOWANIA według <i>Dra Albana Stolza. Opracował K. Prawdzic</i>	491
KWESTYE SPOŁECZNO-POLITYCZNE, według prawa naturalnego, objawionego międzynarodowego i kanonicznego, rozwiązane przez <i>Ks. Licencyata J. Paszkowskiego</i>	492
MIESIĄC <i>MARYI. Z zapisków czynionych podczas konferencji ś. p. Ks. Zygmunta Goliana, przez A. D.; U STÓP KRZYŻA. Nowy miesiąc maj, boleściom N. Maryi Panny poświęcony, napisał Ks. Stanisław Stojalowski</i>	492

Z piśmiennictwa zagranicznego:

LITERATURA CZESKA w r. 1886. (<i>P. J. Vychodil O. S. B.</i>)	131
MADAME DE MAINTENON. Par <i>A. M. Geffroy</i>	140
DER MENSCH, SEIN URSPRUNG, SEINE RASSEN UND SEIN ALTER, von <i>Dr. B. Platz O. C.</i>	141
HISTOIRE DU CONCILE DE VATICAN. Par <i>S. Exs. Mgr. Eugène Cceconi</i>	142
QUELQUES REFLEXIONS, SUR LES LOIS SOCIALES. Par le Duc d' <i>Harcourt</i>	143
LEHRBUCH DER DOGMATIK, v. <i>Dr. Hube Theophil Simar. (Ks. A. Kraetzig T. J.)</i>	327
ÉTUDES MORALES ET LITTÉRAIRES. Par <i>Leon de Monge</i>	332
THÉODORE WIBAUX, zouave pontifical et Jésuite. Par le p. <i>de Coetlosquet</i>	333
POGLĄD NA LITERATURĘ HISTORYCZNĄ W NIEMCZECH W ROKU 1886 (<i>Ks. A. Arndt T. J.</i>)	493
ALBERT HETSCH. Mit einer Einleitung von <i>Bischof Perraud von Autun. Aus den französischen (Ks. A. Kraetzig T. J.)</i>	501
DER WELTVERKEHR. Telegraphie und Post, Eisenbahnen und Schifffahrt in ihrem Entwicklung dargestellt von <i>Dr. Michael Geistbeck</i>	502
LA PÉNINSULE DES BALKANS. Vienne, Croatie, Bosnie, Serbie, Bulgarie, Roumélie, Turquie, Roumanie, par <i>Emile de Laveleye</i>	503
SOUVENIRS ET VISIONS par le <i>Vicomte E. M. de Vogué</i>	505